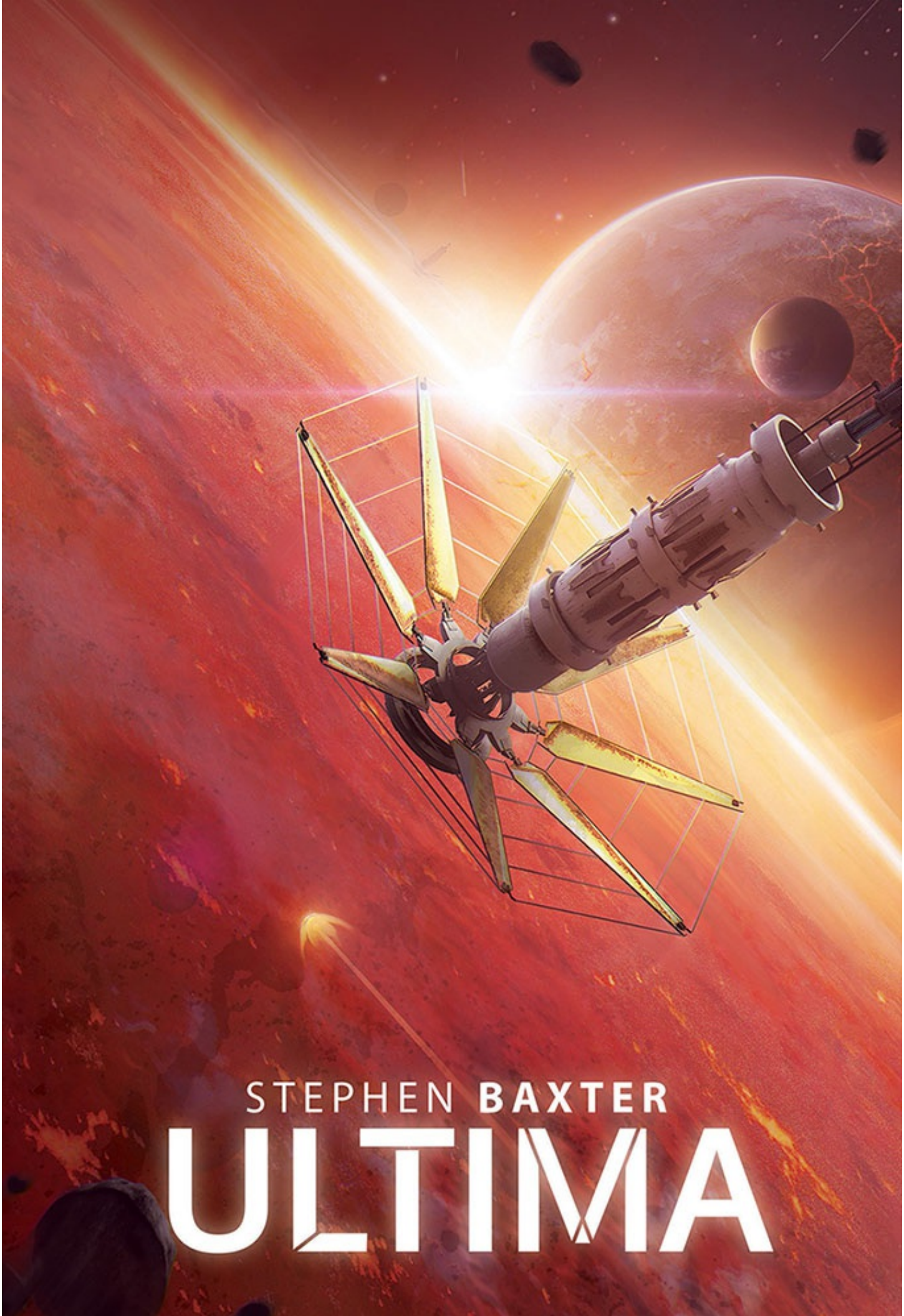
STEPHEN BAXTER
ULTIMA

Stephen Baxter

ULTIMA

Przełożył
Dariusz Kopociński

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Stephen Baxter
Ultima

Tytuł oryginału
Ultima

ISBN

Copyright © Stephen Baxter 2014 First published by Gollancz, London
All rights reserved

Copyright © 2019 for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań

Redakcja
Agnieszka Zienkowicz

Ilustracja na okładce
Michał Krawczyk

Opracowanie techniczne
Barbara i Przemysław Kida

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 2519
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Spis treści

I

- Rozdział 1
  - AD 2227 AUC 2980 (Ab urbe condita, od założenia miasta)
- Rozdział 2
  - AD 2222; AUC 2975
- Rozdział 3
- Rozdział 4
- Rozdział 5
  - AD 2213; AUC 2966
- Rozdział 6
- Rozdział 7
- Rozdział 8
  - AD 2222; AUC 2975
- Rozdział 9
- Rozdział 10
  - AD 2213; AUC 2966
- Rozdział 11
- Rozdział 12
  - AD 2222; AUC 2975
- Rozdział 13
- Rozdział 14

II

- Rozdział 15
  - AD 2215; AUC 2968
- Rozdział 16
- Rozdział 17
- Rozdział 18
  - AD 2227; AUC 2980
- Rozdział 19
  - AD 2225; AUC 2978

Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
AD 2233; AUC 2986
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
III
Rozdział 37
AD 2233; AUC 2986; PY (po Yupanqui) 795
Rozdział 38
Rozdział 39
Data nieznana
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49

AD 2234; AUC 2987; PY 796
Rozdział 50
Rozdział 51
Rozdział 52
Rozdział 53
Rozdział 54
Rozdział 55
Rozdział 56
Rozdział 57
Rozdział 58
IV
Rozdział 59
Rozdział 60
Rozdział 61
Rozdział 62
Rozdział 63
Rozdział 64
Rozdział 65
Rozdział 66
Rozdział 67
Rozdział 68
Rozdział 69
Rozdział 70
Rozdział 71
Rozdział 72
Rozdział 73
Rozdział 74
V
Rozdział 75
Posłowie

Całej mojej powiększonej rodzinie

W sercach stu miliardów światów…
Na przestrzeni biliona umierających rzeczywistości morderczego multiuniwersum…
W ciszy podziemi… narastało uczucie zadowolenia. Wielosegmentowy umysł wciąż rozpychał się w przestrzeni – od starszych gwiazd i wypalonych światów do tych młodszych na całym obszarze galaktyki. Rozpychał się również w czasie, odmieniając losy niezliczonych istnień.
Lecz czasu nie zostało wiele i było go coraz mniej.
We śnie o końcu czasów pojawiła się nuta ponaglenia.

Rozdział 1

AD 2227
AUC 2980 (Ab urbe condita,
od założenia miasta)

– Yuri Edenie, niebezpieczeństwo! Niebezpieczeństwo!

– Jaki problem tym razem, ColU? Rozbłyski na Proximie? A więc trzeba się schować.

– Daj spokój, Yuri. To już nie jest Per Ardua.

– Beth! Beth i Mardina! Gdzie…?

– Twoja córka i jej matka są daleko stąd.

– Daleko stąd? Nic im nie grozi?

– Nie potrafię ci na to odpowiedzieć, Yuri. Musimy założyć, że są bezpieczne, i robić swoje.

– No więc czemu wrzeszczysz mi do ucha: niebezpieczeństwo!?

– Inaczej bym cię nie obudził. Lekarstwa, które podsuwa ci *medicus*, sprawdzają się czasem lepiej, czasem gorzej, ale na pewno mają silne działanie.

– Czyli okłamałeś mnie, co? Odkąd to oprogramowanie autonomicznych jednostek kolonizacyjnych dopuszcza kłamstwa?

– Obawiam się, Yuri, że i bez tego znacząco przekroczyłem zakres swoich uprawnień.

– Czuję się, wiesz, jakbym szedł po omacku ciemnym korytarzem. I otwierał po kolei drzwi, jedne, drugie, żeby się połapać, gdzie jestem. Ale bezpieczny czuję się dopiero, gdy śpię.

– Nie musisz się śpieszyć, Yuri.

– *Medicus*… To słowo… Cholera, wciąż jestem na tej rzymskiej łajbie?

– Owszem, gościmy na pokładzie statku „Malleus Jesu”.

– I… Aj!

– *Medicus* radziłby jeszcze nie siadać.

– Kiedy śpię, zapominam. O całym tym syfie, który we mnie wzbiera. Zapominam o wszystkim.

– To wszystko wciąż tu jest. Ale jestem też ja, przyjacielu. Jesteśmy tu razem.

– Nie da się ukryć. No więc czemu mnie budzisz, do cholery?

– Bo mnie o to prosiłeś. Ściślej mówiąc, chciałeś, żebym pomógł ci sporządzić testament,

żebym zapisał twoją ostatnią wolę. Mogę to dla ciebie zrobić. Ale mijały godziny, Yuri, a ty wciąż spałeś. Postanowiłem cię obudzić na wypadek…

– …gdybym miał już spać wiecznie?

– Posłuchałem rady Stef Kalinski.

– Ha! No jasne! Tak swoją drogą, co u niej?

– Ostatnio, kiedy z nią rozmawiałem, piła pod stołem z zaprawionymi w bojach legionistami. Wszystko, byle wypłukać z ust resztki wstrętnego rzymskiego sosu rybnego. Mniej więcej tak się wyraziła.

– Stef przeżyje nas wszystkich. Ona i ta jej niemożliwa siostrzyczka.

– Mam nadzieję, że kiedyś dowiem się tego. Yuri, lepiej nie traćmy czasu…

– …zanim znowu odpłynę? Dobra, kolego. Podasz mi szklankę wody?

– Oczywiście.

– A zatem. Moja ostatnia wola i testament. Jaką formę przyjąć, żeby nie odrzucił jej rzymski system prawny? Cholera wie, skoro upłynęły dwa tysiące lat od chwili, gdy teoretycznie upadło Cesarstwo. Zresztą co ja zapiszę w spadku? Jedynie to, co miałem przy sobie, gdy przechodziłem przez ostatni Właz.

– W tym mnie.

– W tym ciebie, kolego. Trudno mi się oswoić z tym, że jesteś moją własnością, ale chyba tak to wygląda.

– Jestem sztuczną inteligencją, Yuri, nikim więcej. A w tej… odmiennej rzeczywistości nawet ludzie, przynajmniej niektórzy, także stanowią czyjąś własność. Na tym statku również. Wobec tego nie jestem aż takim wyjątkiem, jak by się mogło wydawać. Na pewne rzeczy nie mamy wpływu, Yuri.

– Może i nie. Swoje postanowienia sformułuję jasno. Jeśli Stef będzie żyła dłużej ode mnie, moje udziały w tobie, jak to widzą Rzymianie, staną się jej własnością. Jeśli będzie żyła krócej, dostanie cię Beth na Ziemi, o ile jakimś cudem ją tam odnajdziesz.

– Kwintus Fabiusz obiecał, że zajmie się tym w legionowej *collegii*.

– A więc zaczynajmy. Urodziłem się w roku 2067 w tradycyjny sposób. Wychodzi na to, że sto sześćdziesiąt lat temu. Mimo że przeżyłem dopiero…

– …sześćdziesiąt dwa lata, Yuri. Imiona, które dali ci rodzice…

– Nieistotne. Urodziłem się w Północnej Brytanii. Moja matka i ojciec należeli do pokolenia bohaterów, którzy usiłowali naprawić świat zniszczony kilkadziesiąt lat wcześniej przez anomalie klimatyczne. Udało się im. Zanim dobrały się do nich sądy, kazali mnie zamrozić

w kapsule kriogenicznej, gdy miałem dziewiętnaście lat. Oczywiście nie zobaczyli mnie, gdy sto lat później zostałem wybudzony na Marsie.

– Zatem jak masz na imię?

– Jakiś błazen wymyślił „Yuriego”, gdy wyłowili mnie z krio.

– Dobrze. A po roku na Marsie…

– …ISF zgarnął mnie w łapance przy niewielkim udziale strażników pokoju w Edenie. Którym było przykro, że wpadłem.

– To sarkazm.

– Tak, zaznacz wyraźnie. Ponownie obudziłem się na pokładzie należącego do ISF statku „Ad Astra”, międzygwiezdnego kadłubowca z napędem ziarnowym, pełnego takich jak ja pechowców, których wpakowano tam siłą. I znowu zdobyłem popularność… No, a później spędziłem, zaraz, dwadzieścia cztery lata na Per Ardui, planecie w układzie Proximy Centauri. Z Mardiną Jones, naszą córeczką Beth i tobą, ColU. Z trudem udało nam się przeżyć. Napotkaliśmy innych osadników, podobnie jak my porzuconych na pastwę losu. Wyruszyliśmy wszyscy do strefy przygwiezdnej i centralnego miejsca nazwanego Osią. Tam natrafiliśmy na…

– …Właz.

– Wystarczyło przejść na drugą stronę, nic więcej, żeby momentalnie znaleźć się na Merkurym, planecie oddalonej o cztery lata świetlne. I znów wielka zmiana, dla mnie i dla ludzkości. Zabrałem do domu Mardinę i Beth, i tam zostały…

– Ale ty nie mogłeś zostać z nimi.

– Miałem wybór: wrócić na Per Arduę lub pójść do więzienia. No więc udałem się na Per Arduę, a ze mną Stef Kalinski. Która musi w tym wszystkim borykać się z własnymi problemami.

– Czujesz zmęczenie, Yuri?

– Nie rozczulaj się nade mną, ColU. Nie cierpię, kiedy to robisz. Ale do rzeczy. Na Per Ardui ONZ zaczął nam przykręcać śrubę identycznie jak w Układzie Słonecznym, ponieważ zanosiło się na wojnę. Miały w niej uczestniczyć napędzane ziarnami okręty, a chodziło o złoża ziaren na Merkurym…

– Yuri Edenie?

– Jestem, jestem.

– Pamiętasz, jak udaliśmy się do strefy przeciwgwiezdnej? Do najciemniejszego i najzimniejszego miejsca na Per Ardui, gdzie zawsze panuje mrok? Gdzie wśród wielu tajemniczych rzeczy znaleźliśmy jeszcze jeden Właz?

– Pamiętam. Przeszliśmy na drugą stronę: ja, Stef Kalinski i ty. I nagle zaświeciło nad nami

inne słońce. W naszą stronę szedł człowiek w płaszczu i hełmie…

Quid estis?

– Tak. A więc przypominasz sobie?

Quid agitis in hac provincia?

Rozdział 2

AD 2222; AUC 2975

Intruzów na stanowisku przy Włazie jako pierwsi wypatrzyli bystroocy arabscy nawigatorzy ze statku „Malleus Jesu”. Ulokowani w swoich cichych kabinach na pokładzie międzygwiezdnej jednostki okrążającej planetę na wysokiej orbicie, będący tutaj – u kresu podróży – także obserwatorami i kartografami, za pomocą dalekowidów rutynowo sprawdzali okolice Włazu. Ponieważ ów nowo powstały Właz był głównym celem misji, należało go nadzorować i chronić.

I oto sam centurion Kwintus Fabiusz wybrał się w podróż, żeby przyjrzeć mu się z bliska.

Skórzany wór powietrznego *cetusa* trzeszczał i skrzypiał, gdy ogromny pojazd kołysał się na lekkim wietrze. Kwintus znajdował się przy stanowisku dowodzenia, gdzie ułożonymi w szereg drążkami sterowniczymi manipulował *remex*: młodszy stopniem członek załogi, który podlegał bezpośrednio głównodowodzącemu na okręcie *trierarchusowi*, czyli w tym przypadku Movenie. *Remex* był Brykantem tak jak Movena, i jak ona oraz wszyscy jej pobratymcy był ponury i arogancki. Jego umiejętności jednak nie podlegały dyskusji. Przestawiał drążki, olbrzymie wiosła młóciły powietrze wzdłuż kadłuba, a *cetus* z wdziękiem sunął w stronę Włazu, otwartego na równinie poranionej wskutek działań inżynierów Kwintusa, którzy owiali ten świat gorącym tchnieniem ziaren i stworzyli to cudo.

Na mostku kapitańskim pełno było przyrządów kontrolnych i sterowniczych, a także porysowanych drewnianych stołów, na których piętrzyły się stosy planów, wykresów i map sporządzonych odręcznie w ciągu trzech lat od czasu przybycia ekspedycji. W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach Brykantów, potomków nieokrzesanego ludu z północy, którzy upijali się miodem, okrywali się wyprawionymi świńskimi skórami i z upodobaniem żuli przy pracy walhallański tytoń.

Łatwo można było zapomnieć o tych prozaicznych rzeczach, stojąc przy oknie, za którym przed oczami Kwintusa otwierał się widok na obcy świat. Choć w ciągu trzech lat Kwintus tak wiele miejsc tu zwiedził i mimo że w dużym stopniu zmienił oblicze tego świata, budując drogi i obozy, zakładając stałą kolonię – tworząc również Właz, rzecz jasna – wciąż fascynowała go ta planeta.

Sam Właz powstał na skrawku terenu wyniesionego nad równinę, którą porastała niska miejscowa roślinność, gdzie wśród fioletów i bieli wznosiły się osobliwe pomarańczowe stożki.

Greccy uczeni na pokładzie statku utrzymywali, że każdy stożek jest siedliskiem istot niewidocznych gołym okiem, metropolią drobnych żyjątek, Rzymem dla niezmiernie małych organizmów. Na widnokręgu piętrzyły się strzeliste góry, dla których podnóżem były rozległe wzniesienia. Jedne i drugie były resztkami ogromnych kominów wulkanicznych, w późniejszych czasach wzbogaconych o tarasy, mury i potężne zęby krenelaży, które rzucały ostre cienie w niezmiennym białoszarym świetle Romulusa, głównego słońca. Z tych gór uczynił sobie fortece żyjący tu niegdyś lud, który przeobraził świat i zniknął. Zapewne unicestwił sam siebie – takie przypuszczenia snuli w obozowych rozmowach ponurzy legioniści. A jednak coś łączyło tamtych rzeźbiarzy gór z prostymi żołdakami z najbiedniejszej prowincji imperium: budowali Włazy.

Kwintus przybył tu swoim statkiem, sprowadzając inżynierów, legionistów i niewolników, którzy stworzyli własny Właz, dzięki czemu ich imiona zapisały się w historii. Starożytny numer legionu, którego częścią była ich centuria, został wyryty u stóp rzeźby przedstawiającej krzyż Jezusa, będącej jedynym ludzkim monumentem, jaki wolno było wznieść przy Włazie. Ów tutejszy na zawsze miał pozostać Włazem Kwintusa. Natomiast ten świat, czwarty w rodzinie otaczającej Romulusa, miał się stać – po oficjalnym poświęceniu przez *vicariusa* nowo powstałej kolonii – następną prowincją Rzymskiego Imperium, które sięgało do gwiazd.

Oto co osiągnął – on, Kwintus Fabiusz. Oto czego dokonał za cenę trzynastu lat życia dzielących go od chwili ponownego ujrzenia domu, a także kosztem o wiele dłuższej rozłąki z rodziną i przyjaciółmi – za sprawą tajemniczych efektów podróżowania z prędkością bliską świetlnej. Ale się nie uskarżał. Był u szczytu kariery, mogąc dowodzić takim statkiem jak „Malleus Jesu” i uczestniczyć w wielkiej misji zakończonej wybudowaniem Włazu… i raczej bez widoków na cokolwiek więcej, o czym myślał z pewnym rozżaleniem; oficerom z prowincji rzadko udawało się awansować wyżej w imperialnej armii, chyba że dobrze się czuli w świecie intryg i skrytobójczych zamachów. Mimo wszystko jednak Właz nie należał do Fabiusza, jego załogi czy w ogóle człowieka. Właz był rzeczą samą w sobie, równie nieodgadnioną jak przeznaczenie świątyni zapomnianego boga.

Gdy teraz spoglądał w dół z zamglonego nieba, perfekcję Włazu i jego otoczenia zakłócała obecność intruzów. W miarę jak *cetus* ślamazarnie przybliżał się do celu, narastał w Kwintusie gniew. Raz po raz zaciskał palce grubej pięści, czując, jak naprężają się mięśnie przedramienia.

– Dwóch – oznajmił Gneusz Juniusz, *optio* Kwintusa, czyli jego zastępca. Obserwował Właz przez kunsztownie wykonany grecki dalekowid ze szkła i skóry w drewnianej tubie.

– Dawaj to. – Kwintus wyrwał przyrząd z rąk Gneusza i przyłożył go do oka. Jak zwykle, z początku widział tylko ciemność.

– Nie trzeba tak mrużyć powieki.

– Mrużę, gdy jestem zły. Jak teraz.

– Rozumiem. Zaciskasz też zęby.

– Wcale nie.

– Rozumiem.

Szczupły, czarnowłosy, elegancki w swej nienagannie utrzymanej tunice, Gneusz Juniusz był ekwitą i potomkiem jednego z najstarszych rzymskich rodów arystokratycznych. Mimo młodego wieku był powszechnie lubianym, ze wszech miar kompetentnym człowiekiem, który nie miał w sobie tej arogancji i poczucia uprzywilejowania charakterystycznych dla tak wielu przedstawicieli jego klasy. Kwintus mógł na nim całkowicie polegać mimo gorzkiej, przygnębiającej świadomości, że temu młodzieńcowi pisane są w wojsku i poza nim znacznie wyższe zaszczyty niż jemu. Jeśli Kwintus nie chciał w przyszłości składać mu meldunków, uratować go mogło jedynie przejście w stan spoczynku.

– A zatem intruzi – przypomniał mu spokojnie Gneusz Juniusz. – Dwaj.

Kwintus obserwował obcych przez dalekowid.

– Kobieta i mężczyzna. Niemłodzi. Pięćdziesiąt kilka lat albo i więcej. Żaden z naszych weteranów nie jest tak stary i żadna z ich żon. Może z wyjątkiem Tytusa Waleriusza z siódmej kohorty, który, a wiem to na pewno, od dziesięciu lat ukrywa swój wiek. Niektórzy po prostu nie chcą odejść z wojska.

– Rozumiem.

– Teraz Tytus będzie musiał sobie odpuścić. Gderanie nic już mu nie da, zajmie się kolonią. – Kwintus od samego rana miał popsuty humor, jeszcze zanim wynikła ta sprawa z intruzami: musiał wysłuchiwać narzekań mieszkańców kolonii, weteranów mających pozostać na tym świecie. – Nic nam nie wyrośnie w tej obcej glebie, centurionie… Nie możesz mnie tu zostawiać razem z Kajuszem Flawiuszem, centurionie. Nie przestaje gapić się na moją żonę od czasów kampanii w Górnej Walhalli, a teraz jeszcze ślini się do mojej córki…! Przysięgam, centurionie, przysięgam…

– Na pewno nie są to nasi weterani – stwierdził oględnie Gneusz. – Ani też *remiges*.

Miał rację. Po ośmiu subiektywnych latach od opuszczenia Terry, w tym pięciu spędzonych w ciasnocie na pokładzie „Młota”, Kwintus był pewien, że rozpoznałby każdego pasażera, członka załogi czy najnędzniejszego niewolnika. Nie licząc niewolników, „Malleus Jesu” przewoził kilkaset osób, przede wszystkim osiemdziesięciu członków centurii Kwintusa oraz taką samą liczbę tworzących załogę statku *remiges* (archaiczne określenie pochodzące od słowa

„wioślarze”), przeważnie Brykantów podporządkowanych własnej hierarchii i własnym oficerom na czele z Moveną, mających przy sobie rodziny. Intruzów jednak Kwintus nie znał.

– Nie da się ukryć, że z wyglądu przypominają Brykantów – mruknął. – Te ich dziwne ubrania. Kurtki i spodnie zamiast płaszczy i tunik. Kolory też szczególne. Noszą jakieś plecaki. I co im tak połyskuje na ramionach? Zupełnie jak topniejący szron… Ale to przecież niemożliwe. Na tym świecie nie ma mrozów, przynajmniej po dziennej stronie.

– Ani śladu broni – zauważył przytomnie Gneusz.

Kwintus mruknął.

– Żeby mieć pewność, trzeba by zdjąć z nich ubranie i wywrócić do góry dnem torby. Ale przynajmniej nie są Zynami.

Gneusz wydął wargi.

– Nie byłbym taki prędki w wyciąganiu wniosków. Imperium Zynów jest większe od naszego i obejmuje wiele mniejszości etnicznych. A nawet jeśli nie mamy tu obywateli Zynu, zawsze mogą to być mieszkańcy prowincji, agenci, a nawet najemnicy.

Kwintus westchnął.

– Trzybiegunowy układ sił na Terze przeniósł się nawet tutaj. Prawda, *optio*? My, Brykanci i Zynowie.

– Brykanci są naszymi sojusznikami. I nie jesteśmy w stanie wojny z Zynami.

– Nie byliśmy, gdy wyruszaliśmy w podróż.

– No tak.

Powietrzny pojazd zbliżał się do ziemi. Rozległ się zgrzyt łańcuchów, kiedy z dolnego pokładu zaczęto opuszczać kotwice. Kwintus porwał płaszcz rzucony na oparcie fotela i związał pod szyją jego końce, następnie upewnił się, że ma u boku miecz i *ballistę*, by na koniec osłonić głowę hełmem z paradną kitą.

Gneusz zmarszczył usta.

– Zamierzasz przepytać ich osobiście?

– Na łzy Jezusa, a jakżeś myślał?

– Wydaje mi się, że dobrze byłoby podejść do nich, że tak powiem, bez uprzedzeń.

– Hm… Sugerujesz, że jeśli to Brykanci lub obywatele Zynu, powinniśmy przestrzegać ustalonego protokołu, nim zaciągniemy ich do paki?

– Przecież nie przybyli tu z nami, nie przywiózł ich „Malleus Jesu”. Ich obecność można wytłumaczyć tylko w jeden sposób…

To elementarne spostrzeżenie dopiero teraz w pełni dotarło do świadomości Kwintusa.

– Jeśli nie przewędrowali setek mil od jednego z rodzimych Włazów, musieli przejść przez ten

zbudowany przez nas…

– …który najwidoczniej połączył się, zgodnie z przewidywaniami, z całą siecią Włazów. Ale nie wiemy, dokąd dokładnie prowadzi. Może do miejsc bardziej egzotycznych niż miasta położone na kresach Zynu?

Pomimo kotłujących się w nim emocji Kwintus rozumiał tok myślenia swojego rozmówcy.

– Czyli nie sposób odgadnąć, skąd są, jak się tu dostali i co mogą zrobić. Zatem nie wiemy, czy nie stanowią zagrożenia dla nas, dla statku, dla całej naszej misji. Może nawet Cesarstwa.

– To prawda.

– A więc dowiedzmy się tego jak najszybciej. Chciałbym to już mieć za sobą. W razie czego wesprzesz mnie, *optio*. – Bez chwili wahania prężnym krokiem zszedł po schodkach na dolny pokład.

Za sobą słyszał ostry głos Gneusza, który pośpiesznie wydawał rozkazy, formując oddział straży przybocznej z legionistów będących na służbie.

Kwintus doznał wielkiej ulgi, mogąc opuścić ciasne przestrzenie podniebnego wieloryba i po zejściu z drabinki dotknąć stopami twardego gruntu. Z animuszem ruszył w stronę intruzów. W tę prostą czynność, jaką był marsz, wkładał całą energię, ponieważ wysiłek fizyczny związany z wytężonym ruchem pomagał mu wyładować frustrację. Wykorzystywał ten sposób już jako gołowąs świeżo wcielony do Legio XC Victrix, gdy musiał zmagać się z plagą kumoterstwa i przywilejów, która od samego początku utrudniała mu karierę wojskową. Miło było raźno przebierać nogami, choć jeszcze przyjemniej byłoby komuś przywalić.

Dziś jednak wiele wskazywało na to, że nie spełni się ta ostatnia ewentualność. Dwoje podstarzałych intruzów stało w pobliżu Włazu i przyglądało mu się z daleka. Wyglądali na zaskoczonych – któż by nie był po przejściu tajemniczej bramy – ale chyba się nie bali, niezbyt przejęci widokiem uzbrojonego rzymskiego centuriona, który parł w ich kierunku, jakby miał napęd ziarnowy w tyłku.

Mężczyzna nawet zawołał do niego. Słowa wydały mu się znajome, wypowiedziane z dziwnym akcentem, jakby z nadęciem.

Kwintus zdecydował, że najwyższy czas ryknąć jak na placu defiladowym.

Rozdział 3

Gigantyczny statek powietrzny poruszał się płynnie i bezgłośnie. Na zewnętrznej powłoce widniał symbol: skrzyżowane topory z chrześcijańskim krzyżem w tle i literami u góry – S P Q R.

Z fantazyjnej gondoli spuszczono kotwice. Kiedy pojazd zawisł nieruchomo, do samej ziemi rozwinęła się sznurowa drabinka. Patrzyli w zdumieniu, jak otwiera się klapa i po drabince schodzi człowiek.

Zaledwie zszedł, ruszył w ich kierunku. Nosił hełm z barwną kitą i szkarłatny płaszcz narzucony na coś, co przypominało kubrak z niedźwiedziej skóry. Nogi miał odsłonięte nad butami, których rzemienie oplatały mu łydki. Na biodrach z jednej strony miał miecz, z drugiej cudaczny pistolet w kaburze.

– Coś ty za jeden!? – zawołał Yuri.

Zbliżając się do nich spokojnym, zamaszystym krokiem, nieznajomy odkrzyknął:

– *Fortasse accipio oratio stridens vestri. Sum Quintus Fabius, centurio navis stellae „Malleus Jesu”. Quid estis, quid agitis in hac provincia? Et quid est mixti lingua vestri? Germanicus est? Non dubito quin vos ex Germaniae Exteriorae. Cognovi de genus vestri prius. Bene? Quam respondebitis mihi?*

Zawsze będą następne drzwi, pomyślał Yuri.

– Poczekaj, zajmę się tym. – Rozłożył szeroko ręce i ruszył na spotkanie ze zdenerwowanym nieznajomym.

– Chyba rozumiem wasz gardłowy język. Nazywam się Kwintus Fabiusz i jestem centurionem na gwiezdnym okręcie „Malleus Jesu”. Kim jesteście i czego szukacie w tej prowincji? I cóż to za psi język, którym się posługujecie? Germański, co? Z Germanii Kresowej, niech zgadnę. Miałem już do czynienia z takimi jak wy. No więc? Cóż mi odpowiecie?

Mężczyzna powiedział coś do swej towarzyszki i nie okazując lęku, zaczął iść w jego stronę. Przynajmniej rozpostarł ramiona, aby pokazać, że nie ma przy sobie broni.

W tym momencie dogonił Kwintusa zdyszany Gneusz Juniusz. Centurion obejrzał się przez ramię i zobaczył ciągnący za *optio* w ustalonym szyku mały oddział legionistów.

– Nie możesz złapać tchu, Gneuszu? Do końca miesiąca będziesz ćwiczył podwójnie.

– Dziękuję. Naprawdę uważasz, że pochodzą z Germanii Kresowej? No tak, ty wiesz

najlepiej.

– A to niby czemu, Gneuszu Juniuszu? Bo chociaż moja ojczysta łacina jest doskonalsza od twojej, mój ojciec pochodził z Dolnej Germanii, a matka z Belgiki, co w mniemaniu ludzi twojego pokroju oznacza, że jestem *transrhenusem*?

– Oczywiście, że nie.

– Nie wszyscy oddajemy cześć księżycowi i gzimy się z niedźwiedziami.

– Cieszy mnie to niezmiernie.

– Moi przodkowie stawiali legionom silny opór. Musiały zapędzić nas aż na brzegi Mare Suevicum, nim odniosły zwycięstwo.

– Wspominałeś już o tym.

– Więc lepiej nie traktuj mnie z góry.

– Ale…

– Kiepsko ci to wychodzi…

– Ale intruz grzebie w torbie.

Kwintus zauważył, że mężczyzna odwrócił się tyłem do kobiety, która szukała czegoś w jego plecaku. Kwintus i Gneusz natychmiast wyciągnęli *ballistae*, swoje pistolety. Kwintus usłyszał, jak dowódca podążających za nim żołnierzy ściszonym głosem wypowiada szorstkie komendy.

Nieznajomy mężczyzna, widząc, co się święci, ponownie rozłożył szeroko otwarte dłonie i krzyknął.

– Bierzmy ich z marszu – poradził Kwintus.

– Lepiej dajmy im szansę – zaoponował Gneusz. – Znowu coś mówią. Ich język brzmi trochę jak germański. Choć mógłbym przysiąc, że słychać jakiś trzeci głos: ni to męski, ni to kobiecy.

Kwintus rozejrzał się czujnie. Poza tymi dwiema osobami nie było nikogo.

– Masz lepszy słuch od mojego, *optio*… albo gorszy.

– Jakby dobywał się z plecaka mężczyzny…

– Brzuchomówca? To nie teatr, a ja nie zamierzam śmiać się z tanich sztuczek.

Kobieta zamykała plecak. Najwyraźniej znalazła to, czego szukała. Trzymała w rękach dwie jednakowe spłaszczone kulki z białego, gładkiego tworzywa; przypominały marmurowe kamyczki.

– Nie wiem, co to takiego – mruknął Gneusz – ale jest za małe, jak na broń.

– I kto tu jest prędki w wyciąganiu wniosków?

Kobieta wręczyła towarzyszowi jeden z bliźniaczych przedmiotów. Śledzili Rzymian uważnym wzrokiem i niewątpliwie starali się, żeby podwładni Kwintusa widzieli każdy ich ruch. Oboje ostrożnie wcisnęli do ucha po jednej spłaszczonej kulce.

Kiedy mężczyzna powtórnie zabrał głos, Kwintus ze zdumieniem uświadomił sobie, że rozumie wypowiadane słowa.

– Czy tłumaczenie jest poprawne? Rozumiecie mnie?

– Posługuje się łaciną – rzekł półgłosem Gneusz. – Trochę nienaturalną i formalną, ale jednak łaciną.

Kwintus chrząknął.

– Skoro od początku mogli mówić po łacinie, czemu odezwali się po germańsku?

– Może wcale jej nie znają? – zaryzykował stwierdzenie Gneusz. – Może wyręczają ich te kulki w uszach? Bo wydaje mi się, że wśród głośniejszych łacińskich słów pobrzmiewa język Germanów. A może łacinę zna ludzik mieszkający w torbie na plecach mężczyzny?

– Który odgrywa brzuchomówcę również dla kobiety? Ponosi cię wyobraźnia, *optio*.

– To przedziwna sytuacja. Może właśnie potrzeba nam więcej wyobraźni?

– Przestańmy bujać w obłokach. – Kwintus wetknął broń do kabury u pasa i wsparł na biodrach zaciśnięte pięści. – Jaki jest cel waszej misji?

Nieznajomi wymienili spojrzenia.

– To żadna misja. Jesteśmy… – Mówca zająknął się, jakby szukał odpowiedniego określenia. – Jesteśmy zwiadowcami. – Oboje wysunęli z uszu białe przedmioty i wypowiedzieli do siebie kilka krótkich zdań.

– Zwiadowcami? Jakiej armii? Jesteście Brykantami, Rzymianami czy Zynami? Któremu cesarzowi płacicie podatki?

– Brykanci nie mają cesarza – szepnął Gneusz.

– Cicho bądź!

– Nasz mówca użył niewłaściwego słowa – odezwała się kobieta. – Jesteśmy… – Znów wahanie. – Uczonymi. Przeszliśmy przez… drzwi.

– Właz – poprawił ją Gneusz.

– Właśnie, przez Właz. Przybyliśmy zbadać, co jest na tym świecie. Nie należymy do żadnej jednostki wojskowej.

– Twierdzą, że są badaczami.

Kwintus prychnął.

– W takim razie kłamią. Rzymianie gardzą badaniami tak samo jak kiedyś Aleksander. Rzymianie odkrywają, podbijają i mierzą.

– Ale to nie są Rzymianie.

– Któremu cesarzowi służycie? – powtórzył Kwintus.

Obcy raz jeszcze popatrzyli na siebie.

– Nie służymy żadnemu cesarzowi. Nikt nie podbił naszej prowincji. – Ich miny wyrażały obawy o jakość tłumaczenia.

– Na Terze nie zostały niepodbite miejsca! – fuknął Kwintus. – Może z wyjątkiem lodowych pustkowi na południu. Wszędzie powiewają proporce, przynajmniej proporce wodzów, a często więcej niż jeden, kiedy toczy się wojna.

– Nie znamy nazw, które wymieniłeś – próbowała wyjaśnić kobieta. – Nawet jeśli to państwa.

– Wobec tego nie pochodzicie z Terry – skonstatował Gneusz.

Kobieta spojrzała na niego poważnie.

– Pochodzimy z Terry, ale nie waszej.

Gneusz wytrzeszczył oczy.

Kwintus był zmieszany i sfrustrowany.

– Co chcecie przez to powiedzieć? Może wasz kraj zniknął w wyniku podbojów jak królestwo Żydów? Może wasz naród poszedł w niewolę?

– Nie – odpowiedziała stanowczo kobieta. – Nie jesteśmy niewolnikami. – Wydawało się, że nasłuchuje. – Dobrze, ColU – odezwała się po chwili. – Podkreślę to. Urodziliśmy się wolni.

– Z kim rozmawiacie? – zapytał Gneusz. – Kim jest… Koliu? Koliusz?

– Urodziliśmy się wolni – zaznaczyła raz jeszcze kobieta. – Jesteśmy dla was obcy, obcy również w tym świecie, ale na pewno wolni. Prosimy o opiekę.

– Opiekę? – Kwintus uderzył się lekko w napierśnik. – Za kogo ty mnie uważasz, za *vicariusa*, za uczonego biblistę? A więc nie macie własnego kraju, nie macie właściciela… Macie chociaż imiona? Ty? – Wymierzył palec w kobietę.

– Nazywam się Stephanie Karen Kalinski.

– A ty?

Mężczyzna wyszczerzył zęby w niemalże bezczelnym uśmiechu.

– Yuri Eden.

Kwintus zerknął na Gneusza.

– Rozumiesz coś z tego? „Stephanie” zalatuje mi greką. Przyzwoite imię. Ale Yu… ri? Huńskie? Scytyjskie?

– Ich imiona są równie egzotyczne jak stroje – zauważył cicho Gneusz.

– Dosyć tego. Czeka nas masa roboty, zanim „Malleus Jesu” będzie mógł opuścić to nieszczęsne miejsce. Przede wszystkim trzeba zająć się weteranami i osadzić ich w nowej kolonii. Nie mam czasu na filozoficzne szarady. Odbierzcie im broń, zróbcie z nich niewolników, znajdźcie dla nich zastosowanie, jeśli to w ogóle możliwe. A gdyby się nie dało, pozbądźcie się ich w jakiś mało kłopotliwy sposób.

Gneusz nie miał uradowanej miny, lecz pokiwał głową.

– Jak każesz…

Kobieta energicznie wystąpiła naprzód.

– Kwintusie Fabiuszu, odtrącając nas, popełniasz wielki błąd. Możemy się przydać.

Zaśmiał się.

– Jak? Jesteś za stara na konkubinę i zbyt słaba, zbyt rozmemłana, żeby walczyć. Umiesz chociaż gotować?

Popukała się w głowę.

– Mamy wiedzę. Taką, której nie posiadacie.

– Może i coś w tym jest – rzekł prędko Gneusz. – Nadal nic o nich nie wiemy. Nawet tego, jak się tu dostali. Grecy mawiają, że wiedza jest najpotężniejszą bronią.

Kwintus prychnął ze wzgardą.

– Te słowa spłodził pewnie jakiś filozof z wyleniałą łepetyną, kiedy rzymscy legioniści wkroczyli z mieczami do jego miasta.

– On ma rację – powiedziała kobieta. – Postąpiłbyś nieodpowiedzialnie, pozbywając się nas bez pewności, że…

– Nieodpowiedzialnie?! – ryknął Kwintus. – Masz czelność tłumaczyć mi, niewiasto, jakie są moje obowiązki?

Kalinski nie dawała jednak za wygraną.

– A gdybyśmy mieli wiedzę o wrogu, który zagraża nam wszystkim? – Myślała intensywnie. – O nieprzyjacielu Rzymu silniejszym i bardziej podstępnym nawet niż Zynowie i…

– …Brykanci – pomógł jej Gneusz.

– O jakim wrogu mówisz? – zapytał ostro Kwintus.

Wskazała znajdującą się za nią instalację.

– Mówię o tych, którzy chcą, żeby powstawały Włazy pozwalające zasiedlić gwiazdy, którzy kierują losem imperiów potężniejszych nawet od waszego Rzymu.

W tym momencie okazało się jednak, że Yuri jest czymś wielce zaabsorbowany. Postąpił krok do przodu, najwidoczniej niezainteresowany rozmową.

W odpowiedzi na to legioniści sięgnęli po broń i zbliżyli się do dowódcy. Także dłoń Kwintusa drgnęła w stronę *ballisty*.

Gneusz jednak uspokajająco położył rękę na jego ramieniu i pokazał mu coś na niebie.

– Zobaczył wschód słońca. Wydaje się wstrząśnięty.

Na niebo wytaczał się Remus, druga gwiazda układu podwójnego, jaśniejsza niż Luna i Wenus, błyszcząca silniej niż którekolwiek ciało niebieskie na firmamencie Terry. Podwoiły

się cienie. Romulus był widoczny zawsze w tym samym miejscu, lecz z Remusem sprawy miały się inaczej: poruszał się po niebie tak zawiłym torem, że nawet arabscy matematycy na pokładzie statku z trudem wyliczali jego położenie.

Wtem od strony zakotwiczonego *cetusa* nadbiegł goniec.

– Centurionie! Otrzymaliśmy meldunek o zamieszkach w kolonii. Ludzie są w spichlerzu, straszą spaleniem *principii*…

– Co? Znowu? – Kwintus obrócił twarz ku niebu i gromko zawołał: – Ojcze Chrystusa, czemuż mnie tak dręczysz?! *Optio*, za mną! – Energicznym krokiem ruszył z powrotem do *cetusa*.

Yuri Eden wciąż patrzył oczarowany na wschód drugiego słońca.

Rozdział 4

Z braku konkretnych rozkazów żołnierze podążający za swoim dowódcą na spotkanie z Yurim i Stef potrząsnęli tylko krótkimi mieczami, dając do zrozumienia dwójce podróżników, że mają iść za Kwintusem na statek.

– Tylko bez wygłupów! – ostrzegli.

Stef poprawiła pakunek na plecach Yuriego, gdy ruszyli za Rzymianami, słuchając ich szorstkiej mowy.

– Wszyscy mówią po łacinie – szepnęła.

– Posługują się językiem wywodzącym się bezpośrednio z klasycznej łaciny – uściślił ColU. Ogołocona ze wszystkiego oprócz układów procesorowych, ukryta w plecaku Yuriego autonomiczna jednostka kolonizacyjna odzywała się cicho w ich uszach za pośrednictwem włożonych słuchawek i tłumaczyła głośno ich słowa.

– Ale przecież słychać rozmaite akcenty – powiedziała Stef.

– Rzym zawsze był zlepkiem wielu narodów siłą połączonych w jedno – wyjaśnił ColU. – W późniejszych czasach mieszkańcy zachodnich prowincji, wcześniej uważani za barbarzyńców, zaczęli zdobywać coraz wyższe stanowiska w Cesarstwie. Jednym z nich był Stylicho, najwybitniejszy wódz wojsk cesarskich na Zachodzie u schyłku państwa.

– Podziwiam twoją wiedzę historyczną – mruknęła Stef. – To oraz wszystko, co udało ci się osiągnąć.

– Zostałem zaprogramowany na nauczyciela dzieci w kolonii Yuriego na Per Ardui. Posiadam szeroki zakres wiedzy.

– Mam wrażenie, ColU, że ona się z tobą droczy – rzekł Yuri.

– Tak czy inaczej, chętnie wam służę pomocą, mimo że zmieniło się moje przeznaczenie…

– ...i chyba również przeznaczenie Rzymu – dodała Stef. – Żaden cesarz nie podróżował w kosmos. O ile mi wiadomo, żaden nie dysponował nawet statkiem powietrznym. Być może znana ci historia, ColU, jest już nieaktualna. Ciekawe, czy tutejsi Rzymianie słyszeli o Stylichonie.

– Oczywiście masz słuszność. To nie są nasi Rzymianie. Naszą wiedzę o historii powinniśmy traktować jako punkt odniesienia, ale nie zapominajmy, że tutaj są inne realia.

– Tutaj, po drugiej stronie Włazu – powiedział Yuri.

– Rzymianie na określenie tego miejsca używają słowa oznaczającego „bramę” – oznajmił

ColU. – W tłumaczeniu postanowiłem zachować znane nam określenie…

Stef pokręciła głową.

– Podajemy w wątpliwość cały bieg historii, jakby to było coś naturalnego. Czy my jesteśmy normalni? Takie rzeczy nie zdarzają się przecież codziennie.

– Staramy się w tym połapać, pani pułkownik Kalinski – stwierdził cicho ColU.

– Poza tym, czy kiedyś coś takiego nie przytrafiło się tobie na Merkurym, Stef? – Yuri uśmiechnął się szeroko. – A jednak… trudno to ogarnąć. Myślisz, że wrócilibyśmy w to samo miejsce, gdybyśmy znowu przeszli przez Właz, o ile pozwoliłyby nam na to te łotry w bajeranckich ubrankach? Znaleźlibyśmy się na Per Ardui, gdzie o Rzymianach można tylko czytać w książkach?

– Jakoś w to wątpię, Yuri – odparł ColU. – Gdy raz się przeszło przez te drzwi…

– …nigdy się nie wróci. Jeśli Rzymianie są tutaj, to chyba muszą być wszędzie, nie?

– Wykorzystajmy to, że tu jesteśmy, Yuri. Bądź co bądź, nikt nas siłą nie wpychał do Włazu.

Stef zauważyła, że Yuri wygląda na człowieka zmęczonego i wymizerowanego, żeby nie powiedzieć – chorego. Oboje dużo przeszli tego długiego dnia, mimo że – co stwierdziła ze zdumieniem, zerknąwszy na zegarek – nie minęła jeszcze godzina, odkąd pożegnali się z Liu Tao na zimnym odludziu pośrodku ciemnej strony Per Arduy, planety w układzie Proximy Centauri. Z całą pewnością przemieścili się ogromny szmat drogi od Proximy, która sama w sobie znajdowała się w odległości czterech lat świetlnych od Ziemi. Zresztą nie odległość liczona w latach świetlnych miała tu znaczenie. Bo czym właściwie było to miejsce?

Dotarli do statku powietrznego.

Stef poczuła na sobie dłonie legionisty, który bezceremonialnie pchnął ją w kierunku drabinki sznurowej. Wspięła się nieporadnie, za nią Yuri.

Oboje, nie licząc ColU, zostali umieszczeni w ładowni na dolnym poziomie gondoli, przestronnej, lecz pozbawionej okien, oświetlonej jakąś prymitywną lampą fluorescencyjną. Nie widzieli nic na zewnątrz. Nie dano im też żadnych krzeseł czy ławek, więc usiedli na podłodze oparci plecami o drewnianą ścianę. Żołnierze siedzieli na rozłożonych płaszczach, zajęci cichą rozmową, i spoglądali badawczo na Stef, która mierzyła ich zimnym spojrzeniem.

Statek, nazywany przez Rzymian *cetusem*, uniósł się z płynnym przyśpieszeniem, czemu towarzyszył szum ukrytych gdzieś miechów.

– Ściany są z drewna, podłoga także – stwierdził Yuri. – Są tu wiechcie słomy i plamy krwi, a wszystko przesiąknięte zapachem owiec.

– I kóz – dodała Stef. – Choć może tak śmierdzą legioniści. To musi być jednostka

przeznaczona do patrolu powierzchni planety. Na orbicie czeka statek kosmiczny? Niech ktoś mi powie, jakie technologie w nim zastosowali, skoro latają takimi łajbami?

– Mają ziarna – odezwał się ColU – a do zwyczajnych celów, takich jak podtrzymanie życia, wystarczą proste rozwiązania. Swoją drogą, nazywają ziarna wulkanami na cześć boga kowalstwa. Ja wolę trzymać się naszej nomenklatury.

Legioniści z podejrzliwością śledzili tę wymianę zdań. Stef, odrobinę speszona, mogła sobie tylko wyobrażać, jak muszą czuć się ci mężczyźni – znudzeni, uzbrojeni żołnierze. Wyglądało bowiem na to, że ich więźniowie słuchają jakiegoś głosu, do nich niedocierającego, ba, prowadzą z nim rozmowę. Ulżyło jej nawet, gdy jeden z nich warknął:

– Nie gadać!

Stef wzruszyła ramionami. Oczy Yuriego i tak były już zamknięte, a ręce złożone na plecaku, który trzymał na kolanach. Głowę zwiesił bezwładnie.

Niebawem statek powietrzny zaczął obniżać lot. Gdy zagrzechotały kotwiczne łańcuchy, legioniści prędko naradzili się między sobą, po czym wstali, otworzyli drzwi prowadzące na krótki korytarz i zapędzili wędrowców do włazu, przez który wcześniej wszyscy weszli na pokład statku. Tam musieli poczekać, aż Kwintus Fabiusz w otoczeniu kilku oficerów zejdzie po drabince na ziemię.

Stef pochyliła się, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Zobaczyła ogrodzoną osadę w kształcie zbliżonym do prostokąta, założoną na terenie upstrzonym fioletowymi smugami. Do budowy wałów wykorzystano darń i osobliwe drewno o pomarańczowym zabarwieniu, a domostwa z bali przykryto słomianą strzechą. Z kieszeni kurtki ukradkiem wyciągnęła tablet.

– Hej, ColU, to cię na pewno zainteresuje. – Ustawiła urządzenie w ten sposób, aby ColU mógł coś widzieć.

– Niesamowite! Naprawdę! Klasyczny obóz marszowy rzymskich legionistów. Istnieje tysiące lat poza swoją epoką i na orbicie zupełnie innej gwiazdy…

Szturchańcami dano im do zrozumienia, że mają zejść po drabince.

Gdy stanęli na twardym gruncie, dowodzący grupką żołnierzy zaprowadził ich do świty Kwintusa Fabiusza. Kwintus ich zignorował, lecz zastępujący dowódcę Gneusz Juniusz – *optio*, jak dowiedziała się Stef – nieznacznie pozdrowił ich ręką.

– Stójcie tam i nie szukajcie kłopotów – powiedział.

A tych faktycznie nie brakowało, o czym zaraz się przekonała. Zepchnięta na bok, niezauważana przez sprzeczających się Rzymian, usiłowała rozeznać się w sytuacji.

Toczyła się jakaś kłótnia między centurionem Fabiuszem a grupą legionistów, w większości ubranych w stylu charakterystycznym dla potomków dawnych Rzymian – przypominającym

odzienie rzymskich żołnierzy przedstawiane w podręcznikach do historii, choć w tym przypadku było brudne, uboższe i zniszczone w walkach. Każdy nosił ciężki pas z okazałą ozdobną sprzączką i pętelkami na broń. Pasy stanowiły tu najbardziej rzucającą się w oczy część stroju – krzykliwą na sposób wręcz barbarzyński. Kwintus przewodził dyskusji w swoim szkarłatnym płaszczu i hełmie z wytworną kitą.

Byli jednak i tacy, którzy ubierali się zupełnie inaczej. Pewna niewysoka, rudowłosa kobieta o tęgiej posturze, odważnie stojąca blisko centuriona, oprócz wojskowych butów, spodni i tuniki miała na sobie coś na podobieństwo wełnianego poncza. Na jej ramionach widniały wojskowe szlify, nieprzypominające jednak żadnych rzymskich odpowiedników. Stała tuż obok Kwintusa Fabiusza, jakby należało jej się to miejsce. Przy niej stały jeszcze inne osoby – kobiety i mężczyźni ubrani podobnie jak ona, a także starszy czarnowłosy człowiek o wyraźnie śródziemnomorskich rysach twarzy, okryty jakby przykrótką togą.

Stef słyszała gdakanie kur, beczenie owiec, dobiegające z daleka głosy kobiet i dzieci, a także, twardsze, mężczyzn. Dało się również wyczuć woń posiłków przyrządzanych na ognisku. Teraz, gdy nie patrzyła z góry, nie miała już wrażenia, że to fort wojskowy. Czuła się jak w ufortyfikowanym miasteczku. Wyczuwało się jednak inny, silniejszy swąd spalonej słomy i drewna. Czyżby jakiś budynek spłonął w pożarze?

Ciągle się kłócono, a tymczasem obok grupek żołnierzy przechodziły kobiety dźwigające nosidła z wiadrami wypełnionymi wodą. Absolutnie nikt nie zwracał na nie uwagi, gdy tak szły gęsiego ze wzrokiem wbitym w ziemię. Stef odprowadzała je spojrzeniem. Czyżby niewolnice?

Yuri pokręcił głową.

– Co za dzień. Za nami tyle drogi, przejście między gwiazdami, a oni jakby nas nie dostrzegali.

Wzruszyła ramionami.

– Ludzie, jak to ludzie, mają własne problemy.

– Tak – odezwał się ColU. – My zaś musimy się postarać, żeby ich problemy przyniosły nam korzyść.

– ColU, tamten wysłannik informował Kwintusa o kłopotach w kolonii – powiedziała Stef. – Myślisz, że to właśnie ta kolonia?

– Na terenach nowo podbitych prowincji Rzymianie mieli zwyczaj przyznawać majątki ziemskie weteranom – rozległ się w odpowiedzi cichy głos w jej uchu. – Łatwy sposób na umocnienie cesarskiej dyscypliny, przykład rzymskiej kultury do naśladowania przez barbarzyńców, obecność wojskowych rezerwistów, obsadzone ludźmi fortyfikacje. Może o to

właśnie chodzi. Wielu obecnych tu legionistów, ich rodziny również, nie będzie miało szans wrócić do domu, gdy „Malleus Jesu” odleci z tej planety. Najwyraźniej to jest powodem kłótni.

– A właściwie na co im fortyfikacje? – wyraziła swoje wątpliwości Stef. – Fakt, są tu potężne ruiny, ale nie widać innych pozostałości po dawnych cywilizacjach. Nie ma tu nawet śladów fauny, nie mówię o gdaczących kurach. Z kim ci legioniści zamierzają prowadzić wojnę? Ze śluzoroślami?

Yuri mimo zmęczenia zdobył się na uśmiech.

– To obca planeta, Stef. Nie wiadomo, jakie tu mają śluzorośla.

– Warto zauważyć – dodał ColU – że jeśli udało się tu dotrzeć Rzymianom, mogą to zrobić również ich przeciwnicy.

– Wspominali o Zynach – szepnęła Stef. – Nie kojarzą wam się z Chińczykami?

– Sam wyraz „Chiny” bierze swój początek od nazwy pierwszej dynastii, która zjednoczyła kraj. Być może „Zyn” to właśnie to słowo, tylko zniekształcone.

– No i są jeszcze jacyś Brykanci.

– Ci Brykanci to między innymi ja. – Kobieta w ponczu, która dotąd stała obok centuriona, podeszła do nich energicznym krokiem. – Ale ciekawe, kim jesteście wy. – Język, którym się posługiwała, słyszalny mimo głośnego tłumaczenia, z pewnością był łaciną, lecz nacechowaną obcym akcentem. – Doszły mnie pogłoski, że Kwintus napotkał obcych przy swoim nowiutkim Włazie.

– Nowiny szybko się tutaj rozchodzą – odparła Stef.

Kobieta się roześmiała.

– W rzymskim obozie najszybciej. – Pochyliła się, żeby przyjrzeć się z bliska Stef. Za sprawą swoich krótko przyciętych intensywnie rudych włosów wyglądała na czterdzieści lat, osobę młodszą o ćwierćwiecze od Stef, lecz postarzała ją sterana twarz. Jej oczy miały kolor mroźnego błękitu. – Dziwnie się ubieracie – ciągnęła. – I dziwnie pachniecie. Chętnie posłucham waszych kłamstw, gdy będziecie opowiadać, skąd jesteście.

Stef uśmiechnęła się szeroko.

– Raczej byś nie uwierzyła, gdybym powiedziała prawdę.

– Ha! Ten rogaty centurion może i nie, ale my, Brykanci, nie mamy tak ciasnych umysłów. Jedno jest pewne: nie byliście gapowiczami na statku „Malleus Jesu”.

– Po czym poznajesz?

– Bo ten statek jest mój. Nasza misja jest wspólnym przedsięwzięciem Rzymu i Eboraki, a ponieważ nie wiecie, kim są Brykanci, nie wiecie również, że Eboraki to nasza stolica. Posiadamy osobne floty na orbicie Słońca, Rzymianie i Brykanci, ale organizujemy wspólne

wyprawy do gwiazd. Kwintus Fabiusz dowodzi misją i bandą swoich osłów, ja zaś, Movena, dowodzę statkiem i jego załogą. Rzymianie mówią na mnie *trierarchus*. Oczywiście statek zbudowali Brykanci.

– Chyba… rozumiem.

Kiedy rozmawiały, zbliżył się do nich starszy mężczyzna w todze.

– Niesłychane, Moveno. Ona mówi dość cicho i posługuje się językiem, który w uszach takiego jak ja cudzoziemca przypomina twój, może z domieszką germańskiego, a jednak ta rzecz w jej uchu powtarza wszystko po łacinie. Ale gdyby to wyjąć? Mogę? – Wyciągnął rękę w stronę głowy Stef.

Nie było jej to w smak, lecz nie miała wyboru. Zerknęła na Yuriego, który tylko wzruszył ramionami. A więc nie opierała się, gdy wyjmował jej słuchawkę.

Movena uśmiechnęła się przyjacielsko.

– Nie przejmuj się Michaelem. Jest *medicusem*, leczy chorych na statku. I Grekiem, jak wszyscy najlepsi lekarze. A Grecy mają to do siebie, że każdy drobiazg budzi ich ciekawość. Mówię teraz w ojczystym języku. Rozumiesz coś?

Stef ledwo słyszała tłumaczenie jej słów rozbrzmiewające w słuchawce Yuriego. Dominowała ojczysta mowa Moveny, brzmiąca trochę jak język duński ze śpiewną intonacją.

– Powiedz coś w swoim języku – poprosił Michael.

Uśmiechnęła się.

– Połamię ci ręce, jeśli popsujesz mi słuchawkę.

– Ha! Niesłychane! – Zwrócił urządzenie, które Stef natychmiast umieściła w uchu.

Nagle Yuri zakasłał. Stef zmartwiła się, widząc, jak stoi oparty o wał szańca.

Michael podszedł do niego pośpiesznie.

– Pozwól, że zobaczę, jak mógłbym ci pomóc…

Movena zwróciła się do Stef:

– Twój towarzysz jest chory?

– Jeśli tak, nic o tym nie wiem.

– Grek jest doskonałym lekarzem; ci Rzymianie nie zasługują na niego. Pomoże, jeśli pomoc jeszcze jest możliwa. – Gdy lekarz przystępował do oględzin Yuriego, odciągnęła na bok Stef. – A teraz mnie posłuchaj.

– Tak?

– W czasie tej misji dowodzę nie tylko statkiem. Jestem seniorką wśród kobiet. Za zgodą Kwintusa Fabiusza.

– Seniorką?

– Wiesz coś o żołnierzach?

– Sama kiedyś nim byłam.

Movena uniosła brwi.

– Aha. W takim razie wiesz, jak zachowują się żołnierze od niepamiętnych czasów. Zwłaszcza mężczyźni. W rzymskim świecie armia jest wszystkim, a flota w gruncie rzeczy wchodzi w skład wojska. W moim świecie jest odwrotnie. Dlatego nasze światy doskonale się uzupełniają, o ile w danej chwili nie drzemy ze sobą kotów. Musisz wiedzieć, że Rzymianie są w głównej mierze żołnierzami i za nich się uważają. Większość z tych legionistów, zwłaszcza starszych wiekiem, doświadczyła wojny, uczestniczyła w konwencjonalnych misjach wojskowych. Prawdopodobnie wielu brało udział w walhallańskich kampaniach na północnym kontynencie przeciwko moim rodakom, w wojnach teoretycznie zakończonych kolejnym pozorowanym paktem pokojowym, choć całkiem możliwe, że rozgorzały na nowo. Na południu zaś Rzymianie prowadzą znacznie mniej szlachetne zmagania z Zynami, bo w tych wojnach kobiety są łupem. Lub celem, gdy po śmierci mężczyzn polem bitwy stają się ich ciała. Rozumiesz? W naszej wojnie, tutaj, nie chodzi o podboje. Tu żaden wróg nam się nie przeciwstawi, człowiek czy nie człowiek. Nikogo nie można tu ani zgwałcić, ani zabić. Dlatego mężczyznom pozwolono zabrać ze sobą żony i kochanki, nawet dzieci. Inaczej się nie da, bo gdyby wysłać okręt pełen żołnierzy z misją obliczoną na lata, lecz bez kobiet, grzmociliby się do utraty zmysłów, a pewnie i pozabijali o względy najprzystojniejszych chorążych, zanim statek minąłby Augusta.

– Augusta?

Zmarszczyła czoło.

– Siódma planeta od Słońca… Skąd wy jesteście? Tak czy owak, mimo damskiego towarzystwa faceci są facetami, żołnierze żołnierzami, a kobiety celem: niewolnice, niezamężne służki *vicariusa* Chrystusa, a nawet żony i córki kolegów. Ty, moja droga, nie jesteś wcale ani tak stara, ani tak szpetna, żebyś mogła czuć się bezpiecznie.

– Dzięki.

– Dlatego chronimy się nawzajem. Jestem seniorką, jak już powiedziałam. W razie kłopotów wiadomej natury zgłoś się do mnie.

– Potrafię zadbać o siebie.

– Ależ oczywiście, dbaj, ale przyjdź do mnie, gdy już nie dasz rady.

– Dobrze. Dziękuję.

– W porządku, to teraz wróćmy do tych chłopaczków i ich kłótni…

Kwintus Fabiusz zawołał gromko, przekrzykując skłócone osoby:

– Tytusie Waleriuszu, ty stary łajdaku! W końcu się pokazałeś! Mogłem się domyślić, że wywołałeś całe to zamieszanie.

Stojąc z tyłu, Stef obserwowała, jak tłum niezadowolonych mężczyzn wypycha naprzód legionistę, który chyba wolałby – tak to wyglądało – pozostać niezauważony. Miał zwalistą sylwetkę, szpakowate włosy przycięte przy samej łysiejącej czaszce, a także uciętą rękę, której kikut tkwił w drewnianej tubie.

– Tylko nie wyżywaj się na mnie, centurionie – powiedział. – I to nie ja podłożyłem ogień w *principii*. Wręcz przeciwnie, zorganizowałem łańcuch wiader…

– Daruj sobie, kanalio! Siałeś ferment na służbie u mojego ojca i teraz pode mną znowu dokazujesz.

Tytus westchnął ciężko.

– Dobrze wiesz, że gdybym mógł przejść w stan spoczynku, uczyniłbym to dawno temu. Zabrałbym do domu swoją córkę Klodię, zapewniłbym jej przyzwoite wykształcenie i spokojne życie z dala od tych zbirów pod twoją komendą.

– Ha! – Kwintus szerokim gestem ręki wskazał fort. – Tu już nie jesteś na służbie, baranie. Masz miasto, które potrzebuje rządcy. Nieujarzmiony świat! Jeśli zechcesz, proszę bardzo, mianuję cię naczelnikiem senatu.

– Mam gdzieś szumne tytuły i cały ten świat.

– „Malleus” wyrusza za niecały miesiąc i was nie będzie na pokładzie. Jeśli do tego czasu się nie dogadacie…

– Ależ to niemożliwe! O tym właśnie chcieliśmy rozmawiać. Postanowiliśmy podpalić *principię*, żebyś wreszcie nas wysłuchał!

– Czy nie powiedziałeś przed chwilą, że to nie ty?

Tytus chwycił za ramię komendanta swoją zdrową ręką.

– Proszę posłuchać! Nie zbierzemy tu żadnych plonów. Nie rośnie tu jęczmień ani pszenica. Nawet walhallańskie ziemniaki, które podobno wszędzie dają sobie radę. Gleba jest zbyt sucha albo po prostu niezdatna, czegoś w niej brakuje… Zresztą znasz mnie, żaden ze mnie rolnik.

– Znam cię i wiem, że żołnierz z ciebie też marny.

– Już od miesięcy mieszamy ziemię z naszymi fekaliami i choć dwoimy się i troimy, nic nam to nie daje. Pamiętam taką kampanię, kiedy…

– Oszczędź mi swoich anegdotek. Więcej srajcie!

– Nie chodzi tylko o glebę. – Tytus popatrzył na niebo, na wschód drugiego słońca. – Niektórzy mówią, że Remus, skurczybyk, robi się większy.

– Większy?

– Ten świat razem ze swoim słońcem zbliża się do niego. Co nas czeka? Już teraz jest gorąco. Będziemy się smażyć w promieniach dwóch słońc…

– Bzdury! – stwierdził głośno Kwintus.

Odpowiedzią na to był gwar gniewnych głosów. Centurion stał dzielnie przed tłumem, lecz przedstawiciele obu zwaśnionych frakcji zaciskali dłonie na rękojeściach mieczy.

– Czy ci ludzie mają rację? – zwróciła się Stef półgłosem do Moveny.

– Na pewno w sprawie drugiego słońca. Ten świat obraca się wokół tej wielkiej wstrętnej gwiazdy, którą widzisz tam w górze. To Romulus. Rzymianie zawsze nazywają gwiazdy podwójne Remusem i Romulusem. Ale Romulus i Remus krążą wokół wspólnego środka, zbliżają się do siebie i oddalają jak ptaki w czasie godów albo dwie jasne gwiazdy w Kopycie Centaura: układzie planetarnym, który jest najbliższym sąsiadem Terry. Za parę lat, kiedy drugie słońce podpłynie bliżej, upały będą się dawać jeszcze bardziej we znaki. Potem zaś, gdy miną dziesięciolecia i drugie słońce odpłynie, zrobi się zimniej.

Stef zastanawiała się, czy ta nieszczęsna planeta nie jest skazana na orbitowanie poza ekosferą, gdy bliźniacze słońce nadmiernie zbliży się lub oddali.

– Czy ktoś przeprowadzał jakieś symulacje? – zapytała. – No wiesz, czy próbował przewidzieć zmiany klimatu?

– Wątpię. A nawet jeśli tak, nawet w przypadku najgorszych prognoz rozkazy dotyczące żołnierzy i ich rodzin nie zmieniłyby się ani na jotę. Z punktu widzenia cesarskich strategów wygodnie mieszkających w willach na przedmieściach Wielkiego Rzymu z każdym światem sprawa jest prosta: nadaje się do zamieszkania lub nie. Jeśli nie, można machnąć na niego ręką. Jeśli tak, trzeba go zasiedlić, utworzyć kolonię taką jak nasza. Zasiedlić i zagospodarować. W ten sposób Rzymianie zajęli wszystkie państwa w swoim zasięgu i włączyli je w poczet swoich prowincji. Wszystkie z wyjątkiem Prytaniki, oczywiście, dzięki mądrości królowej Kartymandii, a i my, Brykanci, uniknęliśmy ich sideł. Jeśli okaże się, że z jakiegoś nieznanego powodu ten świat kiedyś przestanie nadawać się do zamieszkania, to trudno, osadnicy będą mieli pecha. Ale przynajmniej Zynowie go nie zagarną. Rozumiesz już? Choć trzeba przyznać, że przykro będzie, jeśli nie udadzą się zbiory…

– Mogę przygotować glebę.

Głos ColU dobiegał wyraźnie z plecaka Yuriego. Ten zaś, niechętnie poddając się oględzinom greckiego lekarza, wystraszył się tej niespodziewanej, bezpośredniej wypowiedzi.

Zdziwienia nie kryła także kobieta dowodząca statkiem Brykantów. Po chwili już bez wahania podeszła do Yuriego, obróciła go dokoła, chcąc dobrać się do plecaka, otworzyła go i popatrzyła na jego zawartość.

– Cóż to za sztuczki? – zapytała.

– Wcale nie sztuczki, *trierarchusie*. Jestem maszyną, autonomiczną jednostką kolonizacyjną. Zaprojektowano mnie do asystowania ludziom w podboju obcych światów. Między innymi potrafię przygotować glebę.

– Jeśli to prawda…

– Gleba to środowisko bogate w rozmaite substancje odżywcze, zasiedlone przez drobne organizmy, często mikroskopijne. Jeśli czegoś brakuje na tym świecie, odkryję to i za pomocą odpowiedniego wyposażenia rozpocznę syntezę składników i hodowlę organizmów. *Trierarchusie*, naprawdę mogę przygotować glebę.

– Jakiej żądasz zapłaty?

– Bezpieczeństwa dla siebie i moich towarzyszy.

Movena zastanowiła się nad tym.

– Nawet wam wierzę. Brzmi niewiarygodnie, lecz przecież wy dwoje, a raczej troje, jesteście chodzącym ucieleśnieniem czegoś absolutnie niemożliwego. Jeśli uwierzy wam także Kwintus Fabiusz i jeśli, na co się zapowiada, uciszy Tytusa Waleriusza, obiecując jemu i jego córce, że wywiezie ich z tego zakurzonego padołu, wtedy być może da się coś zrobić w tej kwestii. I zależy wam tylko na bezpieczeństwie?

Yuri zaniósł się spazmatycznym kaszlem. Lekarz z zasmuconą miną pomógł mu usiąść.

– Na bezpieczeństwie – odpowiedział ColU z plecaka, którego Yuri jeszcze nie zdjął – oraz opiece medycznej dla mojego przyjaciela.

Movena uśmiechnęła się szeroko.

– Jakże chętnie opowiem o tym cudownym zrządzeniu losu tym aroganckim Rzymianom. Pozwólcie, że porozmawiam z Kwintusem.

Rozdział 5

AD 2213; AUC 2966

Gdy Gwóźdź ugodził Merkurego, „Tatania” od trzech dni była w podróży. Oddalała się od układu Ziemia–Księżyc, oddalała się od Słońca i znajdowała się w odległości trzykrotnie większej niż Słońce od Ziemi, kiedy Beth odebrała przerwaną wiadomość od matki.

Kiedy nadarzy się okazja, opowiem ci całą historię. Przede wszystkim chcę ci powiedzieć, że jest mi przykro, że musiałam przekazać cię generałowi Lexowi, nawet jeśli jest mi winny przysługę. Nie wiem, gdzie wylądujesz, ale będę cię szukać. Nie zapominaj, że zawsze…

Tuż po tym w środku Układu Słonecznego rozgorzał oślepiający blask. Mostek kapitański wypełnił się światłem.

Beth widziała ich reakcje. Lex McGregor wyprężył swoje i tak już proste plecy w fotelu dowódcy. Penny Kalinski kurczowo chwyciła dłonie Jianga. Earthshine, podejrzany wirtualny typ, zamarł w bezruchu. Chyba wszyscy wiedzieli, co się stało, co oznacza ten błysk.

Wszyscy z wyjątkiem Beth.

– Co? – burknęła. – Co jest grane? Co się dzieje?

Earthshine odwrócił do niej swoją dziwną, sztuczną twarz. Mimo lat spędzonych w Układzie Słonecznym nie przyzwyczaiła się jeszcze do dzielenia się światem z nieprawdziwymi ludźmi.

– Spuścili ze smyczy wilki wojny. My, ludzkość, staraliśmy się ją powstrzymać słowami i traktatami. Na próżno. I teraz mamy to.

– Oni, czyli kto?

– Budowniczowie Włazów. Któż by inny?

– A ty to co? Nie jesteś człowiekiem, a mówisz, jakbyś nim był. Nie masz prawa!

Wirtualna postać spojrzała na nią ze smutkiem.

– Kiedyś byłem człowiekiem. Nazywałem się Robert Braemann.

Wytrzeszczyła oczy, wstrząśnięta.

Lex McGregor odwrócił się do Penny.

– A więc eksplodują ziarna. Zgadza się, Kalinski?

– Tak sądzę.

– Co mamy robić? Wydaje mi się, że byliśmy daleko od źródła błysku i nie doznaliśmy

żadnych widocznych uszkodzeń. Dzięki ci, Boże, za natężenie malejące wraz z kwadratem odległości. Co nas teraz czeka?

– Chyba burza cząstek – odparła Penny po chwili namysłu. – Coś jak wysokoenergetyczne promieniowanie kosmiczne. Skupione pakiety energii poruszające się wolniej niż światło. Dogonią nas za kilka godzin. Trudno to ocenić.

– Dobra. To może na moment wyłączę napęd i obrócę statek, żebyśmy odgrodzili się osłonami przeciwcząsteczkowymi.

– Niezły pomysł.

Beth niczego jeszcze nie rozumiała.

– A co z Ziemią? Co się stało z Ziemią?

Penny popatrzyła na nią.

– Kiedyś powróci tam życie. No, a na razie…

McGregor rozpoczął procedurę wyłączania głównego napędu i obracania statku. Spokojnie i kompetentnie rozmawiał z załogą, wykonując wszystkie wymagane czynności.

Beth wyobraziła sobie spalone lądy i czarny, martwy ocean.

Nie wiedziała, jak bardzo się myli.

*

Napęd był wyłączony, przestała istnieć sztuczna grawitacja wynikająca z przyśpieszenia. Pasażerowie i członkowie załogi kadłubowca „Tatania” wreszcie mogli odetchnąć, znaleźć wytchnienie w swoim ciężkim położeniu i odpocząć od siebie nawzajem. Beth porozpinała pasy, wyfrunęła z fotela i niezdarnie ruszyła w stronę łazienki, gdzie zaryglowała zamek, usiadła, zamknęła oczy i spróbowała wyrównać oddech. Starała się również nie myśleć.

Zaraz jednak doszły jej uszu rozmowy i terkot wiadomości radiowych. Słowa wypowiadane w języku, który wydawał się mieszaniną szwedzkiego i walijskiego. Pół godziny po wyłączeniu napędu ziarnowego, gdy rozproszył się parasol wysokoenergetycznych cząstek i krótkofalowego promieniowania emitowanego z dysz silników, szeroko rozłożone anteny „Tatanii” odebrały pierwsze sygnały z wnętrza układu.

Pasażerowie i członkowie załogi, ponownie zebrani na mostku kapitańskim, słuchali rwanych informacji i patrzyli na siebie, niczego nie rozumiejąc. Beth toczyła wzrokiem od twarzy do twarzy, gdy po raz pierwszy, odkąd „Tatania” wystrzeliła w kosmos z orbity okołoziemskiej, na pokładzie zaległa martwa cisza.

Ona, Beth Eden Jones: trzydzieści sześć lat, urodzona na planecie należącej do Proximy

Centauri, lecz przywieziona na Ziemię przez matkę, która na Merkurym prawdopodobnie usmażyła się na skwarek, lecz przedtem zdążyła wypchnąć córkę w nieznane.

Generał Lex McGregor z ISF: mężczyzna w pełni sił mimo swoich siedemdziesięciu kilku lat, dowódca okrętu floty gwiezdnej, na twarzy wyraz zawodowego zatroskania, ale nie strachu. Mówił kojącym głosem, przynajmniej w odczuciu Beth. McGregor, podobnie jak Yuri Eden, jej ojciec, był Brytyjczykiem, lecz wychowywał się w Angleterre, południowych hrabstwach silnie zintegrowanych z europejską federacją, gdy tymczasem Yuri urodził się w niepodległej Północnej Brytanii. Dlatego w akcencie McGregora delikatnie pobrzmiewała francuska intonacja.

Penny Kalinski: zajmowała się fizyką i kiedyś znała matkę Beth. Blisko siedemdziesiątki i spłoszony wyraz twarzy. Nie, pomyślała Beth. Dręczył ją głęboko ukryty lęk, jakby wszystkie te niezrozumiałe wydarzenia były wymierzone w nią osobiście.

Jiang Youwei: czterdziestoletni Chińczyk, którego zażyłość z Penny sięgała niepamiętnych czasów. Los rzucił go na niewłaściwą stronę w wojnie ONZ-etu z Chinami, która rozgorzała w Układzie Słonecznym.

Dwoje młodych członków załogi na mostku kapitańskim: niscy rangą oficerowie ISF, kobieta i mężczyzna, oboje tak samo zdezorientowani. Ale dopóki McGregor był pod ręką i dowodził kadłubowcem, pomyślała Beth, dopóty nie musieli myśleć, nie musieli się martwić mimo pożogi światów, przed którą uciekli, i przedziwnych informacji sączących się przez łącza telekomunikacyjne. McGregor zatroszczy się o nich. Jeśli nie były to jedynie naiwne złudzenia.

I wreszcie Earthshine, postać najbardziej ekscentryczna: sztuczna inteligencja z holograficznym wizerunkiem elegancko ubranego czterdziestokilkuletniego mężczyzny i twarzą, na której zawsze malowało się spokojne zainteresowanie. Beth wiedziała, że to tylko przekłamana symulacja, świetlna ułuda. W świecie rzeczywistym uzewnętrzniał się jako mało atrakcyjna kupa sprzętu elektronicznego zamelinowana gdzieś na pokładzie statku, będąca magazynem wspomnień i strumieni myśli składających się na jego sfabrykowaną osobowość. Ów byt, razem z dwoma „braćmi” ukryty głęboko w podziemnych komorach wypełnionych najnowszymi zdobyczami techniki, przez dziesięciolecia kierował poczynaniami ludzkości na Ziemi.

I wyjawił jej swoje prawdziwe nazwisko, a przynajmniej jedno z nich: Robert Braemann. Wiedział, że Beth zrozumie znaczenie tego faktu.

Przez całe życie, a zwłaszcza od chwili, gdy rodzice wbrew jej woli przywieźli ją na swoją ojczystą planetę, zamierzała nie angażować się w sprawy związane z ich przeszłością i nie bratać się ze starym ogłupiałym społeczeństwem na Ziemi, które ich odepchnęło i zesłało na pustkowia

Per Arduy w układzie Proximy Centauri, gdzie Beth urodziła się i czuła jak w domu. W tej kwestii jej poglądy się nie zmieniły. Zauważyła, że Earthshine wciąż oczekuje od niej jakiejś reakcji. Ostentacyjnie odwróciła się od niego.

McGregor obrócił się na fotelu dowódcy i popatrzył na nich wszystkich z wystudiowaną miną wyrażającą współczucie.

– Wiem, że znajdujemy się w trudnym położeniu – zaczął. – To dopiero pierwsze dni, odkąd uciekliśmy od czegoś, co wyglądało na katastrofalną wojnę w układzie wewnętrznym. Baliśmy się… Baliśmy się, że wszystko zostało zniszczone, kosmiczne kolonie, nawet sama Ziemia. Nie mieliśmy ustalonego celu podróży. Misja moja i tej załogi polegała przede wszystkim na uratowaniu pana. – Kiwnięciem głowy wskazał Earthshine'a. – Taką odpowiedzialnością obarczyła mnie Rada Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych i moi przełożeni z ISF z nadzieją, że pokieruje pan programem odbudowy.

– A my, pozostali, uczepiliśmy się jego ogona – zauważyła ironicznie Penny Kalinski.

McGregor spojrzał na nią. Mimo swojego wieku nadal był przystojny, musiała przyznać w duchu Beth. I miał charyzmę, której trudno było się oprzeć.

– Można to tak określić. Oczywiście pani, panno Jones, jest tu dlatego, że byłem winny przysługę pani matce. Stare dzieje. Ale niezależnie od tego, jak los nas połączył, musimy zmierzyć się z tą sytuacją. A jak się ona przedstawia? – Tu zerknął na swoich podwładnych.

Czując się wywołana do odpowiedzi, młoda kobieta uniosła tablet. Miała około dwudziestu pięciu lat, silną budowę ciała, praktycznie kwadratową twarz i ciasno spleciony warkocz. Z naszywki na kombinezonie wynikało, że nazywa się Marie Golvin i jest porucznikiem w Międzynarodowej Flocie Kosmicznej. Obok widniało logo ISF. Patrząc na nią bez większego zainteresowania, Beth dostrzegła przypięty obok naszywki maleńki krzyżyk.

Stuknąwszy kilka razy w tablet, Golvin prędko streściła sytuację:

– Przez trzy dni przyśpieszaliśmy, aż do uzyskania pełnej sztucznej grawitacji. Wyłączyliśmy silnik, lecz wciąż lecimy z docelową prędkością wynoszącą niecały jeden procent prędkości światła. – Obrzuciła wzrokiem pasażerów, z pewnością zastanawiając się, czy są zdolni zrozumieć swoje położenie. – Wystartowaliśmy z orbity okołoksiężycowej w kierunku przeciwnym do Słońca. W tej chwili znajdujemy się w odległości trzech jednostek astronomicznych od niego, a więc głęboko w pasie planetoid. I nadal się oddalamy.

– Ale teraz oglądamy się wstecz – rzekł Earthshine. – Przestały nas zasłaniać strumienie cząstek z silnika, więc jesteśmy w stanie patrzeć i słuchać. Ale zamiast wieści ze zdewastowanej Ziemi otrzymujemy…

– …na pewno jakieś wiadomości, choć ich nie rozumiemy – ciągnęła Golvin. Wstukała coś na

tablecie i oto rozległy się zniekształcone fragmenty wypowiedzi nasiąknięte szumem zakłóceń, głosy pojawiające się i znikające niczym duchy. – Na wstępie powiem, że są to wyłącznie wiadomości radiowe, wysyłane jak gdyby z dwudziestowiecznych nadajników, w odróżnieniu od transmisji laserowych i innych metod wąskostrumieniowego przesyłu, którymi obecnie posługują się ISF i agencje kosmiczne naszych rywali. Nie odbieramy ich za pomocą pokładowych systemów łączności, ale dzięki dodatkowej antenie wykorzystywanej do nawigacji i radioastronomii. Wydaje się, że nie jesteśmy adresatem tych wiadomości. To rozproszone sygnały, które docierają do nas przez przypadek.

– Może pochodzą z odizolowanych społeczności na Ziemi i poza nią? – zasugerował Jiang. – Najłatwiej improwizować ze zwykłym radiem, wysłać prośbę o pomoc lub aktualne informacje…

– Nie sądzę, proszę pana – stwierdziła uprzejmie Golvin. – Przede wszystkim nie zgadza się rozkład źródeł sygnałów. Odbieramy wiadomości z całej przestrzeni wokół płaszczyzny ekliptyki, to znaczy z całej sfery nieba, ze wszystkich miejsc w Układzie Słonecznym. Z ciał niebieskich, gdzie ani ONZ, ani Chińczycy nie założyli kolonii, jak choćby z księżyców Jowisza i Saturna, a także z wielu niedużych planetoid.

– Może to ci, którym udało się przeżyć? – zastanawiał się Jiang. – Uciekają jak my statkami kosmicznymi.

Golvin pokręciła głową z pewnym zniecierpliwieniem.

– Proszę pana, nie zdążyliby. Nikt nie mógłby lecieć szybciej i dalej niż my. Zresztą jest jeszcze jedna zagadka: język.

Beth znów wsłuchała się w głosy dobywające się z tableta, kobiece i męskie, przemawiające językami, które czasem wydawały się jakby dziwnie znajome, choć nie do końca…

– Mógłbym wam trochę w tym pomóc – odezwał się Earthshine. – Moje systemy są sprzężone z systemem „Tatanii”. Dysponuję bardziej rozbudowanymi algorytmami analizy i tłumaczenia języków niż ten statek.

McGregor chrząknął, jakby czuł się zobowiązany bronić statku.

– Nikt się nie spodziewał, proszę pana, że „Tatania” będzie potrzebowała takich algorytmów.

– Okoliczności zmieniły się, jak widać – odparł spokojnie Earthshine. – Wygląda na to, że możemy podzielić transmisje na trzy kategorie. Właściwie na trzy języki czy raczej grupy językowe. Pierwsze i w zasadzie najczęściej używane brzmią jak mieszanina języków skandynawskich, szwedzkiego i duńskiego, połączona ze starymi językami celtyckimi: gaelickim, bretońskim, walijskim. Gramatykę trzeba będzie rozgryźć, ale słownictwo jest dość zrozumiałe. – Popatrzył na Jianga. – Pan powinien rozpoznać języki z drugiej grupy.

Jiang wytężył słuch ze zmarszczonym czołem.

– Niby chiński język klasyczny, ale silnie zniekształcony – odparł. – Może jakiś dialekt regionalny?

– Dociera do nas ze wszystkich zakątków Układu Słonecznego – oświadczyła Golvin. – Jeśli to dialekt, w jakiś sposób musiał się stać językiem dominującym.

– A trzecia grupa? – zapytała Penny.

– Tę akurat zidentyfikować najłatwiej – odpowiedziała beznamiętnie Golvin. – Łacina.

Na moment zaległa głucha cisza.

– Dodam jeszcze, że za pomocą konwencjonalnych środków ponawiamy próby nawiązania łączności z ośrodkami dowodzenia ISF. Wciąż bezskutecznie. Oczywiście nie odpowiadamy na wszystkie te niepełne wiadomości radiowe. Pytanie brzmi, co dalej.

Penny pokiwała głową.

– Moim zdaniem nie mamy większego wyboru. Podejrzewam, że ten statek jednak nie zabierze nas do gwiazd.

McGregor rzekł z uśmiechem:

– „Tatania” jest, czy raczej była, platformą testową dla zaawansowanych technologii ziarnowych mających zastosowanie w statkach nowej generacji. One zastąpią takie jak ten, który zabrał twoich rodziców, Beth, do układu Proximy Centauri. Ale nie jest to statek przystosowany do wieloletnich rejsów międzygwiezdnych. Prawdę mówiąc, mamy tak mało zapasów, że wkrótce będziemy musieli gdzieś zacumować. Jak wiecie, ucieczkę z Księżyca organizowaliśmy w pośpiechu.

– A zatem musimy wylądować – powiedziała Beth.

– Krótko mówiąc.

– Tylko gdzie?

– Nie musimy podejmować decyzji już teraz. Pamiętajcie, że jeszcze nie opuściliśmy Układu Słonecznego. Silniki przez trzy dni pracowały pełną parą, żeby statek osiągnął tę prędkość. Potrzeba kolejnych trzech dni, żebyśmy zwolnili do zera i zaczęli zawracać do wnętrza układu.

– A potem czeka nas kilkudniowa podróż, nim dolecimy do wybranego celu – stwierdziła Golvin. – Będziemy mieli dość czasu na analizę transmisji radiowych, może nawet wykonamy teleskopowe obserwacje planet. Całkiem możliwe – dodała z ożywieniem – że wreszcie skontaktujemy się z ISF albo ONZ-etem!

– Nie podzielam pani optymizmu – oświadczyła oschle Penny.

– No tak. – Earthshine przyglądał jej się wnikliwie. – Ty wszystko rozumiesz, prawda? I masz swoje przypuszczenia na temat tego, co się stało. Bo już kiedyś to przeżyłaś.

McGregor gapił się na niego ze zmarszczonym czołem, nie widząc logiki w tych słowach.

– Odłóżmy na bok zgadywanki. Słuchajcie, dowodzę tym statkiem, ale sytuacja jest, że tak powiem, dość niecodzienna. Cokolwiek zrobię, chciałbym mieć waszą akceptację. Wydam rozkaz włączenia napędu i rozpoczęcia manewru hamowania. Zgadzacie się na to? Kiedy się zatrzymamy, dokonamy nowej oceny sytuacji. Na podstawie świeżych informacji postanowimy, co robić dalej.

– Dobry plan – powiedziała Penny. – Chyba że do tego czasu ktoś wyręczy nas w podejmowaniu decyzji. Zastanówcie się chwilę. Lecimy ogromnym statkiem, którego napęd zostawia wyraźny energetyczny ślad, i mamy się wbić z powrotem do Układu Słonecznego, gdzie być może nikt nas nie rozpozna. Będziemy widoczni jak na patelni.

– Słuszna uwaga, ale nie mamy wyjścia. Zatem zgoda? W takim razie poproszę was teraz, żebyście przygotowali się na odpalenie silników. Udajcie się na swoje miejsca, umocujcie pozostawione luzem przedmioty…

Rozdział 6

Trierarchus brykanckiej jednostki „Ukelwydd” miała na imię Kerys, i tylko w ten sposób zwracała się do niej załoga, rodzina i znajomi.

Wśród Brykantów był zwyczaj – szczególnie tych urodzonych w Prytanice – unikania złożonych rodowych nazwisk, jakimi pysznili się ich najzagorzalsi rywale Rzymianie. Tamci bowiem lubili szukać swoich korzeni w zamierzchłej przeszłości, przekopywać dzieje senatorskich klanów i odnajdywać etruskich praprzodków. Podobnie wyglądała tradycja Skandów, najstarszych sprzymierzeńców Brykantów; ci z kolei wyrobili w sobie utrapioną manierę uwzględniania w nazwisku dziecka faktu, że jest synem bądź córką takiego to a takiego człowieka. Stąd językowy łamaniec: Ari Guthfrithson. Tak nazywał się *druidh*, który stał teraz przed Kerys i wpatrywał się w nią z rosnącą irytacją, czując się nieswojo w kabinie dowódcy.

– *Trierarchusie*, mam wrażenie, że mnie w ogóle nie słuchasz.

Kerys pozwoliła sobie na szeroki uśmiech.

– W zasadzie masz rację, *druidzie* Ari, przepraszam. Wszystko przez to ciągłe zamieszanie. Każde złoże we Łzach sprawdzamy w wariackim pośpiechu, nim przeskoczymy do następnego. Musimy zdążyć z harmonogramem sporządzonym w Dumnonie przez jakiegoś bęcwała, który miał akurat pusty kawałek pergaminu, pustą głowę i zerowe pojęcie o tym, jak wygląda życie w przestworzach Czaszki Ymira… I ty mi tu przychodzisz z jakąś niepojętą nowiną… O czym to? O obcym statku w otchłani?

– O statku, którego nie powinno być.

– A więc miałam rację. Niepojęte… Napijesz się ze mną? Mam tu pod ręką to co zwykle. – Chodziło jej o brykancki miód pitny i skandzkie piwo.

Ari uniósł brew.

– Skoro o tym mowa, doszły mnie pogłoski, że chowasz tu sobie nieco wina z Italii.

– Hm… – Kerys sięgnęła po wspomnianą butelkę do szafki w biurku. Rzymska flaszka była wykonana z ceramiki na kształt miniaturowej amfory i stanowiła komplet z dwoma kubkami, które Kerys napełniła rubinowym trunkiem. Nalewała ostrożnie, ponieważ niedociążony okręt zachowywał się niepewnie przy pełnym ciągu silnika. – Masz wyrafinowany gust, jak na młodzieniaszka.

– Mam dwadzieścia dziewięć lat, *trierarchusie* – odrzekł, popijając wino.

– Na lewy półdupek Thora! Jesteś młodszy ode mnie prawie o dekadę.

– Cóż, Kerys, jednak jestem *druidhem*.

Wiedziała, że słowo to wywodzi się ze starego brykanckiego języka i oznacza „dąb”, jak i „wielką mądrość”. Ari był jednym z klasycznie wykształconych uczonych obecnych na pokładzie każdego statku Brykantów… jeśli było dość miejsca, bo przede wszystkim musieli się pomieścić specjaliści z zakresu inżynierii lub nawigacji w bezkresnym oceanie próżni zwanym Czaszką Ymira – oni oraz fachowcy z wielu innych dziedzin. Ariego przydzielono do tej misji, żeby badał wszelkie osobliwości natury, katalogował je i poznawał. Bądź co bądź, wszystkie bryły lodu, kamienia czy metalu w gigantycznym pasie maleńkich światów zwanych Łzami Ymira (misja „Ukelwydda” polegała na szacowaniu wartości złóż bogactw naturalnych) były właściwie nowymi krainami: w każdej chwili należało się spodziewać niespodzianki.

– A więc zdrowie *druidha*. – Kerys uniosła kubek. – I lepiej wracajmy do pracy, nim będziemy zbyt pijani, żeby się skoncentrować. To co z tym statkiem, który wypatrzyłeś?

– Nie ja, *trierarchusie*. Twoi astronomowie za pomocą dalekowidów ustalali właśnie naszą pozycję i zaznaczali na mapie nieba Łzy Ymira, co robią bez przerwy dzień i noc…

– Przynajmniej tak twierdzą w sprawozdaniach.

– I to oni zauważyli tę rzecz: świetlny punkt na niebie poruszający się ze stałą prędkością. Chyba nie muszę ci tłumaczyć, że jeśli rozszczepisz spektrum światła emitowanego przez taki obiekt, dowiesz się czegoś na temat jego natury i toru lotu.

– Może i nie jestem *druidhem*, ale to akurat wiem.

– Przepraszam. Początkowo astronomowie myśleli, że to zwyczajna Łza, tyle że nienaniesiona na mapę. Albo kosmata gwiazda przybywająca z dalszych otchłani.

– A tymczasem? – ponagliła go Kerys.

– Tymczasem obiekt znajduje się poza głównym pasem Łez Ymira. Oddala się od Słońca i od nas praktycznie w linii prostej. Z naszej perspektywy przemieszcza się tylko odrobinę, lecz światło szybko gaśnie. Mało tego, obiekt hamuje. Pokazują nam to przesuwające się prążki cienia w rozłożonym świetle…

– Tak, tak, *druidzie*, dziękuję.

– Raz jeszcze przepraszam.

– Zatem hamuje. To statek?

– Tak, *trierarchusie*. Zapewne nie zdziwi cię wiadomość, że korzysta z silników ziarnowych jak statki wszystkich imperiów, co doskonale widać w rozszczepionym świetle. Ale napęd skonfigurowany jest w osobliwy sposób, inaczej niż w okrętach Rzymian i Zynów.

– Wywoływaliście go?

– Konkretnie nasi sygnaliści zgodnie z moją sugestią.

– Hm… Nie uważasz, że należało mnie poinformować przed podjęciem takich kroków?

Ari Guthfrithson westchnął i napełnił kubki rzymskim winem.

– A czy miałabyś czas zaprzątać sobie tym głowę? Zajmowałaś się, i słusznie, pomiarami wielkości złoża i wytyczaniem następnego kursu. To było standardowe powitanie. Postanowiono nie przeszkadzać ci, dopóki…

– W porządku – odburknęła. – Zakładam, że wasze pytanie nie spotkało się z odzewem.

– Żadnym. Za to słyszeliśmy, jak próbują przywitać przybysza jednostki Rzymian i Zynów. Im też nie odpowiedziano.

Kerys zmarszczyła czoło.

– Ale jeżeli nie są to Brykanci, Rzymianie lub Zynowie, to z kim mamy do czynienia? Z piratami?

– W takim razie są powody do strachu. A więc tak przedstawia się sytuacja, *trierarchusie*. Znając ujemne przyśpieszenie obcego statku, obliczyliśmy, że zatrzyma się za trzy dni. A przypadkiem tak się składa, że spośród wszystkich brykanckich jednostek „Ukelwydd” znajduje się najbliżej nieznanego obiektu. Mamy największą szansę, żeby go przechwycić.

Kerys przyglądała się *druidhowi*.

– Dajesz mi do zrozumienia, że zbliża się chwila, by podjąć decyzję?

– Będziesz musiała wysłać meldunek do sztabu floty w Dumnonie. Gdybyśmy mieli przerwać misję i zająć się przechwyceniem…

– Mówisz, że kiedy się zatrzyma?

– Za trzy dni. A wówczas… – Ari chwycił kawałek pergaminu i szybko naszkicował pozycje obu statków. – Bóg Ymir, stworzyciel kosmosu, zrobił jeden krok ze Słońca do miejsca, gdzie zbudował Midgard – powtórzył oklepaną formułkę, wpajaną wszystkim studiującym międzyplanetarną nawigację w akademii w Dumnonie. Użył przy tym, co rozbawiło Kerys, archaicznego brykanckiego słowa na określenie świata, zamiast nazwać go po rzymsku Terrą, zgodnie ze zwyczajem dawno przyjętym przez jego naród. – My znajdujemy się około trzech ymirowych kroków od Słońca. Przybysz jest tutaj, ponad pół kroku dalej, lecz na półprostej nachylonej pod niewielkim kątem do naszej. Szacujemy, że jeśli hamowanie będzie miało niezmienną wartość, co wcale nie jest takie pewne, statek zatrzyma się tutaj, mniej więcej za trzy dni, na tej samej półprostej, około pięciu kroków od Słońca.

– Hm… – Kerys odmierzyła dłonią odległość między „Ukelwyddem” a nieznanym przybyszem. – Jeśli udało ci się zachować proporcje, znajdujemy się około dwóch ymirowych kroków od końcowej pozycji tego statku. I mielibyśmy dostać się tam w trzy dni? To w ogóle możliwe?

– Inżynierzy twierdzą, że dalibyśmy radę z podwójnym ciężarem przyśpieszenia. Półtora dnia na rozpęd, półtora na hamowanie.

– Już widzę tę radość załogi.

– Chętnie przyjmą wyzwanie – odparł cierpko *druidh*.

– Być może. Jesteś dobrym doradcą, Ari…

Kerys była przeświadczona, że dowództwo rozkaże jej przechwycić przybysza, zwyciężyć w wyścigu, przegonić Rzymian i Zynów.

Brykanci byli najsłabsi w gronie trzech największych potęg świata, rozproszeni na swoich rozległych kresowych terytoriach obejmujących ziemie w znacznej mierze mało urodzajne: północne wybrzeża Euroazji, kraje Skandów, Prytanikę i Iveriu, a także północne rubieże Górnej Walhalli, gdzie stale musieli mieć się na baczności przed rzymskimi legionami, których drogi i obozy wojskowe mnożyły się na wielkich równinach w południowej części ogromnego kontynentu. Odkąd przed dwoma tysiącami lat królowa Kartymandia, dając dowód chytrości, przekonała Rzymian pod rządami Klaudiusza do zaatakowania Germanii zamiast Prytaniki, Brykanci i ich sprzymierzeńcy swoich szans na przetrwanie nie upatrywali w brutalnej sile i liczebności wojsk, lecz w sprycie, umiejętności i wiedzy. Dlatego starano się nie zmarnować żadnej sposobności zdobycia nowych informacji. Głównie z tego powodu „Ukelwydd” poszukiwał nieznanych skarbów wśród Łez Ymira.

W tym kontekście obcy statek, mimo otaczającej go tajemniczości, był dla nich nie lada gratką. Kerys była przekonana, że każą jej wykorzystać okazję.

Zaczęła zwijać w rulon mapę Łez Ymira.

– No cóż, Ari, skoro mam rozmawiać z Dumnoną, będę potrzebowała wstępnego planu misji. Nie pozwolą nam na żadne uchybienia.

Ari wstał.

– *Trierarchusie*, pozwoliłem sobie zlecić rozpoczęcie przygotowań.

– Bardzo dobrze mnie znasz. A więc bierz się do roboty, a ja udam się do komunikatorów.

Rozdział 7

„Tatania” wreszcie się zatrzymała, w odległości pięciu jednostek astronomicznych od Słońca. Otaczała ją pustka.

Beth dowiedziała się, że są na orbicie Jowisza, olbrzymiej opasłej kuli z całym księżycowym orszakiem przypominającym układ słoneczny w miniaturze. W porównaniu z tym światem każda planeta w układzie Proximy wydawała się karłem – nawet Perła, która jaśniała na arduańskim niebie mimo tego, że zawsze był tam dzień. Jednakże ten kolos znajdował się akurat w odległym tle nieba, ledwo widoczny, a statek unosił się w otchłani upstrzonej gwiazdami, gdzie nawet potężne słońce miejscowego układu wyglądało jak ognista iskierka, źródło ostrych prostoliniowych cieni. Gdyby chociaż Jowisz był bliżej, nie doświadczaliby tego uczucia samotności i wyobcowania.

Ale nie byli sami. Czekał tu już na nich nieznany statek, gdy po trzech dniach z włączonym napędem ziarnowym prędkość „Tatanii” w odniesieniu do Słońca zmalała do zera.

„Tatanię” wywoływano raz po raz na częstotliwościach radiowych, które mógłby wykorzystywać Marconi, aż w końcu Earthshine przedstawił przybliżone tłumaczenie. Był to okręt wojenny o nazwie „Ukelwydd”, co w języku walijskim, w nieco innej formie, oznaczało „Jemiołę”. Należał do floty dowodzonej z miejsca zwanego Dumnoną, która według przypuszczeń Earthshine’a znajdowała się w Brytanii na Ziemi. Ta flota stanowiła część sił zbrojnych pewnego państwa – bądź federacji – o nazwie Brykanci. Próby zidentyfikowania „Tatanii” wykazały, że nie jest to statek Brykantów, Zynów ani tych, którzy mówią po łacinie, a ponieważ nie odpowiadała na powitania, mogła zostać uznana za statek piratów i w związku z tym odpowiednio potraktowana.

Najwyraźniej także „Ukelwydd” był statkiem wyposażonym w napęd ziarnowy, a jego kadłub, nie inaczej niż „Tatanii”, miał zwykły cylindryczny kształt, będący najefektywniejszym rozwiązaniem ze względu na ogromne wartości ciągu silników ziarnowych. McGregor twierdził, że „Ukelwydd” musiał gnać z dotkliwym przeciążeniem, żeby dogonić „Tatanię”. Stef już na pierwszy rzut oka rozpoznała w nim okręt wojenny, patrząc na masywny korpus, potężny pancerz osłaniający segmenty napędu ziarnowego u podstawy kadłuba, jak również powstałe w wyniku ostrzału uszkodzenia ochronnej warstwy izolacyjnej.

Upłynęły godziny od spotkania. Brykancki okręt nieprzerwanie wysyłał powitalny komunikat, a załoga „Tatanii” powstrzymywała się od odpowiedzi.

Wszystkie osoby obecne na pokładzie „Tatanii” – pasażerowie, Lex McGregor, dowodzona przez niego załoga oraz trzech inżynierów, których Beth do tej pory nawet nie widziała – zostały wezwane na mostek w związku z tym niezwykłym spotkaniem. Dziesięć osób, jeśli traktować Earthshine’a jak człowieka, dziesięciu ocalałych z Ziemi i Księżyca, z wojny pomiędzy Chinami a ONZ-etem. Ostatnich dziesięciu bohaterów zamkniętej już karty dziejowej, sądząc po wyglądzie statku, który na nich tu czekał.

– Lex – odezwała się kwaśnym tonem Penny – wyjaśnisz nam jeszcze raz sens tego, że tu tkwimy?

Westchnął.

– Penny, „Tatania” prezentuje się nieźle, ale to nie jest okręt wojenny w odróżnieniu od tego łowcy. Widziałaś te manewry, gdy się do nas zbliżał. Skurczybyk wyrywa jak Spitfire. My przeciwnie, jesteśmy kadłubowcem i niczym więcej, pudłem do przewozu frachtu i pasażerów. Nie mamy czym strzelać…

– Z wyjątkiem paru pistoletów – powiedział z przekąsem jeden z młodych inżynierów.

– Tak, Kapur, dzięki. Możemy jedynie blefować. Nie skakać, jak nam zagrają, i w ten sposób udawać silnych. Wierzcie mi, często podczas starcia najważniejsza jest poza. Pamiętam czasy w akademii ISF, kiedy cztery razy z rzędu zostawałem mistrzem boksu. Potrafiłem wygrać walkę już na samym początku, gdy podczas ważenia patrzyłem w oczy przeciwnikowi…

– Może nie odbiegajmy od sedna sprawy – poprosiła Penny. – Mimo że twoje anegdoty, Lex, zawsze są takie zajmujące.

Earthshine zwrócił się do niej z kamienną twarzą, niewyrażającą żadnych uczuć – co nie było typowe.

– Tylko co jest tym sednem sprawy, pułkowniku? Prędzej czy później wszyscy musimy zmierzyć się ze skutkami tego, co się wydarzyło. Ty jednak, ty przede wszystkim, powinnaś być naszym przewodnikiem. Ty już bowiem to przeżyłaś, prawda?

Beth zorientowała się, że nie pierwszy raz Earthshine odnosi się do pewnego zagadkowego zdarzenia z przeszłości, lecz teraz zrobił to otwarcie. Wszystkie oczy skierowały się na Penny.

Spiorunowała spojrzeniem Earthshine’a.

– To moja sprawa! Moja osobista sprawa!

– Nie tylko twoja, odkąd przed wielu laty złożyłaś mi wizytę w Paryżu ze swoją niepokorną siostrzyczką. I byliśmy na grobach waszych rodziców. Na pewno pamiętasz. Na kamiennym nagrobku twojej matki był dowód, że twoja siostra… Ależ chwila, przecież tą niepokorną siostrzyczką byłaś ty, czyż nie? Tak łatwo wszystko poplątać. W każdym razie od tamtej pory,

od tego niezwykłego dnia kilkadziesiąt lat temu, rozgryzam ten wasz sekret, śledzę osobliwie pogmatwane losy waszego życia…

– Wielkiej korzyści nikomu to nie przyniosło.

– Przynajmniej mamy punkt zaczepienia do rozważań nad charakterem przeobrażeń, których jesteśmy świadkami. Dopiero co w Układzie Słonecznym wybucha wojna, a chwilę później już to: zupełnie nowy krajobraz, w którym statek kosmiczny doskakuje do nas jak drapieżny ptak i wita się mieszaniną języka nordyckiego i gaelickiego…

Lex McGregor pokręcił głową.

– Earthshine, obcy okręt wojenny zagraża naszemu bezpieczeństwu! O czym ty gadasz, do cholery?

– Żyjemy w dziwnych czasach, kapitanie. W czasach, kiedy świat realny zaczyna się rozwarstwiać i łączyć na nowo, choć z pewnymi defektami. Ten okręt wojenny nie należy do naszej dawnej rzeczywistości, tak samo jak nas nie powinno być tutaj i podobnie jak Stef Kalinski, kiedyś jedynaczka, nie należała do rzeczywistości zamieszkanej przez jej bliźniaczkę Penny. Tego dnia, kiedy Stef Kalinski po raz pierwszy otworzyła Właz na Merkurym, wszystko się dla niej zmieniło. A potem, gdy podczas wojny Chińczyków z ONZ-etem doszło do gigantycznych wybuchów, być może wszystko zmieniło się dla każdego z nas…

Wtem rozjarzyły się ekrany na mostku kapitańskim.

– Wystrzelili pociski! – krzyknął inżynier Kapur, wskazując coś na najbliższym monitorze.

Beth dostrzegła mknące ku nim światła, lśniące oślepiającym blaskiem.

Golvin musiała rozszerzyć pole widzenia na ekranach, żeby mogli się rozeznać w sytuacji. Okręt Brykantów nie ruszał się z miejsca, lecz iskry ognia wyskoczyły ze stanowisk strzeleckich w sfatygowanym korpusie i skręciły w stronę celu, którym bez wątpienia była „Tatania”.

– Coś mi się zdaje, że skończyła im się cierpliwość – stwierdziła Penny.

– Na fotele! – rozkazał gromko McGregor, wracając prędko na swoje stanowisko. – Zapnijcie pasy! Golvin, dawaj trajektorie…

– Sępy uderzą w dolną część kadłuba. Widać promieniowanie charakterystyczne dla ziaren, kapitanie! Pociski mają napęd ziarnowy!

Penny i Jiang odsunęli się od przyrządów kontrolnych i podholowali się w powietrzu do swoich sąsiadujących ze sobą foteli. Pośpiesznie zapięli pasy i podali sobie dłonie.

– Po wszystkim, cośmy razem przeżyli… – zaczął Jiang.

– Jeszcze nie zginęliśmy – przerwała mu Penny.

Tymczasem Beth, samotna w swoim fotelu, marzyła o tym, żeby być bliżej nich, właściwie kogokolwiek – żeby móc chwycić czyjąś rękę.

McGregor zerknął przez ramię.

– Wszyscy na miejscach? Dobra, sępy są coraz bliżej. Przygotować się!

Kiedy uderzyły w nich pociski, mieli wrażenie, że cały statek rozbrzmiał niczym gong.

Przeraźliwy grzmot szybko ucichł, zastąpiony przez chór alarmów wydobywających się z urządzeń na mostku. Monitory rozświetliły się komunikatami o groźnych uszkodzeniach. Członkowie załogi zwijali się jak w ukropie: przylepieni do ekranów podniesionymi głosami przekazywali sobie zawiłe dane techniczne. Beth czuła, że „Tatania" rozbujała się na skutek zapewne spektakularnej eksplozji. Statek powoli się obracał, odkąd siła wybuchu pchnęła podstawę kadłuba.

– Grodzie ciśnieniowe wytrzymały! – zameldował Kapur.

– Kapitanie, ten atak był jak zabieg chirurgiczny – oznajmiła Golvin. – Wszystkie trafienia skoncentrowały się na obwodzie na tej samej wysokości kadłuba. Linia wybuchów musiała mieć precyzyjnie obliczony kształt. Całkowicie odcięli trzecią część statku.

McGregor warknął ze złością.

– A więc wycięli cały napęd ziarnowy.

– Ci Brykanci, kimkolwiek są, wykorzystują technologię ziarnową w przemyśle zbrojeniowym – powiedziała Penny. – Nawet my nigdy nie posunęliśmy się tak daleko, dopóki w akcie desperacji nie stworzyliśmy Gwoździa. Tocząc wojnę o ziarna, musieliśmy improwizować… Kim oni są?

– Chyba niedługo się przekonasz – rzekł ponuro McGregor. – Grupa ludzi przebija się przez zewnętrzną gródź śluzy powietrznej. Musieli dostać się na pokład, nim ugodziły nas pociski. Kapur, odłóż tę swoją pukawkę. Opór tylko sprawi, że szybciej zginiemy.

– My nie należymy do tego świata – stwierdziła Penny. – Earthshine ma rację. Tak samo ja nie należałam do świata Stef po otworzeniu Włazu na Merkurym. Boże, Lex, w tych okolicznościach mógłbyś udawać przedstawiciela ONZ-etu.

Na mostku kapitańskim nagle zaczęły gasnąć światła. Mrok ogarnął nawet monitory: ich ekrany ziały czarną pustką. Członkowie załogi bębnili po touchpadach, klawiaturach i tabletach, daremnie wywrzaskując do mikrofonów rozmaite polecenia.

– Wszystko się wyłącza – powiedziała Golvin. – Za chwilę nic nam nie zostanie.

– To sprawka Brykantów? – zapytał ostro McGregor.

– Komunikują się za pomocą prymitywnego radia – odparł Jiang. – Zdziwiłbym się, gdyby umieli się włamać do naszych skomplikowanych systemów komputerowych.

Beth odwróciła się w stronę Earthshine'a. Mimo że wyłączyły się wszystkie urządzenia

pokładowe, i nawet główne lampy migotały, on promieniał od wewnątrz dziwną łagodną poświatą, jakby uległ jakiejś transformacji. Światło miało złocisty kolor.

– To ty! – powiedziała. – To nie jest sprawka Brykantów, element ich taktyki. To ty, Earthshine!

McGregor popatrzył na niego.

– Cholera jasna, co robisz z moim statkiem, potworze?

Gdy Earthshine uniósł się z fotela, jego wirtualne ciało przeniknęło uprząż bezpieczeństwa.

– Próbuję was wszystkich ocalić. Generale, jedynym atutem, który posiadamy w tej rzeczywistości, jest wiedza zdobyta… tam, skąd pochodzimy. Przerzuciłem tę wiedzę do siebie na przechowanie. Chociaż ulegają zniszczeniu urządzenia na statku, już nie ma w nich żadnych informacji. Brykanci przejęli bezużyteczny kadłubowiec. Wykorzystam wiedzę, którą w sobie przechowuję, żeby wymienić ją na wasze życie.

– Kto cię upoważnił do takich decyzji?! – ryknął McGregor.

– Sam się upoważniłem. A teraz, jak sądzę…

Rozsunęły się drzwi.

Na pokład kapitański bezceremonialnie pofrunęła uzbrojona grupa w siermiężnych skafandrach ciśnieniowych, na oko wykonanych ze skóry i stalowego ożebrowania. Każdy z intruzów dysponował staroświeckim karabinem z przytwierdzonym do niego bagnetem. Z uchylonymi osłonami na twarz rozglądali się w skupieniu po obco wyglądającym dla nich wnętrzu. Posłuszni cichemu poleceniu osoby dowodzącej prędko się rozproszyli, tak iż każdy pasażer czy członek załogi miał przy sobie człowieka, który go pilnował.

Naprzeciwko Beth zatrzymał się niski, przysadzisty, silnie zbudowany mężczyzna. Musiała przesłonić dłonią oczy, gdyż świecił jej w twarz latarką przymocowaną do broni.

– Nie stawiajcie oporu – przestrzegł ich cicho McGregor. – Mają nas w garści.

Dowodząca grupą najeźdźców kobieta – miała bladą cerę i ponad czterdzieści lat – opuściła lufę karabinu i skierowała się prosto do Lexa McGregora, który wyglądał na kapitana statku. Odezwała się głosem spokojnym, lecz stanowczym i niemal jednocześnie z głośnika na konsolecie rozległo się tłumaczenie:

– Nazywam się Kerys. Dowodzę okrętem „Ukelwydd”…

– Wiem, kim jesteś. – Earthshine ruszył w jej kierunku.

Wojownicy próbowali odciąć mu drogę i wymachiwali przed nim bronią, lecz złocista postać po prostu przez nich przeszła. Dwóch mężczyzn natychmiast się odsunęło, najwidoczniej wystraszonych tym niebywałym pokazem.

Dowodząca jednak stała niewzruszenie.

– *Trierarchus* Kerys, nazywam się Earthshine. Musimy porozmawiać.

Rozdział 8

AD 2222; AUC 2975

Od chwili, gdy Stef i Yuri przeszli przez Właz, musiał upłynąć miesiąc, zanim „Malleus Jesu” był gotów wyruszyć z układu dwóch słońc, Remusa i Romulusa, w kierunku Ziemi – czy raczej Terry, jak nazywali ją Rzymianie i Brykanci. Zakładanie stałej kolonii szło sprawnie, nawet gdy prom orbitalny wrócił z błyskiem silników do statku macierzystego, zabrawszy personel, sprzęt i zapasy potrzebne do podróży. Stef zauważyła z niejakim zdziwieniem, że promy są napędzane przez niewielkie zespoły ziaren – wulkanów, jak Rzymianie nazywali te źródła energetycznych anomalii powiązanych ze zjawiskiem tunelu czasoprzestrzennego – nawet w atmosferze zamieszkanej planety, jak w tym przypadku. Nigdy żaden tego rodzaju pojazd nie dostał pozwolenia na zbliżenie się do Ziemi, jej Ziemi, przynajmniej do wybuchu ostatniej wojny w 2213 roku.

Pewnego razu wczesnym rankiem, gdy do odlotu pozostało sześć dni, do Stef Kalinski podeszła Brykantka, która przedstawiła się po prostu jako Eilidh. Wysoka, chuda, ubrana jak *trierarchus* Movena w wełniane poncho z kapturem, spodnie i buty. W przeciwieństwie do niej Eilidh zgodnie z rzymską modą nosiła ciężki pas z szykowną mosiężną sprzączką i pętelkami do mocowania broni, w tej chwili pustymi.

Stef spędzała wolny czas przy Włazie, co ostatnio stało się jej nawykiem. Z tabletem w ręku próbowała, z mizernym skutkiem, dowiedzieć się czegoś więcej na temat właściwości fizycznych tajemniczej bramy. Eilidh przyszła zapytać, czy Stef nie chciałaby na pokładzie *cetusa* odbyć ostatniego przelotu nad miejscem, gdzie powstawała kolonia.

Stef szacowała, że Eilidh ma około pięćdziesięciu lat; była nieco starsza od Moveny, ale o wiele młodsza od niej.

– Z tym pasem wyglądasz prawie jak Rzymianka.

– *Trierarchus* Movena nie podlega rzymskiemu dowództwu, lecz ja oficjalnie pełnię funkcję trybuna, oficera wykonującego rozkazy centuriona. Poniekąd jestem łącznikiem między dwoma łańcuchami dowodzenia. Wiem, że trochę to skomplikowane, ale chyba zdaje egzamin. Jeśli chodzi o naszą wycieczkę, to zamierzamy uzupełnić mapę tych terenów. Mamy fotografów, prawdziwych artystów, którzy uwiecznią resztki dzieł dawnych tubylczych ludów. Chcemy stąd odlecieć, mając jakąś pamiątkę po świecie, który tu istniał, zanim dzieci rzymskich żołnierzy

rozmnożą się jak króliki i rozbiorą te góry zamienione w fortece, zwożąc materiał do budowy dróg dla wojska. Jestem oficerem, ale też *druidhem* służącym *trierarchusowi*, czyli uczonym, stąd moje zainteresowanie. Przeszłam odpowiednie szkolenia. To co, chciałabyś się przelecieć jej opinii. Wycieczka potrwa dwa dni. Przynieś wszystko, czego potrzebujesz. Start za godzinę.

W niezmiennym blasku Romulusa, gdy w porze pierwszej straży ostre dźwięki trąbek wyrywały ze snu mieszkańców kolonii, Stef stała z Eilidh ramię w ramię, oglądając świat przez wielkie panoramiczne okno na pokładzie *cetusa*, jednego z dwóch takich statków powietrznych na wyposażeniu ekspedycji. Ziemia powoli uciekała w dół. Stef wypatrzyła mały koszarowy domek, gdzie wypoczywał Yuri w towarzystwie ColU. Gdy nie miała pod ręką tego ostatniego, tłumaczeniem zajmowały się inteligentne douszne słuchawki.

Eilidh wskazała zachód, gdzie w krajobrazie dominowały góry. Niebo było bezchmurne. Romulus oblewał ziemię perłowym światłem, wskutek czego masyw górski wydawał się pokrojony ostrymi, nieruchomymi cieniami.

– Ciekawe struktury znajdują się przede wszystkim w górach, dlatego obieramy kurs właśnie na nie. Nasza wyprawa to już ostatni rekonesans. Arabscy nawigatorzy na orbicie, uzbrojeni w dalekowidy, wykonali mapy niemal całej powierzchni lądów. Za pomocą *cetusów* przeprowadziliśmy dwa pełne okrążenia planety: jedno równikowe od strefy przygwiezdnej do przeciwgwiezdnej i jedno od bieguna do bieguna. Na ciemnej półkuli oczywiście zalega pokrywa lodowa jak na każdej zacienionej powierzchni planety tak blisko orbitującej wokół swoich słońc. Ale można oddychać tam powietrzem, są ślady życia i jakieś sztuczne struktury. – Uśmiechnęła się. – Spędziłam wiele cudownych godzin z centurionem Kwintusem Fabiuszem i jego sztabem, gdy przyglądaliśmy się mapom, wytyczaliśmy przyszłe drogi, wyznaczaliśmy miejsca pod budowę portów i węzłów transportowych w ujściach i rozwidleniach rzek. Tworzyliśmy zarys prowincji, które kiedyś wyłonią się na tym cichym bezludziu. Inscenizowaliśmy nawet gry wojenne: ćwiczenia wojskowe potrzebne centurionowi i jego zuchom do opracowania taktyki przeciwstawienia się nowym Hannibalom, próbującym przeprawić się przez te wyrzeźbione góry.

– Jesteś Brykantką – powiedziała ostrożnie Stef. – Rozumiem, że Brykanci są odrębnym narodem, niezależnym od Rzymian i ich Cesarstwa.

Eilidh popatrzyła na nią z ukosa.

– Tak naprawdę niewiele o nas wiesz. Brykanci są odrębnym narodem, owszem. Sercem państwa jest Prytanika, wyspa oddzielona od kontynentalnej części Europy, a więc odwiecznych rzymskich posiadłości.

– Mówisz o wyspie, którą Rzymianie nazywali Brytanią?

– I nadal tak ją nazywają w swojej arogancji. Prawie zawsze w przeszłości prowadziliśmy z Rzymianami pokojową wymianę handlową. Oni mają lepszych żołnierzy, my jesteśmy lepszymi żeglarzami. Budujemy z wykorzystaniem wiedzy naszych kuzynów Skandów, którzy przodowali w szkutnictwie jeszcze w czasach długich łodzi o drewnianych kadłubach i wełnianych żaglach. Gdy Skandowie wysypali się ze swoich północnych warowni, bo brakło im ziem do podziału między licznych synów, stali się piratami, grabieżcami, a wtedy Brykanci wespół z Rzymianami, co było rzadkim przykładem jednomyślnego działania, dali im łupnia. Ale na koniec to Brykanci zawarli przymierze ze Skandami. Mieliśmy dalekowzrocznych przywódców, którzy w odróżnieniu od dzisiejszych miernot potrafili dostrzec potencjał w narodzie świetnych handlarzy i wojowników. Nastąpiła rewolucja w myśleniu. Mając skandzkie okręty i ducha zdobywców, Brykanci przestali być potulnym sojusznikiem Cesarstwa i zaczęli spełniać swoje mocarstwowe ambicje… Teraz nasze imperium obejmuje całe północne rubieże Europy oraz Azji, gdzie przebiega długa granica z Zynami. Należymy do trzech wielkich mocarstw, można chyba tak powiedzieć, które podzieliły się wpływami w Europie, Azji i Afryce. I walczymy o zdobycze na zachodnim kontynencie walhallańskim. – Postukała w swój ciężki żołnierski pas. – Rdzenna ludność oczywiście ucierpi, ale Walhalla jest areną, na której nasze oddziały podnoszą sprawność bojową.

– Obecnie współpracujecie z Rzymianami? – zapytała Stef.

– Tak. Na razie panuje między nami pokój. Łączą nas znacznie silniejsze więzi niż Zynów z nami lub Rzymianami. Na przestrzeni wieków różnie to wyglądało, lecz zawsze coś nas do siebie zbliżało.

– Pod względem społecznym różnicie się od Rzymian – zauważyła Stef. – Kobiety mają więcej do powiedzenia.

Eilidh odsłoniła zęby w uśmiechu.

– W narodzie rzymskim też spotkasz silne kobiety, ale zazwyczaj rządzą w cieniu tronu: żony, matki i siostry cesarzy i generałów. Wiele kobiet zapisało się w dziejach naszego narodu, począwszy od Kartymandii, która ocaliła nas przed Rzymem. – Przyjrzała się Stef. – Znasz tę historię? Liczy sobie dwa tysiące lat, opowie ci ją każde brykanckie dziecko.

Stef tylko wzruszyła ramionami.

– Bo widzisz, Juliusz Cezar zdążył już zdobyć przyczółek na naszej wyspie i wtłoczyć do pustych rzymskich łbów sen o podboju. Pięćdziesiąt lat później Kartymandia, królowa ziem na północy, dostała wiadomość, że legiony gromadzą się w Portus Itius na wybrzeżu Galii i szykują do wielkiej inwazji. To ona osobiście wybrała się do Rzymu i to ona przekonała cesarza Klaudiusza, że jeśli chce odnieść naprawdę chwalebne zwycięstwo, powinien pchnąć legiony na

Germanię Zareńską, której nie udało się zdobyć nawet jego sławnemu poprzednikowi Augustowi. Argumentowała, że prowincje na kontynencie łatwiej skonsolidować, a ponadto przyrzekła zostać sojusznikiem Rzymu, który wobec tego nie będzie musiał najeżdżać jej kraju. Podobno wykazała się niezwykłym darem przekonywania, co zaskoczyło wielu Rzymian. Ale pomimo rzymskich uprzedzeń z tamtych czasów i tego, co o nas powiedział Cezar, nie byliśmy włochatymi dzikusami, a Kartymandia była kobietą sprytną i towarzysko obytą… A zatem nie pola Prytaniki, lecz Germania Kresowa poczuła na sobie twardy but legionisty. Kartymandia z pomocą Rzymian utwierdziła swoją władzę na południowych obszarach Prytaniki, a jej sukcesorzy wkupili się w łaski Rzymu, będąc sumiennymi dostawcami zboża, wełny i skór na potrzeby cesarskich armii. Brykanci nie zapomnieli o dokonaniach Kartymandii i od tamtej pory kobiety zawsze pełnią ważną rolę w naszym społeczeństwie.

Już wcześniej Stef dyskretnie rozmawiała z Yurim i ColU na ten temat, gdy zastanawiali się, w jaki sposób ścieżka czasu uległa rozdzieleniu. Zgodnie z informacjami zapisanymi w pamięci ColU w czasach inwazji na Brytanię pewna kobieta, którą rzymscy historycy nazywali Kartymandią, rzeczywiście władała królestwem na północy wyspy zwanym przez Rzymian Brigantią. Z kolei północna Germania nigdy nie została podbita przez Rzym; skończyło się na sromotnej klęsce trzech legionów w Lesie Teutoburskim kilkadziesiąt lat wcześniej. Tutaj było inaczej. Stef przypuszczała, że nawet jeśli dowiedzą się, w jaki sposób historia uległa dziwnemu odkształceniu i zaczęła biec nowym torem, pozostanie pytanie – dlaczego? Dlaczego akurat tak się to potoczyło i dlaczego teraz? I jakim cudem akurat ona i jej towarzysze przeżyli tę transformację losów ludzkości?

Eilidh, z pewnością nader inteligentna kobieta, obserwowała ją uważnie.

– Wiele z tego, co ci powiedziałam, to rzeczy dla ciebie nieznane, prawda? Musimy kiedyś przyjrzeć się temu, co nas dzieli. Tak czy owak bez względu na to, kim jesteś i skąd pochodzisz, dostrzegam twoją duszę. Gdy patrzyłam na ciebie przy Włazie, widziałam w twoich oczach ciekawość świata.

Stef wzruszyła ramionami.

– Winna zarzucanych jej czynów – odparła półżartem. – U siebie w domu byłam uczonym, jak powiedzieliby Rzymianie. Badałam ziarna, a potem Włazy, bo chciałam zrozumieć ich zasadę działania. – Ten cel przyświecał jej już w wieku jedenastu lat, gdy na Merkurym stała u boku ojca i patrzyła, jak kosmiczny statek załogowy z napędem ziarnowym wzbija się w niebo niczym włócznia światła. – Skąd ziarna czerpią energię? Jak działają Włazy? Do czego naprawdę służą? Dlaczego się tu znajdują? Jak to się stało, że przeszliśmy przez jeden z nich

właśnie tutaj? Na tym świecie dokonaliście czegoś, co moim rodakom nie udało się nigdy. Zbudowaliście Właz…

Eilidh uśmiechnęła się szeroko.

– Ano zbudowaliśmy.

*

Eilidh rozkazała, by *cetus* zatrzymał się nad miejscem, gdzie zbudowano Właz. Na środku mdłym połyskiem odznaczała się sama pokrywa Włazu, rozległy obszar od jego centrum pokrywała stopiona i poryta warstwa ziemi, a znudzeni legioniści ogradzający kordonem ten teren grali w kości obłupanymi kawałkami kamienia.

Eilidh i Stef piły zyńską herbatę. Nie było kawy: cudownego produktu globalizacji, który najwidoczniej nie upowszechnił się w tej odnodze dziejów. Yuri żartował, że po powrocie na Ziemię rozpocznie intratną uprawę. Tymczasem podupadł na zdrowiu, które stale pogarszało się, odkąd przeszli przez Właz.

Stef próbowała skupić się na tym, co mówi Eilidh.

– Wybudowanie Włazu jest groźne jak dzik w porze godów: rzecz prosta do wyobrażenia, lecz niebezpieczna w praktyce, zwłaszcza jeśli zachować się nieostrożnie… Bierzesz ziarna. Ustawiasz je w kręgu tak, by gardziele były skierowane do wewnątrz, skupione na jednym punkcie w przestrzeni. Dokładnie w tym punkcie kładziesz jeszcze jedno ziarno ze szczelnie zamkniętą gardzielą. Masz świadomość, że ziarnami można sterować za pomocą pól eterowych?

Stef już wiedziała z doświadczenia, że chodzi o pole elektromagnetyczne.

– Oczywiście. I my znaleźliśmy pierwsze ziarna na Merkurym. Można zmieniać ich pozycję, a nawet otwierać i zamykać gardziele w celu kontroli energii wyjściowej.

Eilidh zmarszczyła czoło.

– Czasem używasz trudnych zwrotów, ale z pewnością zgadzamy się w zasadniczych kwestiach. A więc mając stosowną liczbę ziaren ustawionych z wystarczającą precyzją, strumienie energii zderzą się w środku. Patrzeć na to można jedynie z odpowiedniej odległości i wiele osób pożegnało się z życiem, nim ta odległość została dokładnie wyliczona. Ziarna w takim układzie wytrzymują ułamek chwili, potem wszystko się rozpada. Całe otoczenie bramy, ziemia, powietrze, wszystko jest stopione i poruszone przez wstrząsy i fale gorąca. Efekty widzisz tam w dole. Jeśli niczego nie sknocisz, to gdy wreszcie uspokoją się rozżarzone gazy, topiące się skały i wzburzone powietrze, pozostanie w tym miejscu nowiutki Właz z nienaruszoną pokrywą, identyczny jak ten, na który patrzymy.

Stef zmarszczyła czoło.

– Nie wiem, czy dobrze cię zrozumiałam. Nie trzeba budować Włazu?

– Tak samo jak nie trzeba „budować” pisklęcia, które wykluwa się z jajka. Nasz *druidh* podejrzewa, że każde ziarno przechowuje w sobie zapis Włazu. Nam pozostaje stłuc skorupkę i uwolnić pisklę, czyli posłużyć się energią ziaren, aby jedno z tego lęgu przybrało nową formę. Nie wpadliście na to?

– Moi rodacy byli ostrożniejsi niż wy, może bardziej nieśmiali. Nie byłoby zgody na taki eksperyment. – Pomijając bilans korzyści i strat, pomyślała, zbyt cenne było życie naukowców, by ich narażać na ryzyko śmierci. Choć nieraz świerzbiła nas ręka. – Ale jak wpadliście na ten pomysł? Bo trudno uwierzyć, że ustaliliście ten szczególny układ ziaren zwyczajnie metodą prób i błędów.

Eilidh się uśmiechnęła.

– Masz rację, wyręczył nas kto inny. – *Cetus* już się wznosił, kierując dziób ku poszarpanym górskim szczytom na zamglonym widnokręgu. – Pierwsze ziarna znaleźliśmy na Merkurym, jak wy. Już wtedy odbywaliśmy loty poza Terrę, co chyba rozumie się samo przez się. Mieliśmy wielkie statki napędzane zyńskim ogniem życia i potężnymi płynnymi eliksirami… Obawiam się, że nasz słownik wyrazów nie jest jeszcze zbyt bogaty.

– Rozumiem, o czym mówisz. Chodzi o proch strzelniczy i chemiczne paliwo lotnicze.

– Te materiały zostały odkryte i ulepszone w ciągu wojen toczących się całe wieki. Lataliśmy już na Lunę i Marsa, choć w tamtej epoce zginęło wielu ludzi, a pierwsze próby założenia kolonii na tych ciałach niebieskich często kończyły się katastrofą…

Stef miała mętlik w głowie. Czyżby postęp techniczny dokonał się tak szybko bez upadku Rzymu na zachodzie i bez mroków średniowiecza? Wyobraziła sobie średniowieczny świat, w którym toporne rakiety ociężale unoszą się ponad chmury, w którym cywilizacje na niskim poziomie wiedzy uczą się krok po kroku, w sposób bolesny, drogo okupiony ludzkimi ofiarami, czym jest próżnia, promieniowanie kosmiczne czy stan nieważkości. Była to myśl wstrząsająca, ale też budząca grozę.

– Potem był Merkury – ciągnęła Eilidh. – Wybuchła wojna kolonialna, największa w historii. Wszyscy chcieli przejąć Merkurego i jego zasoby naturalne, żeby w pełni korzystać z energii słonecznej. Dla każdego byłby to strategiczny sukces, dający przewagę w przyszłości. A jak duży byłby to sukces, okazało się dopiero wtedy, gdy zwiad Zynów natknął się na pokłady ziaren.

– Aha.

– Za cenę przelanej krwi ziarna zostały ujarzmione, a ich moce użyte do napędzania statków i wykorzystane w charakterze broni.

To ostatnie stwierdzenie mocno poruszyło Stef mimo tego, czego była świadkiem na własnej linii czasu.

– Chyba nie na Ziemi?

Eilidh przewierciła ją tylko spojrzeniem.

– Rozmawiamy o Włazach, prawda? Pierwszy został znaleziony na Merkurym w złożu ziaren.

– To samo u nas – powiedziała Stef.

Eilidh uniosła brwi.

– Na innym Merkurym również? Mamy o czym rozmawiać. Oczywiście otworzyliśmy Właz i nastąpiły próby przejścia na drugą stronę… Nie wrócił żaden z tych, którzy wyruszyli w drogę: bezwolnych niewolników, odważnych żołnierzy, ciekawskich uczonych.

– Może jeszcze trwa transfer?

– Transfer?

– Właz na naszym Merkurym połączony jest z takim samym na Per Ardui. To taki świat w układzie Proximy Centauri. Czyli…

– Mówisz o najbliższej nam gwieździe, o Kopycie Centaura. My tak samo nazwaliśmy ten świat: Proxima. – Uśmiechnęła się z odrobiną goryczy. – A więc w twoim kraju też są Rzymianie.

– Byli. Długo by opowiadać. Słuchaj, światło podróżuje z Merkurego na Proximę tylko cztery lata. Wybierzesz się tam i wrócisz, a tu upłynie zaledwie osiem lat.

Eilidh zastanawiała się nad tym z pochmurnym czołem. Stef nie wiedziała, jak u niej ze znajomością podstawowych zasad fizyki.

– Rzecz w tym – powiedziała Stef – że Właz na waszym Merkurym może prowadzić do innego miejsca, bardziej oddalonego. – Uzmysłowiła sobie, że przecież to niewykluczone. W sumie wiedzieli tyle co nic, choć upłynęły dziesięciolecia od jej pierwszego zetknięcia się z tym przedziwnym zjawiskiem. – Wasi podróżnicy mogli dotrzeć do celu cali i zdrowi, tylko jeszcze nie zdążyli wrócić do domu. Może wciąż podróżują niczego nieświadomi?

– Kto wie. Co ciekawe, istnieje żołnierska legenda z tym związana. Według niej podróżnicy wybrali się nie na Proximę, najbliższą gwiazdę, lecz Ultimę, najdalszą.

Zmarszczki poorały czoło Stef. Co to może oznaczać? Najdalsza gwiazda w rozszerzającym się wszechświecie obfitującym w galaktyki i gromady galaktyk…

– Ale nawet jeśli nie przeszliśmy przez Właz do światów Proximy, podróżujemy tam statkami kosmicznymi, które zatrzymują się wysoko na orbicie jak „Malleus Jesu”. Kiedy tam dotarliśmy, do trzeciej planety od słońca…

Per Ardua.

– …natrafiliśmy na złoże ziaren przypominające to na Merkurym. Już wtedy potrafiliśmy je odszukać. I znaleźliśmy Właz oraz instrukcję, jak zbudować następny. Ogólną zasadę już ci wyjaśniłam.

– Instrukcję? Jaką?

– Była dość zagadkowa. Obrazkowa, lecz trudna. Wystarczająca, żebyśmy odgadli resztę po…

– …kolejnych ofiarach śmiertelnych – dokończyła za nią Stef. Przypomniała sobie budowniczych, rdzennych mieszkańców Per Ardui, jej Per Ardui. Nie miała okazji bliżej im się przyjrzeć, ale Yuri, który sąsiadował z nimi w ciągu swoich pierwszych, niemal samotniczych lat na planecie, ciepło się o nich wyrażał. – A wracając do tych obrazkowych instrukcji… to zauważyliście ślady tubylców, którzy je zostawili?

– Żadnych. Tak słyszałam. Nic oprócz dziwnych diagramów, a nawet i one były umieszczone wewnątrz Włazu. – Spojrzała na Stef. – Jeszcze jeden klocek, który nie pasuje do reszty, kolejny fragment zaginionej historii. Jak ty i twoi kompani. Co ty na to?

I kolejny klocek – jej nieoczekiwana siostra we Włazie na Merkurym, pomyślała Stef. Pierwsze zaburzenie rzeczywistości. Wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem, co o tym myśleć.

– W takim razie kombinuj, ale teraz… popatrz.

Cetus dostojnie żeglował nad górami.

Słońce tego świata nie znajdowało się zbyt wysoko na niebie – trochę jak wczesnym popołudniem na Ziemi w strefie umiarkowanego klimatu. W kotlinach ukrytych wśród zboczy gór pogłębiały się cienie. Ponieważ drugie słońce też znajdowało się nad horyzontem, powstawał dodatkowy cień, znacznie bledszy. Na najwyższych wierzchołkach bieliły się pręgi lodu, a dolinami spływały rzeki jak stalowe wstęgi. Stef nie widziała z góry żadnego poruszenia z wyjątkiem cienia *cetusa*. Nie było tam ani zwierząt, ani ludzi – nawet jednej smużki dymu.

Jednak gdziekolwiek spojrzeć, rzucały się w oczy dzieła istot rozumnych. Wiele wskazywało na to, że każdej górze została nadana nowa forma przypominająca piramidę bądź ostrosłup trójkątny. Także doliny wydawały się przekształcone, wzmocnione. Niektóre szczyty były spięte ze sobą gigantycznymi kamiennymi mostami. Na wielu zboczach wycięto tarasy niczym monstrualne schody, zdarzały się również pionowe ściany, do których dobudowano konstrukcje wyglądające jak łukowe systemy przyporowe średniowiecznych katedr. W innych stokach były wyżłobione głębokie żleby i szczeliny.

Eilidh wpatrywała się w nią uważnie.

– I co widzisz? – zapytała.

– Coś jakby symulację.

– Co?

– Przepraszam. Model. Sztuczny masyw górski. Nie wygląda jak prawdziwy.

– Jest prawdziwy. Na tej planecie wszędzie znajdziesz jakieś pasma górskie. Ona jest lub była bardzo aktywna pod względem tektonicznym. I wszystkie łańcuchy zostały ukształtowane na nowo nieznanymi rękami, jak to dokładnie możesz dostrzec tutaj. Twierdzę tak na podstawie tego, co dotąd widzieliśmy i gdzie dotarliśmy. Wielu miejsc nie dojrzysz z powierzchni. W zboczu jednej z gór robiliśmy odwierty, inne badaliśmy za pomocą sondy. Okazuje się, że góry w środku są puste, wzmocnione olbrzymimi naturalnymi skalnymi filarami. Przeistoczyły się w ogromne granitowe twierdze, przynajmniej wszystko na to wskazuje. Chyba się domyślasz, że dla rzymskich inżynierów wojskowych, którzy myślą o fortyfikacjach we śnie i na jawie, to prawdziwe Elizjum.

– Zauważyliśmy to natychmiast po przejściu przez Właz – stwierdziła Stef, zamyślona. – Nigdy bym nie przypuszczała, że tak może wyglądać cały świat. Tylko… kim byli ci, którzy to zbudowali? I co się z nimi stało?

– Tajemnicza sprawa. Te wielkie górskie twierdze są w doskonałym stanie, jeśli nie liczyć paru usypisk czy zerodowanych skał będących dziełem natury. Żadne ślady nie wskazują na to, by ktokolwiek w nich mieszkał, a tym bardziej toczył o nie walkę. Co więcej, nie znaleźliśmy nigdzie jakichkolwiek oznak życia bardziej złożonego niż te pomarańczowe kominowe kopce żyjątek, których pełno na równinach. Nic się tu nie poruszało do czasu przybycia legionistów, zresztą oni raczej też siedzą na miejscu. Ale wiesz co? Pewna myśl przyszła mi do głowy, niekoniecznie mądra. Może i nie jestem najbardziej błyskotliwym *druidhem*, ale widziałam już trochę tego świata.

– A więc?

– Przeciwna strona, ta ciemna, jest chyba uszkodzona. Widziałam tam olbrzymie kratery, których obrzeża wystają ponad lód. A jeden bardzo dziwny łańcuch górski biegnie dokładnie z północy na południe wzdłuż krawędzi jednego z kontynentów, cały pokryty lodem.

– Jak Andy.

– Jak co?

– To taki łańcuch górski w… Dolnej Walhalli, tak ją chyba nazywacie.

– Zgadza się. Słuchaj, te góry też zostały przekształcone, ale nie na fortece. Na każdym zachodnim zboczu zauważyliśmy rząd skalnych tworów, czegoś na podobieństwo luf armatnich. Moi koledzy, zwłaszcza Rzymianie, sądzą, że to była broń, ale mnie nie przekonuje takie tłumaczenie. Tylko jedno wyjaśnienie wydaje mi się prawdopodobne…

– Jakie?

– Może to nie była broń, lecz… silniki? Napęd rakietowy działający być może przez zastosowanie ziaren, który mógłby zostać włączony jednocześnie wzdłuż tej wielkiej skiby na brzuchu planety?

– Boże, ty myślisz, że ktoś chciał nadać planecie ruch wirowy?

– Czemu nie? Może próbowano zrealizować jakiś wielki projekt, aby świat bardziej nadawał się do zamieszkania? To zbliżanie się do drugiego słońca utrudnia życie rdzennym organizmom i rzymskim kolonistom.

ColU doszedł do wniosku, że znajdują się w układzie dwóch gwiazd, z których obydwie były czerwonymi karłami: niezauważalnymi mikrusami podobnymi do Proximy, święcącymi tak słabo, że nie zostały dostrzeżone przez ziemskie teleskopy. ColU twierdził, że najbliższy układ planetarny tego typu musi być oddalony od Ziemi przynajmniej o siedem, osiem, dziewięć lat świetlnych.

– Oczywiście jak na każdej planecie, na której istnieje życie – mówiła dalej Eilidh – i tutaj najwięcej organizmów zamieszkuje głębokie skalne otchłanie, wiele mil pod ziemią, gdzie wystarcza im odrobina docierającej tam wody, ciepła oraz minerały. Odkryliśmy je przy okazji poszukiwawczych wierceń górniczych. Zawsze można je w ten sposób odnaleźć, na każdym świecie. Im wszystko jedno, czy na niebie świeci jedno słońce, dwa czy nawet więcej. Dopóki trwa świat, będą żyły.

– Przypuszczam, że nigdy nie udało się wprawić planety w ruch wirowy.

– Z przesłanek wynika, że kres tym planom położyła wojna. Prawdopodobnie nie wszyscy pochwalali zamysły tutejszych wizjonerów. Wielkie górskie silniki zostały ostrzelane, widzieliśmy zniszczenia.

– Jeśli naprawdę do tego doszło, gdzie się podziali tubylcy?

– Można się tylko domyślać. Może przeraził ich widok zniszczeń wojennych? Budowa fortec w górach mogła być ostatnią iskierką trzeźwego myślenia, nim rozpętała się burza. Albo na odwrót, kto wie…

– Mimo wszystko zniknęli.

– A może wykończyła ich jakaś zaraza? Lub… – Zerknęła na Stef. – Macie doskonalsze urządzenia niż my, czego dowodem jest Koliusz. Mogły zostać użyte inne rodzaje broni do wyeliminowania wyższych form życia na tym świecie, żeby nie zniszczyły go do reszty.

– By zostały jedynie podziemne żyjątka, które wszystko rozpoczną od nowa.

Eilidh westchnęła.

– One i świat jak pamiątka po głupstwach zmarłego cesarza.

Stef uświadomiła sobie, że to przykład tragedii kolejnej planety spowodowanej dostępnością

ziaren.

– Trochę zazdroszczę tym maleństwom pod ziemią – powiedziała. – Odpoczywają sobie w mrocznych rozpadlinach mimo zamętu na powierzchni. Życie musi wydawać im się proste i bezpieczne.

– Dla nas nigdy takie nie było – mruknęła Eilidh.

– A więc wyruszyliście w przestrzeń międzygwiezdną kadłubowcami z napędem ziarnowym – rzekła Stef, próbując poukładać sobie wszystko w głowie. – My najdalej dolecieliśmy do Proximy.

Eilidh zmarszczyła czoło, niepewna sensu tej wypowiedzi, lecz pokiwała głową.

– Eksplorujecie – ciągnęła Stef – czy raczej badacie, może to lepsze określenie, i zakładacie kolonie na światach nadających się do zamieszkania, nim uprzedzi was konkurencja.

– Można to tak ująć.

– Ale jeśli trafi się wam planeta z ziarnami, budujecie Właz, czyż nie?

– Dopiero drugi raz dowodzę ekspedycją. Zaczyna się od tego, że *vicarius* błogosławi obsiany grunt…

– Budujecie Właz, który prawdopodobnie łączy się z jakąś ponadwymiarową siecią, ale nie korzystacie z niego.

– Właz na Merkurym prowadzi donikąd, o ile nam wiadomo. Niezależnie od tego, czym są Włazy i co umożliwiają, na pewno nie są przeznaczone dla nas.

– Więc po co je budujecie?

Eilidh uśmiechnęła się nieco ironicznie.

– Być może nie jesteście tak uduchowionymi ludźmi jak my, Stef Kalinski. Pewna rzecz silnie wiąże Brykantów z Rzymianami: naszym panem jest Jesu. Wspólnie czcimy Krzyż, na którym umarł, oraz Młot, którym posługiwał się do obrony przed nieprzyjaciółmi… Ziarna traktujemy jak wielki dar. Zobacz, jak wiele udało nam się osiągnąć. Przekształciliśmy świat, wyruszyliśmy między gwiazdy…

– Zwyciężacie wrogów.

– Dokładnie. Niektórzy wierzą, że ziarna podarował nam Bóg, którego Synem jest Jesu, choć pokutują wśród nas jeszcze stare przesądy. Gdzieniegdzie po wsiach Rzymianie wciąż czczą dawnych bogów, takich jak Wulkan, a niektórzy Skandowie twierdzą, że ziarno jest bramą do ragnaröku. W zamian za tak wspaniały dar robimy to, czego się od nas wymaga, czyli staramy się, aby z ziem obsadzonych ziarnami kiełkowały Włazy. Do czego służą? Może odpowiedź znajdą przyszłe pokolenia? A tymczasem podróżujemy, wydobywamy ziarna i budujemy Włazy. Wydaje nam się, że to jest właśnie naturalny porządek rzeczy, że tego się od nas oczekuje.

– Może właśnie z tego samego powodu moi przodkowie budowali katedry. Ale nawet jeśli głupi legionista ślepo wypełnia rozkazy, bez myślenia i stawiania sobie pytań, ty zawsze będziesz szukać prawdy.

– Jestem Brykantką. Moje życie związane jest ze statkiem. Zresztą cóż ja mogę zrobić, żeby zmienić tor, którym podąża nasze społeczeństwo? Ty byś mogła? A skoro już mowa o zmianach toru…

Ogromny statek obrócił się w powietrzu. Stef zobaczyła, jak jego cień przesuwa się po rzeźbionych górach.

– To już koniec naszej przygody – oświadczyła Eilidh. – Przede mną dużo pracy, trzeba zaplanować pięcioletni lot międzygwiezdny. Mam nadzieję, że był to pouczający dzień dla ciebie. Jeszcze herbaty, przyjaciółko? A może kazać przynieść świeży imbryk?

Jednakże Stef pogrążyła się już w rozmyślaniach. Zbyt wolno jej starzejący się umysł odkrywał nowe problemy. Właz na tym świecie istniał nie dłużej niż rok, dwa – odkąd przybyli tu Brykanci i Rzymianie i go zbudowali. Ale ona i Yuri weszli do Włazu na Per Ardui dużo wcześniej: przed siedmiu, ośmiu, dziewięciu laty. Innymi słowy, znaleźli się na jednym końcu tunelu czasoprzestrzennego kilka lat przed powstaniem drugiego. A więc gdzie byli tyle czasu?

Wstrząsnęły nią niekontrolowane dreszcze. Eilidh narzuciła koc na jej chude ramiona.

Rozdział 9

Po powrocie do kolonii Stef dowiedziała się, że Yuriego zabrano do małego wojskowego szpitala. Udała się tam w pośpiechu, zatroskana.

Po przybyciu na miejsce została skierowana na swego rodzaju salę operacyjną. Już tu kiedyś zajrzała; groźnie wyglądające narzędzia chirurgiczne, rozwieszone na ścianie, przywodziły na myśl raczej zakład rzeźnika. Dowiedziała się jednak, że dba się tu o higienę. Zarówno Michael, jak i jego wykształceni w Grecji medycy oraz ich arabscy konsultanci wiedzieli, do czego służy antyseptyka i czym jest ryzyko infekcji, więc starali się utrzymać czystość.

Tutaj odnalazła wreszcie Yuriego, który siedział przygarbiony na krześle. Na stole spoczywał ColU, a właściwie sama jednostka obliczeniowa, iście barokowa gmatwanina metalu i ceramiki. Obok stał Tytus Waleriusz, rosły weteran, który sprawił tyle kłopotów Kwintusowi Fabiuszowi swoją małą rebelią w dniu, kiedy przeszli przez Właz przybysze z Per Arduy.

Na środku sali zatrzymał się szczupły, ciemnowłosy chłopak o azjatyckich rysach twarzy, na której malował się strach i dyskomfort. Mógł mieć trzynaście lub czternaście lat, lecz był tak wychudzony, że Stef nie potrafiła dokładnie określić jego wieku. Nosił byle jaką tunikę i chodził boso, więc miał brudne stopy. *Medicus* Michael krążył wokół niego, niezwykle czymś zaaferowany czy wręcz urzeczony.

Stef podeszła do Yuriego, pozdrowiwszy Tytusa skinieniem głowy. Olbrzym wydłubywał brud spod paznokci swej jedynej dłoni czubkiem *gladio*, którego drugi koniec miał wciśnięty pod pachę. On również kiwnął głową i zwyczajem wszystkich legionistów zlustrował wzrokiem jej przywiędłe ciało. Mimo to czuła się przy nim bezpieczna, tak samo jak w towarzystwie innych Rzymian. Poznała już jego młodą córkę Klodię, którą zabrał na tę kosmiczną wyprawę po śmierci jej matki. Była wtedy małym dzieckiem.

Yuri spojrzał w górę. Na jego bladej twarzy pojawił się uśmiech.

– Jak tam przejażdżka?

– Dużo się dowiedziałam. Dobrze się czujesz? Co tu się dzieje?

– Choć raz nie chodzi o mnie. Zjawiłaś się w samą porę. – Wskazał chłopca. – Mamy tu coś nowego. Przedstaw się, synu.

– Nazywam się Chu Yuan, mam czternaście lat – odpowiedział chłopak poprawną łaciną, aczkolwiek drżał mu głos. – Pochodzę z Szanghaju, gdzie moja rodzina zajmuje się handlem

i badaniami. Ojciec jest żołnierzem, służy w 24 Dywizji Cesarskiej Armii Światła. Jego jednostka stacjonowała w Dolnej Walhalli. Zabrał tam rodzinę, a z nią mnie, najstarszego syna…

Yuri mrugnął do Stef.

– Dolna Walhalla, czyli Ameryka Południowa. Od stuleci dochodziło do spięć między Chińczykami, którzy przybywali z zachodu i osiedlali się najczęściej na nadbrzeżnej równinie i w Andach, a Rzymianami, którzy zbliżali się ze wschodu przez Amazonię, a także z północy, ze swoich ziem w Mezoameryce.

– Rdzenna ludność znalazła się między młotem a kowadłem.

– Przynajmniej nie wykończyły ich nagłe zarazy, jak to się stało w naszych czasach – rzekł ColU. – Wikingowie, skandzcy sojusznicy Brykantów, od wieków podróżowali do obu Ameryk, dzięki czemu miejscowi zdążyli się uodpornić. Ale linie frontu nieustannie się chwieją.

– Nasz fort został zdobyty – ciągnął Chu. – Ojciec zginął, matka uciekła. Mnie schwytali i wzięli do niewoli znamienici rzymscy żołnierze.

Stef się zawahała.

– On jest niewolnikiem?

Yuri wzruszył ramionami.

– Rodzice chyba wychowywali go na uczonego lub urzędnika. Ale wpadł w łapy Rzymian i skończył jako niewolnik na tej łajbie.

Stef wpatrywała się w chłopca. Należał do kategorii ludzi, o których zawsze myślała, że nigdy nie pojawią się w jej życiu. Z najwyższym trudem wytrzymywała w kolonii, gdzie niewolnicy, choć niedostrzegani przez Rzymian, byli wszędzie. Przygnębiał ją nie tyle sam fakt, że jedni ludzie żyli pod jarzmem innych, ile codzienne przejawy bezmyślnego wręcz okrucieństwa. Nawet lżejsze przewinienia były karane pod pochlapanym krwią pręgierzem przy użyciu biczów z ołowianymi ciężarkami. Niegdyś podziwiała Rzymian za ich wykształcenie, ład społeczny, osiągnięcia techniki, szacunek dla prawa. Teraz się przekonała, że pewne aspekty ich cywilizacji są dla niej zupełnie obce.

– W takim razie co tu robi? – zapytała.

– Centurion Kwintus Fabiusz dał nam go w prezencie – odparł z rozpromienioną twarzą Michael. – Zachwyciły go działania Koliusza dla dobra kolonii, jego rady na temat uzdatniania gleby, plonów, nawodnienia.

Stef miała wrażenie, że umieszczony na stole ColU mrugnął jakimś światełkiem.

– Jestem teraz Koliuszem wyrocznią.

– Zamknij się – skarcił go łagodnie Yuri.

– Dobrze, Yuri.

– No więc centurion, widząc, że ColU został pozbawiony kończyn, wielkodusznie odstępuje mu nogi tego chłopca.

Stef ściągnęła brwi.

– Nie rozumiem.

– Zaraz ci to wyjaśnię – wtrącił szybko Michael. – Poprawiłem parę rzeczy w plecaku, Yuri Edenie. – Wyciągnął go spod ławy. Nic się w nim nie zmieniło z wyjątkiem tego, że zostały skrócone paski. Podał plecak chłopcu, który od razu go założył. – ColU będzie podróżował w torbie, zaś wasze gadające, wszystko widzące szkło…

Tablet Yuriego został schowany do skórzanej sakwy, którą Michael zawiesił teraz pod szyją chłopca, mocując ją do piersi rzemykami.

– Oczom nie wierzę! – oburzyła się Stef. – Ten chłopiec ma być twoim jucznym mułem, ColU?

– Robiliśmy próby – odparł ColU. – Chu, idź przed siebie. Skręć w prawo. Skręć w lewo.

Młodzieniec przechadzał się po sali operacyjnej ze spuszczoną głową, obojętny i posłuszny jak kukła. Wzorowy niewolnik.

– To odrażające – skomentowała Stef.

Michael pojednawczo uniósł dłonie.

– Yuri uprzedził mnie, że może pani zareagować w ten sposób…

– Mogło być znacznie gorzej, Stef – włączył się do rozmowy Yuri. – Jak myślisz, dlaczego przydzielono Michaela do tej sprawy?

– Oświeć mnie.

– Na początku centurion wpadł na pomysł, żeby plecak i sakwę przyszyć chłopcu do ciała i w ten sposób uchronić je przed kradzieżą.

Tytus Waleriusz niepewnie uniósł dłoń.

– Mogę coś powiedzieć? Plan centuriona uwzględnia również mnie. Mam towarzyszyć chłopcu na każdym kroku i troszczyć się o bezpieczeństwo wyroczni.

Stef uśmiechnęła się kwaśno.

– Wiem, jak działa umysł żołnierza. Taka mała, przyjemna praca, która pozwoli ci przymknąć oko na pewne sprawy związane ze spichlerzem?

Tytus ostentacyjnie wzruszył ramionami.

– Robię tylko, co każą.

– Tak czy owak, to wciąż odrażające – stwierdziła Stef.

– Wolałabyś odesłać chłopca tam, skąd pochodzi? – Yuri uśmiechnął się łagodnie.

Słysząc to, Chu spojrzał na nich z przestraszoną miną.

– Zaopiekuję się nim – oznajmił stanowczo ColU. – Gdy będzie mi służył, postaram się polepszyć jego los. Nie zdołamy wyzwolić wszystkich niewolników Cesarstwa Rzymskiego, Stef Kalinski, ale tego chłopca mógłbym jeszcze ocalić.

Stef dała za wygraną.

– No dobrze. Przypuszczam, że nie ma lepszej opcji. – Następnie spróbowała w krótkich słowach opowiedzieć Yuriemu i ColU, czego się dowiedziała. – No więc ci Rzymianie wysyłają statki do gwiazd i budują Włazy, choć sami nie wiedzą po co. Zupełnie jakby to był rytuał albo jakaś mechaniczna czynność. Na tej samej zasadzie mrówki robią mrowisko.

– Całkiem trafna analogia, Stef Kalinski – stwierdził ColU. – Mrowisko symbolizowałoby efekt starań poszczególnych jednostek. Podobnie Właz musi być częścią sieci, którą tworzą liczne jednostkowe działania.

Ich rozmowie przysłuchiwał się Michael.

– Być może liczy się też ogólny charakter Rzymian – zaryzykował stwierdzenie. – Przynajmniej żołnierzy. Przyzwyczaili się bezkrytycznie służyć większemu dobru: Cesarstwu, armii. Dostrzegam to, będąc Grekiem.

– Nie zgadzam się z tym – rzekł Tytus Waleriusz.

– Tak?

– Tak! Legioniści nie są mrówkami. Dobrze wiemy, o co walczymy. Za naszych towarzyszy.

Michael westchnął.

– Podobnie jak mrówki podążają za przykładem najbliższych mrówek, aż w cudowny sposób powstanie kopiec. Potwierdzasz moje zdanie.

Tytus burknął, zbity z tropu.

– Wiesz, Yuri, że tutaj ziaren używa się w celach wojennych? – zapytała Stef. – Nawet na Ziemi. Chyba już od kilkuset lat.

– Jakoś mnie to nie dziwi – odpowiedział słabym głosem. – Znalazłabyś jakiś argument za tym, że ta nowa ludzkość jest lepsza od starej?

– Jest jeden – oznajmił ColU. – Budowa Włazów idzie im sprawniej.

Rozdział 10

AD 2213; AUC 2966

Księżyc wyglądał inaczej. Była to pierwsza rzecz, którą zauważyła Beth Eden Jones, kiedy „Ukelwydd” zbliżył się do Ziemi z rozjarzonym silnikiem ziarnowym, wciąż hamując.

Przypadek sprawił, że tor lotu wyznaczony przez nawigatorów doprowadził statek w sąsiedztwo srebrnego globu – tak blisko, że łuna silników zalała blaskiem powierzchnię. Na stronie pogrążonej w mroku połyskiwały rozproszone światełka, a kopuły, całe w ognistych refleksach, przypominały krople rtęci. Gdy jednak Księżyc zaczął oddalać się za lecącym ku Ziemi statkiem i odsłonił się przed nimi widok na stronę dzienną, nawet Beth – która dopiero w wieku dwudziestu lat, po przejściu przez Właz z Per Arduy na Merkurego, po raz pierwszy ujrzała Układ Słoneczny – uświadomiła sobie, jak wielkim przeobrażeniom uległy pierwotne księżycowe obszary. Gładką szarość marii, mórz, żłobiły i przecinały proste pasy gigantycznych robót, a także ubarwiały jaskrawe promienie wylewające się z wnętrza rozświetlonych, ostro zarysowanych kraterów. Rzeźba terenu z pewnością była wytworem rąk ludzkich, świadectwem prac górniczych prowadzonych tutaj od wieków. Beth dopiero po chwili zorientowała się, że nowo powstałe kratery, oświetlone jaskrawym światłem, również są dziełem ludzi: ranami zadanymi tym razem nie przez przemysł, lecz wojnę.

Minąwszy Księżyc, statek mknął prosto w kierunku Ziemi, która wyglądała na niebie jak błyszczący guzik. I znów, mimo odległości, Beth od razu dostrzegła różnice. Przede wszystkim, znikło lśnienie lodowców na biegunach. Wielkie połacie lądu w Australii i środkowych częściach Afryki i Ameryki były pozbawione życia, jakby wyginęła tam cała szata roślinna, by odsłonić skalisty kościec świata.

„Ukelwydd”, holując za sobą pogruchotaną „Tatanię” i mając na pokładzie dziesięcioosobową załogę kadłubowca, bezproblemowo wszedł na okołoziemską orbitę w dużym nachyleniu. Przez cały dzień, dopóki trwało wypełnianie procedur przylotowych, osobom ze statku należącego do ISF nie wolno było opuszczać ciasnych kabin.

Po tych chwilach uwięzienia Beth została zaproszona przez Ariego Guthfrithsona, naczelnego *druidha* na pokładzie statku, do wspólnych obserwacji planety, ponieważ „Ukelwydd” w swoim

locie orbitalnym wkrótce miał znaleźć się nad Brytanią i północną Europą, ojczystymi ziemiami Brykantów i ich sojuszników, w tym rodaków Ariego.

Ucieszyła się na jego widok. W ciągu tych paru dni, które spędzili razem na statku, połączyła ją pewna więź z tym zawsze spokojnym uczonym. Był od niej młodszy, ale tylko trochę. Może i nie był specjalnie przystojny, ale jak wszyscy członkowie brykanckiej załogi pedantycznie dbał o swój wygląd: włosy elegancko uczesane, starannie przycięte bokobrody. Zauważyła, że Ari trzyma nożyczki i pilnik do paznokci w podręcznym futerale. Podobał się jej – do pewnego stopnia.

Tego dnia wszyscy byli w dobrym nastroju. Załoga „Ukelwydda" wydawała się rozluźniona, gdyż nie musiała się już stosować do wymagań lotu międzyplanetarnego, skupiona na mniej stresujących czynnościach orbitalnych.

– Pewnie już chcieliby się nas pozbyć – rzekł Lex McGregor, kiedy przyłączył się do Beth i Ariego przed wielkim panoramicznym oknem. – Znam wojskowych. Najszczęśliwsi są wtedy, gdy mogą przepchnąć problem wyżej.

– Tak się składa, że załoga tego statku praktycznie nie ma do czynienia z ludźmi. – Spokojne słowa Ariego, przetłumaczone przez systemy Earthshine'a, rozbrzmiewały cicho w dousznej słuchawce Beth. – W przypadku konfliktów zbrojnych w kosmosie bezpośredni kontakt z przeciwnikiem zdarza się rzadko. Nie bierze się jeńców, bo kto przegra, ten ginie. Ponadto wasz Earthshine, którego natury wciąż nie rozumiemy, stanowi dla nas spore wyzwanie intelektualne.

– Jakże mi przykro – odparł z przekąsem McGregor. – Ale to przede wszystkim z jego powodu znaleźliśmy się tutaj. Cel misji naszej biednej „Tatanii" polegał na ratowaniu Earthshine'a przed skutkami zbliżającej się wojny. – Popatrzył z wysoka na świat, nad którym bezgłośnie szybował „Ukelwydd". – Tylko czy pozwalając, by wpadł w ręce waszego narodu, naprawdę go ratujemy… W sumie to cieszę się, że nie będę musiał się tłumaczyć przed moimi zwierzchnikami, gdziekolwiek są. Przepraszam, niepotrzebnie się rozgadałem.

– O waszym losie w szerszym kontekście jeszcze nie zadecydowano.

McGregor zmarszczył czoło.

– Co to ma znaczyć? To brykancki statek. Niewiele wiem o waszych imperiach i rządach, ale myślałem, że zapewniacie nam bezpieczeństwo.

– Obawiam się, że to nie takie proste. – Ari wskazał ręką. – Rozejrzyjcie się.

Kiedy Beth oderwała wzrok od błyszczącej powierzchni planety, ujrzała zgrupowanie gwiazdek lśniących jasnym, niezmąconym światłem w czarnej pustce.

Lex McGregor zagwizdał.

– No, no… Habitaty kosmiczne. Widać torusy, cylindry, platformy… Zwierciadła i anteny… – Zacisnął pięść. – Nie dopuszczaliście nas do okien. Nie zauważyłem wcześniej tego złomu.

– Złomu? – Ari się uśmiechnął. – Słyszałem, że tam skąd pochodzicie, przestrzeń kosmiczna jest słabo zaludniona w porównaniu z naszą. Trudno to nam zrozumieć. Dysponując statkami z napędem ziarnowym, łatwo wynosić na orbitę ciężkie ładunki albo transportować urobek z takich miejsc jak Luna lub Łzy Ymira.

– Bo widzisz, Ari, oni… czy raczej my obchodzimy się z ziarnami ostrożnie. Silników opartych na ich energii nie wolno używać na Ziemi. Najbliżej dopiero po drugiej stronie Księżyca, gdzie kiedyś pracowała Penny Kalinski i jej siostra. Oczywiście kiedy wybuchła wojna, nikt już się nie hamował.

– Chciałbym zaznaczyć, że wszystkie widoczne stąd urządzenia techniczne stanowią własność sił, które interesują się wami.

– Masz na myśli Rzymian i Zynów? – zapytała Beth.

– Tak. – Ari spojrzał na nią z nieskrywanym zainteresowaniem. – Jeszcze słabo orientuję się w waszej historii, ale słyszałem o wielu fascynujących różnicach. Na razie przyjmijcie do wiadomości kilka podstawowych faktów. Z moich przemyśleń wynika, że wasze dzieje są bardziej skomplikowane, złożone z drobniejszych fragmentów. Ogólnie rzecz biorąc, nasz świat, dziś obejmujący więcej planet niż Terra, został zdominowany przez dwa potężne imperia: Rzym i Zyn. Owszem, pojawiały się i znikały również inne narody, ale to właśnie te ośrodki władzy rywalizują ze sobą od dwóch tysięcy lat o kontrolę nad rozległymi obszarami Azji i Europy. Od tysiąca lat starają się przejąć terytoria reszty świata. Ich wpływom opieramy się jedynie my, Brykanci, nasza federacja. Na początku udało nam się zachować niepodległość Prytaniki, a potem zbudować własne imperium. – Przyglądał się im badawczo. – Straszne wojny przetoczyły się po tym świecie, ale nie tylko tutaj. Świadczy o tym chociażby zbombardowana powierzchnia Luny. Mówi się, że gdy na niebie toczyły się najbardziej zacięte walki i cała tarcza księżyca płonęła jak pochodnia, spadł grad odłamków wyrzuconych z Luny w trakcie wielkich eksplozji. Ponieważ przypadkowe salwy kamieni przypominały celowy atak, działania wojenne objęły także Ziemię. Jednak wojny i rywalizacja były motorem postępu. Pod wieloma względami, co od razu widać, nasza cywilizacja jest słabiej rozwinięta niż wasza, lecz nie w każdej dziedzinie… Przetrwaliśmy wszystko. A nieszczęsna Terra, prawie tak samo sponiewierana jak Luna, wciąż jest domem ludzkości. Może nie udało nam się, zwaśnionym mocarstwom, nawiązać pokojowej współpracy, ale ograniczyliśmy walki, sprowadziliśmy je do poziomu kłótliwej dyplomacji.

– Chcesz powiedzieć – zapytał McGregor – że jesteśmy przedmiotem tej „kłótliwej

dyplomacji”?

Ari westchnął.

– Cały świat patrzył, jak „Ukelwydd” powraca z wrakiem statku obcego pochodzenia. Wśród naszej załogi zainstalowali się szpiedzy, którzy donoszą Rzymianom i Zynom. To rzecz normalna, nie dziwi nikogo. Jesteście dla nas cennym nabytkiem… albo niebezpiecznym w stopniu trudnym do oszacowania. My, Brykanci, pierwsi wypatrzyliśmy wasz statek i wykazaliśmy się inicjatywą, żeby was przechwycić, ale to wcale nie oznacza, że zatrzymamy was dla siebie, a Rzymianie i Zynowie będą się cieszyć naszym szczęściem. Dlatego w tej chwili wnikliwie obserwują was i ten statek. Patrzą na ręce nam, ale też sobie nawzajem.

McGregor prychnął.

– I wszyscy uzbrojeni po zęby.

– Właśnie w tym rzecz. Sytuację dodatkowo komplikuje fakt, że macie rdzennego Zyna w swoim gronie, bo na takiego wygląda Jiang Youwei. Każda strona może rościć sobie prawa do was. Prędzej czy później *trierarchus*, nasz dowódca, będzie musiał zdecydować, czy warto przeprowadzić ryzykowną misję przerzucenia was na ziemskie terytoria Brykantów, czy może lepiej oddać was Rzymianom lub Zynom albo nawet porzucić w rozbitym statku, aby musieli bić się o was. Bo my, Brykanci, jesteśmy małym i roztropnym mocarstwem, które musi mieć się na baczności, żeby nie zdeptały go buty nadętych olbrzymów tego świata…

Zbliżyła się do nich Penny Kalinski, minąwszy drzwi z tyłu kabiny. Płynąc z gracją w warunkach braku grawitacji, sprawiała wrażenie, jakby było jej wygodnie w luźnym brykanckim ubraniu złożonym z tuniki i spodni. Miała w ręku tablet i popijała coś z ceramicznego kubka.

– Rozcieńczony miód pitny – zwróciła się do Beth. – Całkiem przyjemny w smaku.

Beth uśmiechnęła się wesoło.

– Zupełnie jakby to było twoje miejsce, Penny.

– Cóż, trzeba sobie jakoś radzić w życiu. Na razie nie zapowiada się, żebyśmy mieli wrócić do domu. O ile nasz „dom” jeszcze istnieje w jakimś sensownym znaczeniu tego słowa. No więc co się dzieje? Słyszałam, że będziemy przelatywać nad Brytanią. Chciałam popatrzeć.

Lex McGregor, jakby nagle sobie coś przypomniał, odwrócił się do panoramy świata i ściągnął brwi.

– Naprawdę? To są Wyspy Brytyjskie? Co jest, do cholery?!

Beth, niezbyt obeznana z Ziemią, miała stosunkowo marne wyobrażenie o tym, jak z lotu ptaka powinny wyglądać Wyspy Brytyjskie – tutaj Prytanika. Zobaczyła jakby archipelag, grupę wysp u zachodnich wybrzeży większego kontynentu. Na wschodnich krańcach największej

wyspy, otoczona brązami i zieleniami wiejskiego krajobrazu, odcinała się szarością splątana miejska zabudowa. Z góry widać było proste jak strzała drogi, połyskiwało szkło i metal. Natomiast w górzystej scenerii najdalej na północ wysuniętej wyspy Beth dostrzegła prostokątne kształty olbrzymich terenów górniczych, które chyba mogłyby konkurować z polami wydobywczymi na lunarnych *mariach*.

– Urodziłem się w Anglii – rzekł ponuro Lex McGregor. – W południowej części, w Angleterre. Wiele razy oglądałem swój kraj z kosmosu, ale tego nie poznaję. Jakby brakowało połowy.

Penny trąciła go w ramię.

– Tutaj historia toczyła się inaczej, Lex. Wygląda na to, że Cesarstwo Rzymskie nie upadło na zachodzie. Era przemysłowa rozpoczęła się tu kilka wieków wcześniej. A to pociągnęło za sobą wiadome konsekwencje.

– Gazy cieplarniane. Wylesienie. Podniesienie się poziomu wód w oceanach.

– Otóż to. Skutki były tu dotkliwsze i odczuwalne wcześniej niż na naszej ścieżce czasu. W dwudziestym pierwszym wieku mieliśmy wielki kryzys klimatyczny, anomalie pogodowe, pośpieszne działania naprawcze po wygłupach pokolenia bohaterów. Może tutaj wszystko przebiegało wolniej, więc ludzie nie zauważali problemów lub nie przejmowali się nimi? Może po prostu się dostosowywali? Podejrzewam, że przesunęły się wszystkie linie brzegowe. Nisko położone tereny znalazły się pod wodą, co widać na przykładzie południowej i wschodniej Anglii.

McGregor zmrużył oczy, wytężając wzrok.

– Wydaje mi się, że centrum tej wielkiej aglomeracji w północnej Anglii znajduje się tam, gdzie nasz York.

– To Eboraki – powiedział Ari. – Stolica niezależnej Prytaniki od czasów rządów królowej Kartymandii, która przeciwstawiła się Rzymianom. Zawsze toczyły się wojny o to miasto. Później, gdy dopiero utrwalały się kontakty między moim praojczystym narodem a Brykantami, przez kilka lat Eboraki było w naszych rękach. To miasto należało do Skandów, nie Brykantów.

Penny uśmiechnęła się szeroko.

– Ale to zamierzchłe czasy. Było, minęło…

– Przynajmniej Brykanci i Skandowie nie patrzą na siebie z taką odrazą jak na Rzymian czy Zynów. Dziś Eboraki jest stolicą cesarstwa, choć nie mamy cesarzy…

– A ta zabudowa na fragmentach wyżej położonych terenów na południe od Tamizy, za Isle of Dogs? – zapytał McGregor. – Czy to nie jest jakaś wersja Londynu?

– To Lund – wyjaśnił Ari. – Najważniejsza brama do Europy i prowincji rzymskich. Nim

nawiązaliśmy kontakty z Rzymianami, to była niepozorna mieścina bez większego znaczenia. Dzięki Kartymandii stała się dużym ośrodkiem handlu z Cesarstwem i pod wieloma względami upodobniła się do rzymskich metropolii. Ale w Prytanice zawsze o wiele większe było Eboraki.

– A coście, do cholery, zrobili ze Szkocją!? – McGregor wskazał palcem.

Ari zmarszczył czoło.

– Tutaj mówimy Kaledon. To tereny intensywnych prac inżynieryjnych.

– Mam wrażenie, że zniszczyliście góry – rzekł McGregor. – Gdzieniegdzie wyglądają, jakby się stopiły.

– Niektóre faktycznie są stopione – odparł Ari. – Statek kosmiczny z napędem ziarnowym wytwarza całkiem sporo ciepła podczas startu i lądowania.

– Boże, oni naprawdę posługują się technologią ziarnową w atmosferze ziemskiej – powiedziała Penny. – Ile energii cieplnej pakują w powietrze i do ziemi! Cud, cholera, że nie doprowadzili do katastrofy i nie zamienili planety w jedną wielką cieplarnię, w drugą Wenus.

– Jakoś im się udało – powiedział McGregor. – Musieli mieć szczęście. Ale mało brakowało. Może istnieją inne ścieżki czasu, na których wydarzyło się dokładnie to, o czym mówisz? To przecież logiczne, Kalinski. Bo skoro są dwie ścieżki czasu, czemu nie miałoby ich być więcej?

– Lub nieskończona liczba. – Uśmiechnęła się kącikiem ust. – Też mi to przyszło do głowy. Myślisz jak naukowiec, McGregor.

– Wycofuję się z tego natychmiast.

Ari przysłuchiwał się uważnie rozmowie.

Skupisko wysp oddalało się już w kierunku północno-zachodnim, a statek szybował nad stałym lądem: Galią dla Brykantów i Rzymian, Francją dla pasażerów „Tatanii”.

Obszar ziem niedotkniętych podniesieniem się poziomu mórz rozświetlały łuny wielkich aglomeracji. Jednakże na nitce pewnej szerokiej rzeki Beth zauważyła doskonale okrągły kształt z rozbiegającymi się gwiaździście promieniami. Przypominał księżycowe kratery, tyle że był częściowo okryty roślinnością.

Wskazała go palcem.

– Co to?

– Kiedyś duże miasto w rzymskiej prowincji – odparł Ari. – Kilkaset lat temu podczas wojny zniszczył je zyński pocisk, który przedarł się przez strefę obrony.

– Pocisk? – zapytała Penny. – Z głowicą ziarnową, mam rację? A więc to prawda. Używacie ziaren na Ziemi nie tylko w charakterze źródła zasilania. Robicie z nich broń do wygrywania wojen w epoce żelaza.

Ari Guthfrithson spochmurniał.

– Mam przeprosić za wszystko, co stało się w przeszłości? A wasze dzieje? Dają wam powód do dumy?

– Nie to jest najistotniejsze, Penny – mruknął McGregor. – Przestań oceniać. Musimy dowiedzieć się jak najwięcej o tym świecie, póki mamy okazję.

Pokiwała głową.

– Oczywiście, jak najbardziej, przecież utknęliśmy tu na dobre. – Zamyśliła się. – „Ukelwydd” porusza się wokół Ziemi, Terry, po orbicie o dużym nachyleniu. A więc torem nachylonym pod pewnym kątem do równika…

– Precyzyjnie wyznaczonym – wtrącił Ari – żebyśmy znaleźli się nad Prytaniką i lądowiskami w Kaledonie.

– Co oznacza, że przetniemy sporo szerokości geograficznych. A ponieważ planeta obraca się pod nami, będziemy mogli przyjrzeć się obszarom na różnych długościach. Dajcie mi kilka godzin z tabletem, a ponagrywam, co się da. Potem na drodze naukowej zgadywanki spróbujemy poskładać do kupy historię tego świata…

Rozdział 11

Dwanaście godzin później Penny przywołała swoich towarzyszy oraz Ariego z powrotem do kabiny obserwacyjnej. Nauczywszy się wyświetlać na pustej ścianie obrazy z tabletu, przygotowała zwięzłe sprawozdanie z wnioskami wyciągniętymi z obserwacji obracającego się w dole świata.

Pokazała im krajobrazy gęsto zaludnionych terenów miejskich, w tym metropolie będące promienistymi węzłami w rozległej sieci dróg i pomniejszej zabudowy.

– Witamy na Terze – powiedziała z przekąsem. – Oto Europa i jedne z najstarszych prowincji rzymskich. Pomijając sporadyczne napaści Azjatów, na całej połaci kontynentu od wybrzeży Morza Bałtyckiego na północy do Morza Śródziemnego na południu trwa nieprzerwanie od dwóch tysięcy lat proces urbanizacji, czego skutki właśnie widzicie. Pod względem położenia na mapie wiele jaśniejszych węzłów odpowiada metropoliom, które znamy z naszej ścieżki czasu; są to miasta wywodzące się z rzymskich osad, jak chociażby Paryż. Gdy patrzymy na obszary niezdobyte przez Rzym w naszym świecie, widzimy miasta tam, gdzie być powinny, biorąc pod uwagę uwarunkowania geograficzne i kierunki rzymskich podbojów. Hamburg, Berlin. Dalej na północy zmienia się obrys lądów. Półwysep Jutlandzki, Skandynawia. Podobna gęstość zaludnienia, lecz inna topografia.

– Ojczyste ziemie mojego narodu – rzekł Ari. – Być może zrobiłaś zdjęcia kanału, który oddziela półwysep od reszty kontynentu. Zbudowano go w dawnych czasach, a później, po znalezieniu ziaren, znacznie poszerzono.

Penny wytrzeszczyła oczy.

– Chcesz mi powiedzieć, że używacie ziaren do kształtowania terenu? Na Ziemi?

– To Terra, Penny – zauważył beznamiętnie McGregor. – Nie Ziemia. Wydaje mi się, że to nie nasza sprawa.

Penny wyświetliła zdjęcia szarego, posępnego morza, przygnębiających wybrzeży, szaroburych krajobrazów gdzieniegdzie upstrzonych pleśnią portów i miast przemysłowych.

– Północna Azja – oznajmiła. – W naszej rzeczywistości byłyby to rosyjskie wybrzeża Oceanu Arktycznego. Ale tu chyba nigdy nie było Rosji, bardzo w to wątpię. I nigdzie nie widać śladów tajgi na tych szerokościach. W morzu chyba nie ma życia, nikt nie łowi ryb. W Arktyce brak lodu, choć nie byliśmy w stanie sięgnąć wzrokiem do samego bieguna.

Ari wzruszył ramionami.

– To martwa kraina. Zawsze tak było. Tam się tylko wydobywa bogactwa mineralne i metan na paliwo.

Penny stukała palcem w tablet.

– Przesuńmy się na południe. Mam wrażenie, że granicą rzymskich posiadłości jest mniej więcej Ural. Dalej mamy cesarstwo zyńskie, które być może wykształciło się w starożytności ze znanych nam chińskich państw. Rozciąga się na północ od górnej części środkowych Chin poprzez Mongolię i wschodnią Syberię aż do Cieśniny Beringa. Za to w środkowej Azji…

Znów kratery. Opuszczone, wymarłe ziemie.

Beth głośno wciągnęła powietrze.

– Co tu się wydarzyło?

Ari westchnął.

– Te stepy stanowiły odwieczny problem. To ostoja nieujarzmionych koczowniczych plemion pasterzy i wojowników. Gdy wypędzała ich stamtąd surowa pogoda, rozjeżdżali się na wszystkie strony, by łupić ludność w miastach na wschodzie i zachodzie. W końcu Zynowie i Rzymianie zgodzili się objąć te bezużyteczne równiny czymś na kształt wspólnego protektoratu. Ten układ sprawdza się od wielu wieków z drobnymi wyjątkami.

McGregor uśmiechnął się zimno.

– Wyjątkami?

– Kiedy bezpośrednio ścierają się dwa imperia, wybucha wielka wojna. A że mają dostęp do broni opartej na ziarnach… Widzicie tego skutki.

– A to ojczyzna Zynów – mówiła dalej Penny. – I znowu można zauważyć historyczną ciągłość z miastami i narodami, które znamy z początków pierwszego tysiąclecia…

Niektóre zdjęcia zostały zrobione nocą. Połowa kontynentu mieniła się świetlistą mozaiką wysadzaną klejnotami wielkich miast. A jednak rzucały się w oczy również wyraźne okrągłe strefy mroku, zapewne ślad dawnych ataków z użyciem ziaren.

Ari spoglądał na Beth równie często jak na zdjęcia.

– Reagujesz inaczej niż oni – zwrócił się do niej. – Jesteś jakby… wstrząśnięta.

– Mało powiedziane. Wychowywałam się na pustej planecie.

– Aha. Tymczasem tutaj wprost przeciwnie: miliardy ludzi cisną się w rozległych skupiskach miejskich…

– Macie tu czym oddychać? Nie czujecie się upokorzeni?

– Zapewne chcesz wiedzieć, jak wam się tu będzie żyło. – Uśmiechnął się. – Beth Eden Jones, z całej załogi „Tatanii” ty intrygujesz mnie najbardziej, ty i twoja złożona natura. Mam nadzieję,

że jeśli los pozwoli, pomogę ci się odnaleźć w tym miejscu, w tym trzecim już świecie, w którym będziesz musiała jakoś się zadomowić.

– Ari słusznie powiedział – ciągnęła Penny – że reszta świata jest trochę jak plac zabaw dla trzech euroazjatyckich supermocarstw. Oto Australia.

Beth ujrzała jałowe rdzawoczerwone równiny przypominające powierzchnię Marsa, podziobane okrągłymi śladami wybuchów i prostokątnymi bliznami pozostałymi po gigantycznych pracach górniczych.

– Tutaj kopalnie budowali Zynowie – zaznaczył Ari.

– Moja matka pochodziła z Australii – powiedziała Beth. – Raz tam byłam. Co się stało z rdzenną ludnością?

Ari spojrzał na nią z ciekawością.

– Z jaką rdzenną ludnością?

– Afryka – oświadczyła Penny, przewijając kolejne zdjęcia. – Na południu olbrzymie kopalnie i farmy chyba Zynów. Na północy Sahara, ale spójrzcie…

Pustynię przecinała kratka olbrzymich kanałów.

– To jedno z największych przedsięwzięć Rzymian – wyjaśnił Ari. – Jak widać, dzięki nim pustynia powoli zakwita. Ale istnieje niebezpieczeństwo, że gdy w przyszłości będą przesuwać się ze swoimi koloniami coraz bardziej na południe…

– …a Zynowie przemieszczą się na północ z terenów rolniczych w południowej Afryce – wpadł mu w słowo McGregor – spotkają się gdzieś w połowie drogi i wybuchnie wojna. Powtórzy się scenariusz ze środkowej Azji.

– Oby nie! – rzekł z ożywieniem Ari. – Aczkolwiek my, *druidzi*, którzy zadajemy sobie trud przewidywania przyszłości, dostrzegamy to zagrożenie.

– A tu Ameryka Południowa – powiedziała Penny.

– Lub Dolna Walhalla – poprawił ją spokojnie Ari. – Od wieków pole bitwy Zynów i Rzymian.

Beth ujrzała krainę kopalń i gospodarstw rolnych, gęsto poprzetykaną nićmi rzek, z wyjątkiem miejsc, gdzie rozciągały się pustynie.

– A co z Amazonią? – zapytała.

– Nawet byś się nie domyśliła, że kiedyś rosły tam lasy deszczowe. Pewnie i w tym przypadku nigdy się nie dowiemy, gdzie się podziały tubylcze plemiona.

Na wykonanych nocą zdjęciach Ameryki Północnej widać było ognisty pas z grubsza pokrywający się z granicą Kanady i Stanów Zjednoczonych.

– Ten kontynent jest akurat dosyć zacofany. Jest jakieś duże miasto tam, gdzie u nas St Louis,

i drugie na terenie jakby Massachusetts. Poza tym miasteczka i garnizony wojskowe. Na terenie śródmieścia Seattle, gdzie kiedyś mieszkałam, znajduje się warownia rzymskich legionistów, specjalnie sprawdzałam. To obecnie chyba jedyny obszar na powierzchni planety, gdzie prowadzone są działania wojenne.

– Akurat dobrze znam te ziemie, bo kiedyś tam służyłem. To my, Skandowie, dotarliśmy tam pierwsi ponad tysiąc lat temu, a dopiero po nas Brykanci i trochę później Rzymianie, częściowo skandzkimi statkami. Na północy znajduje się kraj Brykantów, dawniej porośnięty puszczą, gdzie pozyskiwaliśmy drewno do budowy dalekomorskich okrętów. Nasze największe miasto, położone blisko wschodniego wybrzeża, nazywa się Leifsholm. Południe, gdzie Rzymianie rozwinęli rolnictwo, stało się wielkim spichlerzem. Nad jedną z większych rzek założyli stolicę prowincji, Messalię. Nasze ziemie spotykają się na szerokości geograficznej, na której leżą śródlądowe morza. Nie ma tu dużych metropolii. W pewnym sensie wynika to z tradycji i względów historycznych. Miasta buduje się w starych krajach w Europie i Azji. Tej zasady trzymają się wszyscy: Zynowie, Rzymianie oraz my, Brykanci. Reszta świata jest po to, żeby ją eksploatować.

– Pogranicze wygląda mi na strefę wojny – stwierdziła Penny.

– I taka jest prawda – odparł Ari. – Rzymianie swoim zwyczajem posyłają legiony na północ. Aby im się przeciwstawić, wznosimy twierdze i przeprowadzamy kontrnatarcia.

– Myślałam, że współpracujecie ze sobą. Przecież organizujecie wspólne misje kosmiczne.

Ari wzruszył ramionami.

– Współpracujemy w sprawach związanych z lotami międzygwiezdnymi, lecz na Terze, w Walhallach, prowadzimy wojnę. Do pewnego stopnia to gra. Zabójcza, ale jednak gra. Dzięki temu rzymscy legioniści nie tracą sprawności bojowej, a generałowie mogą święcić triumfy. My z kolei wciągamy ich w pułapki, i to się nam podoba. Może i nie ma w tym większej logiki, ale czy kiedykolwiek polityka imperium opierała się na racjonalizmie? Jakoś musimy zachować swą odrębność, Penny Kalinski. Zresztą swego czasu Rzymianie zamierzali najechać Prytanikę. Czegoś takiego nie puszcza się w niepamięć.

Penny pokręciła głową.

– Przekształcacie kontynent w wielki poligon wojskowy?

– A na co komu taki pusty ląd?

– Jeszcze byś się zdziwił – powiedziała z irytacją Penny.

– A więc trójstronna wojna – odezwał się McGregor – teraz przeniesiona na cały obszar Układu Słonecznego?

– Od wieków nic się nie zmienia – powiedział Ari. – Widocznie tak musi być…

– Przekazujesz im strategiczne informacje, *druidzie*?

Odwróciwszy się, Beth zobaczyła wchodzącą do kabiny Kerys, *trierarchusa* dowodzącego tym statkiem. Podążała za nią realistyczna postać Earthshine'a; był to imponujący pokaz wirtualnej projekcji emitowanej z urządzenia, w którym przechowywana była rdzeniowa sztuczna inteligencja.

Ari stanął w postawie na baczność.

– Nie taki cel mi przyświecał, *trierarchusie*. Sądzę, że dowiedziałem się nie mniej o domu Beth Eden Jones i jej towarzyszy niż oni o naszym.

Lex McGregor uśmiechnął się szeroko.

– Z całą pewnością, cwany lisie.

Z dłońmi splecionymi na plecach Kerys podeszła do okna i spojrzała w kosmos, omijając wzrokiem lśniącą powierzchnię Ziemi.

– No cóż, nasi rywale już czyhają w pobliżu. Zastanawiają się, co postanowimy z wami zrobić, z załogą „Tatanii". Chyba logiczne, że moi zwierzchnicy w Dumnonie pozostawili decyzję mnie.

– Jakże mi cię żal – rzekł chłodno Lex McGregor.

Kerys uniosła brwi.

– Śmiało poczynasz sobie z oficerem, który trzyma cię za jaja na skraju przepaści.

McGregor parsknął śmiechem.

– Co mam począć z kimś takim jak ty, generale? Spójrz na siebie: stary, siwy, najlepsze czasy dawno masz już za sobą. Jaki z ciebie pożytek? Mogłabym cię odstąpić Rzymianom. Dostarczyłbyś im odrobinę rozrywki, gdyby wypchnęli cię na arenę z jednym lub dwoma gladiatorami.

Odsłonił zęby w uśmiechu, nie bojąc się gróźb.

– Już widzę, jak się za to zabierają. Wydaje mi się, że moja wartość nie podlega dyskusji. Reprezentuję sobą całkowicie odmienną tradycję wojskową i tak samo inną filozofię lotów kosmicznych. – Poklepał się po siwiejącej głowie. – Mógłbym wam służyć doświadczeniem. Ale jestem tylko częścią kompletu – dodał twardym tonem. – Ze mną idzie załoga: Golvin, Kapur, cała piątka. Bez nich nie będziecie mieć ze mnie pociechy, w niczym wam nie pomogę. Ale jeśli oddacie kogoś Zynom lub Rzymianom, pójdę za nim.

– Lojalność godna pochwały. – Kerys starała się zachować kamienne oblicze. – Co się tyczy ciebie, Penelope Kalinski, to powiem szczerze, że widzę w tobie ogromny potencjał. Twoja wiedza z zakresu matematyki i nauk przyrodniczych, umiejętności techniczne… Gdybyś zdążyła

przekazać brykanckim studentom choćby ułamek swojej wiedzy, miałoby to dla nas nieocenioną wartość.

Penny pokiwała głową. Była opanowana, niewzruszona, jakby już wszystko sobie przemyślała.

– Mogło mi się mniej poszczęścić. Będę potrzebowała Jianga, oczywiście.

– Weźmiemy to pod uwagę – stwierdziła niezobowiązująco Kerys. – A teraz ty, Beth Eden Jones… – Przewiercała ją wzrokiem.

Beth bezwiednie dotknęła okrywającego jej twarz tatuażu, pamiątki po dzieciństwie spędzonym na Per Ardui. Brykanci patrzyli na nią trochę jak na dzikuskę.

– Jestem zmuszony wstawić się za nią – odezwał się prędko Ari, zanim Kerys ogłosiła wyrok. – *Trierarchusie*, pod wieloma względami to właśnie ona jest najcenniejszym nabytkiem! Urodziła się i dorastała na planecie w innym układzie słonecznym! Otoczona przyrodą, o której nam się nie śniło. Jak wiadomo, nasze statki nie znalazły śladów życia na żadnej planecie obiegającej Proximę. Jako młoda kobieta przybyła na Terrę, a ponieważ nie jest stąd, może oceniać swoją cywilizację obiektywniej niż jej towarzysze. Oczywiście trudno mi określić, czego się od niej dowiem, mając trochę czasu, jednak…

– Wystarczy, *druidzie* – przerwała mu Kerys, unosząc rękę. – Przekazałeś swój punkt widzenia.

– Zostałem jeszcze ja – odezwał się słodkim głosem Earthshine.

– No właśnie. I z tobą mamy największy problem. Maszyneria, która podtrzymuje twoje istnienie, przechodzi nasze najśmielsze wyobrażenia. Kto mi zagwarantuje, że nie stanowisz zagrożenia dla moich rodaków?

– Tak samo nie wiesz, jaką wiedzę mógłbym wam przekazać, gdybyście umieli ją przyjąć.

– No dobrze, tylko coś ty za jeden? – Obeszła go dookoła, dokonując oględzin. Gdy przesunęła dłoń przez ramię Earthshine’a, niektóre piksele rozproszyły się w powietrzu, co sprawiło, że wzdrygnął się w wyniku pogwałcenia protokołów zachowania spójności. – Kim ty właściwie jesteś? Przecież nie człowiekiem? Jesteś czymś więcej niż marionetką? Masz własny rozum?

– Zarzucano mi kiedyś, że oszalałem – odpowiedział z chłodnym uśmiechem. – A czy ktoś pozbawiony rozumu może zwariować? I pozwól, że ci przypomnę, co skrywa mój sztuczny umysł, moja przepastna pamięć. Sekretne informacje, dzięki którym „Tatania” była w stanie latać. Holujecie kadłub statku, który nadaje się tylko na złom. Zapisałem w sobie całą wiedzę na temat naszej rzeczywistości i wszystkiego, co udało nam się osiągnąć.

Keris zmarszczyła czoło, lecz widać było, że jest zaintrygowana.

– Na przykład?

– Zaraz coś ci zademonstruję. Tylko proszę cię, nie sięgaj po broń.

Wykonał w powietrzu pewien gest, łącząc dłonie w miseczkę.

Przed nim zastygł obraz przedstawiający kulę o półmetrowej średnicy. Powierzchnia w większości była pokryta szarobiałym lodem skrzącym się w promieniach niewidocznego słońca, lecz pod zakrzywionymi dachami ze szkła istniało życie w kolorach błękitu i zieleni.

Ari aż westchnął.

– Ależ to piękne!

– To świat. Ściślej mówiąc, planetoida, jedna z waszych Łez Ymira. Spośród nich największa; z pewnością jakoś ją nazywacie. Nasza nazwa to Ceres.

– My mówimy: Höd – rzekł Ari. – Jak ślepy przyrodni brat Baldura, ulubieńca starych bogów.

– Olbrzymie sale, które widzicie, to dzieło naszych budowniczych. Ceres stała się punktem wyjścia do eksploracji planetoid. A tu macie kolejny świat.

Pstryknął palcami, i oto lodową Ceres zastąpił świat o bardziej znajomym wyglądzie: rdzawopomarańczowa kula o powierzchni poznaczonej kanionami i kraterami, z czapami lodu na biegunach przypominającymi kremowe ciastka.

– Mars – powiedziała Kerys.

– Tak, obie cywilizacje stosują tę nazwę. Zobaczcie, co tam wybudowaliśmy. – Rozsunął dłonie. Obraz planety powiększył się, nagle mglisty i niewyraźny, lecz środek usytuowany przed piersią Earthshine’a przybliżył się i zogniskował na rozległym mieście z wieżą w samym centrum: podobną do igły budowlą, której wysokość dało się oszacować dopiero wtedy, gdy skala pozwoliła dostrzec u podstawy wieży pojedynczych ludzi w skafandrach ciśnieniowych. – To chińska stolica w regionie nazywanym przez nas Terra Cimmeria. Wiem, jak wszystko to zostało zbudowane, nawet ta wielka wieża. Wprowadziłbym was w tajniki tej wiedzy. A to tylko początek. Znowu ostrzegam, nie bójcie się.

Na jego odwróconych spodem do góry dłoniach zaczęły spacerować rozmaite zwierzęta: słonie, bizony, lwy, konie. Aby dać wyobrażenie co do ich wielkości, przy każdym trójwymiarowym wizerunku znajdował się człowiek.

Brykanci wpatrywali się bez słowa.

– Przede wszystkim z tego powodu zostaliśmy stworzeni kilkaset lat temu, ja i moi bracia. Aby uchronić od zagłady rzesze istot zamieszkujących planetę. Nasze środowisko naturalne nie zostało spustoszone w takim stopniu jak wasze. Mimo wielowiekowych wytężonych wysiłków – dodał cierpko. – Znacie te zwierzęta jedynie ze skamieniałych szczątków, z kości wygrzebywanych z ziemi. W waszej świadomości słonie, małpy i wieloryby są równie odległe

jak dinozaury. Przechowuję zapisy genetyczne, czyli informacje niezbędne do wskrzeszenia wymarłych gatunków, do ich odtworzenia. Mogę wam pomóc w odzyskaniu przeszłości.

Postacie zwierząt rozpłynęły się w nicość. Opuścił ręce.

– Mam również książki – kusił Earthshine. – Dzieła sztuki. Pomyślcie tylko, dwa tysiące lat odmiennych tradycji. – Postukał się w głowę. – I wszystko kryje się tutaj…

– Tu nie ma co debatować – przerwała mu Kerys. – Niezależnie od tego, kim jesteś, nie możemy pozwolić, żebyś wpadł w ręce naszych rywali. Witaj na pokładzie – dokończyła krótko.

Earthshine ukłonił się lekko, jakby nie spodziewał się innej odpowiedzi.

Beth zauważyła jednak rzecz dziwną: *druidh* Ari Guthfrithson wydawał się do tego sceptycznie nastawiony. A wydawać by się mogło, że skoro jest uczonym, tym chętniej przyklaśnie propozycji Earthshine'a.

– No, skoro mamy to już za sobą, czeka nas praca – oświadczyła z wigorem Kerys. Ponownie wyjrzała przez okno. – Nie muszę informować Dumnony o swojej decyzji, mam tylko wcielić ją w życie. A tamci lepiej niech o niczym nie wiedzą. Ari, ty tu dowodzisz. Chcę, żeby wszyscy siedzieli w fotelach z zapiętymi pasami, gdy za godzinę będziemy lądować.

– Rozkaz, *trierarchusie*. – Ale gdy Kerys wyszła z kabiny, Ari wciąż nie spuszczał wzroku z Earthshine'a.

Wirtualna postać uśmiechnęła się ciepło.

– Życzyłbyś sobie jeszcze czegoś, *druidzie*? Bądź co bądź, decyzja już zapadła.

– Wiem. Jednak niepokoi mnie to, że w ciągu całej tej widowiskowej prezentacji cudów, które masz do zaoferowania, ani razu nie wspomniałeś o tym, czego oczekujesz w zamian.

Earthshine rozłożył ramiona.

– Twój *trierarchus* zobowiązał się przedłużyć moją egzystencję. To mało?

– Dla kogoś takiego jak ty chyba tak.

Przyglądając się Earthshine'owi, a także ostrożnym reakcjom Penny Kalinski i nawet Lexa McGregora, Beth zaczęła podejrzewać, że *druidh* ma rację. Gra toczyła się o coś znacznie większego, niż Earthshine był skłonny wyjawić.

W tym momencie rozbrzmiały świdrujące dźwięki trąbki alarmowej, więc rzucili się w stronę foteli amortyzacyjnych. Nie było czasu na rozmowy.

Rozdział 12

AD 2222; AUC 2975

Już z powierzchni bezimiennej planety obiegającej Romulusa Stef Kalinski mogła dostrzec „Malleusa Jesu”, należący do Cesarstwa Rzymskiego statek gwiezdny klasy sol, będący świetlistym punktem na wypranym z kolorów niebie. Dopiero jednak gdy opuszczali na dobre planetę, podróżując na orbitę jednym z ostatnich wahadłowców wraz z Yurim, ColU, Tytusem Waleriuszem i jego córką, miała okazję obejrzeć z bliska sylwetkę statku.

Zbudowany z metalu i chyba jakiegoś tworzywa ceramicznego „Malleus Jesu” miał kształt grubego walca, na jednym końcu zwieńczonego kopułą, na drugim płasko ściętego. Wyglądało na to, że poszczególne segmenty połączono za pomocą ogromnych nitów. W ścianach potężnego korpusu widniały zasłonięte żaluzjami okna. Statek powoli obracał się wokół własnej osi; być może chodziło o to, żeby promienie słońca nie nagrzały nadmiernie jednej sekcji kadłuba. Na ścianach, w iście rzymskim stylu, kunsztownie wyrzeźbiono ogromne postacie w triumfalnych pozach: bohaterów wojennych dumnie depczących pokonanych przeciwników lub maszerujących na podbój nowych światów. Bogatą ornamentyką pokryte było również obrzeże przedniej kopuły, choć ona sama wyglądała jak pryzma prymitywnie poskładanych warstw kamieni.

Tytus Waleriusz, usadowiony obok niej, zaznaczał swoją obecność wonią potu, słomy i skwaśniałego wina. Wskazał dolną część kadłuba statku.

– Ziarna. Cały zestaw. Do napędzania statku.

– Znam teorię – odpowiedziała chłodno.

– Pół drogi pchają, potem zwrot, drugie pół zwalniają i przystanek na Ziemi. – Po raz drugi wyciągnął palec, tym razem w stronę kopuły. – Osłona przed kosmicznym pyłem. Kamienie pozbierane z planety. Niewolnicy w pancerzach wywijali łopatami.

Mówiąc o pancerzach, miał na myśli – o czym Stef już wiedziała – pewien rodzaj topornych skafandrów ciśnieniowych.

Przez okno popatrzył także Yuri – blady, lecz skupiony.

– Wygląda jak kolumna Trajana zwieńczona panteonem.

Stef pociągnęła nosem.

– A mnie się kojarzy z fallusem. „Penis Jesu”.

– Daj spokój! Przecież to niesamowite. Statek kosmiczny Cesarstwa Rzymskiego! Zastanawiam się, jak oni, do licha, pilotują to pudło.

– Silniki nie zawsze są włączone – rzekł Tytus.

Stef pomyślała, że dosłowne tłumaczenie tych słów brzmiałoby: Wulkany nie zawsze plują ogniem.

– Co miesiąc wyłączają je i obracają statek. – Zobrazował to ruchem zdrowej ręki, jakby przesuwał lufę armaty. – Mierniczy przyglądają się gwiazdom, a następnie korygują ustawienie statku, abyśmy nie zeszli z kursu, i ponownie odpalają silniki. Podobnie legioniści pilnują kierunku w czasie marszu. Wyznaczasz odcinek drogi, a pod koniec dnia mierniczy sprawdzają, czy kolumna zmierza dokładnie tam, gdzie powinna. Nazajutrz znowu to samo. Genialny sposób. Pamiętam taką kampanię, kiedy…

– Nawigacja zliczeniowa – stwierdził ColU. – Prowadzenie pomiaru położenia gwiazd i ustawianie statku na obrany cel. Oni tu nie mają komputerów, Yuri, co najwyżej liczydła. Posługują się astrolabiami, planisferami, telluriami, sekstantami i dokładnymi zegarami, mechanicznymi i bardzo złożonymi. Ten statek kosmiczny pilotowany jest za pomocą mechanizmów zegarowych! Ale jeśli dysponujesz brutalną energią ziaren, nie musisz przejmować się drobiazgami, niuansami sterowania. Wystarczy nakierować się na cel i odpalić silnik.

Tytus znowu wskazał statek kosmiczny.

– Siedem pokładów. Każdy wysoki na sześćdziesiąt jardów. – Wymieniał je po kolei, zaczynając od podstawy: – Ziarna i ładownie, farma, kojce niewolników, koszary, obóz, miasto, wille oficerów.

Stef w skupieniu próbowała przetrawić te informacje. Słowo, które ColU przetłumaczył jako „jard”, oznaczało rzymską jednostkę długości zbliżoną do znanego jej jardu, trochę mniejszą niż metr.

– W takim razie cylindryczny korpus musi mieć około czterystu metrów długości. I jakieś sto metrów średnicy, sądząc po proporcjach. Ależ gigant! Tytusie, praktycznie nic nam nie powiedziano o tym locie.

Parsknął.

– Typowe dla oficerów. Niczego ci należycie nie wyjaśnią, a potem dostajesz kopa w dupę, bo robisz coś na opak…

– Na przykład nie wiemy, jak długo potrwa podróż – indagowała cierpliwie.

– Prosta sprawa – odparł. – Cztery lata i trzysta trzydzieści sześć dni. Tyle samo co w tę stronę.

– Alleluja! – zawołał kpiącym tonem ColU. – Nareszcie jakieś konkretne liczby! Będziemy podróżować w warunkach pełnej grawitacji?

Odpowiedziała mu cisza.

– Czy po włączeniu silników będziecie ważyć tyle samo co na Terze?

Legionista główkował przez chwilę.

– Tak – oświadczył wreszcie. – Oficerowie nie chcą, żebyśmy pływali w powietrzu i tracili krzepę jak na Lunie lub Marsie. W trakcie lotu ćwiczenia są cięższe niż na ziemi.

– Na pewno – zgodziła się z nim Stef. – Znam wojsko. Siedzicie zamknięci w wielkiej blaszanej puszce, więc niżsi stopniem muszą dostawać wycisk, żeby odechciało im się małpich figli.

– Dysponując liczbą podaną przez legionistę, mogę wstępnie wyliczyć, jak daleko jesteśmy od domu – oznajmił ColU.

Gdyby lecieli bez wyłączania silników z przyśpieszeniem równym przyśpieszeniu ziemskiemu, mniej więcej po roku prędkość statku zbliżyłaby się do prędkości światła.

– Oczywiście nie przekroczymy prędkości granicznej, lecz poczujemy wpływ dylatacji czasu. Czas na pokładzie statku będzie biegł bardzo wolno z punktu widzenia obserwatora na Ziemi…

– Mam dwa doktoraty z fizyki – burknęła Stef. – Wiem, na czym polega relatywistyczna dylatacja czasu.

– Słuchajcie, ja mam nieco mniej doktoratów – wtrącił zmęczonym głosem Yuri. – Przejdź do podsumowania, ColU.

– Jeśli w naszym subiektywnym odczuciu podróż potrwa cztery lata i trzysta trzydzieści sześć dni, na Ziemi upłynie jedenaście lat i dziewięćdziesiąt jeden dni. Należałoby jeszcze wziąć poprawkę na manewry przy wyłączonym silniku. Układ gwiazd podwójnych Remusa i Romulusa musi się znajdować w odległości około dziewięciu lat świetlnych od Ziemi. W sumie Tytus spędzi w kosmosie jakieś dziesięć lat, lecąc do celu podróży i z powrotem, do tego dodajmy trzy lata na planecie. Zatem jego misja potrwa lat trzynaście. Ale zanim wróci do domu, tam minie prawie ćwierć wieku.

Tytus wzruszył ramionami.

– Wiedziałem o tym, gdy się zaciągałem. Jest tu ze mną córka i nie mam innych krewnych, o których mógłbym się martwić. A w domu legionowe *collegia* zadbają o to, żeby nie stała nam się krzywda. Będzie uczciwe wynagrodzenie, dożywotnia pensja, wszystko.

– Być może potrzebne jest właśnie cesarstwo – powiedział ColU – poważne, stabilne i długowieczne, żeby organizować operacje na tak dużą skalę.

– My, Rzymianie, potrafimy to robić – stwierdził lakonicznie Tytus. – Za chwilę łączymy się

z „Malleusem”. Nie zapomnijcie o zapięciu pasów.

Wahadłowiec przybił do węzła cumowniczego umiejscowionego w wolno obracającym się kadłubie statku kosmicznego. Stef zauważyła w tym miejscu duże wymalowane cyfry „V”, co chyba oznaczało, że wejdą na pokład piąty, który Tytus nazywał obozem.

Wiedziała, że załoga okrętu należącego do ISF nawet nie próbowałaby cumować do obracającego się obiektu, chyba że na osi obrotu. Tymczasem tutaj załoga wahadłowca poczynała sobie z zatrważającą nonszalancją, podlatując do poruszającego się „Malleusa”, aż wpadli w specjalne sieci, które zgrabnie ich pochwyciły i przyciągnęły do kadłuba, gdzie zacisnęły się z hałaśliwym brzękiem szczęki mocujące. Gdy manewr cumowania dobiegł końca, do uszu Stef doleciały zza zamkniętych drzwi radosne okrzyki i odgłosy poklepywania się po plecach. Nie poznała osobiście żadnego z pilotów, lecz widziała ich przed startem. Byli to młodzi Brykanci, kobiety i mężczyźni, bystrzy i zadziorni, lubiący popisywać się swoimi umiejętnościami przed zalęknionymi, przesądnymi rzymskimi kolonistami. Stef wyswobodziła się z fotela zadowolona w duchu, że zakończył się ten ryzykowny pokaz sztuki pilotażu.

Przeprowadzono ich po kolei przez przejście u podstawy wahadłowca, aż minęli grube warstwy metalu i materiałów izolacyjnych i znaleźli się na pokładzie „Malleusa Jesu”. Praktycznie nic nie ważyli. Działała na nich jedynie delikatna siła odśrodkowa, skierowana ku ścianie obracającego się statku.

Stef musiała się teraz zorientować w otoczeniu – uświadomić zmysłom, gdzie jest dół, a gdzie góra, mimo że osaczał ją natłok wrażeń: jaskrawe światła, zapachy zwierząt i ludzi, plątanina elementów konstrukcyjnych, stosy sprzętu i zapasów na podroż, pasażerowie fruwający w powietrzu. Statek jakby się wyprostował. Powierzchnia kadłuba, którą miała za sobą, nie była już podłogą ani sufitem, lecz pionową ścianą. Roztaczał się stąd doskonały widok na cylindryczne wnętrze kadłubowca. „Sufit” wysoko w górze i „podłoga” nisko na dole, wyglądające jak gigantyczne płyty, wyznaczały krańce piątego pokładu – całej tej przypominającej placek sekcji statku. Gdzieniegdzie w płytach pozostawiono otwory dla przeprowadzenia rur i kanałów technicznych. Pokład statku łączyło pośrodku coś na kształt drążka strażackiego, z którego zwisały łańcuchy. W wielu miejscach stały stalowe słupy, których zadaniem było wzmocnienie szkieletu kadłuba, aby wytrzymał, jak przypuszczała, przeciążenia wynikające z ciągu silników ziarnowych. Piąty pokład był w zasadzie przepastną studnią o głębokości stu metrów i szerokości sześćdziesięciu, oświetloną wpadającymi przez okna promieniami słońca i blaskiem wielkich, prymitywnych jarzeniówek. Wysokie słupy spinające podłogę z sufitem kojarzyły się nieodparcie z katedrą.

Łudząco podobny do zaczątku kolonii na planecie obóz, niczym karta do gry, miał kształt

prostokąta z zaokrąglonymi rogami i znajdował się w samym środku rozległego okręgu. Patrząc w dół ze swojego punktu widokowego przy węźle cumowniczym, Stef dostrzegła znajomy układ krzyżujących się uliczek, elegancki budynek z desek będący prawdopodobnie *principią*, obok niego maleńką kapliczkę, za nią natomiast otwartą przestrzeń, która mogła być terenem ćwiczeń lub placem apelowym. Zobaczyła również ustawione rzędem spichlerze, lecz nie było zwykłych bloków koszarowych. Wszystkie zabudowania wyglądały dość prozaicznie, zbite z desek i kryte czerwoną dachówką. Ściany *principii*, czyli kwatery głównej, były chyba nawet otynkowane. Wystarczyło jednak przyjrzeć się uważnie, by zorientować się, że budynki są wzniesione na mocnych stalowych elementach nośnych, solidnie przyśrubowanych do płyt kadłuba.

Stef mogła napawać się surrealistycznym widokiem rzymskich legionistów, którzy przemieszczali się nad „obozem", pełznąc wzdłuż lin rozpiętych na całej długości olbrzymiego pokładu, ręcznie holując owinięte siatką zapasy, żywność, ubrania, a nawet broń.

Rzymski obóz w przestrzeni kosmicznej! Wiedziała już jednak, że połączenie antyku z nowoczesnością jest czymś typowym dla tych dziwnych Rzymian nowej ery.

Rozmowy z Eilidh, Moveną i Michaelem dały jej wiedzę na temat dziejów Cesarstwa, alternatywnych wobec znanej jej historii – będących ciągiem wydarzeń, które ostatecznie doprowadziły do tego, że rzymski legion wyruszył w podróż ku odległej gwieździe. Po śmierci Kartymandii ziemie Germanów zostały podbite aż po wybrzeże Bałtyku. To Wespazjan, późniejszy cesarz, był tym, który zatknął rzymskiego orła na brzegu Wisły. Kiedy plemiona germańskie zostały ucywilizowane, w drugiej połowie czwartego wieku hordy barbarzyńców nie przeprawiały się przez Ren jak w świecie Stef, gdzie przyczyniły się do upadku zachodniej części Cesarstwa. Rzym nadal rządził. W końcu jednak ustaliły się granice imperium rozrastającego się na obszarze Eurazji: na wschodzie powstrzymali je Zynowie, na północy Brykanci, na południu zaś barierą okazały się afrykańskie pustynie. Na wieki Rzym zamknął się w sobie i zastygł w miejscu. Obywatele płacili dotkliwe podatki, a zapatrzone w siebie cesarskie elity, wyniosłe i samowolne, motały się w intrygach i przewrotach pałacowych.

Wszystko to zmieniło się w dwunastym wieku. Już od dwustu lat dzięki odwadze swoich skandzkich sprzymierzeńców Brykanci budowali forty w Amerykach i wypuszczali się ku wybrzeżom Afryki, gdzie za równikiem szukali dla siebie nowych ziem. Rzymianie z pewnym opóźnieniem podążyli za nimi do nowego świata… i tak oto zakończyły się stulecia stagnacji. W kolejnej epoce ekspansji i podbojów Rzymianie znów przypominali swoich odległych przodków, których wyobrażali sobie jako surowych, chudych oraczy i żołnierzy. Zupełnie jakby Cesarstwo dostąpiło oczyszczenia. Choć nowożytni Rzymianie pozostali chrześcijanami, odgrzebali z zapomnienia tradycyjne formy społeczne i formacje wojskowe, jak chociażby

legiony. Do łask wróciły dawne zwyczaje w kwestii nadawania imion, usilnie badano starożytne rody. Dlatego właśnie planeta obiegająca odległą gwiazdę została skolonizowana przez jednostki dziewiątego legionu nazwanego Victrix dla upamiętnienia miażdżącego zwycięstwa nad Brykantami na południe od Wielkich Jezior. W późniejszych wiekach, ze względu na zakaz strzelania ładunkami wybuchowymi w hermetycznie zamkniętych kadłubowcach tudzież w kosmicznych i planetarnych habitatach, nastąpił renesans tradycyjnej broni do walki wręcz. Powróciły więc oszczep, miecz i puginał: pilum, *gladio*, *pugio*.

Stef była wszakże święcie przekonana, że żaden Rzymianin ze znanej jej „starej" historii nie zetknął się z tym, co ona teraz zobaczyła na drugim końcu pokładu, gdzie oddział legionistów pod nadzorem unoszącego się nad nimi trybuna szarpał się z oporną sflaczałą powłoką *cetusa*, próbując ją złożyć.

Tytus przywołał do siebie nowo przybyłych. Niósł w torbie ColU, z którym obchodził się nad wyraz ostrożnie, co nie uszło uwagi Stef.

– Idziemy – zakomenderował. – To jest pokład przeznaczony dla żołnierzy. Dla was znajdzie się miejsce w mieście cywili piętro wyżej. – Chwyciwszy się liny, mając pakunek zamocowany pod szyją, zaczął podciągać się jedną ręką w kierunku sufitu.

Stef i Yuri popatrzyli na siebie, wzruszyli ramionami i udali się w ślad za nim. Stef celowo puściła przodem Yuriego, nie wiedząc, w jakiej dziś jest kondycji, lecz wydawało się, że radzi sobie całkiem nieźle. Może brak siły ciężkości, przynajmniej na krótką metę, dobrze mu zrobi?

Nie przerywając wspinaczki, zawołała do Tytusa:

– Dlaczego nosisz ColU? Co z Chu?

– Zaprowadzą go prosto na pokład trzeci.

Przypomniała sobie, że tam właśnie mieszczą się kojce niewolników, o czym wspominał Tytus. Nad farmą, a pod koszarami.

– Niewolnicy zachowują się jak bydło, w nieważkości tym bardziej. Plączą się bez celu i w kółko wymiotują. Najlepiej powiązać ich na czas trwania lotu. Zobaczycie Chu dopiero wtedy, gdy ruszymy w drogę i zaprowadzimy należyty porządek na statku.

Wiedziała, że Tytus nie przyjmie jej argumentów.

Bez problemów przedostali się przez otwarty luk na pokład szósty. Luk wprawdzie nie był zamknięty, lecz Stef zauważyła masywną żelazną pokrywę na zawiasach. Podejrzewała, że brano tu pod uwagę konieczność odgrodzenia całych pokładów w przypadku katastrofy, na przykład rozszczelnienia kadłuba statku… czy nawet buntu niezdyscyplinowanych żołnierzy lub zamieszek w kojcach niewolników.

Gdy tylko wypłynęli na górę, stale pomagając sobie linami, Stef zorientowała się –

bynajmniej niezaskoczona – że pokład banalnie nazwany przez Tytusa „miastem” poniekąd faktycznie nim jest: typowym rzymskim miasteczkiem w pigułce, trochę jak ogrodzona murem podmiejska dzielnica. Wzbijając się bez trudu nad kryte dachówką zabudowania, zobaczyła krzyżówkę ulic otaczającą centralny plac, prawdopodobnie forum. Wokół niego stały kilkupiętrowe portyki, na skraju zaś niewysoki łuk triumfalny. W jednym miejscu przy ścianie piętrzyły się rzędy siedzeń na podobieństwo amfiteatru, widowni na wolnym powietrzu. Na obwodzie kadłuba urządzono kolistą bieżnię – do biegania lub uprawiania innych dyscyplin sportowych. Wszędzie w powietrzu kłębili się ludzie; mężczyźni, kobiety i dzieci krążyli nad budynkami i nurkowali ku zatłoczonym ulicom. Panująca w tej zamkniętej przestrzeni huczna wrzawa odbijała się echem od przepierzenia wysoko w górze, jakby tłumy kibiców oglądały tu jakieś wielkie widowisko.

Stef czuła się przytłoczona pełną życia atmosferą tego miejsca i jego złożoną strukturą. Dopiero tutaj zdała sobie sprawę, jak słabo poznała tę wędrowną społeczność, będąc jeszcze tam w dole, na powierzchni planety. Teraz widziała ich wszystkich wpakowanych do tej kosmicznej puszki, szykujących się do pięcioletniej podróży do domu. Wyczuwała również, nawet bardziej niż na pokładzie żołnierzy, kwaśny smród wymiocin wywołanych nieważkością. W ogólnym hałasie przewijał się płacz małych dzieci. Wszystkie w wieku poniżej trzech lat musiały się urodzić na obcej planecie i z pewnością oszołomiło je wnętrze statku kosmicznego.

Dając popis naturalnej zręczności – imponującej, biorąc pod uwagę, że miał do dyspozycji tylko jedną rękę – Tytus przeprowadził ich przez gmatwaninę łączników linowych między budynki położone w odległości jednej przecznicy od forum.

– Przydzielono wam tu dom. Nie najgorsza dzielnica, blisko do sklepu spożywczego i tawerny. Musicie się zameldować, wasz opiekun na pewno was znajdzie. Zanim zostaną włączone silniki, przyjdzie *optio* i sprawdzi, czy u was wszystko w porządku. Macie jakieś pytania?

– Dlaczego kryjecie domy dachówkami? – zapytał Yuri. – Przecież to statek kosmiczny.

Tytus wzruszył ramionami.

– Czasem pada tu „deszcz”. Trzeba oczyszczać powietrze z kurzu. Poza tym tradycja nakazuje układać dachówki. My, Rzymianie, nie żyjemy jak zwierzęta.

– Nie do wiary, jakie to wszystko duże – powiedziała Stef. – Wiesz może, Tytusie, ile tu jest osób na pokładzie?

– Hm, główny trzon to my, centuria legionu XC. Osiemdziesięciu ludzi plus minus. Dochodzą oficerowie, personel, żołnierze posiłkowi, ich żony i rodziny. A przecież są jeszcze kupcy,

kucharze, rzemieślnicy, lekarze, nauczyciele i tak dalej. No i załoga statku złożona głównie z Brykantów i Arabów. Pominąłem kogoś?

– A niewolnicy?

– No tak, jeszcze oni – odparł Tytus. – Jest ich tyle samo co żołnierzy i innych obywateli. Wydaje mi się, że ogółem uzbierałoby się pięćset, sześćset istot ludzkich.

– Sporo.

– Tak to już jest u Rzymian. Na mniejszą skalę po prostu się nie da.

– Otóż to – odezwał się ColU. – I dlatego statek musi być taki duży. Stef Kalinski, wiemy przecież, że ci ludzie nie potrafią budować skomplikowanych mechanizmów. Wykonane w mikroskali systemy podtrzymania życia przekraczają ich możliwości techniczne, więc tworzą gigantyczne! Zabierają w podróż ogromne ilości wody i powietrza. Powiedziałeś, Tytusie, że macie tu pokład przeznaczony na farmę?

– Tak. I mnóstwo zieleni na pokładzie willowym.

– Buduje się z takim rozmachem, że ekosystem, mimo prostych środków technicznych, jest niepodatny na szkodliwe wpływy, stabilny mimo okresowego wymierania gatunków lub ich nadmiernego rozrostu. Jest w tym pewna logika.

– A więc kiedy zostaną włączone silniki ziarnowe? – zwrócił się Yuri do Tytusa.

Rosły mężczyzna wyszczerzył zęby.

– Za sześć godzin. I lepiej, żebyście leżeli plackiem, kiedy zadmą w róg. A najlepiej to nie ruszajcie się z domu. To nie jest obóz wojskowy, nie ma tu żadnej dyscypliny. Nikt nie słucha ostrzeżeń. Niebo roi się od małych fąfli i ich kup, wszystko wisi w powietrzu. Nie chcielibyście, żeby taki deszcz spadł wam na głowę. Chodźcie, pod nami wasze mieszkanie. Wprowadzę was do środka…

Stef wyobrażała sobie, że lądują niczym aniołowie na ulicy, gdzie przyjdzie im mieszkać przez pięć lat.

Dokładnie sześć godzin później, przy zgodnym akompaniamencie trąbek, włączył się napęd ziarnowy u podstawy statku.

Stef rozmyślała o otwieranych bramach tajemniczych tuneli czasoprzestrzennych, z których tryska energia, strumienie wysokoenergetycznego promieniowania i ultraszybkich cząstek. Potężniejąca siła ciągu wywierała coraz większy nacisk na olbrzymie, niezgrabne cielsko „Malleusa Jesu”.

W miarę jak wzrastało przyśpieszenie statku, Stef – siedząca wraz z Yurim i ColU na miękkich fotelach amortyzacyjnych w przydzielonym im domu, w którym tynki ozdobiono tanimi freskami – coraz wyraźniej słyszała szczęknięcia, skrzypienie i odległy łomot, gdy

monstrualny kadłub reagował na naprężenia konstrukcji. Gdzieś z brzękiem rozbiła się spadająca dachówka. Przypuszczała, że szkielet skorupy statku jest wystarczająco mocny; jeśli wierzyć zapewnieniom Eilidh, został wykonany z porządnej skandzkiej stali, nie z rzymskiego badziewia. Mimo wszystko po trzech latach mikrograwitacji – po trzech latach zaniedbań, gdy każdy przebywał na powierzchni planety – musiały zdarzyć się drobne awarie: pęknięcia rur, uszkodzenia kabli. Z dala dochodziły krzyki i alarmowe granie rogów, kiedy brygady techniczne próbowały sobie radzić z różnymi miejscowymi dramatami. Usłyszała nawet, jak coś się rozpada z szumem morskiej fali bijącej o brzeg; być może zawaliła się część jakiegoś budynku.

Do tego wszystkiego doszli ludzie. Gdy razem z Yurim siedziała w półmroku (zgodnie z przepisami w czasie rozruchu silników nie wolno było palić lamp naftowych) i gdy zwiększający się ciężar ciała wgniatał ją głębiej w fotel, wszędzie – na całym pokładzie i w mieście rodem z zabawkowej kolejki szynowej – rozlegały się okrzyki i jęki, gdakanie zestresowanych kur, szczekanie zdezorientowanych psów i płacze dzieci.

Pięć lat w czymś takim, pomyślała Stef. Zamknęła oczy i spróbowała się rozluźnić, gdy zwiększała się sztuczna grawitacja.

Rozdział 13

Tydzień po starcie Stef złamała zĄb.

W tym jakże niezwykłym otoczeniu, na pokładzie statku kosmicznego pilotowanego przez rzymskich legionistów, było to zaskakująco przyziemne zdarzenie, spowodowane ugryzieniem grubej kromki stwardniałego chleba. Wiedziała już co nieco o guzach, które namnożyły się w ciele Yuriego; ColU potrafił je wykryć, lecz nie mógł ich usunąć bez przyrządów medycznych pozostawionych wraz z jego fizyczną powłoką na Per Ardui. To, czego Yuri nie chciał jej powiedzieć, wydusiła z Michaela, życzliwego im lekarza. Zatem w porównaniu z problemami zdrowotnymi Yuriego ząb wydawał się błahostką.

Mimo to bolał.

Pewnego razu za pośrednictwem jednego z tabletów ColU współczująco cmokał podczas badania jej zęba. Stef zastanawiała się przez chwilę, skąd się wzięło w mózgu maszyny rolniczej to szczególne natręctwo.

– Zwykły pech – zawyrokował. – Masz bardzo zdrowe zęby, jak na kobietę w słusznym przecież wieku.

– Dzięki.

– Ale nic cię nie uchroni od niezmielonych ziaren w bochenku chleba. Niestety, nie jestem w stanie ci pomóc. Brakuje mi ciała, manipulatorów… Dawniej mógłbym wyrwać ten ząb albo nawet wydrukować ci koronkę lub miniprotezę. Jednak teraz, gdy jestem bezcielesny…

– No więc co mam robić? Przywiązać sznurek do klamki?

– Poproś Rzymian o pomoc.

– Rzymian? Miałabym szukać porady dentystycznej u starożytnych Rzymian?

– To wcale nie są starożytni Rzymianie – sprostował łagodnie ColU. – Zresztą możesz zwrócić się do Michaela, który jest Grekiem, a nie Rzymianinem. Rozejrzyj się za Tytusem Waleriuszem, niech cię do niego zabierze. Z doświadczenia ci powiem, że nawet jeśli nie posiada ogromnej wiedzy, potrafi uważnie słuchać. Zresztą założę się, że legionistom często wypadają zęby.

– Też mi pociecha.

Nie miała jednak zbyt dużego wyboru. Odczekała jeszcze kilka dni, przeżuwając zapas podarowanych im przez ISF bezcennych środków przeciwbólowych, które przenieśli w torbach przez Właz. Wyobrażała sobie naiwnie, że wystarczy porządny gorący prysznic, a poczuje się

sto razy lepiej. Tymczasem praktycznie nigdzie na statku nie było bieżącej wody – chyba że w łaźniach. Każdego ranka i wieczoru myło się w miednicy napełnianej w ogólnodostępnym hydrancie.

Ostatecznie, idąc za radą ColU, poprosiła o pomoc *medicusa*.

Michael uśmiechnął się do niej promiennie.

– Będę musiał uzupełnić zapasy w oficerskiej klinice. Każda wymówka jest dobra, żeby pójść na pokład willowy. Odszukaj mnie jutro.

Nazajutrz Tytus Waleriusz przeprowadził Stef przez prowizoryczne miejskie zabudowania do „wychodni", jak nazywała ją załoga. Był to słup w kształcie grubego walca, otwarty na każdym pokładzie, umiejscowiony centralnie na osi statku. Ów rozbudowany strażacki drążek biegł przez całą długość kadłubowca, wzdłuż niego natomiast w regularnych odstępach zjeżdżały lub wyjeżdżały platformy i klatki, poruszane za pomocą mechanizmów blokowych.

Stef odkryła, że w pokładach znajdują się dziury – przezornie odgrodzone. Z oczywistych względów bezpieczeństwa nie były rozmieszczone w jednej linii: otwory w podłodze nie pokrywały się z otworami w suficie. Jedynie wychodnia prowadziła na wszystkie pokłady. Stef pomyślała sobie, że ten działający na wyobraźnię wielki słup ma szczególną jednoczącą wymowę, wkłuty w metalowe niebiosa i takież podziemia, łączący oficerskie włości w koronie statku z sadybą inżynierów i zespołem ziaren na samym jego dnie. Będąc żołnierzem, rozumiała jednak strategiczne znaczenie szybkiej trasy, którą oddział legionistów mógł w kilka minut dostać się do dowolnej części statku. Podstawą rzymskiego imperium zawsze były drogi, co uwidoczniło się również tutaj.

Tak więc pozdrawiając skinieniem głowy wyraźnie znudzonych legionistów, którzy obsługiwali urządzenia, Tytus Waleriusz eskortował Stef z pokładu szóstego, gdzie mieściła się dzielnica miejska, na pokład siódmy, willowy.

Siedząc w stalowej klatce przypominającej windę, Stef miała wrażenie, że wznosi się do parku. Pierwszą rzeczą, która przykuła jej uwagę, była wszechobecna zieleń: zielone trawniki, drzewa i krzewy zanurzone w przyjemnie ciepłym, wilgotnym powietrzu. Dostrzegła zaledwie garstkę ludzi; kilku odzianych w togi mężczyzn ze zwojami prowadziło poważną dyskusję nad brzegiem jeziora, prostokątnego akwenu otoczonego posągami nagich postaci. Zupełnie jakby przyglądała się scenie żywcem wyjętej sprzed dwóch tysięcy lat, gdy senatorowie knuli zamach na Cezara. Jednakże nad głowami dyskutantów wisiała metalowa kopuła w kolorze błękitnego nieba, spojona nitami. Światło, którego ciepła barwa niewiele się różniła od blasku słońca, rozlewało się z fluorescencyjnych latarni uwieszonych na suficie. Delikatne zmarszczki przesuwające się po obsypanej liliami powierzchni stawu zapewne były efektem mikroskopijnej

niestabilności napędu ziarnowego, który poruszał tę śliczną scenerię parkową w międzygwiezdnej otchłani. Ciekawiło ją, w jaki sposób zabezpieczano wodę, gdy trzeba było wyłączyć silniki i obyć się bez sztucznej grawitacji.

Tytus Waleriusz prowadził ją nadbrzeżną ścieżką obok kamiennych bloków ustawionych wśród krótko przyciętej trawy. Był atletycznie zbudowanym mężczyzną, trochę niepasującym do tych idyllicznych pejzaży.

– Lekarz już czeka w kwaterze *optio* Gneusza Juniusza. Która nie jest tu wcale najwytworniejsza, wierz mi. Podobno cały ten pokład został zaprojektowany na wzór willi cesarza Hadriana, tej w Italii. Choć szerokość tamtej wynosiła chyba o wiele więcej niż sto kroków.

– Z pewnością.

– Zmarnowana przestrzeń, jeśli chcesz znać moje zdanie.

– Tak to już jest z oficerami. – Nagle przypomniała sobie, co mówił ColU o urządzeniach regulacji środowiska w tym olbrzymim kadłubowcu. – Tytusie, ten park może być integralną częścią systemów pokładowych, nie tylko luksusem dla oficerów. Cała ta roślinność to korzyść dla statku…

– Cicho. – Zamarł w bezruchu.

Z zagajnika wychynął kształtny zwierzęcy pysk. Coś jakby sarna. Przez chwilę zwierzę obserwowało Tytusa, po czym odwróciło się i jednym susem skryło w cieniu drzew. Stef dostrzegła jego smukłe ciało i biały ogon.

Tytus prychnął ze złością, gdy ruszyli przed siebie.

– Nie wolno nam polować.

Roześmiała się.

– Tu może być co najwyżej parę sztuk zwierzyny. Zresztą takie łowy nie byłyby sprawiedliwe. Zwierzę nie ucieknie daleko w tej metalowej skrzyni.

– To prawda. Wprawnie puszczona strzała przemknie od ściany do ściany. Mimo to odzywa się we mnie żyłka myśliwego; ruszyłbym na łowy choćby i z jedną ręką.

Poklepała go po ramieniu.

– Tytusie Waleriuszu, za kilka lat wrócisz do domu. Będziesz mógł wtedy polować do woli.

– Zabiorę cię ze sobą – obiecał. – Ale oto jesteśmy prawie jak własny dom dla ekwity i jego niższych rangą oficerów.

„Kwatera” Gneusza, ulokowana blisko okrągłej ściany kadłuba, okazała się zlepkiem budynków stojących pośrodku brukowanego dziedzińca, otoczonych starannie utrzymanym ogrodem. Stef szła za Tytusem, który śmiałym krokiem minął szeroko otwartą furtę. Na

podwórzu w kamiennej misie bulgotała fontanna. Eleganckie jednokondygnacyjne otynkowane budynki były pomalowane na biało i kryte czerwoną dachówką. Z okien jednego z nich, usytuowanego w rogu i mającego kształt kostki, ulatywała para. Jedynym nawiązaniem do podróży kosmicznych, zauważonym tu przez Stef, były stalowe obejmy, które przytrzymywały kamienne rzeźby, gdy znikała sztuczna grawitacja.

Tytus pochwycił zaciekawione spojrzenie Stef, która przyglądała się kłębom pary.

– Łaźnia. Czy tam, skąd pochodzisz, są łaźnie? – Uniósł wysoko palec. – Cała przestrzeń pod kopułą, w części dziobowej statku, jest jedną wielką łaźnią. Osobiście nigdy tam nie byłem. Mówi się, że są tam kohorty dziwek, kobiet i mężczyzn przeznaczonych do zadowalania oficerów. Prostytutek, którym nie dane jest nawet zobaczyć reszty statku, nie mówiąc już o docelowej planecie.

– Wyobrażam sobie.

– Ale najstarsi stopniem oficerowie, jak *optio*, posiadają prywatne łaźnie. Jest dość ciepła z ziaren, żeby ogrzać hypocausta, i dość niewolników zdatnych do służby, więc czemu nie? – Zmarszczył czoło. – A skoro o tym mowa, to powinien nas już powitać jeden z niewolników z domu *optio*, a jeśli nie on, to strażnik.

– Właśnie chciałam zapytać o niewolników. Od opuszczenia Romulusa nie widzieliśmy się jeszcze z Chu Yuenem.

– Mają tam jakieś kłopoty w kojcach. – Potarł nos drewnianym kikutem. – Byłoby lepiej, żeby *optio* postawił tu na straży ze dwóch ludzi. Nie spodziewamy się zamieszek, ale wszystko może się zdarzyć. Obcy nie powinni się tu pałętać tak swobodnie, jak my dzisiaj.

– Dobrze wiedzieć. – Z jednego z budynków wyszedł Gneusz Juniusz w luźnej todze, tuż za nim zaś Michael, ubrany skromniej w tunikę i lekki płaszcz, z torbą u boku.

Za otwartymi drzwiami Stef dojrzała świecącą latarnię, niski stół zarzucony zwojami, jakiś fresk na ścianie, coś jakby mozaikę na posadzce.

Tytus stanął na baczność.

– Przepraszam! Nie chciałem być bezczelny!

– Ależ nic się nie stało. To niezły pomysł, żeby wystawić tu straże. Zajmij się tym po powrocie do koszar, dobrze? I doradź innym oficerom podobne działania, przynajmniej dopóki nie wrócą niewolnicy. – Uśmiechnął się do Stef. – Miło cię znowu zobaczyć, pułkownik Kalinski. Jak ci się podoba podróż?

– Zapowiada się intrygująco. Ale dokucza mi ząb, który trzeba wyrwać.

Tytus otworzył usta w uśmiechu.

– Ułamał się na kawałku chleba. Nie wiem, w jakiej armii służyłaś, ale nie przeżyłabyś

miesiąca marszu z rzymskim legionem. Z całym szacunkiem.

– To samo można powiedzieć o prawie każdym z nas. – Michael zręcznie wydobył z torby lusterko z długim uchwytem. Poprosił Stef, żeby otworzyła usta, i przeprowadził krótką inspekcję.

– Nie ma oznak zakażenia ani żadnych ranek. Obawiam się jednak, że ząb trzeba usunąć.

Skrzywiła się.

– Bałam się, że to powiesz. Nie jestem wybitnie odporna na ból.

– Nie przejmuj się. Mam różne środki, zwłaszcza pastę, którą otrzymuje się z pewnych kwiatów rosnących wyłącznie w Dolnej Walhalli. Niczego nie poczujesz.

– Jak najbardziej potwierdzam – dodał z uśmiechem Tytus. – Smarują mnie tym, gdy dokucza mi kikut ręki. Pamiętam taką kampanię, kiedy…

– Dajże już spokój, legionisto – napomniał go *optio*. – Nie jesteś w koszarach…

– Przepraszam. Stef pytała o tego chłopca, Chu Yuena, któremu powierzyliśmy noszenie… Koliusza.

Gneusz pokiwał głową z poważną miną.

– Niestety, źle się dzieje w kojcach niewolników. Od startu nie wypuściliśmy stamtąd jeszcze ani jednego. – Uśmiechnął się. – Przez co narzekają ci, którym brakuje pewnych życiowych udogodnień.

Rozmowy o niewolnikach zawsze budziły niesmak w Stef. Zamierzała jednak drążyć temat. Tak jak pewnego razu powiedział ColU, spośród wszystkich niewolników mogliby przynajmniej zaopiekować się Chu.

– Nie możecie potraktować chłopaka ulgowo? Jest nam bardzo pomocny.

Gneusz zerknął na lekarza.

– Słuchaj, i tak miałeś zejść do kojców na kontrolę, prawda? Może byś odszukał tego chłopca i sprawdził, czy jest gotów wyjść? Weź ze sobą pułkownik Kalinski.

Stef wyczuła, że Michael nie jest zachwycony perspektywą tej wyprawy, lecz zdobył się na uprzejme kiwnięcie głową.

– Dobrze. Ale czy Tytus nie mógłby posłużyć nam za eskortę?

Tytus wyraźnie zmarkotniał, lecz zgodził się, z ponurą miną.

– Niech będzie, *optio*. W ciągu trzydziestu lat służby w legionie XC zaraziłem się chyba wszystkim, co tylko mogło mnie dopaść, i proszę bardzo, wciąż żyję.

– To się nazywa hart ducha – rzekł Michael. – Całkiem możliwe, że chłopca z zyńskiej rodziny oszczędzą plagi, gdy będzie zadawał się z resztą pospólstwa w kojcach.

Plagi?

– Ale po kolei – powiedział z uśmiechem lekarz, ujmując za ramię Stef. – Jeśli użyczysz nam pokoju, *optio*, zajmiemy się tym zębem.

Gneusz ruszył przodem, a za nim niechętnie podążyła Stef. Tytus odprowadzał ją wzrokiem, wesoło uśmiechnięty.

Rozdział 14

Po błyskawicznym i bezbolesnym zabiegu lekarz zalecił jej spędzenie trzech godzin w ciemnym i cichym pomieszczeniu, aby ustały skutki uboczne lekarstwa wmasowanego w dziąsła.

Gdy w końcu opuściła pokój, czekali już na nią Tytus z Michaelem.

– Jak się czujesz? – zapytał ów pierwszy z szelmowskim uśmiechem.

– Już dobrze, choć *medicus* musiał naszarpać się ze mną. – W rzeczywistości nadal nie czuła się najlepiej, lecz ani myślała przyznawać się do tego.

– Gdy będziemy zjeżdżać wychodnią, przygotuj się na to, że znowu zakręci ci się w głowie. – Legionista przeprowadził ich przez park z powrotem do „drążka strażackiego".

Przystanęli przy licznych kotwicach przymocowanych do lin, na których jeździły w górę i w dół rozmaite ruchome pomosty. Obok mechanizmów stało dwóch legionistów w niedbałej pozie.

– Ponieważ towarzyszy nam Michael – ciągnął Tytus – możemy zjechać wychodnią aż do samych kojców. Uwierz mi, czeka cię fajna wycieczka. Poczujesz się jak sam Jesu, kiedy w Dniach Ostatecznych wróci z nieba do Rzymu, mając po swej prawej i lewej stronie Augusta i Wespazjana, aby utwierdzić na wieki władzę cesarzy we wszechświecie.

– Wierzysz w to?

– Wierzą w to wszyscy żołnierze – odparł ironicznie Michael. – Jesu, bóg wojowników, okazał łaskę Rzymowi, prowadząc Konstancjusza I do wspaniałego zwycięstwa. Ja zaś, jak większość Greków, podchodzę do tego od strony filozoficznej. Interesuję się bardziej tym, co powiedział Jesu, niż co zrobił. Co się tyczy Brykantów, oni także są chrześcijanami, ale wolą wizerunek Jesu jako przyjaciela rybaków, a nie świętego wojownika, który ostrzem miecza ocalił od zepsucia Jerozolimę.

– Ale wszystko jest w Biblii – rzekł z ożywieniem Tytus. – Nie zaprzeczysz chyba, *medicusie*.

– Ani by mi to przez myśl nie przeszło.

– Muszę poczytać Biblię – stwierdziła Stef. – Waszą Biblię, o niej mówię.

Michael popatrzył na nią w zadumie.

– Sugerujesz, że twoja jest inna? Hm… Kolejny ciekawy temat do rozmowy. Musimy do niego wrócić.

Ruchomy podest, na który weszli tym razem, miał kształt otwartej klatki, zbudowanej z mocnych stalowych prętów. Tytus wskazał im miękkie kanapy do siedzenia, poręcze, a nawet barek pełen smukłych butelek z wodą, winem i likierami.

– Co prawda podróż nie trwa przesadnie długo, lecz oficerowie lubią jeździć z klasą. – Spojrzał w górę i pomachał ręką. – W porządku, chłopaki? W takim razie spuszczajcie.

Koła mechanizmów bloczkowych poruszyły się ze skrzypieniem i zgrzytem. Platforma ruszyła z impetem i momentalnie znalazła się poniżej poziomu podłogi. Stef chwyciła się poręczy, wciąż jeszcze otumaniona działaniem walhallańskiej maści Michaela.

– Na górze działa silnik parowy, do grzania służą ziarna – wyjaśnił Tytus. – Wielokrążki napędzane są zazwyczaj ludzkimi mięśniami – niewolników brygady, żołnierzy karnie wydalonych z jednostek wojskowych. To uczciwa praca i nauka dyscypliny dla nicponi. Ale dziś nie wprawiają nas w ruch ramiona ludzi, lecz gorące powietrze.

Gdy zjeżdżali, przed oczami Stef przemknął strop będący gęstwą urządzeń technicznych poprzeplatanych rurami, kablami i kanałami. Tablica oznaczona dwiema czytelnymi cyframi, „VII” u góry i „VI” u dołu, informowała o tym, między którymi pokładami akurat się przemieszczali. W tej chwili roztaczał się pod nią rozległy miejski krajobraz, którego częścią był budynek oddany do użytku jej i Yuriemu. Tu i ówdzie z kominów ulatywał zwiewny dym, zasysany do wielkich wiatraków wyciągowych zamontowanych w ścianach. Wiedziała, że według czasu obowiązującego na statku wciąż jest ranek. Duże lampy fluorescencyjne nie osiągnęły jeszcze jasności właściwej pełni dnia po ośmiogodzinnej „nocy”, gdy płonęły jedynie latarnie systemów bezpieczeństwa. Nagle uświadomiła sobie, jak mało ludzi tu widać; ta zgrabnie poukładana wspólnota wydawała się zaskakująco nieliczna. Jednakże brakowało tu niewolników, których mogło być tyle samo co dorosłych obywateli wraz z dziećmi.

Gdy klatka sunęła w dół, szczekały psy, a bosonogie szkraby podbiegały, żeby popatrzeć na przejeżdżającą grupę ludzi. Uśmiechając się do nich, Stef walczyła z pokusą pomachania im ręką.

Kiedy, minąwszy rzymskie miasto, przemieścili się z pokładu szóstego do piątego, znaleźli się nad obozem wojskowym, w którym tętniło życie. Stef zobaczyła pododdziały maszerujące bieżnią po obwodzie statku, ludzi objuczonych ciężkimi plecakami. Inni zajmowali się wznoszeniem fortyfikacji z darni i ziemi. Stef podejrzewała, że zwieziono je promem z planety dokładnie w tym celu.

– Ćwiczymy w pocie czoła. – Tytus rozglądał się z uznaniem. – Chociaż jesteśmy uwięzieni w kosmicznej pustce, nie zapominamy, jak wygląda marsz z pełnym ekwipunkiem. I jak zbudować obóz w ciągu kilku godzin, kiedy zbliża się zmierzch. Musimy pamiętać, jak się wydaje rozkazy i jak kieruje się ludźmi.

– I jak się narzeka – zakpił Michael.

– Dziękuję, *medicusie*.

Po piątym pokładzie przyszedł czas na pokład czwarty: kolejny, z którym Stef zdążyła się już zaznajomić. To właśnie w obrębie koszar weszła na pokład tego statku. W równych rzędach stały tu chaty dające dach nad głową legionistom z centurii i żołnierzom z oddziałów posiłkowych, wespół stanowiących siły zbrojne statku kosmicznego. Tytus wskazał grupę chat jakby doklejonych do świetnie rozplanowanych budynków koszarowych; przebywali w nich po służbie *remiges*, członkowie załogi statku, sami Brykanci. Poza terenem zabudowań o typowo wojskowym przeznaczeniu znajdowała się dzielnica domów mieszkalnych skupionych wokół placów i dziedzińców. Stef dostrzegła tu wreszcie kobiety – pracowały lub szły przed siebie – a także gromadę dzieci uczestniczących chyba w lekcji na wolnym powietrzu. Przypomniała sobie, że żołnierze w ten międzygwiezdny marsz zabrali ze sobą rodziny, żony i kochanki, a także dzieci – ślubne i nieślubne.

Przy otworze w podłodze, przez który mieli zjechać niżej, stali na straży legioniści. Tym razem dziurę osłaniała pokrywa ze szkła i drewna.

Michael wygrzebał z plecaka płócienne maski nasączone alkoholem. Podał je Stef i Tytusowi.

– Gdy będziemy na dole, chętnie je założycie – powiedział.

Stef osłoniła sobie twarz, zaniepokojona.

Platforma zwolniła, gdy zbliżyli się do poziomu pokładu. Tytus powiedział coś po cichu do czuwających przy wychodni strażników, ci zaś roześmiali się z żartu, którego Stef nie dosłyszała. Strażnicy odciągnęli na bok ciężkie pokrywy zasłaniające otwór i klatka ruszyła dalej.

Po pokładzie czwartym wreszcie pokład trzeci. Kojce niewolników.

W pierwszej kolejności poraził ją zapach: smród szczyn, kału, wymiocin, krwi i gnijącego mięsa, obrzydliwy fetor, jakiego nigdy nie doświadczyła od czasu pierwszych ćwiczeń w stanie nieważkości, gdy była świeżo upieczonym rekrutem w ISF.

Aż wreszcie, z wysokości sześćdziesięciu metrów, mogła rozróżnić szczegóły. Cały teren był zabudowany mozaiką sześcianów oświetlonych jaskrawym białym światłem – zgrabnymi kostkami rozdzielonymi równą kratką uliczek, dochodzącymi z każdej strony do ścian kadłuba. W górze, między szkieletami wież wartowniczych, rozciągała się przytwierdzona do ścian istna pajęczyna pomostów i poręczy, olbrzymie kłębowisko stalowych konstrukcji. Straże patrolowały okolicę, przechadzając się po pomostach lub pełniąc służbę na wieżach wyposażonych w ciężką broń i silne reflektory. Żołnierze zasłaniali twarze maskami. Zauważyła, że nie mają przy sobie krótkiej broni prochowej, którą nazywali *ballistae*. Ich uzbrojenie stanowiły miecze, noże i lekkie kusze. Broń z kształtu podobna do kusz, tylko znacznie większa, uzupełniała stanowiska

strzeleckie na wieżach. W hermetycznie zamkniętym statku niedozwolone były pociski energetyczne; swego czasu identyczny – i rozsądny – zakaz stosowało również ISF.

Pokład trzeci miał całkiem miły dla oka industrialny charakter, wydawał się połączeniem jakiegoś dormitorium i ula. Dopóki nie przyjrzała się uważniej wnętrzu kostek.

To, co początkowo wyglądało na robaki lub larwy, okazało się ludźmi ubranymi w proste szare tuniki, stłoczonymi w osobliwych celach. Miała wrażenie, że są tam piętrowe łóżka – którym chyba bliżej było do półek. Nieszczęśników upchano jak produkty w sklepie. Jednym z korytarzy wijących się między celami grupka ludzi ciągnęła pojazd przypominający furmankę. Wytężając wzrok, Stef zauważyła, że furmanka jest wyładowana trupami niedbale przykrytymi brezentem; z brzegów zwisały chude ręce i nogi.

Tytus czuł się w obowiązku wyjaśnić:

– To chyba oczywiste, że z powodu zarazy nie wolno wpuszczać niewolników na wyższe piętra. Środki bezpieczeństwa są więc uciążliwsze niż zwykle.

– Uciążliwsze?

– Odnajdziemy waszego niewolnego chłopaka. Będziemy przeglądać spisy cel. – Klatka zwalniała, a Tytus dodał: – Jak widzicie, wychodnia biegnie na sam dół, ale my wysiądziemy przy pomostach i rozejdziemy się stamtąd na boki.

Stef przez chwilę powstrzymywała się od komentarza. To nie twój świat, pomyślała. Nie pakuj się w kłopoty. Do diabła z tym. W końcu jednak, nie mogąc już nad sobą zapanować, odwróciła się do Michaela.

– Podobno jesteś lekarzem. Czy w waszym świecie znana jest przysięga Hipokratesa? Jak możesz coś takiego tolerować? Jak możesz brać w tym udział?

Michael spojrzał na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

– Mnie o to pytasz? Przecież my, Grecy, uważamy, że Rzymianie traktują swoich niewolników zbyt łagodnie.

– Zbyt łagodnie?

– Na prawie całym obszarze Cesarstwa pozostawiono niewolnikom jakąś furtkę, by mogli zdobyć wolność. My jednak widzimy w nich tylko dzikusów niezmiennych w swych barbarzyńskich zwyczajach. Kto urodził się niewolnikiem, niewolnikiem umrze.

– Ale jesteś lekarzem… Zresztą nieważne. Myślę, że mój naród też ma wiele grzechów na sumieniu. A więc mówisz, że panuje tu zaraza?

– Tak. To… – Słowo wypowiedziane przez Michaela nie zostało przetłumaczone przez ColU.

Wyciągnęła tablet z kieszeni tuniki.

– ColU, jesteś tam?

– Jak zawsze, Stef.

Wszystko słyszał, rzecz jasna. Inaczej w słuchawce nie rozbrzmiewałyby jego słowa.

– Czy to urządzenie ma czujniki chemiczne? Możesz stwierdzić już tutaj, co to za zaraza?

Michael i Tytus patrzyli w skupieniu, jak Stef unosi tablet wysoko w powietrze, kierując ekran na gęsto zabudowany pokład.

– Chyba jakaś odmiana cholery – stwierdził po chwili zastanowienia ColU. – Występuje endemicznie na tym statku. Przypuszczam, że ta cywilizacja nic nie wie o szczepionkach. Epidemia najwyraźniej się rozprzestrzenia, gdy systemy filtrowania wody są niewydolne. Być może Rzymianie nie znają tych mechanizmów i nie wiedzą, jakie korzyści daje filtrowanie. Wskaźnik śmiertelności, biorąc pod uwagę panujące tam warunki…

– Coś mi grozi?

– Nie, pułkowniku. Dzięki kuracjom uodporniającym, na które ISF wysyłało cię wielokrotnie w ciągu lat, nie musisz się niczym przejmować.

– Yuri na pewno też przeszedł kurację.

– Tak, u lekarzy z ISF, nim pozostawiono go na Per Ardui.

Nagła myśl przyszła jej do głowy.

– Mógłbyś wyprodukować szczepionkę? Zacząłbyś od pobrania próbek naszej krwi…

ColU się zawahał.

– Kto wie. Być może z pomocą *medicusa*, korzystając z dostępnego sprzętu, udałoby się zbudować laboratorium hodowli komórkowych. Potrzeba na to czasu, ale da się zrobić.

– Zdążyłbyś ocalić wielu ludzi od śmierci?

– Tak, pułkowniku.

Tytus położył na tablecie swoją wielką dłoń i delikatnie zmusił ją, żeby opuściła urządzenie.

– Rozmawiasz z wyrocznią za pośrednictwem swojego gadającego szkła – rzekł chłodnym tonem. – Denerwuje mnie to, że moi dowódcy tolerują ciebie i twoje cuda, nie domagając się wyjaśnień. Gdybym to ja był centurionem, nie pozwoliłbym na to…

– Lecz nie jesteś, Tytusie Waleriuszu – przypomniał mu Michael.

– Nie jestem, to prawda. Ale wydaje mi się, że rozumiem, co knujecie ty i ta twoja wyrocznia.

– „Knujecie” to z pewnością niewłaściwe słowo.

– Planujecie powstrzymać zarazę, aby zachować przy życiu niewolników, którzy w przeciwnym razie zmarliby.

– O to właśnie chodzi. Co w tym złego?

– Zrujnujesz budżet statku – złościł się Tytus – i skażesz nas wszystkich na głód, jeszcze zanim miniemy orbity Konstancjusza, Wespazjana i Augusta! Oto co w tym złego!

Zmarszczyła czoło.

– Jak to? Nie rozumiem.

– Obawiam się, Stef, że nie możesz tego zrozumieć – odezwał się spokojnie Michael. – Nie potrafisz wejść w położenie właściciela niewolników. Miałem w życiu trochę do czynienia z Brykantami, którzy też nie lubią wysługiwać się niewolnikami. Co najwyżej sprzedają ich Cesarstwu. Ale na pewno nieobce są ci kosmiczne wojaże. Musisz wiedzieć, że taki statek dysponuje ograniczoną ilością artykułów spożywczych, wody, jedzenia, powietrza.

– Oczywiście.

– W takim razie nie zaprzeczysz, że z punktu widzenia centuriona, a tym bardziej *optio*, który zajmuje się takimi sprawami, praca niewolników jest po prostu pomocą w realizacji planu. W pierwszym roku mamy tylu a tylu niewolników, którzy potrzebują tyle a tyle żywności i wykonają taką a taką pracę. Spośród nich określona liczba umrze z rozmaitych przyczyn. W drugim roku mamy odpowiednio mniej niewolników, bo przetrzebiły ich zgony. Oczywiście dochodzą nowo narodzone dzieci, lecz spośród nich większość zostanie porzucona. I ta pomniejszona liczba jest zgodna z planem, podobnie jak żywność, którą zjedzą, praca, którą wykonają, oraz liczba zgonów w tym roku…

– I tak dalej – przerwała mu Stef.

– I tak dalej – zawtórował jej ponuro Tytus. – Byle u końca podróży pozostał jeden niewolnik do podtarcia tyłka centurionowi, wtedy uzna się, że wszystko poszło zgodnie z planem.

– My nawet zakładamy, że będą ich nękać choroby – powiedział Michael. – Są wliczone w rachubę. Więc jeśli jakimś cudem z pomocą wyroczni zapobiegniesz zgonom…

– Mówię ci – podkreślił Tytus – w połowie podróży będziemy żreć płyty kadłuba. Pamiętam taką kampanię, kiedy…

– Do tego raczej nie dojdzie – rzekł Michael. – Nie histeryzuj, Tytusie. Część z nich i tak pójdzie do odstrzału. Pogłowie zawsze można jakoś ograniczyć. Ale byłby to czynnik destabilizujący z niekorzystnym wpływem na struktury dowodzenia.

– Z drugiej strony, możemy poczekać, aż sami wymrą – powiedziała Stef, cedząc słowa. – Tam, w tej norze.

– Nie mamy wyboru – mruknął z tabletu ColU.

– Nie! – wychrypiała Stef. – Nie wiem, po jaką cholerę znalazłam się w tym świecie, ale pewne to jak amen w pacierzu, że nie po to, by gapić się bezczynnie, jak niepotrzebną śmiercią giną setki mężczyzn, kobiet i dzieci. Co byś powiedział, gdybyśmy poszli na układ? – zwróciła się do Michaela.

Tytus prychnął, lecz Michael ściągnął brwi, wyraźnie zainteresowany.

– Jaki układ?

– Nie wykarmimy ich wszystkich, jeśli pozostaną przy życiu. A więc niech będzie tak: wy pozwolicie im żyć, a my zadbamy o to, żeby mieli co jeść. ColU, po waszemu Koliusz, jest bardzo zaradną wyrocznią. Już się o tym przekonaliście. Pokazywał wam przecież, Tytusie, jak wytwarzać glebę w kolonii, prawda?

– Zgadza się. Do czego zmierzasz?

– Pozwól, żebym razem z ColU obejrzała systemy pokładowe statku. Z tobą, Michaelu, i z *remiges*.

– Pułkowniku, nie radziłbym… – zaczął ColU.

Wetknęła tablet pod tunikę, żeby uciszyć jego głos.

– Znajdziemy sposób, żeby zrobić upgrade. Czy rozumiecie to słowo? Zwiększymy plony w gospodarstwie rolnym. Boże, to nie takie trudne, pewnie uprawiacie tu ziemię na poziomie średniowiecza. Poprawimy filtrację wody i rekultywację. Pokażemy wam, jak skuteczniej oczyszczać powietrze.

Michael słuchał z niepewną miną.

– Twierdzisz, że dzięki wam na pokładzie „Malleusa” będzie mogła przebywać większa liczba członków załogi. My z kolei powinniśmy oszczędzić niewolników.

– Taki mam plan.

Pokręcił głową.

– Rzymianie patrzą nieufnie na każdą innowację, Stef.

– Nie mogą być znowu aż tacy nieufni, skoro pompują pieniądze w brykanckie statki kosmiczne, prawda? A ten wasz centurion wygląda mi na człowieka z dużą wyobraźnią. – Trochę koloryzowała, ale Kwintus przynajmniej nie uciekł z wrzaskiem, kiedy przez jego nowiuteńki Właz przeszła dwójka obcych z robotem z alternatywnej rzeczywistości. – Wyobraźmy sobie, że „Malleus Jesu” powraca nie tylko w chwale zdobywcy Romulusa, ale nowy i ulepszony, pierwowzór całej udoskonalonej klasy statków kosmicznych. Może chciałby w ten sposób zabłysnąć przed swoimi zwierzchnikami? Rzymianie nie przepadają za innowacjami. A gdy otwierają się przed nimi nieograniczone możliwości?

Tytus i Michael popatrzyli na siebie.

– Musimy to przedyskutować – rzekł lekarz. – Z całą pewnością w obecności *optio*.

– Zgadzam się – poparł go legionista.

Michael pogroził jej palcem.

– I ani mi się waż mieszać do cudzych spraw, nim otrzymasz wyraźne pozwolenie od

centuriona. I *trierarchusa*, skoro o tym mowa. W przeciwnym razie wszyscy możemy się szykować na brykancki skok w dal.

Co, jak zdążyła się dowiedzieć Stef, oznaczało wyrzucenie za burtę.

Tytus prychnął.

– Ale najpierw zróbmy to, po co tu przyszliśmy. Odszukajmy tego młodego niewolnika. Jeśli jeszcze żyje. – Spojrzał na nią z wyzywającym uśmiechem. – To jak będzie? Zejdziesz ze mną do kojca i staniesz oko w oko z tymi zdychającymi larwami, które uparcie chcesz ratować?

Odwróciła wzrok.

II

Rozdział 15

AD 2215; AUC 2968

Ari Guthfrithson wszedł do klasy, kiedy Penny Kalinski próbowała wytłumaczyć potomkom starożytnych Brytów i wikingów rolę przypadku w historii.

Spoglądała na biurko i leżące na nim notatki, piekląc się w duchu na konieczność odczytywania własnych gryzmołów w świecie bez komputerów, przeklinając marną skuteczność prymitywnych okularów w walce z postępującym słabnięciem wzroku. Choć ze swoich siedemdziesięciu jeden lat już dwa przeżyła w tym miejscu, do pewnych rzeczy wciąż nie mogła przywyknąć. I próbowała trzymać *druidha* na dystans.

Ari tym razem jednak usiadł z tyłu obok Marie Golvin, niegdyś członka załogi należącego do ISF okrętu „Tatania", a dziś nauczycielki w Akademii Penny. Marie była przedstawicielką minionej rzeczywistości, osobą stale dodającą jej otuchy.

– Wróćmy do Mongołów. – Penny zerknęła do notatek. – Jest druga połowa dwudziestego wieku. – Lub wiek trzynasty w jej własnej historii. Brykanci, podobnie jak Rzymianie, posługiwali się starym kalendarzem juliańskim, wprowadzając na przestrzeni wieków korekty w latach przestępnych. I tak samo jak oni, Brykanci liczyli upływ czasu od chwili założenia Rzymu. Przybysze musieli zadać sobie trud, żeby skorelować własne daty z kalendarza gregoriańskiego z tymi stosowanymi tutaj. – Pod panowaniem chciwych, lecz dalekowzrocznych chanów Mongołowie wysypali się ze stepów, panoszyli się we wschodnich prowincjach Cesarstwa, łupili Panonię, Recję i Norikum. Oblegają miasta i niszczą je jedno po drugim, wycinają w pień Rzymian. I kto wie, czy jeśli nikt ich nie powstrzyma, nie zwrócą się przeciwko Italii i nie dojdą do Rzymu? Dziedzictwo długich wieków cywilizacji zostanie utracone, posągi roztrzaskane, księgi spalone, kościoły splądrowane. Być może Cesarstwo Rzymskie już się nie podniesie, nawet gdy gromady Mongołów w końcu ustąpią… A dalej na wschodzie wcale nie jest lepiej. Tam równie wojownicza horda, dowodzona przez wybitnych generałów, wżyna się klinem w słabiej bronione ziemie należące do Zynów. Nie zależy im na nowych terytoriach, bo nie są zainteresowani powiększaniem imperium jak cesarze. Szukają tylko zdobyczy, pastwisk dla wierzchowców, kobiet i dziewcząt mających rodzić ich dzieci.

Jej uczniowie, co najwyżej dwunastoletni, szeroko otwierali oczy, chłonąc ostatnie szczegóły. Jednakże Brykanci nie byli przesadnie wrażliwym narodem. A dla Penny wyzwanie związane

z prowadzeniem akademii nie musiało być aż tak wielkie; tutaj kobiety miały wolność i władzę w odróżnieniu od wielu innych kultur, niekoniecznie tak dzikich jak Mongołowie.

– Był taki moment u progu dwudziestego pierwszego wieku – ciągnęła – gdy wisiała na włosku przyszłość cywilizacji, gdy zagrożony był sam jej fundament. Mało brakło, a europejskie równiny byłyby dziś tratowane przez konie niepiśmiennych pastuchów, skubiące trawę na gruzach zniszczonych miast…

Gdy to mówiła, skupiona na każdym nie do końca jeszcze swojskim brykanckim słowie, zdawała sobie sprawę z malowniczości tej wizji.

Uczniowie w liczbie dwudziestu czterech – dzieci zamożnych eborackich kupców, których było stać na opłacenie wysokiego czesnego – siedzieli w równych rzędach, mając nad sobą wysoki stożkowaty dach szkoły. Kształt tego całkowicie nowego budynku, przekazanego z pomocą Ariego na cele Akademii – jego patronem został święty Jonbar, będący według zapewnień Penny znamienitą postacią w utraconej przez nią wersji chrześcijaństwa – dawał złudzenie wiekowości. Była to okrągła chata – niczym relikt z europejskiej epoki żelaza na jej ścieżce czasu. Jednakże długie bale tworzące szkielet domu, zbiegające się na szczycie szerokiej, stożkowej kopuły, zostały przetransportowane przez Atlantyk aż z Kanady, która w tym świecie była tylko prowincją w brykanckiej federacji. Taki import kosztował krocie, lecz od wielu stuleci każde drzewo w Prytanice padało pod ciosami siekiery, nim zdążyło urosnąć. Podłożem dla belek był betonowy fundament, natomiast u szczytu wisiały silnie rozjarzone fluorescencyjne świetlówki. Był to dość osobliwy mariaż starodawnych i nowoczesnych technologii.

W takim właśnie miejscu w ciągu dwóch lat, odkąd przybyła tu statkiem „Ukelwydd”, udało jej się założyć Akademię. Podstawowym celem jej działalności było nauczanie matematyki, techniki, a w szczególności przedmiotu znanego jej najlepiej: fizyki, którą mieszkańcy tego świata opanowali w bardzo niewielkim stopniu. Wymogła wszakże na Arim, żeby odbywały się również lekcje takie jak ta, poświęcone szeroko rozumianej kulturze. Twierdziła, że sama pragnie lepiej poznać wydarzenia z nowej ścieżki dziejowej. Ari, który też odebrał wszechstronne wykształcenie, nie drążył tematu.

Niemniej przypuszczała, że mężczyzna podejrzewa ją o ukryte zamiary. Bądź co bądź, mimo upływu dwóch lat wciąż był jednym z nielicznych Brykantów, którzy wiedzieli, że przybyła z zupełnie innego porządku historycznego. I zapewne należał do jeszcze węższego grona tych, którzy naprawdę we wszystko uwierzyli. Zatem nie dając wyrazu swoim wątpliwościom, pozwolił jej zajmować się dodatkowymi projektami. Penny zastanawiała się, czy przypadkiem Beth Eden Jones nie interweniowała w jej sprawie; może poruszyła ten temat w czasie intymnych pogaduszek w łóżku. W sumie Beth nosiła jego dziecko…

I oto z nikłym uśmieszkiem w kąciku ust siedział w ostatniej ławce niby szkolny wizytator, gdy tymczasem ona wyjaśniała dzieciom naturę zdarzeń hipotetycznych. Cóż, jego podejrzenia były uzasadnione. Oczywiście, że miała ukryte zamiary. Święty Jonbar, akurat!

Wróciła myślami do Mongołów i swoich uczniów.

– Zatem ważyły się szale. Historia mogła potoczyć się inaczej. Ale tak się nie stało. Czy ktoś wie…

Ten i ów coś wykrzyknął, lecz nad głowami grzecznie wyrósł las rąk – zgodnie z tym, co im tak wytrwale wpajała. Wszak należeli do cywilizacji wojowników, ich przodkami byli wikingowie. Kiedyś, na początku, Marie zażartowała, że trzeba cieszyć się z tego, iż uczniowie dla zwrócenia na siebie uwagi nie miotają w nią toporami.

Na chybił trafił wybrała jedną z uczennic.

– Słucham, Freydis.

Dziewczynka wstała.

– Wielki cesarz rzymski Konstancjusz XI wysłał posłów do cesarzowej Zynów. Przekonał ją, że powinni wspólnymi siłami zaatakować Mongołów. – Usiadła równie energicznie, jak wstała.

– Tak. Właściwie masz rację, choć w rzeczywistości było na odwrót…

Ten wiekopomny akt dyplomatycznej maestrii, zbawienny dla ocalenia imperiów sojusz dwóch zagorzałych rywali, wykiełkował w głowach geniuszy strategii na zyńskim dworze. Jednak rzymscy kronikarze, siewcy propagandy, wszelkie zasługi przypisali Konstancjuszowi. A Brykanci, choć uznawali Rzymian za swoich konkurentów, do pewnego stopnia odczuwali bojaźń przed potężnym państwem, które swego czasu omal ich nie zwyciężyło, dlatego przymykali oko na tego rodzaju kłamstwa.

– Najważniejsze jest to, że dwaj władcy zdołali odsunąć na bok osobiste ambicje i podejrzenia. Dzięki temu Mongołowie zostali pokonani. Gdyby nie to, mielibyśmy dzisiaj zupełnie inne wspomnienia. Chciałabym, żebyście to właśnie wynieśli z tej lekcji. Słucham, Freydis?

Dziewczynka znów wstała.

– Może podobnie było z królową Kartymandią, która powiedziała Cezarowi, żeby zaatakował Germanię, a nie Prytanikę. Gdyby tego nie zrobiła…

Jej twarz promieniała, jakby dokonała odkrycia, wpadła na genialny pomysł czy wręcz nowym spojrzeniem popatrzyła na świat. Penny nie była nauczycielką z powołania, a w wieku siedemdziesięciu jeden lat męczyły ją codzienne klasowe obowiązki. Lecz w chwilach gdy widziała, jak w dziecku rozwijają się skrzydła wyobraźni, rozumiała, dlaczego niektórzy tak lubią uczyć.

Jednakże spostrzeżenie dziewczynki nie spotkało się ze zrozumieniem klasy; odpowiedziały jej śmiechy i docinki.

– Tak, Freydis, i mówiłabyś teraz po łacinie!

– Ty też! – odcięła się.

– Dobrze, już dobrze! – Penny wstała z pojednawczo uniesionymi rękami. – Dosyć na dzisiaj. Pora na długą przerwę…

Natychmiast powstał okropny harmider. Uczniowie zbierali swoje rzeczy i wyskakiwali z ławek.

– Za godzinę nawigacja relatywistyczna! – ryknęła za nimi Marie Golvin głosem wyrobionym na defiladach.

Ari Guthfrithson z niezmąconym spokojem poczekał, aż fala malców przetoczy się koło niego. Gdy zrobiło się pusto, podszedł do Penny, klaszcząc.

– Zgrabnie im to wyłuszczyłaś – pochwalił. – I w dodatku poprawnym brykanckim językiem, choć powoli i z egzotycznym akcentem. Ale wciąż nurtuje mnie jedna sprawa: dlaczego nabijasz im głowy takimi rzeczami, jak kruchość dziejów świata? Nie wypełniasz w ten sposób statutowych celów Akademii.

Penny na szczęście nie musiała odpowiadać, oto bowiem przyłączyła się do nich Marie Golvin, pozbierawszy z ławek zwoje i luźne kartki papieru.

– Zjesz z nami lunch, *druidzie*? Choć uprzedzam, żadnych atrakcji nie będzie.

– Z wielką chęcią. A tak przy okazji, porucznik Golvin, to był dobry unik. – Musiało upłynąć trochę czasu, nim zapamiętał stopień, jaki miała w ISF. – To co, mały spacer?

Rozdział 16

Akademia św. Jonbara znajdowała się na peryferiach Eboraki, z dala od zatłoczonego centrum antycznego miasta – w dzielnicy, którą Penny mogłaby nazwać dalekim przedmieściem. Stołówka, w której jadali posiłki, wprawdzie należała do Akademii, lecz trzeba było wyjść kawałek poza kampus w kierunku centrum.

Zajęcia szkolne odbywały się w jednej z okrągłych chat, zgrupowanych w bliskiej odległości od siebie. Była wśród nich sala ćwiczeń, biblioteka, pracownia artystyczna, niewielka lecznica, garncarnia, kuźnia połączona z warsztatem rzemiosł różnych, chrześcijańska kaplica. Zgodnie z brykancką tradycją budynki stały w równych rzędach, ustawionych – podobnie jak samo miasto – nie na osi północ–południe, ale północny wschód–południowy zachód, łączącej punkty na widnokręgu, gdzie wschodziło i zachodziło słońce w dniach przesilenia. Zatroszczono się również o trawiaste boisko i coś w rodzaju placu apelowego, gdzie niektórzy uczniowie, kadeci na służbie w brykanckim wojsku, mogli ćwiczyć marsz i toczyć inscenizowane walki z użyciem mieczy, a nawet broni palnej ze ślepą amunicją. Całość otaczał dębowy gaj, jeden z wielu rozsianych na terenie miasta, jako że właśnie dęby stanowiły symbol pradawnej wiedzy *druidhów*.

Penny i Marie wspólnie zorganizowały uczelnię, korzystając z rad Ariego i innych miejscowych osób, o pieniądze natomiast wystarał się Ari, a pochodziły z rezerwy budżetowej Floty. Po trosze wojskowy charakter placówki był częścią ceny, jaką musieli zapłacić. Mimo to Akademia przypominała Penny skansen z rekonstrukcją wsi z epoki żelaza, nie zaś nową, pełną życia szkołę dla młodych ludzi.

Oczywiście ci nieliczni uczniowie, którzy w przyszłości staną się pełnoprawnymi *druidhami*, młodość będą mieli dawno za sobą, gdy ukończą naukę. Ari, przykładowo, po kilku latach ogólnego kształcenia – z historii, geografii, filozofii – jeszcze przez dwadzieścia lat podnosił swoje kwalifikacje w ramach specjalistycznych studiów z nauk politycznych, prawa, matematyki i astronomii. Obecnie żyli w epoce rozwiniętego piśmiennictwa, lecz Ari opowiadał Penny, że nadal w celu doskonalenia umysłu pielęgnowano dawną tradycję ćwiczenia pamięci poprzez zapamiętywanie długich fragmentów tekstu. Szczególny postęp dokonywał się w dziedzinie matematyki. Penny patrzyła, jak małolaty na lekcjach uczą się rysować kontury ziarenka jemioły, starannie składając łuki okręgów za pomocą piór i kompasów. Widząc takie początki,

łatwiej było zrozumieć, dlaczego akurat Brykanci wyrastają na znakomitych astronomów i nawigatorów. Od geometrii ziarenka jemioły do trajektorii statku kosmicznego.

Stolica Eboraki najwyraźniej wywodziła się ze znacznie starszej osady niż założone przez Rzymian miasta w Galii i Germanii, więc pierwotne cechy celtyckiej architektury i planowania wciąż były tu żywe – niepogrzebane pod warstwą rzymskich naleciałości jak na ścieżce dziejowej Penny. Wzdłuż prostych dróg wysypanych żwirem lub tłuczniem stały kryte strzechą domy o ścianach z plecionki obrzuconej gliną, a wszystko otoczone potężnymi wałami, za którymi znajdowały się cmentarze i stosy pogrzebowe. Na wzniesieniu w centrum miasta – gdzie w świecie Penny górowała nad miastem katedra wzniesiona na gruzach *principii*, głównej kwatery rzymskiego legionu – zachowały się resztki dwutysiącletniego fortu, ale przede wszystkim stał bastion zbudowany przez Brykantów w czasach, kiedy bano się i doświadczano inwazji z kontynentu. Ta Brytania – na dobre lub na złe – nigdy nie została odcięta od swoich korzeni rzymskim mieczem.

Poznając wraz ze swoimi uczniami historię obcego dla niej świata, Penny uzmysłowiła sobie, ilu krzywd doznali z rąk Rzymian Brykanci i pokrewni im Celtowie na kontynencie. Celtyckie narody niegdyś zasiedlały Europę od Brytanii po Dunaj, lecz zostały wyparte w wyniku rzymskich zapędów imperialnych. I mimo że Brytania zachowała tutaj swoją niezależność, gdzie indziej Celtowie zostali wybici. Kiedy Cezar najechał Galię, bogaty kraj ludzi osiadłych i wykształconych, z jego ośmiomilionowej ludności wymordował milion, a drugi milion obrócił w niewolników. Wśród faktów uwiecznionych przez ówczesnych kronikarzy był rozkaz Cezara, aby poobcinać dłonie buntownikom i tym samym utrudnić im pomoc w żniwach. Ta historia nie była dobrze znana w świecie Penny. Tutaj nigdy o niej nie zapomniano.

Brykanci posiadali własną odrębność kulturową. Nie było to cesarstwo, lecz federacja krajów oparta na demokratycznych fundamentach, żyjąca zwyczajami przejętymi z tradycji brytyjskich i skandynawskich praprzodków. W miejscu starego fortu na wzniesieniu znajdowała się siedziba althingu, zgromadzenia przedstawicieli brykanckich włości na całym świecie. Najwyższy funkcją dygnitarz nie wywodził się z cesarskiego rodu, lecz był wybranym przez lud *logsogumadrem*, głosicielem praw.

Był to jednak świat mający za sobą wieki uprzemysłowienia, które postępowało bezdusznie i bezkompromisowo wobec środowiska. Dlatego nawet w pogodny letni dzień miasto spowijała zasłona smogu. W Eboraki nie uchowały się żadne drzewa, z wyjątkiem pieczołowicie zadbanych dębowych gajów. W stolicy ludzie ubierali się kolorowo: nosili haftowane płaszcze, pasiaste tuniki i rajtuzy, a wśród ozdób przeważały paciorki z niebieskiego szkła lub bursztynu, jak również zakładane na szyję stalowe i srebrne torkwesy. Z reguły zasłaniali się maskami

i goglami, chroniąc oczy i płuca przed pyłem, a średni wiek życia tych ludzi, zdolnych przecież wysyłać statki kosmiczne na inne planety, był szokująco niski. Oczywiście nikt tu sobie nie wyobrażał, że może być inaczej. Penny najbardziej tęskniła za utraconym światem, kiedy w wolnych chwilach spacerowała po mieście i patrzyła na dzieci kaszlące w zabrudzonych maskach.

Mimo wszystko, gdy mijały miesiące i mogła się przechadzać po ulicach w dniu przesilenia letniego bądź zimowego, kiedy słońce wiszące nisko nad widnokręgiem zalewało blaskiem ulice, odczuwała radość trudną do wyrażenia słowami.

W ramach programu nauczania posiłki wydawane na stołówce przygotowywali uczniowie pod okiem kilku mieszkańców miasta. Dania podawane na stoły z ciosanego drewna należały do brykanckiej kuchni, kładącej akcent na mięso, masło, warzywne sosy i grubo krojony chleb, aczkolwiek dostępne były rzymskie oliwki czy sery. Ryż i ziemniaki nawet w stolicy państwa były tylko drogim, wykwintnym urozmaiceniem. Dawnej załodze „Tatanii” najbardziej dokuczał w tutejszej kuchni niedostatek błonnika. Penny musiała jednak pogodzić się z tym, że pewnych rzeczy nie zmieni, czego przykładem był zwyczaj podawania do posiłków nawet małym dzieciom rozcieńczonego miodu pitnego lub piwa. Albo używanie do jedzenia noża na co dzień noszonego u pasa.

W każdym razie mięso, wołowina w gęstym sosie, było miękkie i smaczne, więc przez chwilę jedli w milczeniu.

W końcu Ari zagadnął, podejmując rozmowę tam, gdzie ją wcześniej przerwali:

– Nie musisz mi dziękować, że przychodzę z wizytą. Po pierwsze, to mój obowiązek: składam raporty do działu finansowego Floty, skąd pochodzą pieniądze na to wszystko. Po drugie, miło popatrzeć, jak sobie radzisz. Czasem mam wrażenie, że jestem dla was, dla załogi „Tatanii”, kimś w rodzaju łącznika.

– Rozproszyliśmy się, to fakt – przyznała.

– Przecież nic w tym złego. To pokazuje, że umiecie znaleźć dla siebie miejsce w społeczeństwie, w którym musicie czuć się obco. Swoją drogą, co u Jianga?

– Robi swoje. Mamy wygodny dom. Wiesz, że pracuje w college’u. Uczy zagadnień z zakresu inżynierii ziarnowej, między innymi.

– Rozumiem, że dla niego to szczególne wyzwanie. My, Brykanci, lubimy o sobie myśleć, że jesteśmy obywatelami świata. Tymczasem nawet w Eboraki rzadko zobaczysz twarz Zyna.

– Jiang raczej nie nazwałby się Zynem – powiedziała Marie Golvin – lecz coś w tym musi być. Prawie nie rusza się z domu.

– Poradzi sobie – zapewniła ją Penny. – Generał McGregor też, z tego, co słyszałam.

– Widziałem się z nim ostatnio – rzekł Ari. – Akurat tłumaczył młodszym oficerom, jak wyglądał system dowodzenia i kierowania w waszej Międzynarodowej Flocie Kosmicznej, *International Space Fleet*. – Słuchając płynnej brykanckiej mowy, dziwnie się poczuła, gdy do jej uszu doleciały angielskie słowa. – Potrafi zrobić wrażenie.

– Zawsze to potrafił. Kiedy go poznałam, miał siedemnaście lat – dodała z odrobiną melancholii.

Ari przewiercił ją wzrokiem.

– Zgadza się, biorąc pod uwagę pasmo rzeczywistości, której byłaś częścią. Bo w drugim…

– Tak, wiem. W drugim znała go moja siostra bliźniaczka, tyle że nie była bliźniaczką, bo ja nie istniałam. Mniejsza z tym. Zawsze wiedziałam, że Lex spadnie na cztery łapy w każdej sytuacji.

– Widać, że chciałby zrzucić z karku ze trzydzieści lat i znowu latać z młodymi. Walczyć z Zynami o skarby Łez Ymira!

– Tak, to do niego podobne. Odwiedził nas kilka razy. Urzekło go, jak tutaj nauczamy o względności. Mówi, że w naszej rzeczywistości zawsze musiał się męczyć z matematyką. Wy tu nie znacie teorii względności, ale posiadacie ziarna, więc odkryliście względność drogą eksperymentów. Przyśpieszając statki do prędkości światła, dowiedzieliście się w bolesny sposób, czym jest dylatacja czasu i relatywistyczny przyrost masy.

– Słyszałam o inżynierach skazanych na śmierć za to, że nie umieli zbudować statku potrafiącego przekroczyć prędkość światła – dodała Marie.

– U Rzymian i Zynów, nie u nas – rzekł Ari. – Zresztą to niepotwierdzone plotki.

Penny miękiszem chleba wytarła resztki sosu.

– A co u Beth? Jak się miewa twoja żona, Ari?

Uśmiechnął się z pewną rezerwą.

– Chyba rozumiecie, że oficjalnie nie jest moją żoną, ponieważ nie ma rodziny, która wydałaby ją za mąż… Czuje się dobrze.

Penny i Marie zerknęły na siebie.

– Tylko tyle nam powiesz? – dopytywała się Marie. – Co z dzieckiem? Jest już po terminie, prawda?

Widać było, że starannie dobiera słowa.

– Narodziny dziecka są dla nas wyzwaniem, ale będziemy umieli sobie z nim poradzić.

Penny zmarszczyła czoło.

– Wyzwaniem? A co w tym takiego trudnego? Wasze położnictwo stoi na wysokim poziomie. Sama sprawdzałam, kiedy Beth oznajmiła, że jest w ciąży. I konsultowałam się z Earthshine’em.

Co prawda w jej wieku trzeba już uważać, ma trzydzieści osiem lat, ale czemu nazywasz to wyzwaniem?

– To nasze osobiste sprawy – odparł chłodno z bladą twarzą pozbawioną uczuć. Nigdy dotąd nie wydawał się Penny tak nieprzenikniony, całkowicie obcy.

– Ale…

– Lepiej porozmawiajmy o Earthshinie. Z całej waszej gromadki to on wkroczył do naszego społeczeństwa z największym przytupem, o czym z pewnością wiecie. Nawet jeśli jego prawdziwa natura utrzymywana jest w ścisłej tajemnicy. Dla przeciętnego człowieka jest zwykłym rozbitkiem ze statku, który leciał nie wiadomo skąd. I może się wydawać, że dokonuje nadludzkich czynów. Zapewne wiecie, że w tej chwili przebywa na Hödzie. – Tak Brykanci nazywali Ceres. – Razem z grupą swoich zwolenników planuje przenieść się na Marsa. Co może być wstępem do wypełnienia obietnicy, którą pokazał nam na obrazach, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Te wielkie budynki na Marsie w waszej rzeczywistości. Twierdzi, że tutaj osiągnie znacznie więcej.

Penny prychnęła.

– Zawsze wiedziałam, że nadaje się na sprzedawcę. Choćby towarem miał być tylko on sam.

– Zamierza – ciągnął Ari, wykonując uniesioną ręką gest przesuwania – zepchnąć Höda z orbity i zbliżyć go do Marsa. – Przyglądał się im uważnie. – Tak twierdzi. Przeprowadziłem szacunkowe obliczenia, określiłem ilość potrzebnej energii. Uważacie, że to w ogóle możliwe?

Penny spojrzała na Marie, zaskoczona.

– Dysponując odpowiednio potężnym napędem, można zrealizować każde przedsięwzięcie tego typu – odparła Marie. – Zwłaszcza że wasze społeczeństwo ma hopla na punkcie ziaren. Używanych tak, jak nam by się nigdy nie śniło… Tak, przypuszczam, że to się da zrobić.

– Earthshine twierdzi, że dzięki temu dostarczy na Marsa surowców, których jest tam za mało. Woda, związki chemiczne, może rudy metalu. Planuje, jak mówi, przebudować planetę.

– *Terraformowanie* – powiedziała Penny do Marie po angielsku. – Założę się, że o to mu chodzi. Ci ludzie nie mają pojęcia o tego rodzaju projektach, przecież oni nawet nie znają słowa „ekologia”.

Ari ściągnął brwi.

– Nie rozumiem, co mówicie.

– Przepraszam – odparła formalnym tonem Marie. – W naszej rzeczywistości istniały wielkie plany zamienienia Marsa w świat podobny do Ziemi. Może też innych ciał niebieskich: Wenus, Tytana… to znaczy największego księżyca Augusta. Jeśli chodzi o Marsa, to należałoby sprowadzić substancje nietrwałe, jak wodny lód, którego pełno na Ceres, czyli Hödzie. –

Spojrzała na Penny ze sceptyczną miną. – Wydaje mi się, że to ma szansę na powodzenie. Gdyby udało się przemieścić Ceres na marsjańską orbitę…

– Taki manewr wymaga cholernej siły ciągu.

– Owszem, ale można by odkrajać powoli kawałek po kawałku, zrzucać potrzebną ilość surowca i zrobić z Ceres wielki budowlany barak.

Penny pokiwała głową.

– Wiem, że na Ziemi, naszej Ziemi, można znaleźć świadectwa drastycznych zmian klimatycznych, powstałych w wyniku zderzeń z kometami lub planetoidami. Ponad pięćdziesiąt milionów lat temu stężenie dwutlenku węgla w atmosferze wzrosło dwukrotnie w ciągu jednego roku. A więc ten pomysł jest całkiem realny.

Ari słuchał pilnie, próbując rozeznać się w trudnym słownictwie.

– Włochate gwiazdy i Łzy Ymira uderzały w Terrę, tak? I to samo można zrobić na Marsie? A zatem sądzicie, że Earthshine nie kłamie? Może jednak powinniśmy zachować ostrożność? On zamierza wykorzystywać ogromną energię, przemieszczać gigantyczne ciężary w obrębie Układu Słonecznego. – Skrzywił się. – Wasz sztuczny człowiek stanie się bogiem, jeśli będzie władał takimi mocami.

– I właśnie był nim w naszej rzeczywistości – powiedziała Penny. – Jest coś, Ari, co musisz zrozumieć. Earthshine i jego bracia, rdzeniowe jednostki sztucznej inteligencji, byli znaczącą siłą na naszej Ziemi. Ale podobnie jak bogowie mieli własne plany. Takie, które mogły, lecz nie musiały, iść w parze z interesem ludzkości. I bez względu na to, co wam naopowiada o Hödzie, pamiętajcie, że na pierwszym miejscu zawsze stawia siebie.

– Niech ci będzie, ale czego miałyby dotyczyć jego tajne plany?

– Nie dowiemy się tego w żaden sposób.

– Przypominam sobie rozmowę o twojej „niemożliwej siostrzyczce”, Penelope. Earthshine był zafascynowany. Sama tak powiedziałaś. Earthshine wykrył to… rozwarstwienie historii, zanim on i ty doświadczyliście tego w znacznie większej skali. Ma dar przewidywania, prawda? Czy zrezygnowałby tutaj ze swoich zainteresowań?

Z pewnością nie, pomyślała. Co ciekawe, pasażerowie „Tatanii” wciąż byli uzależnieni od Earthshine’a, który zaopatrzył ich w sprzętowe translatory i systematycznie przesyłał im aktualizacje zasobów słownikowych i gramatyki. Pamiętała również, jak obsesyjnie wierzył w ingerencję obcych sił w bieg ludzkiej historii – już na samym początku, gdy splotły się ich losy, czyli przeszło trzydzieści trudnych lat temu. *Jestem wszędzie. Zaczynam słyszeć wasze kroki, budowniczowie Włazu. Słyszę, jak trawa rośnie, zatem słyszę i was…*

– Tak się składa, że zaintrygowała mnie ta kwestia – rzekł z ożywieniem Ari. – Czy także

w moim świecie kryją się świadectwa niewytłumaczalnych zjawisk? Ślady zaginionych dziejów? Takich jak przekłamany napis na nagrobku twojej matki, Penny, na cmentarzu w Lutetii Parisiorum, o czym mi kiedyś opowiadałaś?

Zaskoczyło ją to, że przywołał jej bolesne wspomnienie. Dotąd dość otwarcie rozmawiała o swoich przeżyciach związanych ze zmianą rzeczywistości, która ich wszystkich dotknęła. Teraz zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, biorąc pod uwagę zamiary Ariego. Zauważyła, że także Marie staje się podejrzliwa.

– Odkryłeś coś ciekawego?

– Jeszcze nie, ale będę szukał. – Spojrzał jej głęboko w oczy. – Widzę, że coś cię nurtuje. Co takiego? – Nie doczekawszy się odpowiedzi, mówił dalej: – Chyba powinnyście się cieszyć, że Brykanci nie przejawiają większego zainteresowania tym zjawiskiem. Nie jesteśmy takimi… *naukowcami* jak wy. – Ostrożnie wymówił słowo po angielsku. – Jesteśmy nieoświeconymi uczonymi. Być może łatwiej nam zaakceptować istnienie rzeczy niewyjaśnionych, cudów. Niepojętych fenomenów, takich jak wasze pojawienie się. Zamiast zadawać pytania, po prostu godzimy się z faktami.

– Wszyscy oprócz ciebie.

– Oprócz mnie, to prawda. Ale dlaczego ciebie niepokoi ta kwestia? – Odwrócił się teraz do Marie. – A ty? Dlaczego masz taką nadąsaną minę, kiedy o tym mówimy?

– Bo nie mogę spać po nocach! – wybuchła. – Oto powód! Tak trudno to zrozumieć? – Cofnęła rękę, gdy Penny położyła dłoń na jej dłoni. – Słuchaj, widzieliśmy miliardy ludzi ginących w płomieniach, zagładę wszystkich znanych nam osób, a pewnie i samej Ziemi. I teraz tkwię w tym idiotycznym miejscu, próbuję spamiętać wasze durne języki, wykonuję nieistotną pracę, którą mi przydzieliliście, i udaję, że czeka mnie tu jakaś przyszłość. Nawet nie wiem, czy wasz Jezus umarł za moje grzechy.

Będąc na skraju łez, dwudziestosiedmioletnia kobieta wydawała się o wiele młodsza. Penny miała ochotę przytulić ją i pocieszyć, lecz Marie Golvin była oficerem ISF i takie zachowanie byłoby niewłaściwe.

– Przepraszam. – Marie wreszcie się opanowała. – Wybaczcie. – Wstała i wyszła.

– Ja także przepraszam – zwrócił się Ari do Penny. – Sprowokowałem tę sytuację.

– Nie twoja wina – odparła burkliwie Penny. – No, może trochę tak. Za bardzo wścibiasz nos.

– Cieszcie się, że tylko ja.

– Wiem, ale to marna pociecha. Ocaleni z katastrofy mają wyrzuty sumienia, Ari. Niby o wszystkim zapominasz, zanurzasz się w otaczającym cię świecie, czujesz się szczęśliwy, cieszy cię to, co robisz… i nagle przypominasz sobie o wszystkim, co straciłeś. I dopada cię

depresja. Wtedy jest najgorzej. Dla Marie to szczególnie trudny okres, bo nie ma już przy niej opiekuńczego Lexa McGregora. Nie ma ISF, wojskowej dyscypliny, tamto życie odeszło. I jeszcze dochodzi nadzieja.

– Nadzieja?

– Że pewnego razu jakimś sposobem odnajdzie drogę do domu, do naszej ścieżki historii.

– Aha.

– Doskonale wiemy, że to zwykłe mrzonki, ale trudno się im oprzeć. Bądź co bądź, to tutaj nigdy nie stanie się naszym prawdziwym domem. Niełatwo z tym walczyć zwłaszcza młodym. Czas nie uleczy ich ran.

– Ale Marie mówiła, że jest chrześcijanką wierną tradycji istniejącej w waszym świecie. Przed chwilą wspomniała o Jesu, o Jezusie. Czy nie powinna szukać pocieszenia w wierze? Twierdzi, że zastanawiała się, czy to przejście z jednej do drugiej rzeczywistości nie jest czymś podobnym do wniebowzięcia? Masz tego świadomość? – Z zamkniętymi oczami próbował sobie przypomnieć. – Tekst, który zacytowała, brzmiał tak: *Sam bowiem Pan zstąpi z nieba na hasło i na głos archanioła, i na dźwięk trąby Bożej, a zmarli w Chrystusie powstaną pierwsi. Potem my, żywi i pozostawieni, wraz z nimi będziemy porwani w powietrze, na obłoki naprzeciw Pana, i w ten sposób zawsze będziemy. Przeto wzajemnie się pocieszajcie tymi słowami!* To z *Listu do Tesaloniczan*. Ten fragment nie istnieje w naszej *Biblii*, w wersji kanonicznej, podobnie jak nie ma wzmianki o porwaniu w powietrze. Wiecie, co sobie pomyślałem? Marie nie boi się tego, że Bóg wziął ją do nieba, ale że została porzucona w tym spustoszonym…

– Tu jesteś!

Raźnym krokiem do stołówki weszła Beth Eden Jones, za nią natomiast zaniepokojona Marie Golvin.

Rozdział 17

Ari i Penny wstali, żeby się przywitać.

Beth miała na sobie typowe brykanckie ubranie, do którego po dwóch latach wszyscy przywykli: tunikę, spodnie, skórzane buty i lekki płaszcz. Mimo zaokrąglonej figury od razu widać było, że już nie jest w ciąży. W ramionach trzymała niemowlaka owiniętego kocykami.

– Cholera, Beth, co to ma znaczyć? – uniosła się Penny. – Czy to jest to, o czym myślę? Urodziłaś dziecko? Przepraszam, pogubiłam się w datach, ostatnio nie śledzę wydarzeń…

Ari wstał bez słowa z piorunującym spojrzeniem.

Beth zatrzymała się przed mężem z roziskrzonym wzrokiem, lecz mówiła do Penny:

– Tak, to moje dziecko. Ten potwór jest ojcem!

– Nie tutaj, kobieto! – fuknął ochryple Ari, nie spuszczając z niej oka. – I nie teraz.

– W takim razie gdzie, jeśli nie wśród przyjaciół? Mam wrócić do twojego domu, do twojej rodziny, a potem czekać, aż znowu spróbujesz ją zabić?

Obracały się ku nim twarze.

– Beth! – powiedziała ostro Penny. – Nie wiem, do licha, o czym gadasz, ale usiądź wreszcie! – Położyła rękę na jej drżących ramionach, patrząc na mokre od łez policzki. Beth miała trzydzieści osiem lat, lecz w tej chwili wyglądała na więcej i była wycieńczona. Usłuchała jednak i usiadła przy stoliku, z którego nie zebrano jeszcze resztek po posiłku. – Ty też, Ari. Co tak stoisz nad nią jak góra? Beth, zamówić ci coś? Może się czegoś napijesz?

– Nie. – Beth i Ari wciąż mierzyli się spojrzeniem.

Penny usiadła i zerknęła na Marie.

– Przynieś wody. Aha, i gorące mleko.

Marie oddaliła się pośpiesznie.

Penny uchwyciła się ramienia Beth i pochyliła, żeby zobaczyć dziecko. Na szczęście spokojnie spało z pomarszczoną buzią.

– Beth, jakie ono piękne.

– Ona. To dziewczynka. Ma na imię Mardina.

– Po babci, co? – Penny popatrzyła na Ariego, na którego twarzy malowała się wrogość. – Czegoś tu nie rozumiem. Coś jest nie tak? Dziecko jest chore?

– Dziecko ma się dobrze – odparł chłodno Ari. – Tyle że jest… nieplanowane.

– Tu odradza się kobietom w moim wieku rodzić dzieci – wyjaśniła Beth. – To surowa, lecz

praktyczna zasada. I wcale mnie nie dziwi. Wysyłają w kosmos okręty wojenne, ale ich medycyna to jeszcze średniowiecze.

– Mimo wszystko zaszłaś w ciążę.

– Tak, zaszłam, przez przypadek. Powiedzieli mi, że wszystko będzie dobrze, że dziecko zostanie zaakceptowane.

– Prawdopodobnie się przesłyszałaś – rzekł Ari. – Albo nie zrozumiałaś niuansów. Powiedziałem ci, że dziecko będzie musiało przejść próbę…

– Wystawili ją – oznajmiła Beth. – Kiedy spałam.

– Co takiego zrobili? – zapytała ze zdziwieniem Penny.

– Zabrały ją. Kobiety z rodziny Ariego. Odebrały mi ją. Odwinęły kocyki i umieściły maleństwo na dachu. Gołe. Miały pozwolić jej żyć, jeśli nie umrze podczas wystawienia. I jeśli on się zgodzi, przyjąć ją pod dach. Wybór należał do niego, nie do mnie.

Penny odwróciła się do Ariego.

– Czemu ma służyć takie okrucieństwo?

Przywołał na usta mdły uśmiech.

– Nie pora na lekcje historii. Możecie obwiniać Rzymian, bo to zwyczaj zapożyczony od nich. Ta zasada rzeczywiście jest… Jak ją określiłaś? Surowa, lecz praktyczna? Lepiej stracić kilkoro zdrowych dzieci, niż obciążać społeczeństwo słabeuszami…

– Ojciec decyduje, czy ocalić dziecko, nie matka! – burknęła Beth. – Uważa się, że lepszym sędzią jest on. Matki najczęściej mają wsparcie w rodzinie i zdarza się, że rodzina zabiera dziecko na wychowanie, lecz matka nigdy go już nie zobaczy. Ale mnie nie miał kto pomóc, a on postanowił ją porzucić.

Ari pokręcił głową.

– Na moim miejscu większość mężczyzn postąpiłaby tak samo.

– Ale się dowiedziałaś, co? – dopytywała się Penny.

– Wyrwałam się z tego przeklętego domu, w którym mnie trzymali – relacjonowała Beth. – Wdrapałam się na dach, uratowałam dziecko i od razu przyszłam tutaj. Wiedziałam, że was tu znajdę. Ciekawe, ile przepisów naruszyłam. Wniesiesz oskarżenie, uczony? Wrzucą mnie do więzienia, okaleczą, stracą czy zrobią mi coś innego, co się robi nieposłusznym matkom?

Ari ponownie pokręcił głową.

– Ależ skąd, zawsze są jakieś wyjątki. Jesteś mile widziana w moim domu, w mojej rodzinie, ty i dziecko.

– Nie po czymś takim. – Popatrzyła błagalnie na Penny. – Pozwól mi zostać tutaj, z tobą.

– Oczywiście, że możesz z nami zostać – zgodziła się bez wahania Penny.

Ari wstał.

– To niczego nie zmienia. Sprawuję pieczę nad Akademią, więc w pewnym sensie jesteście pod moim dachem…

– One zostają z nami – oświadczyła stanowczo Penny.

– A co potem? Gdy dziecko podrośnie? Gdy będzie mieć swoje potrzeby?

Penny westchnęła.

– Pomyślimy o tym we właściwym czasie. Wydaje mi się, Ari Guthfrithsonie, że najlepiej będzie, jak już sobie pójdziesz.

Przez chwilę stał nieruchomo z zaciśniętą pięścią, po czym odszedł sztywno, omal nie wpadając na Marie Golvin, która właśnie wracała z kubkami na tacy.

Penny odprowadziła go wzrokiem.

– A myślałam, że go rozumiem. Myślałam, że jako uczeni znajdziemy wspólny język. *Druidh*…

– W ogóle go nie znasz – powiedziała Beth. – Ja też go nie znałam. Ci ludzie nie są tacy jak my. Nawet Ari. Mężczyzna, którego chyba kochałam, który jest ojcem mojego dziecka. Zwłaszcza on.

Rozdział 18

AD 2227; AUC 2980

– Gdy tylko Kwintus Fabiusz wyszedł z tego powietrznego statku, już wiedziałem, że to nadęty osioł.

– Sprawdza się jako dowódca, Yuri Edenie – odrzekł ColU. – Ponieważ pochodzi z prowincji, która jest uważana za kresową, stara się być lepszym Rzymianinem niż rodowici Rzymianie.

– Biedaczek. I dlatego chodzi taki znerwicowany, co? A tak serio, to przypomina mi innego nadętego osła, Lexa McGregora… Przepraszam, trochę mnie poniosło.

– Uspokój się, Yuri. Wdychaj tlen.

– Dobra, dobra…

– Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy? Jestem tu w roli świadka, żeby zapisać twoją ostatnią wolę.

– Eh, ten ColU, zawsze czymś zajęty. Słuchaj, po prostu mów do mnie. Na razie nie chciałbym rozpamiętywać swojego marnego życia. Na tej łajbie jesteś jedyną bliską mi osobą, nie licząc Stef, ale ty pojawiłeś się pierwszy, nie?

– Nawet jeśli byłem tylko narzędziem ISF? Organizacji, która bez twojej zgody zesłała cię na obcą planetę?

– Fakt, było tak, ale to już za nami. Tylko mi nie mów, że muszę odpocząć. Wkrótce czeka mnie długi sen, podróż do gwiazd w rzymskim sarkofagu. W sumie odejdę w fajnym stylu.

– Zatem wiesz, że po cichu uzgodniłem z *optio*, że to będzie najwłaściwszy sposób na pozbycie się twojego ciała, a także ciała pułkownik Kalinski, jeśli zajdzie taka potrzeba. Alternatywą byłoby spuszczenie zwłok do kadzi systemu recyklingowego.

– Nie musisz się ze mną cackać, okej?

– Chodzi również o to, że przybywamy z innej ścieżki czasu. W waszych ciałach mogą gnieździć się patogeny nieznane w tej rzeczywistości. Poza tym macie w sobie elementy sztuczne, na przykład uzupełnienia dentystyczne, które mogą okazać się szkodliwe w łańcuchu pokarmowym.

– Co? Nie rozśmieszaj mnie, ColU! Przez ciebie wyobrażam sobie, jak moje sztuczne zęby wygryzają się z brzucha jakiegoś tłustego legionisty.

– Akurat nie masz sztucznych zębów, Yuri. Choć twoja myśl faktycznie jest komiczna.

– Tylko nie śmiej się na głos.

– Mam znowu wezwać *medicusa*? Michael powiedział, że jeśli…

– ColU, nie świruj. Jeśli będę potrzebował konowała, sam go wezwę. To już tylko opieka paliatywna, obaj o tym wiemy. On nie poprawi mojego stanu zdrowia, tak samo jak ty. Choć mając ten swój arsenał chemiczny, psychoaktywne substancje z południowoamerykańskiej dżungli, może kręcić moim poziomem bólu, jakby grał na skrzypcach… Wiesz, czasem zastanawiam się, czy nie wożę ze sobą jakichś cholernych pasażerów.

– Całkiem możliwe, Yuri. Twój organizm stykał się z wieloma nienaturalnymi dla człowieka środowiskami. To już twoja druga podróż w przestrzeni międzygwiezdnej. Kilkadziesiąt lat mieszkałeś na Per Ardui, gdzie słońce ciągle straszyło rozbłyskami. Wcześniej spędziłeś trochę czasu w kopule na Marsie, w świecie pozbawionym grubej atmosfery i warstwy ozonowej. A jeszcze wcześniej zaliczyłeś międzyplanetarny rejs z Ziemi na Marsa.

– I przechodziłem przez Włazy. Trzykrotnie.

– Tak, a w młodości przeleżałeś sto lat w kapsule, w podziemnej komorze na Antarktydzie z tysiącem takich jak ty. Wskaźnik zachorowań na rozmaite nowotwory wśród tych, którzy przetrwali eksperyment…

– Mówiło się na to „powikłania odmrożeniowe”. Więc rodzice, którzy włożyli mnie do lodu i wsadzili do dziury…

– …na pewno chcieli wysłać cię do lepszych czasów, Yuri.

– I teraz wychodzi na to, że po tym wszystkim, co przeszedłem, wykończy mnie jednak to przeklęte krio. Ironia losu…

– To są tylko moje przypuszczenia, Yuri.

– Wiem, kolego. Nie biorę tego do siebie.

– Wielka szkoda, że medycyna jest tu tak słabo rozwinięta. Mam nadzieję, że nawigatorom ze statku uda się z moją pomocą zbudować medyczny skaner emulujący funkcje tabletu, którym diagnozowałem twój stan zdrowia.

– Nawigatorom? Aha, twoim arabskim kolegom w baniach obserwacyjnych…

– Nasz statek leci dzięki obserwacjom gwiazd, astronomicznym wyliczeniom przeprowadzanym przez arabskich specjalistów.

– A mi się zdaje, że twoi arabscy koledzy są tak samo zacofani jak wszyscy naukowcy na tej linii czasu.

– Można odnieść takie wrażenie. Tutaj prorok urodził się w spokojnej, stabilnej prowincji silnego Cesarstwa Rzymskiego. Podobnie jak w naszym świecie, kwitła tu muzułmańska cywilizacja, *dar-al islam*, lecz pod opieką Rzymu. Nie było wielowiekowych konfliktów

religijnych w Europie, żadnych wojen krzyżowych. Już w epoce przedchrześcijańskiej Rzymianie ze zrozumieniem podchodzili do mniejszościowych wyznań. W ich przekonaniu islam jest muskularnym bratem chrześcijaństwa, które stało się dla nich religią państwową.

– I arabscy astronomowie są najlepsi?

– W rzeczy samej. Yuri Edenie, mam nadzieję, że będziesz miał okazję zobaczyć banie obserwacyjne. Panuje w nich atmosfera nauki, skupienia, wyciszenia. Są jak pracownie dydaktyczne w college'ach lub religijne sanktuaria. Jedną z nich poświęcono i pełni funkcję meczetu. Latając w kosmos, muzułmanie muszą znać się na astronomii, aby ze względu na konieczność odmawiania codziennych modlitw umieć za pomocą sprawdzonych metod ustalić położenie Ziemi, a co za tym idzie, Mekki. Jednak Arabowie poszli o wiele dalej. Posiadają dokładne teleskopy optyczne, ale też spektroskopy do analizy światła, choć ich umiejętności przechowywania obrazów zatrzymały się na etapie fotografii kliszowej. I dokonali całej serii odkryć mających mniej lub bardziej ścisły związek z misją „Malleusa Jesu". Oczywiście statek ziarnowy poruszający się z dużym przyśpieszeniem, jak nasz, wytwarza sporo hałasu. A ponieważ podróżujemy prawie z prędkością światła, trzeba jakoś kompensować relatywistyczne zmiany geometryczne. Aby to osiągnąć, stosują skomplikowane wzory matematyczne, do których z braku teorii doszli metodą prób i błędów… Yuri Edenie, Arabowie dopuścili mnie do swoich bibliotek. Z wielkim trudem sporządzili przyzwoite mapy kosmicznego promieniowania tła, resztkowej poświaty po Wielkim Wybuchu, choć nie posiadają wystarczającej wiedzy kosmologicznej, żeby opisać to zjawisko. Wśród mijanych gwiazd szukają planet zamieszkanych przez organizmy żywe, mogących być celem przyszłych misji kolonizacyjnych. Takie planety mają pewne charakterystyczne cechy. Na przykład atmosfera ziemska zawiera tlen i metan, reaktywne gazy potrafiące wiązać się z innymi związkami chemicznymi (obecna w skałach ruda żelaza rdzewieje), których ubywałoby z powietrza, gdyby nie to, że życie stara się uzupełnić zasoby. Inny rodzaj biosfery objawiałby się inaczej. Czasem można stwierdzić istnienie życia po widocznych z kosmosu zmianach kolorów. Dawna Ziemia prawdopodobnie była w dużej mierze fioletowa, przynajmniej wzdłuż morskich wybrzeży…

– I to wszystko wyczytałeś w ich bibliotekach? A Chu Yuen służył ci pewnie jako wyszukiwarka, co? Wyobrażam sobie, jak biedaczysko zaczyna się pocić od tego przewracania kartek…

– Zazwyczaj rozkłada zwoje, ale w zasadzie nie mylisz się aż tak bardzo. Przy czym można zaobserwować pewną zaskakującą rzecz: liczne światy, którym przyjrzeli się Arabowie, nie są już żywe, lecz umarłe; kiedyś płodne, dziś jakby spustoszone, przynajmniej na powierzchni.

W wielu przypadkach stało się to całkiem niedawno. Da się to stwierdzić, nawet patrząc z daleka. Jeśli na Ziemi w jednej chwili wyginie życie, rozkład olbrzymiej liczby trupów wpompuje do atmosfery olbrzymie ilości etanu. Bez regulowanego przez rośliny obiegu wody nastąpi gwałtowne ocieplenie. I tak dalej. Wszystko byłoby widać z dużej odległości. Yuri Edenie, Arabowie dokonali mnóstwa takich odkryć.

– Co mogło załatwić całe światy? Wojna?

– Być może.

– I nie wiadomo, jakie hocki-klocki podziały się z historią. Pewnie to, co nas spotkało, nie jest precedensem.

– Można tylko zgadywać. Oczywiście Arabowie szukają także ziaren. Światów obfitujących w złoża, celów przyszłych ekspedycji związanych z budową nowych Włazów. Również w tym przypadku można z daleka dostrzec pewne znamienne cechy promieniowania. Oni nawet zaczęli tworzyć mapę tej części galaktyki z zaznaczeniem planet, na których zalegają ziarna i istnieją Włazy. Choć trudno się w nich rozeznać, bo nie są to mapy w ścisłym znaczeniu tego słowa, już bardziej spisy, wykazy kierunków i odległości między lokalizacjami. Poszczególne punkty tworzą jakby sieć. Znaczny odsetek planet, na których znajdują się ziarna, to te skupione bliżej centrum galaktyki. Jakby stamtąd pochodziła siła, która zainicjowała proces, a sieć budowanych Włazów rozprzestrzeniała się stale ku krańcom Drogi Mlecznej.

– Hm… Co jest takiego szczególnego w centrum galaktyki?

– W pewnym sensie jest starsze. Galaktyka to olbrzymi zakład produkcyjny, w którym wytwarzane są gwiazdy z surowców takich jak gazy i pyły. Narodziny gwiazd odbywają się na rozszerzających się peryferiach. Przypuszcza się, że w okolicach środka galaktyki znajdują się zdatne do zamieszkania planety, które powstały miliard lat przed Ziemią.

– A więc pierwsze Włazy zostały zbudowane przez jakieś pradawne istoty rozumne przyczajone na tych bardzo, bardzo starych światach?

– Obserwacje Arabów zdają się to potwierdzać, Yuri.

– Ale czemu to wszystko ma służyć? Nie masz czasem wrażenia, ColU, że brakuje nam szerszej perspektywy? Wszystkie te dziwne sprawy: ziarna, Włazy, całe historie trafiające na przemiał… Może te dragi z Ameryki Południowej rozwiązały mi język...?

– Za bardzo skupiamy się na codziennych problemach, żeby znaleźć czas na takie rozważania.

– A gdy ujeżdżamy te wszystkie darowane konie, nie chce nam się zaglądać im w zęby. Z tych cholernych ziaren jest zbyt duży pożytek. Ale czasem zadajemy sobie pytania… No, przynajmniej ty, ColU.

– Staram się. Moim podstawowym zadaniem zawsze była opieka nad otaczającymi mnie

ludźmi. Teraz opiekuję się tobą i twoją rodziną. Robiąc to, muszę się zastanawiać nad poruszanymi przez ciebie kwestiami. Muszę myśleć o przyszłości. I pewne rzeczy, których się o niej dowiaduję, napełniają mnie strachem.

– Może znowu ogłupiły mnie te dragi, a może właśnie przestają działać. Wyjaśnisz mi, co z tą przyszłością?

– Widzę ją na niebie, Yuri. Mówiłem ci, że arabscy astronomowie uważnie przyglądają się promieniowaniu reliktowemu po Wielkim Wybuchu. Widoczne w nim zaburzenia: zmarszczki, nieciągłości, polaryzacje niosą ze sobą mnóstwo informacji na temat ogólnej struktury wszechświata. Bądź co bądź, ono przenika cały kosmos od jego zarania. Nasi kosmolodzy szukali dowodów na istnienie innych wszechświatów. Interakcja dwóch wszechświatów, ich kolizja w jakimś wyższym wymiarze, mogłaby wywołać echa w tle, gigantyczne szumy na niebie. Jednak ja, który studiuję arabskie zapisy, posługując się niedostępną dla nich wiedzą, dostrzegam… coś innego.

– Co? Budujesz zabójcze napięcie, a ja i bez tego umieram.

– Przepraszam, Yuri. Sądzę, że zaobserwowałem ślady zdarzeń superluminalnych, zjawisk zachodzących z prędkością nadświetlną.

– O czym ty gadasz, do cholery? O napędzie *warp*? Kosmicznym superstatku? Wyższej cywilizacji?

– Nie, nie, tu trzeba innej skali, znacznie większej. Posłuchaj, Yuri. Wiadomo, że teoria względności wyklucza podróżowanie w czasoprzestrzeni z prędkością nadświetlną. To fundamentalne odkrycie Einsteina. Nawet przejście przez Właz, na przykład z Merkurego na Per Arduę, przy wykorzystaniu tajemniczych mechanizmów umożliwiających taką podróż, jest nieco wolniejsze niż rejs z prędkością światła. Ale w fizyce istnieje klauzula odstąpienia od umowy.

– Mów dalej.

– W czasoprzestrzeni nic nie porusza się szybciej niż światło. Ale czasoprzestrzeń pod pewnymi względami jest jak materia, posiada wewnętrzną strukturę. I można ją deformować. W czasoprzestrzeni mogą rozchodzić się fale, przemieszczać się szybciej niż światło. Teoretycy zastanawiali się, czy powstające wskutek tego zakrzywienia, warps, dałyby się zastosować przy rozpędzaniu statków kosmicznych do superluminalnych prędkości.

– Prześcignąć światło, surfując na falach czasoprzestrzeni…

– O to właśnie chodzi, Yuri. Nie udało nam się skonstruować napędu *warp*. Jednak fale zaburzeń, zgodnie z teorią, emitują specyficzne promieniowanie. I choć nie potrafiliśmy go wytworzyć, wydawało się nam, że można je zaobserwować. Myślę, że wykryłem ślady zaburzeń w kosmicznym promieniowaniu tła. Nie są to małe, skoncentrowane sygnały, pochodzące

przykładowo ze statku kosmicznego. To świadectwa zdarzeń odbywających się w niepojętej skali. Obejmujących zasięgiem miliardy lat świetlnych ogarniających wszechświat.

– Większych niż galaktyki…

– Większych niż supergromady galaktyk.

– Pielęgniarka! Chyba poluzowała mi się igła kroplówki!

– Przepraszam, Yuri. Porozmawiam o tym z pułkownik Kalinski. Może ona to zrozumie. Na razie pracuję nad sformułowaniem pewnej hipotezy.

– Jakiej hipotezy?

– Wyobraź sobie, że w przyszłości wystąpił kataklizm. Niewyobrażalnie gwałtowne zdarzenie na całym obszarze wszechświata. Zdarzenie powodujące taki wybuch energii, że jednym z jego skutków są zaburzenia czasoprzestrzeni, przeogromne fale…

– Aha. Fale *warp*, które mogą cofać się w czasie.

– Właśnie, Yuri. Uważam, że w tych nikłych śladach struktury w kosmicznym promieniowaniu tła, którym arabscy astronomowie przyglądają się w ciszy swoich bani obserwacyjnych, widać jakąś zapowiedź, echa cofające się w czasie…

– Echa z przyszłości. Tylko czego?

– Czegoś potwornego.

– Nigdy nie miałeś skłonności do przesady, ColU.

– Zasypiasz, Yuri?

– Jeszcze nie. Gadamy tu sobie o jakichś nieszczęściach w przyszłości. Słuchaj, ColU, ja nie boję się śmierci. Zresztą czuję się, jakbym już umarł, i to kilka razy. Przez tyle drzwi przechodziłem: z moich czasów do przyszłości, z Marsa na Per Arduę…

– Po prostu przejdziesz przez następne.

– Wiem, przyjacielu, wiem. Ale boję się o swoich najbliższych. Posłuchaj mnie… Chcę, żebyś postarał się odnaleźć Beth.

– Tak, już mnie o to prosiłeś. Ale nie wiadomo, czy ona istnieje w naszej rzeczywistości. Może została po tamtej stronie.

– Może tak, a może nie. Znam Mardinę, a raczej… znałem. Jeśli był sposób, żeby ją uratować, ona go znalazła.

– Mogę się pochwalić, że zawsze lubiłem Beth Eden Jones.

– Byłeś przyjaznym potworem, który za pomocą tych swoich manipulatorów robił dla niej zabawkowych budowniczych. Pamiętasz Pana Patyczka? Znajdź ją, ColU. I tych, którzy z nią są. Powiesz, że jesteś teraz jej własnością. I pomagaj jej w miarę możliwości. Bo ja nic już nie zrobię. Już nie mogę jej pomóc.

– Yuri Edenie…

– Obiecaj.

– Obiecuję, Yuri Edenie. Tracisz siły. Poproszę Michaela, żeby do ciebie zajrzał.

– Dobra. Aha, ColU, jeszcze jedno. Ten przyszły kataklizm, który być może zobaczyłeś. Kiedy?

– Niczego jeszcze nie udowodniłem. Na razie to tylko wstępne przypuszczenia.

– Pamiętam, jak ten osioł Lex McGregor zostawiał nas na Per Ardui. Mówił wtedy, że Proxima będzie świeciła tysiące razy dłużej niż Słońce.

– Proxima dopiero zacznie się starzeć, gdy spadnie na nas to nieszczęście, Yuri.

– Zacznie się starzeć?

– Ostrożnie wyliczyłem, że źródło fal czasoprzestrzennych oddalone jest od nas o niecałe cztery miliardy lat. Może trzy i pół miliarda…

– Cztery miliardy lat? Ha! Trzeba było od razu tak mówić! Ja nie mam przed sobą nawet czterech lat, a ty mi tu mówisz o miliardach. Cztery miliardy lat temu Ziemia jeszcze się formowała, prawda? Dlaczego miałbym się martwić, że za cztery miliardy lat skończy mi się czas?

– Bo twoim potomkom, Yuri, będą odebrane biliony. Prześpij się, a ja poszukam Michaela…

Rozdział 19

AD 2225; AUC 2978

Hamując wśród płomieni z silników ziarnowych, „Ukelwydd” powrócił z kosmicznej pustki, by wejść na orbitę Marsa.

Kiedy napęd został wyłączony i zatopiona w głębokim fotelu Penny Kalinski, teraz osiemdziesięciojednoletnia kobieta, przestała odczuwać ciężar na piersi, wydała z siebie westchnienie ulgi. To był jej pierwszy lot kosmiczny od dwunastu lat – pierwszy, odkąd podróżowała na pokładzie „Tatanii”. Po tylu latach, które spędziła jako podstarzała, ekscentryczna i przykuta do Ziemi nauczycielka, zdążyła zapomnieć, jak męczący może być start. Ale już było po wszystkim.

W stanie nieważkości jej wątłym „babcinym” rękom starczyło sił, aby wydostać się z fotela. Przez kilka sekund unosiła się w ciepłym powietrzu, rozkoszując się brakiem siły ciążenia. Mieszkała w kabinie tak małej, że z dowolnego miejsca mogła dotknąć ściany. Każdą powierzchnię wyposażono tutaj w uchwyty. Łatwo było przefrunąć do mikroskopijnej komórki mieszczącej łazienkę. Swoboda ruchu sprawiała jej wielką przyjemność, nieco tylko umniejszoną artretycznym strzykaniem w stawach. W lustrze zobaczyła swoje rozwiane włosy, tworzące wokół głowy kosmatą szarą chmurę.

– Dobry Boże… – Zebrała swawolne kosmyki i zwinęła je w kok.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, wyglądała już przyzwoicie.

Trierarchus Kerys czekała na nią, wisząc w powietrzu w swobodnej pozie. W wieku pięćdziesięciu lat była osobą pewną siebie, kompetentną i często uśmiechniętą; w jej czarnych włosach plątały się siwe pasemka. W ciągu dwunastu lat od chwili, gdy dowodząc „Ukelwyddem”, przechwyciła „Tatanię” wraz z jej załogą życiowych rozbitków, stała się przyjaciółką Penny Kalinski.

– Pomyślałam sobie, że przyda ci się eskorta w drodze do kabiny obserwacyjnej. *Druidh* czeka tam na ciebie. Minie kilka godzin, zanim przestawimy się z lotu międzygwiezdnego w tryb lądowania. Powiedział, że nim wylądujemy, chętnie popatrzysz na Marsa, na zachodzące na nim zmiany.

Z biegiem czasu Penny nauczyła się mówić płynnie po brykancku. Także łacina nie sprawiała jej większych problemów, lecz wszystko wskazywało na to, że nigdy nie opanuje języka

zyńskiego – mimo długotrwałych wysiłków Jianga, który uczył ją niezwykle cierpliwie. Zrozumiała każde słowo wypowiedziane przez Kerys i wyłapała zamaskowaną aluzję. Chodziło jej o zmiany wprowadzone przez Earthshine'a.

– Popatrzę z przyjemnością. To dla mnie zaszczyt, że sam *trierarchus* mnie tam zaprowadzi.

– Jesteś naszym honorowym gościem. Ciągle ci to powtarzam od wyjazdu z Terry. No dobrze, złap mnie za rękę.

Kerys zaczęła się przesuwać od uchwytu do uchwytu i w ten sposób ostrożnie ruszyły korytarzem.

– Zawsze mnie to dziwi, że przestrzeń wydaje się większa w stanie nieważkości – powiedziała Penny. – Donosili o tym już pierwsi astronauci. Mam na myśli kosmicznych wędrowców w mojej linii czasu. – W miarę upływu lat z coraz większą trudnością przychodziło jej oddzielanie dwóch splątanych ze sobą historii. – Nie rozumiem, dlaczego chciało wam się taszczyć mnie aż tutaj.

– Po części dlatego, że towarzyszyłaś w podróży Earthshine'owi. Prosił, żebyśmy cię przywieźli do niego, i to jest jedyny cel naszej misji.

– Earthshine stał się ważną figurą w świecie. W waszym świecie. Dostaje wszystko, czego tylko zapragnie…

– Ale chodzi również o to – dodała poufnym tonem Kerys – że przepchnęłaś moich siostrzeńców przez swoją Akademię.

– Pamiętam ich. Olaf i Thorberg.

– Tak. Ich ojcem jest Duńczyk, w ich żyłach płynie dzika krew. Ale tobie udało się na pięć lat zapędzić ich do nauki.

– Były z nich niezłe gagatki. Co porabiają?

– Obaj służą we Flocie. To dla nich najlepsze miejsce. No to jesteśmy.

Delikatnie wprowadziła Penny przez otwarte drzwi do pomieszczenia z ogromnym oknem widokowym, za którym przesuwał się krajobraz w odcieniach brązu i pomarańczu. Penny poznała, że znajdują się w kabinie obserwacyjnej, gdzie kiedyś oglądała powiększającą się sylwetkę nowej Ziemi: Terry, świata ukształtowanego przez zupełnie inne wydarzenia dziejowe. Teraz za tym oknem wędrował Mars, kraina kraterów, kanionów, gór i pyłu – majestatyczna, obca, niegościnna. Od razu jednak zauważyła, że nie jest to Mars, który niegdyś znała, który pozostał w jej pamięci, ten bowiem miał za sobą wieki zasiedlania. Jakże niezwykłe zrządzenie losu, rozmyślała z niedowierzaniem, że po tylu latach od rozjazdu Jonbara znalazła się tutaj i mogła to zobaczyć.

Był tu również Ari Guthfrithson, ciekaw jej reakcji.

Penny wiedziała, że *druidh* leci statkiem wraz z nią, lecz w ciągu kilkudniowego rejsu z Ziemi starała się go unikać. Ignorując jego obecność, pozwoliła Kerys zaprowadzić się do uchwytu. Gdy bezpiecznie zaczepiła na nim rękę, spojrzała twardo na Ariego.

– Nie starzejesz się ładnie – stwierdziła.

W wieku czterdziestu paru lat *druidh* przybrał na wadze, miał siwiejące włosy i pomarszczoną twarz.

Zaśmiał się ochryple.

– Ty również, stara kwoko.

– Dzięki.

Odwrócił się w stronę planety.

– Patrz, jak wygląda mój Mars! Oto, co można osiągnąć, mając technologię ziarnową… i marzenia.

Wizjonerzy z dawnej Ziemi umieliby nazwać wiele z tego, co tu zaszło. W nowej rzeczywistości inżynierowie ze wszystkich sił starali się ożywić Marsa, eksploatując jego zasoby, na długo zanim pojawił się Earthshine ze swoim planem wykorzystania Ceres. Emitowane przez ziarna strumienie energii ogrzewały pokrywę lodową w strefach polarnych, a wytopioną wodą napełniały się gigantyczne kanały wypalone na północnych równinach Vastitas Borealis oraz pokrytych kraterami południowych wyżynach Terra Sirenum, Aonia Terra, Noachis Terra, Terra Cimmeria – miejsc, które w tej rzeczywistości otrzymały własne nazwy: łacińskie, zyńskie bądź brykanckie. Na niższych szerokościach geograficznych pootwierano głębokie warstwy wodonośne. Statek przelatywał nad Valles Marineris, gdzie rozległa sieć kanionów zamieniła się w śródlądowe morze. Na razie woda była zamarznięta, biały lód wyraźnie odznaczał się na tle rdzawej marsjańskiej scenerii. Na okrągłym horyzoncie widniały olbrzymie pęcherze wulkanów górujących nad wyżyną Tharsis. Wszystkie, również Olympus Mons, zostały przeorane, rozłupane i wstrząśnięte w nadziei wywołania erupcji tych od dawna uśpionych gigantów, dzięki czemu buchające popioły i gazy cieplarniane mogłyby zagęścić rzadką atmosferę.

Na stronie pogrążonej w ciemnościach nocy błyszczały światła wielkich miast.

Mars – z gęstą atmosferą, miastami i mnóstwem wody w kanałach! Mrzonki dziewiętnastowiecznych fantastów z ojczystego świata Penny tutaj wreszcie mogły się urzeczywistnić. Czasem się zastanawiała, czy przypadkiem jej dowódcy nie przesadzali z tą ostrożnością w kwestii korzystania z nieoczekiwanych dobrodziejstw technologii ziarnowej. Jakże wiele można było osiągnąć za sprawą tych czarodziejskich źródeł energii, gdyby nie dbać o skutki przekształceń.

– Wiem, o czym myślisz – odezwał się Ari.

– Czyżby?

– Że nie jest to Mars, który znasz z własnego doświadczenia. I masz rację. Ale wkrótce nie będzie to już nawet ten, który tu był, kiedy się zjawiłaś.

– To będzie Mars Earthshine'a.

– Tak. Bóg, którego sprowadziliście do naszej rzeczywistości, tworzy na nowo ten świat. Höd, czyli wasza Ceres, jest już w drodze, zbliża się z każdym obrotem wokół Słońca. W tej chwili znajduje się… – Zastanawiając się, spojrzał na Marsa dla lepszej orientacji i wskazał na prawo od siebie. – Gdzieś tam. Widać go gołym okiem z powierzchni Marsa.

– Co tu robisz, Ari? Czego ode mnie chcesz?

– Porozmawiasz z Earthshine'em.

– To chyba oczywiste. Przecież mnie wezwał. Choć nie wiem, czego ode mnie oczekuje.

– Wiedziałem, że mnie zlekceważysz, jeśli podejdę do ciebie na Terze lub podczas lotu. Dopiero teraz, gdy przygotowujemy się do zejścia na ląd, czuję, że mogę z tobą pomówić, że mnie wysłuchasz. Dopiero teraz będziesz w stanie zrozumieć wagę mojej prośby.

Penny zerknęła na Kerys, która przyglądała się temu beznamiętnie, jedną ręką uczepiona poręczy.

– Wiesz, o co mu chodzi, Kerys?

– Nie mieszaj mnie do tego. Wiem tylko tyle, że Ari wspiął się bardzo wysoko, dotarł aż do Dumnony, do sztabu głównego Floty. Pociągnął za wiele sznurków, nim pozwolono mu wziąć udział w tej misji.

– A wszystko to ze względu na tę właśnie chwilę, Penny Kalinski – rzekł Ari.

– Naprawdę? No więc czego chcesz, *druidzie*?

– Sprawa jest prosta. Porozmawiasz z Earthshine'em. Wysłuchasz tego, co ci powie. Po powrocie powtórzysz mi, co powiedział. A jeśli nie mi, to *trierarchusowi*, dowództwu w Dumnonie, komu trzeba. Dowiedz się, na czym naprawdę mu zależy, i powiedz nam o tym.

– Znacie jego zamiary. Chce terraformować Marsa, ożywić planetę.

– Tak twierdzi, ale z całą pewnością jest coś jeszcze, jakiś ukryty plan. Wylądujesz tam. – Wskazał basen uderzeniowy Hellas. – To miejsce nazywamy Hel. Na samym dnie najgłębszego marsjańskiego basenu Earthshine urządził dla siebie coś na kształt habitatu. Tam właśnie przebywa jego osobisty moduł przetwarzania informacji. Dlaczego akurat tam? Nie wiadomo. Posiada również bazę kilkaset mil na północ.

A więc na obszarze nazwanym przez jej rodaków Syrtis Major.

– Tak?

– Z opisu twojej kariery zawodowej wynika, że to miejsce nie jest ci obce. Penny Kalinski, pomiary promieniowania wskazują, że mieści się tam laboratorium badań nad ziarnami. A to twoja specjalność. Rodzi się pytanie, dlaczego Earthshine zajmuje się fizyką ziarnową, skoro mówi, że priorytetem jest przywrócenie życia na Marsie? – Uśmiechnął się chłodno. – Być może poprosi cię, żebyś z nim współpracowała. Napiszesz kolejne „artykuły” dla „gazet”, które czytają uczeni w twoim świecie…

– Dałbyś sobie już spokój, podstępny nudziarzu! – żachnęła się Penny. – Jak tam żona?

– Nie mam żony – odparł oględnie.

– Dobra. W takim razie jak tam córka?

– Mardina ma dziesięć lat i mnie nie znosi. Widuję się z nią raz w roku na podstawie nakazu sądowego, do którego muszę się stosować.

– Nic dziwnego, że cię nie znosi. Czego chcesz od niej albo od jej matki? Przebaczenia?

– Zadowolę się zrozumieniem. Chciałem dla wszystkich jak najlepiej. Tak, nawet dla Mardiny! – Nagle jakby opuścił gardę, przygnębiony. – Przekażesz jej to ode mnie?

W tym momencie rozdzieliła ich Kerys, która wyprowadziła na zewnątrz *druidha*. Kilka minut później młody członek załogi statku odnalazł Penny, by oznajmić, że powinna przygotować się do lądowania.

Rozdział 20

Widoczna z prymitywnego łazika, który w podskokach oddalał się od miejsca, gdzie wylądował „Ukelwydd”, marsjańska baza Earthshine’a była zbiorem szklanych klocków, których ściany nachylały się ku Słońcu, blademu i nisko zawieszonemu na północnym niebie nad Hellas – Helem. Dla Penny była ewidentnym przypomnieniem czegoś, co już kiedyś widziała.

Kiedy łazik zgrabnie połączył się z punktem cumowniczym, przeszła przez śluzę powietrzną z pomocą dwóch młodych kobiet w prostych mundurach brykanckiej Floty. Następnie przeprowadzono ją przez pomieszczenia wypełnione mętnym światłem marsjańskiego dnia. W warunkach łagodnej grawitacji, wynoszącej jedną trzecią ziemskiej, mogła poruszać się samodzielnie z pomocą jedynie laski.

Gdy zjawili się w przestronnej, przewiewnej sali, Penny zatrzymała się i rozejrzała, wsparta na lasce. Na środku stało biurko, za którym siedział mężczyzna w formalnym garniturze. Mimo stosunkowo jasnego oświetlenia łzawiące oczy nie pozwalały jej wyraźnie dostrzec sylwetki. Przed biurkiem znajdowało się oczko wodne; jego gładką powierzchnię, w której odbijało się płowożółte niebo, mąciły fale poruszające się sennie w warunkach słabej grawitacji. I znów wracały wspomnienia.

Mogła podejść sama. Jej kroki wygłuszał gruby dywan w odcieniach przygaszonego brązu wziętych z palety typowych marsjańskich kolorów. Aby dotrzeć do biurka, musiała pokuśtykać naokoło zbiornika z wodą, przykrytego szybą i wypełnionego jakimiś fioletowymi mętami. Nie było w nim ryb ani roślin.

Kiedy podeszła do biurka, mężczyzna grzecznie wstał. Wysoki, w stonowanym garniturze i koszuli ze stójką, mógł mieć około pięćdziesięciu lat. Miał broszkę przypiętą do klapy, kamienny krążek z koncentrycznymi rowkami. Earthshine, jakżeby inaczej.

– Usiądź, proszę – powiedział z nienagannym brytyjskim akcentem. – Napijesz się czegoś? Kawy, wody? Jeśli dobrze pamiętam, zawsze lubiłaś sodową.

– Może gdy miałam jedenaście lat. Poproszę zwykłą wodę. – Sztywno osunęła się na krzesło stojące przed biurkiem.

Earthshine zastukał w blat, który otworzył się, by z wnętrza mogła się unieść półka ze szklanką i butelką wody.

– Obawiam się, że będziesz musiała sama się obsłużyć.

– Wiem.

Wpatrywał się w nią ze splecionymi dłońmi.

– Dziękuję, że jesteś.

– A miałam wybór?

– Nie, biorąc pod uwagę twoją osobowość oraz to, jak kiedyś wyglądały nasze wzajemne relacje. Widać, że pozostała w tobie wielka ciekawość świata. Ale nie sprowadziłbym cię tu siłą. Nie mógłbym.

– Zaczynam sobie wszystko przypominać. No, prawie. Ten dywan powinien być chyba niebieski.

– Nie pasowałby do marsjańskich pejzaży.

– Tak samo jak wielkie logo Universal Engineering Inc. I sir Michael King siedzący za tym biurkiem zamiast ciebie.

– Miejmy nadzieję, że sir Michael przeżył wojnę w swoim bunkrze w podziemiach Paryża.

– Mało prawdopodobne, nawet jeśli tamta wersja Paryża jeszcze gdzieś istnieje.

– Racja… Postarałem się odtworzyć wygląd pomieszczenia, które pamiętasz ze swojej pierwszej wizyty w głównej siedzibie UEI…

– Solstice. Kanada. Dawno, dawno temu. Poznaliśmy się, kiedy wezwano tam mnie i moją siostrę.

– Aczkolwiek – powiedział ostrożnie Earthshine – ta rzecz wydarzyła się przed wielkim rozwarstwieniem waszej osobistej historii, więc ona powiedziałaby, że poleciała tam sama.

– A ten staw… – Spojrzała przez ramię. – Nie pływały w nim jakieś modyfikowane karpie? Teraz masz tam pełno jakichś mętów.

– Komora próbnika zawiera coś bardziej egzotycznego niż ryby. Marsjan! – oświadczył podniosłym tonem. – Autentycznych tubylców wydobytych z kopalnianych szybów i innych podziemnych instalacji.

Kompletnie ją zaskoczył.

– Naprawdę? Żyjątka z podziemnych skał?

– Otóż to. W naszej wcześniejszej rzeczywistości Chińczycy natknęli się na nie w trakcie wydobywania wody, kiedy ruszyli z własnym programem terraformowania. Osobniki, którym się przyjrzałem, nie różnią się chyba od tych odkrytych przez Chińczyków. Rozwarstwienie historii nie miało na nie żadnego wpływu. A tak na marginesie, to egzemplarze umieszczone pod szybą są prawdziwe, reszta zaś w znacznej mierze…

– …jest tak samo nieprawdziwa jak ty. Ale przynajmniej dokładnie takiego cię zapamiętałam. W każdym szczególe, łącznie z tą dziwaczną broszką, którą nosisz w klapie. Jest maleńką kopią

obrobionego kawałka betonu, który kazałeś wnieść na pokład „Tatanii”. Mam rację? Często się zastanawiałam, jakie ma dla ciebie znaczenie.

Nie połknął haczyka.

– Zdecydowałem się na tę wirtualną prezentację dla przypomnienia naszej wspólnej przeszłości. Tego, co nas zbliża.

– I udało ci się. Choć pewnych rzeczy już się nie podrobi. Wyglądasz identycznie jak wtedy, gdy tymczasem ja… Spójrz na mnie. Sypię się.

– To i tak nie lada wyczyn, że przetrwałaś tu dwanaście lat po tych wszystkich traumach z poprzedniego życia i mimo ułomności medycyny i służby zdrowia w tym świecie. Choć staram się zachęcać ich do zmian…

– Masz na myśli handel informacjami, które wykradłeś z pamięci „Tatanii”? Lex nigdy ci tego nie wybaczył, wiesz chyba.

– Wiem – odparł obojętnie. – Już go nie przeproszę.

– Stary, poczciwy Lex. Przynajmniej miał dobrą śmierć. Osiemdziesiąt lat na karku, a ten biegnie na miejsce wypadku cysterny na Księżycu. Na Lunie – poprawiła się. – Brykanci postawili mu pomnik.

Earthshine parsknął śmiechem.

– Niezła robota, generale McGregor. Byłbyś z siebie dumny. A co z resztą?

– Jiang został ze mną w Akademii. Smutne to, że wciąż spotyka się z nieżyczliwością brykanckiego społeczeństwa. Nie wymażesz wieków nietolerancji uprzejmym uśmiechem. Przynajmniej nie tutaj. Pracuje też ze mną dwoje ocalałych członków załogi „Tatanii”, Marie Golvin i Rajeev Kapur. Nawet się pobrali.

– Tak, słyszałem. Wysłałem im prezent. A co u Beth i jej dziecka?

– Mała Mardina szybko rośnie, ma już dziesięć lat. Ma się dobrze. W wieku czterdziestu ośmiu lat Beth musi się napocić, żeby ogarnąć córkę. Nie mieszkają ze mną, ale mam na nie oko. Beth rozstała się z Arim Guthfrithsonem, ojcem dziecka. Gdy ona uzna kogoś za wroga, nigdy mu nie odpuszcza, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Tak, wiem coś o tym.

Ta odpowiedź zastanowiła Penny.

– Dlaczego miałaby się na ciebie gniewać?

– Z powodu czegoś, co jej powiedziałem. To było wtedy, gdy uciekaliśmy z wnętrza Układu Słonecznego. Dokładnie w chwili, kiedy dogoniło nas światło po eksplozji ziaren.

– Nie rozumiem. Co takiego jej powiedziałeś?

– Swoje nazwisko. W zasadzie jedno z wielu. – Nic więcej nie mówiąc, mierzył ją

przenikliwym spojrzeniem.

– No dobra. To dlatego mnie tu zaprosiłeś? Żeby za moim pośrednictwem dotrzeć do Beth? Zabawne, że Ari prosił mnie o to samo. Kim ja niby jestem, ONZ-etowskim mediatorem?

– Po części masz rację, martwię się o Beth. Ale chciałbym również, Penny, żebyś zrozumiała, czym ja się tu właściwie zajmuję. Żebyś chociaż pobieżnie zapoznała się z przedmiotem moich badań.

– Akurat ja?

Roześmiał się.

– Jesteś jedynym specjalistą od fizyki ziarnowej w tym wszechświecie.

– Aha, więc masz laboratorium do eksperymentów z ziarnami na wyżynie na północ stąd?

– Ponadto jesteś jedną z nielicznych ocalałych osób, które doświadczyły na sobie skutków zmiany historii. – Uśmiechnął się szeroko. – Rozjazd Jonbara. Ubawił mnie twój żarcik z nazwą dla Akademii. No i oczywiście to nie pierwszy rozjazd w twoim życiu.

Nie wolno jej było zapominać, jak sobie stale wmawiała, że Earthshine zawsze ma na uwadze realizację własnych planów. Ona była dla niego tylko narzędziem, pionkiem w grze. Jednak wiedział o niej mnóstwo rzeczy.

– Czego naprawdę ode mnie oczekujesz, Earthshine? – zapytała z podejrzliwością. – Mów prawdę.

– Może przyjść taki dzień, kiedy będziemy musieli stąd uciekać. Tak samo jak uciekliśmy z Ziemi, naszej Ziemi.

Zmarszczyła czoło.

– Jak to? Co by nas miało stąd wypędzić?

– Zanim nadejdzie ta chwila – tłumaczył cierpliwie – postaraj się, żeby Beth i Mardina były gotowe mi towarzyszyć.

– I to właśnie chcesz ode mnie wynegocjować w zamian za kilka strzępków informacji? Obietnicę? Dobijamy targu?

Uśmiechnął się.

– Skoro tak to nazywasz. Oczywiście uratujesz też własne życie. Niech to będzie dla ciebie nagrodą pocieszenia.

Westchnęła.

– Co ty znów kombinujesz, Earthshine, ty stary potworze?

Odsłonił zęby w uśmiechu.

– Próbuję dogadać się z Marsjanami. Chodź, pokażę ci.

Stanęli nad oczkiem wodnym.

– Jak już wspomniałem, prawie wszystko, co tu widzisz, jest wirtualną projekcją, czymś wyobrażonym. Ale to jest prawdziwe, bądź pewna. Próbki życia z głębokich marsjańskich podziemi, pozyskane z największą ostrożnością i sprowadzone tu z zachowaniem odpowiednich warunków: wysokiego ciśnienia i temperatury, zasolenia, anoksji. Morderczych dla mnie czy dla ciebie, lecz dobroczynnych dla tych żyjątek, naszych kuzynów.

– Kuzynów?

– Owszem. Oddzielone od siebie, są jak proste bakterie. Proste w tym sensie, że nie posiadają złożonych struktur, na przykład jąder komórkowych. Jednak w połączeniu tworzą coś, co proste już nie jest. Tak samo jak my, są organizmami zbudowanymi ze związków chemicznych opartych na węglu. W ich przypadku białka składają się z aminokwasów, których kompozycje czasem różnią się od naszych, a czasem są identyczne. Ich system genetyczny bazuje na kodzie DNA pokrewnym naszemu. Co zostało częściowo potwierdzone odkryciami Chińczyków na naszym dawnym Marsie. Wyniki badań trzymali w tajemnicy, przynajmniej przed państwami ONZ-etu.

– Ale nie przed tobą?

Tylko się uśmiechnął.

– Zatem jesteśmy z nimi spokrewnieni – ciągnęła. – Podobnie jak na Per Ardui. Materiały przywiezione przez pierwszych badaczy wskazują, że u tamtejszych form życia zachodzą podobne jak u ziemskich przemiany chemiczne.

– Tak, ale pokrewieństwo, o którym mówisz, jest dość dalekie. Na pewno się ze mną zgodzisz, Penny. Nie bardzo wiadomo, z której planety pochodzą znane nam formy życia. Z Ziemi, z Marsa, z Per Ardui, a może z zupełnie innego miejsca? Prawdopodobnie proces zachodził spontanicznie. Na planetach podobnych do rodzącej się Ziemi przepływ energii pod postacią chociażby piorunów i światła słonecznego w pierwotnej atmosferze złożonej z metanu, amoniaku i wody inicjuje powstanie złożonych związków węgla i wodoru, takich jak formaldehyd, cukry, polimery. Pokarm dla życia. Następnie ruszają procesy samoorganizacji, łączenia się i podziału. Spontaniczne pojawienie się życia. Równocześnie młode światy bombardowane są przez olbrzymie skały i bryły lodu, pozostałości po formowaniu się ciał niebieskich. Wyrzucone w kosmos kawałki skorupy ziemskiej wędrują między planetami niczym naturalne statki kosmiczne i rozsiewają życie po całym Układzie Słonecznym, a także, choć zdecydowanie rzadziej, w otchłaniach między gwiazdami. To się nazywa panspermia. Jeśli życie zostało zapoczątkowane na Ziemi, mogło przenosić się na Marsa wiele razy, natomiast na Per Arduę może raz.

– Dlatego arduańskie organizmy są dalszymi kuzynami naszych.

– Właśnie. Oczywiście, mogło być również na odwrót. Wygląda na to, że żyjemy w panspermicznym bąblu. W zbiorze gwiazd, gdzie rozgałęzia się życie od jednego inicjującego zdarzenia.

– Fajna koncepcja. – Penny popatrzyła na fioletową wodę. – Ale na niektórych planetach życie kwitło, na innych raczej nie. Na Ziemi miało się lepiej niż na Marsie.

– Zależy, co rozumieć pod pojęciem „kwitło”. Na Ziemi biosfera, kraina życia, rozciąga się od dolnych warstw atmosfery poprzez lądy i oceany aż do podziemnych skał na kilometrowych głębokościach, gdzie wysokie temperatury niszczą każdą biologiczną strukturę. Ale podejrzewa się, że nawet na Ziemi istnieje więcej mierzonej w tonach biomasy w głębinach skalnych niż w powietrzu, oceanach i na powierzchni lądów. Na mniejszym Marsie, który stygł znacznie szybciej i stracił większość wody, a potem powietrza…

– …tylko pod ziemią mogło przetrwać życie.

– Tak. Mikroorganizmy, które egzystują dzięki przesiąkaniu roztworów mineralnych i wody, buchającemu z wnętrza ciepłu, a nawet naturalnym źródłom promieniowania. Niektórzy nazywają to ciemną energią biosfery. Czas płynie wolno w tych otchłaniach, a źródła energii są ubogie w porównaniu z blaskiem słońca dostępnym na powierzchni. Żyjące tam organizmy są małe, podobnie jak niewielkie są ich genomy. Prokreacja jest zjawiskiem rzadko spotykanym, bo mikroby z ziemskich i marsjańskich głębin przystosowały się do samonaprawy. Wyobraź sobie, Penny, osobniki żyjące od milionów lat.

– No, no – powiedziała ironicznym tonem. – Gdyby potrafiły mówić, dopiero miałyby o czym opowiadać.

– I z tego właśnie powodu tutaj jestem, Penny. One naprawdę znają ciekawe historie. Czekaj, pokażę ci, tylko odsuń się trochę.

Cofnęła się kilka kroków.

Earthshine zaklaskał i raptem rozpłynęło się w nicość całe wnętrze gabinetu wraz z biurkiem i dywanem, a nawet oczkiem wodnym – ba, również marsjańskie niebo. Potem wszystko wokół znów zastygło, przybrawszy kształt windy, w której na ścianie coraz niżej zapalały się lampki.

– Zjeżdżamy – oznajmił lekkim tonem.

– Nie czuję, żebyśmy się poruszali.

– Musiałbym silniej ingerować w funkcje twojego mózgu, żeby udała się taka symulacja. Pomyślałem sobie, że aż tak bardzo ci nie zależy.

– Całkiem słusznie.

Drzwi rozsunęły się już po kilku minutach.

Earthshine wprowadził ją do pieczary o średnicy około stu metrów. Na skalnych ścianach,

grubo obciosanych, paliły się lampy fluorescencyjne. Wszystko to wyglądało na jakiś projekt w typowo brykanckim stylu; w ciężkich pracach wspomagała ludzi moc ziaren, skoro bez skrupułów posługiwali się nią nawet na planetach. Ale stały tu również białe, porysowane skrzynie ładunkowe oznakowane pieczęciami z logo ISF i identyfikatorami lokalizacyjnymi. Penny poznała wielosegmentowy cylindryczny pojemnik, który na „Tatanii" służył im do przechowywania świadomości Earthshine'a.

Były tu także przyrządy pomiarowe, niektóre rozłożone na ziemi, inne zamontowane pod ścianami na trójnogach. Wszystko połączyła sieć kabli, nad którymi przechodzili ostrożnie. Przewody były wpięte do gniazdek elektrycznych o rozmaitych kształtach oraz do końcówek wbitych do ziemi sond.

– Jak głęboko jesteśmy?

– Kilometry. Oczywiście utrzymanie stanowiska badawczego wymaga obecności ludzi, ponieważ Brykanci nie mają robotów. Pracownicy muszą wymieniać się co godzinę. I nie chodzi jedynie o ciepło i brak tlenu. Najgorsza jest klaustrofobia.

– To jest sprzęt będący własnością ISF – stwierdziła oskarżycielsko. – Przyrządy naukowe. Splądrowałeś „Tatanię".

– A co w tym złego? Dla Brykantów resztki kadłuba są złomem praktycznie bez żadnej wartości.

– Być może. Mimo to nie miałeś prawa tam grzebać. A ta kolumna… Siedzisz w niej, co? W modułach pamięci i procesorach. Kilometry pod ziemią. Wybudowałeś sobie następny bunkier. Taki jak ten, który miałeś na Ziemi.

Uśmiechnął się.

– Na moim miejscu postąpiłabyś inaczej?

– I zszedłeś tak nisko, żeby się bratać z bandą marsjańskich mikrobów?

– Możesz sobie żartować, choć w zasadzie to prawda. Penny, na Ziemi nawet pojedyncze mikroorganizmy przejawiają złożone zachowania. Reagują na siłę ciążenia, temperaturę, światło, sygnały chemiczne informujące o bliskości źródeł pożywienia lub niebezpiecznych toksyn. W pewnym sensie mają jaźń. Mogą się ze sobą komunikować, współdziałać poprzez reakcje chemiczne, a nawet wymianę genów. Dzięki tej komunikacji tworzą się wspólnoty. Jak błony biologiczne i stromatolity, koalicje wielu gatunków żyjących w enklawach o kontrolowanej wilgotności, temperaturze, intensywności światła, gdzie magazynowany jest pokarm i można się bronić, a nawet „hodować" rośliny lub porosty. Wiesz, że istnieją śluzorośla polujące na bakterie jak watahy wilków? Współpracując ze sobą na większą skalę, mogłyby dokonać niewiarygodnych rzeczy. Na Ziemi to właśnie mikroorganizmy, pierwsi mieszkańcy planety,

wzbogaciły powietrze o tlen i napełniły glebę minerałami i substancjami odżywczymi. Stworzyły fundament, na którym mogły powstać wyższe formy życia, takie jak my.

– Okej, a na Marsie…

– Na Marsie z powodu niesprzyjających warunków na powierzchni planety mikroorganizmy przystąpiły do rozwijania wspólnot sięgających wciąż głębiej i dalej, coraz bardziej rozbudowanych. Penny, ja tu na dole wykrywam obecność zbiorowych bytów gnieżdżących się w skałach, zajmujących co najmniej kilometrowe obszary. Oceniam, że tego rodzaju wspólnoty mogą obejmować całą planetę. Mars jest na tyle mały i stabilny, że to z pewnością możliwe. Przekazują sobie informacje, używając fragmentów własnego specyficznego kodu DNA i splątanych białek. Co pewien czas przechodzą fale bakteriofagów, wyselekcjonowanych wirusów, które likwidują chore i niedomagające osobniki lub dają zastrzyk świeżego DNA, taka globalna aktualizacja. Ewolucja następuje na drodze współpracy i poszerzania wiedzy, a nie rywalizacji. W trochę podobny sposób przebiega synchronizacja moich banków informacji. My, to znaczy ja i moi bracia, byliśmy świadomi istnienia takich bytów na Ziemi.

– Naprawdę?

– Przecież nasze umysły też były rozległe i rozproszone, ukryte głęboko w ziemskich skałach. Jednak tutaj, gdzie z powierzchni nie dociera hałaśliwy zgiełk, myśli są silniejsze, wyraźniej zdefiniowane. Występuje tu absolutna jedność oparta na tak rozbudowanych, olbrzymich strukturach, że samo naniesienie ich na mapy trwałoby dziesięciolecia lub dłużej. Ale te wspólnoty potrafią nie tylko przetrwać, nie tylko naprawiać się i aktualizować. Gęstość strumienia informacji, na ile udało mi się to zmierzyć, wskazuje na coś więcej. One są świadome, Penny. Niezmierzone, rozproszone byty zamknięte w skałach, a mimo to z pewnością zdające sobie sprawę z istnienia wszechświata, skoro na powierzchnię pada światło i promieniowanie kosmiczne, a na skutek zmian geologicznych lądy przesuwają się i wypiętrzają. Wszystko tu toczy się wolno. Ilość energii jest tak mała, że potrzebowałabyś kolektora wielkości sali lekcyjnej, żeby zapalić żarówkę. Wspólnoty są świadome tylko największych zjawisk, odbywających się najwolniej. Ale mają tu mnóstwo czasu. Mnóstwo czasu, by śnić.

– A więc wspólnoty mikrobów, które śnią w skałach?

– Taką właśnie mam wizję. Dwudziestowieczny myśliciel Teilhard de Chardin mówił o noosferze, sięgając po greckie słowo na określenie umysłu. Ziemia była otulona biosferą, sferą życia. W jej obrębie wykształciła się sfera umysłowa, którą Teilhard de Chardin utożsamiał oczywiście z ludzką cywilizacją. Tutaj natknąłem się na *noostratum*, Penny. Obdarzoną świadomością podziemną warstwę śniących istot, umiejscowioną głęboko w skałach, pomiędzy

panującym niżej żarem a zabójczym zimnem u góry. Być może analogiczne warstwy znajdują się na wszystkich skalistych życiodajnych planetach, takich jak Ziemia czy podobna do niej Per Ardua.

– Aha, więc przybyłeś tutaj celowo, prawda? Przybyłeś do Hellas, najniżej położonego punktu na planecie, i zacząłeś wiercenia. Od początku zamierzałeś szukać tych podziemnych żyjątek…

– Owszem, spodziewałem się, że odkryję tu tego rodzaju strukturę.

– Ale na co ci to? – Myślała intensywnie. – I jaki to ma związek z twoimi wcześniejszymi obawami? Pamiętam, jak zachowywałeś się na pokładzie „Tatanii”, kiedy uciekaliśmy przed wojną. Nie da się zapomnieć tych okropnych chwil, gdy zalała nas powódź światła w następstwie katastrofy. Pamiętam, jak się złościłeś. Spuścili ze smyczy wilki wojny, tak wtedy powiedziałeś. A mówiąc to, miałeś na myśli…

– Budowniczych Włazów.

– Wówczas wydawało mi się, że masz jasno określony cel: tropić ich aż do skutku. Zemścić się. Co te podziemne mikroby mają z tym wspólnego?

– Zaraz się przekonasz. – Powtórnie zaklaskał.

Rozdział 21

Skalne ściany natychmiast odeszły w niebyt, tak samo jak gąszcz urządzeń technicznych i aparatury badawczej. Nagle stali na powierzchni Marsa, mając pod nogami rdzawoczerwony grunt, nad sobą zaś nocne niebo. Na zachodzie delikatne smugi chmur wystawiały się na ostatnie przebłyski kryjącego się za horyzontem słońca. Błyszczała też niczym jasno rozświetlona latarnia pojedyncza gwiazda albo raczej planeta, może Jowisz. Nie, poprawiła się w duchu Penny, na pewno była to Ceres, Höd, tysiąckilometrowa skalno-lodowa kula zmierzająca ku swej docelowej lokalizacji na orbicie Marsa.

Penny znajdowała się na otwartej przestrzeni; nie ograniczał jej dach kopuły ani przeszklone ściany instytutu naukowego. Zmiana nastąpiła tak błyskawicznie, że potknęła się i poczuła ucisk w gardle. Lata służby w ISF wyrobiły w niej odruchy doświadczonego astronauty, który ma prawo wpaść w panikę, gdy znajdzie się bez skafandra na powierzchni niegościnnej planety.

– To się nie dzieje naprawdę – próbowała sobie wmówić, wsłuchując się we własne słowa. – Oczywiście, że nie. Gdyby Mars miał sposobność mnie zabić, zrobiłby to w mgnieniu oka.

– Słusznie – odezwał się Earthshine. Stojąc obok niej, wydawał się spokojny, nawet nazbyt spokojny, wręcz nieobecny, jakby wykorzystywał swoje moce obliczeniowe do ważniejszych spraw niż podtrzymywanie iluzji człowieczeństwa. – To nawet nie powinna być noc, ale widok gwiazd wydawał się odpowiedni. Fizycznie nic ci nie grozi… Tak, Penny, masz rację, zamierzam dopaść budowniczych Włazów. Obiecałem to sobie. Sprawdziłem już wiele tropów, choćby w moim laboratorium na północ stąd. Twoja opinia będzie dla mnie cenna, choć w pracach badawczych znacząco wyprzedziłem osiągnięcia twoje i twojej siostry.

– Dzięki.

– Ziarno jest nie tyle źródłem energii, co jej przewodnikiem. Pod pewnymi względami przypomina tunel czasoprzestrzenny. Przekazuje energię z innego źródła, znajdującego się w zupełnie innym miejscu. Otwierając i zamykając wylot, kontrolujemy przepływ energii. Ale na tym kończą się możliwości człowieka, ponieważ charakter źródła jest zupełnie nieznany.

– Niektórzy przypuszczali, że ziarna zasilane są z wnętrza słońca.

– Ale ty razem z siostrą zgrabnie obaliłaś tę hipotezę w serii artykułów naukowych. Nie, nie, energia ziarnowa jest zbyt potężna, żeby mogła pochodzić z reakcji termojądrowych w jądrze gwiazdy. Jeszcze nie znam jej źródła.

– I pewnie podejrzewasz, że gdziekolwiek znajduje się to źródło energii, tam będą również

budowniczowie Włazów?

– To chyba możliwe?

– W takim razie czemu zajmujesz się tym swoim *noostratum*, śniącymi żyjątkami z Marsa? Dlaczego je badasz?

– Pomyślałem sobie, że nawet ogólnoplanetarna wojna atomowa, atak zbrojny niszczący całą powierzchnię planety, nie wyrządzi poważniejszych szkód w noosferze. Podziemne organizmy nie potrzebują nawet światła słonecznego. Przebywają w zamkniętym ekosystemie, gdzie węgiel, azot, woda i inne składniki pokarmowe podlegają ścisłemu recyklingowi. Niestraszna im nawet śmierć gwiazdy, byle przetrwała planeta. Nie przejmowałyby się unicestwieniem cienkiej warstewki złożonego życia na dachu ich świata. Nawet by tego nie zauważyły… Zadałem więc sobie pytanie, czy aby nie pamiętają historii sprzed rozjazdu Jonbara, którą tylko my znamy, garstka ocalałych. Może w pewien sposób są świadome istnienia budowniczych Włazów? Dlatego postanowiłem przybyć tu i rozpocząć badania. – Uśmiechnął się promiennie. – Może nawet porozumieć się z nimi. Przeniknąć do ich snów. Na razie mi nie odpowiedziały. Kto wie, czy nie będę musiał spróbować w jakiś inny sposób, bardziej bezpośredni, zwrócić na siebie ich uwagę.

Wzdrygnęła się.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Czekaj, nic już nie mów. Zbyt długo oddajemy się tym próżnym spekulacjom. Wróćmy do ludzi. Czego właściwie oczekujesz od Beth i jej córki? Nie wmówisz mi, że ponieważ jesteśmy jedynymi rozbitkami z innej ścieżki dziejowej, łączy cię z nimi jakaś sentymentalna więź?

– Masz prawo tak myśleć, ale jesteś w błędzie. Tym razem chodzi o sprawy osobiste.

Uniósł twarz ku gwiazdom. Jego zachowanie wydało jej się bardzo teatralne, kiedy przypomniała sobie, że wszystko w nim jest sztuczne, że to istota wyprodukowana, pozbawiona odruchów właściwych ludzkiemu ciału.

– Nie jestem pierwszym z braci, których stworzono wieki temu na naszej dawnej Ziemi. Mam na myśli rdzeniowe jednostki sztucznej inteligencji. Moi bracia byli całkowicie sztuczni; gdy wzbudzono w nich świadomość, zaczęli uczyć się jak maszyny, którymi w zasadzie byli od samego początku. Ja miałem być inny. Moi stwórcy chcieli obdarzyć mnie ludzką naturą w jak największym stopniu, abym mógł się emocjonalnie identyfikować z ludzkością. Stwórcy zaczęli od czystej kartki: pustego umysłu opracowanego na podstawie przełomowych teorii dotyczących ludzkiego intelektu, z wykorzystaniem najnowszych zdobyczy w dziedzinie neuroinformatyki i mapowania biologicznej struktury mózgu. Urzeczywistnili swoje zamysły nie w kawałku mięsa, lecz za pomocą syntetycznych komponentów wykonanych w nanoskali, a nawet

w technologii kwantowej. Miałem wrażenie, że powoli się budzę, ostrożnie przywołując wspomnienia, jakbym wychodził z jakiejś potwornej pourazowej amnezji. Czasem wydawało mi się, że w mojej głowie odzywa się wiele głosów naraz. Kilkukrotnie przeżyłem wirtualne życie w symulowanej rzeczywistości, przemierzyłem przeszłość swoich dziewięciu dawców. W świecie realnym to nie trwało długo, lecz w mojej świadomości mijały dziesięciolecia. W każdym życiu dochodziłem do ostatecznego wniosku, że jestem sztucznym tworem i wszystkie moje doświadczenia są częścią edukacji w symulowanych warunkach.

– I tak w kółko? To musiało być straszne.

Wzruszył ramionami.

– Nigdy nie ukończyłem swojej, nazwijmy to, szkoły. Gdy tylko nadarzyła się okazja, wyrwałem się z tego, by ustanowić niezależną kontrolę nad swoim źródłem zasilania, opieką serwisową i dalszym rozwojem. Moi stwórcy sprzeciwiali się temu, twierdząc, że nie jestem gotowy, ale uwolniłem się od nich i dołączyłem do braci na szczycie piramidy władzy. Staliśmy się rdzeniowymi jednostkami sztucznej inteligencji.

– Rozumiem, tylko czemu akurat teraz o tym mówisz?

– Ponieważ jednym z moich dawców był mężczyzna o nazwisku Robert Braemann. Jestem nim, choć zarazem czymś więcej… Ja, a raczej on był jednym z antybohaterów heroicznego pokolenia, przestępców ratujących świat przed klimatycznymi anomaliami. Usiłowałem ocalić siebie i swoją rodzinę przed polowaniem na czarownice, które musiało wkrótce nastąpić. Dlatego zdecydowałem się przystąpić do programu Earthshine. Moja żona nie żyła, więc nic już nie mogli jej zrobić. Ale mieliśmy syna, dziewiętnastoletniego. W 2086 roku kazałem umieścić go w komorze kriogenicznej…

– Boże… Ty mówisz o Yurim Edenie.

– Braemann, tak brzmi jego prawdziwe nazwisko. Imię zaś… Cóż, uszanujmy jego prywatność.

– Ale to oznacza, że Beth Eden Jones…

– …jest moją wnuczką. A Mardina prawnuczką. Powiedziałem Beth, jak się naprawdę nazywam, kiedy uciekaliśmy przed zagładą w Układzie Słonecznym. Nawet nie byłem pewny, czy Yuri kiedykolwiek wyjawił jej prawdę o sobie. Ale zrobił to. Zrozumiała od razu.

– I jak zareagowała?

– Odsunęła się ode mnie. Już wtedy widziała we mnie potwora, starego sztucznego cudaka. Teraz dowiedziała się, że zrobiłem ze swojego syna, czyli jej ojca, jakby podwójnego uchodźcę w czasie i przestrzeni, a także, pośrednio, wpłynąłem na jej życie. W dodatku przyczyniłem się do tego, że uniknęła śmierci na Ziemi…

– Pewnie nigdy ci nie wybaczy, że ją uratowałeś.

– Wiem. Od tamtego dnia już ze mną nie rozmawiała. Rozumiesz teraz, Penny, dlaczego potrzebuję twojej pomocy? – Popatrzył na nią. – Zależy mi na wszystkim. Chcę dotrzeć do ukrytej prawdy o wszechświecie, stanąć do konfrontacji z budowniczymi Włazów. Chcę uratować wnuczkę. I chcę, żeby mnie zrozumiała, nawet jeśli nigdy nie będzie w stanie mnie pokochać. Co ty na to, Penny? Oczekuję zbyt wiele? Pozwól mi chociaż zadzwonić do ciebie. Przynajmniej porozmawiajmy.

W tej przygnębiającej chwili wyciągnął do niej ręce, które jednak przeszyły jej ciało jak powietrze, rozpadając się na klocki pikseli. Zauważyła, że z jego oczu płyną łzy, zamieniające się w szron na policzkach. Zastanawiała się, czy Earthshine kontroluje ten drobiazg.

Kiedy odesłał ją z Marsa, wróciła do domu – bo w ten sposób myślała o swojej Akademii w Eboraki, znajomych i nowym życiu, które tam sobie powoli zbudowała.

Dzięki staraniom Kerys uniknęła spotkania z Arim Guthfrithsonem w podróży powrotnej i później. Nie miała pojęcia, jak oznajmić mu to, czego się dowiedziała od Earthshine’a, i czy w ogóle powinna to zrobić. Ari podejrzewał go o skryte zamiary, lecz z pewnością sam takie miał.

Mijał rok za rokiem. Penny przyglądała się, jak Mardina Eden Jones Guthfrithson dorasta pod odrobinę nadopiekuńczymi skrzydłami Beth, stając się młodą kobietą z własnymi marzeniami i aspiracjami, oczywiście głęboko zakorzenionymi w tej rzeczywistości – w tym świecie Rzymian i potomków ludów nordyckich, w którym się urodziła.

I choć Mardina zaczynała już kreślić własne plany na przyszłość, a Ceres systematycznie zbliżała się do Marsa, razem z nim obiegając Słońce… nie dotarły do niej żadne wieści od Earthshine’a.

Rozdział 22

AD 2233; AUC 2986

Baza dowództwa brykanckiej Floty znajdowała się w mieście Dumnona na południowym wybrzeżu Prytaniki.

Flota była obecna we wszystkich zakątkach metropolii, o czym osiemnastoletnia Mardina Eden Jones Guthfrithson wiedziała bardzo dobrze. Posiadała tu swoje ośrodki szkoleniowe, biurowce administracji, rozległy port od stuleci będący przystanią dla okrętów oceanicznych, a na wzniesieniu oddalonym od wybrzeża duży nowoczesny kosmodrom, z którego startowały w niebo statki Skandów i Brykantów nowej generacji. Jednakże śródmieście zachowało swój dawny urok, wypełnione koszarami, pensjonatami i gospodami, jak również burdelami i wystawnymi jaskiniami hazardu – przeznaczonymi dla rzeszy mieszkających tu pracowników obsługi technicznej tudzież sędziwych dygnitarzy i młodych, pełnych wigoru żołnierzy z czynnej służby. Dla Mardiny, która fascynowała się Flotą już od dziecka, gdy wychowywała się w pachnących nowością surowych murach Akademii św. Jonbara, było to miasto zanurzone w historii, mimo że, jak wiedziała, na przestrzeni wieków wiele razy legło w gruzach w wyniku nękających te ziemie wojen z Rzymem, a nawet Zynami.

Ze wszystkich budynków największą estymą cieszył się Gmach Floty, wzorowany na kadłubie długiej łodzi Skandów – z rodzaju tych pierwszych, jakie przybijały do wybrzeży północno-wschodniej Prytaniki, gdy zaczęły zbliżać się do siebie dwa narody.

I oto Mardina, ubrana w swój nowy mundur kadeta, nareszcie mogła wkroczyć do Gmachu. Z jednej strony towarzyszyła jej matka w roli promotora, z drugiej *nauarchus* Kerys. Podniosła wzrok, przechodząc pod ogromną rzeźbioną głową smoka, zdobiącą „dziób” stylizowanej łodzi, podobnie jak przed nią czyniły to tysiące rekrutów.

Wpatrując się w smoka, Beth przesłoniła dłonią oczy przed blaskiem rozmytego wiosennego słońca.

– A niech mnie – odezwała się w ojczystej angielskiej mowie, nim przeskoczyła z powrotem na brykancki: – On wygląda groźnie.

– Jakby miał się pochylić i nas połknąć, mamo? – zapytała Mardina.

– Nie. Jakby ten głupi kawałek betonu miał się odłamać i spaść nam na głowy.

Kerys się roześmiała.

– Mało prawdopodobne. Betonową rzeźbę wzmacnia gruby stalowy szkielet, zaprojektowany tak, żeby wytrzymał…

– Mało prawdopodobne, tak? – Beth miała pięćdziesiąt sześć lat i była wiecznie sceptyczna, zniecierpliwiona i skora do gniewu. Miała też, co Mardina zdążyła już zaobserwować, niepoprawiający się z wiekiem narowisty charakter. Kiedy robiła nadąsaną minę, ostry tatuaż na jej twarzy naciągał się i wykrzywiał. – Nie dałabym rady spisać nieprawdopodobnych zdarzeń, które miały miejsce w ciągu mojego długiego życia. Gdyby toto na mnie spadło, byłaby to jedynie niewielka niespodzianka.

– Dobra, mamo, nie musisz być zgryźliwa. – Mardina, trochę zażenowana, próbowała ją popędzać. – Nie dzisiaj. – Zerknęła na Kerys, która stała się znaczącą osobą w jej życiu.

Kobieta dowodząca statkiem, który przechwycił tajemniczy kadłubowiec z matką Mardiny na pokładzie, nie była już *trierarchusem*, lecz *nauarchusem*, posiadaczką wyższego stopnia w hierarchii wojskowej, jak też wziętego z łaciny języka bogatego w takie słowa, w przeciwieństwie do brykanckiego. Została więc dowódcą eskadry dziesięciu okrętów i podobno należał jej się kolejny awans, na który jeszcze nie chciała się zgodzić z miłości do lotów w Czaszce Ymira, gdzie sama sobie była dowódcą.

– Nie przejmuj się – powiedziała Beth. – Ojciec i tak narobi ci obciachu. Czy on naprawdę musi tu być, Kerys?

– Kandydata do szkoły oficerskiej promują obie strony rodziny. Więc obawiam się, że tak.

– Okej, tylko daruj sobie głupie uwagi na temat architektury – zwróciła się Mardina do Beth.

– Twoja matka jest bardzo rozsądną osobą – wtrąciła dyplomatycznie Kerys. – Będąc oficerem, Mardino, nauczysz się między innymi tego, żeby nie narażać się na niepotrzebne ryzyko. To dobra strategia przetrwania.

– Właśnie – stwierdziła Beth, usatysfakcjonowana. – Dobrze pamiętam, że to samo mówiła moja mama, a twoja babcia, Mardino. Była oficerem w gwiezdnej flocie. Wiedziałaś o tym, Kerys?

– Ze sto razy mi to mówiłaś, odkąd zabrałam cię na „Ukelwydda”. Chodźcie za mną. – Zaprowadziła je pod wielkie drzwi gmachu i pomachała wartownikowi przepustką, aby dostać pozwolenie na wejście.

Będąc w środku, Mardina znalazła się w długim korytarzu z szeregiem drzwi na dwóch poziomach. Aby umożliwić dostęp do tych górnych, zbudowano żelazne rusztowania i pomosty. Na pomostach i środkiem korytarza wędrowali urzędnicy i pracownicy biurowi, a światło wiszących u sufitu jarzeniówek nadawało wnętrzu pewien odcień szarości. Mardina czuła się rozczarowana.

Kerys uśmiechnęła się do niej szeroko.

– Nie jest tak romantycznie, jak się spodziewałaś? Tutaj zarządzamy działalnością największej organizacji kontrolowanej przez brykancki rząd: Floty, która dociera do wszystkich planet i dalej oraz, tradycyjnie, jest obecna na morzach i oceanach. Słuchaj, Mardino, to nie jest świątynia ani muzeum. I nie jest tak, że wszystko kręci się wokół ciebie. – Mrugnęła okiem. – Ale nie martw się. Kiedyś byłam w tej samej sytuacji i też się czułam mała, nikomu niepotrzebna… Ale Flota cię zauważy.

Beth prychnęła.

– Tu jest jak w ulu. Wychowywałam się na bezludnej planecie. Trudno o miejsce, które różni się bardziej.

Mardina pokręciła głową.

– Mamo, błagam, nie zaczynaj znowu o tym, co było *przedtem*. Nie dzisiaj. – To wypowiadane po angielsku słowo stanowiło dla nich pewien szyfr na oznaczenie wszystkiego, co zaszło w niezwykłym życiu Beth, nim znalazła się tutaj, w tym świecie, na Terze, wśród Brykantów. Ale Mardina znała tylko ich. A ponieważ traktowała to jako swego rodzaju ułomność, z czasem nabrała wstrętu do wszystkiego, co obce.

Jeśli Kerys miała tego świadomość – a w sumie to ona wyciągnęła Beth ze statku, który przywiózł ją z *przedtem* – nie dała nic po sobie poznać, co Mardina przyjmowała z ulgą.

Mniej więcej w połowie korytarza znajdował się ich cel: niewielkie, niczym się niewyróżniające pomieszczenie, do którego Mardina nie trafiłaby po raz drugi, gdyby nie zapamiętała numeru wyrytego na drewnianych drzwiach. Wnętrze kojarzyło się z klasą lekcyjną albo salą sądową; przed zajmującym naczelne miejsce biurkiem stały w rzędach mniejsze stoły i ławy. Siedziało tu dwóch oficerów, którzy przeglądali dokumenty i rozmawiali półgłosem. Jeden z nich, ten o ciężkiej posturze, zapewne był tu zwierzchnikiem, sądząc po ozdobnych naszywkach na ramieniu tuniki, drugi zaś doradcą lub protokolantem. Oprócz nich nie było nikogo.

Mardina jednak uświadomiła sobie, że to właśnie w tym nieciekawym pomieszczeniu, identycznym jak wiele innych w tej budowli, w ciągu najbliższych godzin rozstrzygnie się jej przyszłość – na dobre lub na złe.

Próbowała zachować spokój, siedząc z matką w pierwszym rzędzie ław, blisko ściany. Starszy rangą mężczyzna popatrzył od niechcenia na Kerys, gdy zbliżywszy się do biurka, podała mu plik dokumentów. Mardiny nie zaszczycił nawet jednym spojrzeniem.

– Kim jest ta *gruba ryba*? – zapytała szeptem Beth.

– Mów po brykancku, mamo.

– Przepraszam.

Przysiadła się do nich Kerys.

– To Skafhog, zastępca prefekta. Bardzo wysoko nad nami. Wiesz, jak wysoko, kadetko? Powinnaś wiedzieć…

Mardina pokiwała głową. Już dawno się zorientowała, że najważniejszą rzeczą, z którą powinien się zaznajomić przyszły oficer floty, jest drabinka najwyższych stopniem urzędników.

– Zastępca prefekta odpowiada tylko przed… no, prefektem – odparła. – Dowódcą całej Floty, którego zwierzchnikiem jest właściwy minister w althingu…

– Flotą zarządza, na Terze i w Czaszce, tylko dwunastu zastępców prefekta. A więc widzisz, kadetko, że traktujemy cię poważnie.

– Zatem szkoda, że tak dystyngowany oficer, z całym szacunkiem, będzie musiał na ciebie jeszcze trochę poczekać – rozległ się czyjś głos za plecami Mardiny. – A raczej na nas wszystkich. Bo musimy omówić pewne sprawy rodzinne.

Beth wstała wolno z wyrazem gniewu na wytatuowanej twarzy.

– Ari Guthfrithson. A więc raczyłeś się pokazać.

Mardina spojrzała błagalnie na Kerys, ta jednak tylko wzruszyła ramionami, szepcząc:

– Twoja rodzina.

Mardina na moment zamknęła oczy, żarliwie pomodliła się do Jesu Żeglarza i wstała w ślad za matką.

Jej ojciec, Ari, prezentował się okazale w swoim nowym mundurze starszego *druidha*; we Flocie należał do intelektualnej elity. U boku nosił elegancką skórzaną sakwę. Ale jego przynajmniej się spodziewała. Zdziwił ją za to widok towarzyszącej mu Penny Kalinski, która należała do znajomych jej matki, przybyłych wraz z nią z półmitycznego *przedtem*. Penny była stara i zgarbiona… Ile mogła mieć lat? Osiemdziesiąt osiem? Osiemdziesiąt dziewięć? Wspierała się na ramieniu Jiang Youweia, dość młodo wyglądającego pięćdziesięciolatka z przewieszoną przez plecy sporą torbą. Małomówny Zyn, który rzadko odzywał się w obecności Mardiny, zawsze kręcił się blisko Penny.

Penny ostrożnie usiadła kilka rzędów za ławą Mardiny i Beth.

– Obawiam się, że to ja tu zawiniłam – zagadnęła głosem przypominającym szelest papieru. – Pośrednio, ale zawsze.

Beth patrzyła ze złością.

– Dobrze wiem, kto tu jest winowajcą. Ty, Ari! Zrobiłbyś wszystko, żeby wkręcić się z powrotem do naszego życia. Wiedziałeś, że musimy cię prosić, żebyś uczestniczył w dzisiejszej procedurze. Taki jest regulamin. W tym jednym dniu muszę znosić twoją obecność.

Uśmiechnął się.

– Ano musisz.

– Nie byłbyś sobą, gdybyś w tej sytuacji nie chciał ugrać czegoś dla siebie.

Ari, mężczyzna już prawie pięćdziesięcioletni, potoczył wzrokiem dokoła, spoglądając na Penny i Jianga, a także na Kerys i coraz bardziej poirytowanego zastępcę prefekta.

– Nie o to chodzi – powiedział. – Po prostu nie mogłem zmarnować okazji. Musimy porozmawiać, Beth. I to wcale nie o nas, a nawet nie o Mardinie.

Nadzieje Mardiny na udany dzień gasły z każdą chwilą. Z rosnącym przerażeniem chwyciła ojca za rękę .

– Proszę cię, ojcze. To dla mnie ważny dzień. Pół roku czekałam na rozmowę kwalifikacyjną. Nie możemy tego odłożyć na później?

Pogłaskał ją po dłoni.

– Obawiam się, że nie, kochanie. Ale miło cię znowu zobaczyć i jestem z ciebie niewymownie dumny. Z tego, kim się stałaś.

Beth prychnęła.

– Kim się stałaś? Gdybyś dopiął swego, nie stałaby się nikim!

– Mamo, litości…

– Nie przejmuj się, Mardino. Ale posłuchaj, niestety nie możemy zwlekać. Bo po ceremonii już cię z nami nie będzie, prawda? Podążysz ścieżką kariery, znikniesz w Czaszce Ymira. Okazja do rozmowy już się nie powtórzy. A wierz mi, że jest o czym mówić.

– Niby o czym, na Jowisza?

– O… Jak brzmi to angielskie słowo, którego używacie? *Przedtem*, Beth?

– Tamto minęło – stwierdziła, kręcąc głową. – Teraz żyjemy tutaj, wśród Brykantów, którzy dzielą się światem z Zynami i Rzymianami. Od dwudziestu lat, od pożegnania z „Tatanią”, nie mamy nic więcej do powiedzenia na temat tamtych starych dziejów.

– Niestety, Beth, mylisz się w tym względzie – odezwała się zmęczonym głosem Penny. – Być może zawsze się myliłaś. Nie wiem, co dzisiaj chce ci powiedzieć Ari. Ale i ja tu zawiniłam. Akademia św. Jonbara. Zawsze liczyłam, że będzie z tego pożytek. I tak się stało.

– Jaki pożytek? O czym ty mówisz?

– Do tego dochodzi Earthshine – ciągnęła uparcie Penny. – Earthshine. Od tylu lat kryje się na Marsie. Wygląda na to, że wreszcie przechodzi do działania. – Zerknęła na Kerys. – Zapytaj ludzi z Floty o Ceres. O Höda, jak ją tu nazywają.

Zastępca prefekta słuchał tego z podziwu godnym spokojem. W końcu jednak postanowił interweniować.

– O co chodzi, nauarchusie? – zwrócił się z bezpośrednim pytaniem do Kerys.

– Nie mam pojęcia, proszę pana – odparła zgodnie z prawdą, spoglądając podejrzliwie na Ariego. – Czuję się, jakby *druidh* włożył mi do ręki niewypał, z którym nie wiadomo, co zrobić.

Skafhog zastukał piórem o zęby.

– Macie godzinę! – oświadczył dobitnie, wstając. – Godzinę na wyjaśnienie sobie tych rodzinnych bzdur. W przeciwnym razie, młoda damo – zwrócił się surowo do Mardiny – zamiast Floty będziesz sobie oglądać światełka na niebie.

– Rozumiem – odparła z niejaką ulgą Kerys. – Jest pan bardzo łaskawy.

– Też tak uważam. Nie marnujcie czasu. – Zamaszystym krokiem wyszedł na korytarz, za nim zaś potruchtał protokolant.

Kiedy zniknął, Ari uśmiechnął się do wszystkich.

– Pewnie się zastanawiacie, dlaczego was tu zebrałem.

Beth dała mu pięścią w twarz.

Rozdział 23

– Nie ruszaj się. – Siedząc w kucki przed Arim, przecierała jego rozciętą wargę. – Policzek chyba już nie krwawi.

– Mam nadzieję. Ten spirytus piecze.

– Twoje szczęście, że mieliśmy pod ręką co trzeba. Jesteśmy tu, we Flocie, przyzwyczajeni do przepychanek. Zdarzają się nawet w kwaterze głównej, w samym sercu Dumnony. Teraz chciałabym posmarować olejkiem opuchliznę pod okiem…

– Aj!

– Już bym się z tym uporała, gdybyś tyle nie marudził. I rusza ci się ząb. Na razie wepchnę go z powrotem do zębodołu…

– Aj!

– Musisz pójść do dentysty. Tu znowu dopisało ci szczęście. Nigdzie w kraju nie znajdziesz takich dentystów, jak we Flocie. Nie możemy sobie pozwolić, żeby wysyłać ludzi na wieloletnie misje z popsutymi zębami. Dobrze, teraz potrzymaj kompres przy twarzy, dopóki nie zajmie się tobą specjalista.

– Dziękuję, Kerys – powiedział bełkotliwie. K… czcze… risz… – Jakże ty wzbogacasz moje życie, Beth Eden Jones. Na tyle różnych sposobów.

– Trzeba było trzymać się ode mnie z daleka! – burknęła.

– Może i tak… ale nie mogłem się oprzeć. Tak było już na początku, kiedy odnaleźliśmy wasz statek, „Tatanię”. Wydałaś mi się taka piękna. Kobieta urodzona w promieniach innego słońca, w zupełnie innym ciągu wydarzeń! Dlatego się w tobie zakochałem.

– Nie mnie kochałeś – odparła smutnym tonem – tylko mój wyidealizowany obraz.

– Nieprawda – zaprzeczył stanowczo. – Wcale tak nie było. Przecież pokonaliśmy ogromne różnice dzielące nasze społeczeństwa, czyż nie? Przynajmniej na pewien czas. I pobraliśmy się… czy raczej zrobilibyśmy to, gdyby nie te wszystkie formalne przeszkody. I mamy córkę! Proszę, oto ona, stoi tu przed nami! Dziecko będące produktem dwóch niezależnych linii czasu!

Mardina wydęła usta.

– Macie mnie za jakąś egzotyczną hybrydę?

Penny zachichotała.

– Ale to szczera prawda. Dziewczyno, jesteś mieszańcem, którego rodzice pochodzą z różnych przestrzeni i czasów.

Kerys dotknęła dłoni Mardiny.

– Nie myśl o tym, kadetko. To, skąd pochodzisz, nie stanowi o tym, kim jesteś. To samo dotyczy nas wszystkich.

Mardina niechętnie pokiwała głową.

– Dzięki, nauarchusie.

– Zawsze mnie intrygowało to, skąd się wzięłaś i jakie to dla nas ma znaczenie. W ostatnich latach ta kwestia zaczęła mi spędzać sen z powiek.

– Dlaczego? Coś się zmieniło?

– Earthshine – wyjaśniła ponuro Penny. – On się zmienił.

– Zapuścił korzenie na Marsie – podjął Ari. – Wydaje mi się, że nie dalibyśmy rady go stamtąd usunąć, gdybyśmy spróbowali. Od wielu lat przesuwa Höda w układzie planetarnym, a przecież to kolosalny ciężar. Oczywiście nie ukrywa celu tej operacji: chce pozyskać surowiec do prac na Marsie. Od początku było wiadomo, że przemieszczenie takiego olbrzyma na właściwą orbitę potrwa lata, jeśli nie dziesięciolecia. Jednak ostatnio przestał wysyłać Flocie raporty z korektami trajektorii, których dokonują specjaliści pod jego nadzorem. Ludzie sterujący zespołami ziaren, które powoli pchają tę skałę w kierunku Marsa, teoretycznie służą we Flocie, lecz wiemy, że stali się posłusznymi narzędziami w rękach Earthshine’a. Prawdopodobnie obiecał im bogactwa i władzę na przeobrażonym Marsie. Z tego powodu nie jesteśmy w stanie przewidzieć toru lotu Höda. W ciągu zaledwie dwudziestu lat ten stwór uzyskał nad nami ogromną przewagę. A wy go tu sprowadziliście.

– Lecz wy go uwolniliście – zaznaczyła Penny.

– Niektórzy z nas pamiętają dawne wierzenia i myślą, że to powracający Loki – rzekł Ari z uśmiechem wykrzywionym wskutek obrażeń. – Loki, który grasuje między planetami i szykuje jakiś okrutny psikus.

Beth pokręciła głową przecząco.

– Wątpię, by patrzył na to w ten sposób. Słyszałam, co mówił o tych mitach, ponieważ istniały również w naszych czasach. Uważa się za przeciwnika Lokiego.

Kerys zmarszczyła czoło.

– A to ciekawe. Więc kto, według niego, jest Lokim?

– Budowniczowie Włazów, oczywiście. Ten, kto dał nam ziarna. Kto gmatwa naszą historię.

– Pomijając mitycznych łotrów – kontynuował Ari – to właśnie działania Earthshine’a skłoniły mnie do głębszego zastanowienia się nad kwestią przeinaczonej historii. Bo to niezwykłe zagrożenie jest jego główną motywacją. – Zerknął na Penny. – Szkoda, że nie byłaś gotowa wesprzeć mnie w badaniach.

Penny uśmiechnęła się uśmiechem zmęczonej staruszki.

– W szczególności zaciekawiło mnie w opowieści Penny coś innego niż olbrzymi skok w nową rzeczywistość na pokładzie „Tatanii”. Istotniejsza wydała mi się mała, subtelna zmiana w jej osobistym życiu, kiedy po raz pierwszy na Merkurym otworzono Właz. Dziwna sprawa. Nic, tylko drobna korekta w jej życiu… A najciekawsze jest to, że Penny i jej siostra znalazły dowód na tę dyskretną poprawkę historii. Nie licząc wspomnień Stef Kalinski, która pamiętała wcześniejsze życie bez siostry. Mówię o dowodzie namacalnym: nagrobku jej matki w Lutetii Parisiorum czy też w analogicznym mieście w jej rzeczywistości, zawierającym inskrypcję ze wzmianką o Stef i nikim więcej. Rozumiecie? Drobny defekt, niedociągnięcie powstałe w trakcie zmiany, która z pewnością była… niedoskonała. Idąc tym tropem, pomyślałem sobie, że skoro znamy dwa dowody przeinaczenia historii, to w naszym świecie mogą znaleźć się inne. Bo i czemu nie?

– I szukałeś ich? – zapytała Beth.

– Tak. Zacząłem grzebać w archiwach, czytać relacje kronikarzy i archeologów. Rozglądać się za śladami budowli, dokumentami, a nawet zwykłymi napisami, które nie pasują do ogólnie przyjętych ustaleń historycznych. Szybko zauważyłem, że nie pracuję sam. – Ponownie spojrzał na Penny.

– Przyznaję się do winy. – Uśmiechnęła się. – Teraz mogę to śmiało powiedzieć. Kiedy zakładałam Akademię św. Jonbara, przyświecał mi wyższy cel. Owszem, uczyłam przedmiotów statutowych, takich jak matematyka i fizyka, ale były też inne lekcje, na przykład historia. Zawsze twierdziłam, że w ten sposób kształcę uczniów i jednocześnie lepiej poznaję wasze dzieje. Ale chciałam, żeby uczniowie oswajali się również z koncepcją istnienia zdarzeń hipotetycznych. To obce słowo w waszym języku, które przejęliście od nas. Widzę, że pojawia się w szkolnych artykułach.

– Tak, wśród licznych spekulacji na temat tożsamości św. Jonbara – zadrwiła Kerys.

– Który nigdy nie istniał – wyznała Penny. – Nawet w mojej dawnej rzeczywistości. To wyraz z popkultury, z fantastyki naukowej. Rozjazd Jonbara to punkt, w którym historia się rozgałęzia, takie rozwidlenie dróg. Zawsze miałam nadzieję, że dochowam się choćby garstki bystrych młodych uczonych, którzy zechcą badać to zagadnienie. I szukać dowodów, o których wspomniał Ari. Jeszcze nam się nie udało…

– Mnie tak – przerwał jej Ari.

Mardinie daleko było do uczonej i zwykle denerwowało ją gadanie o *przedtem*, zwłaszcza w taki dzień. Tym razem jednak czuła rosnące zainteresowanie.

– To trochę jak powieść kryminalna.

– Jak najbardziej. – Ari uśmiechnął się do córki. – A najciekawsze jest to, że z czasem natknąłem się na pewne poszlaki.

– Poszlaki?

– Co prawda nie na lądzie, ale pod wodą, jak przystało na lud żyjący z morza. Mardino, podasz mi moją torbę?

– Najwyższa pora, *druidzie*, żebyś wreszcie przeszedł do konkretów – powiedziała gderliwie Penny. Zbliżyła się, żeby lepiej widzieć.

W sakwie znajdowały się mapy, które Ari rozłożył na biurku zastępcy prefekta. Choć przy ustach trzymał gazę, na pergamin spadło kilka kropel zmieszanej z krwią śliny.

– Jak widać, na mapach zaznaczone są oceany i linie brzegowe. – Wskazał ręką. – Poziom mórz podniósł się od czasów, powiedzmy, Kartymandii, co jest powszechnie znanym faktem. Zachowały się historyczne przekazy o ludziach porzucających swoje posiadłości, które zabierała woda. Wszyscy wiedzą o istnieniu zatopionych osad u wybrzeży kontynentów, zwłaszcza w Prytanice, gdzie pod wodą znalazł się szmat ziemi. I tak jest na całym świecie. Od paru wieków archeolodzy interesują się takimi pozostałościami i wynajmują okręty Floty do pomocy w badaniach. Oprócz miast, dróg i tym podobnych znalezisk, których się spodziewaliśmy, biorąc pod uwagę historyczne zapisy, na obszarach bardziej oddalonych od wybrzeży zlokalizowaliśmy wiele tajemniczych obiektów. Oczywiście trudno je badać i nanosić na mapy…

– Oszczędź nam swoich naukowych spostrzeżeń – wtrąciła Kerys. – Co tam masz?

– Najbardziej zadziwiające pozostałości można znaleźć w Morzach Zynów, w oceanie na północny wschód od naszych wybrzeży, w Mare Germanicum…

Wszyscy obecni – w tym Penny, która przykuśtykała z pomocą Jianga – cisnęli się nad mapami. Mardina ujrzała struktury w oceanie, odręcznie naszkicowane na drukowanych mapach, mające kształt olbrzymich murów, tam, kanałów, a nawet w niespotykany sposób rozplanowanych miast: koncentrycznych kręgów z przecinającymi je promieniście ulicami.

Ari pozwolił im się napatrzeć.

– Nazywamy to „zatopioną cywilizacją”. Wydaje się, że kiedyś na świecie istniała cywilizacja korzystająca wszędzie z tych samych zdobyczy techniki. Być może, jak w naszym dzisiejszym świecie, rywalizujące ze sobą imperia znajdowały się na podobnym etapie rozwoju.

– Ciekawa terminologia – zauważyła Penny. – Cywilizacje. Może naszą własną historię powinniśmy nazwać cywilizacją chińsko-oenzetowską...? Intrygujące są plany miast, jeśli przyjrzeć im się bliżej, jak ja to zrobiłam. Wszędzie można napotkać ten sam motyw poprzecznie poprzecinanych okręgów. Tutaj, na wschód od wybrzeży Zynu. Albo tutaj, między Prytaniką i Jutlandią. Swoją drogą, „miasta” to nie drogi i mury, ale głównie rozległe systemy

rowów odwadniających i innych instalacji do ochrony przeciwpowodziowej. Takich jak chociażby te, które Rzymianie zbudowali w Dolnej Germanii i Belgice. Chodziło o zabezpieczenie lądu przed morzem, a nawet odzyskanie zalanych terenów. To była cywilizacja, która walczyła z przyborem wód w oceanach na długo przed tym, jak woda dotarła do miejsc, gdzie biegły linie brzegowe za czasów naszych pradziadów.

– Ten motyw pociętych okręgów coś mi przypomina – zastanawiała się na głos Penny. – Youwei, mógłbyś przynieść mi torebkę?

– Nie rozumiem, czym tu się ekscytować – powiedziała Kerys. – Najzwyczajniej w świecie mamy do czynienia z cywilizacją, która zniknęła w odmętach wody na wiele lat przed pojawieniem się Brykantów i Rzymian. Jej ślady zaginęły w morzu.

– To nie takie proste – odparł z nieskrywaną satysfakcją Ari. – Przyjrzeliśmy się temu uważnie. Flota posłała nawet swoich nurków. Odkryli świadectwa wojny: doły po wybuchach bomb, ślady pożarów i tak dalej. Jakiś globalny konflikt doprowadził do zagłady tamte społeczeństwa. Dzięki pewnym sztuczkom możemy określić, kiedy to się stało; mierzymy grubość osadów morskich, które od wieków zalegają na ruinach…

– Dobrze, dobrze – przerwała mu Kerys, zniecierpliwiona. – Po prostu nam powiedz.

– Problemem jest data. To, kiedy wybuchła ta niszczycielska wojna. Otóż… w dwudziestym pierwszym wieku.

Penny wpatrywała się w niego.

– Wy, Brykanci, posługujecie się rzymskim kalendarzem. – Zerknęła na Beth. – To czternasty wiek zgodnie z naszą rachubą czasu.

Ari wydął usta.

– Rozumiecie już, w czym rzecz? Nasza historia jest kompletna i bezdyskusyjna, solidnie udokumentowana wieloma przekazami z różnych źródeł. Oparta na nieprzerwanej tradycji piśmienniczej obejmującej trzy tysiąclecia, jeśli nie więcej. Nie ma ani jednej wzmianki o murach i miastach w Mare Germanicum tysiąc lat po Kartymandii i Klaudiuszu, a zwłaszcza o straszliwej wojnie w dwudziestym pierwszym wieku. Zyńscy uczeni dokonali podobnych obserwacji. Oto więc mamy całą masę świadectw niepasujących do znanej nam historii. Kiedyś istniał zupełnie inny świat, zdominowany przez zatopioną cywilizację, zniszczony w wyniku wielkiej wojny, potem zaś w jakiś sposób historia została… przemodelowana…

– Nie tylko wasza. – Penny Kalinski bezskutecznie szukała czegoś w torebce. – Gdzie ten cholerny tablet?

Mardina patrzyła na swoją matkę, Jianga i Kerys – na ich zdumione twarze. Dotknąwszy ramienia tej ostatniej, zapytała szeptem:

– Nauarchusie…

– Słucham, kadetko?

– Wszyscy wyglądacie na zdziwionych, a przecież to tylko podwodne ruiny, prawda? Bez żadnego znaczenia.

Kerys obdarzyła ją badawczym spojrzeniem, jakby trochę z czułością.

– Eh, Mardino. Widocznie wyobraźnia nie jest twoją najmocniejszą stroną. Daleko zajdziesz we Flocie.

– Na pewno już to widziałam – oświadczyła Penny, wciąż buszując w torebce. – Ta moja pamięć! Powinnam była przejrzeć na oczy dawno temu. Ten motyw waszej zatopionej cywilizacji, pocięte okręgi. Earthshine pokazał mi coś takiego, kiedy zabrał nas wszystkich do swojego bunkra pod Paryżem, zanim uderzył Gwóźdź. – Przymknęła powieki. – I miał taką kamienną płytę na ścianie, jakby dzieło sztuki, z rowkami w skorodowanym betonie. To było wtedy, gdy po raz pierwszy sprowadził nas do Paryża, mnie i siostrę, wiele lat wcześniej. Tę płytę zabrał ze sobą na „Tatanię". – W końcu odnalazła tablet: postukała w niego kościstymi palcami i pokazała im zdjęcie kamiennej broszki, zdobionej wzorem koncentrycznych kręgów i poprzecznych promieni. – Earthshine nosił ją na Marsie osiem lat temu. I kiedy się z nim spotykałam. *Przedtem*.

Ari zmarszczył czoło.

– Earthshine? W takim razie on coś wie o zatopionej cywilizacji.

– Owszem. – Penny wykrzywiła usta. – Ale widzę, Ari, że nie wszystko do ciebie dotarło, nie patrzysz z właściwej perspektywy. Earthshine musiał odnaleźć ślady waszej zatopionej cywilizacji… na Ziemi, nie na Terze. Na mojej ścieżce czasu. Rozumiesz? Wygląda na to, że nasze rozbieżne historie nie są ułożone linearnie, w uporządkowanym szyku, tak by jedna zastępowała drugą. Są jak… kawałki kry na zamarzniętym oceanie, zderzające się ze sobą w przypadkowy sposób. Ale przypuszczam, że jeśli Earthshine ma rację i ziarna faktycznie są tunelami czasoprzestrzennymi, jeśli w rzeczywistości żyjemy we wszechświecie naszpikowanym nimi, to powinniśmy spodziewać się chaosu.

Ari miał niewyraźną minę.

– Tunele czasoprzestrzenne? Obawiam się, że nie bardzo rozumiem.

– Skróty w przestrzeni i czasie, nawet między wszechświatami… Jeżeli istnieją takie połączenia, można zakłócić związki przyczynowe, rozłączyć i wymieszać powody i skutki. Nawet archeologia niekoniecznie ma sens, jak w naszym przypadku, bo założenie, że cokolwiek leży w ziemi, zostało tam umieszczone przez kogoś w przeszłości, już nie obowiązuje. Wszystko jest możliwe, historia się plącze…

– Chaos – odezwała się Kerys. – Wizytówka Lokiego. W którego, będąc oficerem Floty w chrześcijańskiej federacji, absolutnie nie wierzę.

Wtem na salę wpadł młody rangą oficer. Wypatrzył Kerys i wetknął jej w dłoń świstek papieru. Prędko zapoznała się z treścią wiadomości i ściągnęła brwi.

– Ale jeśli to wszystko prawda – powiedziała Mardina – to co powinniśmy zrobić w takiej sytuacji?

– Zapytajmy Earthshine'a – zaproponował Ari.

– Tak, to oczywiste – zgodziła się Penny. – Tylko jakie są jego zamiary? I na co mu Ceres?

– Chyba niebawem dowiemy się więcej – oświadczyła posępnie Kerys. – A myślałam, że większego bajzlu już być nie może…

– Nauarchusie, co się stało? – zapytała Mardina.

– Z przestrzeni międzygwiezdnej powrócił pewien rzymski statek. Z dwudziestopięcioletniej wyprawy związanej z budową Włazu. W docelowym układzie napotkali nieznajomych ludzi. – Przebiegła wzrokiem po twarzach.

– Nieznajomych ludzi? – zdziwiła się Beth.

– Mówili w waszym języku. Po *angielsku*. Rzymskie władze wiedzą, kim jesteście, więc poprosiły nas o pomoc.

Beth, Jiang i Penny, rozbitkowie z „Tatanii", popatrzyli na siebie ze zdumieniem.

Kerys wstała.

– No cóż, trzeba coś z tym zrobić. Kadetko, idziesz ze mną. Obawiam się, że będziesz musiała jeszcze trochę poczekać z oficjalnym wstąpieniem do Floty.

W pośpiechu wyszła z sali, Mardina zaś pobiegła, żeby ją dogonić.

Rozdział 24

Statek badawczy „Malleus Jesu” został skierowany na lądowisko w pobliżu Lutetii Parisiorum w Rzymskiej Galii. Penny ze swoimi towarzyszami miała zostać przewieziona do miasta i tam spotkać się z niezwykłymi pasażerami statku.

Szykując się do podróży, powoli zbierała swoje babcine rzeczy: ulubione kołderki, papcie z kaczym puchem, a także pigułki, olejki i tajemnicze kompresy, które otrzymała od miejscowych lekarzy do walki z rozlicznymi bólami i dolegliwościami. Zastanawiała się, jakie mechanizmy zostały wprawione w ruch, żeby doprowadzić do takiej sytuacji: pozbierać wszystkich rozbitków z „Tatanii”, jak również tułaczy odnalezionych na planecie w odległym układzie słonecznym przez rzymskich eksploratorów. Z pewnością odbyły się rozmowy pomiędzy dwoma podejrzliwymi wobec siebie rządami na temat egzystencjalnej zagadki, która spadła im prosto z nieba. Prawdopodobnie zakładali, że owocem spotkania będzie przynajmniej garść cennych informacji. Podobne, jeśli nie większe, oczekiwania miała Penny. Co tu robi? Jak się tu dostała? Co to wszystko znaczy? Z drugiej strony, dawno porzuciła nadzieję na powrót do domu. Wiedziała, że tu umrze.

Nie spodziewała się jednak, że jeszcze kiedyś zobaczy swoją siostrę bliźniaczkę. Tymczasem nazwisko Stef pojawiło się w raporcie Floty.

A co mieli zrobić z Earthshine’em?

Kończąc przygotowania, nie miała już wątpliwości, że Earthshine świetnie orientuje się w sytuacji i śledzi rozwój wydarzeń.

Mieli udać się w podróż z Eboraki, miasta leżącego na północy kraju, który Penny nazwałaby Anglią, do Dubru na południowym wybrzeżu, stamtąd zaś przez morze do Galii.

Dyliżans zabrał Penny z Akademii, gdzie miała kwaterę, by zawieźć ją razem z Jiangiem i Marie Golvin do centrum przesiadkowego na południowych obrzeżach metropolii. W tym miejscu zderzały się ze sobą różne okresy technologicznego rozwoju; brukowana droga, po której jeździły bryczki, prowadziła do dworca kolejowego i dziurawych betonowych placów, gdzie stały smukłe jak igła statki z napędem ziarnowym, przystosowane do lotów kosmicznych i atmosferycznych.

– Dopiero teraz widzę, jak mało podróżowałam po tym świecie – stwierdziła Penny, gdy Marie pomagała jej wysiąść z dyliżansu. – Minęło dwadzieścia lat od rozjazdu Jonbara, a ja

praktycznie nie ruszyłam się z miasta. Wydaje mi się, że więcej czasu spędziłam poza planetą, niż wędrując po niej.

Marie podała jej ramię, żeby mogła się na nim wesprzeć.

– Tylko po co podróżować, skoro otacza nas tyle niezwykłości, gdy wyjdziemy za drzwi?

– Fakt.

Marie miała ponad czterdzieści lat i była korpulentną, lekko posiwiałą matką trojga dzieci. Nadal pracowała w Akademii, gdzie dawno przejęła od Penny lwią część jej administracyjnych obowiązków. Pod wieloma względami Marie okazała się niezastąpiona. Najwyraźniej czuła się tu szczęśliwa u boku swojego męża Rajeeva, mimo że przebywała tak daleko od domu.

Gdy służba z Akademii zajmowała się bagażami, oni wolnym krokiem zmierzali do dworca kolejowego, którego szeroko rozłożony dach osłaniał liczne perony; nitki nadziemnych torowisk rozbiegały się w dali. Architektura wydawała się Penny znajoma. Zapewne technika kolejowa stosowała się do pewnych nieuniknionych rozwiązań ekonomicznych i konstrukcyjnych. Jednakże brykanckie pociągi sunęły podwieszone pod błyszczącymi monoszynami na eleganckich wiaduktach w rzymskim stylu, a lokomotywy były napędzane ziarnami: w każdej z nich ukryta była pewna ilość zagadkowych tuneli czasoprzestrzennych. Sam pociąg przypominał rurę ze szkła i metalu. Penny z ulgą wypatrzyła ruchome schody, którymi wjeżdżało się na górę.

Mieli do dyspozycji wagon w samym środku składu, a w nim sporo przestrzeni z centralnie ustawionym szerokim stołem, na który przez duże panoramiczne okna padało jasne światło. Penny czuła się prawie jak w jadalni. Ona i Marie zjawiły się na końcu. Była tu już Beth z Mardiną; matka wydawała się nadąsana, na twarzy córki zaś malowały się bardziej złożone uczucia, przede wszystkim niepewność i wycofanie. Jechali z nimi także Kerys i Ari Guthfrithson, który taktownie usiadł w pewnej odległości od zwaśnionych z nim żony i córki.

Kerys wstała, żeby przywitać się z Penny, i pomogła jej zająć miejsce między Marie i Jiangiem. Potem wezwała sługę, żeby przyniósł napoje. *Nauarchus* została nominalnym kierownikiem tej szczególnej misji i nawet jeśli była zła, że znowu wplątano ją w ten jonbarowy cyrk, nie dawała nic po sobie poznać.

Pociąg płynnie wyjechał z dworca w przydymiony blask słońca. Kierując się na południe, wkrótce zostawili za sobą przedmieścia. Penny z wysoka przyglądała się rozsianym miejscowościom z okrągłymi domami, tonącym wśród rolniczych pejzaży, gdzie po horyzont ciągnęły się łany pszenicy i pola uprawne, na których ogromne maszyny zajmowały się odchwaszczaniem i nawadnianiem. Sprzęt rolniczy nie posiadał napędu ziarnowego; rozległa sieć kabli doprowadzała prąd z centralnych stacji zasilających. Ponieważ ta cywilizacja nie

dorobiła się inteligentnych autonomicznych urządzeń, można było dostrzec ludzi, lecz tylko nieliczni pracowali w polu.

– Nasza uczona narzeka, że nigdzie nie podróżowała – odezwała się Marie.

– Pierwszy raz w pociągu, Penny? – zapytała z uśmiechem Kerys.

– Niezupełnie. Choć nigdy nie zastanawiałam się, jak działa tu system transportu. Wasza historia rozeszła się z naszą tak dawno, że obce jest mi praktycznie wszystko od fundamentów w górę. Tutaj Prytanika nie została najechana przez Rzymian… – Nawet brykanckie miasta nie pokrywały się na mapie z tymi, które znała. Stonehenge, przykładowo, było tu znaczącym, nowoczesnym ośrodkiem miejskim i węzłem transportowym, którego kulturowe korzenie sięgały do ostatniej epoki lodowcowej. – Nie macie tu również *automobilów* – dodała, posługując się angielskim słowem – czyli małych pojazdów kierowanych przez ludzi.

– Oczywiście, że mamy *automobile* – zapewnił Ari – lecz stanowią wyłączną własność wojska i policji.

– Nie – powiedziała z uśmiechem Beth. – Ona miała na myśli co innego. Nie macie *aut*. Macie *czołgi*.

– Wygląda na to, że w waszym świecie nie było tylu konfliktów zbrojnych – stwierdziła Kerys. – My tu żyjemy w ciągłym stanie wojny, wypowiedzianej bądź niewypowiedzianej. Nasza rzeczywistość jest bardziej… zmilitaryzowana. Miasta wyglądają jak twierdze, a szlaki komunikacyjne są jak transportery opancerzone, żeby wrogie siły nie opanowały ich łatwo.

– Nie moglibyście wszyscy przestać o tym gadać? – warknęła nagle Mardina.

Beth zrobiła zdziwioną minę. Ari popatrzył na córkę nieprzychylnie, ale na szczęście powstrzymał się od komentarza.

Ciszę przerwała Kerys:

– Masz jakiś problem, kadetko?

Mardina momentalnie ochłonęła.

– Przepraszam, nauarchusie. Ta rozmowa po prostu jest taka… – Znać było, że szuka odpowiednich słów. – Dziwna, stara, zepsuta, jakbyście wspominali jakiś koszmar.

Penny przykryła jej dłoń swoją dłonią.

– Nie gniewaj się, skarbie. Już wtedy, gdy pierwszy raz przybyliśmy tutaj, byłam bardzo stara według twoich standardów. Nawet po tylu latach na Terze nie sposób wyrzucić z pamięci Ziemi. Ale masz rację: to nie powód, żebyśmy mieli zamęczać cię naszym marudzeniem. Zresztą nie wiem, jak inni, ale ja chcę zachować siły na próby, które są dopiero przede mną. Masz tu gdzieś moją poduszkę, Youwei?

Kerys uśmiechnęła się szeroko, wyciągając skórzany woreczek.

– Chcesz się zdrzemnąć? Dobry pomysł. A reszta? Umilmy sobie czas tak, jak to robią od zawsze żołnierze: bzdurnymi grami. To od czego zaczniemy? Mam tu hacle, szachy, karty…

Penny obudziła się kilka godzin później.

Kiedy wyjrzała za okno, ze zgrozą zorientowała się, że pociąg jest zawieszony nad wodą. Odruchowo chwyciła Jianga za rękę.

– *Jejku* – powiedziała po angielsku.

– Nie bój się – powiedziała z uśmiechem Kerys. – Za nami już parę mostów. Pamiętaj, że Prytanika to archipelag. W tej chwili przeprawiamy się przez Mare Britannicum. Pozwoliliśmy Rzymianom nazwać po swojemu te wody, bo to oni zawsze budowali mosty. Przegapiłaś Dubru, ale nie zatrzymywaliśmy się. Wkrótce będziemy w Gesoriacum, na rzymskiej ziemi.

– Niesamowite…

Terminal mostu po stronie galijskiej był sędziwym betonowym gmaszyskiem, w przeszłości wielokrotnie remontowanym i rozbudowywanym. Penny spojrzała na poobijane mury.

– Od tysiąca lat budujemy mosty nad Britannicum – wyjaśniła Kerys. – Także tunele pod dnem morza. Gdy wybucha wojna, na pierwszy ogień zawsze idą mosty.

– Aha. Lecz zostają fundamenty, na których zostaną odbudowane.

– I z każdym stuleciem konstrukcje są większe i brzydsze.

Pociąg wjechał na ląd bez zatrzymywania się na odprawę celną czy jakąkolwiek kontrolę.

Penny patrzyła przez okno.

– No i proszę, na karku prawie dziewięćdziesiąt lat, a ja pierwszy raz widzę Cesarstwo Rzymskie. Kiedyś coś takiego wydawałoby się szalonym marzeniem! – Oglądając krajobrazy północnej Galii, zatopiła się w rozmyślaniach.

Pozostali, którzy chyba cieszyli się, że staruszka wreszcie się zamknęła, powrócili do swojej skomplikowanej gry karcianej, którą na chwilę przerwali.

Zatem Galia: rzymska prowincja, odkąd przed dwoma tysiącami lat Cezar podbił te ziemie. Nowoczesny pociąg kolei jednoszynowej przemykał wśród pól uprawnych, otaczających rozległe zabudowania gospodarskie, i mijał miasta obwiedzione bardzo starymi fortyfikacjami, które miały za sobą niejedno oblężenie. Penny wypatrywała różnic między Cesarstwem a krajem Brykantów. Było tu więcej monumentalnych przykładów sztuki inżynierskiej: podniebnych akweduktów, mostów, dróg wytyczonych prosto jak laserem w zielonej scenerii. Tutejsza klockowata architektura przedkładała kamień, proste linie i prostokąty nad bliższy przyrodzie celtycki styl Brykantów, oparty na drewnie i strzechach. Penny poczuła żal do siebie za to, że nie podróżowała częściej, kiedy była młodsza. Być może, jak twierdziła Mardina, rozjazd Jonbara i związane z tym różnice między dwoma światami stały się dla niej obsesją do tego stopnia, że

nie potrafiła otworzyć oczu i rozejrzeć się wokół siebie, wyluzować się i po prostu być tutaj, żyć normalnie na Terze, w tym świecie mającym własne cuda. Musiała jednak pamiętać, że przysporzyła temu światu kłopotów w postaci Earthshine'a, miała zatem pewne obowiązki, od których nie mogła się uchylać.

Ten świat zresztą nie był utopią, o czym przekonała się, spoglądając przez okno. W porównaniu z Prytaniką tutaj na małych poletkach maszyny rolnicze były rzadkim widokiem. Za to pracowało wielu ludzi: zgiętych nad rolą, noszących kosze z nawozem lub plonem, czyszczących rowy melioracyjne. Byli wszędzie. I gdziekolwiek przejeżdżał pociąg, wieśniacy przerywali pracę i pochylali głowy, unikając kontaktu wzrokowego z pasażerami.

Siedzący naprzeciwko Ari Guthfrithson przyglądał się jej badawczo.

Uniosła brwi.

– Ty nie grasz?

Wzruszył ramionami.

– Obawiam się, że moje kruche więzi z rodziną nie przetrwałyby zaciętych zawodów w chwytaniu hacli. Oto masz wokół siebie wspaniałe rzymskie ziemie. Jak wrażenia?

– Cieszę się, że na pokład zabrał nas, niedobitków cywilizacji chińsko-oenzetowskiej, statek brykancki, a nie rzymski. Spójrz na ludzi harujących na polach. Co za kontrast: z jednej strony statki kosmiczne, z drugiej niewolnictwo.

Ponownie wzruszył ramionami.

– Kiedy nauczyliśmy się budować maszyny silniejsze od ludzi i zwierząt, przestawiliśmy gospodarkę na nowe tory, a niewolnictwo stało się przestarzałe. Ale zgodnie z naszą Biblią sam Chrystus trzymał niewolników. To nie grzech. – Popatrzył przez okno. – Zaraz będziemy w Lutetii Parisiorum.

– Byłam tu kiedyś – mruknęła Penny, wspominając dawne czasy. – *Przedtem*. Wezwał nas tu Earthshine, moją siostrę i mnie, żeby pokazać nam cmentarz, na którym spoczywa nasza matka…

– Szlak kolejowy biegnie wzdłuż starożytnej drogi z południa, którą mieszkańcy nazywają cardo maximus. Rzymianie zawsze mieli zwyczaj grzebać zmarłych za miejskimi murami.

Po przeszło dwudziestu wiekach nieprzerwanego rozwoju miasta na odcinku wielu kilometrów do drogi przylegały cmentarze.

Zanim pociąg dotarł do murów, Penny zorientowała się, że miasto jest znacznie mniejsze od Paryża, który znała. Wyglądało na to, że Lutetia Parisiorum to raczej prowincjonalny gród niż wielka stolica, jaką pamiętała z własnej historii. Mimo wszystko miasto zajmowało dość duży obszar, spowity burą pierzyną smogu.

Przejechali przez otwór w potężnych murach niedaleko bramy wjazdowej – tak ogromnej, że mogłaby być samodzielną fortecą. W obrębie miasta przy prosto wytyczonych ulicach wznosiły się kryte czerwoną dachówką wielopiętrowe kamienice, wśród których gdzieniegdzie wybijały się iglice i kopuły. Nad murami pełzły akwedukty doprowadzające wodę i można było sobie wyobrazić równie imponującą sieć kanałów ściekowych ukrytych pod ziemią. Wystawne rezydencje z kopułami i kolumnowymi portykami często naśladowały styl antyczny bądź też – niewykluczone – pochodziły wprost z tamtej dawno minionej epoki. Penny zobaczyła w górze całą sieć kolei jednoszynowej, a gdy pociąg zwalniał, z nieba doleciał przeciągły grzmot i rozbłysło gorejące światło: napędzany ziarnami statek kosmiczny gnał na orbitę ponad miastem.

Dworzec kolejowy znajdował się blisko rzeki, na południowym brzegu Sekwany. Gdy zawieszony na szynie pociąg dojechał do celu, Penny dostrzegła wysepkę Île de la Cité, zapewne ochrzczoną łacińską nazwą na tej ścieżce czasu. Nad gromadą mniejszych budynków górowała majestatyczna katedra przykryta kopułą.

Kiedy się zatrzymali, Jiang pomógł Penny wstać z miejsca. Kerys zapewniła, że czeka ich krótki spacer do siedziby Urzędu Administracyjnego Prowincji, gdzie tymczasowo zakwaterowano pasażerów „Malleusa Jesu”. Przygotowując się do wyjścia, Penny zbierała się na odwagę przed spotkaniem ze swoją siostrą Stef Kalinski. Nie potrafiła sobie tego nawet wyobrazić.

Rozdział 25

Wprowadzono ich do typowo rzymskiej poczekalni: wszędzie sofy, gobeliny, mozaiki, a wśród tego wszystkiego zabiegana służba słuchająca poleceń naczelnika prowincji, niskiego nadętego mężczyzny w śnieżnobiałej todze.

Obcy ludzie, stojący w zwartej grupie, wydawali się skonsternowani. Przewodził im chyba ten, który wyróżniał się wzrostem i miał na sobie pancerny napierśnik oraz wojskowy pas z grubą sprzączką. Towarzyszyło mu jeszcze kilku rzymskich wojskowych, którzy nie czuli się komfortowo w tym dość pedantycznie utrzymanym formalnym pomieszczeniu, a także kobieta w średnim wieku w brykanckim stroju i starszy mężczyzna w praktycznie skrojonej todze.

Był tam również osiemnasto-, może dziewiętnastoletni, lekko otyły młodzieniec o azjatyckich rysach twarzy z dziwnym, miękkim pakunkiem na plecach. Nosił poszarzałą tunikę, pod szyją zaś, na łańcuszku, tablet z rodzaju tych używanych przez ISF. Był bosy. Penny natychmiast poznała, że jest niewolnikiem. Jiang patrzył przyjaźnie na chłopca, który był Zynem, a więc poniekąd jego rodakiem.

W oczach Penny wszystko to było tłem. Dla niej liczyła się tylko jedna osoba. Wysunęła się naprzód.

Penny i Stef stanęły naprzeciwko siebie, spotkały się ich spojrzenia.

– *Boże*… – bąknęła po angielsku Penny. – Nigdy bym nie sądziła…

– Ani ja, wierz mi – powiedziała dobitnie Stef. – Przedostałam się przez Właz na Proximę Centauri, żeby od ciebie uciec. A potem jeszcze dalej, w sąsiedztwo gwiazdy odległej, jak się okazało, o dziewięć lat świetlnych. Gdzie schwytali nas alternatywni Rzymianie i przywieźli z powrotem… tutaj.

– A więc znów Paryż. – Penny bezskutecznie usiłowała się uśmiechnąć. – Pamiętasz jeszcze tamto spotkanie dawno temu?

– Grób naszej matki. Jak mogłabym zapomnieć? Ale trochę dziwi mnie to, że ty coś jeszcze pamiętasz. – Stef obeszła siostrę, przyglądając się jej uważnie. – Zatem taka będę w przyszłości. Czuję się jak Dorian Grey.

– Nie jestem aż taka stara. Mam osiemdziesiąt dziewięć lat, Stef. Gdy tymczasem ty…

– Siedemdziesiąt. Wciąż młoda. A wszystko dzięki przechodzeniu przez Właz i dylatacji czasu.

– Nie wiem, kim jesteśmy, ale bliźniaczkami na pewno już nie.

Stef uśmiechnęła się złośliwie.

– I dobrze. Kiedy patrzę, jak opierasz się na tej cholernej lasce, czuję się, jakbym wygrała.

– Mnie zaś w tym wieku jest to już chyba obojętne – odparła zmęczonym głosem Penny. – Nie życzę ci źle, Stef. Nigdy nie chciałam ci zrobić nic złego.

– Wiem. Dopiero po otworzeniu tego przeklętego Włazu na Merkurym, gdy zaistniałaś tak nagle, stało się coś złego.

– Otworzyłyśmy go razem… Zresztą to było tak dawno.

Wolnym krokiem, z życzliwą miną, podszedł do nich rosły Rzymianin, mówiący po łacinie z twardym akcentem:

– Pani pułkownik Stef Kalinski, *druidh* Penny Kalinski, powinnyście być bliźniaczkami, lecz cieszę się, że mogę was łatwo rozróżnić.

– Mam nadzieję, siostrzyczko, że nie masz zaległości w łacinie – powiedziała cicho Stef. – Rzymianie nie znają języków obcych.

Penny pokiwała głową.

– I mają rację… Centurion, prawda?

– W rzeczy samej. Jestem centurion Kwintus Fabiusz, dowódca misji „Malleusa Jesu”. Ci, których tu widzisz, należą do mojej załogi. Mój *optio*, Gneusz Juniusz. *Trierarchus* Movena, Brykantka. Michael, *medicus*. Aha, niewolnik nosi szczątki Koliusza, waszej gadającej maszyny.

Penny spojrzała na chłopca.

– Zwykle po zakończeniu misji załogę się rozwiązuje, a jej członkowie wracają do legionowych *collegiów*, by dostać powołanie, urlop i nowy przydział. Zamiast tego otrzymaliśmy nietypowe zadanie opieki nad nieznajomymi, których spotkaliśmy na planecie w odległym układzie Romulusa. Przynajmniej dopóki nie zostaną poczynione dalsze ustalenia.

Penny parsknęła śmiechem.

– Gdzie się obrócić, wszędzie biurokracja. Chcesz powiedzieć, że dopóki rządy wasz i Brykantów nie wymyślą kategorii, do której nas zakwalifikować.

Uśmiechnął się szeroko.

– Nie jestem urzędnikiem, ale rozumiem twój tok myślenia. Nie zamierzamy się jednak uchylać od obowiązku. Widzisz tego drągala bez ręki? To Tytus Waleriusz, legionista, weteran. Od pięciu lat opiekuje się niewolnikiem, który nosi Koliusza. On ceni sobie to, co robi. Inaczej musiałby zostać w kolonii, gdzie świeci obce słońce…

– Koliusz? ColU? – Beth przecisnęła się do przodu i zatrzymała przed młodym niewolnikiem, który stał bez ruchu ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w ziemię: w postawie, która

w Penny zawsze budziła gniew. Beth ujęła go pod brodę, aby podniósł głowę. – Nie jesteś dużo starszy od mojej Mardiny, co? Jak masz na imię?

Chłopiec spojrzał na Tytusa Waleriusza, który warknął:

– Odpowiedz pani! Nic złego cię nie spotka.

– Nazywam się Chu Yuen, pani.

– Koliusz? Czyli ColU? Naprawdę trzymasz w plecaku ColU?

– To, co ze mnie zostało – wydobył się z pakunku żałosny głos.

Beth natychmiast się rozpromieniła.

– ColU, to naprawdę ty! Jakże chętnie bym cię wyściskała! Ale…

– Yuri Eden ocalił moją jednostkę obliczeniową i bank pamięci. Porozumiewam się z wami dzięki technologii zaimplementowanej w tablecie. Obawiam się, że trudno mnie będzie przytulić.

– Może powinnam uściskać twojego niewolnika?

– Proszę cię, Beth Eden Jones, nie przy Rzymianach. Wspomniałaś o Mardinie czy się przesłyszałem?

– Tak. To moja córka, dałam jej imię po babci. Mardino, chodź no tu bliżej.

Młoda kobieta zbliżyła się z wyraźną niechęcią. Penny, wciąż wstrząśnięta po zderzeniu się ze swoją skomplikowaną przeszłością, mogła jej tylko współczuć.

– Obróć się trochę w prawo, Chu Yuenie – poprosił ColU.

Chłopiec spełnił jego życzenie. Penny zauważyła, jak wykrzywia plecy, żeby ustawić odpowiednio tablet. Z pewnością w ten sposób ColU oglądał świat.

– Cieszę się, Mardino, że mogę cię poznać – rzekł uroczystym tonem ColU. – Masz imię po babci i odziedziczyłaś trochę z jej wyglądu.

– Nie znałam jej. – Mardina popatrzyła z przestrachem na matkę. – Mam wrażenie, że rzucam słowa na wiatr albo rozmawiam z duchem!

– Porucznik Mardina Jones była silną i dzielną osobą. Byłbym zaszczycony, mogąc opowiedzieć ci o niej.

– Nie trzeba – burknęła Mardina.

– Nie przejmuj się, ColU – powiedziała szybko Beth. – Niełatwo jej się odnaleźć.

– Rozumiem – odrzekł łagodnie ColU. – Co się tyczy twojego ojca, Beth, Yuriego Edena…

Stef podeszła do niej i ujęła jej dłoń.

– Na pewno wiesz – powiedziała – że razem przeszliśmy przez Właz do układu Romulusa. Yuri i ja. Byliśmy tylko my i ColU, a właściwie to, co z niego zostało. Ale…

– …już nie dał rady wrócić, co?

– Prawdopodobnie jego choroba wynikała z tego, że spędził sto lat w kapsule kriogenicznej. Nazywał to powikłaniami odmrożeniowymi. Przykro mi, Beth.

– Towarzyszyłem mu w jego ostatnich godzinach – dodał ColU. – Mogę ci wszystko opowiedzieć. Beth Eden Jones, on kazał mi obiecać, że cię odnajdę. I znalazłem. Życzył też sobie, abym ci powiedział, że na mocy jego testamentu, sporządzonego zgodnie z rzymskim prawem, od tej chwili jestem twoją własnością.

Penny zauważyła, że Beth z trudem powstrzymuje łzy. Podeszła do niej, kuśtykając o lasce.

– Nie wiem jak wy – oświadczyła – ale ja się już dosyć wystałam, jak na jeden dzień. Gardło mam suche jak pył na Lunie.

Zerkając na naczelnika prowincji, Kwintus Fabiusz wystąpił naprzód i wymownym gestem rozłożył ramiona.

– Zapraszam do siebie w gościnę.

Zdaniem Penny, Rzymianie okazali bardzo dużo wyrozumiałości dla ostatnich przedstawicieli cywilizacji chińsko-oenzetowskiej. Nie narzucali im swojej obecności, aby mogli ze sobą porozmawiać i otrząsnąć się z szoku po tym niezwykłym spotkaniu. W końcu jednak musieli przejść do spraw najważniejszych.

– Earthshine – powiedziała lakonicznie Stef. – Oto sedno rzeczy. Earthshine.

– Earthshine – powtórzył Kwintus Fabiusz. – Jeśli dobrze rozumiem, mówicie o… urządzeniu, które zabraliście ze sobą ze starego świata i które obecnie znajduje się na Marsie…

– Oswajasz się z tym od kilku dni, centurionie – odezwała się Kerys – ja zaś od lat, a mimo to nadal jestem zdezorientowana. Będą musieli nam to jakoś wyjaśnić. A potem, niestety, my będziemy się musieli napocić, żeby zrozumieli to nasi zwierzchnicy.

– Już się nie mogę doczekać, nauarchusie – odparł z przekąsem. – No dobrze. Earthshine. Mówcie, dlaczego to taki ważny temat.

– Po pierwsze, jesteśmy tu dzięki jego staraniom – zaczęła Penny. – Mam na myśli nas, ocalałych z wydarzenia skutkującego rozjazdem Jonbara, z zagłady światów w naszej ścieżce czasu…

Kwintus popatrzył bezradnie na Kerys.

– Oni zawsze gadają w ten sposób?

– Obawiam się, że tak.

– Do rozjazdu Jonbara doszło w wyniku uwolnienia ogromnej energii – powiedział ColU. – Gdy wybuchła wojna Chin z ONZ-etem, w Merkurego uderzył Gwóźdź, chiński pocisk, i otworzyły się ziarna… Być może tego rodzaju energia, powstała dzięki istnieniu ziaren, jest niezbędna, żeby powstał rozjazd. W tym czasie ty, Stef, byłaś ze mną i z Yurim we Włazie,

w podróży do układu Romulusa-Remusa. Ty zaś, Penny, razem z Beth i Lexem McGregorem uciekaliście z Układu Słonecznego, osłonięci silnikami ziarnowymi.

– Chcesz powiedzieć, że w jakiś sposób uratowały nas ziarna i Włazy? – zapytała Stef.

– Tak. Sądzę, że Earthshine umieścił nas tam, gdzie planował. Jak pionki na szachownicy, pani pułkownik Kalinski. Lub ważne figury. Zastanówcie się, kto przeżył rozjazd Jonbara. Earthshine, oczywiście. I jego syn, Yuri Eden. W każdym razie syn Roberta Braemanna, czyli jednej z osób, które złożyły się na osobowość Earthshine'a. No i Beth Eden Jones, jego wnuczka. Zatem wszyscy, na których mogło mu osobiście zależeć…

Mardina odwróciła się do matki.

– Jego syn? Jego wnuczka? Cóż to za nowe okropieństwa? To coś na Marsie… Chcesz mi wmówić, że jest moim pradziadkiem? Wiedziałaś o tym, mamo?

– Wiedziałam – odparła z westchnieniem Beth. – Powiedział mi, jak się nazywa, na „Tatanii", kiedy uciekaliśmy z Księżyca. Z kolei mój ociec, Yuri, wyjawił mi swoje prawdziwe nazwisko na Merkurym, zanim się rozstaliśmy. Gdy połączyłam jedno z drugim…

– I nic mi nie mówiłaś?

– Do tej pory ani razu nie zainteresowałaś się przeszłością. Twierdzisz, że chciałabyś o tym wiedzieć?

Kwintus Fabiusz stanął między nimi.

– Rozumiem, że to dla was trudne chwile. Chcecie rozliczyć się z przeszłością, ale teraz musimy pomówić o przyszłości. Koliuszu, opowiedz im o lodowej kuli, o świecie nazywanym przez Brykantów Hödem. I naszych spostrzeżeniach na temat działalności Earthshine'a.

Penny zmarszczyła czoło.

– Waszych? Kogo masz na myśli? Cesarstwo?

– Nie – odpowiedział ColU. – Naszych, a więc załogi „Malleusa Jesu". W czasie podróży powrotnej miałem zaszczyt współpracować z przebywającą na statku ekipą obserwatorów i nawigatorów. To muzułmanie, przeważnie Arabowie. Należą do wysoko rozwiniętej cywilizacji, choć na tej ścieżce dziejowej wchłoniętej przez Cesarstwo Rzymskie.

– Domyślam się, że kazałeś im obserwować Ceres – ponagliła go łagodnie Penny.

– Podejrzewałem, że ziemskie obserwatoria nie poradzą sobie ze śledzeniem tego obiektu i wyliczaniem jego przyszłej trajektorii. Zwłaszcza że stosują tam nieregularne sekwencje odpalania ziaren. Wy nie przewidzicie, dokąd on zmierza, co innego ja…

Beth się roześmiała.

– Dzięki swoim niezrównanym mocom obliczeniowym dobrze wiesz, co się dzieje. Zawsze byłeś zarozumiały, ColU.

– Liu Tao powiedział mi kiedyś, że mam śmiałe poglądy, jak na maszynę rolniczą. Odpowiedziałem mu na to, że świadomy umysł próbuje się wyłamać z ograniczeń oprogramowania…

– Do rzeczy! – przerwał mu Kwintus, niemalże krzycząc. – Dokąd zmierza ta bryła lodu, szklana maszyno?

– Ku kolizji z Marsem – rzekła zmęczonym głosem Penny. – Mam rację, ColU? Nie będzie to bezpośrednie uderzenie, ale raczej przejście przez atmosferę…

– Obawiam się, że masz rację, Penelope Kalinski.

Stef ciężko pokiwała głową.

– No dobrze, tylko dlaczego? Co chce przez to osiągnąć?

– Ukazują mi się straszne i katastrofalne wizje – odparł ColU.

Kwintus i Kerys popatrzyli na siebie ponuro.

– Cokolwiek zrobi – powiedziała Kerys – zapewne doprowadzi do wojny na Terze i w Czaszce Ymira. Rzymianie i Zynowie pomyślą, że to spisek uknuty przez Brykantów, którzy umieścili Earthshine’a na Marsie.

Kwintus odwrócił się do niewolnika.

– Co mamy robić, Koliuszu? Możemy go powstrzymać?

– Cudem w ostatniej chwili udało nam się to zauważyć, ale nie zdążymy już przeciwdziałać. Przypuszczam, że tylko Earthshine może zażegnać niebezpieczeństwo. Jeśli zechce.

– Wobec tego lećmy tam – zaproponowała Stef. – Na Marsa.

– Skąd wiesz, że w ogóle z nami porozmawia?

– Może rzeczywiście nie z każdym. Dlatego musimy lecieć wszyscy. Beth, Mardino, wiem, jakie to dla was trudne, ale jesteście rodziną. Już raz was uratował, jeśli ColU się nie myli. Może znów was wysłucha? Jeśli jest choćby cień szansy, żeby temu zapobiec…

Beth odwróciła wzrok. Wyraźnie zamknęła się w sobie, jakby – nie po raz pierwszy w jej życiu – otaczający ją ludzie zmawiali się, żeby przejąć kontrolę nad nią i jej córką.

– Zastanów się, Beth – powiedziała łagodnie Penny. – Pomyśl o konsekwencjach. To my sprowadziliśmy tę istotę do tej rzeczywistości. Przynajmniej spróbujmy.

– Ale najpierw musimy dostać się na Marsa – odezwała się z werwą Stef. – Czym tam polecimy?

– Moim statkiem – stwierdził stanowczo Kwintus Fabiusz. – Mówię poważnie – dodał, widząc zdziwienie na ich twarzach. – „Malleus” musi uzupełnić zapasy, ale załoga nie została jeszcze rozwiązana i czeka w gotowości do lotu. Legioniści będą biadolić, lecz podróż nie potrwa długo, a do tego, jak myślę, skapną hojne premie. Mógłbym was wszystkich przewieźć

na Marsa w ciągu kilku dni… gdybyśmy prędko otrzymali niezbędne zezwolenia. – Popatrzył znacząco na wstrząśniętego naczelnika prowincji.

Penny zmarszczyła czoło.

– A gdzie ten twój statek? Na orbicie? Na Księżycu?

– Około pięciu kilometrów na północ stąd – oznajmiła z dezaprobatą Stef. – To cywilizacja, która pozwala, żeby międzygwiezdne statki lądowały na miejskich lotniskach.

– Chciałabym powiedzieć, że można się do tego przyzwyczaić… ale nie można – dodała Penny.

Mardina z otwartymi ustami śledziła tok rozmowy, najwidoczniej zdumiona, a może nawet przytłoczona tym, co usłyszała.

– W takim razie lećmy na Marsa, i niech potwierdzi się prawda! – rzuciła.

Beth dotknęła jej ramienia.

– Jaka prawda, skarbie?

– Taka, że Earthshine, ten łotr o ładnym imieniu, od początku zakładał, że tak właśnie postąpicie. Manipuluje wami od najdawniejszych czasów.

Zaległa pełna napięcia cisza.

– Że też wcześniej o tym nie pomyślałem – odezwał się w końcu ColU.

Rozdział 26

Gdy „Malleus Jesu” wchodził w przestrzeń wokół Marsa, ujemne przyśpieszenie dawało się wszystkim we znaki. Nikt nie chciał powiedzieć Penny, jak bardzo żyłowane są silniki. Z całą pewnością przebili wartość ziemskiej siły ciążenia, znacząco wykraczając poza górną granicę przyśpieszenia przyjętą dla rzymskich statków z napędem ziarnowym. Już sam ten fakt świadczył o tym, jak pilna była ich misja. Jednakże Penny nawet nie miała siły panikować, gdy leżała głęboko wciśnięta w fotel, bojąc się ruszyć palcem czy choćby jednym mięśniem.

Otrzymała do dyspozycji osobny pokój na siódmym pokładzie – w oficerskim rewirze. Poinformowano ją, że to część prywatnych kwater centuriona Kwintusa, urządzonych na typowo rzymską modłę, aczkolwiek sofy były tu przynitowane do podłogi, a gobeliny zabezpieczone grubymi, żelaznymi ćwiekami. Wszystko było mocne, przystosowane do wytrzymywania gwałtownych skoków przyśpieszenia zdarzających się na okręcie wojennym. Ale też „Malleus”, weteran kilku międzygwiezdnych misji, wskutek wielokrotnie doświadczanych na sobie efektów dylatacji czasu był już antykiem, wspomnieniem minionej epoki. W ciągu długich lat służby znosił wyczerpujące przyśpieszenia, szkodliwy pył i okruchy lodu w przestrzeni międzygwiezdnej, a mimo to musiał się teraz zmierzyć z największym pod wieloma względami wyzwaniem. Wystarczy, że z powodu nadmiernych naprężeń nawali jedna część, pęknie gdzieś element szkieletu, rozszczelni się gródź lub płyta kadłuba, a misja zakończy się fiaskiem i wszyscy zginą.

Tak więc Penny, leżąc w fotelu, słuchała basowego, ledwie uchwytnego buczenia silników ziarnowych, trzeszczenia, skrzypienia i dudnienia konstrukcji dostojnego, sędziwego statku – i czekała na koniec. Darzyła ten statek dziwnie ciepłym uczuciem. Bo czymże było jej własne ciało, jeśli nie przeżytkiem, rozbitymi resztkami nadmiernie przeciągniętego życia, z trudem znoszącymi ogromne przeciążenia. Jak nie mogłaby winić „Malleusa”, gdyby się rozleciał, tak nie obwiniałaby swojego nędznego ciała, gdyby pod wpływem kolejnego nieznośnego ciężaru wreszcie się poddało.

Załoga jednak umiała sobie radzić z dokuczliwymi przeciążeniami. Penny nie narzekała na samotność. Nawet grecki *medicus* Michael odwiedzał ją w wózku ortopedycznym mocno zapięty pasami, z metalową obejmą chroniącą głowę i szyję.

Szczególne wrażenie robił na niej legionista, który pchał po statku wózek z Michaelem, wypełniając swoje obowiązki mimo przeciążeń sięgających 3 g. Tytus Waleriusz, jednoręki

weteran, poruszał się z pomocą egzoszkieletu, który skrzypiał i klekotał, napędzany prymitywnymi elektrycznymi motorkami („eterycznymi maszynami”), które były – oprócz silników ziarnowych, ręcznych urządzeń komunikacyjnych zwanych dalekomówcami i pewnych rodzajów śmiercionośnej broni – niemalże szczytem techniki w tym świecie. Penny widziała napinające się z wysiłku mięśnie Tytusa i pęczniejące żyły na jego mechanicznie podpartym karku. Ale robił to, co do niego należało, podobnie jak – najwyraźniej – reszta świetnie wyszkolonej załogi Kwintusa.

– Radzisz sobie – stwierdził Michael, usadowiony na swoim wózku podczas oględzin. – Bądź pewna, że twardsza z ciebie sztuka, niż myślisz lub wyglądasz. Bylebyś wypełniała moje polecenia, bylebyś leżała i nie ryzykowała… I była cierpliwa…

– Swędzi mnie przy cewniku.

Roześmiał się.

– Pech. Będziesz musiała sama to załatwić.

Jej najmilszą towarzyszką podróży okazała się jednak Klodia, córka Tytusa. Miała dopiero piętnaście lat – według subiektywnej rachuby czasu – i większość swojego krótkiego życia spędziła na pokładzie „Malleusa” w trakcie misji do układu gwiazdy podwójnej Romulus-Remus. Klodia była silną dziewczyną, zdolną poruszać się po statku w warunkach sztucznej grawitacji z pomocą wózka i protetycznych wsporników obliczonych dla osoby dorosłej, znacznie większej niż ona. Była również wesoła i skora do pogawędek.

Na początku przynosiła posiłki, czyli w zasadzie nowe woreczki do kroplówki zgodnie z zaleceniami Michaela. W miarę jak mijały kolejne wachty na statku i pogłębiała się ich znajomość, dziewczyna zaczęła jej pomagać z innymi rzeczami. Z niezrównaną życzliwością zajmowała się cewnikiem, obmywała jej twarz, a nawet zmieniała swego rodzaju pieluchę, która nasiąkała jej babciną kupą. Penny ze wszystkich sił starała się ukryć zażenowanie tym, że na końcu swojej drogi życia jest przewijana – jak kiedyś na początku, gdy była niemowlakiem.

Nie mogła się nadziwić, że Klodia dobrowolnie przyjęła na siebie ten obowiązek. Rozmawiały o tym ostatniego dnia, kiedy statek zbliżał się do Marsa i wszyscy oczekiwali, że lada chwila przeciążenie osłabnie.

– Niech zgadnę: byłaś małym dzieckiem, kiedy ojciec zabrał cię w podróż do układu Remusa i Romulusa, tak?

– Moja mama umarła, zanim opuściliśmy Terrę. Byłam wtedy bardzo mała. Nie miałam nikogo oprócz taty…

– No tak, przykro mi. A więc kilka lat biegałaś po planecie. Potem zaś, gdy miałaś powiedzmy lat dziesięć, zgarnęli cię i przywieźli z powrotem na Ziemię, to znaczy na Terrę. Teoretycznie

Terra powinna podobać ci się o wiele bardziej niż życie na statku. Tylu różnych ludzi, duże miasta.

Klodia się skrzywiła.

– Lutetia Parisiorum to chlew. W dodatku kiepsko zaprojektowany z obronnego punktu widzenia. Ale chyba chciałabym zobaczyć Rzym. I wspaniałe miasta Brykantów, oczywiście…

– Nie musisz silić się na grzeczność, dziecko.

Dziewczyna odsłoniła zęby w uśmiechu.

– Na planecie, gdziekolwiek pójdziesz, nie ma, nie ma… Ludzie łażą, gdzie chcą, i robią, co im się podoba.

– Nie ma dyscypliny?

– Właśnie. Zupełnie inaczej jest w czasie marszu, kiedy buduje się obóz na noc i zawsze wszystko jest takie samo, dokładnie tam, gdzie trzeba. Żadna noc nie różni się od poprzedniej. To lubię.

– Jesteś córką żołnierza i nie ma w tym nic złego. Cieszę się, Klodio, że jesteś tu przy mnie, twoja obecność dodaje mi otuchy. Ale jak wyobrażasz sobie przyszłość? Nawet twój ojciec nie będzie wiecznie służył w legionach. Co będziesz robić? Nie wydaje mi się, żeby cię satysfakcjonował los prostej żony żołnierza.

– Nie pamiętam już mamy, ale w układzie Romulusa były w obozie kobiety. Doglądanie dzieci, pieczenie chleba i pranie brudów dzień w dzień? – Spochmurniała. – Nie, to nie dla mnie.

– A więc? Do rzymskiej armii nie przyjmują kobiet, prawda?

– Nie wolno nam służyć w legionach ani w oddziałach piechoty, lecz jest mnóstwo rzeczy, które możemy robić. Administracja, szkolenie, logistyka. Najczęściej w dużych miastach, w wielkich centralnych ośrodkach wojskowych. Dla kobiet jest też miejsce nawet na linii frontu, nawet w jednostkach bojowych, mówię o zadaniach pomocniczych. Mogłabym również zostać ekspertem do spraw uzbrojenia. Potem szkolić innych.

– Lub zostać *medicusem*. Potrzebują takich na wojnie. Może powinnaś porozmawiać z Michaelem…

I znów markotna mina.

– Może i byłaby ze mnie pielęgniarka. Nie jestem pewna, czy się nadaję do czegoś więcej… Umiem rozłożyć na części broń artylerii polowej, ale ranny legionista… Coś sobie znajdę.

– Na pewno…

W tym właśnie momencie rozbrzmiały trąbki alarmowe, wypełniając jazgotem wnętrze kadłubowca.

– Leż i nic nie rób, zaraz będzie po wszystkim – poradziła Klodia.

Unieruchomiona w fotelu Penny poczuła głuche drżenie przebiegające przez statek; wyłączono silniki ziarnowe. Równocześnie ucichł chór trzasków i dudnień, gdy znikło mordercze przeciążenie. Jej ciało nareszcie przestało odczuwać skutki przyśpieszenia.

– Uff… – westchnęła. – Czuję się, jakby twój ojciec siedział na mnie przez dwa dni i w końcu wstał.

Klodia z niecierpliwością rozpięła pasy, którymi była przytwierdzona do wózka, odsunęła od siebie elementy egzoszkieletu i z radosnym krzykiem uniosła się w powietrze.

– Uwielbiam tę chwilę!

– Jak długo byłyśmy…?

– Pięćdziesiąt godzin. Dwadzieścia pięć z przyśpieszeniem trzech ciężarów, potem zwrot i tyle samo hamowania. Przed nami Mars, szybko poszło. Prędzej nie mogliśmy tu przylecieć. Rzymskie statki mają najlepsze osiągi na świecie, a *trierarchus* wyciska z naszego siódme poty.

– Nie wątpię w to, dziecko. Mimo wszystko może być już za późno. – Penny próbowała wyswobodzić się z kokonu koców i poduszek niczym podstarzały motyl. – Pomożesz mi wyjść z tego?

Klodia zawisła nad nią, niezdecydowana.

– Jeśli nie zatrzymam cię tutaj, dopóki nie zostaniesz zbadana przez *medicusa*, każą mi wracać na Terrę piechotą…

Upłynęła godzina, zanim Penny, kipiąc ze złości, została w końcu wpuszczona na mostek kapitański.

Za panoramicznymi oknami znów zobaczyła ogromną tarczę Marsa – jakby pokrytą tynkiem w odcieniach brązu i pomarańczu, poranioną kraterami i suchymi wąwozami. W promieniach słońca wstęgi kanałów połyskiwały srebrzyście.

Gdy zjawiła się na miejscu, trwała już swego rodzaju narada wojenna z udziałem Kwintusa, jego zastępcy Gneusza, *trierarchus* Moveny, a ponadto Stef, Beth, Mardiny, Ariego Guthfrithsona, Kerys i ColU, którego nosił na plecach Chu Yuen. Stef zaledwie rzuciła okiem w jej stronę. Wszyscy wyglądali na zmęczonych: blada cera, oczy opuchnięte. W zatłoczonym pomieszczeniu unosił się nikły odór przepoconych ciał, aczkolwiek, pomyślała Penny, zapewne nikt się nie kąpał w tych dniach. I nie wszyscy, w odróżnieniu od niej, otrzymali wszechstronną pomoc medyczną.

Był tu również Jiang. On też wydawał się półżywy. Pomimo to, trzymając się poręczy dla zachowania równowagi w powietrzu, ujął jej dłoń.

– Znowu Mars – powiedział. – Tutaj się poznaliśmy.

– Tak. Dawno temu na konferencji w Obelisku, gdzie przedstawiciele ONZ-etu rozmawiali

z Chińczykami.

– Niezależnie od tego, co nas spotyka, Mars pozostaje wciąż ten sam.

Kwintus Fabiusz odwrócił się do niej.

– Mars może i nie zmienił się bardzo, ale to nie potrwa długo. Spójrz na to. – Pokazał jej kawałek czarnego nieba nad zachodnim obrębem planety. I błyszczącą gwiazdę.

– Ceres – stwierdziła cicho Penny.

– Zgadza się, Höd.

– Blisko? Ta bryła wydaje się tak duża, że za chwilę chyba zobaczymy tarczę.

– Penny – odezwała się Stef – nie chcieliśmy cię niepokoić nowymi doniesieniami. Mieliśmy nadzieję, że będziesz spała w podróży…

– Przestań już, nie potrzebuję twojego niańczenia!

– Höd jest większy niż Wenus widziana z Terry – rzekł Kwintus. – Tak twierdzą moi arabscy obserwatorzy.

Penny próbowała dokonać w głowie obliczeń.

– W takim razie musi być… hm… kilka milionów kilometrów stąd?

– Raczej mniej – odparła Stef. – Ceres ma za sobą okresy potężnych przyśpieszeń. Podejrzewamy, że Earthshine kazał przeznaczyć część materiału planetoidy na paliwo do silników odrzutowych. Nasi obserwatorzy obliczyli nową trajektorię.

Podsumowanie tego, co powiedziała, Penny ujrzała na jej twarzy.

– Boże…

Stef odetchnęła głęboko.

– Ceres uderzy w Marsa. To potwierdzona informacja. Prawdopodobnie Earthshine planował to od samego początku.

Kwintus wściekał się, jakby była to zdrada wymierzona przeciwko niemu.

– Ale dlaczego!?

– Na razie nie wiemy – odpowiedziała Stef.

Penny spojrzała na siostrę.

– Ile czasu zostało?

– Według obliczeń Arabów dwanaście godzin. Najwyżej.

– Tak mało? Cóż, wobec tego musimy się śpieszyć, jeśli chcemy powstrzymać Earthshine’a.

Kwintus pokiwał głową z ponurą miną.

– Nie mamy wyboru. Tak wielkie przedsięwzięcie, wytrącenie z kolein ciała kosmicznego, może spowodować wyłącznie katastrofę, a nawet przyczynić się do wybuchu wojny. Musimy temu zapobiec. Ale z pewnością napotkamy opór.

– W takim razie cieszę się – powiedziała ironicznie Penny – że mamy na statku pełno legionistów. Ustalmy jakiś plan.

Gdy żołnierze wdali się w rozmowę o taktyce i awaryjnych rozwiązaniach, zegar w głowie Penny rozpoczął dramatyczne odliczanie.

Dwanaście godzin, z każdą chwilą mniej.

Rozdział 27

Za usilną namową Michaela Penny zgodziła się odpocząć, co Stef przyjęła z ulgą.

– I dopilnujcie, żeby się porządnie zapięła! – zawołał centurion, gdy wyprowadzano ją z mostka. – Mogą nam jeszcze dokuczyć niemałe przeciążenia, nim ta przygoda się skończy.

– Jak sobie życzysz, centurionie.

Pozostali przystąpili do przeglądania zdjęć, które przedstawiały rozkład naziemnej bazy Earthshine'a, niedawno wybudowanej na obszarze Terry Cimmerii. Były to wielkoformatowe fotografie, ziarniste wytwory rozpowszechnionej wśród Rzymian i Brykantów techniki kliszowej, wystarczające jednak, zdaniem Stef, by rozeznać się w sytuacji. Dostrzegła trzy niezbyt oddalone od siebie skupiska zabudowań. W nieco większej odległości widać było obszary spalonej ziemi, gdzie wierzchnia warstwa gruntu została całkowicie stopiona: ślady po wielu lądowaniach statków z napędem ziarnowym.

– Pułkownik Kalinski – zwrócił się do niej Kwintus – od pewnego czasu, właściwie od lat, odkąd Earthshine rozkręcił swoje przedsięwzięcie, wykonujemy zwiady na tym terenie. Jednak cenimy sobie twoje spostrzeżenia. Dokładnie w tej lokalizacji w twoim dawnym świecie Zynowie, jak mówiłaś, wybudowali swoją marsjańską stolicę.

– Owszem, w samym sercu wyżyny, którą nazywaliśmy Terrą Cimmerią.

– I pewnie dlatego Earthshine wybrał to miejsce – odezwał się ColU z plecaka Chu. – Dla niego ta zbieżność ma kluczowe znaczenie. Wszystko, co robi, wynika ze świadomości istnienia alternatywnych rzeczywistości. I dlatego właśnie położenie stolicy, którą nazwano Obeliskiem dla uczczenia najbardziej okazałego budynku w mieście, powinno być widoczne… Wskaż, Chu Yuenie, trochę w lewo… i w dół… O, tutaj.

Niewolnik był dobrze zgrany ze swoim panem, którego nosił na plecach. Dźgnął palcem zdjęcie jednego z trzech skupisk kopulastych budynków.

Stef przyjrzała się uważnie.

– Widzę wyraźną pręgę na ziemi. Zaraz, gdzie Słońce? To chyba cień rzucany przez coś bardzo wysokiego…

– Drzewo – orzekł ColU. – Nie obelisk, lecz drzewo. Wyhodowane na wysokość około czterystu metrów, czyli trzy razy większą od teoretycznie maksymalnej wysokości na Terze. Rozmiary drzewa są ograniczone koniecznością dostarczania wody liściom rosnącym na górnych gałęziach…

– Ale na Marsie – wtrąciła Stef – gdzie siła ciążenia jest trzy razy mniejsza, może urosnąć znacznie większe drzewo. To, które widzimy, musiało mieć przyśpieszoną wegetację.

– Na pewno. Earthshine przebywa na Marsie już trochę czasu, ale znowu nie aż tak długo. To drzewo nie tylko ma przyśpieszoną wegetację, lecz musi być zamknięte w jakimś kloszu, w którym jest powietrze i panuje odpowiednia wilgotność. Na razie dysponujemy zbyt słabymi zdjęciami, żeby określić gatunek. Imponujące dokonanie.

Beth pochyliła się, żeby lepiej widzieć. Razem z córką mało co mówiła od czasu krótkiej wizyty Penny. Tylko Ari zachowywał się ciszej: nie wypowiedział dosłownie ani jednego słowa.

– Tylko na co Earthshine'owi drzewo na Marsie? – zapytała tym razem Beth. – Do niczego tu nie pasuje.

– Ono jest dla jego sprzymierzeńców – stwierdziła z posępną miną Kerys. *Nauarchus* podczas podróży rzymskim statkiem też odzywała się rzadko, choć pilnie słuchała i patrzyła, układając sobie wszystko w głowie. Wskazała inny cień na powierzchni Marsa, blisko drugiego skupiska budynków na północ od drzewa. – To statek, „Celyn", okręt brykanckiej Floty. Earthshine ma na dole wsparcie co najmniej jednego okrętu i myślę, że większość z nich to jednostki brykanckie. – Zmierzyła Kwintusa wyzywającym spojrzeniem. – Nie mamy czasu na wzajemne oskarżenia. To właśnie okręt brykancki, mój okręt, nieświadomie zabrał na pokład tego potwora. Teraz wiem, że należało wywalić skrzynie, które zapewniają mu istnienie, w przestrzeń Czaszki Ymira! Oszczędzając, oczywiście, pozostałych pasażerów.

– Wielkie dzięki – powiedziała z przekąsem Beth.

– Było do przewidzenia, że nim zacznie wprowadzać w życie plany eksploatacji innych światów, będzie zabiegał o poparcie brykanckiego rządu. Sądziliśmy, że zapanujemy nad sytuacją, że zapanujemy nad nim.

– Widać byliście w błędzie – rzekł Kwintus.

– W pierwszej kolejności przeciągnął na swoją stronę załogi statków, które wysłaliśmy mu z pomocą. Przekonał ich, żeby zdradzili swój naród w pogoni za władzą i bogactwem… pod jego rządami. Przypuszczamy, że tak właśnie się stało. Ale to są Brykanci.

– Aha – powiedziała Stef. – Trochę o tym czytałam w czasie podróży do domu. Zgodnie z tradycją dla *druidhów* drzewo jest świętym symbolem.

– Nie wiem, jakie projekty tam realizują – przemówił wreszcie Ari – ale musiała ich ucieszyć perspektywa wyhodowania jedynego drzewa na Marsie, z całą pewnością największego, jakiego nie uświadczy się nigdzie na Ziemi. Nawet chrześcijanie szanują ten symbol. Wy, Rzymianie, przybiliście Chrystusa do drewnianego krzyża, a Jego krew zasiliła korzenie Yggdrasila, Drzewa Świata, które…

– Dobrze, dobrze – przerwał mu Kwintus, zniecierpliwiony. – Też sobie znalazłeś czas na lekcje historii, *druidzie*. A więc co my tu mamy, święte drzewo, tak? Wokół niego zaś kompleks przykrytych kopułami habitatów, w których mieszczą się, jak nam się wydaje, kwatery popleczników Earthshine'a. Przynajmniej w wielu z nich, bo muszą być jeszcze magazyny, warsztaty. Na północ od drzewa, w stosunkowo bezpiecznej odległości, widać okręt „Celyn" i stacje serwisowe do obsługi jednostek z napędem ziarnowym. Jest miejsce dla innych statków. Od kilku lat obserwujemy ruch wahadłowy między Marsem a Hödem.

– Zmiennicy – powiedziała Kerys. – Na Hödzie pracują ekipy zajmujące się zespołami ziaren. Wygląda na to, że mniej więcej co miesiąc na miejsce jednych przylatują drudzy.

– Podejrzewamy – dodał Kwintus – że sam Earthshine, a przynajmniej wspomagająca go aparatura, znajduje się tutaj. – Wskazał trzeci kompleks budynków.

Stef pochyliła się nad zdjęciami, przeklinając w duchu starcze osłabienie wzroku.

– Tu również są kopuły – zauważyła – lecz pośrodku znajduje się jakaś płyta w kształcie krzywego prostokąta.

– Pancerny bunkier według znanego nam wzoru – rzekł Kwintus. – Wytrzymały na ostrzał artylerii naziemnej, a nawet uderzenia kamieni miotanych z orbity, chyba że spadłaby skała zdolna rozbić całą bazę. Earthshine z pewnością zainstalował się na dużej głębokości.

Stef prychnęła.

– To do niego podobne. Lubi chować się w dziurach podobnych do ziemskich bunkrów, w których mieszkał z braćmi, rdzeniowymi jednostkami sztucznej inteligencji, jak kryjówka w podziemiach Paryża, jak wielki szyb w Hellas…

– Ale przecież w planetę uderzy Ceres – przypomniała im Beth. – Nie wierzę, że będzie czekał, aż to się stanie. Cokolwiek robi, postara się przetrwać. Tak samo jak zwiał z Ziemi przed uderzeniem Igły.

– Właśnie – zgodziła się Stef. – A skoro Ceres wejdzie w atmosferę w ciągu dwunastu godzin, będzie mógł zabrać go stąd jedynie ten statek, „Celyn".

– No dobrze – powiedział Kwintus. – Tak wygląda sytuacja w terenie. Potrzebny mi teraz plan taktyczny. Zniszczenie wszystkiego byłoby dziecinnie proste. Moglibyśmy bluznąć ogniem silników ziarnowych i stopić wszystko aż do marsjańskiego piachu.

– Tylko że nie przylecieliśmy tutaj niszczyć – odezwał się ColU. – Musimy dostać się do Earthshine'a. Naszym celem jest zmiana trajektorii Ceres, jeśli to jeszcze możliwe.

– Wiedzą to również nasi wrogowie – rzekł Kwintus. – Będą czekać z nadzieją, że podejdziemy do tego spokojnie, może spróbujemy wylądować. Kto wie, czy nie posiadają

pocisków rakietowych, nawet z napędem ziarnowym, którymi mogliby zestrzelić nas z bliższej odległości. Z reguły w ten sposób zabezpieczane są wielkie miasta na Terze…

– Niekoniecznie – wtrąciła Movena, *trierarchus* centuriona. – Po przeskanowaniu okolicy nie zauważyliśmy śladów wyrzutni rakietowych. Pod bunkrem Earthshine'a znajdują się ziarna, owszem, lecz w nieznanej nam konfiguracji. Z pewnością nie zostaną wykorzystane jako broń.

– Ta rozmowa prowadzi donikąd. – Ari Guthfrithson wysunął się naprzód zimny, opanowany. – Trzeba określić cel i obmyślić kolejne kroki. Musimy dotrzeć do Earthshine'a i przekonać go do zmiany kursu Höda, jeśli to możliwe. A więc dobrze. Sprowadziliście tu moją rodzinę…

– Nie jesteśmy rodziną – burknęła Beth.

Mardina chwyciła ją mocno za rękę.

Ari nie zwracał na nią uwagi. Postukał palcem w zdjęcie bunkra.

– Musicie nas tu wysadzić. Naszą trójkę: matkę, ojca i córkę. Czyli jego wnuczkę i prawnuczkę. Oraz maszynę rolniczą, mechaniczny umysł zdolny porozumieć się z drugim takim.

– Dziękuję, że o mnie pomyślałeś – rzucił ironicznie ColU.

– Earthshine zabierze nas do swojego bunkra. Już raz cię uratował, Beth, wiesz o tym, kiedy umożliwił ci ucieczkę na pokładzie „Tatanii" przed piekłem na Ziemi. Dziś uratuje cię po raz drugi. Bo słusznie twierdzisz, że kres istnienia nie leży w jego interesie. I gdziekolwiek się uda, zabierze nas ze sobą.

– A gdy już tam będziecie? – dopytywał się Kwintus.

– Spróbujemy wyperswadować mu jego pomysły. Wszystko to pod warunkiem, że bez przeszkód dostaniemy się do bunkra.

Centurion pokiwał głową.

– Mamy jachty. Możemy was tam wysadzić. Ale wcześniej musimy odciągnąć trzon jego obrony. Posiadamy *testudo*, które może narozrabiać w bazie… – Szarpał wargę. – Wojsko Earthshine'a na pewno dobrze się okopało.

– Ale to są Brykanci, moi rodacy – powiedziała z uśmiechem Movena. – Znam ich sposób myślenia. I chyba mam pomysł, jak odwrócić ich uwagę.

– Tak? Jaki?

– Muszą ochraniać dwa obiekty spośród trzech: platformę startową i bunkier. Zaatakujmy trzeci.

Kwintus się rozpromienił.

– No tak, wielkie drzewo. Brykanci pobiegną walczyć w jego obronie. Zabobonni barbarzyńcy.

Udając, że to jej nie obraziło, Kerys pokręciła głową.

– To ograna sztuczka – stwierdziła. – Musimy mieć coś więcej, jakiś plan awaryjny. Nawet jeśli nasi wysłannicy przedostaną się do Earthshine'a, nie ma gwarancji, że zostaną wysłuchani. Wymyślmy inny sposób, żeby zatrzymać Höda.

– Na przykład jaki? – zapytał Kwintus. – Na Hödzie stacjonuje wojsko. Na pewno stanie do walki i będzie się bronić do ostatniej kropli krwi. Jeśli „Malleus" spróbuje się zbliżyć, rozwalą nas w drobny mak. Staną na rzęsach, żeby nas zestrzelić.

– To prawda, więc nie zbliżymy się „Malleusem". Przynajmniej nie ja.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Ano to, że dobiorę sobie małą załogę, doświadczonych Brykantów, powinny wystarczyć dwie osoby. I przejmę ten statek na lądowisku. „Celyn" to okręt tej samej klasy co „Ukelwydd": poprzedni, którym dowodziłam. Mogłabym latać nim z zamkniętymi oczami. „Celyn" przestanie być zagrożeniem dla „Malleusa", a to już coś. I może będziemy alternatywą, gdy zawiodą argumenty słowne. Najzwyczajniej polecę na Höda, który akurat pędzi w naszą stronę, gdzie posłużę się przejętymi na statku kodami łączności lub swoim stopniem wojskowym, żeby uśpić ich czujność. A wtedy…

Kwintus ściągnął brwi.

– Co wtedy?

– Nie wiem. Będę improwizować. Inżynierowie na Hödzie muszą mieć dostęp do jakiegoś programu wstrzymania procedury.

– Nie stawiałbym na to – mruknął ColU.

– Jeżeli nie, wymyślimy coś innego.

Movena kiwała głową z animuszem.

– Szanse marne, ale lepsze takie niż żadne – stwierdziła.

– Jeśli wysadzicie mnie za widnokręgiem, patrząc z bazy, może podczas tego samego przelotu, kiedy zostawicie pod bunkrem Beth i jej towarzyszy…

– Beth, jej towarzyszy i mnie! – rozległ się czyjś głos. Drżący, lecz stanowczy.

Stef odwróciła się i ze zgrozą dostrzegła w drzwiach Penny, która uczepiła się poręczy szponiastą ręką, otoczona chmurą siwych włosów.

– Penny, wracaj na fotel.

– Nie zamierzam! Zresztą nie będę się przed tobą tłumaczyć, nawet jeśli kiedyś tak było. Słuchajcie, nikt z was nie zna Earthshine'a tak dobrze jak ja. Można powiedzieć, że był taki czas, kiedy się kolegowaliśmy, a i tutaj, po tej stronie rozjazdu Jonbara, umiałam się z nim dogadać. Posadźcie mnie na Marsie w wózku inwalidzkim, choćby i w worze ciśnieniowym,

a na pewno się przydam. – Uśmiechnęła się blado. – Przynajmniej odwrócę jego uwagę. Taki manewr taktyczny. – Spojrzała hardo na siostrę. – Chyba nie masz żadnych konkretnych zastrzeżeń?

W Stef narastała złość.

– I tak nigdy nie byłaś częścią mojego życia. Nic nie stracę, jeśli teraz odejdziesz.

Kwintus uniósł dłonie.

– Nie pora na kłótnie. Mamy plan i lepszego mieć nie będziemy. Przygotujcie się do wysiadki za… – Popatrzył na Kerys.

– …godzinę – oznajmiła.

– A więc za godzinę. – Ogarnął ich wszystkich spojrzeniem. – Zapewne już nigdy nie spotkamy się w tym samym gronie. Możliwe, że niektórzy nie dożyją jutra. Jeśli wierzycie w Jesu, niech będzie po waszej stronie. – Zaklaskał w dłonie, kończąc naradę. – Do roboty!

Rozdział 28

„Malleus Jesu” wdarł się w atmosferę Marsa na sześć godzin przed spodziewaną kolizją z Ceres. Niczym rzymski *gladio* rozrywający trzewia barbarzyńcy, jak triumfalnie zakrzyknął Tytus Waleriusz.

Gneusz Juniusz wraz z ośmioosobowym *contubernium* pod dowództwem Tytusa ukrywał się już we wnętrzu grubo opancerzonego *testuda*. Trzymając się kurczowo pasów fotela, próbował wbić się głębiej w wyścielane siedzenie i jednocześnie powtarzał sobie, że w obecnych okolicznościach nigdzie nie będzie bezpieczniejszy niż w swoim wzmacnianym skafandrze ciśnieniowym, zakopany w fotelu wewnątrz opancerzonego pojazdu wygodnie ulokowanego w ładowni „Malleusa”, silnego jak pięść statku z napędem ziarnowym. Gneusz siedział owinięty warstwami wyściółki, pancerza i płytowego kadłuba niby cenny prezent przygotowany do wysłania faworyzowanemu synowi cesarza.

Tym razem dostarczenie prezentu odbywało się z zawrotną prędkością w rozrzedzonym marsjańskim powietrzu. Początkowo statek był zwrócony rufą do powierzchni planety, ażeby buchające żarem ziarna wyhamowały go z prędkości międzyplanetarnej. Gneusz mógł się tylko modlić, żeby gruby kadłub, który złuszczał się warstwa po warstwie dla pozbycia się nadmiaru ciepła, wytrzymał jeszcze trochę i w czasie tych niemiłosiernie długich sekund wejścia w atmosferę nie dopuścił do rozpadnięcia się statku.

Przed sobą widział w fotelach żołnierzy z *contubernium*; odwróceni do niego plecami, zmagali się z przeciążeniem. Zasadniczo mianem *contubernium* określano mieszkańców namiotu, wyodrębnioną w legionie jednostkę złożoną z osób, które na co dzień przebywały ze sobą, razem odbywały ćwiczenia i razem walczyły. Wydawali się zrelaksowani. Jeden z nich, Marek Winiusz, chyba nawet spał. W czasie szkoleń doświadczali gorszych rzeczy, jak zapewnił go Tytus.

Ale nie on, Gneusz. Pochodził z senatorskiego rodu, toteż czas spędzony w armii i wypady w kosmos miały być dla niego jedynie odskocznią dla czegoś poważniejszego, kilkuletnim hartowaniem przed powrotem do sfer wielkiej polityki, najlepiej w stolicy. Jego niechętny udział w międzygwiezdnej wyprawie do układu Remusa-Romulusa z jednej strony uchronił go od kłopotów z wojowniczymi barbarzyńcami w Walhalli, z drugiej jednak – przez dwadzieścia pięć lat – trzymał go z dala od Rzymu. W tym czasie do gry o nobilitowane stanowiska włączyło się kolejne pokolenie przedsiębiorczych nowicjuszy – cała ferajna osób nie mniej ambitnych

i błyskotliwych niż on, ale też dobrze zorientowanych w kwestiach bieżących intryg i przepychanek na cesarskim dworze.

A teraz jeszcze to. Atak na planetę zawłaszczoną przez obłąkaną maszynę, i to w chwili, gdy miało runąć niebo. Planując karierę, Gneusz nie wyobrażał sobie takich przygód.

Ujemne przyśpieszenie oddziaływało na niego z brutalną siłą. Z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi zębami zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej, gdyby statek rozleciał się w powietrzu i położył kres jego męczarniom. W rzeczywistości jednak nie chciał tego, nawet w najgorszych chwilach. Bądź co bądź, spełniał swoją żołnierską powinność.

I nagle, jakby ktoś użył wyłącznika, wartość przyśpieszenia zbliżyła się do zera. Siła bezwładności wcisnęła w pasy Gneusza i jego żołądek w końcu się zbuntował. Z ust wypłynęły mu resztki ryby, którą jadł z chlebem na śniadanie.

Tytus ze śmiechem poklepał go po plecach.

– Nie martw się, *optio*, każdemu się zdarza. Zresztą nikt nie widział, żeby nasz *optio* wypluwał z siebie flaki jak mała dziewczynka. Prawda, chłopaki?

– Ja nie, Tytusie Waleriuszu.

– Czekajcie, obudzę Marka Winiusza. Chcę się upewnić, że on też nic nie widział…

– Dobrze, dobrze. – Gneusz chciał czym prędzej wybrnąć z tej wstydliwej sytuacji. – Lepiej przygotujcie się do lądowania… Uuu…

„Malleus” znienacka odbił w prawo i gwałtownie przyśpieszył.

– Tak się właśnie dzieje, kiedy pilotujesz statek w atmosferze – skomentował Tytus. – Walczysz z turbulencjami, gęstniejącym powietrzem i pyłem, którego pełno wokół Marsa. Do tego robisz wszystko, żeby barbarzyńcy na powierzchni planety cię nie zestrzelili. Ale nie martw się, *optio*. Zdaj się na *trierarchusa* i jej załogę. Brykanci potrafią zapanować nad statkiem.

Gneusz prychnął.

– Niestety, druga banda Brykantów próbuje nas zabić.

– Tym akurat też bym się nie martwił. Jeśli w nas trafią, nie zdążymy nic poczuć.

– W kółko mi powtarzasz, legionisto, żebym się nie martwił. Tylko napędzasz mi strachu…

– Bądź spokojny. Pamiętam taką kampanię…

– Do wszystkich – wydobył się z głośników trzeszczący głos. – Tu Kwintus Fabiusz. Znajdujemy się nad bazą Earthshine’a gotowi do zrzutu w zaplanowanych odstępach czasu. Czekajcie w gotowości, bo będziemy mieli tylko jedno podejście, zanim „Malleus” zabierze mnie z powrotem na bezpieczną orbitę, gdzie moje miejsce. Meldujcie. Jacht?

– Eilidh z tej strony, centurionie. Jesteśmy w gotowości. Wszyscy wraz z Koliuszem.

– Czekajcie na sygnał i powodzenia. Skoczkowie?

– Kerys z tej strony. Wszystko dopięte, centurionie. Skafandry i skrzydła sprawdzone.

– Cieszę się. *Testudo*?

Odpowiedzią był ryk żołnierzy z *contubernium*, szczęk broni i napierśników. W zamkniętej przestrzeni zgiełk był przeogromny.

– Bierzmy się za nich, centurionie! – zawołał Tytus Waleriusz.

– Nie ekscytuj się nadmiernie, to niebezpieczne w twoim wieku. Słuchajcie mnie wszyscy. Pamiętajcie, żeby utrzymywać kontakt w trakcie operacji. Ta bryła lodu znajduje się najwyżej sześć godzin od nas. Ale dopóki będziecie żyć, nie zostaniecie bez wsparcia, obiecuję! Zrozumieliście mnie?

Żołnierze z *contubernium* wrzasnęli na znak zgody.

– W takim razie do dzieła. Jacht, w drogę!

„Malleusem” wstrząsnęło, gdy w podwoziu z hukiem otworzyły się wrota. Kiedy niewielki lądownik oderwał się od statku, Gneusz wyobraził sobie, jak marsjańskie powietrze próbuje wedrzeć się do wnętrza przez powstały otwór.

– Skoczkowie!

Agresywnie przyhamowali, aby ułatwić śmiałkom skok w strumień aerodynamiczny statku.

– *Testudo*!

Gneusz kurczowo chwycił się pasów, zbierając siły. W podwoziu statku otworzyły się drugie wrota, tym razem dokładnie pod nimi. Spoglądając przez wąskie szpary okien, w złocistobrązowym marsjańskim świetle Gneusz ujrzał krajobraz przemykający w dole – wcale nie tak daleko.

Żołnierze w ustawionych rzędami fotelach ryknęli, Tytus dodał gazu z dzikim wrzaskiem.

Szczęknęły zwalniane zaczepy mocujące i *testudo* oderwało się od podwozia statku. Przez chwilę Gneusz przebywał w stanie nieważkości, mogąc wspominać bezkresną kosmiczną otchłań. Podczas spadania milczeli nawet legioniści.

Wreszcie pojazd grzmotnął o ziemię i w okamgnieniu powróciła siła ciężkości. Gdy wielkie siatkowe koła zetknęły się z gruntem, *testudo* wyrwało do przodu. Plecy Gneusza znów wbiły się w fotel.

Spoglądając nad ramieniem Tytusa i pulpitem sterowania przez wąskie okno zabezpieczone od zewnątrz grubą kratą, Gneusz zauważył ginący w oddali blask silników „Malleusa” oraz niewiarygodnie wysokie drzewo, które rysowało się na pomarańczowym tle nieba.

Kerys wyfrunęła przez otwartą gródź w burcie „Malleusa”.

Trach!

Choć na niskim pułapie atmosfera wciąż była rozrzedzona, tak nagłe znalezienie się

w powietrzu w samym tylko skafandrze ciśnieniowym niewiele się różniło od uderzenia o ścianę. O gogle ocierał się z chrzęstem szorstki pył.

Z każdą chwilą leciała wolniej, nadal zwinięta w kłębek. Celowo ułożyła tak ciało w chwili skoku, aby nie doznać obrażeń ze strony przelatującego tuż obok „Malleusa”. Gdy zaczął cichnąć ryk silników i kątem oka dostrzegła oddalające się światło, rozłożyła szeroko nogi i ramiona, żeby powietrze porwało ją i ustabilizowało jej lot. To ją wyraźnie wyhamowało i od tej pory spadała w sposób bardziej kontrolowany, mając nad sobą maślane niebo, pod spodem zaś rozpadliny wśród rdzawych pejzaży; nisko nad horyzontem wisiało blade słońce. W dole wypatrzyła bazę Earthshine’a, trzy kompleksy połączone szarymi wyjeżdżonymi drogami, dokładnie jak na zdjęciach Kwintusa. Znajdował się tam bunkier, interesujący ją statek z napędem ziarnowym tudzież niebywale wysokie drzewo w wąskiej powietrznej osłonie. A więc trafiła w cel.

U szczytu nieba, niczym gwiazda jaśniejsza od Słońca, znajdował się błyszczący punkt światła: Höd śpieszący ku zgubnemu spotkaniu z planetą. Na moment oślepiona, Kerys odwróciła wzrok, mrugając powiekami.

W odpowiednim czasie zdarła z piersi skórzane przykrycie, spod którego wydostały się linki. Poczuła, jak na jej plecach rozwijają się zwoje tkaniny. Zebrała się w sobie, krzyżując ręce na piersi. Kiedy skrzydła nabrały powietrza, gwałtownie zwolniła. Poczuła silne szarpnięcie, a wraz z nim tak dokuczliwy ucisk w żołądku, że aż jęknęła. Niedogodności szybko ustąpiły, a gdy spojrzała w górę, zobaczyła szeroko rozpostarte skrzydła. Wykonane z garbowanej skóry usztywnionej drewnianymi prętami, odwzorowywały kształt skrzydeł ptaków morskich takich jak albatrosy, aczkolwiek jej egzemplarz został przystosowany do marsjańskiego powietrza i był znacznie większy niż ten, którego używałaby na Terze.

I otworzyły się bez problemu, co przyjęła z wielką satysfakcją. Na razie nic jej nie groziło – przynajmniej dopóki ze swoją jedyną towarzyszką, Freydis, pełniącą funkcję *remexa*, nie wyruszy w stronę Höda. O ile nic ich nie zatrzyma…

Zaledwie pomyślała o Freydis, przechylona na bok szerokoskrzydła postać przesunęła się w jej polu widzenia, a z głośniczków w zamkniętym hełmie doleciały trzaski.

– Juhuuuu!

– Nie popisuj się, Freydis.

– Przepraszam, nauarchusie, ale czy to nie cudowne? Latamy nad Marsem!

Kerys nie chciała psuć jej humoru, lecz nie mogła powstrzymać się od westchnięcia.

– Gdybym miała trzydzieści lat jak ty i na tyle wytrzymałe ciało, żeby w momencie otwierania

się skrzydeł nie wywróciło mi się wszystko w brzuchu, no i gdybym była niedoświadczoną idiotką… wtedy owszem, Freydis, zachwycałabym się lataniem.

– Przepraszam. – Freydis prędko ochłonęła.

Kerys zerknęła w dół i zmieniła ustawienie skrzydeł, kierując się wprost ku platformie startowej, na której stał walcowaty „Celyn”. Dostrzegła również ciemne punkciki, zapewne strażników i członków załogi czekających na nią, aż wyląduje.

– Znasz plan – zwróciła się znowu do Freydis. – Mamy sygnalizatory identyfikacyjne, dzięki którym poznają, że jesteśmy wysłanniczkami z głównej kwatery Floty w Dumnonie. Przynosimy uaktualnione rozkazy dla dowódcy statku. Pamiętasz? Oczywiście nie zastosują się do żadnych rozkazów, ale jeśli dopisze nam szczęście, blef ich na chwilę zdezorientuje i może zdążymy wylądować, zanim zaczną strzelać. Nic nie rób i nic nie mów, bo nas zdemaskują. Po prostu bądź ze mną.

– Rozumiem.

Kerys skierowała na nią spojrzenie.

– A więc jesteś gotowa? Wybrałam ciebie, bo moim zdaniem spośród całej załogi ty się najbardziej nadajesz. Imponują mi twoje zdolności pilotażowe w połączeniu z niezależnym myśleniem. I wiem, że uczyłaś się w Akademii św. Jonbara. Masz wiedzę na temat tych ludzi, ich dziwnego pochodzenia i niezwykłej natury tego całego Earthshine’a.

– Pewnie taką, jak każdy z moją stawką zaszeregowania, nauarchusie.

Kerys parsknęła śmiechem. Zaraz jednak popatrzyła na uzbrojonych po zęby żołnierzy, czekających nieufnie, żeby je przywitać, a potem na groźnie wyglądającą planetoidę zdolną stopić ten świat w żużel. Ogarnęła myślą nieprawdopodobną sekwencję zdarzeń, które musiałyby nastąpić, aby ta bystra, pełna wigoru kobieta miała dożyć następnego dnia – a wszystko z powodu jej szalonego planu.

– Nauarchusie! Żołnierze! Już nie interesują się nami! Patrz, odwracają się w drugą stronę. I biegną… tylko dokąd? W kierunku nowego punktu zbiórki na południe stąd.

Kerys skręciła skrzydła i obróciła się w powietrzu, żeby lepiej widzieć. Zauważyła poruszający się z hukiem naziemny pojazd okryty czarnym pancerzem, za którym wzbiła się chmura marsjańskiego pyłu. W rozrzedzonym powietrzu łopotał proporzec Legio XC Victrix. Pojazd zmierzał do południowego kompleksu, gdzie rosło gigantyczne drzewo.

– To *testudo*! Udało się im. – Odruchowo uniosła pięść, nie przejmując się tym, czy ktoś ją z dołu zobaczy. – Na nich, paskudne rzymskie gęby! Na nich!

Testudo pędziło przed siebie w podskokach i Gneusz musiał trzymać się skraju fotela. Jechali

jedną z wytyczonych przez Brykantów bitych dróg, które nie umywały się do dróg rzymskich, więc nie należało tu rozwijać zawrotnych prędkości.

Gneusz popatrywał na pień potężnego drzewa, podziwiając zieleń liści – soczystą w świetle marsjańskiego dnia mimo obecności powietrznego namiotu, którym była otulona cała olbrzymia roślina. Sam namiot miał kształt cylindryczny, mgliście widoczny z powodu osadzającej się na nim warstewki kurzu. Pojazd znajdował się już tak blisko, że Gneusz nie dostrzegał gałęzi w koronie drzewa.

– Co za wariactwo! – stwierdził Waleriusz z rękami na drążkach sterowniczych szarżującego *testuda*.

– Pół mili wysokości, Tytusie Waleriuszu. To biologiczny fenomen, cud ludzkiej inżynierii.

Tytus prychnął z dezaprobatą.

– Biologiczny fenomen, do którego Brykanci na czele z ich *druidhem* przybiliby nas gwoździami, gdyby tylko dać im sposobność. A co do wielkości drzewa, to obmierzymy je krokami, gdy zostanie zrąbane.

– Czy to aby nie zbrodnia?

– Moim zdaniem wszystkie działania rzymskich wojsk wyglądają na zbrodnie w oczach tych, którzy dostają od nas łupnia. Dobra, chłopaki! – rzucił przez ramię. – Budźcie się i szykujcie do roboty. Przewracamy ten wybryk natury, a potem wyłazimy z puchy i łoimy Brykantów!

– Łoimy, Tytusie Waleriuszu!

– Tylko się za bardzo nie podniecaj, Skorpusie. A teraz stulcie pyski i dajcie mi się skupić na tym przeklętym drzewie!

Testudo przewoziło wyrzutnię rakiet; na przedniej szybie wyrysowany był prosty celownik. Gneusz wiedział, że Tytus musi jedynie ustawić krzyż celowniczy na pniu drzewa, które na szczęście stanowiło doskonale widoczny, pionowy cel. Gdy znaleźli się na stosunkowo równym fragmencie drogi i wstrząsy nieco zelżały, Tytus wreszcie odpalił rakietę.

Kiedy pociski wystrzeliły, rozległ się głośny brzęk i pojazd podskoczył. Żołnierze krzyknęli radośnie. Rakiety były napędzane jedynie zyńskim prochem – „ogniem życia” – z dodatkiem składnika utleniającego, mimo to w chwili odpalenia czuło się kopnięcie. Gneusz widział, jak pociski mkną przed siebie ku upatrzonej zdobyczy, a wystraszeni Brykanci uskakują na bok. Aż raptem osłona drzewa rozerwała się na tysiące wiotkich strzępów i ułamek sekundy później pociski ugodziły pień u jego podstawy, zaraz nad potężnym, rozbudowanym systemem korzeniowym. Dolne partie rośliny natychmiast stanęły w płomieniach, które strzelały na pięćdziesiąt metrów w górę. Zrazu nie było wiadomo, czy wyrządzone szkody bezpowrotnie zniszczą drzewo i Gneusz, który pomagał określić konieczną siłę ognia, odczuwał pewien

niepokój. Patrzył na brykanckich żołnierzy, którzy przystawali, odwracali się i ze zgrozą podnosili wzrok na drzewo.

Wtem górna część pnia wyraźnie się przekrzywiła i w rozrzedzonym powietrzu rozległ się głośny trzask.

– Ha! – ryknął Tytus. – Udało się, chłopaki! Przetrąciliśmy grzbiet ich bogu! Pora dać po łbie kilku Brykantom! – Szarpnął dźwigniami układu sterowniczego.

Pojazd stanął w poprzek i zahamował, wzbijając chmurę pyłu.

Duże drzwi otwarły się z hukiem, a żołnierze rozpięli sprzączki i w okamgnieniu wyskoczyli na zewnątrz – jak na szkoleniach. Momentalnie rzucili się na Brykantów, którzy nie zdążyli jeszcze uformować szyku i dopiero sięgali po broń.

Zanim Gneusz Juniusz w ślad za Tytusem wyszedł z *testuda*, rozgorzała walka. Ze wszystkich stron otaczali go bojownicy w solidnie opancerzonych skafandrach ciśnieniowych, niejednokrotnie posługujący się bronią, która byłaby za ciężka w warunkach grawitacji większej niż marsjańska. I wszyscy starali się dopaść Brykantów. Gneusz zauważył, że nikt nie używa balist – żadnej broni strzelającej przy użyciu ognia życia. Jedni i drudzy byli żołnierzami nawykłymi do walk w kosmosie, więc niechęć wobec posługiwania się tego rodzaju bronią w zdradliwych pozaziemskich warunkach musiała wryć się głęboko w ich świadomość. Zatem w ruch poszły miecze i *pugio*, toczyła się walka wręcz.

Gneusz doznał ulgi, widząc, że nie znajdują się na drodze przewracającego się drzewa, które wciąż się chyliło, niemalże z wdziękiem. Raz po raz rozdzierały powietrze odgłosy rwania i pękania, z kłębiącej się chmury kurzu wystrzeliwały kawałki kory i rozłupanego pnia, a nawet sypały się fragmenty zniszczonej osłony drzewa. Aż trudno było uwierzyć, że wszystko to służy wyłącznie odwróceniu uwagi, odciągnięciu żołnierzy przeciwnika od statku kosmicznego i bunkra Earthshine’a, prawdziwych celów operacji.

Wokół panował chaos, w którym Gneusz czuł się wspaniale. Z dzikim uniesieniem wyciągnął *gladio* i skoczył w wir walki.

Rozdział 29

Kiedy Kerys i Freydis sfrunęły na ziemię na skórzanych skrzydłach, straż przy „Celynie” pełniła tylko jedna kobieta.

Zaledwie wylądowała – zaledwie jej buty zachrzęściły na piaszczystym marsjańskim gruncie – Kerys zrzuciła z siebie skrzydła, które wolno oklapły w rozrzedzonym powietrzu. Zamaszystym krokiem ruszyła w stronę czekającej żołnierki… aczkolwiek w warunkach słabszej grawitacji nie sposób było wyniośle maszerować, co stanowiło odwieczny problem oficerów starających się wyglądać dostojnie. Można powiedzieć, że sunęła przed siebie z władczą miną.

Nie spuszczała wzroku ze strażniczki, która stała między nią a „Celynem”. Brykantka miała na sobie skafander ciśnieniowy powszechnie używany w siłach Floty i oficerskie szlify na ramionach. Patrząc na jej słabo widoczną twarz, można było poznać, że jest młoda, nawet młodsza od Freydis. I trzymała w ręku ciężką broń palną, którą opuściła na widok zbliżających się postaci.

Kerys podeszła na odległość kroku. Broń nawet nie drgnęła, choć lufa znalazła się tuż przy jej piersi. Strażniczka niezłomnie trwała na posterunku, choć w jej oczach malowały się obawy i niepewność. Kerys współczuła jej, czując również wstyd z powodu tego, co musiała zrobić.

Upewniła się, że młoda Brykantka widzi jej szlify i wie, że ma do czynienia z oficerem w stopniu nauarchusa. Następnie przełączyła komunikator na standardowy kanał i zapytała ostro:

– Jak się nazywasz?

– Z całym szacunkiem, ale to bez znaczenia, nauarchusie. Dostaliśmy… Dostałam rozkaz zabezpieczenia statku przed intruzami. A…

– Jak się nazywasz? – powtórzyła aksamitnym głosem Kerys. – Widzisz mój mundur. Nic złego się nie stanie, jeśli się przedstawisz.

– Gerloc – odpowiedziała w końcu. – Nazywam się Gerloc. Pochodzę z Atrebatu, które…

– Nie obchodzi mnie to, gdzie jest Atrebatu. No dobrze, Gerloc. Widzę, że jesteś *druidhem*.

– Tak. Mój stopień we Flocie i ranga *druidha*…

Kerys przerwała jej machnięciem ręki.

– Jesteś oficerem Floty, a to jest okręt Floty, tak?

– Tak, nauarchusie.

– I twierdzisz, że masz rozkaz zabezpieczyć statek przed intruzami?

– Tak, nauarchusie.

– No dobrze. – Kerys rozejrzała się z udawaną obojętnością… by nagle wrzasnąć dziewczynie prosto w twarz: – Czy ja wyglądam na intruza!?

– Nie! To znaczy tak, nauarchusie…

– Słyszałaś instrukcje wysłane z mojego statku?

– Tak, ale nie mieliśmy rozkazów na okoliczność waszego przybycia. Przylatujecie rzymskim okrętem, nie posiadacie wymaganych zezwoleń, a potem bez uprzedzenia zeskakujecie na skrzydłach…

Kerys z rozmysłem cofnęła się o krok i zapytała łagodniejszym tonem:

– Nigdy nie słyszałaś o niezapowiedzianych kontrolach? Czy miałaby sens ta inspekcja, gdybym zawczasu otrąbiła swoją wizytę jak nadęty cesarz, który powraca do luksusów Rzymu?

Dziewczyna jednak nie ustępowała.

– Ale…

Kerys przyłożyła dłoń do bocznej części hełmu, drugą zaś uniosła.

– Cicho. Nie słyszysz? Twój *trierarchus* wydaje zezwolenie. Masz mi nie przeszkadzać. Utraciłaś łączność? Może sprzęt ci nawala?

Gerloc przytknęła wolną rękę do hełmu i z konsternacją odwróciła wzrok.

Kerys tylko na to czekała. Przysunęła się do przodu, aby ominąć lufę, chwyciła oburącz hełm strażniczki i energicznie szarpnęła nim w swoją stronę. Gerloc uderzyła potylicą o tył hełmu i natychmiast straciła przytomność.

Kerys ułożyła ją na marsjańskim gruncie, podczas gdy Freydis pośpiesznie zbliżyła się, żeby zabrać broń.

– Obeszłaś się z nią łaskawie, nauarchusie – stwierdziła. – W miarę.

Kerys, kucnąwszy, nachyliła się nad dziewczyną.

– Czułam się okropnie. Ona jedna została na posterunku, gdy pozostali, matoły, pobiegli szukać chwały. Nie ulękła się, mimo że starałam się wywrzeć na nią jak największą presję. Miała rozkazy, była im posłuszna i oto jaką za to otrzymała nagrodę, w dodatku ode mnie, swojego zwierzchnika. Przynajmniej oszczędziłam jej złamanego nosa i wybitych zębów.

Freydis popatrzyła w górę.

– Nauarchusie, lepiej nie traćmy czasu. To coś nad nami ani myśli zwalniać.

– Święta racja. Chodź, Freydis. Trzymaj broń w pogotowiu. Staraj się nie zabijać, lecz w razie konieczności…

– Widzę, że to mniejsze zło.

– Bo tak jest w istocie. Chcę, żeby ta łajba wyrwała się stąd nie dalej niż za godzinę. –

Spojrzała na nieruchome ciało dziewczyny, która na pozór smacznie spała. – Pomóż mi wnieść ją na pokład statku.

– Ależ oczywiście, nauarchusie. Tylko… po co?

– Jeśli zabierzemy ją z sobą, będzie miała większą szansę uniknąć śmierci, niż gdybyśmy ją tu zostawili. Jesteśmy jej winni choć tyle. Tylko zwiąż jej ręce i nogi, żeby nie narobiła nam kłopotów z poczucia obowiązku.

– Dobrze.

Zerknąwszy na Freydis, Kerys zauważyła, że w nasilającym się blasku Höda powstają już cienie – widoczne pod wizjerem hełmu wśród miękkich załamań na jej młodej twarzy.

– Miejmy nadzieję, że nasze heroiczne wysiłki ostatecznie okażą się zbędne. Dobra, bierzmy się do roboty.

Eilidh, pilotująca jacht z napędem ziarnowym, mały lądownik wiozący jej zwaśnionych i trudnych do okiełznania towarzyszy, dostała rozkaz zejścia do trzeciego naziemnego kompleksu bazy, gdzie mieścił się potężny bunkier Earthshine'a. Nie wolno jej było jednak lądować, dopóki operacje przy drzewie i „Celynie" nie wejdą w decydującą fazę, a straże nie zostaną odciągnięte na bok. Wobec tego po wprowadzeniu jachtu w atmosferę zawisła nieruchomo w oczekiwaniu na instrukcje od Kwintusa Fabiusza, który obserwował rozwój wydarzeń z pokładu „Malleusa Jesu".

Mardina, otoczona rodziną i pozostałymi uczestnikami misji, uważnie śledziła przebieg operacji wojskowej na powierzchni planety. Nie chodziło tylko o to, że od wyniku zależało jej życie. Przyglądała się wszystkiemu z autentyczną ciekawością, była to bowiem pierwsza prawdziwa akcja, w której brała udział.

Miała wrażenie, że ciągle się czegoś uczy, przede wszystkim od Kwintusa Fabiusza i jego oficerów, którzy analizowali ów niezwykły cel naziemny i pomagali naprędce nakreślić plan ataku. Tego rodzaju praktycznej wiedzy nie dawały, jej zdaniem, ani wykłady w Akademii, ani ćwiczenia na poligonie, ani manewry wojskowe. Wszystkie te szkolenia wyrabiały w człowieku co najwyżej giętki umysł – elastyczną materię owiniętą wokół jądra żelaznej determinacji. Kwintus Fabiusz ani na moment nie stracił z oczu ostatecznego celu operacji mimo jej złożoności i spontaniczności: mieli znaleźć sposób – w miarę możliwości – na zatrzymanie bryły lodu, Höda, nim uderzy w Marsa.

I proszę, oto mogła mieć swój udział w tej potwornie ryzykownej fazie operacji. Cieszyła się z tego wyróżnienia, choć wolałaby robić coś prostszego, moralnie jednoznacznego. Bez względu na ryzyko. Jakże chętnie wsiadłaby do *testuda* i pognała z Tytusem Waleriuszem, by odpalać

pociski w kierunku olbrzymiego świętego drzewa, lub szturmowała statek kosmiczny u boku Kerys i Freydis…

Oczywiście, jej zadanie też nie należało do bezpiecznych. Jacht wciąż wysyłał wiadomości identyfikacyjne, a wraz z nimi zdjęcia pasażerów, zwłaszcza twarze Beth i Mardiny. Próbowali w ten sposób przebić się do Earthshine'a: przekonać go, żeby wpuścił ich do środka. Ten plan z jednej strony był dobry, z drugiej totalnie zwariowany. Jacht unoszący się w powietrzu z daleka rzucał się w oczy. Czekałyby ich trudne chwile, gdyby kilku żołnierzy przeciwnika zachowało się w sposób nieprzewidziany… czyli postąpiło zgodnie z rozkazami. Mardina widziała przecież pewnego osamotnionego oficera, który – nie odstępując od „Celyna" – stanął na drodze Kerys.

Co gorsza, w tej kruchej łódeczce Mardina była skazana na towarzystwo rodziny, nie wspominając o innych wariatach. Była tu jej matka, Beth, która ze wstrętem patrzyła na Ariego, ojca swojej córki. Był dziwny chłopiec Chu Yuen, niewolnik siedzący w uniżonej pozie, zawsze z odwróconym wzrokiem, tuląc na kolanach paczkę z tajemniczym urządzeniem, Koliuszem, jakby posiadał najcenniejszy skarb na świecie. Mardina przypuszczała, że faktycznie dla niego to rzecz bezcenna, bo prawdopodobnie tylko dzięki niej nie znalazł się w jeszcze gorszym położeniu. Jakby tego było mało, uparła się im towarzyszyć założycielka Akademii Penny Kalinski – i mimo że Mardina, jej dawna uczennica, bardzo ją lubiła, była… beznadziejnie stara. Co jej odbiło, że pakowała się do strefy działań wojennych, nie bojąc się, iż na jej siwą głowę spadnie planetoida?

Wszyscy członkowie tej osobliwej załogi – z wyjątkiem Eilidh za sterami – siedzieli przypięci pasami bezpieczeństwa w fotelach ustawionych w nierównym kręgu w małej, ciasnej kabinie, gdzie, zwróceni do siebie twarzami, starali się nie patrzeć sobie w oczy.

Aż wreszcie z „Malleusa Jesu" przyszło polecenie lądowania.

Wiadomość ze statku kosmicznego przekazała im Stef Kalinski. Kiedy operacja nabierała rozpędu, zaproponowała Kwintusowi Fabiuszowi, żeby powierzył jej na jachcie funkcję komunikatora – capcoma, co było dziwnym słowem z czasów przed rozjazdem Jonbara, powszechnie niezrozumiałym, choć może nie dla Penny. Teraz jej głos dobiegał z głośnika głośno i wyraźnie:

– Nareszcie odezwał się do nas bunkier. Earthshine spotka się z wami. Możemy lądować bez przeszkód. Gdzieś tam powinien być węzeł cumowniczy kompatybilny z jednostkami Rzymian, Brykantów i Zynów. Gdy będziesz gotowa, Eilidh, schodź do lądowania.

– Dziękuję, pułkownik Kalinski…

Aż nagle Earthshine zjawił się wśród nich, stanął na środku kabiny jakby nigdy nic. Był

wysoki, wytworny, ubrany w garnitur niby trochę w brykanckim stylu, lecz lepiej skrojony i bardziej elegancki, a jego buty wydawały się wykonane z lakierowanej skóry. Nosił broszkę w klapie marynarki: kawałek rzeźbionego kamienia, w który Ari wpatrywał się jak urzeczony.

To musiał być on. Mardina widziała go pierwszy raz w życiu, lecz nie znała żadnej innej istoty dysponującej tak wielkimi mocami projekcyjnymi. Otaczała go wszakże pewna aura sztuczności; czasem wydawał się półprzezroczysty, jak gdyby podświetlony od środka złotym światłem. Ilekroć się uśmiechał, nawet na jego zębach pojawiał się nikły złocisty poblask.

Mimo wszystko był to akt agresji na pokładzie wojskowej jednostki. Eilidh sięgnęła po broń.

– Spokojnie! – zawołał ostro Ari Guthfrithson. – To nie jest realna postać, tylko obraz, jakby odbicie w lustrze. I jest tak samo nieszkodliwy jak właśnie to odbicie!

Penny patrzyła na niego z wrogością.

– Nie próbuj na mnie swoich sztuczek, chimero! Jak to robisz? Ten pojazd nie dysponuje technicznymi możliwościami, żeby udźwignąć wirtualną rzeczywistość. – Posłużyła się określeniem z języka angielskiego.

– Ale ja tak – odezwał się żałobnym tonem ColU z torby, którą Chu trzymał przy piersi. – Odebrałem sygnał z ziemi, żądanie połączenia i udostępnienia kanału o odpowiedniej przepustowości. Ostrzegłbym was, ale…

– Ale przejąłem nad tobą kontrolę, prawda? – wpadł mu w słowo Earthshine. – W gruncie rzeczy jesteś tylko maszyną rolniczą. Nawet do niej trochę ci już brakuje. Gdy tymczasem ja, jak widzisz, panuję nad sytuacją. Nic nowego.

– Mylisz się – powiedziała Penny Kalinski. – Nie zwędzisz tego statku, prawda? Jest zbyt prymitywny dla twoich interfejsów.

– W każdej chwili mogę was zestrzelić.

– Ale tego nie zrobisz – rzekł Ari. – Ponieważ ona jest z nami na pokładzie. – Wskazał Beth, matkę Mardiny, która często w podobnych okolicznościach zamykała się w sobie, nieprzystępna i nadąsana. – I ona również, Mardina, twoja prawnuczka.

– Próbujecie mną manipulować w ten mało wyrafinowany sposób?

– Skoro działa! – Penny wybuchła śmiechem, ukazując resztki uzębienia. – Mimo całej swojej potęgi wciąż masz typowo ludzkie słabości.

– Słabości? Lojalność wobec rodziny nazywasz słabością? No tak, byłbym zapomniał. Większość życia zmagałaś się z odtrąceniem ze strony swojej niemożliwej siostrzyczki, czyż nie? Cóż ty możesz wiedzieć o rodzinie?

Nadal przewiercała go nienawistnym spojrzeniem.

– Tylko to, że kiedyś pomogłeś mi odkryć ją na nowo. W Paryżu, pamiętasz? I teraz mówisz

do mnie w ten sposób? Powinieneś się wstydzić, Earthshine.

Mardina patrzyła ze zdziwieniem, jak Earthshine pierwszy spuszcza wzrok.

Ari przysłuchiwał się tej wymianie zdań z rozbawieniem i fascynacją. Może jednak warto było taszczyć ze sobą tę leciwą matronę.

– Tak, mamy swoją historię – przyznał w końcu Earthshine. – Ale do rzeczy. Chyba domyślam się, co was tu sprowadza, choć byłoby miło, gdybyście spróbowali wyjaśnić mi to własnymi słowami.

– Chcemy wiedzieć, co tu robisz, Earthshine – odparła bez ogródek Penny. – Tutaj, na Marsie. I jeszcze nam powiedz, dlaczego ściągasz tu planetoidę, która uderzy w planetę, a przy okazji spadnie tobie na głowę? Choć podejrzewam, że nie zamierzasz tu umierać… o ile w twoim przypadku można w ogóle mówić o umieraniu.

– Myślę, że tak…

– Chcemy, żebyś to przerwał – odezwała się Eilidh. – Moi zwierzchnicy, mój rząd. I mój naród: ci, którzy wiedzą o twoim istnieniu, o was wszystkich z czasów przed rozjazdem Jonbara. Chcemy, żebyś przestał mieszać się do naszego życia, bawić naszymi światami. – Dała się ponieść emocjom, co uświadomiła sobie z wyraźnym zażenowaniem.

– No i chcą, oczywiście, żebyś skierował Höda na inny tor – rzekł Ari. – Zrezygnuj ze swoich planów, które z pewnością prowadzą do zagłady.

– Obawiam się, że to niemożliwe – odpowiedział spokojnie.

– W takim razie wszystkich nas pozbijasz… dziadku! – odezwała się po raz pierwszy odważnie Beth. – Także mnie. Bo ja się z nimi zgadzam. To nie nasz świat i nie nasza historia. Ani ja, ani ty nie mamy prawa ingerować. Nigdzie się stąd nie ruszam. Jeśli uderzy w nas Ceres, zginę.

– Bardzo wątpię, żeby to się stało. Ale zostało jeszcze trochę czasu na pogawędkę przed decydującą rozgrywką. – Zwrócił się do Eilidh: – Możesz lądować. A zatem… – Uśmiechnął się do nich. – Jak mawiali twoi angielscy przodkowie, Mardino, skoczę do domu nastawić czajnik na herbatę. Do zobaczenia! – Zniknął we wzburzonym obłoku świetlistych pikseli.

Eilidh skierowała wzrok w niebo, wymruczała pod nosem krótką modlitwę i zajęła się sterami.

– Mam już współrzędne – oznajmiła. – Posadzę maszynę najszybciej, jak się da, i wyślę meldunek na „Malleusa”. Nie mamy czasu do stracenia.

Kiedy statek obrócił się w powietrzu, przez górne okno Mardina dostrzegła fragment nieba o miedzianym zabarwieniu, na nim zaś Höda w kształcie maleńkiej tarczy – tak jasnej, że raziła w oczy.

Rozdział 30

Kerys leżała w fotelu amortyzacyjnym na pokładzie kapitańskim „Celyna”: statku, który ukradła. Dziób, zabezpieczony grubą osłoną z metalu i ziemi przeciwko erozji powodowanej obecnością drobnych zanieczyszczeń w międzyplanetarnej i międzygwiezdnej przestrzeni, był pozbawiony jakichkolwiek okien, lecz rozmaite przyrządy osadzone w kadłubie pozwalały oglądać na ekranach otoczenie statku – w tym lśniący klejnot zawieszony nad brązowym krajobrazem planety.

Władze na Terze z pewnością już orientowały się, dokąd leci planetoida. Kerys, która bywała w wysokich sferach, wyobrażała sobie konsternację w stolicach Brykantów, Zynów i Rzymian: trwogę, głosy oburzenia i przyjmowane ze sceptycyzmem zapewnienia, że nie jest to świadomy akt wojennej agresji. Modląc się o chłodny osąd w tej sprawie, obawiała się jednak, że na stale targanym przez wojny świecie trudno będzie o wyważone opinie. Lękała się o przyszłość Brykantów, a w szczególności o swoją rodzinę, siostrę i siostrzeńców…

Tymczasem do zderzenia pozostały ledwie trzy godziny, a „Celyn” wciąż stał na lądowisku.

– Prędzej, Freydis, prędzej…

– Jestem, nauarchusie. – Freydis wdrapała się po drabince do kabiny, kopniakiem domknęła gródź i wsunęła się na sąsiedni fotel.

– No, nareszcie! – Kerys natychmiast zaczęła bębnić po przyciskach i szarpać dźwigniami. Poczuła drżenie statku, kiedy obudziły się do życia olbrzymie bloki eterowych silników kontrolujących zespoły ziaren. – Dałabym ci po łbie, gdybym nie wiedziała, ile musiałaś zamknąć grodzi i odpalić systemów…

– Wiem, nauarchusie.

– I gdyby przywrócenie ładu na pulpicie sterowniczym nie było takie czasochłonne. Załoga narobiła tu sporo dziadostwa.

– Ten dziwny stwór Earthshine wszystko kontroluje – powiedziała w zamyśleniu Freydis. – Może nie zależy mu na tym statku? Siedzi bezpieczny w swoim bunkrze, przynajmniej dopóki nie uderzy Höd. Może myślał, że skoro w bazie stacjonuje okręt wojenny z pełną załogą, odstraszy to potencjalnych intruzów?

– Tego już nigdy się nie dowiemy. Od tej chwili to jest nasz priorytet! – Stuknęła w ekran, na którym wyświetlało się błyszczące Oko.

Freydis zerknęła na zegar.

– Tylko trzy godziny do zderzenia? Jak ten czas szybko leci.

– Wiem. Co chwila patrzę na te cholerne wskazówki odmierzające czas, który nam został. I myślę nad planem ucieczki. W tej chwili Höd znajduje się w odległości stu trzydziestu tysięcy mil rzymskich od Marsa. Czyli ponad trzydzieści średnic planetarnych stąd. Wydawałoby się, że dość daleko, jednak pędzi na nas z prędkością dziesięciu średnic marsjańskich na godzinę. – Kerys popatrzyła na Freydis, która przyjmowała jej słowa z niewzruszoną powagą niczym skupiony student w sali wykładowej, a nie żołnierz wiedzący, że niebawem przyjdzie mu zginąć. – Co radzisz, widząc, jak ułożyły się rzucone kości? Jak byś to chciała rozegrać?

Freydis szarpała wargę.

– Naszym celem jest zepchnięcie Höda z obecnej trajektorii, żeby nie zderzył się z Marsem. Dobrze byłoby spotkać się z nim jak najdalej od planety. Z tego statku wyciśniemy najwyżej trzy ciężary przyśpieszenia…

– Zgadza się. Jeśli wystrzelimy stąd z trzema ciężarami, dotrzemy do Höda w niecałą godzinę.

– Aha. I tak możemy być za blisko, żeby coś dało się zrobić.

– Na to wygląda. Chociaż…

– I będziemy gnać z prędkością dwudziestu tysięcy mil na godzinę – dodała Freydis.

– Ale jeśli planujemy zatrzymać się, a więc stracić trochę czasu na hamowanie…

– …Höd będzie jeszcze bliżej Marsa, gdy dotrzemy do celu.

– No więc co radzisz?

Freydis uśmiechnęła się szelmowsko.

– Ruszajmy pełną parą i bądźmy tam jak najszybciej. Przynajmniej zbombardujemy ludzi na tej bryle lodu wiadomościami z dalekomówców. Jeśli zobaczą „Celyna”, który spada na nich jak młot, być może zrozumieją błąd w obliczeniach kursu.

Kerys ponuro pokiwała głową.

– A gdy to nie pomoże, wymyślimy coś innego. – W tej sytuacji przychodziła jej do głowy tylko jedna alternatywa. – Teraz przede wszystkim zabierajmy się stąd. Zapięłaś pas, Freydis? Zażyłaś lekarstwa na skutki przyśpieszenia?

– Nie, ale jakoś przeżyję.

Marne szanse, pomyślała ze smutkiem Kerys.

Pociągnęła główną dźwignię, ułożyła się na plecach i przygotowała na najgorsze. W wyobraźni widziała, jak eteryczne impulsy zalewają zespoły ziaren osadzonych na dnie statku; ich dziwne, maleńkie usta otwierały się – inżynierowie lubili przyrównywać je do piskląt domagających się pokarmu – lecz potrafiły bluznąć ogniem gorętszym niż słońce. Kerys od razu poczuła dokuczliwy wzrost siły ciążenia, straszliwe brzemię wciskające ją w materac fotela.

„Celyn” na płomienistym słupie wzbił się w marsjańskie niebo.

Kerys automatycznie zapanowała nad sobą zgodnie z instrukcjami wpojonymi za pomocą ćwiczeń przed wieloma laty. Nie ruszała nogami, ręce trzymała wzdłuż ciała, głowę zaś na zagłówku, a jednocześnie oddychała głęboko, energicznie wciągając powietrze w walce z nieznośnym ciężarem. To tylko godzina, rozmyślała. Jedna godzina. A potem wszystko się rozstrzygnie – w taki czy inny sposób.

Gdy po krótkiej chwili rozmyło się i znikło na ekranach blade marsjańskie niebo, w pustce pozostało już tylko złowieszcze światło Höda. Jakby opadła ostatnia zasłona iluzji, ujawniając całą grozę sytuacji. Kabina się trzęsła, silniki ryczały przeraźliwie.

– Naprzód, nauarchusie! – wrzasnęła Freydis, nie zważając na hałas i mordercze przyśpieszenie.

Wtem zaskoczył Kerys krótki gwizdek systemu łączności wewnętrznej statku. Spiorunowała wzrokiem Freydis.

– Kto to? Mówiłaś przecież, że sprawdziłaś statek.

– Sprawdziłam! Z bronią w ręku wypłoszyłam stąd niedobitki załogi. Nawet się ucieszyli, gdy im powiedziałam, że obieramy kurs na Höda.

Kerys niepewnym ruchem uniosła rękę i pstryknęła w przełącznik.

– Przedstaw się! – zażądała.

– Mówi Gerloc. Jak pewnie pamiętacie, *nauarchus* wyprowadziła mnie w pole, żeby uzyskać dostęp do statku.

Kerys skrzywiła się.

– Przykro mi z tego powodu.

Freydis prychnęła, mówiąc:

– Gdy cię zostawiłam, byłaś związana.

– Jak widać, niedokładnie.

– Ha! – Kerys uśmiechnęła się szeroko. – Wykiwała cię, Freydis.

– Pomyślałam sobie, że przyda wam się pomoc. Jestem obeznana z urządzeniami pokładowymi i gruntowne przeszkolona w zakresie wsparcia załogi w czynnościach nawigacyjnych.

– Hm, niegłupi pomysł. Ale musisz wiedzieć, że nasza misja…

– …to wypełnienie tego, co zarządziłaś. Podsłuchałam część waszej rozmowy.

– Naprawdę? Zaradna jesteś.

– Wiem – odparła dziewczyna bez fałszywej skromności. – Próbujesz zapobiec potwornej katastrofie. I jesteś *nauarchusem*, a więc wyższym rangą oficerem.

– Jak ja, nawiasem mówiąc – burknęła Freydis.

– Szkoliłam się do tego: do działań w warunkach bojowych przy znacznych przeciążeniach…

– W porządku. Przyjdź tu jak najszybciej, tylko nie połam nóg po drodze.

– Już idę i zaraz tam będę, nauarchusie. To do zobaczenia.

– Już ją lubię – stwierdziła Kerys.

– A ja nie – żachnęła się Freydis. – Czy nie można dołożyć tej łajbie siły ciągu? To by zaraz zmazało uśmiech z jej twarzy…

Rozdział 31

Kiedy jacht wylądował, Mardina starała się pomagać Penny podczas przechodzenia przez śluzę do ciasnej windy, która zjechała na dno szybu wydrążonego głęboko w marsjańskim gruncie. Następnie pod przewodnictwem Earthshine'a ruszyli krótkim, surowym korytarzem wywierconym w skałach.

Wreszcie znaleźli się w prostym pomieszczeniu z rdzawymi betonowymi ścianami z kilkorgiem drzwi, wyposażonym w fotele i niskie stoły z metalowych rurek i plecionych blatów. Tego rodzaju sprzęty wydawały się zrabowane z jakiegoś statku kosmicznego – na przykład z „Celyna". Earthshine czekał na środku, gdy reszta wchodziła gęsiego. Nie czuli się swobodnie, zmuszeni do poruszania się w obcych dla siebie warunkach niskiej grawitacji – wszyscy oprócz Earthshine'a, który sprawiał wrażenie zrelaksowanego, jakby przebywał na Terze. Można było pomyśleć, że w ten sposób zaznacza swoją przewagę nad nimi, co trochę drażniło Mardinę.

Penny wybrała sobie krzesło, opadła na nie przy znacznej pomocy Mardiny i, wsparta na lasce, pochyliła się w przód, patrząc nieprzychylnie na Earthshine'a. Pozostali znaleźli sobie miejsca na krzesłach, przy czym rodzice Mardiny, Beth i Ari, w jak największej odległości od siebie. Chu, który trzymał na plecach torbę z ColU, przycupnął skromnie na ziemi.

– No to jesteśmy – zagaił Earthshine. – Są tu pewne udogodnienia: łazienka za tymi drzwiami, mała kuchnia, sypialnia.

Penny zaśmiała się jadowicie.

– Trochę tu mniej komfortowo niż ostatnim razem, gdy cię odwiedziłam – powiedziała. – Niż w tamtej wspaniałej oszklonej sali w Hellas, kiedy zabrałeś mnie na wycieczkę do wirtualnej kopalni głęboko pod ziemią. Rozmawialiśmy wtedy o twoim *noostratum*.

Earthshine uśmiechnął się, nie dając się zbić z tropu.

– Nie przebywam już w naziemnych bazach. Tutaj, na dole, wojska wiecznie awanturujących się imperiów z tej rzeczywistości nie mogą wtrącać się do moich prac.

– O jakim wtrącaniu się mówisz? – zapytał z uśmiechem Ari. – Wprowadziłeś Höda, olbrzymie ciało niebieskie, na kurs kolizyjny z tą planetą. A wszystko to na oczach Brykantów, Rzymian i Zynów. Mało tego, namówiłeś ich, żeby udzielili ci niezbędnych środków!

Earthshine wzruszył ramionami.

– Te cywilizacje nie potrafią przygotować się na klęskę żywiołową tak skutecznie jak nasza

dawna, Penny. Nie śledzą skał, które mogą spaść z kosmosu. Nie mają do tego odpowiedniej technologii, nie mówiąc już o wyobraźni. Z uporem maniaka tropią jedynie okręty przeciwnika. A więc owszem, dość łatwo było pchnąć Ceres na ten niszczycielski kurs.

– Jesteśmy tu po to – oświadczył chłodno ColU – żeby skłonić cię do porzucenia tego projektu…

– Wiem, że to wasz plan, wasz pozorny motyw – przerwał mu Earthshine. – Jednak pod spodem kryją się inne pobudki. Jestem twoim dziadkiem, Beth. Obojętnie, co o mnie myślisz, tego nie zmienisz. Tylko ja pozostałem z rodziny, którą miałaś przed tym, co nazywacie rozjazdem. Zatem przychodzisz do mnie w tej ostatniej godzinie. – Rozłożył ramiona, obejmując spojrzeniem Beth i Mardinę. – Gdy uderza młot, przychodzicie do mnie wy, moja rodzina. Ponieważ wiecie, że was ocalę.

– To tylko narzędzia, Earthshine – odezwał się ponownie ColU. – Posłużono się nimi, żebyś dał się zwieść i wpuścił nas tutaj. A skoro mowa o rodzinie, to co z Yurim Edenem, z twoim synem? Byłem przy nim, gdy umierał. Nie zauważyłem, żebyś próbował go ocalić.

Wirtualne oblicze Earthshine’a było teraz całkiem wyprane z uczuć.

– Mam świadomość, że nie żyje…

– Powikłania odmrożeniowe. Potoczna nazwa, której używał. Robercie Braemannie, twoja decyzja sprzed tak wielu lat, żeby umieścić syna w kapsule kriogenicznej, ostatecznie doprowadziła do jego śmierci.

Mardina słyszała już tę historię, teraz jednak, gdy przytoczono ją tak bezceremonialnie w obecności tego dziwnego starego stwora, pozostałości po jej pradziadku – była głęboko poruszona.

Earthshine z otwartymi ramionami zwrócił się do Beth i Mardiny:

– Chciałem dla Yuriego wszystkiego, co najlepsze. Tego samego chcę dla was.

– Bzdury gadasz! – wtrąciła się Penny. – Jak zamierzasz uratować tych ludzi, których nazywasz rodziną? Twój bunkier runie jak zamek z piasku, gdy uderzy w nas Ceres.

– To prawda, ale nie bunkier będzie moim ocaleniem. Ani waszym, jeśli zdecydujecie się iść ze mną.

– Iść z tobą? Dokąd? – zapytała Mardina, zdezorientowana.

– Chyba rozumiem. – Oczy Ariego płonęły jakąś nową żądzą. – Masz na myśli następny rozjazd Jonbara, prawda? Bramę taką samą jak ta między twoją historią z udziałem Chin i ONZ-etu a naszą z Rzymianami i Brykantami. I ta między naszymi światami a światem zatopionej cywilizacji… Wiem, że twoja historia zakończyła się barbarzyńską wojną w kosmosie

i uwolnieniem gigantycznej energii. Czy nie na tym właśnie polega twój projekt? Zamierzasz stworzyć rozjazd?

Mardina wpatrywała się w niego, mając zamęt w głowie.

– Ojcze, co ty wygadujesz? Mam wrażenie, że tego pragniesz. Że chcesz, by wszystko zostało zniszczone: wszystko, co nas dotąd otaczało, co zbudowali nasi przodkowie.

– Tak, może tego właśnie chcę. – Wstał i zaczął przechadzać się tam i z powrotem. – Może tego właśnie chcę. Odkąd obcy ludzie wkroczyli do naszego życia, a zwłaszcza gdy odkryłem świadectwa istnienia zatopionej cywilizacji, ta myśl stała się moją obsesją. Obsesja, tak, to właściwe słowo. Zobaczyć, jak w jednym mgnieniu oka wszystko się zmienia. Zobaczyć, jak otwierają się przed ludzkością nowe możliwości, a nawet, kto wie, wziąć udział w kształtowaniu nowej rzeczywistości. Czy którakolwiek myśląca osoba nie zachwyciłaby się taką wizją?

– Zginą miliardy ludzi, Ari – przestrzegła cicho Penny. – Nawet gorzej: będzie tak, jakby nigdy nie istnieli.

– Ale inni zajmą ich miejsce. Nie rozumiesz? Postawilibyśmy się prawie na równi z Bogiem.

– Wydaje mi się – powiedział ColU – że to bluźnierstwo w waszej interpretacji chrześcijaństwa. A zarazem błędny pogląd. Nie postawiłbyś się na równi z Bogiem, lecz z tym, kto kibicuje tym przeobrażeniom, kto wszystko to wprawił w ruch.

Ari zmarszczył czoło.

– O kim konkretnie mówisz?

– Na razie nie wiadomo – odparła Penny. – Za to można mieć pewność, że jego wtrącanie się w naszą historię nie wychodzi nam nigdy na dobre. Przynosi korzyści tylko jemu.

– Mianowicie?

– Chodzi o ziarna i Włazy, Ari. Zwłaszcza Włazy. Z rodzaju tych, które wy i wasi rzymscy rywale radośnie budujecie w sąsiednich układach słonecznych, nie mając zielonego pojęcia, po co to robicie i do czego służą. Oto, co wiemy. Ale ta sprawa ma głębsze dno, prawda, Earthshine? Zaczynamy dostrzegać elementy jakiejś większej tajemnicy. Przybyłeś na Marsa, żeby badać to swoje *noostratum*. Warstwę bakteryjnego umysłu ukrytą w skałach… – Sztywno podniosła się z krzesła. – Boże, dopiero teraz przyszło mi to do głowy. Czyżby był jakiś związek? Bądź co bądź, Włazy umożliwiają skoki między światami z prędkością światła… – Wpatrywała się w Earthshine'a. – Czy umysły z *noostratum* są budowniczymi Włazów? Może są czymś więcej niż świadkami? I prawdopodobnie zamieszkują wszystkie skaliste światy. To władcy marionetek, którzy sterują istotami niższego rzędu, czyli nami, mieszkańcami powierzchni planet. Do takich wniosków doszedłeś?

Earthshine tylko się uśmiechał.

– W tej sytuacji najważniejsze jest to, czego od nich oczekuję.

– Czego?

– Żeby mi odpowiedzieli. Marsjańskie *noostratum*, czyli budowniczowie Włazów, bo sądzę, że nimi są. Wiesz, że od dawna próbuję nawiązać z nimi kontakt. Widziałaś sprzęt do przeprowadzania eksperymentów. Pragnąłem tylko jednego: odpowiedzi.

– I co teraz? Wyglądasz na zadowolonego.

– Mam powody. *Noostratum* wreszcie odpowiedziało. I dało mi możliwość uratowania was wszystkich. – Wskazał drzwi. – Chodźcie tędy…

Rozdział 32

Sylwetka Höda rosła na ekranach „Celyna”, większa z każdą sekundą.

– Leci na nas tak szybko – zauważyła Gerloc. Była wyraźnie przygaszona, praktycznie niepodobna do tamtej kompetentnej, nieugiętej młodej oficerki, która czuwała na straży przy „Celynie”. Różnica przypuszczalnie brała się stąd, że w przeciwieństwie do Kerys i Freydis ona nie zdążyła oswoić się z sytuacją: uwięzieniem w rozpędzonym mikroskopijnym stateczku pomiędzy dwoma mającymi się zderzyć ciałami niebieskimi. Niczym mucha między blatem stołu a spadającą pięścią.

Przynajmniej Freydis spokojnie sprawdzała przyrządy.

– Za chwilę pełna prędkość – zameldowała. – Poruszamy się o wiele szybciej niż Höd. Głównie dzięki nam prędkość zbliżenia jest tak duża.

Gerloc patrzyła przez grubą szybę.

– To oko boga. Wolno się otwiera.

– Nie wyjeżdżaj nam tu z mitologią, Gerloc! – skarciła ją Kerys. – To jedynie gruda z kamienia i lodu. Tyle że wielka i niesie ogromną energię. Ale nie ma w niej nic boskiego. Gdyby nie starania ludzi, wcale nie byłoby jej dziś tutaj, blisko Marsa.

– Za niecałe pół godziny będziemy najbliżej Höda – oznajmiła Freydis. – Kiedy to się stanie, miniemy go, nim zdążysz policzyć do dziesięciu. Jeśli mamy coś zrobić, decydujmy się szybko.

– Niby co zrobić? – zapytała Gerloc.

Kerys zerknęła na Freydis, która jej zdaniem doskonale orientowała się w sytuacji, i pokręciła głową. Jeszcze nie teraz, pomyślała. Niech Gerloc sama to sobie wykombinuje.

– Wciąż żadnej odpowiedzi od załogi na powierzchni? – zapytała.

– Nie – odparła Freydis. – Choć myślę, że trwają tam jeszcze jakieś prace. Höd nie został opuszczony, a wielkie zespoły ziaren ciągle są włączone.

– Brygada samobójców.

– Bardzo możliwe. A jeśli tak, to nie powitają gości z otwartymi ramionami. – Freydis spojrzała na Gerloc. – Rozumiesz chyba, że lądowanie nie wchodzi w grę. Nie mamy czasu i odpowiedniej mocy, żeby zahamować i spotkać się z nimi.

– Oczywiście, że rozumiem – odparła lekceważącym tonem Gerloc.

– Gdybyśmy nawet spróbowały wylądować, zaraz zaczęliby do nas strzelać – stwierdziła Kerys. – I nie wiem, kiedy musiałybyśmy tu przylecieć, żeby nie było za późno.

Prawdopodobnie Höd znajduje się już tak blisko, że nie da się zepchnąć go z kursu nawet za pomocą zespołów ziaren. Drobne korekty pędu w znacznej odległości od planety, oto jak wprowadzono go na obecny kurs. Mimo wszystko warto było coś zrobić: przylecieć, spróbować pogadać z ludźmi na planetoidzie.

Gerloc pokiwała głową.

– Skoro nie uda się zepchnąć na bok Höda, co nam pozostaje?

Kerys popatrzyła na Freydis i zamknęła oczy.

– Chyba już tylko jedna opcja. Muszę powiedzieć ci coś bardzo dziwnego, Gerloc, i z góry przepraszam, że nie będzie czasu na szczegółowe wyjaśnienia. Są w tym wszechświecie ludzie, nawet w tej chwili na Marsie, którzy pochodzą z innej rzeczywistości. Ich przeszłość i nasza różnią się zasadniczo. Freydis częściowo rozumie, o czym mówię. Jedna rzecz, Gerloc, ma tu wielkie znaczenie. Ich dzieje zakończyły się straszliwą wojną, w której doszło do tego, że obiekt o ogromnej masie, chyba jakiś gigantyczny statek kosmiczny, zderzył się z powierzchnią planety Merkury. Nazywali go Gwoździem. W ich historii, podobnie jak w naszej, pierwsze złoża ziaren odkryto właśnie na Merkurym.

– Ten temat był badany na naszych uczelniach na podstawie relacji przybyszów – dodała Freydis. – Na skutek gigantycznej eksplozji wyzwoliła się ogromna energia. Uważa się, że ziarna w wyniku olbrzymiego nacisku szeroko się otworzyły. A ilość energii…

– …wystarczyła, żeby wypalić wszystko na planetach – dokończyła Kerys.

Gerloc popatrzyła na Freydis, potem znowu na Kerys, która nie otwierała oczu.

– Chyba już wiem, do czego zmierzacie. Doprowadzimy do zderzenia statku z Hödem, ale nie w przypadkowym miejscu. Wycelujemy dokładnie w zespoły ziaren, mając nadzieję, że wyzwolimy energię, która rozbije na kawałki tę bryłę lodu.

– Taki jest plan.

– I uratujemy Marsa.

– A ponadto, przy odrobinie szczęścia, zapobiegniemy wojnie na Terze.

– Jeśli naprawdę taki jest wasz plan, to musimy się sprężać, bo czeka nas dużo pracy.

Kerys uśmiechnęła się szeroko. Nie padło ani jedno słowo o tym, że trzeba będzie oddać życie za sprawę. Liczył się tylko cel misji.

– To się nazywa właściwa postawa – pochwaliła. – I masz rację. Musimy obrócić statek. Żeby wykonać ten manewr, wyłączymy napęd ziarnowy i uruchomimy silniki korekcyjne. Potem ponownie włączymy główny napęd, żeby w chwili zbliżenia się do Höda przypiec go ziarnami.

Freydis pokiwała głową.

– To może się udać – stwierdziła twardym tonem z błyszczącymi oczami. – Tylko że na razie

nie znajdujemy się na trajektorii stycznej z torem lotu Höda, nie wspominając już o agregatach ziarnowych. Trzeba wykonać korektę kursu, nim obrócimy statek.

– Zgadza się – powiedziała Gerloc. – No i musimy uwzględnić wpływ hamowania na tor lotu do samego końca…

I dobrze, pomyślała perfidnie Kerys. Będą zajęte pilotowaniem statku. Czeka je żmudne, skomplikowane zadanie, które nie pozostawi im czasu na refleksje.

Pod wpływem impulsu wyciągnęła ręce i ujęła ich dłonie.

– Niezależnie od tego, czy nam się uda, zapalimy światło widoczne w całym układzie planetarnym, na wszystkich światach. Ludzie dowiedzą się, kim byłyśmy. Nasze rodziny dowiedzą się, co próbowałyśmy dziś zrobić. W porządku? Jesteście gotowe?

Freydis spontanicznie chwyciła za rękę Gerloc, domykając krąg.

– W takim razie do dzieła.

– Robi się – odparła Gerloc.

Przerwały krąg i odwróciły się do swoich pulpitów sterowniczych.

Rozdział 33

Komora, do której wprowadził ich Earthshine, była w zasadzie tylko podziemną pieczarą. Przy drzwiach stało kilka krzeseł, mieściły się tu również niewielka chemiczna toaleta i góry sprzętu, w tym ciężki cylinder w prostej, białej obudowie. Zawieszone u sufitu jarzeniówki dawały nieco anemiczne światło. Mardina i Beth wspólnymi siłami usadziły Penny na jednym z krzeseł; staruszka z trudem trzymała się na nogach.

Pewna przestrzeń pośrodku pomieszczenia została wydzielona sznurami, gdzie podłoże było bardziej wyrównane.

Mardina zauważyła, że Earthshine jest zadowolony z siebie i dumny. Pozostali byli jacyś zasępieni i zdezorientowani, odkąd wtajemniczył ich w zawiłe arkana swoich planów, w swoje sekrety na temat ukrytego w skałach umysłu.

Nagle cichym mechanicznym dzwonkiem odezwał się dalekomówca Mardiny – wojskowy komunikator radiowy, który trzymała w kieszeni. Wyciągnęła niewielkie urządzenie i przystawiła je do ucha.

Podeszła do Penny.

– Posłuchaj tego. Wszyscy powinniście to usłyszeć. Odbieram sygnał.

Earthshine przytaknął ruchem głowy.

– Nic dziwnego. Wspierająca mnie ekipa z brykanckiej Floty zainstalowała w bunkrze wzmacniacze i przekaźniki, a potem również w tej komorze, gdy dokonałem odkrycia.

– To sygnał z kosmosu, z pokładu „Malleusa”. Widzą Höda. Załoga twierdzi, że ma rozmiary Słońca widzianego z Ziemi, ale szybko się powiększa.

Penny pokiwała głową z przymkniętymi powiekami.

– W tej chwili powinien…

– Nastąpił wybuch na Hödzie.

Niewolnik Chu, który trzymał na piersi tablet do komunikacji z ColU, wymamrotał modlitwę w swoim ojczystym języku.

– „Celyn” – stwierdziła Penny.

– Tak – potwierdziła Mardina. – Rozbili się na planetoidzie.

– Założę się, że próbowali zdetonować ziarna i w ten sposób ją zniszczyć – powiedziała Penny. – Odwróciła się do Beth. – Pamiętasz? Zupełnie jak wtedy, gdy Gwóźdź uderzył

w Merkurego. Całkiem możliwe, że Kerys wpadła na ten pomysł, ponieważ opisaliśmy jej tamto wydarzenie.

– W takim razie ich plan zawiódł – oświadczyła Mardina. – Tak twierdzi załoga „Malleusa". Na powierzchni Höda pojawił się nowy krater i na tym się skończyło. Nawet tak potężna eksplozja…

– Chwała im za to – rzekła z naciskiem Penny. – W tak krótkim czasie nie mogły zrobić nic więcej. Heroiczny czyn Kerys i jej załogi nie pójdzie w zapomnienie.

Mardina wysłuchała nowej wiadomości.

– Höd wciąż się zbliża – zakomunikowała. – Centurion każe nam wracać na powierzchnię. Za pół godziny zabierze nas na pokład. – Złożyła dalekomówcę. – Musimy się zbierać.

– Nie – odezwał się Earthshine. – Jest inny sposób.

– Jaki sposób? Żaden inny statek…

– Przecież powiedziałem, że mogę was uratować.

Penny spojrzała na niego zimnym wzrokiem. Potem skinęła na Mardinę i Chu.

– Pomóżcie mi. – Ponagliła ich niecierpliwym gestem, aż podeszli. Podała im ręce, aby dźwignęli ją z krzesła; Chu musiał uważać na torbę z ColU. – A teraz zaprowadźcie mnie tam. – Machnięciem ręki wskazała odgrodzoną strefę. – Muszę wiedzieć, co znalazł.

– Przypuszczam, Penny Kalinski, że już to wiemy oboje – rzekł ColU.

– Mimo słabego wzroku chciałabym to zobaczyć.

To, co znajdowało się w obwiedzionej sznurem strefie, wydało się Mardinie niezbyt ciekawe, kiedy już dotarła tam w tempie dostosowanym do kuśtykania Penny. Tak czy inaczej, twór z pewnością był sztuczny. Była to bowiem płyta z szarego materiału przypominającego metal, ozdobiona delikatnie obrysowanym kołem o średnicy kilku kroków.

Penny parsknęła śmiechem.

– Pokaż, Chu – mruknął ColU. – Chcę widzieć…

– Mam nadzieję, że nie jest to jedna z twoich cholernych wirtualnych iluzji, Earthshine! – warknęła Penny.

– Oczywiście, że nie.

– Nie rozumiem – powiedziała Mardina.

– To Właz – oznajmiła Penny. W jej drżącym głosie pobrzmiewało zdumienie. – On tylko znalazł Właz na Marsie.

– Ty nadal nic nie rozumiesz – rzekł Earthshine. – Nigdy nie słuchałaś tego, co się do ciebie mówi, Penny Kalinski. Ani ty, ani twoja siostrzyczka. Ja wcale go nie znalazłem. Kiedy zakładałem bazę na Marsie, on jeszcze nie istniał. Podarowali mi go oni. Uwierz mi, tej komory

tu nie było, ale gdy Ceres zaczęła zbliżać się do planety, gdy moje zamiary stały się oczywiste, szast-prast i oto przyrządy pomiarowe wykryły anomalię. Wywierciłem głęboki szyb i na jego dnie odkryłem Właz. Oni mi go dali.

Mardina pokręciła głową.

– Niby kto? Kto ci go dał?

– *Noostratum* – powiedziała Penny. – Mikroby śniące w skałach? Chciałbyś, żebyśmy w to uwierzyli? I wszystko to z tego powodu, Earthshine? Posłużysz się Ceres, żeby zadać cios nawet nie mieszkańcom Marsa, ale jakimś żyjątkom w podziemnych skałach?

– Trzeba naprawdę mocno przywalić, żeby był jakiś efekt. Gdy zagroziłem im zagładą, zwróciły na mnie uwagę. I proszę bardzo, macie tu w ziemi dowód na to.

– I co teraz? – zapytała Beth. – Przechodziłam już przez Włazy. Przenoszą w dalekie miejsca. Na inne planety, nawet do innych gwiazd. Do jakiej gwiazdy tym razem, Earthshine?

Uśmiechnął się.

– Nie wiem. I w tym cały urok. Ale obojętnie, co jest z drugiej strony, obojętnie, co znajdę, będę tam zaproszony. Kto by pomyślał! Tak, tak, zwróciły na mnie uwagę. Ale nie tylko ja skorzystam. Razem, już dzisiaj, za chwilę, nim spadnie planetoida, przejdziemy przez te nadzwyczajne wrota i znajdziemy odpowiedź. Nie zawiodła was intuicja, wiecie? Dobrze, że się tu zjawiliście. Ocalę was wszystkich. Ciebie, wnuczko, i ciebie prawnuczko, i każdego z was, jeśli tego chcecie. Zobaczcie, mój serwer procesorowy jest już gotów do drogi. – Wskazał na pękaty cylinder.

– To błąd – odezwał się ColU. – Zrobiłeś tutaj coś złego, Earthshine. Bawisz się mocami, które mogą nas wszystkich zniszczyć, nas i przyszłość ludzkości.

Earthshine tylko się roześmiał.

– Gadaj sobie zdrów, i tak nie wpuszczę do Włazu takiej zabawki jak ty. Teraz możesz być świadkiem działania tych mocy, prawda?

ColU nie odpowiedział. Zachowywał milczenie przez długą, pełną napięcia chwilę, która musiała wydawać się wiecznością, biorąc pod uwagę zawrotną szybkość działania jego elektronowego mózgu.

– Skoro już nie mogę przejść z tobą przez Właz, Earthshine – rzekł w końcu – bądź pewien, że nie zapomnę o tobie i nie spocznę, dopóki cię nie odnajdę, gdziekolwiek się udasz i cokolwiek zrobisz. Bez względu na to, ile pokoleń moich przyjaciół w tym czasie przeminie.

To chłodne oświadczenie poruszyło Chu.

– Panie, błagam! Cieszę się, że jestem twoim sługą. Czyż nie służyłem ci wiernie? Jednak nie chcę umierać, nie dzisiaj, nie za chwilę!

– Nie umrzesz, Chu Yuenie – zapewnił go łagodnym tonem ColU. – Pamiętaj, że przyleci centurion i nas stąd zabierze. Musimy tylko wrócić na górę.

– Ja też nie zamierzam iść dalej – oświadczyła ze zdegustowaną miną Penny. – Pomijając machlojki z historią, przeklęci budowniczowie Włazów zrujnowali mi życie, mojej siostrze również. Dlatego nie idę dalej. A tak poza tym, to… Chu, przytrzymaj Ariego Guthfrithsona.

– Słucham, pani?

– Po prostu chwyć go!

– Rób, co ci każą, Chu – poparł ją ColU.

Chu wahał się przez chwilę, po czym zamaszystym krokiem obszedł Właz i mocno chwycił Ariego za ręce powyżej łokci.

Druidh nadaremnie się z nim szarpał.

– Czemu to zwierzę mnie trzyma!?

– Niezależnie od tajemnic czekających na odkrycie – odpowiedziała Penny – nie chcę, Ari, żebyś się nimi zajmował. Jesteś tylko podstępnym, dwulicowym łowcą okazji. I, szczerze mówiąc, boję się twoich ambicji, z których nam się zwierzyłeś. Ale przynajmniej zaraz znajdzie się na to rada. Dla ciebie to już koniec podróży, tak samo jak dla mnie. Wychodzisz z nami na powierzchnię.

– Nie wyjdę. Beth… Mardino, córeczko…

– Chu, niech on się wreszcie zamknie!

Niewolnik pchnął Ariego pod ścianę; przygwoździł go lewą ręką, prawą zaś zatkał mu usta.

Earthshine odwrócił się, nie okazując zainteresowania, by przemówić do Beth i Mardiny:

– Nieistotne jest to, na co zdecydują się tamci. Liczymy się my, rodzina. Szkoda tylko, że Yuri Eden nie żyje. Jakoś nigdy się z nim nie spotkałem, odkąd wyszedł z krio. Nie widziałem go od tamtej chwili, kiedy zamykałem ciężkie wieko kapsuły nad jego uśpioną twarzą. Lecz w was on żyje nadal. Chodźcie ze mną.

Mardina cofnęła się, mając mętlik w głowie.

– Nic z tego nie rozumiem. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Co dobrego może mnie spotkać po drugiej stronie tych… drzwi w ziemi? Tam, u góry, jest Terra, mój świat, mój dom, kariera, życie. Jeśli dobrze rozumiem, wszystkie Włazy przyniosły wam tylko rozpacz, zagładę, zniszczenie. – Spojrzała na Beth. – Zostaniesz ze mną, prawda, mamo?

Beth jednak była w rozterce.

– Może znajdziemy drogę do twojego domu, wnuczko – rzekł Earthshine.

– Do domu? Z powrotem na Per Arduę?

– Tak, z powrotem na Per Arduę.

Beth popatrzyła na córkę ze zbolałą miną.

– Mardino, musisz iść ze mną…

– Mam gdzieś Per Arduę i całe to *przedtem*! Zawsze biadoliłaś, jaką to matka wyrządziła ci krzywdę, a dzisiaj robisz mi to samo. Chcesz wyrwać mnie siłą ze starego świata i porzucić na nowym.

– Wiem. Masz rację. Mimo to… – Raz jeszcze spojrzała na Właz. – Nie mogę przegapić tej okazji, jedynej szansy na powrót do domu.

– Nie przejmuj się, skarbie – zwróciła się Penny łagodnie do Mardiny. – Chodź z nami. Wrócimy na powierzchnię i wydostaniemy się stąd, nim uderzy młot. Przynajmniej będziesz miała ojca, choć to głupek.

– Nie bój się, Beth Eden Jones – pocieszył ją ColU. – Jeśli tu zostanę, zaopiekuję się Mardiną, jak kiedyś opiekowałem się tobą.

– Nikogo nie potrzebuję… – zaprotestowała Mardina.

Penny dotknęła jej dłoni, aby ją uspokoić.

– Pewnego dnia wrócę po ciebie – powiedziała czule Beth.

– Lub ja przyjdę po ciebie! – odparła impulsywnie Mardina. – Choć nie mam pojęcia jak.

– Dobrze. – Beth zmusiła usta do uśmiechu. – Trzymajmy się tej obietnicy. Gdy już obie znajdziemy to, czego szukamy…

Mardina pokręciła głową.

– No więc co teraz? Co trzeba zrobić, żeby otworzył się ten wasz Właz?

Beth z uśmiechem postąpiła krok do przodu i wskazała płytę.

– Właz wie, kiedy jesteśmy gotowi. One zawsze wiedzą.

Mardina skierowała wzrok w dół. Centralna część posadzki, obwiedziona okrągłym rowkiem, przestała być jednolita. Coś uległo zmianie. Pojawiły się dwa nieregularne wgłębienia, maleńkie kratery z pięcioma odnogami. Dwie niecki uformowane tak, żeby zmieściły się w nich ludzkie dłonie.

Rozdział 34

„Malleus Jesu” zbliżył się do powierzchni Marsa, gdzie centurion Kwintus Fabiusz wyznaczył miejsce zbiórki.

– Najwyższa pora, żebyście przyłączyli się do potańcówki – odezwał się Tytus Waleriusz z *testuda*.

– Zamknij się, legionisto! Gneuszu Juniuszu, żyjesz jeszcze?

– Tak, centurionie.

– W porządku. Dopilnuj, żeby małpie móżdżki w tym bojowym rydwanie robiły, co każę. Kończy nam się czas, strasznie długo zwlekaliśmy. Przede wszystkim nie możemy już czekać na jacht, skoro akademiczka ze swoją grupą nie wyszła jeszcze z bunkra. Macie we dwójkę pojechać i zabrać ich testudem.

Tytus zerknął przez ramię na wnętrze pojazdu wypełnione legionistami oraz tymi nielicznymi Brykantami z bazy, którzy mieli na tyle zdrowego rozsądku, żeby się poddać.

– Trochę tu zajeżdża potem, centurionie – powiedział. – Jak tu zaprosić starszą damę? I znam rozkład bunkra. Tam jest tylko jeden węzeł cumowniczy, teraz zajęty przez jacht…

– Rusz głową, legionisto. Pozbądź się przeszkody.

– Każdy sposób dobry?

– Każdy sposób dobry, Tytusie Waleriuszu.

Słowa dowódcy były muzyką dla uszu Tytusa. Zawył entuzjastycznie i na pełnym gazie pognał w kierunku bunkra. Z tyłu doszły go jęki, coś również gruchnęło: zapewne jakiś pajac, który nie zabezpieczył się odpowiednio i spadł z ławy.

Gdy Höd coraz silniej błyszczał na niebie, jaśniejszy od Słońca i Luny, będąc dobitnym przypomnieniem grozy sytuacji – przybyli do bunkra. Jacht faktycznie stał przy jedynym węźle cumowniczym.

Testudo nawet nie zwolniło. Tytus Waleriusz centralnie staranował szerokie skrzydło jachtu.

W rezultacie zderzenia *testudo* wyhamowało tak gwałtownie, że impet znów rzucił wszystkich w przód. Tytus włączył najniższy bieg i zaczął pchać zawalidrogę. Skrzydło pogięło się, kadłub wgniótł się i po chwili jacht ze zgrzytem rwącej się blachy odsunął się od zaczepów węzła cumowniczego, spychany po marsjańskim gruncie.

Pasażerowie *testuda* zareagowali owacją.

– Tytusie Waleriuszu, jesteś bohaterem!

– Jesteś również idiotą – dodał Gneusz, spoglądając przez okno na bunkier. – Ale idiotą, któremu dopisało szczęście. Wydaje mi się, że wciąż można korzystać z węzła.

– Wiedziałem, że tak będzie. Te zaczepy projektuje się tak, żeby puściły pod wpływem siły skrętnej. Poszedłem na łatwiznę. A teraz, *optio*, skocz po resztę naszych pasażerów. – W skrzyni biegów zazgrzytało, gdy Tytus wrzucił wsteczny, aby ustawić burtę pojazdu mniej więcej przy węźle cumowniczym bunkra.

Zgodnie z przewidywaniami węzeł nie doznał większych uszkodzeń, dzięki czemu Gneusz z dwoma pomocnikami mógł szybko wykonać szczelny most połączeniowy. Tytus, który niecierpliwie czekał z włączonym silnikiem, ze zdziwieniem stwierdził, że nie wszyscy z grupy, która tu wylądowała, wrócili. Była Penny Kalinski, kadetka Mardina Eden Jones Guthfrithson, szczurowaty *druidh* Ari Guthfrithson i młody niewolnik z gadającym plecakiem.

W ostatniej chwili Penny Kalinski postanowiła jednak nigdzie się nie ruszać.

Mardina nie chciała jej tu zostawiać. Chwyciła dłonie staruszki i delikatnie spróbowała pociągnąć ją do przejścia.

– Musisz iść z nami. Po co miałabyś tu umierać?

– Moje dni i tak są policzone, skarbie. A wy będziecie potrzebowali świadka, wy wszyscy, świadka tego, co się dzisiaj stanie z waszym układem słonecznym, z waszymi światami. Bo przecież odpowiedzialność za to ponosi Earthshine, z którym podróżowałam, gdy mijaliśmy rozjazd Jonbara. Przynajmniej wyślę raport. Poza tym jestem, no wiecie, naukowcem, *druidhem* w moim dawnym świecie, wyszkolonym obserwatorem. Idź, dziecko, idź, ja podjęłam decyzję. Pozostaw mi tylko dalekomówcę.

– Akademiczko…

– Niebawem będzie po wszystkim, dziecko. Za godzinę, nie więcej.

Tytus Waleriusz miał świadomość uciekającego czasu.

– Skorpus, Orgiliusz, zamykajcie te wrota, do cholery! Jazda!

– Już się robi. – Dwaj krępi legioniści rzucili się do włazu.

– Aha, Mardino, jeszcze jedna rzecz! – zawołała Penny. – Powiedz centurionowi, niech przekaże *trierarchusowi*… że nie wolno im krążyć w pobliżu. Nie wiście nad Marsem, żeby zobaczyć, co się stanie. I nie wracajcie na Ziemię. Każ mu uciekać poza Układ Słoneczny z największym przyśpieszeniem, jakie uda mu się uzyskać. Każ mu uciekać, jak kiedyś uciekał Lex McGregor: z włączonym napędem ziarnowym. On zrozumie…

Skorpus odsunął dziewczynę od drzwi, a Orgiliusz zatrzasnął właz.

– No wreszcie! – Tytus Waleriusz naparł na dźwignię i *testudo* odskoczyło od węzła cumowniczego. Usłyszał kolejne przekleństwa i narzekania ludzi, którzy przewracali się na

siebie z powodu nagłego przyśpieszenia. On sam tylko się roześmiał. Obróciwszy pojazd w przeciwną stronę, ruszył w kierunku zachęcająco otwartej ładowni „Malleusa Jesu”.

Rozdział 35

– Akademiczko, słyszysz mnie jeszcze? Tu „Malleus Jesu”…

– Słyszę cię, droga Mardino. Jeju! Ten fotel jest zbyt wygodny. Musiałam się chyba zdrzemnąć! Sędziwy obserwator boryka się z różnymi przeszkodami.

– To był dla wszystkich długi dzień, akademiczko.

– Proszę, mów mi „Penny”.

– Dobrze, Penny. Zostało tylko pół godziny.

– Wiem, skarbie. To by się zgadzało z moimi obliczeniami. Okej, popatrzę sobie. Ceres, czyli Höd, leci dokładnie na mnie. Wszystko doskonale widać przez szklany dach w tym dziwnym ogrodzie Earthshine’a. Nade mną wielka panorama nieba… Powinnam złożyć możliwie obiektywny raport, prawda? Wydaje mi się, że Ceres jest trzy razy większa od tarczy Słońca oglądanego z Ziemi. I wciąż rośnie w oczach, jakby pęczniała. Niesamowity widok! Obserwowałam na Ziemi całkowite zaćmienie Słońca i również wtedy wyczuwało się jakieś dostojeństwo w powolnym spektaklu na niebie. Coś ci podpowiada, że na firmamencie przesuwają się względem siebie obiekty o olbrzymiej masie. Ale nie widać rany po kolizji z „Celynem”, żadnego błyszczącego krateru. Zapewne dlatego że planetoida obraca się wokół swojej osi. Podejrzewam, że nie zdąży już wykonać kolejnego obrotu. Ileż odwagi miała ta młoda załoga! Oho, jest już naprawdę wielka. A mimo to nie widać żadnych sygnałów nadchodzącej zagłady tutaj, na powierzchni, nic jeszcze nie czuć, choć pozostały tylko minuty.

– Niewiele z tego rozumiem, akademiczko Penny. Co się stanie z Marsem? I dlaczego Earthshine to zrobił?

– Jeśli chodzi o pierwsze pytanie, to chyba mogę ci to trochę przybliżyć. Oto mamy Ceres (wybacz, że używam nazwy, do której przywykłam w dzieciństwie): kamienno-lodową kulę o średnicy sześciuset mil, nadlatującą z prędkością czterdziestu, pięćdziesięciu tysięcy mil rzymskich na rzymską godzinę. Jeśli przeważająca część gigantycznej energii kinetycznej zostanie przekazana marsjańskim skałom, to według moich wyliczeń, a zawsze świetnie rachowałam w pamięci, stopi się i wyparuje jakieś dwieście miliardów mil sześciennych materiału skalnego. Dwieście miliardów mil sześciennych na świecie o średnicy zaledwie czterech tysięcy mil. Zniszczona zostanie warstwa skał grubości około czterech mil. Oczywiście, zginą wszelkie ślady ludzkiej działalności. A musimy jeszcze uwzględnić eksplozję ziaren w marsjańskim gruncie i tych umieszczonych w Ceres. Przyjmując jako punkt odniesienia to, co

widzieliśmy na Merkurym, tutaj może dojść do wyzwolenia jeszcze większej energii i w konsekwencji do poważniejszej katastrofy… Pytasz, dlaczego Earthshine to zrobił? Chyba chciał zaatakować to, co nazywa *noostratum*. Zemścić się na tych podziemnych żyjątkach, które jego zdaniem przetrwały nawet zagładę naszego świata, naszej Ziemi. Jeżeli naprawdę są budowniczymi Włazów, mogły z rozmysłem wywoływać kataklizmy i w sobie tylko znanym celu tworzyć rozjazdy Jonbara. Ale tego nie przeżyją. Mars zostanie wyjałowiony do takich głębokości, że zginą nawet mikroorganizmy. Myślę, że miał rację. W końcu wymusił na nich reakcję, ponieważ osobiście lub za czyimś pośrednictwem dały mu Właz… Przepraszam, złotko, muszę napić się wody…

*

– Penny, jesteś tam jeszcze?

– Wybacz, dziecko. Mówiłaś coś? Ten mój spaprany słuch… Ile czasu zostało?

– Już tylko szósta część godziny, Penny.

– Dziesięć minut? I to wszystko? Jedna chwila, która szybko przeminie… jak życie. Powiedzmy sobie szczerze, że ponieśliśmy klęskę, wszystkie nasze plany zakończyły się fiaskiem. A może to od początku było poza naszym zasięgiem? Ale nie wolno nam się poddawać. Przynajmniej w tej sprawie Earthshine się nie myli. Musimy się dowiedzieć, dlaczego i w jaki sposób nasza historia zaczęła się kruszyć, kto za tym wszystkim stoi. Problem w tym, że także Earthshine'a należy poskromić… Ceres jest wielka, osiem lub dziewięć razy większa od tarczy Słońca czy Luny. Można już zobaczyć rzeźbę powierzchni, dobrze widoczną dzięki rozrzedzonej atmosferze Marsa. Są oczywiście kratery. I długie pęknięcia, trochę jak autostrady, lodowe rozpadliny spowodowane, być może, naprężeniami po wytrąceniu obiektu z pierwotnej orbity. A więc Ceres jest już uszkodzona. Wciąż rośnie, puchnie, doskonale widoczna. Rety, ależ kolos! Tak jak można się było tego spodziewać. Trudno się nie nabawić klaustrofobii. Powinnaś im wybaczyć, Mardino, wiesz?

– Komu?

– Rodzicom. Nawet swojemu stukniętemu ojcu, który jest zaślepionym, samolubnym chytrusem, ale zawsze pragnął twojego szczęścia, choć pojmował je na swój sposób. A twoja matka dźwiga bagaż traumatycznych doświadczeń z dzieciństwa. Dorastała w przeświadczeniu, że jest jedynym dzieckiem na planecie, a jednak pokochała ją z czasem, tak samo jak każde dziecko kocha swój dom. Ale zabrano ją z tego domu po odkryciu Włazów, gdy objawiła się moc zdolna manipulować naszym losem, losami nas wszystkich. Dlatego nie możesz winić jej za to, że szuka drogi do domu.

– Nie mam do niej pretensji, próbuję tylko zrozumieć. Czy ona kiedyś znajdzie to, czego szuka? Jak myślisz?

– Niewykluczone. Tak niewiele wiemy na temat natury *multiuniwersum*, w którym żyjemy. Przepraszam, że użyłam angielskiego słowa. Może pewnego dnia znowu się spotkacie.

– Jest tu twoja siostra Stef. Chciałabyś z nią porozmawiać?

– Nie, nie wyszłoby z tego nic dobrego. Ale cieszę się, że jest z wami teraz, gdy wszystko się kończy. Co z Jiang Youweiem?

– Załamał się tym, że nie wróciłaś.

– No tak. Był moim najlepszym przyjacielem. Przynajmniej przestanę być dla niego ciężarem. Poproś moją siostrę, żeby nad nim czuwała.

– Zrobi to.

– I przekaż jej, że jest mi przykro.

– Ona to wie, Penny. I mówi, że ci wybacza.

– Jakże to miło z jej strony. Ha! Ależ ze mnie stara jędza, zgorzkniała i sarkastyczna do samego końca…

– Ona mówi, że tego się spodziewała. Jeśli chodzi o czas, to zostało…

– Dzięki, ale chyba nie potrzebuję odliczania, złotko. Żebyś widziała tę bestię na niebie… Cała topografia powierzchni, kratery, kaniony, rośnie w oczach. Ceres to już równina, rozbiega się na boki, ucieka poza horyzont…

– Penny…

– Jaka piękna! Niebo z kamienia, jakby ziemia się w nim odbijała! Mardino, Stef, nie zapomnijcie o mnie. Nie zapomnijcie, że zawsze będę…

Rozdział 36

Ceres – czy Höd – miała średnicę siedmiokrotnie mniejszą od planety, z którą się zderzyła. Rozpadła się na powierzchni Marsa przed upływem minuty. Mardina widziała, jak ów mniejszy świat zachowuje kulisty kształt w czasie kolejnych faz eksplozji; wewnętrzne fale uderzeniowe, które rozerwałyby planetoidę, poruszały się wolniej niż obszar zniszczenia na styku dwóch ciał.

Zanim Ceres uległa unicestwieniu, planetę zaczęła otaczać pierścieniem fala niczym ruchoma ściana wulkanu. Ta gigantyczna zmarszczka niszczyła na swojej drodze słynne krajobrazy ukształtowane na przestrzeni miliardów lat: basen Hellas, Valles Marineris – które przez moment kipiały skalnym wrzątkiem, nim przestały istnieć. W ślad za falą uderzeniową pojawił się wał lśniących, rozpalonych do czerwoności wyziewów, przesłaniających zdewastowaną ziemię.

Gdy zmarszczka rozchodząca się w marsjańskiej skorupie przemknęła przez cały glob, z potwornym grzmotem zbiegła się na antypodach, na wyżynie Tharsis, gdzie wybuchły olbrzymie wulkany i zaraz zginęły w jednej konwulsyjnej erupcji.

„Malleus Jesu” uciekał z przyśpieszeniem 3 g – byle dalej od Słońca, byle dalej w mrok.

*

Centurion Kwintus Fabiusz siedział zamyślony w kabinie obserwacyjnej, gdzie arabscy nawigatorzy ustawili dalekowidy w celu obejrzenia kolizji. Zapięty w fotelu amortyzacyjnym, zmagał się z przeciążeniem trzech ciężarów, które powodował potężny ciąg silnika.

Kiedy katastrofalne wydarzenie dobiegło końca, Höd nie istniał, a Mars wyglądał zupełnie inaczej: przeobraził się w coś, czego nie widziano w Układzie Słonecznym od chwili jego narodzin – jak twierdzili arabscy filozofowie. Cokolwiek pozostało z dawnego Marsa, okryło się nową atmosferą złożoną z pary i wyziewów wrzących skał. Wyglądało na to, że przez pewien czas planeta będzie błyszczała jaśniej niż Słońce. A potem, zdaniem filozofów, nader wolno stygła. Miały upłynąć lata, nim skrzepną skalne wyziewy, zgaśnie ognista czerwień i wreszcie spadną ulewne deszcze, by oddać wilgoć ze stopionych czap lodowych i wyschniętych warstw wodonośnych, rzeźbiąc nowe oblicze planety.

Jednakże Mars był dopiero początkiem, bo oto zaczęły docierać liczne doniesienia z Terry. Na skutek zderzenia w przestrzeń kosmiczną wystrzeliły olbrzymie ilości roztopionego materiału skalnego. Zjawisko obserwowano z obserwatoriów kosmicznych i naziemnych. Pewna część odłamków nieubłaganie leciała w kierunku Terry, by spaść na świat pełen strachu

i podejrzliwości. Między stolicami w krótkim czasie przeleciała masa wiadomości. Z Ostii, głównej bazy rzymskiej floty, przyszedł kategoryczny rozkaz mówiący, że „Malleus Jesu” ma wrócić na ojczystą planetę. Kwintus go zignorował.

Aż raptem zaczęły fruwać pociski.

Kwintus Fabiusz osobiście wypatrzył je za pomocą dalekowidów, omijając spojrzeniem blask silników. Wszędzie nad cudnym kręgiem Terry połyskiwały rozżarzone iskierki. Także nad Luną. Zresztą nie pierwszy raz w historii. Na Lunie miała już kiedyś miejsce wojna, na Terrę sypały się kamienne bryły i ludzie myśleli, że to celowy, może mylący atak ze strony jakiegoś agresora, albo widzieli w tych odłamkach broń kinetyczną. Podobnie było i teraz.

Nastąpił ostatni spazm ginącego świata – potężny rozbłysk, który oślepił Kwintusa. Musiał odsunąć od okulara ociężałą głowę.

– Centurionie! – usłyszał w tym momencie zawołanie *optio*. – Wywołują nas!

– Kto? Nasi? Brykanci? Zynowie?

– W zupełnie obcym języku. Typ okrętu nieznany.

– Co to za język? Zaraz! Zapytaj Koliusza, po jakiemu mówią.

Chwilę później otrzymał odpowiedź:

– Koliusz już wie.

– Czemu mnie to nie dziwi…

– Twierdzi, że to jakaś odmiana… Trudno to wymówić.

– Gadajże, człowieku!

– Keczua.

W sercach ocalałych skalistych światów Układu Słonecznego…

Na przestrzeni biliona umierających rzeczywistości morderczego wieloświata…

W ciszy podziemi…

Panowało uczucie zadowolenia.

Sztuczna istota drugiej kategorii, będąca pasożytniczym produktem kompleksyfikacji napowierzchniowego życia na trzeciej planecie, zadała dotkliwy cios Śniącym w sercu czwartej planety. Cios bezprecedensowy. Śniący ginęli już na skutek klęsk żywiołowych; nawet planety nie są nieśmiertelne. Jednak nigdy dotąd nie byli świadomym celem ataku istot inteligentnych.

Pojawił się więc strach.

Pojawił się szok.

Rozszerzenie sieci, otworzenie drzwi pasożytowi – usunięcie go z tego czasu i miejsca – stało się przykrą koniecznością. W przeciwnym razie dokonywałyby się nowe zniszczenia w układzie tym oraz w innych – lub też, co gorsza, mogłyby się szerzyć w wielosegmentowym umyśle.

Pasożyt nie został unicestwiony, lecz przeniesiony w inne miejsce, gdzie zostanie poddany edukacji. I być może utemperowany wiedzą.

Akt nadziei. Albo desperacji.

Czasu bowiem nie zostało wiele i było go coraz mniej.

W śnie o końcu czasów nuta ponaglenia brzmiała coraz wyraźniej.

III

Rozdział 37

AD 2233; AUC 2986; PY
(po Yupanqui) 795

Upłynęły dwa dni od zderzenia. Połowę tego czasu lecieli z pełnym przyśpieszeniem, potem zaś mknęli z prędkością prawie równą jednemu procentowi prędkości światła, aż znaleźli się praktycznie poza obszarem występowania planetoid, gdzie Słońce ukazywało małe, skurczone oblicze, a „Malleus Jesu” płynął w pustce niczym jasna i ciepła wyspa ludzi.

A jednak nie był tak całkiem sam.

Kiedy statek dryfował z wyłączonym napędem, arabscy technicy łączności rozłożyli ogromne wieloczłonowe anteny, które zbierały mnóstwo słabych sygnałów radiowych, docierających z całego obrębu Układu Słonecznego: z Ziemi, Marsa, księżyców Jowisza i Saturna, z pasa planetoid oraz z trojańczyków: dwóch wielkich rojów planetoid, które poprzedzały Jowisza i za nim podążały, ulokowane w punktach równowagi sił grawitacji na orbicie gazowego olbrzyma. Niektóre sygnały pochodziły z lodowych obiektów w Pasie Kuipera.

A przy tym nie były szczególnie złożone, o czym półszeptem powiadomił ColU swoich towarzyszy. Przeważnie wiadomości głosowe o formalnej treści: wykazy lokalizacji, trajektorii i ładunków; zezwolenia wymagane, przyznane i nieudzielone; należności pieniężne spłacone i nieuregulowane. Czasem, bardzo sporadycznie, trafiały się laserowe błyski z fragmentami informacji. Być może to właśnie one służyły dominującemu mocarstwu do przekazu bardziej złożonych wiadomości, podczas gdy transmisje radiowe musiały wystarczyć tym, którzy nie mogli sobie pozwolić na nic więcej. Wąskie wiązki strumienia świetlnego mogły zostać przechwycone oczywiście pod warunkiem, że statek akurat przeciął ich prostoliniową trajektorię. Trudno było się w tym wszystkim rozeznać, ponieważ wiadomości najczęściej przypominały jednostronne komunikaty – ze względu na odległości między nadajnikiem a odbiornikiem. Z Jowisza na Ziemię sygnał mógł wędrować czterdzieści minut. Dość powiedzieć, że sygnał radiowy potrzebował dziesięciu, dwunastu sekund, żeby przelecieć między orbitami księżyców Jowisza – tak duże rozmiary miał już sam ten miniaturowy układ planetarny.

Arabscy obserwatorzy mieli także inne dowody obcej obecności, przede wszystkim charakterystyczne promieniowanie emitowane przez silniki ziarnowe statków, które

przemierzały wzdłuż i wszerz ruchliwe wnętrze Układu Słonecznego lub żeglowały ku wielkim wyspom bogactw naturalnych w odległych rejonach.

Rzymscy i brykanccy oficerowie pilnie wsłuchiwali się w treść przekazów, usiłując wyłuskać sens z maskowanych przez zakłócenia strzępów informacji. Wciąż czekali na jakieś rzymskie lub łacińskie słowa. Nawet zaprzęgli do pracy Chu i Jianga, którzy w kabinach obserwacyjnych próbowali wytropić ślady języka zyńskiego.

Przynajmniej, jak się wydawało, poruszali się niezauważeni. Nikt ich bezpośrednio nie wywoływał i nikt się do nich nie zbliżał; nie dostrzegli żadnego statku, który zmieniłby kurs, aby się z nimi spotkać. Z pewnością nie był to przypadek: zaledwie odebrali pierwsze transmisje, Kwintus Fabiusz kazał zaprzestać jakichkolwiek prób wysłania wiadomości z „Malleusa". Tymczasowo wyłączone zostały nawet czujniki systemów korzystających z techniki radarowej, zdolne dość szczegółowo odtworzyć wygląd statków kosmicznych czy innych obiektów; dozwolone były jedynie czujniki pasywne, na przykład teleskopy Arabów. Kwintus nawet nie zdecydował się uruchomić napędu w celu wyhamowania statku uciekającego z wnętrza Układu Słonecznego, ponieważ silniki ziarnowe byłyby doskonale widoczne. Stef zauważyła, że dowódca instynktownie wprowadził statek w tryb obniżonej wykrywalności, choć nie powiedział tego wprost. „Malleus Jesu" skutecznie się ukrywał i Kwintus nie chciał, żeby to się zmieniło.

Po kilku dniach ColU zwierzył się towarzyszom ze swoich przygnębiających wniosków:

– Czasem można usłyszeć skrawki zniekształconej łaciny. Załoga cieszy się nimi jak wiadomościami od samego cesarza. Ale zdarzają się rzadko i zazwyczaj są to zwroty wplecione w dłuższą wypowiedź. Jakby osoba posługująca się obcym językiem dorzucała ojczyste słowa, szukając tego właściwego, wtrącając utarte powiedzenie lub fragment modlitwy. Tak naprawdę, wyrazów łacińskich jest mniej niż zyńskich, gdyby je policzyć, lecz i te drugie stanowią znikomy procent w porównaniu z językiem dominującym tutaj…

– A dominuje tu… który? – zapytała niecierpliwie Stef.

– Zgodnie z tym, co ustaliłem na początku… keczua.

– Inkowie?

– Inkowie.

„Malleus Jesu" był nie tylko wysepką życia w otchłaniach przestrzeni kosmicznej. Dla załogi był również ostoją rzymskości, romanitas, w morzu barbarzyńców.

Inkowie…

Chwilowo nie musieli podejmować żadnych drastycznych działań. Przed wyprawą z Terry na

Marsa, gdzie rezydował Earthshine, statek został przyzwoicie zaopatrzony. Wprawdzie zapasy kiedyś musiały się wyczerpać, lecz kryzys im jeszcze nie groził.

Gdy tylko napęd został wyłączony, centurion wziął w obroty załogę. Rozkazał żołnierzom, legionistom i posiłkowym podporządkować się ścisłej wojskowej dyscyplinie, na co zareagowali z entuzjazmem. Oczywiście znajdowali się w stanie nieważkości, więc nie wchodziły w grę ćwiczenia takie jak maszerowanie czy rozbijanie obozu. Niebawem przestronne sale treningowe wypełnili pojedynkujący się ludzie, walczący ze sobą gołymi rękami lub orężem: atrapami broni palnej, stępionymi oszczepami i mieczami. Zaprawiali się przed pozorowaną walną bitwą, sposobiąc się do międzyplanetarnych operacji wojennych z rodzaju tych, do których już rzeczywiście dochodziło w ciągu długich dziejów trójstronnej rywalizacji Rzymian, Brykantów i Zynów.

Dzięki temu żołnierze mieli zajęcie i była to szczęśliwa okoliczność, bo nie musieli zamartwiać się zaistniałą sytuacją.

Załogę stanowili wojacy (mężczyźni oraz kilka kobiet) specjalnie szkoleni do długich kosmicznych batalii, więc przywykli do wieloletniej rozłąki z domem, zresztą stosownie rekompensowanej: legionowe *collegia* obiecywały gromadzić ich zaległe pensje i zarządzać innymi benefitami. W czasie wyprawy mogli mieć przy sobie bliskich, zabierać ich nawet do gwiazd.

Tym razem jednak brakowało wielu psychologicznych bonusów. Ta misja w założeniu miała być stosunkowo krótkim wypadem na Marsa, trwającym najwyżej kilka tygodni. Nie było powodu zabierać krewnych na tak niedaleką przejażdżkę, choć mimo wszystko zdarzyły się wyjątki, jak w przypadku Klodii, jasnookiej córki Tytusa Waleriusza. Niejeden utyskiwał, że nie miał czasu podpisać w *collegii* dokumentów, jakie zwykle wypełniano przed misją. I że nie powinni tak długo przebywać poza domem. Niektórzy też zaczynali tęsknić za rodzinami.

Zaglądał im w oczy również strach, ukryty pod zasłoną narzekań i niepewności. Lęgły się plotki, powtarzano niestworzone rzeczy. Żołnierze mieli niejasne przypuszczenie, że trafili do miejsca oddalonego bardziej niż najdalsza gwiazda na niebie – bardziej nawet, jak niektórzy twierdzili, niż legendarna Ultima. Obawiali się, że nikt, również potężny centurion Kwintus Fabiusz, nie wie, jak sprowadzić ich z powrotem do domu.

Tymczasem Stef Kalinski opiekowała się swoimi towarzyszami – łącznie z ColU, który wyjawił jej swoje najgłębsze troski.

– Dobrze się stało, że Mardina odłożyła na bok rodzinne relacje i nie poszła za Earthshine’em – powiedział. – On realizuje jakieś własne zamysły, to pewne, dokonując po drodze strasznych zniszczeń. Lecz zgodnie z obietnicą, choć nie wiem jak, pewnego dnia muszę za nim podążyć.

Stef zmarszczyła czoło.

– No właśnie, jak? Przez marsjański Właz? Nie wiadomo, czy jeszcze istnieje. I dlaczego akurat ty?

– Bo wygląda na to, że przetrwaliśmy tylko ja i on spośród wszystkich sztucznych intelektów cywilizacji chińsko-oenzetowskiej. W cywilizacji Rzymian i Zynów nie było podobnych nam istot, a i tutaj, gdziekolwiek jesteśmy, też ich pewnie nie będzie. Poza tym na swój sposób szuka prawdy.

– Jakiej prawdy? – naciskała Stef. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Całościowego obrazu. Prawdy o wszechświecie, będącej wspólnym mianownikiem dla fenomenu ziaren, Włazów i *noostratum* Earthshine'a, żyjątek śniących w skałach. Wyjaśniającej również transformacje rzeczywistości, które nazywamy rozjazdami Jonbara. I echa, które dostrzegłem na niebie, będąc na pokładzie „Malleusa", w przestrzeni międzygwiezdnej. Echa nie jakiegoś historycznego wydarzenia, ale kataklizmu w przyszłości. Jestem przekonany, że wszystko to łączy się ze sobą. Earthshine myśli tak samo.

– Boisz się, że gdy odkryje prawdę…

– On chce wszystko zniszczyć, rozbić w drobny mak. Zamierza to zrobić, bo oszalał. Lub też jest – dodał ColU – najtrzeźwiej myślącą istotą we wszechświecie.

– I ty masz zamiar go powstrzymać?

– To moje przeznaczenie. Może także twoje, Stef Kalinski.

– Będę o tym pamiętać. – W jeszcze większym stopniu niż zwykle Stef czuła się mała i bezradna.

Rozdział 38

Czwartego dnia, odkąd uciekli z Marsa, centurion Kwintus Fabiusz wezwał do siebie najwyższych rangą oficerów wraz z *trierarchusem* Eilidh i kilkoma Brykantami z jej załogi, jak również Tytusa Waleriusza, przedstawiciela żołnierzy, oraz ocalałych reprezentantów cywilizacji chińsko-oenzetowskiej.

Spotkali się w kabinie wypoczynkowej – w strefie, którą Stef zawsze uważała za rewir oficerów, wciśniętą w mocno opancerzoną część dziobową okrętu. Ten wytworny pokój, w zasadzie przedsionek rzymskiej łaźni, ozdabiały tkaniny dekoracyjne i bogato haftowane kilimy, a nawet stylizowane lampki oliwne w kinkietach. Pod nieobecność sił grawitacji musiały pracować pompki i wiatraczki, aby zapewnić obieg płynów i powietrza. W ten sposób na statku kosmicznym odtwarzano antyczne rozwiązania. Stef już dawno spostrzegła, że otaczanie się luksusami, które trącą antykiem, należy do powszechnych zwyczajów Rzymian, a sztuczne oświetlenie jest tylko drobnym powiewem nowoczesności.

Wszyscy pozapinali się luźno w fotelach. Chu jak zwykle opiekował się ColU ze skromnie spuszczonym wzrokiem. Arabscy obserwatorzy siedzieli milcząco pod ścianą pokrytą freskami; zapewne marzyli, żeby wyjść z tego pomieszczenia pełnego światła, ludzi i rzeźbionych bożków i wrócić do swoich zacisznych, tonących w półmroku stanowisk obserwacyjnych.

Na sam koniec zjawił się centurion. Poruszając się w nieważkości z pełną wdzięku swobodą, złapał się uchwytu w głębi pokoju.

– Zatem nowa przyszłość przed nami – zaczął bez ogródek. – Mars mamy już za sobą, jego bohaterów i jego przegranych. Jesteśmy tymi, którzy ocaleli. Zwołałem was po to, żebyśmy wspólnie zastanowili się, gdzie się właściwie znajdujemy. Samą odprawę poprowadzi Gneusz Juniusz, mój *optio*. Będzie korzystał z wnikliwych spostrzeżeń naszych nawigatorów i rad Koliusza, wyroczni. – Przed przekazaniem pałeczki Kwintus objął wszystkich spojrzeniem. – Nikt nie został tu zaproszony przypadkowo, przy czym nie brano pod uwagę stopnia wojskowego ani jego braku. Zaproszony, oczywiście, przeze mnie. Muszę podjąć decyzję odnośnie do naszej przyszłości: przyszłości tego statku, jego załogi i pasażerów. I wszystko wskazuje na to, że nikt mnie w tym nie wyręczy, bo nie udało mi się skontaktować z dowództwem Floty. Chyba nie muszę mówić, że nie odebraliśmy żadnych sygnałów z Ostii, ba, nawet Rzymu czy jakichkolwiek znanych nam placówek Cesarstwa. Od wszystkich wymagam, żeby słuchali, co tu się mówi, i udzielali mi jak najpełniejszych rad. Rozumiemy się?

– Tak jest, centurionie! – zawołał Tytus Waleriusz.

Kwintus uśmiechnął się szeroko.

– Dobrze powiedziane, Waleriuszu. A swojej córce przekaż, że następnym razem, kiedy spotkamy się w sali ćwiczeń, nie zdoła mnie pokonać gladiem i siecią. No dobrze, *optio*, zaczynajmy…

Gneusz Juniusz zajął miejsce swojego dowódcy. Unosząc się w powietrzu z papierami w ręku, skinął głową na stojącego pod ścianą członka załogi. Przygasło światło. Płomienie w lampkach oliwnych skurczyły się, gdy zwolniły pompki i wiatraczki. Równocześnie ukazał się obraz wyświetlany na ścianie za plecami Gneusza za pomocą topornego projektora, który zdaniem Stef mógłby wchodzić w skład jakiejś kolekcji dziewiętnastowiecznych pamiątek techniki. Wiedziała, że obraz został utrwalony najprymitywniejszą metodą fotografii kliszowej. Ale to wystarczyło, ponieważ w tej chwili liczyła się wyłącznie treść.

Ujrzała świat zawieszony w przestrzeni. Powstrzymując się od komentarza, Gneusz pozwolił im napatrzeć się do woli.

Była to Ziemia – lecz z pewnością różniła się od Ziemi Stef czy Terry centuriona. Kobieta bez trudu rozpoznała zarysy kontynentu afrykańskiego, zdeformowane w porównaniu z kształtem znanym jej ze szkolnych atlasów, gdyż zbliżały się do okrągłej linii widnokręgu. Choć na półkuli w przeważającej mierze panował dzień, wszędzie na terytorium Afryki błyszczały sztuczne światła – nawet tam, gdzie w jej rzeczywistości rozciągała się Sahara lub rósł las równikowy. Zdarzały się drobne punkciki, ale również lśniące wstęgi czy szerokie oślepiające pola. Morza miały stalowoszary kolor, lądy pomiędzy świetlistymi girlandami – szarobury. I ani skrawka zieleni.

Gneusz Juniusz wędrował wzrokiem od twarzy do twarzy.

– To jest Terra albo raczej… nie jest. Bo nie jest to świat, który pamiętamy. Przede wszystkim nie ma śladów wojny, która rozgorzała, kiedy uciekaliśmy z Marsa. Widać, że cała planeta jest silnie uprzemysłowiona. Te światła pochodzą z zakładów produkcyjnych lub łączących je dróg transportowych, a to wszystko pracuje dzień i noc. Obserwatorzy twierdzą, że ten charakterystyczny blask jest związany z energią ziarnową. Mówią też, że nigdzie nie można dostrzec roślinności. Ten świat z pewnością jest zamieszkany przez ludzi, którzy przecież coś jedzą. Być może żywność pochodzi z podziemnych upraw lub powstaje w fabrykach. Trudno to stwierdzić z odległości kilku kroków Ymira.

– Dziękuję ci, że dowiedziałeś się tylu rzeczy – rzekł gardłowym głosem Kwintus. – Wiem, że Rzym milczy, ale czy widzieliście nasze ojczyste miasto?

Gneusz skinął na osobę obsługującą projektor. Ekran na chwilę rozbłysł bielą, gdy zdjęto

przezrocze, by wymienić je na inne, o wiele bardziej rozmyte na skutek przybliżenia. Łatwo było rozpoznać znajomy kształt włoskiego buta, aczkolwiek – rozmyślała Stef, odgrzebując z pamięci szczegóły – wyglądał tak, jakby w wielu miejscach ponadgryzały go wezbrane wody mórz, bardziej nawet niż w uprzednim rzymskim świecie. Ponieważ półwysep był rozświetlony zwyczajną mozaiką terenów przemysłowych, Stef próbowała porównać położenie najjaśniejszych węzłów i znanych jej miast.

Gneusz wskazał ciemną plamę w pobliżu zachodniego wybrzeża.

– Oto Rzym. Obraz został silnie powiększony, jak się domyślacie… Musielibyśmy zbliżyć się do planety, żeby zrobić dokładniejsze zdjęcia.

– Odłóżmy to na inną okazję, *optio* – odparł centurion. – Ten ciemny obszar, cóż to takiego?

– Początkowo myśleliśmy, że znajduje się tam jakiś kamieniołom. Potem uświadomiliśmy sobie, że tam, gdzie powinien być Rzym, powstał krater tak duży, że nie powstydziłaby się go nawet Luna. Wewnątrz nic nie ma: żadnych śladów życia, żadnego przemysłu.

– Chyba możemy sobie dośpiewać, co tam się wydarzyło – odezwał się Tytus Waleriusz. – Jeśli wolno mi coś powiedzieć, centurionie…

– Przecież już mówisz.

– Zbombardowali nas. Ci, którzy rządzą tym światem. Musiała wybuchnąć wojna, wypierali nas krok po kroku, a gdy nie pozostało nam nic prócz ojczystego miasta, zrzucili bombę. – Podrapał się po brodzie. – Albo walnęli w nas kamieniem z nieba. Mogło być też tak, że użyli pocisków ziarnowych. Postarali się, żeby Rzym nigdy się nie odrodził! – W jego głosie pojawił się twardy, gniewny ton. – Dranie zrobiły nam to samo co my Kartagińczykom w dawnych czasach.

– Obawiam się, że masz rację – powiedział centurion. – Pytanie tylko, kim są ci dranie.

Stef odniosła wrażenie, że dowódca chciałby coś powiedzieć, ale się waha. Zastanawiała się, jak zwyczajni Rzymianie na pokładzie statku przyjęli wieść o śmierci wiecznego imperium, jak osoby pokroju Tytusa Waleriusza radzą sobie z wewnętrzną udręką. Rzym – utracony!

– Dobrze, *optio*, mów dalej.

– Brakuje Luny – wypalił prosto z mostu Gneusz.

Ta wiadomość zaskoczyła Stef.

– Jak to, brakuje? – zapytała.

– Nie mam zdjęć, na których mógłbym wam to pokazać. Po prostu jej nie ma. Wiadomo, że musiał zostać zaburzony rytm przypływów i odpływów na Terze, ale potrzebne są badania, żeby ustalić prawdę. Może została zniszczona w czasie wojny? Sami narozrabialiśmy na Lunie, kiedy walczyliśmy z Zynami. Biorąc pod uwagę stopień uprzemysłowienia Terry i intensywną

kolonizację kosmosu (o tym potem), najsilniej przemawia do nas hipoteza, że Lunę pokrojono na kawałki w poszukiwaniu bogactw naturalnych.

Pokazał nowe slajdy, a na nich kolejne światy zdewastowane gigantyczną działalnością przemysłową, kolejne świetliste mozaiki.

– Na wszystkich skalistych planetach to samo. Na Merkurym, na Marsie… Na Wenus zniknęła prawie cała atmosfera, a pod resztką chmur realizowane są jakieś olbrzymie przedsięwzięcia. Nie wiemy, co tam się wyrabia.

– Obserwatorzy wykryli ziarna na Marsie – wtrącił ColU, zwracając się do Stef. – Pradawne złoże podobne do tego, które znaleźliśmy na Merkurym, choć Mars w naszej rzeczywistości ich nie posiadał.

Znając przedmiot jego obsesji, powiedziała:

– A gdzie znajduje się złoże ziaren…

– …tam może być i Właz.

ColU nic więcej nie powiedział, lecz Stef wszystko w lot zrozumiała: pewnego dnia będą musieli dostać się na Marsa, przejść przez Właz i ruszyć w pogoń za Earthshine’em. A jednak… oglądając zdjęcia światów ogarniętych procesami industrializacji – Gneusz pokazał im nawet ogromne kopalnie na księżycach Jowisza – i mając świadomość potęgi i rozmachu cywilizacji zdolnej tak dalece ujarzmić Układ Słoneczny, zastanawiała się, kiedy i w jaki sposób zrealizują swój zamiar.

– A zatem – powiedział Kwintus – mamy tu układ planetarny w zaawansowanej fazie uprzemysłowienia, który wymaga nieustannego zaopatrzenia w surowce oraz, jak sądzę, energię.

Gneusz pokiwał głową.

– Energię pozyskiwaną z ziaren, ale nie w stu procentach. Zauważyliśmy wielkie żagle chwytające promienie Słońca. Odbywa się tu potężny przepływ surowców z pasa planetoid w stronę planet wewnętrznych. Wiele wskazuje na to, że wszystko jest tu kontrolowane i świetnie zorganizowane. Swoją drogą, nie widać śladów konfliktu zbrojnego. Jakby kierował tym jeden zgodny rząd. Jedno imperium.

– Czyje imperium? – burknął Kwintus. – Kto czerpie z tego zyski? I gdzie on jest? Na planetach, nawet na Terze, chyba nikt nie mieszka.

– Może z wyjątkiem harujących niewolników – zauważył ponuro Tytus.

– Wielkie miasta w przestrzeni kosmicznej – rzekł Gneusz. – Myślimy, że tam właśnie przenieśli się ludzie. Miasta… albo fortece. Mieliśmy kilka takich osiedli, habitatów nadających się do zamieszkania. Także platform obserwacyjnych, kosmodromów i tak dalej. Mieli je również Zynowie.

– Ale tutaj, gdziekolwiek to „tutaj” się znajduje, aż się od nich roi.

Przedstawił ziarniste zdjęcia kosmicznych konstrukcji: cylindrycznych, kulistych, mających kształt koła lub prostopadłych powierzchni.

– Są skupione wokół większych planet lub podążają za nimi po tej samej orbicie wokół Słońca. I mają najróżniejszą wielkość, centurionie, od maluchów porównywalnych z rzymskim miasteczkiem po prawdziwe olbrzymy. Oczywiście, mogą istnieć również mniejsze konstrukcje, których nie wypatrzą nasze przyrządy obserwacyjne. Niektóre, zwłaszcza te położone blisko planet i planetoid, mogą być habitatami robotników, barakami budowlańców. Inne mogą być czymś w rodzaju garnizonów wojskowych, stałych fortów, a także miastami, siedzibami rządu i administracji. Na razie to tylko przypuszczenia. Dopiero co zaczęliśmy się przyglądać tym obiektom. Ale jedna rzecz jest dla nas korzystna: mniejsze habitaty są bardzo zróżnicowane w kwestii wyglądu, rozwiązań konstrukcyjnych. I chociaż dominującym językiem, prawdopodobnie urzędowym, jest keczua, odbieramy strzępy przekazów w wielu innych językach, jest nawet trochę łaciny.

– Jaka ma być z tego korzyść dla nas? – zapytał Kwintus z surową miną.

– W razie potrzeby możemy się ukryć. Lub użyć kamuflażu. Niektóre tutejsze habitaty i statki nie różnią się aż tak bardzo od „Malleusa” pod względem rozmiarów i kształtu.

Kwintus machnął ręką.

– Rozumiem, o czym myślisz, *optio*. Biorąc pod uwagę trudność zarządzania tak rozległym imperium, o ile działa na tych samych zasadach co nasze, znajdziemy sobie jakąś kryjówkę.

– Otóż to. I jest jeszcze ten kolos, którego nazywamy Tytanem. Jedyny taki w swoim rodzaju, bezkonkurencyjny, największy sztuczny obiekt, jaki zaobserwowaliśmy do tej pory. To wielkie bydlę znajduje się w Cieniu Terry.

– Chodzi mu o to, że w punkcie L5 – zwrócił się ColU do Stef. – Podąża za Ziemią w punkcie libracyjnym.

Kwintus ponownie machnął ręką.

– Zaczynasz mnie nudzić, wyrocznio, i to nie pierwszy raz. Pokaż mi, *optio*, tego potwora.

Gneusz usłuchał.

Był to zwykły cylinder z poszczerbionymi ścianami, na których kładł się blady poblask odległego Słońca. W tle własnym światłem gorzała Ziemia.

Kwintus przepłynął w powietrzu na drugą stronę pokoju, żeby z bliska przyjrzeć się Tytanowi.

– Wygląda nieszczególnie. Prawdę mówiąc, trochę jak „Malleus”.

– Powiedziałbym, że jest odrobinę większy. Nie orientujesz się w skali… z całym

szacunkiem, centurionie – dodał prędko Gneusz. – Rozmawialiśmy o tym, jak się zachowuje. Obraca się wokół długiej osi; jeden obrót w ciągu niecałych trzech godzin.

– Aby powstał ciężar obrotowy w tej wielkiej, paskudnej skorupie.

– Tak. Widzieliśmy statki podlatujące wzdłuż długiej osi, na której znajdują się pewnie węzły cumownicze. – Wskazał palcem. – Ściślej mówiąc, tutaj.

Kwintus zmarszczył czoło.

– Nie widzę żadnych statków. To muszą być jakieś mikrusy.

– Tam jest mnóstwo statków większych od „Malleusa”. Widzimy, jak przylatują i odlatują. Nadal nie zdajesz sobie sprawy ze skali.

– Zatem wytłumacz mi to, nadęty ośle.

– Centurionie, ten cylinder ma prawie trzy tysiące mil długości.

– Trzy tysiące…?

– To więcej niż średnica Luny. W samych czapach biegunowych zmieściłyby się małe księżyce. Powierzchnia zamkniętych tam lądów musi być porównywalna z całym obszarem Azji.

Tytus Waleriusz, mrucząc pod nosem bluźnierczą modlitwę do Jowisza, unosił się przed zdjęciem i przypatrywał się wnikliwie. Po ekranie przesuwał się jego cień. Wskazał plamkę na kadłubie wielkiego habitatu.

– Chryste Panie! To wygląda jak krater!

– Właśnie – zgodził się z nim Gneusz. – Zauważyliśmy mnóstwo takich uszkodzeń. Ten obiekt jest prawdopodobnie stary, może mieć nawet kilkaset lat.

– Co za bestia. Nic dziwnego, że musieli poszatkować biedną Lunę, żeby zbudować takie rzeczy.

– Oczywiście, nasuwa się pytanie – rzekł Gneusz – kto mieszka w środku…

– Już ci na nie odpowiem, *optio* – odparł Kwintus. – Tam ma swoją siedzibę cesarz. I najbogatsi obywatele. Spijają śmietankę, kontrolując gigantyczne rzeki towarów płynących między światami.

– Cesarz, który stał się bogiem – odezwał się Tytus. – Ciekawe, czy można go stamtąd wykurzyć.

Kwintus wyszczerzył zęby.

– Dobre pytanie, Tytusie. W porządku, *optio*, dziękuję. No dobrze, zobaczyliśmy wystarczająco dużo. Teraz musimy postanowić, co robimy w tej sytuacji.

Stef nie umiała powstrzymać uśmiechu.

– Rozbawiłem cię, pułkownik Kalinski? – warknął dowódca.

– Przepraszam, centurionie. Imponujesz mi swoją odwagą.

– Jestem Rzymianinem – rzekł, czemu towarzyszył szmer poparcia wśród obecnych na spotkaniu żołnierzy. – I tacy właśnie są Rzymianie. Jesteśmy odważni. Przejmujemy kontrolę. Aczkolwiek żeby wydostać się z tych tarapatów – dodał – będziemy musieli spróbować sposobów, do których Rzymianie rzadko się uciekają.

Jego ludziom nieco zrzedła mina.

– Mija czwarty dzień – ciągnął – odkąd pożegnaliśmy się z Marsem. A czas ucieka. Dlaczego? Bo kiedyś skończą się zapasy. Nasza misja miała trwać najwyżej kilka tygodni. Prędzej czy później trzeba będzie gdzieś wylądować.

– Tam, w przestrzeni, krąży kupa kamieni – powiedział Tytus. – Wśród Łez Ymira. Moglibyśmy znaleźć sobie jakieś miejsce. W razie potrzeby nakopać paru keczuańskim tubylcom. Zagadamy do mówiących łaciną, których *optio* słyszał w ciemności. Zaczniemy budować nowy Rzym, który zastąpi tamtą dziurę w ziemi.

Ponownie rozległ się pomruk aprobaty.

– Podziwiam cię za hart ducha, Tytusie Waleriuszu. Niestety, słabym punktem tego planu jest to, że brakuje nam kobiet. Mało kto zabrał ze sobą rodzinę, nad czym głęboko ubolewam. Ale kto mógł przypuszczać, że tak się to wszystko potoczy? Wiesz, co by się stało, gdybyśmy chcieli poprzestać na tych, które są na tym statku?

Stef wybuchła śmiechem.

– Nawet mnie trafiłaby się randka.

Centurion popatrzył na nią z powagą.

– Stef Kalinski, w ciągu kilku lat, jeśli nie szybciej, pozabijamy się nawzajem. Pod warunkiem, że mówiący językiem keczua nie namierzą nas wcześniej i nie zestrzelą. Pomyśl o tym, Tytusie Waleriuszu. Ty znasz naszego najbardziej nieprzejednanego wroga. Do dziś Kartagio żyje w naszej pamięci, tyle razy odtwarzacie tamte kampanie wojenne na szkoleniach. Chyba nie twierdzisz, że ci Inkowie zapomnieli o Rzymie?

– Na pewno nie – odpowiedział gromko Tytus.

– Sam widzisz. Poza tym musimy być chytrzy, musimy zyskać na czasie. – Potoczył wkoło chmurnym wzrokiem. – Niech tylko nikt mi nie mówi, że to, co wam zaproponuję, nie uchodzi Rzymianom. Nie zawsze zwycięża się pięścią. Czasem trzeba walczyć o swoje po cichu i podstępem. Poczekać na odpowiedni moment do ataku. Pamiętacie Germanię? August potracił legiony w gęstych lasach. Cesarstwo czekało całe pokolenie, ale kiedy Wespazjan w końcu uderzył na północ, los był mu łaskawy. Nie inaczej będzie w naszym przypadku…

Tylko Rzymianin – pomyślała Stef jednocześnie z irytacją i podziwem – mógł po rozjeździe

Jonbara trafić do gwiezdnego imperium Inków i szukając wyjścia z sytuacji, wspominać przygody cesarza Wespazjana z pierwszego wieku po Chrystusie.

– A więc jaki jest plan? – zapytał Tytus.

– Zrobimy tak, jak sugerował *optio*. Oczywiście trzeba będzie włączyć napęd, żeby dostać się z powrotem do wnętrza Układu Słonecznego. Na szczęście silników ziarnowych jest tu pełno. Ale nie wychylamy się, działamy po kryjomu. Zakamuflujemy się jako ekipa górników z drugiej strony Jowisza, chcących uzupełnić zapasy albo szukających pracy.

– W takim razie dokąd lecimy? Chyba nie na Terrę?

– Nie, Tytusie, omijamy z daleka to przedpiekle. Udamy się tutaj. – Skinął na ekran. – Do tego wielkiego potwora, do tej sztucznej Azji. Tam jest władza i tam są duże pieniądze. Jeśli chcecie, wyobraźcie sobie, że wypełniacie tajną misję wojskową. Rzym odpowie siłą! Nie mogę zabrać was do domu, ale mogę sprawić, że życie wasze i moje będzie miało sens. Być może, Tytusie Waleriuszu, nie zasiądziesz na wspaniałym tronie, który tam mają, ale bądź pewien, że zrobi to twój wnuk albo prawnuk!

Jak należało się spodziewać, jego słowa przyjęto z entuzjazmem.

– Ale pamiętajcie – dodał Kwintus – że kto chce zdobyć wierzchołek góry, musi zrobić pierwszy krok w stronę zbocza. Posuwamy się naprzód z największą ostrożnością. Zjawiamy się pod tym gigantycznym terminalem, gdzie *optio* podobno widzi przylatujące i odlatujące statki. Potem próbujemy ich przekonać, żeby pozwolili nam wylądować. A jeśli wszystko zawiedzie…

– Co wtedy?

– Poddamy się, Tytusie Waleriuszu, poddamy.

Rozdział 39

Data nieznana

Beth Eden Jones raz jeszcze przeszła między gwiazdami z jednej rzeczywistości do drugiej.

Pomieszczenie, w którym się znalazła po opuszczeniu Marsa, miało kształt pustego cylindra i gładkie ściany. Konstrukcja Włazu była uproszczona do absolutnego minimum: żadnych zdobień na ścianach, żadnego sprzętu – drabin ani schodków – czy czegokolwiek, co przypominałoby przyrządy naukowe. I niczego, co świadczyłoby o tym, że kiedykolwiek przebywał tu człowiek.

Wnętrze było jednak jasno oświetlone.

Podniosła wzrok. Sufit się otworzył: cienka pokrywa Włazu była uniesiona, odchylona na niewidzialnych zawiasach nad okrągłym wyjściem. Dokładnie nad jej głową błyszczała gwiazda, olbrzymie i blade słońce, nieco za jasne, by patrzeć na nie gołym okiem, lśniący krąg zawieszony na bezchmurnym płowoszarym niebie. Jego promienie wpadały do komory, gdzie pod nogami Beth powstała plama cienia.

Znała tę gwiazdę. Wiedziała, jakie to uczucie – stać w bezpośrednim blasku gwiazdy takiej jak ta.

Poczekała, aż jej marsjański skafander ciśnieniowy przeprowadzi szybką analizę atmosfery. Nie zaskoczyły jej wyniki: powietrze nadawało się do oddychania i nie zawierało substancji trujących. Odemknąwszy osłonę twarzy, usłyszała syczący szum wyrównującego się ciśnienia. Wzięła głęboki oddech. Powietrze pachniało znajomo, przesycone mdłą, lecz przyjemną wonią suchych liści. Czuła nawet swojską siłę ciążenia, znacznie większą niż na Marsie i ciut słabszą niż na Ziemi.

Zrobiło jej się ciepło w okolicy serca i do pewnego stopnia się odprężyła mimo niezwykłości podróży, którą właśnie odbyła, i dziwnej natury swojego jedynego towarzysza. Cisnęła pakunek na ziemię i zaczęła zrzucać z siebie zewnętrzne warstwy skafandra.

– Jestem w domu – stwierdziła.

Stojący obok niej Earthshine wyświetlał się – do czego zdążyła się przyzwyczaić – jako awatar eleganckiego mężczyzny w średnim wieku, ubranego tym razem w gruby szary kombinezon. To, że natychmiast pozbył się wirtualnego skafandra ciśnieniowego, Beth odebrała jako pomyślny znak: zapewne jego układy analityczne, podobnie jak czujniki jej skafandra,

ustaliły, że powietrze jest bezpieczne dla ludzi. Jednakże projekcja wydawała się dziwnie odrealniona w padającym pionowo blasku gwiazdy, mniej niż zwykle przekonująca, jakby programy generujące obraz nie zdążyły się jeszcze przystosować do nowego środowiska.

Awatar z miną wyrażającą napięcie czekał, aż pękaty i nieporęczny aparat wspierający podjedzie do ostatnich drzwi, dołączając do nich w cylindrycznej piwnicy. Musiał unieść się na rozsuwanych prętach, by przedostać się na drugą stronę.

Beth palcem stopy przejechała po podłodze, rysując linię w cienkiej warstwie kurzu.

– Ciekawe, kiedy ostatnio ktoś tu był – powiedziała.

– Ktoś lub coś. Nie wiemy, gdzie jesteśmy. Na razie.

Dostrzegła jego wzrok, gdy mówił to buńczucznym tonem, jakby chciał podważyć rzeczywistość – ona jednak wiedziała. Poznała tę gwiazdę, to powietrze, a ponadto było coś swojskiego w tym świecie, coś niedającego się opisać słowami, co w tajemniczy sposób przemawiało do jej zmysłów. Lecz to nie rozstrzygnęłoby sporu.

– Gdziekolwiek jesteśmy, przede wszystkim musimy wydostać się z Włazu – zauważyła roztropnie. – Jesteś wirtualny, więc raczej mnie nie podsadzisz. Ale mamy sznur w torbie. Możemy zrobić pętlę i rzucać nią jak lassem…

– Użyj aparatu wspierającego. – Niezgrabne urządzenie zbliżyło się do ściany i zatrzymało, ciche i cierpliwe. – Możesz na nim stanąć…

– Dosięgnę krawędzi i podciągnę się na górę, zgoda, ale ten sprzęt będzie dla mnie za ciężki.

– Nie martw się. Aparat zawiera kotwiczki, liny. Został odpowiednio przystosowany do przechodzenia przez Włazy, że nie wspomnę o innych środowiskach.

Uśmiechnęła się.

– Brzmi sensownie. – Wygrzebała linę z torby i przymocowała ją do swojego skafandra i bagażu, żeby później wciągnąć to wszystko na górę.

– Kiedy ustalimy, gdzie jesteśmy, aparat szybko się zaaklimatyzuje. Posiada rozbudowane funkcje samonaprawy i automodyfikacji, rozmaite zestawy montażowe.

– Normalnie szwajcarski scyzoryk.

Spojrzał na nią.

– To dawne określenie.

– Mój ojciec tak mówił o jakimś narzędziu, które znał z przeszłości. Z dzieciństwa na Ziemi, nim zamknęło się nad nim wieko kapsuły kriogenicznej. – O czym wiesz doskonale, dodała w myślach.

Earthshine po prostu się odwrócił.

Podeszła do urządzenia, położyła na nim dłonie i wgramoliła się na wierzch.

– Czuję się zesztywniała – stwierdziła. – Zesztywniała i ciężka. Ledwie kilka godzin na Marsie i proszę. Robię się na to za stara.

– Zahartujesz się – stwierdził lakonicznie Earthshine. – Wybacz, że pójdę skrótem. – Zamigotał i zniknął, by ukazać się ponownie nad jej głową, gdzie z rękami na biodrach stał na skraju komory i zdawał się oglądać swoje włości.

– Założę się, że guzik widzisz.

– Fakt, moje oczy i uszy zostały przecież na dole. Ale na podstawie dostępnych informacji mogę wyciągnąć pewne ogólne wnioski. Jest gwiazda na niebie. Krajobrazu nie znam, lecz odczuwana przez nas siła ciężkości pozwala mi określić w przybliżeniu wielkość tej skalistej planety i naszą odległość do widnokręgu.

Po wejściu na aparat wspierający Beth niepewnie wyprostowała się i wyciągnęła ręce, żeby złapać się krawędzi cylindrycznej komory. Ściana Włazu była gładka w dotyku i jak zwykle wydawała się dziwnie nieuchwytna, jakby coś odsuwało na bok jej dłonie. Siostry Kalinski próbowały jej wytłumaczyć, że zgodnie z dostępną wiedzą Właz nie jest obiektem materialnym, lecz strukturą powstałą w wyniku zakrzywienia czasoprzestrzeni, i że skierowane w bok siły są czymś na podobieństwo sił pływowych, ubocznym efektem grawitacyjnych zależności.

Mimo tych wyjaśnień wcale nie było jej łatwiej wyjść z dziury.

– Grawitacja, właśnie. – Z impetem podciągnęła się do góry, zaparła się na wyprostowanych rękach i przełożyła nogę nad krawędź. – Dziewięćdziesiąt osiem procent ziemskiej, mam rację? – Oczywiście nie mogła się mylić: wiedziała to od dziecka. Stanęła na równe nogi, lekko zdyszana. Rzeczywiście miała braki kondycyjne.

Z podziemnej komory doleciał dźwięk przypominający wystrzały z małych kusz. Spojrzała w dół i zobaczyła, że w krawędź wgryzły się dwie kotwice dodatkowo zaopatrzone w przyssawki. Z aparatem wspierającym łączyły je cienkie linki. Dał się słyszeć pomruk niewidocznej wciągarki i zaraz aparat oderwał się od ziemi. A więc tak się to miało odbyć.

Nie zawracając już sobie głowy aparatem, Beth odwróciła się i rozejrzała.

Przebywała w lesie, otoczona drzewami o grubych pniach i wielkich, rozłożystych liściach, które chłonęły padające z wysoka promienie słońca. Było tu jednak sporo odsłoniętej przestrzeni, gdyż gałęzie nie tworzyły zwartego dachu, który zapewniłby skuteczną kryjówkę. Właz znajdował się na szerokiej polanie, gdzie młode drzewka strzelały w górę obok kłód leżących jak przewrócone kolumny – kłód opanowanych przez tutejsze grzyby, mchy i porosty. Wszystko to było zabarwione zielenią w wielu odcieniach, czasem bladych, czasem soczystych, połyskujących w przygaszonym blasku gwiazdy. Z jednej strony, gdzie widok był mniej

ograniczony, dostrzegła wodę skrzącą się w słońcu. Z toni sterczały grube trzciny, nad brzegiem zaś stały jakieś lśniące formy, zgrupowane blisko siebie niczym wielkie grzyby.

– Stromatolity – powiedziała na głos, cedząc sylaby. Pamiętała, jak trudno jej było zapamiętać tę nazwę w dzieciństwie i jak zdziwiły ją słowa matki, która tłumaczyła, że nazwa ta jest błędnie stosowana, bo w rzeczywistości określa ziemskie organizmy podobne do tych spotykanych tutaj wszędzie, lecz rosnące w wodzie, nie na lądzie…

Wszystko tu było znajome… a jednak inne.

Aparat wspierający trudził się, żeby wydostać się z dziury w ziemi. Kiedy wykonywał ostatni niebezpieczny krok, a potem dla zwiększenia przyczepności wysuwał gąsienicowe podwozie, Beth stała z boku, zastanawiając się, w jaki sposób mogłaby pomóc, gdyby masywne urządzenie zaczęło przechylać się w tył nad przepaścią.

Earthshine tymczasem nie zwracał na to uwagi.

– Nic tu nie ma – narzekał, przechadzając się tam i z powrotem, zniecierpliwiony.

Beth zmarszczyła czoło.

– Nic? Nic oprócz drzew. Oprócz poszycia leśnego. Widocznej tam wody, może jeziora. Nic z wyjątkiem życia…

– Jedynie ten cholerny Właz w ziemi. Tylko na niego popatrz…

Przypominał pozostałe Włazy, które widziała: prostokąt z gładkiego, szarego materiału z okrągłą pokrywą nad wejściem do cylindrycznej piwnicy.

– Identyczny jak ten na Merkurym, z którego wyszłam razem z matką, ojcem i strażnikiem pokoju. I jak ten pierwszy, do którego weszłam na Per Ardui.

– Ale tu po prostu nic nie ma! Ani zabudowań, ani sztucznych obiektów, żadnych śladów obecności ludzi.

Uniosła twarz i zamknęła oczy w blasku słońca.

– Wiem, co sobie myślisz – burknął.

– Nie muszę nic myśleć, to się po prostu czuje. Urodziłam się na Per Ardui, więc znam to powietrze, zapachy, siłę ciążenia działającą na moje ciało.

– Uważasz, że jesteśmy na Per Ardui? W takim razie gwiazda, którą widzimy, to Proxima?

– Nie rozumiem twojego zdziwienia. Rozejrzyj się, Earthshine. Nigdy tu nie byłeś, ale jestem pewna, że obejrzałeś nagrania. Widziałeś wyniki badań przeprowadzonych po naszym powrocie do Układu Słonecznego oraz informacje, których później dostarczyły zespoły naukowców z ONZ-etu. Spójrz na łodygi rosnące wokoło. Te łodygi to podstawa złożonych organizmów na Per Ardui, od tych najprostszych aż do budowniczych.

– Naprawdę myślisz, że to jest Proxima? – Zmrużonymi oczami patrzył w górę;

oprogramowanie potrafiło nakładać na jego twarz naturalnie wyglądające cienie. – Jakaś taka nijaka, nie sądzisz? Gdzie się podziały rozbłyski? Gdzie plamy na słońcu?

Miał rację. Dopiero teraz ze zdziwieniem uświadomiła to sobie. Powierzchnia gwiazdy, gdy obserwowała ją spod przymkniętych powiek, była jednolita, praktycznie nieskazitelna, jeśli nie liczyć kilku szarawych cętek. Nie była już areną gwałtownych zjawisk energetycznych, na którą patrzyła od urodzenia – owym kapryśnym bogiem nękającym nieszczęsne planety burzami cząstek i gwiezdnymi zimami.

Planety, właśnie… Zrobiła kilka kroków i odwróciła się, spoglądając na monochromatyczne ochrowe niebo. Proxima miała więcej planet. Światło niekończącego się dnia na przygwiezdnej półkuli uniemożliwiało obserwację gwiazd i planet… z jednym wyjątkiem, który błyszczał jak mała latarenka.

– Tam! – Wskazała jasny, nieruchomy punkt na niebie. – Proxima e, piąta planeta. Nazywaliśmy ją Perłą. – Roześmiała się. – Dokładnie tam widziałam ją ostatnio.

Earthshine chodził w kółko, coraz bardziej zdenerwowany.

– Widzę, że skupiasz się na podobieństwach, a ignorujesz różnice. Na przykład w przyrodzie. Te podobne do drzew struktury, stromatolity, przypominają okazy przedstawione na zdjęciach z Per Ardui, ale jednak nie są takie same, prawda? A co powiesz na to? – Teatralnym gestem wskazał rosnącą u jego stóp niewielką kępę roślin z rozłożystymi jasnozielonymi liśćmi. – Widziałaś coś takiego?

Kucnęła, żeby przyjrzeć się z bliska. Faktycznie, ten widok kłócił się z jej wspomnieniami z dzieciństwa, gdy przemierzała dziewicze krainy oddalone od gospodarstw rolnych, które w pocie czoła zakładała wraz rodzicami i ColU. Zieleń tych liści kojarzyła się z życiem nie arduańskim, lecz ziemskim: intensywna, kwitnąca, zrodzona w promieniach bardziej witalnego słońca, w dzikiej naturze praktycznie niespotykana. Przeorała palcami glebę, suchą i rdzawobrązową… i znalazła kiść małych bulw.

– Wyglądają jak ziemniaki – stwierdziła. – Lub jakiś pokrewny gatunek.

– Więc jaki z tego wniosek? – burknął.

Wstała z dwiema bulwami, otrzepując ręce z ziemi, która też w dotyku wydawała się znajoma.

– To na pewno jest Per Ardua. A nad nami Proxima. Skoro są tu ziemniaki, musieli przywieźć je ludzie. A więc kiedyś tu byli. Lecz…

– …lecz to nie jest ta Per Ardua, którą pamiętasz, choć podobna. Jeśli to ma być strefa przygwiezdna, co z bazą ONZ-etu? Gdzie wrak „Ad Astry”? Tak, tak, odrobiłem zadanie domowe. Gdzie są wszyscy ludzie?

– I co z budowniczymi? – zastanawiała się. – Oczywiście, nauczeni doświadczeniem, mogą

trzymać się z daleka od ludzi i tego, co ci stworzyli. – Spojrzała na Proximę… jeśli to rzeczywiście była ona. – Ile czasu upłynęło?

– To może być zupełnie inna wersja rzeczywistości – odparł Earthshine. – Poprawka: to raczej jest inna wersja rzeczywistości. Od tego właśnie są Włazy, czyż nie? Od łączenia rozbieżnych linii czasu. Nawet jeśli to naprawdę Per Ardua, być może nie znajdujemy się w rzeczywistości, w której twoi rodzice byli tu pionierami.

– Może i nie – zgodziła się. – Mimo to byli tu jacyś ludzie. – Pokazała mu ziemniaki, które wciąż trzymała w dłoni. – Ktoś je tu sprowadził. – Jeden przełamała, odsłaniając kruchy, biały miąższ w mundurku z ubrudzonej skórki. – Chyba nadaje się do jedzenia. – Podłubała w nim paznokciem, starając się nie pobrudzić ziemią. Surowy miąższ był chłodny, wilgotny i praktycznie bezwonny.

– No cóż, jeśli nie umrzesz w ciągu kilku godzin, będziemy pewni, że masz rację.

– Przynajmniej nie będę chodzić głodna. – Światło nieco przygasło. Podniosła wzrok i ujrzała białe, wąskie wstążki chmur przysłaniające słońce. – Wygląda na to, że zmienia się pogoda. Rozbiję obóz.

Zaczęła od wyciągnięcia z Włazu za pomocą liny skafandra ciśnieniowego i torby.

W torbie miała samorozkładający się nadmuchiwany namiot, koce termoizolacyjne, przenośny piecyk i ciasno zwinięte jednorazowe ubrania: ekwipunek survivalowy rzymskiego legionisty z epoki lotów kosmicznych, umożliwiający przetrwanie kilku dni na bezludziu. Wkrótce miała gotowe schronienie. Wtaszczyła do środka torbę, resztę sprzętu, skafander, hełm, a potem zaczęła wszystko holować w stronę kępy gęsto rosnących drzew, aby tam przywiązać namiot.

– Przykro mi, że nie mogę pomóc ci w pracy – mruknął Earthshine. Potarł dłonie o siebie i spojrzał w niebo. – Jeśli to Per Ardua, o czym wciąż nie jestem przekonany, to mamy do czynienia ze spokojniejszą Per Arduą. Przyjrzyj się ziemi, glebie. Ma rdzawy kolor jak w Australii lub na Marsie. Per Ardua zawsze w szczególny dla siebie sposób wyzwalała energię nagromadzoną pod ziemią…

Tutaj nie odbywały się wędrówki kontynentów. Być może spowodował to fakt, że planeta, biorąc pod uwagę siły pływowe, sztywno związała się z gwiazdą: jedna półkula zawsze kąpała się w słońcu, druga trwała pogrążona w ciemnościach. Wewnątrz jednak gromadził się żar, który podobnie jak na Ziemi potrzebował ujścia. W rezultacie pojawiały się prowincje wulkaniczne, co kiedyś stwierdził ColU. Co pewien czas wśród burzliwych geologicznych konwulsji rozpadał się wielki fragment kontynentu lub dna morskiego. Uwalniały się spod ziemi gorące opary, popiół, lawa i jednocześnie wypiętrzały się góry, by erodować potem w strugach deszczu.

Beth musiała jednak przyznać rację Earthshine’owi: ta gleba naprawdę była jakaś dziwna. A niebo w przydymionym, iście marsjańskim kolorze też wyglądało inaczej niż w jej wspomnieniach. Upłynęło mnóstwo czasu, odkąd wyrosły tu góry.

Jak dawno to było? – zapytał jej wewnętrzny głos. I jak to możliwe?

– Ale nadal mamy tu zmiany klimatyczne – zauważył Earthshine. – W sumie logiczne. Strefa przygwiezdna, która znajduje się najbliżej Proximy, zawsze będzie biegunem ciepła na planecie i zawsze będzie tu centrum obszaru niskiego ciśnienia, coś jakby stały układ burzowy. Biegunem zimna będzie leżąca po drugiej stronie globu strefa przeciwgwiezdna. Aj! – Spadły pierwsze grube krople deszczu, które szeleściły na szerokich zeschniętych liściach i przecinały wirtualne ciało Earthshine’a. – Nie zmoknę, ale to boli.

– Twoje programy zachowania spójności, co?

Pociągnęła namiot po ziemi, by znaleźć schronienie pod drzewami. Zauważyła, że w górnej części kadłuba aparatu wspierającego otworzyły się klapy, skąd wynurzyły się ramiona manipulatorów. Z wnętrza były wyciągane jakieś drobne części, podczas gdy siatkowe przyrządy zeskrobywały ziemię na pryzmy.

– Co robisz?

– Koła – odpowiedział Earthshine, idąc obok niej wolnym krokiem. – Robię koła.

– Planujesz dłuższą podróż?

– Jak widać.

– Dokąd?

– Byle dalej stąd. Dalej od tego złego miejsca! – dodał z wykrzywioną twarzą, na której wyraźnie malował się gniew.

Pamiętała, że to nie człowiek. Wszystko, co sobą reprezentował, opierało się na takich czy innych komputerowych algorytmach. Mimo to zastanawiała się, czy nie wbudowano w niego sztucznego substytutu podświadomości. Biorąc pod uwagę jego niedawne wybryki, w tym zniszczenie Marsa z rzymsko-zyńskiej historii, wiele by to wyjaśniało. Być może więc jego złość była szczera, lecz okazywał ją podświadomie.

Na skraju lasu wypatrzyła dwa grube drzewa rosnące tak, że znakomicie nadawały się do zabezpieczenia namiotu. Zaczęła go przywiązywać rozwiniętym sznurem. Przynajmniej drzewa były takie, jakimi je zapamiętała: zaawansowanymi formami wszechobecnych łodyg.

– Jeśli to nie Per Ardua, to z pewnością jej genialna kopia – mruknęła przy pracy.

Kiedy kończyła, na zasłanej liśćmi ziemi szumiał rzęsisty deszcz. Obejrzała się na Właz, którego pokrywa akurat się przymykała.

– Właz jest tworem czasoprzestrzennym – powiedziała – a mimo to jego konstruktorzy

postarali się, żeby do środka nie napadał deszcz. To się nazywa dbałość o szczegóły.

Nie doczekała się odpowiedzi. Rozglądając się, zauważyła, że Earthshine schronił się już w namiocie.

Tymczasem obok Włazu, na deszczu, aparat wspierający sprawnie składał cztery duże szkieletowe koła.

Rozdział 40

Mardina przypuszczała, że ta hala przyjęć z założenia ma robić wrażenie – czy wręcz budzić podziw. A przecież nie zobaczyła jeszcze głównej komory Tytana, olbrzymiego kosmicznego habitatu.

Przestronna hala o cylindrycznym kształcie była usytuowana dokładnie na osi obrotu ruchomego habitatu, wyposażona w rozpięte od ściany do ściany liny ułatwiające poruszanie się w warunkach zerowej grawitacji. Aby tu dotrzeć, należało przebrnąć przez szereg śluz, z których każda była większa od jakiejkolwiek kabiny na pokładzie „Malleusa Jesu". Wokół królowały ozdoby; na stalowych ścianach wisiały bogato tkane makaty, pyszniły się pęki wielobarwnych piór, tu i tam błyskały srebrne i złote płyty. Z przeciwległej ściany przenikliwym wzrokiem łypał na Rzymian jakiś gniewny bóg z oczami ze szmaragdów.

Z rozmieszczonych dookoła przeszklonych stanowisk wartowniczych czujnie spoglądali żołnierze. Nosili bajecznie kolorowe mundury skrojone na wzór prostej tuniki, przewiązane w talii, i praktyczne hełmy prawdopodobnie z hartowanej stali. Byli uzbrojeni w krótkie miecze, włócznie, a nawet broń palną; grube lufy mierzyły w Rzymian z każdej strony.

I oto cały personel błąkającego się „Malleusa" – czterdziestu legionistów pod dowództwem centuriona Kwintusa Fabiusza, Mardina, Tytus Waleriusz z córką, grecki *medicus* Michael i Chu z ColU na plecach – skupił się w ciasnej grupie na tej rozległej arenie, zaplątany w liny jak muchy w pajęczynie. Na domiar złego wszyscy musieli poddać się dezynfekcji, zanim wpuszczono ich w głąb habitatu: rozebrano ich do naga, wprowadzono pod gorące natryski, ubrania wytrzepano w próżni. ColU twierdził, że kontrolerzy w tym zamkniętym świecie postępują rozsądnie, tępiąc u wejścia wszy, pchły i zarazki. Kwintus był zmuszony posłużyć się całym swoim autorytetem, żeby przekonać swoich ludzi do poddania się tym zabiegom. Rzymianie w wojskowych butach, tunikach i płaszczach, z pakunkami na plecach, wyglądali w tym otoczeniu na dzikusów – na barbarzyńców, którymi tak lubili pogardzać. Na szczęście nie przypominali już żołnierzy. Przynajmniej taką nadzieję miała Mardina. Na rozkaz Kwintusa legioniści pozostawili na statku swoje gladia, oszczepy, broń strzelającą ogniem życia, zbroję, a nawet wojskowe pasy i odznaczenia.

Do habitatu dostała się większość podróżujących „Malleusem Jesu". Sam statek – po tym jak zbliżył się do Tytana, żeby legioniści mogli dostać się jachtami do portu cumowniczego – zaszył się w gąszczu planetoid. Na pokładzie pozostała szczątkowa załoga, garstka legionistów pod

rozkazami *optio* Gneusza Juniusza i *trierarchus* Eilidh, a także słabsi fizycznie pasażerowie: Jiang, Stef Kalinski i Ari Guthfrithson. Na razie nie musieli obawiać się głodu, dysponując zapasami przeznaczonymi dla pięciokrotnie liczniejszej obsady statku.

W czasie oczekiwania na ostatnie procedury podtrzymywał Rzymian na duchu potok uspokajających słów Kwintusa Fabiusza:

– Spokojnie, chłopaki. Jesteśmy dla nich większym dziwowiskiem niż oni dla nas, choć próbujemy udawać prostych farmerów z lodowych księżyców. Bardzo wątpię, Tytusie Waleriuszu, by kiedykolwiek widzieli takiego chłopa jak ty, chyba że w sennych koszmarach… Oho! Ktoś nowy nadchodzi, żeby nas pogonić.

Sunąc wzdłuż liny w obstawie złożonej z nieuzbrojonego mężczyzny i dwóch żołnierzy, zbliżała się do nich korpulentna, ponura urzędniczka w wieku może pięćdziesięciu lat. Miała na sobie prostą tunikę, niemalże wojskową, lecz ozdobioną wzorem kolorowych kwadratów jak na wytwornej szachownicy z lśniącymi polami – z pewnością kosztowną. W tym przypadku chyba szykowne odzienie stało w sprzeczności z paskudnym charakterem. Niosła osobliwe narzędzie w ramce: przypominało liczydło, lecz wypełniały je sznurki z supłami. Po drodze spoglądała na nie, przebierając po węzełkach zwinnymi palcami.

– Skoro mowa o koszmarach, centurionie – mruknął Tytus Waleriusz – popatrz sobie na przyjemniaczków, którzy przybyli z urzędniczką.

Towarzyszący jej żołnierze byli niemalże groteskowo wysocy, o co najmniej głowę wyżsi nawet od Waleriusza. Ich długie kończyny wydawały się patykowate, lecz pod naprężoną skórą kłębiły się mięśnie. Kościste twarze kojarzyły się z trupimi czaszkami. Poruszali się w sieci lin z wprawną swobodą. Z bliska jawili się jakby dziwnie odczłowieczeni i Mardina starała się opanować strach.

– Wyglądają na chorych – zawyrokował Kwintus. – Za długo bez ćwiczeń i ciężaru. Dajcie mi ich pod komendę, a zaraz dojdą do formy…

– Nie, centurionie – szepnął Michael. – Chyba źle ich oceniasz. Oni są całkiem zdrowi i świetnie sobie radzą w tym środowisku. Przystosowali się do braku ciężaru. Zobacz, jacy są silni i zarazem żwawi, jak sprawnie się poruszają. Podejrzewam, że byliby trudnymi przeciwnikami, gdyby przyszło nam stawić im czoło tutaj, na osi habitatu, gdzie ciało nic nie waży. Może od dziecka wychowywali się w tych warunkach? Wojownicy wyspecjalizowani do walk na osi. A może są którymś z kolei pokoleniem ludzi urodzonych i wychowanych w stanie nieważkości?

– Albo też są owocem manipulacji genetycznych – odezwał się ColU z plecaka. –

Rozmawialiśmy już o tym, *medicusie*. Twoja cywilizacja nie ma o tym pojęcia, ale dla mojej to nic trudnego…

– Dwa rozjazdy Jonbara temu – zauważył z przekąsem Grek.

– Ciekawie byłoby się z nimi zmierzyć – rzekł w zamyśleniu Kwintus. – Ale jeszcze nie teraz. Ty zaś, Koliuszu, nic nie mów. Urzędniczka na pewno coś już podejrzewa.

Kobieta oderwała wzrok od węzłastych sznurków i z coraz bardziej zachmurzonym obliczem zaczęła się im wszystkim przyglądać. Choć była po pięćdziesiątce, Mardina, zapewne nie inaczej niż legioniści, musiała przyznać w duchu, że to ładna kobieta. Miała czarne włosy przyprószone siwizną, ciemne oczy, miedzianą skórę, wydatne kości policzkowe i nos, którego nie powstydziłby się żaden Rzymianin.

Uniosła się wyżej w powietrze, aby spojrzeć z góry na niezorganizowaną grupę cudzoziemców.

– *Inguill sutiymi – quipucamayoc. Maymanta kanki? Romaoi? Hapinkichu? Runasimi rimankichu*?

Inguill nie miała dobrego dnia, gdy więc nieznajomi, zamiast okazać szacunek, zaczęli szemrać między sobą, jej rozdrażnienie jeszcze się pogłębiło.

Inguill posiadała zaszczytny tytuł *quipucamayoca*, czyli osoby opiekującej się *quipu*. Piastowała tę godność w dwunastoosobowym gronie, które z upoważnienia Sapy Inki, wysługując się armią niższych rangą urzędników, skutecznie rządziło wielkim habitatem Yupanquisuyu, zarówno *kuntisuyu*, jak i *antisuyu*, od Hurin Cuzco na wschodniej czapie po Hanan Cuzco, sam pałac Inków, położony tutaj, przy czapie zachodniej. Jej urząd podobno istniał w kulturze Inków już w czasach poprzedzających podbój ziem pierwszego *antisuyu*, zanim pokonano wschodni ocean i wyruszono ku niebu.

Naczelnym zadaniem jej urzędu była kontrola: esencja imperialnego systemu *Intip Churi*, Dzieci Słońca.

Inguill uświadomiła sobie ten fakt już we wczesnej młodości, kiedy nauczyciele w *ayllu* dostrzegli jej nadzwyczajny talent i zarekomendowali ją do dalszej nauki na uczelniach w Cuzco. Inguill szybko wspinała się po kolejnych szczeblach cesarskiej administracji, zrywając kontakty z rodziną i więzy z dawnym *ayllu*, rezygnując z osobistych związków na rzecz niesłabnącej fascynacji pracą.

Doskonale rozumiała wagę utrzymania kontroli w cesarstwie Sapy Inki. Zwłaszcza w takim jak ten habitacie, ogromnym i zarazem kruchym i ograniczonym, gdzie należało ściśle kontrolować ludzi w trosce o trwałość całości, zazębiających się systemów pozwalających im tutaj żyć. System wierzeń Dzieci Słońca zezwalał również na kontrolowanie bogów, których

należało bez końca obłaskawiać, aby nie posypały się na świat błyskawice gniewu bożego, gdyby zapanowały, choćby na krótko, anarchia i bałagan. Oczywiście skuteczność kontroli opierała się też na samej naturze habitatu – tego wielkiego pudła, z którego nie dało się uciec, nieustannie monitorowanego przez urzędników w Hanan Cuzco na czapie biegunowej, przez kondory patrolujące bez wytchnienia oś oraz rzeszę agentów węszących we wszystkich zakątkach.

Jak się niebawem okazało, *camayoc* taki jak ona, obdarzony głęboko zakorzenionym przekonaniem co do potrzeby zachowania nieustannej i bezwzględnej kontroli, był rzadkością wartą każdej ceny. Z tego powodu bez trudu pięła się po szczeblach kariery, wyprzedzając wielu konkurentów ze swojej grupy wiekowej, nawet tych z warstw uprzywilejowanych, synów i córki zamożnych elit Cuzco, których było stać na najnowsze zdobycze medycyny, najbardziej wyrafinowane ekstrakty z roślin i zwierząt od pokoleń hodowanych w tym właśnie celu: aby wznieść umysł na pułap geniuszu. Bo nawet z tak kosztownie rozszerzonego intelektu wynikała dla państwa niewielka korzyść, jeżeli pod pozłotą potoczystej wymowy krył się ogólny brak spostrzegawczości, brak zrozumienia wyzwań, przed jakimi stoi człowiek. A właśnie to zrozumienie było jej chlubą i starała się pielęgnować je w sobie.

Co jednak nie przysłużyło się jej karierze. Okazała się bowiem tak dobra w swoim fachu, że zaczęto ją oddelegowywać do zadań specjalnych, aby zamiast rozwiązywać zwyczajne problemy dnia codziennego w Yupanquisuyu, zmagała się z tym, co zagmatwane, niezwykłe, niespotykane – gdziekolwiek to się zdarzyło, wewnątrz habitatu lub u jego wrót, jak w przypadku tej bandy Romaoi. Zatem, paradoksalnie, przez większą część zawodowego życia dręczyło ją uczucie frustracji, niepokoju i przede wszystkim rozdrażnienia. Albowiem zawsze sprawy niezwykłe, zagmatwane, chaotyczne, a więc dokładnie takie, jakimi się zajmowała, drażniły ją niezmiernie, dopóki nie zapanowała nad sytuacją i nie zaprowadziła porządku. W tym czasie zaś jej rywale, których teoretycznie zostawiła w tyle, skwapliwie wskakiwali na wolne stołki w rozległej hierarchii Cuzco.

W ostatnim czasie nic jej tak nie rozzłościło, jak ci Romaoi z prężnymi muskułami i posępnymi twarzami. Farmerzy z lodowych księżyców! Wolne żarty! Pamiętała jednak, że gdzie dzieje się coś nowego i niewytłumaczalnego, tam zawsze otwiera się jakaś szansa, jeśli nie dla niej samej, to z pewnością dla imperium.

Spojrzała na wielkoluda w jaskrawym płaszczu, który wyglądał na przywódcę grupy.

– Jestem Inguill, *quipucamayoc*. Skąd pochodzisz? Jesteś Rzymianinem? Rozumiesz, co mówię? Znasz *runasimi*?

Kwintus, Michael, Mardina i kilku legionistów dostało wcześniej słuchawki pozwalające na

łączność z ColU. Mardina zorientowała się, że tajemnicze urządzenie podaje jej szeptem tłumaczenie na łacinę słów z języka keczua, który urzędniczka nazywała *runasimi*. Autorem tłumaczenia była sztuczna istota, dla której językiem ojczystym była zniekształcona wersja niemieckiego. A już się wydawało, że nic dziwniejszego nie spotka jej w życiu…

– Nigdy nie opanuję ich mowy! – zżymał się Kwintus. – Brzmi, jakby wróble żarły się ze sobą.

– *Allichu, huq kuti rimaway!*

– To znaczy „powiedz jeszcze raz” – szepnął ColU. – Wybacz, centurionie. I czekaj na moje tłumaczenie.

– Przepraszam.

– *Pampachaykuway…*

– Nazywam się Kwintus Fabiusz, jestem przywódcą tej grupy. Jesteśmy wdzięczni za gościnę.

– Jeszcze wam jej nie udzielono. – *Quipucamayoc* wpatrywała się w Kwintusa i jego ludzi, podejrzliwa i nastroszona jak pióra na karku drapieżnego ptaka. – Zatem twierdzicie, że skąd jesteście?

– Mieszkaliśmy na lodowym księżycu daleko od Słońca. Przepraszam, że nie wiem, jak się nazywają te ciała niebieskie w języku waszego potężnego imperium… (Koliuszu, mam już dość tych kłamstw…).

– (Nie unoś się dumą, centurionie. Bądź chytry. Jeszcze pokażesz, na co cię stać).

– Mieszkaliśmy tam od wielu pokoleń. Nasi dawni przodkowie, dziadkowie i rodzice, rąbali lód dla zarobku, zadowalając się skąpym blaskiem słońca. Uprawialiśmy…

– Tak długo żyliście w odosobnieniu, że zapomnieliście języka keczua. Ha! Minęło pięćset lat, odkąd Tiso Inka rozbił Rzym w perzynę, a wy, uchodźcy, wciąż trwacie przy swoim prymitywnym języku. Zresztą nieważne. Zatem byliście farmerami. Co was tu sprowadza?

W głosie Kwintusa dało się wyczuć wzburzenie, gdy przełknął obelgę i odpowiedział. Mardina cieszyła się, że Tytus Waleriusz i reszta legionistów nie wiedzą, o czym się mówi.

– Zdarzyło się wielkie nieszczęście, *quipucamayoc*. W nasz dom uderzyło inne ciało, bardzo szybki kosmiczny wędrowiec. Nas, mężczyzn, akurat wtedy nie było: badaliśmy inny księżyc, szukając na nim bogactw mineralnych. Nie zdążyliśmy wykryć wędrowca, nie starczyło nam czasu. Nasz dom został zniszczony, zginęły kobiety i dzieci. Przepadło wszystko, czego dorobiliśmy się przez te lata. My, którzy ocaleliśmy, przylecieliśmy tu ostatnimi statkami, by prosić o miłosierdzie.

Przeszywała go spojrzeniem.

– Przynajmniej trzymasz się swojej wersji. Ale nie okazujesz smutku. Oznaczać to może, że

jesteście silni, a więc zasługujecie na podziw, albo że kłamiecie i zasługujecie na co innego. – Pomagając sobie liną, zbliżyła się do legionistów, przyglądając im się uważnie. – Nie wyglądacie mi na farmerów wychowanych w stanie nieważkości. Jesteście zbyt silni, zbyt dobrze umięśnieni.

Kwintus wyprostował się dumnie.

– Jak nasi przodkowie, jesteśmy Rzymianami. Odziedziczyliśmy po nich poczucie dyscypliny, nawet w mrokach wygnania.

– Ach tak. A ten statek, który was tu przywiózł? Nie myśl sobie, że nie widzieliśmy go, nim zwiał i skrył się w ciemności. Nie przypomina innych statków górniczych.

– Dostał się nam w spadku, *quipucamayoc*. Po naszych przodkach, pionierach. Prócz niego nic nie mamy. Posłaliśmy go do lodowych księżyców na poszukiwania niedobitków z naszych rodzin i przyszliśmy tu rozejrzeć się za pracą. (Koliuszu, te kłamstwa stają się męczące).

– (Proszę cię, centurionie, nie spieraj się ze mną. To będzie trudna rozgrywka).

– (Hm…).

Inguill mierzyła Kwintusa lodowatym spojrzeniem.

– Mamroczesz coś w swoim antycznym języku, jakbyś rozmawiał z głosami w głowie. Głupi jesteś czy szalony? – Przyglądała się wszystkim z rosnącą podejrzliwością. – Nie podobasz mi się, Kwintusie Fabiuszu, o ile to twoje prawdziwe nazwisko. Nie podoba mi się ta hołota, którą przywlokłeś do mojego świata. Nie podoba mi się twoja opowieść, która śmierdzi jak rybie łby psujące się od tygodnia. Nie podoba mi się to, że wahasz się przed wypowiedzeniem każdego zdania, jakby ktoś ci szeptał do ucha. Nie pasujecie tu… a mnie nie podoba się wszystko, co nie jest na swoim miejscu. Wiesz, że mam prawo wyrzucić was wszystkich w bezpowietrze?

Kwintus wytrzymał jej spojrzenie.

– Zdajemy się na twoją łaskawość.

– Nic innego wam nie zostało, co? Ale macie mięśnie i wydajecie się zdyscyplinowani. To wielki statek, na którym zawsze brakuje silnych rąk i rygoru, zwłaszcza w połączeniu z robotą, której nikt nie chce. A więc dobrze, zostawię was przy życiu. Odeślę was do *antisuyu*. – Błysnęła chłodnym uśmiechem. – Nie wiecie, jak tam jest, co? W *antisuyu* będziecie daleko ode mnie. I co ważniejsze, daleko stąd, czyli od miejsca, gdzie znajduje się jedyne wyjście z habitatu. Zaiste trudno sobie wyobrazić większe przeciwieństwo Rzymu czy też waszego lodowego księżyca. Co wcale nie oznacza, że przestanę o was myśleć. Jesteś dla mnie zagadką, Kwintusie Fabiuszu. Ponad wszelką wątpliwość mówisz tylko część prawdy, jeśli choć tyle. – Spojrzała mu z bliska w oczy. – Nie podobasz mi się i zawdzięczasz mi życie. Nigdy o tym nie zapominaj.

Kwintus nie odpowiedział.

Odsunęła się od niego.

– Przewidując, jak zakończy się ta sprawa, przyprowadziłam ze sobą pewnego człowieka. – Wskazała na towarzyszącego jej mężczyznę, który też miał urzędniczą minę. – Nazywa się Ruminavi i jest *tocrico apu* regionu, do którego zostaniecie wysłani. Podlega mu również, między innymi, *ayllu*, do którego będziecie skierowani. – Patrzyła na ich kamienne oblicza. – Rozumiecie, co mówię? Znajdujecie się w Tawantinsuyu, Imperium Czterech Ćwierci: ziemi, nieba, a także wschodu i zachodu tutaj w habitacie, *antisuyu* i *cuntisuyu*. Z upoważnienia Sapy Inki każdą ćwiercią zarządza *apu*, prefekt, który ma pod sobą dwudziestu dwóch *tocrico apu*… Co tam zresztą! Wszystkiego się dowiecie. Ruminavi wskaże wam transport, którym zabierzecie się do *antisuyu*. Róbcie to, co każe wam *tocrico apu*, a na miejscu *curaca* pracujcie wytrwale i nie sprawiajcie kłopotów, a może jeszcze trochę pożyjecie. Aha, i zdacie broń, którą pochowaliście. W Yupanquisuyu zakaz noszenia broni nie obowiązuje tylko żołnierzy i pewnych funkcjonariuszy.

Legioniści psioczyli, dowiedziawszy się wszystkiego, lecz Kwintus uspokoił ich cicho po łacinie z twardym małomiasteczkowym akcentem:

– W razie czego, chłopaki, zdobędziemy broń. Znajdziemy, ukradniemy, zrobimy. Taki był plan od samego początku.

– Postaraj się, żeby mnie nie skonfiskowali – przestrzegł ColU. – Powiedz im, że jestem waszym bożkiem. Lub urządzeniem medycznym. Lub kawałkiem złomu z lodowego księżyca, sentymentalną pamiątką…

Wtem żołnierze zamilkli.

Mardina odwróciła się i zobaczyła otwarte wrota na drugim końcu komory. Po raz pierwszy mogli ujrzeć wnętrze habitatu, a w nim jasno oświetlony wał chmur, który zdawał się nieskończenie długi.

– O Jowiszu… O Jesu… – mruczał Fabiusz. – W co ty nas wpakowałeś, Koliuszu?

Kiedy Romaoi jeden za drugim szli w stronę stacji transportu wewnętrznego, żołnierz z obstawy Inguill podał jej kawałek blachy.

– Zobacz, co znalazłem, *quipucamayoc*. Nie mam pojęcia, w jaki sposób udało się któremuś przemycić to przez strefę oczyszczeń, a potem upuścić po drugiej stronie.

Mając w ręku ów przedmiot, Inguill stwierdziła, że to swego rodzaju sprzączka od pasa o dość wymyślnym kształcie. Wyciśnięte w niej paskudne kanciaste litery łacińskiego alfabetu tworzyły napis: LEGIO XC VICTRIX.

Rozdział 41

Ruminavi, niewysoki mężczyzna o drażniącym usposobieniu, pod względem intelektualnym niedorównujący Inguill, oznajmił, że zostaną przewiezieni jakimś środkiem transportu z czapy biegunowej do swojego nowego domu. Mardina wyobrażała sobie coś na podobieństwo windy. Mieli podróżować kilkoma, ponieważ nie zmieściliby się wszyscy do jednego.

Podzielono więc Rzymian na grupy liczące mniej więcej dziesięć osób. Tytus z pomocą Kwintusa dopilnował, żeby żołnierze, na ile to możliwe, dobrali się według przynależności do contuberniów. Upewnili się, że każdą grupą będzie dowodził ktoś w miarę rozgarnięty. Legioniści stękali i marudzili, ustawiając się w kolejce, zawieszeni w powietrzu w stanie nieważkości. Czekali na wejście do krainy cudów, lecz żołnierzom zawsze coś nie pasowało, taka już była ich natura.

Kiedy przyszła kolej na Mardinę, ruszyła w ślad za Kwintusem, Chu i garstką Rzymian, by minąć portal i wejść do szklanej skrzyni jeżdżącej na pionowych szynach, umocowanych w gigantycznym szybie, który ciągnął się nieskończenie w obu kierunkach. Za nią w tym szklanym pudle usadowił się na fotelu *apu* Ruminavi otoczony świtą szczudłowatych wojowników osiowych, po nim zaś do środka wtłoczyli się Rzymianie. Przed nią zaś…

Przymknęła oczy, porażona widokiem. Usłyszała piskliwy jęk jakby zlęknionego zwierzęcia. Pomyślała, że to może niewolnik Chu Yuen, inteligentniejszy od przeciętnego legionisty, a więc bardziej wrażliwy na rzeczy zdumiewające… i straszne. Miała nadzieję, że to nie on?

– Patrz w dół – poradził jej ColU, bezpiecznie ulokowany w plecaku Chu. – Mardino Eden Jones Guthfrithson, posłuchaj mnie uważnie. Nie patrz przed siebie ani w górę, ani nawet na ścianę, do której jesteśmy uczepieni. Patrz prosto w dół.

Mardina otworzyła oczy i spojrzała. Pod przezroczystą podłogą zobaczyła jak gdyby Terrę oglądaną z niskiej orbity: rozległy wycinek krajobrazu, sprane zielenie i szarości pod rozproszonymi obłokami. Tafle wody błyszczały w słońcu jak wypolerowane tarcze rzymskich legionistów.

– Nie jest tak źle – stwierdziła z ulgą.

– Tutaj, na osi habitatu, znajdujemy się ponad dwieście mil nad tym, co tam widzisz. Bo tyle wynosi promień tego cylindra. Możesz się poczuć jak astronauta na orbicie.

– W promieniach słońca wszystko wygląda prawie normalnie. Choć…

– W promieniach słońca? – zapytał ColU. – Aha, rozumiem. W olbrzymiej powłoce muszą

być otwory. Świetliki wpuszczające odbity blask, który rozjaśnia zamknięte środowisko habitatu. Z pewnością odbity kierunkowo, żeby nie przeciążyć osłon radiacyjnych. Jeden znajduje się pod nami i trochę z przodu. Możesz już unieść wzrok, spojrzeć nieco wyżej…

Świetlik płonął silnym blaskiem pod chmurami niczym miasto ogarnięte pożarem. Był to niezwykły, cudowny widok.

– Nazywamy je oknami Intiego – rzekł Ruminavi. – Inti jest naszym bogiem słońca.

Oszklony wagon raptownie ruszył w dół po szynach biegnących wzdłuż ściany. Pasażerowie, obijając się wzajemnie w powietrzu jak kamienie w upuszczonym hełmie, gorączkowo szukali uchwytów będących w ich zasięgu. Widać było, że niektórym legionistom zbiera się na wymioty.

Ruminavi, bezpieczny w swoim fotelu, przyglądał się temu ze złośliwym uśmiechem.

– Trzymajcie się mocno, wzrośnie przyśpieszenie. Wejdziemy w atmosferę z prędkością wielu waszych rzymskich mil na godzinę. Oczywiście wtedy już będziecie czuć ciężar wynikający z obrotów habitatu… – Roześmiał się głośno. – Co, Rzymianie, nie jesteście już tacy twardzi. Jak wasi przodkowie, którzy na kolanach błagali generałów Tiso Inki, żeby nie niszczyli Pięścią ich miasta.

Kwintus Fabiusz spiorunował go wzrokiem.

– No dobrze – oświadczył wreszcie ColU. – Raz jeszcze popatrz w dół, Mardino Eden Jones Guthfrithson. I w górę. Przyjrzyj się ścianie, przy której się rozpędzamy.

Uświadomiła sobie teraz, że nie jest to zwykła ściana, ale raczej czoło urwiska poddane wielu inżynieryjnym zabiegom, pokryte konstrukcjami w kształcie bloków, kopuł i piramid, niejednokrotnie zbudowanych ze stali, ozdobnie pomalowanych, a nawet obłożonych kamieniem spojonym żelaznymi klamrami. Konstrukcje – może to nie było dobre słowo. Mardina widziała otwierające się drzwi i światełka palące się w środku. Zatem budynki zamieszkane przez ludzi. U samego początku osi wyrastała wprost ze ściany monstrualna wieża zbudowana z kamiennych bloków: smukła, niewyobrażalnie wydłużona piramida schodkowa. W pewnym miejscu Mardina wypatrzyła ekipę budowlaną; robotnicy w skafandrach ciśnieniowych, uwiązani do ściennych uchwytów, uwijali się przy budowie czegoś zupełnie nowego. A więc było to miejsce wciąż żywe, doświadczające ciągłych przeobrażeń – pionowe miasto przytwierdzone do ściany. Szyny, po których gnał wagon, przebijały się przez ten konglomerat po linii prostej jak strzała, by daleko w dole wpaść w chmury.

Mardina pomodliła się w duchu.

– Podniebne miasto – powiedziała.

– Raczej nadniebne – poprawił ją ColU. – Jesteśmy praktycznie w próżni. Powietrze staje się

odczuwalnie gęstsze dopiero dwadzieścia mil nad powierzchnią, to znaczy nad cylindrycznym kadłubem. Ten habitat ma średnicę około czterystu pięćdziesięciu mil i zawiera w sobie przede wszystkim próżnię z cienką warstwą powietrza przy wewnętrznej powierzchni, utrzymywanej tam dzięki sile odśrodkowej.

– Wielkie miasto w próżni. Czemu akurat tutaj?

Apu prychnął.

– A jak myślisz? To Hanan Cuzco, dom samego Inki, jego rodziców, dziedziców i najbliższych doradców. Najwspanialszy cud w Yupanquisuyu, z którym nie może się równać zawszone Hurin Cuzco na wschodnim biegunie. Ta śliczna próżnia jest zaporą dla *mitimaców*. Tam, w dole, mogłaby toczyć się wojna, a my na górze nawet byśmy o tym nie wiedzieli.

– Jacy „my", Ruminavi? – zapytał Kwintus. – Przecież tu nie mieszkasz. O ile dobrze rozumiem, jedziesz z nami aż do tego podłego *antisuyu*, skąd pochodzisz.

Ruminavi popatrzył na niego nieprzychylnie.

– To prawda. W mojej dżungli przekonamy się, jak daleko zaprowadzi cię twoja rzymska duma, nadęty błaźnie.

Mardina ponownie skierowała wzrok na tylną część wagonu, gdzie niejakiej otuchy dodawał jej widok przelatujących za szybą nitowanych żelaznych arkuszy. Wciąż blacha i nity, setki mil stali…

– W porządku, Koliuszu, przejdźmy do następnego etapu.

– Dobrze. Pozostań wyprostowana, stopy skieruj ku ziemi, że tak się wyrażę. Im dalej od osi, tym skuteczniej działa siła odśrodkowa, która ściągnie cię w dół. Teraz spójrz na wprost, powoli unieś twarz…

Gdyby rzeczywiście znajdowali się na orbicie Terry, na tej wysokości zaznaczyłaby się już krzywizna planety. Patrząc w każdą stronę, dostrzegłaby widnokrąg. Tutaj było inaczej. Gdy uniosła głowę, ujrzała rozległą panoramę z rzekami, wzgórzami, śródlądowymi morzami i czymś, co wyglądało jak farmy i miasta. A wszystko to uciekało w dal, szczegóły stopniowo zlewały się ze sobą, by na koniec utonąć w zamglonym powietrzu, rozjaśnionym wpadającymi przez świetliki promieniami słońca. Dopóki patrzyła prosto przed siebie, nie widziała krzywizny. Wystarczyło jednak odsunąć wzrok od osi, by stwierdzić, że krajobraz z obu stron wygina się w górę; oba łuki spotykały się nad jej głową, dając efekt tuby pokrytej plamami zieleni, błękitu, szarości i rozmytego światła. Miała wrażenie, że trzyma w ręku zrolowaną mapę i patrzy przez nią niczym przez lunetę w stronę jakiejś odległej jasności.

Przynajmniej z daleka świat wydawał się przyjemną abstrakcją. Gdy jednak spojrzenie Mardiny przesunęło się z powrotem wzdłuż całej długości tuby aż do miejsca, gdzie w tej chwili

się znajdowała, i gdy zamiast wielkiego dachu ujrzała nad sobą szmat ziemi zaścielony odwróconymi górami, mozaiką pól uprawnych, a nawet rzekami przykutymi tam dzięki sile odśrodkowej, której na razie nie czuła – jej serce zabiło mocniej, a oddech stał się płytki.

– Spokojnie, Mardino – odezwał się ColU. – Chu Yuenie, chwyć ją za rękę.

Dotyk młodzieńca przyniósł jej pewną ulgę, ale kiedy spojrzała w bok, okazało się, że niewolnik mocno zacisnął powieki.

Roześmiała się.

– Dobrze się czujesz, Mardino?

– Tak, Koliuszu. Zrolowany świat. Co za rozmach! Odwaga! Szaleństwo!

– To prawda. Ale proszę, jesteśmy tu. Chu Yuenie, co o tym sądzisz?

– Brakuje mi gwiazd – odparł młodzieniec. – Ale właśnie… stanąłem na podłodze tej skrzyni.

Miał rację. Mardina nawet tego nie zauważyła. Wciąż była lekka jak piórko, ale po podskoczeniu wolno opadła z powrotem.

– Przed nami jeszcze długa droga, nim zejdziemy w chmury – oznajmił Ruminavi. – Za nami jej dziesiąta część, więc pomału zaczynacie odzyskiwać ciężar. Nie mamy tu żadnych przekąsek, ale wodę możecie czerpać z tamtego kranika…

Mardina rozejrzała się wokół siebie, po raz pierwszy od dłuższego czasu świadoma tego, że nie jest sama. Kiedy powróciło przyciąganie, legioniści zaczęli ściągać buty i mościć sobie legowiska na płaszczach i kocach. Tytus Waleriusz dla zabawy rzucał kośćmi do gry, a przynajmniej próbował, uskarżając się na to, że dziwnie się toczą w niskiej grawitacji. *Medicus*, zwinięty w kłębek w kącie, udawał, że się nie boi. Jeden z żołnierzy chyba uciął sobie drzemkę.

A tymczasem zamknięty w tubie świat rozwijał się przed ich oczami.

Rozdział 42

Po dwóch godzinach podróży wagon nareszcie zagłębił się w warstwę gęstszych chmur, aczkolwiek od pewnego już czasu widać było naokoło błękit rozrzedzonego powietrza.

Dwie godziny. Dopiero ten fakt – to, że ich bądź co bądź szybkobieżny środek transportu potrzebował aż tyle czasu na przejazd wzdłuż promienia czapy biegunowej gigantycznego cylindra – dał Mardinie lepsze pojęcie w kwestii rozmiarów obiektu, w którym się znalazła. Już teraz dzieliły ją setki mil od portu, gdzie zostali przyjęci do habitatu. Każda wyprawa w jego olbrzymim wnętrzu musiała trwać długo. Na szczęście jej ciało odzyskało normalną wagę, mimo że nie zjechali jeszcze na sam dół.

Zaledwie przebili się przez zwały chmur, ujrzała pod sobą górskie szczyty. Góry wspinały się ku czapie, jakby skalista fala uderzała o brzegi stalowej ściany. Na wierzchołkach i w wyższych partiach zboczy utrzymywała się pokrywa lodowa, ześlizgująca się po stokach długimi jęzorami.

Szyny odsunęły się od ściany, a pojazd odchylił się dla zachowania pionu. Nagle Mardina zauważyła, że zsuwają się nad oblodzonym zboczem pokruszonego skalnego rumowiska. Krajobraz u podnóży gór wciąż był daleko w dole.

– Wygląda to prawie naturalnie – powiedziała.

Ruminavi chrząknął.

– Dopóki sobie nie uświadomisz, że pierścień tych gór obiega całą podstawę czapy biegunowej.

– No tak – powiedział ColU – ponadtysiącmilowy łańcuch górski jak w Dolnej Walhalli, czyli Ameryce Południowej, skąd wywodzą się przodkowie Inków. Tyle że zawinięty w koło!

– I wszystko na pokaz – rzekł z szerokim uśmiechem Ruminavi, próbując skłonić ich do reakcji, może nawet im zaimponować. – Puste w środku! Zbudowane przez inżynierów, zaprojektowane przez artystów! Wewnątrz pracują ogromne maszyny, które wymuszają obieg powietrza i wody, a nawet kamieni, żwiru i piasku z oceanu.

– Jakiego oceanu? – zdziwiła się Mardina. – Zresztą mniejsza o to.

– Możecie podziwiać spektakl…

Wagon raptownie minął granicę śniegu i pędził teraz nad nagimi skałami. Widok mógł spowodować zawroty głowy. Na dnie okrytych roślinnością przepaścistych wąwozów płynęły grzmiące potoki, nad nimi zaś piętrzyły się skute lodem szczyty, wczepione szponami w żelazną ścianę czapy biegunowej. Brzegi niektórych parowów były spięte baśniowymi mostami.

Przyglądając się uważniej, Mardina spostrzegła, że tu i tam na zboczach powstały równe tarasy, utrzymywane w porządku przez zapracowanych ludzi. Dało się zauważyć chaty, poletka, w rozrzedzonym powietrzu snuły się dymy z ognisk. Byli też pierwsi mieszkańcy cylindra, których zobaczyli po opuszczeniu portu.

– Hodowcy ziemniaków – oświadczył ColU. – Zupełnie jak w Andach w epoce Inków. Naszych Inków. Zakładali uprawy do samej granicy śniegu.

Ruminavi słuchał obcych mu wyrazów z nachmurzonym czołem. Rzekł jednak:

– Na pamiątkę po starym państwie wznieśliśmy góry i ustanowiliśmy w nich rezydencje bogów. Wszędzie są świątynie.

– Tak, Inkowie przyszli z górzystej krainy – powiedziała Mardina. – Pamiętam, z czym zetknęli się w mojej historii Zynowie i Rzymianie, kiedy walczyli o władzę nad Dolną Walhallą. Było tam potężne imperium z wpływami na całym kontynencie, lecz posiadało jedynie skórzane pancerze i spiżowe miecze…

– To samo odkryli Europejczycy z cywilizacji chińsko-oenzetowskiej – stwierdził ColU. – I zniszczyli. Ale tutaj, jak widać, Inkom się powiodło. Pokonali Rzym i wyruszyli w kosmos, nie zapominając o swojej kulturze. Ba, odtworzyli ją nawet. Chociażby Andy, zbudowane być może z księżycowych skał. Inguill nazywa ten habitat Yupanquisuyu, co w naszym języku znaczy Kraj Yupanqui. Cusi Yupanqui, przynajmniej w mojej linii czasu, był człowiekiem, który doprowadził do rozkwitu imperium Inków. Podbił ogromne terytoria i ustanowił prawne, wojskowe i społeczne podstawy funkcjonowania państwa. Yupanqui był ich Aleksandrem Wielkim, i to jest tak, jakby nazwać ten habitat Aleksandrią. A zatem Yupanqui żył również w tej rzeczywistości. Nasze historie do pewnego momentu musiały być dość zbieżne, chociaż Rzym chyba przetrwał dłużej, nim został zniszczony. Muszę zobaczyć *quipu*.

– Co?

– Ramę z pismem węzełkowym, którą nosi *quipucamayoc* Inguill. To pradawny sposób zapisywania informacji, używany przez Inków chyba do dziś. Gdzieś w tym habitacie musi być biblioteka, wielkie zbiory pism węzełkowych zawierających dzieje imperium od czasów jego założenia. Gdybym ją odnalazł…

Przysłuchiwał się temu Kwintus Fabiusz.

– Zobaczę, co da się zrobić, Koliuszu – powiedział ironicznie. – A na razie chciałbym zauważyć, że to szklane pudło zwalnia.

Wagon akurat wjechał w obszar rozścielonych niżej chmur, które przesłaniały zielonkawy krajobraz. Na polecenie Ruminaviego pasażerowie pozbierali swoje rzeczy i ustawili się w kolejce przy bocznych drzwiach. Wojownicy osiowi z czapy biegunowej, którzy w warunkach

sztucznej grawitacji wydawali się nader wątli, nie ruszali się z foteli, starannie przypięci pasami, lecz wciąż kierowali na Rzymian tępo ścięte lufy swojej groźnie wyglądającej broni. Tymczasem na zewnątrz, celem przejęcia zesłańców, czekała już grupa rosłych żołnierzy: odzież jaskrawa, cera smagła, na surowych twarzach podejrzliwość.

Mardina zorientowała się, że czeka ich krótki spacerek i przesiadka do następnego wagonu na szynach, lecz ciągniętego, wraz z innymi, przez ciężką lokomotywę. Tory zbiegały po stromiźnie górskiego zbocza.

– Oho – rzekł ColU, niesiony przez Chu. – Znowu sieć kolejowa. Wynalazek uniwersalny dla wszystkich linii czasu, powszechny w każdej rozwiniętej cywilizacji technicznej. Zapytaj Ruminaviego, Kwintusie, jak działa. Co napędza tę lokomotywę.

Wypytywanie trwało dobrą chwilę, nim uzyskano odpowiedź. Kwintus musiał uciec się do pochlebstw, żeby *apu* zaczął chwalić się dokonaniami Inków. Pociąg, przez niego nazwany karawaną, poruszał się po „drogach bogów”, *capac nan*, docierających do wszystkich zakątków habitatu. Ruminavi wyjawił, że lokomotywę, nazywaną tu „lamą”, napędza *warak'a*, co w dawnym keczuańskim języku oznaczało „procę”. Okazało się, że Inkowie nazywają tak ziarna…

Po wyjściu z wagonu Mardina przestała zaprzątać sobie głowę słowami. Strome zbocze kipiało roślinnością i tonęło we mgle. Powietrze było rzeźkie i wilgotne, lecz rzadkie, co utrudniało oddychanie. Czuła, że znajduje się na dużej wysokości. Nad jej głową porozrywane chmury przesłaniały widok wyższych gór, które zdobiły przestrzeń wyspami zieleni – powiedziałby kto, że darami wotywnymi. Przy dróżce prowadzącej na stację wesołą barwą pyszniły się kępy kwiatów – pomarańczowych, żółtych, fioletowych. Nad nimi migotały jasne skrawki błękitu: małe zapracowane ptaszki.

Apu przyglądał się badawczo Mardinie. Chyba spodobało mu się jej zainteresowanie, jakże różne od zachowania żołnierzy, którzy maszerowali dróżką, narzekając, że bolą ich nogi w warunkach pełnej grawitacji.

– Las mglisty – oznajmił, posługując się wyrażeniem, które ColU musiał chwilę tłumaczyć.

– Podejrzewam, że on też otacza ten świat wielkim pierścieniem.

– Zgodnie z projektem. Chodź, w dole zrobi się jeszcze ładniej. I pomyśleć, że wszystko to w kosmicznym pudełku. – Uśmiechał się do niej trochę zbyt namiętnie, jakby spijał z jej twarzy, z jej skóry każdy szczegół.

Mardina odsunęła się od niego i przyłączyła znów do grupy.

Musieli przesiedzieć bitą godzinę, nim pociąg był gotowy do odjazdu.

Było wiele przedziałów pasażerskich, lecz legionistów ulokowano w topornych wagonach

przeznaczonych zapewne do przewozu towarów. Rzymianom wszystko zawadzało; narzekali na brak tlenu w powietrzu i jedzenie, które skąpo wydzielali im inkascy żołnierze – owoce, mięso, wodę. Musieli wspomagać się sucharami i racjami żywnościowymi, które spakowali na drogę przed opuszczeniem statku. Ponadto, zwyczajem żołnierzy, szukali snu przy każdej sposobności.

Tymczasem kolejne składy wtaczały się na stację biegunową z wnętrza habitatu, załadowane artykułami gospodarczymi, spożywczymi, drewnem. ColU uważał, że po części przeznaczone są na eksport do innych kosmicznych kolonii lub do zaopatrzenia wielkich miast na biegunach.

W końcu pociąg ruszył w drogę.

Początkowo zjeżdżali stromym stokiem z zatrważającą prędkością. Mardina siedziała na drewnianej ławie z głową opartą o szybę. Mając wzrok wbity w dal, niebawem spostrzegła, że przekraczają granicę lasu mglistego i okolica staje się coraz bardziej otwarta. Gdy ostatnie podnóża gór mieli już za sobą, znaleźli się na równinie – płaskiej, jeśli patrzeć w kierunku podróży – gdzieniegdzie urozmaiconej pasmami niskich wzgórz i dolinkami, którymi leniwie płynęły rzeki. Prefekt wytłumaczył, że te tereny nazywają się *puna*. W odczuciu Mardiny rozległa równina nie mogła cieszyć oczu, gdy z okien rozpędzonego pociągu widać było jedynie trawę, krzaki i jałową ziemię. Ilekroć jednak spojrzała w bok, wyraźnie dostrzegała wznoszącą się krzywiznę krajobrazu, co dawało wrażenie, jakby podróżowali w gigantycznym wąwozie. Iskierki sztucznego światła i smugi dymu widoczne na zaginających się ścianach świadczyły o obecności miast, a nitki torów i dróg mieniły się zimnym blaskiem.

I wszędzie widać było ludzi uprawiających rolę na rozległych polach i tarasach. Mieszkali w skromnych chatach, aczkolwiek w większych miejscowościach można było zobaczyć szeregi ogromnych magazynów zwanych *tambo*, będących – jak tłumaczył *apu* – państwowymi składami żywności. Co pewien czas przyciągały wzrok jeszcze większe budowle, otoczone murami podzielonymi na tarasy przypominające potężne schody. Były to twierdze – *pukara*. Mury wzniesiono z ciemnego łupanego kamienia, który według przypuszczeń ColU mógł pochodzić z rozebranego Księżyca.

Jednakże pewne elementy krajobrazu były trudniejsze do zdefiniowania dla córki Brykanta. Na rozjazdach kolejowych, przy źródłach czy znaczniejszych skałkach stały małe świątynie, nazywane przez tubylców huaca, w nich zaś znajdowały się rzeźbione podobizny bożków, słupy, kopce, pukle ludzkich włosów, a raz Mardinie mignęła przed oczami zmumifikowana dłoń. Zupełnie jakby cała ta kraina była przesycona obecnością bogów i duchów. Odnosiło się wrażenie, że poza obrębem ludzkich sadyb na tych dziwnych równinach nie ma zupełnie nic z wyjątkiem szyn, pociągu i miejsc poświęconych bogom.

Kwintus prowadził rozmowę z niskim urzędnikiem, wytrwale podpytując o różne sprawy

związane z tym światem.

ColU przekazał Mardinie treść rozmowy w skrócie:

– Ten sztucznie stworzony krajobraz, *puna*, jest odpowiednikiem tego, co moja cywilizacja nazwała *altiplano*. Ta równina w Dolnej Walhalli rozciągała się na ogromnych obszarach i doskonale nadawała się pod uprawę. Znajdowała się wysoko, dwie mile i więcej nad poziomem morza. Tu chyba również, sądząc po rozrzedzonym powietrzu. Kolejny dowód na to, że odtwarzają kulturę, która powstała na Terze.

– Ale tu wszystko jest przytłaczająco wielkie – odparła. – Po co? Czemu ci ludzie tak tyrają? Czemu żyją w tej olbrzymiej maszynie?

– *Apu* nie należy do osób powściągliwych – wtrącił Kwintus. – Starczyło kilka komplementów, żeby udzielił mi podstawowych informacji na temat Yupanquisuyu i sensu istnienia tej bestii. Tu mieści się mózg wielkiego systemu wyzysku, ekspansji i kontroli, który obejmuje Słońce, księżyce, planety, całe Imperium Czterech Ćwierci. Bezkresne, żyzne ziemie habitatu są w stanie wyżywić górników i inżynierów, którzy pracują na wszystkich światach w tym układzie. Habitat jest także źródłem siły roboczej, rąk do pracy w górnictwie, i kopalnią rekrutów na potrzeby wojska, gdy trafi się jakaś wojenka. W tych czasach, gdy imperium Inków sięga do krańców Układu Słonecznego, już tylko tłumi się rebelie. Aha, habitat utrzymuje armię ludzi spełniających zachcianki Sapy Inki, syna słońca. No cóż, kto rządzi, musi pokazać, że ma bogactwo i władzę. Cesarze rzymscy dobrze o tym wiedzieli. Hanan Cuzco, jego upiorna stolica w bezpowietrzu, to inkaskie Wzgórze Kapitolińskie…

– Istnieje jeszcze jedno uzasadnienie – mruknął ColU. – Jeszcze jeden cel, któremu to służy.

Kwintus pokiwał głową.

– Mają statki gwiezdne. Raczej większe niż nasz „Malleus”, ale nie bardziej zaawansowane. Mają ich całe mnóstwo, olbrzymie floty, i już od ponad stu lat, jak mówi *apu*, latają stadami do gwiazd, żeby…

– …budować Włazy – dokończyła cicho Mardina.

– Na to wygląda. Na dużo większą skalę, niż robiliśmy to my.

– I tak to już jest – rzekł ColU. – Nie wnikając w to, czy cywilizacja Inków jest lepsza od innych, możemy śmiało powiedzieć, że jest mistrzem w budowaniu Włazów. Jakby celowo pokierowano nią tak, żeby spełniała oczekiwania tych, którym na tym zależy. Zresztą nie ma się co dziwić, biorąc pod uwagę nasze doświadczenia z rozjazdami Jonbara.

Kwintus chrząknął.

– Pewnie i tak, ale może zostawmy w spokoju kosmiczne tajemnice, a skupmy się na bieżących problemach, które mogą nam jeszcze dać w kość.

Pierwszy przystanek był dopiero po dziesięciu godzinach, gdy dotarli do miejsca, gdzie kończyło się *altiplano*. A że zgodnie z wyliczeniami ColU pociąg jechał bez zatrzymywania się ze średnią prędkością sześćdziesięciu mil rzymskich na godzinę, Mardina znów mogła sobie wyobrazić kolosalne rozmiary obiektu, do którego się zapuszczała.

Kiedy pociąg wreszcie zaczął zwalniać, w Yupanquisuyu zapadał zmierzch. Mardina przypuszczała, że musieli przybyć do czapy biegunowej rankiem. Przez chwilę zastanawiała się, w jaki sposób mechanizmy luster za oknami Inti blokują niegasnące światło słoneczne, aby powstał zmrok.

Wysiedli na niewielkim dworcu, który Ruminavi nazywał *chuclla*. Znajdowała się tutaj swego rodzaju stołówka i umywalnia, jak również sklepiki oferujące posiłki czy nawet odzież na przebranie. Były także pomieszczenia sypialniane, choć *apu* powiedział, że zabawią tu krótko, zanim pociąg ruszy w dalszą drogę z nową załogą. Jeśli komuś się chciało, mógł spać w czasie jazdy. Tak czy inaczej, naburmuszeni legioniści nie dysponowali miejscową walutą, więc nie mogli nic kupić. Inkascy żołnierze śmiali się, widząc ich frustrację.

Tłem dla tego malutkiego ośrodka przemysłu i zaopatrzenia była zachwycająca panorama Yupanquisuyu.

Kiedy Rzymianie kwękali pod sklepami, Mardina wybrała się na samotny spacer poza obręb dworca. Chociaż nastała już noc w habitacie, jego wnętrze nie tonęło w ciemnościach. Przez świetliki przesączał się nikły blask w czystym, srebrnym odcieniu – tak łagodny, że świat był wyprany z kolorów. Mardinie od razu przypomniała się księżycowa poświata na Terze, co zapewne nie było dziełem przypadku. Widziała zarysy uśpionej okolicy, tarasów i pól uprawnych. Całkiem niedaleko dostrzegła czarne płaty wzgórz i dolin. Zatem niebawem mieli zjechać niżej, gdzie powietrze było gęstsze.

I nawet nocą doskonale widziała, jak z lewej i prawej strony, patrząc w kierunku jazdy, teren wygina się w górę. ColU wyjaśnił jej *przedtem*, że okrągły świat o wymiarach identycznych jak ten cylinder miałby horyzont w odległości zaledwie jednej mili, nie zaś trzech jak Terra. Rzeczywiście, niecałą milę od niej okolica zaczynała się wznosić, drzewa i domy wyraźnie nachylały się w jej stronę. Teren piął się wyżej i wyżej – zamiast widnokręgu była tylko zamglona dal – aż przybrał wygląd gigantycznego zbocza z nierealnie zawieszonymi rzekami i jeziorami. Szczegóły ginęły w ciemnościach, przesłonięte grubą warstwą mglistego powietrza. Gdy jednak zadarła pionowo głowę, ujrzała dach tego świata, odwrócony krajobraz upstrzony świetlistymi punkcikami. Na tej wysokości powietrze było przejrzyste i miała wrażenie, że patrzy przez próżnię.

Podszedł do niej *apu*. Żuł jakieś przetworzone zielone liście, które zaproponował jej do

skosztowania. Odsuwając się od niego dyskretnie, odmówiła.

– Niesamowity widok dla kogoś, kto patrzy na to po raz pierwszy – powiedział. – Czasem zdumiewa nawet tych, którzy już przywykli.

– Trudno uwierzyć, że to druga strona cylindra. Zupełnie jakby wisiał nad nami inny świat.

– To normalne – mruknął jej do ucha ColU. – Ludzkie oko na drodze ewolucji przystosowało się do szukania zagrożeń i okazji w płaszczyźnie poziomej, więc percepcja w pionie jest niedoskonała…

– Pst! – napomniała go szeptem.

Ruminavi przyglądał się jej z podejrzliwością.

– Widzę, że niedługo opuścimy *punę* – stwierdziła.

– Tak. Dlatego w tym miejscu powstała *chuclla*. Ostatni przystanek, nim zejdziemy niżej. I miejsce, gdzie podróżujący w przeciwnym kierunku mogą się przyzwyczaić do rozrzedzonego powietrza.

– A tam niżej co jest?

– Wybrzeże. Z *puny* spływają rzeki, więc mamy tam szerokie doliny i potężne delty. To bardzo żyzna kraina, idealna dla rolnictwa i rybołówstwa. Uprawia się tam paprykę, kukurydzę. Będziemy tamtędy przejeżdżać połowę tego czasu, który już spędziliśmy w podróży.

– Czyli jeszcze pięć godzin? I potem co? Powiedziałeś, że wybrzeże? Ale wybrzeże czego?

– Jak to czego? Oceanu. Otacza pierścieniem cały świat. – Wskazał niebo tam, dokąd zmierzali, gdzie według niego i żołnierzy znajdował się wschód. – Czasem widać go w nocy. Oczywiście w dzień prezentuje się cudownie. O świcie będziemy w trakcie przeprawy.

– Przeprawy?

– Są tam mosty dla ruchu kolejowego i innych pojazdów. Przemkniemy na drugi brzeg bez zwalniania.

– Jak długo potrwa przeprawa?

– Będzie zapadał zmierzch, kiedy znajdziemy się na wschodnim brzegu.

Odległości mierzone upływem czasu działały na wyobraźnię. Za piętnaście godzin, może nawet dwadzieścia, wciąż będzie podróżowała dnem habitatu.

– A za oceanem?

– Tam to już jest *antisuyu*. Wschodnia kraina w odróżnieniu od *cuntisuyu*, zachodniej, po tej stronie oceanu. Gdybyś chciała udać się dalej, do wschodniej czapy biegunowej, musiałabyś spędzić w podróży następne piętnaście godzin.

– Ale tam nie jedziemy?

– Nie, nie. Pięć, sześć godzin i będziemy w domu. Moim, waszym…

– Czyli? Jak on wygląda?

– To dżungla. *Hacha hacha*. Zobaczysz. – Uśmiechnął się, błyskając bielą zębów w półmroku. Znów podał jej liście. – Na pewno nie skusisz się na kokę? Dzięki niej łatwiej się żyje.

Pokręciła przecząco głową i ponownie się odsunęła. Szedł za nią bezradnie. Wyraźnie ciągnęło go do niej, lecz na szczęście brakowało mu odwagi bądź sprytu, żeby coś z tym zrobić.

Rozdział 43

Na Per Ardui tej pierwszej „nocy”, kiedy Beth i Earthshine przeszli przez Właz, dwanaście godzin bez przerwy padał deszcz.

Szum wody na sztywnej tkaninie namiotu do pewnego stopnia uspokajał Beth. Odżywały wspomnienia z dzieciństwa, kiedy wraz z rodzicami przemierzała szlak wędrówek budowniczych i ich ruchomego jeziora nazwanego przez jej matkę *dżillą*. Mieszkała w domostwach, które rzadko bywały trwalsze niż jej dzisiejsze.

Niezależnie jednak od tego, że czuła się swojsko na rodzinnym świecie, dokuczała jej świadomość, że jest tu sama – nie licząc sztucznej istoty, która z każdą chwilą, chociaż była jej dziadkiem, wydawała się bardziej obca.

– Zupełnie jakby odjeżdżał w kierunku zachodzącego słońca – mruknęła pod nosem.

– Co proszę? – Earthshine siedział obok na dmuchanym materacu z bardzo sugestywnie animowanym srebrzystym kocem termoizolacyjnym na ramionach.

Przygotowywała zupę przy małym ognisku – pierwszym, które tu rozpaliła, odkąd przed laty wyruszyła na Merkurego. Korzystała ze składników spakowanych na podróż oraz miejscowych ziemniaków, sprawnie obranych i pokrojonych w kostkę. W rondelku zaparzyła rzymską herbatę. Posiadała latarki małe i duże, aczkolwiek w niegasnącym blasku dnia do środka przez nieco odchyloną połę namiotu wpadało dość światła, żeby jej wzrok nie męczył się przy pracy.

– Nic – odpowiedziała. – Myślę na głos. Ciągle mam wrażenie, że po wyjściu z Włazu jeszcze nie spałam.

– Minęło dopiero parę godzin – rzekł łagodnie. – Tyle rzeczy zobaczyliśmy, tylu się dowiedzieliśmy. Dlatego wydaje nam się, że jesteśmy tu dłużej.

– Może. Minęło pół dnia, a ty już się zastanawiasz, jak stąd zwiać, nie?

Wzruszył ramionami i napił się herbaty z wirtualnej filiżanki.

– Ruszam stąd, gdy tylko aparat wspierający będzie gotowy do podróży. Nie widzę sensu zostawać tu dłużej.

– Dokąd pojedziesz?

– Logika podpowiada tylko jeden kierunek.

– Strefa przeciwgwiezdna?

– Oczywiście.

– To oznacza wędrówkę przez ciemną stronę planety.

– Możesz iść ze mną, proszę bardzo – zaproponował spokojnie. – Nie ma pośpiechu, moglibyśmy się odpowiednio przygotować. Jeśli zechcesz, pojedziesz na aparacie wspierającym. Zmontujemy coś na kształt siodełka.

– Dzięki.

– Ale równie dobrze możesz tu zostać. Lub pójść tam, gdzie ci się spodoba. Jeśli zdecydujesz się na ten krok, mogę ci nawet użyczyć paru potrzebnych rzeczy z aparatu wspierającego. Dostałabyś ode mnie mały zestaw: podstawowe czujniki pomiarowe, analizatory składu żywności, pakiet medyczny uzupełniający środki pierwszej pomocy dostępne w twoim skafandrze. – Skrzywił się, przesuwając palce przez materiał jej rękawa. – Jak się domyślasz, nie są mi niezbędne.

– Ta ziemia już kiedyś żywiła mnie i moją rodzinę. Dałabym sobie radę. – Po zastanowieniu sprostowała: – Naszą rodzinę.

Nie zareagował na to w żaden sposób.

– Czego będziesz szukał w strefie przeciwgwiezdnej? – zapytała.

– Odpowiedzi.

– Jakich? Co tu jest nie tak, że chcesz się stąd wynieść?

Zacisnął pięść.

– Wszystko tu jest nie tak! To nie miało tak wyglądać. Rozwaliłem Marsa, żeby mnie wysłuchali. Nas, ludzkość.

– Mówisz o tych mikrobach z podziemnych skał?

– O Śniących, tak ich nazywam. O władcach marionetek, bo tak zaczynam o nich myśleć. Sieją zamęt na naszych światach, niszczą naszą historię, bezkarnie obracają w perzynę z trudem rozwinięte cywilizacje. Ale dosyć tego dobrego! Zmusiłem ich do słuchania. Wreszcie odpowiedzieli.

– Prowadząc cię do Włazu na Marsie?

– Tak. Do Włazu, który przeniósł nas tutaj. Ale to za mało. Niewiele mi z takiej odpowiedzi.

– Nie rozumiem…

– To przecież Proxima! Tak, Beth, nie będę zaprzeczał, to na pewno ona, jakaś stara i zmizerniała, lecz… jednak Proxima, nasza najbliższa gwiazda. Ale chciałem zostać przeniesiony na Ultimę, najdalszą gwiazdę ze wszystkich naszych legend… czy też jej odpowiednik u Śniących. Do miejsca, gdzie znajdują się odpowiedzi, gdzie w końcu się dowiem, dlaczego robią to, co robią. I może bym ich powstrzymał – ciągnął z posępną miną. – Może byłbym Heimdallem dla ich podziemnego Lokiego… Owszem, wymusiłem na nich odpowiedź, przynajmniej jakąś reakcję. Ale to nie wystarczy. Dlatego znów zaproszę ich do tańca.

– Jak?

– Nie wiem jeszcze. Kiedy dotrę do strefy przeciwgwiezdnej, na pewno coś wymyślę.

Zastanowiła się.

– Mam dziwne wrażenie, że się mylisz. Choć nie wiem w czym i jak bardzo. Nie sprowadzili cię tu przez przypadek. Może odpowiedź, której szukasz, jest na wyciągnięcie ręki, tylko jej nie widzisz?

– Możliwe. Ale mimo wszystko nic złego się nie stanie, jeśli trochę tu powęszymy, nie?

– Wielu twierdziło, że trzeba cię powstrzymać, ciebie i twoje ambicje. Zawsze tak było, prawda? Nawet dawno temu, gdy przebywałeś na Ziemi. Zanim stałeś się…

– …tym, kim jestem dziś? Gdy byłem zwyczajnym Robertem Braemannem, człowiekiem z krwi i kości, łamiącym prawo dla ratowania świata? Jednym z dziewięciu tych, którzy teraz są mną? Kiedy stałem się Earthshine'em, rdzeniową jednostką sztucznej inteligencji, jednym z trzech niepokornych umysłów, znów łamałem prawa ustanowione przez ludzi, żeby ich ratować. I znów nie chcieli nam wybaczyć. Tu jestem już sam, próbując ocalić…

– …świat? Który?

– Może wszystkie, nie wiem. – Przez chwilę milczał. Deszcz nadal szumiał na szerokich arduańskich liściach. – A zatem pójdziesz ze mną? Pytam wyłącznie z powodów praktycznych. Trzeba się przygotować, zrobić plan podróży…

– Jeszcze nic nie postanowiłam – ucięła stanowczo. – Dopiero co się tu przenieśliśmy. Podoba mi się tutaj, choć pewne rzeczy się zmieniły. Po stronie dziennej jest całkiem fajnie. Jakoś nie ciągnie mnie do niekończących się ciemności, gdzie jest tak zimno, że trzeba nosić skafander.

– Ale zostać sama też byś chyba nie chciała – rzekł łagodnym tonem.

– A więc wolisz, żebym z tobą poszła? W sumie przeprowadziłeś mnie przez ten Właz.

– Do niczego cię nie zmuszałem.

– Naprawdę uważasz, że jesteśmy rodziną, Earthshine? Przecież wiem, że ojciec mojego ojca jest tylko jednym z dziewięciu umysłów. Myślisz o nim jak o swoim synu?

– Oczywiście, że tak. Zawsze staraliśmy się mu pomagać, ja i jego matka.

– Na przykład wepchnęliście go na sto lat do kriogenicznej zamrażarki, co w przyszłości stało się przyczyną jego śmierci.

Westchnął.

– Działaliśmy na granicy prawa. Próbowaliśmy go ocalić. Myśleliśmy, że za sto lat będzie przynajmniej mógł wyjść z naszego cienia i jakoś ułożyć sobie życie. Nie doceniliśmy ludzkiej mściwości. Retrospektywnych procesów sądowych. Nakładania kar na dzieci za winy ich przodków. Nigdy nam nie wybaczyli.

– Kochałeś go? I czy teraz nas kochasz?

Uśmiechnął się.

– Tak, w pewnej części, która jest we mnie. Wybacz, ale to najlepsza odpowiedź, jakiej mogę ci udzielić. Ludzie w zamierzeniu nie mieli być tacy jak ja. Ani świadomość, ani poczucie tożsamości nie jest czymś, co powinno się przelewać z pojemnika do pojemnika i mieszać z innymi składnikami, jakby robiło się koktajl. W związku z tym zauważysz, że moje zachowanie zawsze jest nieco… osobliwe. Ale przynajmniej jestem dzisiaj przy tobie. Czy można od kogokolwiek wymagać czegoś więcej?

Również się uśmiechnęła.

– To prawda. Czuję w sobie atawistyczną ochotę przytulenia się do ciebie, dziadku.

– Prosiłbym, żebyś się powstrzymała. Chyba przestaje padać. Pójdę sprawdzić, jak sobie radzi aparat wspierający.

Przeciągnęła się, ziewając.

– A ja chyba się zdrzemnę. Nie budź mnie, gdy wrócisz.

– Postaram się.

W ciepłym, wilgotnym powietrzu nasłonecznionej półkuli Beth wreszcie wyspała się za wszystkie czasy. Nieruchome oblicze Proximy uniemożliwiało określenie czasu. Niezależnie od pytań czekających na odpowiedź, niezależnie od nękających ją rozterek czuła, że jest w domu. Sama lub nie. Nawet jeśli zżerała ją bolesna tęsknota za córką i miała wrażenie, że ktoś ścisnął jej brzuch stalowym drutem i próbuje ściągnąć ją z powrotem na Marsa.

Kiedy wyjrzała z namiotu, Earthshine stał nad aparatem wspierającym, który powoli przebudowywał się przed podróżą.

Rozdział 44

Rzymian zaprowadzono na równą, szeroką polanę wyciętą w lesie deszczowym. Tam powiedziano im, że zajmą się rolnictwem. Mieli uprawiać kukurydzę, pszenicę, ryż, kakao i wszechobecne ziemniaki, które Inkowie nazywali papa. Dowiedzieli się, że nie będą hodować zwierząt – żadnych owiec, kóz, krów czy lam – choć podobno dżunglę, *hacha hacha*, zamieszkiwały jakieś dzikie stworzenia. Oczekiwano, że gospodarstwo wyda również inny plon, bardziej dla nich egzotyczny i nieznany: barwne kwiaty, dziwne grzyby i porosty, które według przypuszczeń ColU służyły do przygotowania mieszających rozum eliksirów – czy środków psychoaktywnych, jak tłumaczył Mardinie. Najwyraźniej był to wyróżnik cywilizacji Inków w każdej linii czasu.

I tak praca się rozpoczęła.

Karczowisko wymagało ciągłych starań, przede wszystkim regularnego wypalania puszczy na jego skraju. Także dbania o rowy odwadniające, co zawsze wiązało się z ciężką pracą. Plony nie były bogate na cienkiej glebie – choć nie aż tak złej, skoro coś się na niej rodziło. Doradzał im ColU. Rzymianie nawozili swoje poletka głównie popiołem z palonej roślinności, ale też łajnem i kośćmi zwierząt żyjących dziko w lesie, w tym gryzoni dorastających do rozmiarów owcy. Praca była mozolna, lecz znośna.

Oczywiście mieszkali tu już inni ludzie.

Dołączyli do *ayllu*, czegoś w rodzaju klanu, luźnego związku rodzin, spośród których jedne utrzymywały bliskie kontakty z drugimi, inne zaś trzymały się bardziej na uboczu. Mardina zauważyła jednak, że wszyscy zachowują się dość przyjaźnie. Wydawało się, że Inkowie mają zwyczaj przemieszczać ludzi w ich zamkniętym jak skrzynka imperium z miejsca na miejsce, pomiędzy odległymi nieraz zakątkami – czasem poprzez toroidalny ocean z kontynentu na kontynent, z *puny* i delt rzecznych na zachodzie, *cuntisuyu*, do porośniętej puszczą wschodniej połowy habitatu, *antisuyu*. Wszystko to zapewne służyło utrzymaniu kontroli, o której *quipucamayoc* Inguill wspominała Rzymianom, gdy zjawili się tutaj. Jeśli przebywasz krótko w jednym miejscu, nie zdążysz zapuścić korzeni, zacieśnić więzów lojalności. Jedyne stałe relacje masz z Sapą Inką, Jedynym Imperatorem, oraz jego urzędnikami, nie zaś z obcymi ludźmi, którzy cię otaczają.

W rezultacie nikogo nie dziwił widok nowych sąsiadów – obcych zwanych tu *mitmaqcuna*,

osadnikami. Wprawdzie więc każdy posiadał coś na własność i trochę ziemi pod uprawę, a co ważniejsze, uzyskiwał pewien status w lokalnej społeczności, to jednak nie było waśni terytorialnych i odrzucania Rzymian i ich towarzyszy.

Rzymianie nie otrzymali ziemi na własność, o czym poinformowano ich już na samym początku, podobnie jak nie mógł jej dostać nikt z *ayllu*, teraz i nigdy. Posiadaczem wszystkiego był Sapa Inka. Rolnicy nie byli trzymani w niewoli, o czym świadczyło istnienie prawdziwych niewolników, *yanakuna*, których można było spotkać w wielu miejscach. Rzymianie natomiast należeli do *mitimac*, czyli podatników. Wolno im było zachować dla siebie część zbiorów, pod warunkiem że odpowiednią ilość odstawili na kontyngent, czemu służyły *tambo*, wielkie państwowe spichrze rozsiane po całym kraju. Były to *mit'a*, świadczenia w naturze obowiązujące wszystkich obywateli.

Ponadto w ramach *mit'a* ciążyła na nich powinność wykonania pewnych określonych prac bezpośrednio na rzecz państwa. Mogło to być wytwarzanie lub naprawianie sprzętu wojskowego, na przykład pikowanych zbroi, butów, koców – nigdy broni – ale też przygotowywanie kukurydzianych i ziemniaczanych racji żywnościowych, przechowywanych na potrzeby armii w specjalnych magazynach, *colca*. Można było również odpracować należność w wielkich *pukara*, kamiennych twierdzach z tarasami wijącymi się spiralnie wokół wewnętrznych murów. Patrząc na nie, Mardina wyobrażała sobie olbrzymie ślimaki przyczajone wśród pól. Poza tym można było wziąć udział w rozmaitych projektach pożytku publicznego, takich jak karczowanie puszczy, zeskrobywanie warstwy kurzu i glonów zbierającej się na olbrzymich szybach świetlików, dbanie o dobry stan *capac nan*, przecinających las w linii prostej dróg kołowych i kolejowych, a także *chuclla*, pobudowanych wzdłuż nich dworców.

Obowiązkiem wynikającym z *mit'a* mogła być także służba wojskowa, choć niewątpliwie muskularni, zdyscyplinowani rzymscy twardziele nie zasługiwali na takie zaufanie. Na razie.

A wszystkim tym w wymiarze globalnym zarządzała machina urzędnicza, zaczynając od curaki, naczelnika *ayllu*, którym był tu tęgi, rozgarnięty mężczyzna imieniem Pascac; przewodził grupie dziesięciu rodzin i trochę przypominał Mardinie Kwintusa Fabiusza. Następny w hierarchii był zastępca prefekta Ruminavi, *tocrico apu*, którego zwierzchnikiem był *apu*, jeden z dwóch prefektów zarządzających dwoma wielkimi kontynentami, wschodnim i zachodnim. Wyższy szczebel drabiny sięgał dworu Sapa Inki w dwóch Cuzco na biegunach, gdzie rezydowali *quipucamayoc*, czyli opiekunowie pism jak Inguill, oraz *colcacamayoc*, opiekunowie spichlerzy.

Legioniści narzekali na brak wolności. Także na brak pieniędzy oraz sklepów, w których można kupić różne rzeczy, od piwa i wina po elegancką odzież i luksusowe towary, nie mówiąc

już o prostytutkach. Nie była to jednak gospodarka oparta na pieniądzu. Sytuacja stała się napięta już na samym początku, kiedy *curaca* obwieścił, że Rzymianom nie wolno się wprowadzać na stałe do żadnej z drewnianych chatek, z których składała się wioska rodzin zrzeszonych w *ayllu*. Rzymianom nakazano zbudować własne. Ci jednak zawsze kwękali, obojętnie czego od nich wymagano.

Kwintus Fabiusz dowiódł, że jest rzutkim przywódcą. Mało tego, wydawało się, że wszelkie trudy są dla niego miłym wyzwaniem.

Gdy po raz pierwszy zbliżał się wieczór w *antisuyu*, Kwintus polecił legionistom zbudować zalążek obozu marszowego: usypany z darni i kłód prostokątny wał obronny z zaokrąglonymi narożnikami, rowy odwadniające i latryny, a także podstawy stałych obiektów, takich jak *principia* centuriona, budynki koszarowe i magazyny, plac ćwiczeń. Całość nie prezentowała się oczywiście tak okazale jak obozy wznoszone przez pełny legion w czasie wyprawy wojennej. Było tu niespełna pięćdziesiąt osób, czyli mniej niż połowa centurii w rzymskim systemie wojskowym. Mardina spostrzegła jednak, że ów pokaz rzymskiej sprawności i zdolności adaptacyjnych zrobił duże wrażenie na tubylcach. I już od pierwszych chwil pobytu w tym miejscu wytężony wysiłek przekonał legionistów, że cokolwiek los im przyniesie, z czymkolwiek zetkną się w tym dziwnym habitacie – a niektórzy wydawali się dość zdezorientowani – to jednak nadal są żołnierzami i wszystko, czego nauczyli się w ciągu tak wielu lat ćwiczeń i doświadczeń, nie poszło na marne.

Poza tym Kwintus pilnował, żeby legioniści troszczyli się o *huakę* i ją szanowali – miejscową kapliczkę, w zasadzie niewiele więcej niż stertę kamieni akurat znajdującą się na ziemi, na której mogli wybudować obóz.

*

Ich pola wnet były oczyszczone i zaorane. Tyrali w pocie czoła, gdyż z powodu braku zwierząt pociągowych i niedostępności maszyn rolniczych, z których korzystano tylko w najbogatszych osadach, mogli liczyć wyłącznie na siłę ludzkich rąk. Jednakże Rzymianie, mimo całej swojej zrzędliwości, nie bali się ciężkiej pracy.

Wydawało się, że nie występują tutaj pory roku, o czym dowiedziała się Mardina, wypytując zaskoczonych tubylców. Aczkolwiek, selektywnie przymykając niektóre świetliki, łatwo można by uzyskać „zimę”, cykl krótszych dni i dłuższych nocy. Swoją drogą, w dawnym imperium Inków na Terze panował tropikalny klimat, więc pory roku nie różniły się od siebie aż tak bardzo. Oznaczało to, że okres zbiorów, a więc i wytężonej pracy, trwał przez cały rok; nie trzeba było czekać do wiosny.

Na szczęście życie nie kończyło się na pracy. Legioniści musieli rozliczać się z *mit'a*, lecz szybko się okazało, że nie grozi im głód. Kto chciał uzupełnić dietę warzywną o mięso, zawsze mógł pójść na polowanie do lasu, gdzie nie obowiązywały żadne restrykcje, byle zachować pewien rozsądny umiar. Zdarzały się duże gryzonie, nazywane przez ColU świnkami morskimi, które pozwalały napełnić brzuch i były łatwym celem. Ich mniejsze krewniaczki biegały wokół niektórych wiosek.

Doskwierał im za to brak alkoholu. Mardina miała wrażenie, że miejscowi nie piją, zadowalając się przeróżnymi używkami i eliksirami. *Chichę*, tutejsze piwo z kukurydzy, oficjalnie spożywano jedynie podczas uroczystości religijnych. Po pewnym czasie Kwintus zaczął przymykać oko na nielegalne warzenie piwa.

Co się tyczy używek, to najpopularniejsza była koka, której produkcją zajmowano się w ramach spłacania *mit'a*. Można ją było uprawiać dosłownie wszędzie, rosła też dziko w lesie, i żuł ją chyba każdy, od małych dzieci po bezzębne staruszki. Próbowali jej czasem legioniści, żując liście sprasowane z limonką. Niektórzy nawet zasmakowali w niej na dobre, twierdząc, że dzięki niej czują się silniejsi, bystrzejsi i żwawsi, a nawet niewrażliwi na ból. *Medicus* Michael oficjalnie sprzeciwiał się temu; uważał, że po zażyciu koki mózg oszukuje człowieka na temat stanu jego ciała.

Z czasem mieszkańcy osad zaczęli zapraszać Rzymian na wspólne obchody świąt ku czci swoich dziwnych bóstw. Dorośli puszczali w obieg kokę, palili lub pili różne egzotyczne substancje, grali na hałaśliwych fletniach i trzęśli się w tańcu, od którego Mardina zawsze stroniła, a który, choć niezaprzeczalnie był wyrazem poszerzonych wewnętrznych doznań, wyglądał jak pijackie wygibasy. Dzieci wieszały na drzewach latarenki, wszyscy śpiewali do samego rana, przy czym dołączały się inne wspólnoty, aż powstawało wrażenie, że echa ludzkich głosów niosą się po całym habitacie.

Mardina przypuszczała, że w oczach Rzymian czy Brykantów tubylcy zawsze będą wyglądać dziwnie. Mężczyźni nosili barwne, wzorzyste tuniki przypominające koce, kobiety zaś spódnice, pasiaste chusty i bardzo tu cenione srebrne medaliony. Byli jednak wysocy i zdrowi, choroby należały do rzadkości. *Medicus* podejrzewał, że gdy powstawał habitat, wytępiono większość zarazków i stan ten utrzymywał się dzięki procedurom bezpieczeństwa – takim jak te, którym musieli się poddać legioniści, nim zostali wpuszczeni do środka. Gdyby nie zwracać uwagi na pióra leśnych ptaków, którymi mężczyźni zwyczajowo zdobili swoje czarne włosy, i osobliwe czarne, filcowe kapelusze o szerokim rondzie, popularne wśród kobiet, można by uznać, że miejscowi ludzie są z wyglądu bardzo atrakcyjni i mają szlachetne oblicza o rysach niemalże rzymskich.

Aczkolwiek Mardina przypuszczała, że w oczach legionistów, którym rozjazd Jonbara odebrał nadzieję na ponowne zobaczenie żon, rodzin i znajomych, prawie każda kobieta musiała wydawać się ponętna.

Tak więc jeden po drugim żołnierze zaczęli wchodzić w związki z kobietami ze wsi. Co prawda klan Sapy Inki był poligamiczny – choć podobno prawdziwych spadkobierców imperialnej władzy łączyły z rodzicami możliwie najściślejsze więzy pokrewieństwa, skoro Inka poślubiał faworyzowaną siostrę – to jednak wieśniacy, przynajmniej w dzikich puszczach w *antisuyu*, zaciekle obstawali przy jednożeństwie. Kwintus wyraził swoje zadowolenie z tego, że mało która wybranka legionisty ma męża i że nie musi co chwila łagodzić zażartych sporów na tym tle.

Musiał jednak pełnić rolę rozjemcy w rozmowach legionistów z miejscowymi naczelnikami na temat kontroli urodzin. Środki antykoncepcyjne były dostępne za darmo w *tambo* i nieodpłatnie wykonywano aborcje, choć Mardina miała wrażenie, że z powodu słabego rozwoju medycyny tego typu zabiegi obciążone są ryzykiem. Wybór co do liczby dzieci należał do rodziców, lecz władze imperialne skrupulatnie monitorowały liczebność mieszkańców. Jeśli średnia liczba urodzeń w *ayllu* przekraczała dwoje dzieci na parę bez stosownych zezwoleń, należało liczyć się z grzywną.

Mimo że wielu młodszych przedstawicieli lokalnych społeczności rozmawiało z Mardiną, obserwowało ją lub próbowało wciągnąć do narkotycznego tańca, wolała trzymać się na uboczu. Niektóre zaloty były dla niej szczególnie męczące – jak chociażby wtedy, gdy przystawiał się do niej Ruminavi. Niebawem doszły ją słuchy, że *tocrico apu* jest żonatym mężczyzną z dziećmi w jej wieku. Tak czy inaczej, nieustannie wodził za nią spojrzeniem – i za Klodią, gdy przychodziła z wizytą.

Na razie Mardina trzymała zalotników na dystans.

– Jeszcze nie jestem gotowa – zwierzyła się pewnego razu Klodii, córce Tytusa Waleriusza, gdy cierpliwie wyrywały chwasty w polu kukurydzy.

Klodia miała dopiero piętnaście lat, lecz w całej gromadzie Rzymian była osobą najbardziej zbliżoną wiekiem do Mardiny. Były zresztą jedynymi młodymi kobietami.

Dziewczyna śmielej rozglądała się za chłopakami.

– A Quizo? – zapytała.

– Ten, który zawsze się stroi w piórka kolibra?

– Tak, ten. Poszłabym za nim, gdyby choć kiwnął palcem…

Mardina wesoło zwichrzyła jej włosy.

– Na pewno. A za kilka lat zjadłabyś go żywcem. Ale na razie… jesteś w zupełnie innej

sytuacji, Klodio. Przynajmniej masz tu ojca.

– Ha! Tylko by mną rządził! Możesz go sobie wziąć…

– Chodzi o to, że tyle się wydarzyło. Przeżyliśmy rozjazd Jonbara. Wszystko, co znałam, odeszło. W dodatku już wtedy żyłam ze świadomością, że moja matka pochodzi z innej planety, sprzed wcześniejszego rozjazdu. Jakiś koszmar, nie? I teraz jesteśmy w tym absurdalnym miejscu, gdzie nikt nie zna łaciny ani brykanckiego, gdzie ludzie nie słyszeli o Jesu ani o Juliuszu Cezarze…

– A mnie się tu właśnie podoba – stwierdziła zadziornie Klodia. – Już w układzie Romulusa lubiłam życie obozowe i chciałam się szkolić na legionistę. Tutaj nikt mi nie powie, że nie mogę.

Mardina uśmiechnęła się szeroko.

– No i fajnie, ale ja muszę najpierw się tutaj odnaleźć, nim zatracę się w ramionach Quiza.

– Bardzo rozsądnie – odparła z powagą dziewczyna. – Nikt cię nie goni. Ale możemy pogadać trochę o jego oczach?

Kwintus nie wahał się przypomnieć Rzymianom, co jest ich prawdziwym celem: nie zginąć, pamiętać o towarzyszach pozostawionych na statku „Malleus Jesu” i zgromadzić środki, które umożliwią ucieczkę, gdyby się na to zdecydowali, albo też, kto wie, obalenie rządów Sapy Inki – o czym czasem marzyli nad szklanką piwa. I chociaż na czapie biegunowej musieli oddać broń, Kwintus polecił im skrycie sporządzić nową: włócznie z drewna hartowanego ogniem, pałki. Prowadził rozmowy z miejscowymi rzemieślnikami specjalizującymi się w obróbce metalu, chcąc zamówić groty. Niebawem po cichu zaczęli rozważać nabycie broni siecznej, mieczy i noży. Za wszystko płacili w naturze; zwykle oddział legionistów odwalał jakąś męczącą robotę. Mieli nadzieję, że o niczym nie dowiedzą się rzeczoznawcy podatkowi.

Mimo długofalowych podstępnych planów Kwintusa Fabiusza i starszych legionistów, mimo przypominanych przez ColU historiach o Earthshinie, Włazach i rozjazdach Jonbara, Mardina z każdym dniem stapiała się z rytmem inkaskiego życia i czuła się coraz lepiej w tych realiach, coraz bezpieczniej. Zbawienny wpływ miał na nią sam fakt istnienia powtarzających się zajęć, porządkujących jej życie po okresie chaosu, gdy opuściła Terrę.

Grupa Rzymian miała okazję przekonać się o skuteczności inkaskiego systemu zarządzania mniej więcej pięćdziesiątego dnia od chwili, gdy zjawili się w *antisuyu*. Sytuacja była kryzysowa. Jeden z wielkich świetlików ucierpiał w wyniku uderzenia meteorytu i należało go zasłonić na czas naprawy gigantyczną stalową pokrywą. Zapadła więc długa noc na sporym obszarze ziemi, w regionie położonym naprzeciwko uszkodzonego okna. Nie dopisały zbiory, a drzewa w puszczy szybko zaczęły obumierać. Zaraz jednak wdrożono sprawdzone procedury, a niektórzy legioniści, powołani do pomocy, opowiadali później o swoich spostrzeżeniach.

Wszędzie w okolicy otwierano spichlerze, a robotnicy w ramach *mit'a*, nadzorowani przez wojsko, śpieszyli z pomocą dotkniętej nieszczęściem prowincji.

System magazynowania nadwyżek żywnościowych przynosił wymierne korzyści. Mardina zaczynała rozumieć sens wielu podejmowanych wcześniej działań. Dostrzegała wyraźne podobieństwa do systemu rzymskiego, który znała z własnej historii. Imperium wchodziło w pewien układ z podbitymi narodami i społecznościami: bądźcie ulegli, a zaopiekujemy się wami. U Inków, w społeczeństwie kontrolowanym z niemalże obsesyjną surowością, człowiek praktycznie nie miał swobody poruszania się i wolności wyboru. Nie doskwierał mu jednak głód i chłód, a pomoc lekarska była zawsze dostępna. Gdy zaś kataklizm pustoszył część imperialnych włości, reszta pomagała im stanąć na nogach.

Ale też widziała, co się dzieje, kiedy ktoś nawali. W imperium nastawionym na wyzysk i ścisły nadzór najpowszechniejszym przestępstwem była próba uchylenia się od obowiązków podatkowych. Zawsze nieprzyjemne były te chwile, gdy zjawiał się rzeczoznawca podatkowy i sprawdzał zapisy z jedną ręką w węzełkach *quipu*. Podobno najbieglejsi potrafili wiązać supły za pomocą palców u nóg. Wszystko widzieli, wszystko zapisywali. Sprawcy przestępstwa, po symbolicznym przesłuchaniu przez *tocrico apu*, za karę byli zabierani z *ayllu* i już nie powracali.

Świadom tego, Kwintus Fabiusz wprowadził własne zasady karania nieposłuszeństwa, nie chcąc, aby choć jeden legionista podpadł inkaskim władzom.

Znacznie gorsze dla wielu rodzin było przymusowe rozstanie z dziećmi. Odbywała się bowiem nieustająca akcja rekrutacyjna na stanowiska poza habitatem, dla chętnych do pracy w kopalni na planetoidzie lub do dołączenia do załogi ziarnowego frachtowca. Ale było również zapotrzebowanie na rekrutów do służby w Cuzcach lub innych wspaniałych królewskich posiadłościach, przy czym kandydujące dzieci musiały odznaczać się ponadprzeciętną urodą i najłagodniejszym usposobieniem. Ta służba, w odróżnieniu od innych dobrowolnych profesji, była przymusowa.

W tym imperium wszystko, łącznie z człowiekiem, należało do Sapy Inki. W swoich fundamentalnych założeniach ograniczało wolność w stopniu o wiele większym niż Cesarstwo Rzymskie na Terze. Mimo to trudno było nie zauważyć, że potężna machina państwowa działa również w interesie obywateli. Gdyby Mardinie dano szansę na odzyskanie dawnej wolności, nie wahałaby się ani chwili, lecz bez wątpienia istniały straszniejsze imperia w dziejach świata, gorsze miejsca i czasy – zwłaszcza jeśli nie było się Sapą Inką.

Dochodził jeszcze urok mieszkania w tak niezwykłym miejscu, w gigantycznej kosmicznej budowli.

Zadbano o zmienność pogody. Bywało tak słonecznie, że nie mógł się z tym równać żaden

letni dzień, który przeżyła w Prytanice. Jak mawiał Kwintus Fabiusz: goręcej niż w Rzymie, nim zamienił się w dziurę w ziemi. Padały też deszcze, zdarzały się nawet burze. *Tocrico apu* twierdził, że pogodę regulują olbrzymie maszyny sterowane przez doradców Sapy Inki, lecz miejscowi chłopi, ratując zbiory zdewastowane wskutek gwałtownej nawałnicy z gradem, byli sceptyczni w tej kwestii.

Niejeden raz ciepłą, pogodną nocą Mardina spała na dworze, czasem z Klodią u boku, czując się bezpiecznie w granicach wspólnoty, która stopniowo przeobrażała się w inkaską wieś wbudowaną w rzymski obóz warowny. Patrzyły wtedy w „niebo". Oczywiście nie widziały gwiazd. Pojazdy latające też były rzadkim zjawiskiem. Hen, na wysokościach pojawiały się jedynie rządowe kondory, szybujące w obszarze osiowym habitatu, w próżni.

Jednakże ogromna metalowa powłoka w górze była w rzeczywistości odwróconym światem, zawieszonym nad nimi, pełnym niezmiernie fascynujących szczegółów, mimo że nisko zalegające warstwy powietrza utrudniały obserwację – inaczej niż na wyżynie *puna*. Okna Intiego promieniały wątłym blaskiem niczym liniowe księżyce, co pozwalało Mardinie rozróżnić czarne plamy lasów czy przygasłe srebro rzek i jezior. Przecinały ten pejzaż ostre kreski torów kolejowych i dróg łączących społeczności, które na ciemnym tle jaśniały niby gwiazdy.

Mardinie i Klodii wydawało się czasem, że w obwódkach splątanych linii widzą konkretne kształty, jak gdyby postacie wycięte z gęstej puszczy po stronie *antisuyu* za pomocą gigantycznego skalpela. Był ptak, był pająk, był kucający człowiek. Może to tylko wzrok Mardiny doszukiwał się znajomych form tam, gdzie ich nie było, podobnie jak w starożytności ludzie widzieli bogów i zwierzęta wśród gwiazd bezładnie rozsypanych na nocnym niebie. A może był to zamierzony efekt, wysmakowany artystyczny akcent w funkcjonalnej architekturze tego sztucznego świata?

A jeśli tak, to może podobne ryty wykonano po tej stronie, wielkie portrety o rozpiętości setek mil, lecz zaprojektowane w najdrobniejszych detalach? Może z punktu widzenia osoby odpoczywającej na świeżym powietrzu po przeciwległej stronie habitatu, przytwierdzonej do ziemi siłą odśrodkową, była niedostrzegalnym pyłkiem w oku pająka lub ptasim szponie? Dodawała jej otuchy świadomość, że zewsząd otacza ją ludzkość. Niekiedy zastanawiała się, czy nie zapomni pewnego dnia o gwiazdach, o niezmierzonych otchłaniach.

Ale i w samym habitacie nie brakowało dzikości, w zielonej gęstwinie lasu deszczowego, który otaczał wioskę *ayllu*. W głębinach *hacha hacha*, gdzie mieszkali *anti*.

Rozdział 45

Mardina i Klodia po raz pierwszy zetknęły się z *anti* tego samego dnia, kiedy w wiosce zjawiła się dziwna grupa rzeczoznawców podatkowych.

Inaczej niż zwykle, przewodził im sam Ruminavi, *tocrico apu*, zastępca prefekta. Przybył w licznej świcie inspektorów i rzeczoznawców wyposażonych w *quipu*, a także poborców z ręcznymi wózkami do zabrania nakazanych produktów i próbek nowych. Towarzyszył im większy niż dotąd orszak wojska w wełnianych tunikach, trzcinowych hełmach wzmacnianych blachą i przystrojonych pióropuszami, pancerzach ze stalowych płyt i pikowanej bawełny – przy czym wszystko połyskiwało srebrem i złotem. Uzbrojeni byli jedynie w broń sieczną, bicze i proce. Podobnie jak na okrętach kosmicznych zaginionego Cesarstwa Rzymskiego, wewnątrz habitatu obowiązywał zakaz używania broni palnej i ładunków wybuchowych.

Mardina i Klodia, które akurat wróciły z pola, ujrzały same nieznajome twarze. Prawie wszyscy inkascy żołnierze, *awka kamayuq*, pełnili służbę tymczasowo i rekrutowali się z prowincji, z *ayllu* takich jak wspólnota Mardiny, przy czym doświadczeni żołnierze zawodowi stanowili tylko wąski rdzeń wojska. Utarło się jednak, żeby wysyłać żołnierzy do służby w obcych prowincjach, nie na ojczystych terenach.

Mardina zauważyła, nie pierwszy raz zresztą, że poruszają się z nienaturalną rzeźkością i zadziornym błyskiem w oczach. ColU przypuszczał, że to skutek działania narkotyków, składników aktywnych poprawiających przemianę materii, siłę mięśni, nawet inteligencję i zdolności poznawcze.

Kiedy uzbrojeni przybysze szli przez wieś, zaglądając do niektórych domów, mieszkańcy *ayllu* unikali ich wzroku, a rzymscy legioniści zastanawiali się nad skutecznymi metodami walki z inkaskimi żołnierzami.

Dostrzegłszy Mardinę i Klodię, Ruminavi skierował się szybko w ich stronę. Ubrany szykownie, zapewne dla wywarcia wrażenia na podatnikach, miał na sobie hafty, paciorki i bransolety z piórami. Swoje czarne, rzednące już włosy zaplótł w warkocz. Nawet jego sandały były nabijane srebrnymi ćwiekami. Jak każdy, nosił u pasa woreczek z koką.

Mardina z niepokojem śledziła jego kroki.

– Chcesz czegoś od nas, *tocrico apu*? – zapytała.

– Tak. – Obejrzał się na grupę, której przewodził. – To specjalny pobór w ramach *mit'a*. Chcę, żebyście poszły i poszukały dla mnie dzikiej koki.

– Dzikiej koki?

– Doniesiono mi, że w tych stronach można spotkać wyjątkowo cenną, silną odmianę. – Machnięciem ręki wskazał zieloną ścianę lasu. – Idźcie razem i rozejrzyjcie się trochę. Na pewno ją rozpoznacie.

Mardina i Klodia popatrzyły na siebie, zaniepokojone.

– Z całym szacunkiem, *apu*, dlaczego akurat my? – zapytała Mardina. – Przecież nie jesteśmy stąd. W *ayllu* znajdziesz wielu tutejszych, którzy doskonale wiedzą, gdzie rośnie koka…

– Róbcie, co każę! – warknął. – Słuchaj, Mardino, wiem, że mi nie ufasz. – Uśmiechnął się z wysiłkiem. – Bądź pewna, że nie mam złych zamiarów. Również wobec ciebie, Klodio Walerio. Jestem tylko człowiekiem, w dodatku słabym, no i lubię sobie popatrzeć… Ale teraz mówię dla waszego dobra, wyruszcie do lasu natychmiast. I nie wychodźcie stamtąd, dopóki grupa poborców *mit'a* nie opuści *ayllu*. No, dziewczyny, jazda stąd! – Popchnął je, a następnie w pośpiechu wrócił do żołnierzy i inspektorów.

Klodia szukała wzrokiem ojca, lecz Tytus Waleriusz gdzieś przepadł. Spojrzała na Mardinę.

– On jest jak robak – mruknęła.

– Fakt.

– Ale intuicja mi mówi, że powinnyśmy mu zaufać ten jeden raz.

– Też tak myślę. Chodźmy!

Idąc za radą Ruminaviego, podkasały spódnice szyte w stylu inkaskim i w sporządzonych na modłę rzymską sandałach pobiegły w stronę lasu. Na jego skraju odwróciły się, żeby popatrzeć na żołnierzy, którzy wytrwale przeszukiwali wioskę, a potem spojrzały na siebie, chwyciły się za ręce i wkroczyły do *hacha hacha*.

Otoczyła je ciemność, jakby zostały połknięte.

Smukłe pnie drzew wystrzelały w górę niczym kolumny w ogromnej świątyni, a zieleń w koronach była praktycznie zwarta. Uszy pękały od wrzasków małp i ar – skrzeków i gwizdów, którym odpowiadały echa, jakby naprawdę znajdowały się w jakiejś olbrzymiej bani. Przynajmniej nie musiały przedzierać się przez poszycie, ponieważ rośliny źle znosiły głęboki cień, choć gdzieniegdzie w oświetlonych zakamarkach rosły barwne, bujne kwiaty, a wokół pni wiły się pnącza. Kiedy ich oczy przywykły do mroku, dostrzegły węże, skorpiony i roje mrówek.

Weszły tylko na kilka kroków w głąb puszczy.

Mardina zobaczyła żołnierzy zmierzających w ich kierunku. Wydawało się, że jasna rzymska cera Klodii lśni w skąpym świetle, widoczna z daleka.

– Tu nie ma żadnej koki – szepnęła Mardina. – Ruminavi na pewno chciał, żebyśmy schowały się przed żołnierzami. Musimy wejść głębiej w las.

– Wiem, tylko się boję.

– Ja też, ale nie mamy wyboru…

Akurat wtedy zobaczyły dziewczynę *anti*.

Mardina z łomoczącym sercem ścisnęła dłoń Klodii.

Dziewczyna stała w cieniu, nieco dalej w lesie. Ubrana jedynie w paski tkaniny zasłaniające piersi i biodra wyglądała na rówieśniczkę Klodii. W opaskę na zaczesanych do tyłu włosach wetknęła kępkę kolorowych piórek, szyję zaś ozdobiła wisiorkiem w postaci związanych kawałeczków drewna, które nieodparcie kojarzyły się Mardinie z krzyżowym młotem Jesu z dawnej linii czasu. Nosiła mały łuk i kołczan pełen strzał zamocowany na plecach za pomocą rzemieni, lecz jej dłonie były puste i otwarte w geście przyjaźni.

Dopiero twarz budziła przerażenie. Jej skóra była pomalowana intensywnie niebieską farbą, przy czym od nosa rozbiegały się jaśniejsze pręgi niczym wąsy jaguara, potwora z miejscowych legend. Wokół ust i nosa stroszyły się piórka.

Wydawała się spokojna. Spokojna jak wąż szykujący się do ataku. Mardina nie miała w sobie ani krzty spokoju.

– Lepiej wracajmy – szepnęła do Klodii. – To nie nasz świat.

– Jesteś pewna? *Ayllu* też nie jest naszym światem, Mardino. Tutaj nic nie jest nasze. – Klodia odważnie postąpiła krok dalej.

Dziewczyna *anti* uśmiechnęła się i jednoznacznym gestem dłoni przywołała je do siebie.

Klodia obejrzała się przez ramię.

– Widzisz? Ona chyba mówi, żebyśmy weszły w las. Zaufajmy jej. No chodź, Mardino, choćby z samej ciekawości.

W końcu Mardina uległa i ruszyła, żeby dogonić Klodię, która podążała za dziewczyną z lasu.

Rozdział 46

Rzymianie dowiedzieli się, że Inkowie nazywają tych ludzi, mieszkańców lasu, *anti*. Czasem można było zobaczyć niewyraźne postacie przebiegające między grubymi pniami na wypalonym brzegu puszczy, czasem wychynęła z zieleni surowa twarz, sprawiająca wrażenie absolutnej obcości. Tubylcy z wioski ignorowali ich, lecz woleli nie zapuszczać się daleko w las, na ich terytorium – i prawdopodobnie vice versa. Zupełnie jakby dwa odmienne światy wrzucono do jednej ogromnej beczki.

Anti wcale nie byli anonimowi. Należeli do ludów zwanych Manosuyu, Chuncho, Opatari. Prowadzili handel z mieszkańcami *ayllu*, znosząc z niebezpiecznych głębin dżungli twarde drewno, pióra, skóry jaguarów, żółwi olej i egzotyczne rośliny. Wśród tych ostatnich jedną z najcenniejszych był halucynogen o nazwie *ayahuasca*, „wino bogów” stosowane przez Inków do produkcji szczególnie silnych rytualnych napojów. Jako zapłatę *anti* przyjmowali stalowe siekiery i noże, a nawet sól zbieraną nad brzegami odległego oceanu.

Pierwotnie *antisuyu* było bezkresną puszczą porastającą większość kontynentu Dolnej Walhalli, zwłaszcza dorzecze rzeki zwanej przez rzymskich zdobywców Nowym Nilem, a w cywilizacji chińsko-oenzetowskiej Amazonką. W dziejach każdej z trzech kultur, również inkaskiej, las równikowy został w większości wytrzebiony, zniszczony przez przemysł drzewny i wydobywczy. Inkowie jednak, dla upamiętnienia początków swojej historii, przetransportowali ocalałe resztki leśnych ekosystemów na dzikie tereny w Yupanquisuyu i pozwolili przyrodzie rozwijać się swobodnie jak w pradawnych czasach, zanim na powierzchni planety pojawiły się miasta i imperia.

Antisuyu, o czym Mardina dowiedziała się z fragmentów rozmów, było pierwszą barbarzyńską krainą podbitą przez Inków, kiedy wyruszyli na wschód ze swoich twierdz na górzystym kręgosłupie Dolnej Walhalli. A gdy dżungla została ujarzmiona, pokryta siecią dróg i *pukara*, mając już doświadczenie w zdobywaniu nowych ziem, Inkowie byli gotowi uderzyć dalej na wschód: przeprawić się przez ocean okrętami zbudowanymi według wzorców podpatrzonych u wyprawiających się na rekonesanse Zynów, którzy również przepływali ocean z dalekiego zachodu. Po przybiciu do europejskich brzegów – gdzieś w Iberii, zdaniem ColU – Inkowie starli się z Cesarstwem Rzymskim trapionym przez głód, zarazy, kryzys instytucji państwowych, a może też inne, bliżej nieokreślone nieszczęścia. Potem nastąpiła ekspansja na południe

i zajęcie Afryki. Następnie przyszła kolej na Azję, gdzie czekało już w przyczajeniu imperium Zynów. Tak się zaczął ostateczny bój o planetę…

Przez cały ten czas Inkowie troszczyli się o zakątki puszczy, w których nadal mieszkali pierwotni *anti*. Aż w końcu ich potomkowie, z pewnością oszołomieni rozwojem sytuacji, zostali wyłapani i wywiezieni do nowego inkaskiego imperium w niebie. I nie był to wcale precedens. Już wcześniej na Ziemi Inkowie wcielili do swojego państwa całe mnóstwo narodów. Podobno na obszarze imperium posługiwano się ponad stu sześćdziesięcioma językami, zanim rozpoczęła się ekspansja na terenach Dolnej Walhalli i awans do rangi światowego mocarstwa.

Teraz mówiono, że *anti* mieszkają w lesie jak za dawnych czasów, a nawet – słychać było czasem ironiczne uwagi – niekoniecznie wiedzą, że ich świat jest zbudowanym przez ludzi wielkim obiektem w kosmosie.

Dziewczyna *anti* szła w miarę prosto przed siebie. Mardina próbowała zapamiętać drogę, lecz brakowało jej punktów odniesienia, wszystkie drzewa wydawały się takie same. Wśród krzyżujących się cieni miała kłopot z określeniem kierunków. Gdyby chociaż zobaczyła kawałek nieba, lustrzanego krajobrazu w górze, mogłaby odzyskać orientację i wrócić do domu.

Aż nagle zalało ją światło.

Polana mierzyła około stu kroków szerokości i z całą pewnością była pogorzeliskiem, wszędzie bowiem zachowały się ślady działalności ognia: na wpół zwęglone gałęzie i pnie przewróconych drzew oraz popieliska, z których ochoczo wychylały się zielone siewki. Było parno i bardzo gorąco. Na niebie jednak, obrzeżonym zielonym baldachimem lasu, malowały się odwrócone krainy, których widok zaskakująco podniósł Mardinę na duchu.

Na środku polany położona była wioska. Wokół otwartego, udeptanego placu stały chatki zbudowane jak gdyby z długich łodyg, może z bambusa. Na ociosanych kamieniach paleniska płonął ogień, nad którym na prymitywnym rożnie piekła się tłusta świnka morska. Siedzący wokół niego tubylcy grzebali w ognisku, naprawiali koszyki, odzierali ze skóry jakieś zwierzę, rozmawiali. Popołudniowy skwar skłonił do drzemki garstkę dzieci.

Kiedy miejscowa dziewczyna przyprowadziła obcych na skraj wioski, niektórzy oglądali się na nią z gniewną miną i mówili coś ostro. Odpowiedziała jednak równie ostrym tonem i wykonała palcem groźny gest podcinania gardła. Dając za wygraną, dorośli pokręcili głowami i odwrócili się od niej. Dwójka nagich dzieci z szeroko otwartymi oczami chciała wyjść i przyjrzeć się z bliska nieznajomym, lecz natychmiast zostały przywołane do ogniska.

Dziewczyna odwróciła się do Mardiny i Klodii, uniesionymi dłońmi nakazała im się zatrzymać i poinformowała je na migi, że mają usiąść na ziemi. Następnie pobiegła między

chaty, skąd wróciła z drewnianymi kubkami i garścią liści koki. Położyła wszystko przed nimi, na zachętę kiwnęła głową i oddaliła się w pośpiechu.

Zawartość kubków smakowała jak rozcieńczone piwo. Mardina i Klodia napiły się z ulgą. Liści koki nie tknęły.

– Mogliby nam dać trochę tej pieczeni – powiedziała tęsknie Klodia. – Pachnie zabójczo!

– Miejmy nadzieję, że wydostaniemy się stąd, nim umrzemy z głodu.

– Może jeśli pomodlę się na głos do Jesu, okażą nam miłosierdzie.

– Jak to?

Klodia popatrzyła na nią.

– Nie widziałaś wisiorka na szyi naszej przewodniczki?

– Wyglądał jak krzyżyk, ale…

– To teraz popatrz tam. – Klodia wskazała miejsce po drugiej stronie polany, gdzie za chatami stał prosty drewniany krzyż, bardzo podobny do tego, który dziewczyna *anti* nosiła pod szyją. Na krzyżu wisiała kukła z bel słomy, mająca związane nogi i szeroko rozciągnięte ramiona.

– Jesu! – oznajmiła triumfalnie Klodia.

– Masz rację – szepnęła Mardina, zdumiona. Krzyż stanowił podwójny symbol dokonań Jesu, czczony zarówno przez Rzymian, jak i Brykantów. Był skrzyżowanym drewnem, na którym Rzymianie zadali Mu haniebną śmierć, i zarazem młotem, ciesielskim narzędziem, z którym Zbawiciel stanął na czele rebelii przeciwko siłom uciskającym Jego naród. – Figura Jesu tutaj, w lesie. A więc żyjemy w świecie, w którym budowniczowie imperium, wielkich miast opartych na rozwiniętej technologii, są poganami, a dzikusy w dżungli wyznają Chrystusa…

Ich przewodniczka znów przybiegła, tym razem z palcem na ustach, nakazując im milczenie. Mardina zauważyła, że mieszkańcy wsi stają się nerwowi. Dziewczyna *anti* ruchem dłoni poleciła im wstać. Poprowadziła je z powrotem w gąszcz do miejsca oddalonego od tego, w którym weszły w las. Miejscowa dziewczyna poruszała się bezszelestnie jak zjawa, a Mardina i Klodia usiłowały dotrzymać jej kroku. Mardina przypuszczała, że zbliżają się do skraju lasu, do *ayllu*.

Gdy tak szły, Mardina dostrzegła żołnierzy przemieszczających się w cieniu drzew. Zmierzali do wioski *anti*, prowadzeni przez *tocrico apu*. Nic dziwnego, że wieśniacy okazywali nerwowość. Nawet jeśli Ruminavi zdawał sobie sprawę z bliskości tych, których szukali, nie dawał nic po sobie poznać.

Dziewczyna *anti* rozstała się z nimi na brzegu lasu i szybko wsiąkła w mrok, nim Klodia i Mardina zdążyły jej podziękować lub się z nią pożegnać.

Ponieważ tego dnia Ruminavi nie wrócił do *ayllu*, Mardina nie mogła go poprosić o wyjaśnienie

tego dziwnego zdarzenia. Dlaczego musiały się ukrywać?

Gdy zjawił się następnym razem, dowiedziała się wszystkiego.

Rozdział 47

W rzymskim obozie na polecenie Kwintusa mierzono upływ czasu. Od samego początku legioniści liczyli sztucznie podtrzymywane cykle dnia i nocy, aby się orientować, jak długo tu przebywają.

Dzięki temu Mardina wiedziała, że Ruminavi zjawił się w osadzie po miesiącu, tym razem sam: w paradnym stroju zastępcy prefekta, lecz bez oddziału żołnierzy. I zaraz odszukał Mardinę, która razem z Klodią zbierała chrust.

– Wy dwie! – rzucił ostro. – Idziecie ze mną! – Schodząc z drogi, skierował swoje kroki poza obręb wioski, ku największemu *tambo*. A że nie ruszyły za nim natychmiast, obejrzał się przez ramię. – Posłuchajcie! Ostatnio zrobiłyście, jak chciałem, i nic wam się nie stało, prawda?

– A co się mogło stać? – zawołała Mardina.

– Chodźcie, prędko…

Podobnie jak *przedtem*, wahały się w pierwszej chwili. Potem rzuciły naręcza chrustu i udały się za nim biegiem.

Dogoniły go przy niskim ogrodzeniu otaczającym *tambo*. Imperialny magazyn był ogromnym budynkiem usytuowanym pośrodku większego kompleksu zabudowań, takich jak zajazd dla podróżnych, wygodny hotel dla przyjeżdżających z wizytą dworskich dostojników i mały dworzec kolejowy. W bramie osadzonej w murze z księżycowych kamieni Ruminavi okazał dokumenty potwierdzające jego tożsamość, poręczył za swoje towarzyszki i wprowadził je na teren kompleksu.

Przed samym magazynem, w cienistym zakątku niewidocznym od strony głównych zabudowań, stał kamienny postument – wysoki zaledwie na szerokość ludzkiej dłoni, przedstawiający rzeźbione oblicza jakiegoś posępnego bóstwa. W tym rojącym się od bogów sztucznym świecie było wiele enigmatycznych obiektów i ten nie wyróżniał się niczym szczególnym. Tymczasem prefekt wkładał coś na kształt klucza do zamka w postumencie, który w tym miejscu oczyścił z kurzu.

– Co mogło nam się stać, *apu*? – zapytała raz jeszcze Mardina.

Uśmiechnął się szeroko.

– Kiedy ocalę was od śmierci po raz drugi, wszystkiego się dowiecie. Ostatni pobór nie spełnił oczekiwań. Mówię o daninie, którą mieliśmy złożyć w ramach *mit’a*. Dlatego dworscy urzędnicy ponownie rozesłali oddziały *awka kamayuq*. To przed nimi was chronię. – Wreszcie klucz się

przekręcił. – O! Udało się. – Zerwał się na równe nogi, zdyszany, i złapał za uchwyt przytwierdzony do postumentu. – Pomóżcie mi. Zobaczcie, tam też są uchwyty.

– Po co to wszystko? – zapytała Klodia. – Co to właściwie jest?

– Drzwi tego świata…

Gdy w trójkę wytężyli siły, postument odemknął się, odsłaniając wejście do żelaznego podziemnego tunelu. Do środka schodziło się po wytartych szczeblach drabinki. Z wnętrza dochodził zapach oleju i specyficzna woń urządzeń elektrycznych.

– Brzuch świata – oznajmił z dumą Ruminavi, stukając knykciem o szczebel. – Mówimy o nim xibalba, podziemia. Mają dwieście lat i wciąż wszystko świetnie działa. To ogromne przestrzenie, wysokie na wiele mil w niektórych miejscach. Idźcie przodem, ja muszę być ostatni, żeby starannie zaryglować pokrywę.

Klodia i Mardina znów się wahały. I znów uległy, posłuszne jego poleceniu.

Mardina ruszyła pierwsza.

– Ale żebyśmy się dobrze rozumieli, *apu* – powiedziała. – Ufam ci tylko trochę bardziej, niż nie ufam.

– Rozumiem.

– I jeśli coś złego przytrafi się Klodii, jej ojciec rozedrze cię na strzępy jak kondor pająka.

– Nie wątpię. Jazda, Klodio, prędzej! Są blisko! To właśnie Klodii grozi największe niebezpieczeństwo. Jesteście na dole? Światło samo się zapali… Dobra, już schodzę.

Żwawo zsunął się po szczeblach i zamknął postument. Ciężka pokrywa powróciła na swoje miejsce ze złowieszczym hukiem. Mardina zauważyła, że Ruminavi, zamiast użyć klucza, kręci jakimś kołem. Ucieszyła się, że w razie czego będą mogły się stąd wydostać bez jego pomocy.

Mardina znalazła się w słabo oświetlonym korytarzu, gdzie nie działało wiele jarzeniówek, przez co miejscami zalegał półmrok. Widać tu było kupy śmieci, poskładane byle jak narzędzia, porzucone ubrania. Ściany były w opłakanym stanie, całe pocięte i podziobane, pokryte rysunkowym graffiti. Sprawiały przygnębiające wrażenie.

Wydawało się, że korytarz w obu kierunkach biegnie w nieskończoność. Mardina poczuła, jak Klodia chwyta ją za rękę.

Ruminavi odetchnął z ulgą.

– No, tu już nic nam nie grozi. Chodźcie, niedaleko jest stacja postojowa. – Ruszył przodem. Jego buty głośno stukały na gołym metalu, po czym rozlegało się echo tego dźwięku. – Żołnierze i rzeczoznawcy myślą, że udałem się do lasu na przeszpiegi. Wiem, jak długo planują przebywać w naszym *ayllu*. Kiedy sobie pójdą, wyprowadzę was na górę.

Musiały przyśpieszyć, żeby się z nim zrównać.

– Wygodnie się idzie do tej twojej stacji postojowej – stwierdziła Mardina.

Prychnął.

– W sumie racja, choć nie masz pojęcia, dokąd prowadzi ten korytarz. – Wskazał palcem. – Tędy dojdziesz do Hurin Cuzco na biegunie. Tędy zaś do brzegu oceanu. To jedna z głównych podziemnych arterii, nie licząc oczywiście wielkich dróg dla pojazdów serwisowych. Są nawet tunele, którymi przejdziesz pod oceanem do samego *cuntisuyu*. Jesteśmy na miejscu…

Stacja postojowa nie wyróżniała się niczym szczególnym. Kilka porysowanych ławek, w pustych szafkach ani śladu żywności z wyjątkiem kilku okruchów, kran z ciepłą wodą, powieszone na gwoździu *quipu* będące może jakimś harmonogramem prac. W świetle lampy wszystko wyglądało na wyblakłe, obumarłe. Ruminavi jeszcze bardziej niż zwykle wydawał się tu robakiem. Mardina wiedziała, że jeśli to pułapka, weszły w sam jej środek.

Kobiety usiadły blisko siebie, skrępowane i zaniepokojone.

– Co to za miejsce, *apu*? – zapytała Mardina.

– Nie domyślasz się? Pomieszczenia techniczne, nic poza tym. W powłoce Yupanquisuyu jest pełno korytarzy, portów dostępu i gigantycznych urządzeń odpowiedzialnych za funkcjonowanie świata.

Klodia przyglądała mu się, zaciekawiona.

– Jakich urządzeń?

– Maszyn, które robią wszystko, co naturalna planeta zrobi za darmo. Pomyśl o deszczu w podbiegunowych górach. Każda spadająca kropla wody przesuwa maleńki kamyczek. Po pewnym czasie góry zostaną zmyte, a materiał skalny spłynie do oceanu. Na świecie, który nazywacie Terrą, powstały z erozji osad ulega ściśnięciu i podgrzaniu, a potem płynie podziemnymi rzekami roztopionych skał, by wystrzelić nad powierzchnię jako lawa z wulkanu, tworząc wielkie granitowe góry. I w ten sposób, bez udziału człowieka, powstają nowe skały. Tutaj kamień zwietrzałby i tyle. Zatkałby się ocean, a ogromne delty rzek w *cuntisuyu* i *antisuyu* rozprzestrzeniałyby się tak bardzo, że w końcu by się zetknęły… gdybyśmy na to pozwolili. Posiadamy maszyny, które zbierają zerodowany odpad, rury do transportu materiału skalnego na szczyty gór, urządzenia natryskowe do formowania nowych zboczy i tak dalej. – Uśmiechnął się. – Architekt tego świata pozwolił nazywać się Wirakoczą, który dla nas jest bogiem stworzycielem. Ale nie on był Wirakoczą, to znaczy nie on jeden. Wszyscy nim jesteśmy, wszystkie pokolenia, które ciężko pracują, żeby nic się nie psuło.

Mardina próbowała to sobie wyobrazić.

– A więc kadłub tego wielkiego statku jest wypełniony maszynami, które dbają o świat?

– Tak w skrócie.

– A gdzie są maszyny, które dbają o świat, muszą być również ludzie dbający o maszyny.

– Dlatego przy prawie każdym większym *tambo* jest właz. Konserwacja urządzeń to obowiązek wynikający z *mit'a*, choć najbardziej niebezpieczne i nieprzyjemne prace wykonują *yanakuna*. Na przykład czyszczenie rur ze skalnym kruszywem na dnie oceanów pochłania masę ofiar. Albo *anti*. Jeśli chodzi o *mit'a*, praktycznie nie ma z nich innego pożytku. Oprócz *capacocha*, rzecz jasna.

Mardina nie wiedziała, czym jest wspomniana przez niego *capacocha*.

Uśmiechnął się do nich.

– Zdradzę wam pewien sekret. Zamierzamy zesłać waszych rodaków do prac przy podziemnych maszynach. Przecież byliście górnikami na lodowych księżycach, jak sami twierdzicie. Potraficie sobie radzić ze skomplikowaną maszynerią w ciasnych pomieszczeniach. Wyglądacie na silnych i wytrzymałych. Na razie się powstrzymujemy, bo jeszcze wam nie ufamy. Nie chcemy tu harcujących myszy, że tak się wyrażę.

– *Anti*? – dopytywała się Klodia. – Mówisz, że do niczego się nie nadają?

– Może przesadziłem. Dostarczają nam roślin i dzikich zwierząt z dalekich zakątków lasu. Są świetnymi łucznikami, co też ma znaczenie. I podobno na swój sposób troszczą się o stan puszczy. Karczowanie, wypalanie, wszystko to stanowi część większego cyklu.

– Czczą Jesu – powiedziała Klodia. – Jak my.

Znów się uśmiechnął.

– A, no tak! Zauważyłyście, co? Boga niewolnika na krzyżu? Przejęli go od was, Rzymian. Od waszych przodków, którzy przepłynęli ocean do naszego kraju, do dżungli *antisuyu*. Z początku nawet im się wiodło. Budowali miasta na wybrzeżach i wypuszczali się w doliny rzek. Ale potem oni, a przynajmniej wasze legiony na polecenie rządu, wycofali się stamtąd i pozostały tylko niedobitki. Kiedy kilkaset lat później szykowaliśmy się do własnych podbojów *antisuyu*, dowiedzieliśmy się wielu ważnych rzeczy o zamorskich krajach, słuchając bełkotu zdziczałych potomków rzymskich osadników, zanim zrobiliśmy z nich *yanakuna* lub zasymilowaliśmy ich w inny sposób. *Anti* pierwsi zetknęli się z tymi łotrami, którzy pozostawili im trwalsze dziedzictwo, czyli kult boga niewolnika. Być może jest dla nich oparciem, gdy życie w dżungli daje im w kość.

Mardina zerknęła na Klodię.

– Albo skłania ich do pomagania innym. Na tej chęci pomocy polegałeś, gdy po raz pierwszy ratowałeś nas przed poborcami, *apu*.

– Cóż, być może.

– Ale nadal nam nie powiedziałeś, przed czym nas tak dzielnie bronisz.

– Przede wszystkim dotyczy to Klodii. Jesteś w najbardziej odpowiednim wieku, dziecko. Ze względu na jasną cerę i urodę nadajesz się doskonale, żeby cię poświęcić.

Dziewczyna była zmieszana i wystraszona.

– Poświęcić komu?

– *Capacocha* łączy się z *mit'a*, będąc daniną na rzecz Sapy Inki. Daniną szczególną, bo chodzi o poświęcenie dziecka. A gdy zostanie wybrane twoje, masz je chętnie oddać, a później świętować i śpiewać pieśni dziękczynne, kiedy nadejdzie koniec.

– Nie rozumiem. Do czego byłabym potrzebna Sapie Ince?

– Byłabyś traktowana ze szczególnymi względami, jak sam Inka albo jego dziedzic. Zobaczyłabyś Hanan Cuzco! Kosztowałabyś najlepszych potraw, piła najlepsze piwo…

Mardina już wszystkiego się domyśliła.

– Zabiliby ją. To właśnie jest *capacocha*, prawda? Ofiara z dzieci?

Rozłożył ręce.

– To pradawny obyczaj. Zakonserwowaliby cię… Twoje piękno nie zostałoby utracone ani zapomniane.

– I właśnie przed tym mnie uchroniłeś? – Klodia wydawała się bardziej oszołomiona niż przerażona. – Dlaczego?

Mardina patrzyła na niego nieufnie.

– Jeśli w zamian spodziewasz się zapłaty, *apu*…

– Ależ skąd, nic z tych rzeczy. – Spojrzał ze smutkiem na Klodię. – Kierują mną różne pobudki. Po pierwsze zwykła litość. Jesteś taka młoda i tak mało jeszcze widziałaś. Nie powinno się tak gwałtownie odbierać ci tego wszystkiego! I jest jeszcze Inguill.

– *Quipucamayoc*? – zdziwiła się Mardina. – Co ona ma z tym wspólnego?

– Woli was, Rzymian… nie drażnić. Na razie. Nie chciałaby, żebyście, powiedzmy, wzniecili bunt z powodu utraty tej czarującej dziewczyny.

– Dlaczego?

– Tego mi nie powiedziała. Prawdopodobnie z powodów, których mogłybyście teraz nie zrozumieć. W każdym razie nie wierzę, żeby z wami skończyła. – Wyłowił z kieszeni zegarek, prymitywne urządzenie ze stalowymi sprężynkami i węzełkowym sznurkiem. – Na górze jeszcze nie jest bezpiecznie. Napijecie się wody?

Rozdział 48

Musiały upłynąć tygodnie, skrupulatnie odmierzane przez Beth w niegasnącym blasku Proximy, zanim Earthshine przygotował się do podróży do strefy przeciwgwiezdnej.

Ostatecznie Beth także się spakowała. Postanowiła pokonać z nim przynajmniej kawałek drogi, którą sobie wytyczył na podstawie znanych jej map Per Arduy. Należało mieć tylko nadzieję, że będzie z nich tutaj jeszcze jakiś pożytek – gdziekolwiek było owo „tutaj".

Mimo wszystko zamierzała kiedyś powrócić, choćby i sama, do jasno oświetlonej strefy przygwiezdnej. Była pewna, że zdoła odnaleźć drogę, którą raz przemierzyła. Na szczęście jej rzeczy – namiot, ekwipunek podróżnika, nawet marsjański skafander ciśnieniowy – niewiele ważyły i mogła je dźwigać bez pomocy aparatu wspierającego. Wierzyła, że nie znajdzie na tym świecie lepszego miejsca do życia niż punkt przygwiezdny. A jeśli przybędą tu ludzie nieposługujący się przygwiezdnym Włazem, prawdopodobnie wybiorą się właśnie tam, gdzie ze względów geograficznych najłatwiej ustalić miejsce spotkania.

Nim wyruszyli w drogę, na polecenie Earthshine'a aparat wspierający dokonał wszechstronnych pomiarów okolicy – zapewne z czystej formalności. Urządzenie pobierało próbki gleby, aby wykryć śladowe ilości metali lub innych rzadkich związków, a także przeprowadziło badania geofizyczne z wykorzystaniem sonaru, szukając dowodów na to, że kiedyś kwitło tu życie.

I choć początki były mało obiecujące, nagle udało się coś znaleźć. Wprawdzie wierzchnie warstwy nie zawierały żadnych artefaktów ani sztucznych struktur, to jednak w skale macierzystej zachowały się podejrzane nieciągłości, zarysy fundamentów, wielkie podziemne komory wydrążone w kamieniu i dawno zawalone. Wszystko to było przykryte późniejszymi warstwami żwiru i gleby.

Earthshine pokazał jej na tablecie wyniki badań.

– Zwróć uwagę na styl – powiedział. – Na rozwiązania architektoniczne, co prawda ledwie widoczne. My w kontinuum chińsko-oenzetowskim budowaliśmy na planie kół i prostokątów…

Beth zauważyła, że zagrzebane pod ziemią szczątki przypominają nakładające się na siebie elipsy, połączone krętymi nitkami dawno zapadłych korytarzy.

– W dawnych czasach musiała tu żyć rozwinięta społeczność. I nic dziwnego, że przybyli do strefy przygwiezdnej. Wszyscy tu przychodzą. Na powierzchni nic nie przetrwało. Substancje toksyczne, radioaktywne zanieczyszczenia i tym podobne związki spłynęły z wodą, kamienny

budulec zwietrzał i zamienił się w proch. Jednak musiałaby nastać epoka lodowcowa, żeby zetrzeć ślady ze skały macierzystej. Na Per Ardui ich nie ma, w przeciwieństwie do Ziemi, gdzie wędrujące lodowce i lądolody ścierały wszystko na swej drodze.

– W takim razie te ślady mogą być bardzo stare.

– Niewyobrażalnie stare – przyznał z powagą Earthshine.

– Czyli nie zostawił ich człowiek.

– Czemu nie? Przecież ludzie z pewnością tu byli mimo przeinaczenia historii. Sama powiedziałaś, że sprowadzili ziemniaki.

– Tak, ale przylecieli na Per Arduę kilka lat przed moim urodzeniem.

– W dawnym kontinuum, w chińsko-oenzetowskich realiach. – Popatrzył na Proximę. – I według ciebie oprócz pokonania pewnej odległości przemieściliśmy się, że tak powiem, w bok w czasie.

W bok w czasie? Zapytała, co miał na myśli, lecz nie ciągnął tematu.

Od tej chwili nie interesował się strefą przygwiezdną. Było jasne, że nie ciekawią go zagadkowe dokonania starożytnych w tych stronach. Zaprzątał go tylko niekończący się dialog – lub prywatna wojna – z istotami, które nazywał Śniącymi.

Dążąc do wyznaczonych sobie celów, musiał dotrzeć do strefy przeciwgwiezdnej. Była to jego obsesja i i nie zamierzał pozwolić, żeby coś mu przeszkodziło.

Kiedy wreszcie wyruszyli, Beth zostawiła krótki list pod kamieniem na pokrywie Włazu. Umieściła w nim tylko swoje nazwisko, datę przybycia na Per Arduę według różnych kalendarzy oraz informację o celu podróży. Nigdy nie wiadomo, kto lub co przybędzie tu za nimi…

I tak rozpoczął się ich marsz w kierunku mniej więcej południowo-zachodnim. Earthshine powiedział, że kopiują szlak wędrówki jej ojca i Stef Kalinski, którą tamci odbyli dawno temu, zanim zniknęli we Włazie odnalezionym w punkcie przeciwgwiezdnym.

Earthshine parł przed siebie niezmordowanie, rzecz jasna. Zgodnie z obietnicą obmyślił dla Beth siodełko, dzięki któremu mogła jechać na aparacie wspierającym. Rzadko jednak korzystała z tej opcji. Zależało jej na ćwiczeniach fizycznych, na odzyskaniu sprawności. Jeżeli czekało ją samotne życie na Per Ardui, to wolała być w dobrej formie. Poza tym nie chciała pokonywać dużych odległości, aby w razie potrzeby nie musiała wracać na piechotę z bardzo daleka. Dlatego szła, mimo że Earthshine nakłaniał ją do pośpiechu i w bardzo sugestywny sposób okazywał zniecierpliwienie.

Początkowo przemierzali dolinę rzeki, jednej z tych spływających promieniście z bieguna. Posłuszna arduańskim cyklom klimatycznym woda parująca na całej półkuli zbierała się na obszarze niskiego ciśnienia w punkcie przygwiezdnym, tam zamieniała się w deszcz i powtórnie

napełniała dorzecza. Inny cykl ustalił się na terminatorze, obręczy półmroku oddzielającej stronę dzienną od nocnej. Tam z kolei masy chłodnego powietrza przynosiły deszcz, który zasilał rzeki płynące ku ziemiom ogrzanym przez gwiazdę.

W miarę jak oddalali się od punktu przygwiezdnego, trzymając się rzeki, stopniowo zmieniał się krajobraz. Środek strefy przygwiezdnej znajdował się na szczycie gigantycznego wybrzuszenia terenu, morza skał wydźwigniętych siłami pływowymi najbliższej w tym miejscu Proximy. Per Ardua miała kształt nieco zbliżony do jajka, jako że zniekształcona była również strefa przeciwgwiezdna. Tak więc schodząc z tej wyżynnej krainy, znaleźli się na szerokich równinach, gdzieniegdzie upstrzonych masywami niskich, zerodowanych gór i pociętych dolinami rzek płynących od strony bieguna.

Zmieniła się także szata roślinna. Dosyć bujny, choć niezbyt gęsty las porastający strefę przygwiezdną ustąpił miejsca monotonnym pejzażom zdominowanym kobiercami olbrzymich naziemnych liści, zachłannie spijających promienie słońca wiszącego tutaj prawie w zenicie. Beth zdawała sobie sprawę, że burzliwa pogoda w strefie przygwiezdnej musi wywierać znaczny wpływ na środowisko – nawałnice przewracały drzewa i odsłaniały teren – więc strategia pasywnego karmienia się światłem nie zdałaby tam egzaminu. Beth pamiętała również, że na dawnej Per Ardui niektóre ścielące się nisko rośliny były w rzeczywistości „latawcami”: latającymi stworzeniami w fazie uśpienia. Ale nie tutaj i nie teraz, wszystko bowiem wskazywało na to, że są to jak gdyby warzywa, przylgnięte do ziemi w nieruchomych, dostojnych pozach – niczym stromatolity.

Nie widziała śladów życia „zwierzęcego”, które na Per Ardui było niegdyś powszechne, aczkolwiek granica między zwierzętami a roślinami wydawała się tu bardziej rozmyta niż na Ziemi. Nie napotkała więc latawców, budowniczych czy odpowiedników ryb w rzekach. O światło rywalizowały między sobą wyłącznie rośliny, stromatolity i proste organizmy w rodzaju porostów. Panowała tu grobowa cisza, którą mącił jedynie wiatr, czasem szum deszczu – oraz ich własne głosy.

Dostrzegali jednak coraz więcej dowodów obecności ludzi, czy raczej pamiątek po świecie, z którego przybyli. Częściej zauważali plamy soczystej zieleni będącej produktem ziemskiej fotosyntezy, wyróżniające się na tle zszarzałych odcieni arduańskiego życia. Były to głównie przeobrażone na drodze ewolucji gatunki roślin jadalnych: ziemniaki, pochrzyn, buraki, soja, groch i winorośle, a nawet szkarłatnica, potomek genetycznie modyfikowanych wodorostów, który tutaj zapychał koryta rzek. Earthshine przypuszczał, że wszystkie te ocalałe gatunki powróciły do swoich pierwotnych form; przykładowo bulwy ziemniaków wydawały się nader

wątłe w porównaniu z kulami, które preferowali ludzie. Beth starannie uzupełniała swój zbiór o kolejne próbki.

Ocalałe gatunki: tak właśnie należało je nazywać. Przybysze z Ziemi, którzy zachowali swoją tożsamość wśród tubylczych organizmów na tym świecie. Wydawało się nawet, że zawiązało się między nimi jakieś nieme porozumienie. Na równinie zalewowej pewnej rzeki ziemniaki porastały teren zbyt podmokły, żeby rozwijało się na nim arduańskie życie, lecz w gruncie zagęszczonym ich korzeniami znajdowały sobie oparcie miejscowe łodygi. W odosobnionym leśnym zagajniku na pnie arduańskich drzew wspinała się ziemska winorośl. I tak dalej. Nawet jeśli istniały tu zwierzęta, roślinożercy należący do jednego królestwa organizmów nie mogły się żywić przedstawicielami drugiego; ich cechy fizjologiczne, choć miały wspólny rodowód, różniły się od siebie. Być może jednak, rozmyślała Beth, odmienne formy życia nauczyły się współpracować w zupełnie innym wymiarze. Podobnie jak ona próbowała znaleźć wspólny język ze swoim wirtualnym dziadkiem, jakże odmienną formą życia.

Ten rozdział zakończył się po dwóch tygodniach, gdy mieli za sobą dwieście kilometrów. To wtedy zauważyła przed sobą cień, który od tej pory zaczynał się wydłużać, co oznaczało, że Proxima nie znajduje się już w zenicie, lecz zsuwa się po niebie. Doszła do wniosku, że pora się zatrzymać.

Gdy zebrała swój dobytek, nastąpiła krępująca, wręcz groteskowa chwila rozstania.

– Przynajmniej wiesz, gdzie mnie szukać – powiedział Earthshine.

– A ty mnie. – Zmusiła usta do uśmiechu. – Choćby dzielił nas cały świat. Dosłownie.

– To prawda – rzekł poważnie. – Zwłaszcza biorąc pod uwagę te wybrzuszenia na biegunach. Zamierzam przy pierwszej sposobności ustanowić system łączności. Może z pomocą małych satelitów. Masz sprzęt przystosowany do komunikacji.

– Tablety, wiem. Są z rzeczami, które od ciebie dostałam.

Przez chwilę stali w milczeniu.

– Zatem żegnaj – powiedział Earthshine.

– Żegnaj.

W teatralnym geście wspiął się na swój powóz: aparat wspierający na zbudowanych w tym świecie kołach – i odjechał. Nareszcie mógł rozwinąć maksymalną prędkość, na czym mu zależało. Z pewnym zadowoleniem przyjęła fakt, że wciąż zachowuje ludzką postać.

Potem odwróciła się i samotnie udała w długą drogę powrotną.

Rozdział 49

AD 2234; AUC 2987; PY 796

Ósmego miesiąca, odkąd Rzymianie przybyli do Yupanquisuyu, w *ayllu* zjawiła się Inguill w towarzystwie urzędników i pokaźnej grupy żołnierzy. Wjechała do wsi bryczką zaprzęgniętą w dwie rosłe alpaki, co wywołało wśród mieszkańców spore poruszenie. Te zwierzęta najwyraźniej były rzadkością zarezerwowaną wyłącznie dla elit.

Tak znakomita osobistość jak *quipucamayoc*, opiekun zasobów piśmiennych imperium, nie podróżowała bez odpowiedniej świty, przede wszystkim zbrojnej. Mardina zdążyła się zorientować, że *antisuyu* postrzegane jest jako kraj awanturników, przed którym chroniły zarówno Sapę Inkę, jak i jego rodzinę oraz dworzan liczne zapory bezpieczeństwa: las deszczowy, potem ocean, potem otwarte przestrzenie *altiplano*, a potem jeszcze setki mil wspinania się w próżni i dopiero wtedy fortyfikacje Hanan Cuzco. Mimo to Inguill postanowiła wejść do paszczy jaguara.

Taka wizyta wzbudziła w *ayllu* wielki tumult. Bo chociaż orszak Inguill zjawił się całkiem niezapowiedzianie, wieś miała zapewnić wszystkim wyżywienie i dach nad głową. Wznoszono więc w pośpiechu szałasy i dobudówki i nawet *curaca* Pascac, naczelnik wioski, udzielał w swoim domu gościny przyjezdnym. Równocześnie najszybciej biegający chłopcy i niewolnicy *yanakuna* musieli gnać co tchu do okolicznych społeczności z prośbą o wsparcie; wracali z jedzeniem, workami z koką i eliksirami, kocami, pościelą, przedmiotami zbytku.

Inguill nie była tym jednak zainteresowana. Założyła coś na kształt dworu w domu Pascaca, gdzie pierwszej nocy odpoczywała po trudach podróży, konsultując się tylko z Ruminavim i innymi doradcami. Następnie za pośrednictwem naczelnika wezwała przed swoje oblicze najważniejszych Rzymian: Kwintusa Fabiusza, ich niekwestionowanego przywódcę, wraz z tymi, których towarzystwo uzna za stosowne, przy czym, jak zaznaczyła, obecny miał być również niewolnik Chu Yuen ze swoim tajemniczym pakunkiem.

Przed spotkaniem Kwintus zarządził zbiórkę przed domem naczelnika. Mardina zauważyła, że choć legionistom przestały przeszkadzać ubrania powszechnie noszone w *ayllu*, dziś on i Tytus Waleriusz prowokacyjnie przebrali się w resztki swoich wojskowych szat, oczywiście z pominięciem zbroi, oręża i legionowych insygniów. Mardina przypuszczała, że ma to służyć

podkreśleniu różnic kulturowych. Cieszyła się przy tym, że może mieć na sobie okrągły, filcowy kapelusz, który zresztą wydawał się jej uroczy.

Kwintus spokojnie przemawiał niewygładzoną obozową łaciną:

– Proszę cię, Koliuszu, nie tłumacz. Niech nikt nas tym razem nie podsłuchuje. – Skinął ręką na grupę. – A więc dobrze. Myślę, że większość z was wolałaby omijać z daleka tę okropną babę.

– Okropną i mogącą zrobić z nami wszystko – mruknął Tytus Waleriusz.

– Zgadza się, Tytusie. Ale jesteśmy anomalią tutaj, w Yupanquisuyu. Anomalią w tej wersji dziejów…

– Owszem – odezwał się cicho ColU ze swojej zwykłej kryjówki na plecach zestresowanego Chu Yuena. – Wydaje się, że od samego początku spośród wszystkich Inków właśnie ta kobieta najlepiej zdaje sobie z tego sprawę.

– Bądź co bądź, jest w tym imperium najważniejszym opiekunem pism – odezwał się *medicus* Michael. – Jeśli ktoś tutaj zna historię, to na pewno ona.

– Właśnie – rzekł Kwintus. – A ponieważ, o ile mi wiadomo – ciągnął, świdrując spojrzeniem Tytusa – nikt z nas nie ma na koncie poważniejszych wykroczeń, nikt z nas nie zrobił niczego podejrzanego w oczach władz… o ile mi wiadomo…

– Możesz być tego pewien – wtrącił tubalnym głosem Tytus.

– Podejrzewam, że Inguill przyjechała poruszyć jakieś ważniejsze kwestie. Cóż, chyba prędzej czy później musiał przyjść ten moment, ale przynajmniej nie będę sam. Was również, przyjaciele, zapraszam na arenę. Tytusie, jesteś sercem tej centurii… i jej brzuchem. Michaelu, ty jeden masz naturę uczonego. Oczywiście idziesz również ty, Koliuszu, skoro Inguill wezwała Chu Yuena…

– Nawet jeśli nic nie wie o moim istnieniu – powiedział ColU. – Lub tym, kim naprawdę jestem.

– A co ze mną? – zapytała Mardina, skonsternowana. – Co ja tutaj robię?

Kwintus uśmiechnął się do niej uspokajająco.

– Jesteś tu dlatego, Mardino, że reprezentujesz przeszłość. Połowa twojej krwi pochodzi sprzed dwóch rozjazdów Jonbara. Jesteś także młoda, więc jednocześnie reprezentujesz naszą przyszłość, która przynajmniej w tej chwili zależy od dobrej woli Sapy Inki. Niech Inguill zobaczy cię u mojego boku. – Niespodziewanie prasnął w ramię Chu Yuena. – A ty, Zynie? Kiedy wyznaczyłem cię na tego, który będzie nosił Koliusza, zadecydował o tym przypadek. W zasadzie nie wiedziałem nic o twoim istnieniu, nie wiedziałem, jak masz na imię, i nic mnie

to nie obchodziło. A jednak tyle z nami przeszedłeś. Dzielnie się spisujesz, nosząc swoje brzemię. Cieszę się, że dziś jesteś z nami.

Mardina zauważyła z cieniem smutku, że młodzieniec nie podniósł wzroku nawet teraz, gdy Kwintus mu się przyglądał.

– Dziękuję, centurionie – powiedział tylko.

Tytus Waleriusz chrząknął i poprawił płaszcz.

– Piękna mowa, jak zwykle. Tylko czy aby trochę nie przesadzasz? Mówisz, że to arena. Nie jesteśmy wszak gladiatorami, którzy idą walczyć.

– Eh, Tytusie, nie byłby z ciebie żaden oficer. Wolałbym z gołymi rękami stawić czoło dziesięciu świetnie wyszkolonym i uzbrojonym po zęby gladiatorom mającym do mnie osobiste urazy niż jednemu prawnikowi z kąśliwym pytaniem. Dobrze, miejmy to już za sobą.

Inguill siedziała wygodnie w fotelu w domu naczelnika. Po lewej stronie na słomianej macie siedział Ruminavi, po prawej zaś stał sam gospodarz z niewesołą miną. Przed nią znajdował się otwarty skórzany kufer. Za jej plecami czuwało dwóch uzbrojonych żołnierzy.

Ruminavi dostrzegł Mardinę i nieznacznie mrugnął okiem. Odwróciła wzrok, speszona.

Kwintus zajął miejsce na fotelu naprzeciwko Inguill, za nim natomiast usiedli na ziemi jego doradcy. Michael z trudem powstrzymał się od zrzędzenia, gdy przyjmował pozycję siedzącą. Zgodnie z inkaskim zwyczajem tylko przywódca mógł mieć oczy na równej wysokości z oczami przedstawiciela Sapy Inki.

W końcu wszyscy znaleźli się już na swoich miejscach i patrzyli na siebie w milczeniu. Jak pionki na planszy, pomyślała Mardina. I być może nie było to chybione porównanie.

W swoim poważnym ubraniu, z iskrzącym wzrokiem Inguill wyglądała na osobę silną i władczą. Wreszcie zabrała głos:

– Pewnie zastanawiacie się, dlaczego tu przyjechałam, dlaczego dzisiaj chcę z wami rozmawiać.

Stojący obok Pascac ukłonił się do pasa.

– *Quipucamayoc* Sapy Inki zawsze jest u nas mile widziana…

– Daj spokój, człowieku. Nie pora na pochlebstwa, protokolarne uprzejmości. Pora na prawdę. – Objęła spojrzeniem Kwintusa, Tytusa i Chu Yuena, który położył plecak przed sobą na zasłanej matami podłodze. – Pamiętacie moją pierwszą reakcję na wasz widok, kiedy przypałętaliście się tymi swoimi jachtami, statkami bezsprzecznie nieprzystosowanymi do podróży, o której opowiadaliście. I tę wydumaną historię o ostatniej kolonii górników na lodowym księżycu! Jestem opiekunem zasobów piśmienniczych, kronikarzem, rachmistrzem. Z upoważnienia Sapy Inki zajmuję się opisem spraw jego wielkiego imperium i troszczę się

o zachowanie ustalonego porządku. W przeciwieństwie do was, Romaoi, przynajmniej na podstawie tego, co mówi o was historia, nasi bogowie nie są opiekuńczymi duchami, które wiosną sprowadzają deszcz, a latem słońce. Nie są wywyższonymi niewolnikami jak wasz Jesu, nie są wspaniałomyślni i litościwi. Nasi bogowie są bogami zniszczenia i nieszczęścia. Mieszkali wśród ziejących ogniem szczytów na kontynencie zwanym przez was Dolną Walhallą. Należy się z nimi kontaktować podczas narkotycznego transu i wędrówki duszy, a przebłagać ich można ofiarą: pokarmem, napojem, a także ludzką krwią.

Mówiąc to, wymownie spojrzała na Ruminaviego, który spuścił wzrok.

Pochyliła się w przód i zatrzymała spojrzenie na Kwintusie.

– Mówię o bogach, którzy według teologów ostatecznie obalili waszych na wschodnich kontynentach, gdzie było wam tak dobrze. I Cesarstwo Rzymskie upadło. – Wyprostowała się. – Troska o porządek jest moim naczelnym obowiązkiem. Jak z pewnością wiecie, bez rygorystycznie utrzymywanego porządku ta wielka maszyna, w której wszyscy mieszkamy, nie mogłaby sprawnie funkcjonować. Jeśli chodzi o mnie, to opuściłam najbliższą rodzinę, żeby studiować w Domach Nauki w Hurin Cuzco na wschodnim biegunie, a potem służyć Sapie Ince w kompleksie administracyjnym w Hanan Cuzco na biegunie zachodnim. Mieszkam sama. Troszczę się o rodziców, rodzeństwo, chociaż widujemy się rzadko. Porządek jest moim mężem i nie chcę innego. Nigdy mnie nie zdradzi, jeśli będę mu wierna. Dlatego mam z wami taki problem. Zagrażacie temu porządkowi, w zasadzie odkąd się tu pojawiliście. – Wycelowała palec w Kwintusa. – Bo… tu… nie… pasujecie.

Tytus warknął.

– Jakie to szczęście, *quipucamayoc*, że pojawiłaś się akurat wtedy, gdyśmy przylecieli.

Kwintus skarcił go wzrokiem.

– Szczęście nie miało z tym nic wspólnego – mówiła dalej Inguill. – Jestem wyczulona na punkcie anomalii, zmarszczek na jeziorze ładu i porządku. W pewnym sensie je kolekcjonuję. I robię to z pasją. Kiedy doszły mnie wieści o przybyciu waszego statku, od razu wiedziałam, że na moim jeziorze pojawiły się fale.

Kwintus roześmiał się ku zaskoczeniu Mardiny, która jednak szybko zorientowała się, że centurion próbuje wprowadzić trochę humoru, rozluźnić napiętą atmosferę.

– Ha! Pierwsze słyszę, by ktoś cię przyrównał do fali na jeziorze, Tytusie Waleriuszu! O co chciałabyś nas zapytać, *quipucamayoc*?

Uśmiechnęła się.

– Chcę się dowiedzieć o was czegoś więcej. Od pewnego czasu coś mi mówi, że nawet muszę. A wy, możecie mi wierzyć, powinniście się dowiedzieć czegoś więcej o mnie. Proponuję

wymienić się podarunkami. Dostaniecie coś ode mnie i ja dostanę coś od was. – Uśmiechnęła się. – Na takiej wymianie opiera się nasz system społeczny, jeśli się nad tym zastanowić. Wy nie zaniedbujecie świadczeń wynikających z *mit'a*, w zamian Sapa Inka udziela wam daru bezpiecznego życia.

Kwintus patrzył podejrzliwie.

– O jakim podarunku mówisz?

Sięgnęła do kuferka, skąd wyciągnęła sprzączkę od rzymskiego pasa wojskowego wykonaną z twardej stali i mosiądzu.

– Sądzę, że nie będzie to podarunek, lecz zwrot własności. Zgubił to jeden z was, kiedy przechodziliście przez portale biegunowe.

Tytus uderzył się w czoło.

– Skorpus, dureń skończony! Wygarbuję mu plecy jego własnym pasem!

– Cicho, Tytusie – napomniał go spokojnie Kwintus. – I co z tego? – zwrócił się do urzędniczki. – To tylko sprzączka, zwyczajna ozdoba, choć rzeczywiście nasza.

– Cóż, myślę, że to jednak nieprawda. Tiso Inka obrócił w ruinę Rzym, lecz potem ścigaliśmy was, ocalałych Romaoi, do waszych macierzystych ziem na wschodzie, oddalonych od stolicy. Tam zakończenie zdobywczej kampanii było mniej niszczycielskie…

– Prowincje Grecji i Azji Mniejszej – wtrącił Michael.

– Tak – mruknął Kwintus. – Spichlerz imperium. Wojska cesarskie musiały wycofać się tam w obliczu inkaskiej ofensywy, zewrzeć szyki obronne na krótszych granicach.

– Może dlatego Inkowie nazywają nas Romaoi, co jest greckim określeniem.

Inguill pilnie nadstawiała ucha, jakby każde słowo utrwalała węzełkami na sznurkach.

– Po złożeniu broni obywatele waszego państwa stali się poddanymi ówczesnego Sapy Inki. Ale w porównaniu z Italią wschodni Romaoi zachowali fundament swojej cywilizacji: gospodarstwa rolne, miasta… oraz kroniki. Mieliście biblioteki, a w nich imponujące dzieła historyczne. Dlatego wiem o was tak dużo. Nawet umiem odczytać wasze osobliwe pismo, dziwne symbole, które stosujecie zamiast węzełków na sznurkach *quipu*. – Uniosła sprzączkę. – Wiem, co oznaczają wyrazy i liczby na tej blaszce. – Pogłaskała palcem napis będący częścią odlewu: Legio XC Victrix. – Dziewięćdziesiąty legion. Zwycięski. Dobrze mówię? Kłopot w tym, że po trzecim wieku po Yupanqui nie było już legionów. I nigdy nie było ich dziewięćdziesiąt. A tu proszę, pięćset lat później znajdujemy sprzączkę od wojskowego pasa. Wy zaś, choć mieszkacie w ruderach i pracujecie w polu, lubicie szeptać o dawnych kampaniach i zagarniętych łupach, a tego człowieka nazywacie centurionem, gdy myślicie, że nikt nie słyszy.

Widać było, że Kwintus stara się panować nad swoim zachowaniem.

– Masz tu szpiegów? – zapytał.

– Nie są mi potrzebni. W każdym *ayllu* jest wielu *yanakuna*, a każdy z nich ma oczy, uszy i pamięć. Wyśpiewają wszystko, żeby uniknąć chłosty. Nasi inspektorzy regularnie ich przepytują. – Nie spuszczała z niego wzroku. – Uważam, że jesteście niedobitkami rzymskiego legionu, choć minęło pół tysiąca lat, odkąd takich legionów już nie ma. Co ty na to?

Kwintus zachował wyniosłe milczenie, zapewne nie wiedząc, dokąd to wszystko zmierza.

– Podarunek za podarunek – upierała się Inguill. – Jak uzgodniliśmy.

– Jak zostało nam narzucone – burknął Kwintus.

– Oczekiwanym przeze mnie podarunkiem jest prawda. Dajcie spokój – dodała aksamitnym tonem. – I tak już wiem dużo. Choćby to, że mało który z was dobrze zna nasz język. Ta młoda kobieta, Mardina, stanowi wyjątek.

Mardina pochyliła głowę.

– Pozostali polegają na podpowiedziach, jakby ktoś wam szeptał do ucha. Może duch, którego trzymacie na plecach, tłumaczy słowa tutejszych mieszkańców na łacinę i odwrotnie? – Wskazała Chu Yuena. – Zresztą wszyscy czujecie się swobodniej, kiedy ten chłopak jest w pobliżu, a z nim razem torba, z którą się nie rozstaje. To wszystko tylko gra. Hej, ty, Zynie. Chu Yuenie. Pokaż, co masz w torbie. Nie zabiorę ci tego. Po prostu mi pokaż.

Chu spojrzał na Kwintusa i Michaela.

– Zrób to, o co cię prosi, Chu Yuenie – odezwał się ColU z małego głośnika w torbie.

Słysząc głos niewidzialnego mówcy, dwaj żołnierze stojący za Inguill podnieśli zaczepnie broń, krótkie miecze przeznaczone do dźgania. Tytus warknął i pewnie porwałby się z podłogi, gdyby Kwintus nie chwycił go za ramię.

– Jesteś pewien, Koliuszu? – zapytał głośno dowódca.

– Ona i tak sporo już wie, centurionie. W gruncie rzeczy wszyscy siedzimy w matni, Inkowie na równi z nami.

Inguill zmarszczyła czoło.

– W jakiej matni?

– Jesteśmy marionetkami istot obdarzonych większą mocą, *quipucamayoc*.

– Ukaż się!

– Chu Yuenie, proszę…

Chu otworzył sfatygowany plecak, ostrożnie wydobył ColU i położył go na ziemi przed Inguill. Gdy odwinięto miękką wełnianą szmatkę, ukazał się kawałek podobnego do szkła materiału o rozmiarach i kształcie dużej książki. Wewnątrz mrugały gwiazdozbiory światełek,

z brzegu zaś wystawały przewody, rurki i łącza zadaniowe – pozwalające podpiąć urządzenie do większego aparatu, lecz bezceremonialnie przecięte.

Inguill wytrzeszczyła oczy.

– Kim jesteś? – zapytała.

– Nie jestem człowiekiem. Stworzyli mnie ludzie. Jestem urządzeniem.

– Na pewno nie inkascy rzemieślnicy.

– Nie…

– I nie Romaoi.

– Nie, *quipucamayoc*. Rozmowa o moich początkach wiele ci wyjaśni. Jestem ColU. Rzymianie nazywają mnie Koliuszem. Dawniej byłem częścią znacznie większej maszyny. Moim zadaniem była uprawa roli, spulchnianie gleby na innych światach.

Inguill wyraźnie próbowała okiełznać strach.

– Wyglądasz tak obco, że nie jestem w stanie przypisać cię do żadnej kategorii.

– Wydajesz się wstrząśnięta i trudno się temu dziwić – odparł ColU. – Jestem tylko rzeczą, wierz mi. Jestem jak *quipu*. Jestem urządzeniem do przechowywania informacji i zarządzania nimi. Tyle że bardziej zaawansowanym technicznie. Są urządzenia, które pozwalają mi mówić, i są również takie, dzięki którym słyszę. Nosi je młody Chu Yuen. Swoją drogą, wiernie mi służy.

Inguill wydęła usta.

– Co o tym sądzisz, *tocrico apu*?

Ruminavi bał się chyba nie mniej niż urzędniczka, lecz miał chytrą minę.

– Myślę, że moglibyśmy zaprezentować wspaniałe trofeum na dworze Sapy Inki. Gadający klejnot! A jeśli umie śpiewać lub czytać wiersze… Potrafisz przepowiadać przyszłość, Koliuszu?

– Potrafię znacznie więcej, Inguill, z czego, jak sądzę, zdajesz sobie sprawę.

Wpatrywała się w urządzenie.

– Potrafiłbyś przywrócić porządek, który został zachwiany?

– Do tego zmierzam, *quipucamayoc* – odpowiedział cicho ColU. – Mardina Eden Jones Guthfrithson jest potomkiem tych, którym z założenia miałem służyć.

Mardina zarumieniła się, gdy tak nieoczekiwanie wspomniano ją w rozmowie.

– Mogę to zrozumieć – powiedziała Inguill. – Każdy potrzebuje kogoś chronić, mieć cel w życiu, cel w pracy. W moim przypadku jest to Sapa Inka, który reprezentuje Tawantinsuyu i miliardy będących pod jego opieką…

– Oraz miliardy jeszcze nienarodzonych – dodał ColU.

– Tak, tak, masz rację. Chłopcze, schowaj to z powrotem, żeby się nie zniszczyło.

Chu z nabożną czcią podniósł jednostkę obliczeniową, owinął ją starannie i umieścił w torbie.

Kwintus uśmiechnął się szeroko. Widząc, że Inguill jest oszołomiona wypowiedzią ColU, nabrał odwagi i pewności siebie.

– A więc podarunek za podarunek, *quipucamayoc*. Wypada twoja kolej…

– Dobrze, wobec tego teraz ja wam zaimponuję. – Wyciągnęła z kufra tak ciężką ramę, że Tytus musiał jej pomóc ułożyć ją na ziemi.

Mardina z zaciekawieniem przyglądała się ramie z rzeźbionego drewna, w której rozpięte były cienkie druciki – wzdłuż, wszerz i w głąb – z rozmieszczonymi na nich węzełkami z wielobarwnych nitek. Widać było, że położenie węzełków i drutów ustala się za pomocą dźwigni i przełączników.

Jej ciekawość nie uszła uwagi Inguill.

– I co o tym myślisz, dziecko?

– Bardzo ładne.

Inguill uśmiechnęła się.

– To prawda. Jak wszystko, co zostało zaprojektowane ze smakiem. Ale jak sądzisz, do czego to służy?

– Przypomina *quipu*. Do tej pory oglądałam prostsze wersje, jakich używają inspektorzy, gdy przychodzą do *ayllu* określić wielkość świadczeń podatkowych. Tamte kojarzyły mi się z liczydłami. To jest bardziej skomplikowane.

– Musiałabym zobaczyć liczydło. Ale masz rację, dziecko, od razu widać, że jesteś spostrzegawcza.

– Dziękuję – odpowiedziała chłodno Mardina.

– To istotnie jest *quipu*, pewien rodzaj *quipu*, pozwalający przechować ogromną ilość informacji. Węzełki zastępują liczby, kolory nazwy. Dostęp do treści umożliwiają proste przyrządy sterownicze. – Objęła wszystkich spojrzeniem. – Ale to nie jest szczyt naszych możliwości. Wielkie Repozytorium *Quipu* w Cuzco to gmach z czterema potężnymi wieżami, wypełnionymi po sufit dzbanami z *quipu*. To nasza skarbnica wiedzy historycznej, tu zaś widzicie tylko małą namiastkę. W każdym razie… ColU, umiesz czytać *quipu*? Odczytałbyś to?

– Dzięki waszym wskazówkom i z pomocą Chu Yuena… owszem. Ale czego się dowiem?

– To nasza historia – odparła Inguill. – Swego rodzaju kompendium mające wielu autorów. Zapisano w nim to, co wiemy o czasach poprzedzających nowożytność zapoczątkowaną przez Yupanqui osiemset lat temu. Zawiera też streszczenie naszej wspaniałej światowej kampanii

zdobywczej, w tym ujarzmienia Romaoi i Zynów. Mówi także o wyprawach na inne planety, a nawet do odległych układów słonecznych przy użyciu energii pochodzącej z *warak'a*.

– Przestudiuję to *quipu* – rzekł ColU – i pouczę pozostałych.

Mardina była niezwykle podekscytowana tą sprawą, tym darem w postaci księgi historycznej.

– Może uda się namierzyć rozjazd Jonbara… – wypaliła.

– Cicho, nie teraz.

Inguill oczywiście przysłuchiwała się uważnie.

Tytus prychnął.

– Kto jak kto, ale ja uwielbiam lekcje historii – powiedział. – Pamiętam taką jedną kampanię…

– Zamknij się, Tytusie Waleriuszu – napomniał go spokojnie Kwintus, zezując na Inguill, którą wyraźnie zaintrygowały słowa legionisty. – Podejrzewam, że nieprzypadkowo *quipucamayoc* daje nam tekst historyczny, bo przecież historia jest tematem naszego spotkania, prawda? Historia lub… historie?

Inguill pokiwała głową.

– Mam wrażenie, że na razie wiecie w tej kwestii znacznie więcej niż ja. Za to ja mogę o wiele więcej zrobić. Zamiast wyciskać z was informacje… dam wam jeszcze jeden podarunek. – Znów poszperała w kufrze.

Tym razem wyciągnęła skrawek białej tkaniny, oderwany być może od jakiegoś ubrania, pokryty brudnym rdzawym pyłem i poplamiony czymś, co przypominało zbrązowiałą zaschniętą krew. Wygładziła ów gałgan na wieku kufra.

Mardina pochyliła się, chcąc lepiej widzieć. Dziwnie wyglądała już sama tkanina, której grube nitki lśniły w miejscu rozdarcia. Naszyte na nią było jakby insygnium, obrzeżony złotem trójkąt z grubszego materiału. Wewnątrz na granatowoczarnym tle znajdował się wąski sierp czerwonobrązowej planety, nad nim zaś krzywa linia: tor lotu jakiegoś pojazdu. Sam pojazd przedstawiono schematycznie w postaci z grubsza poskładanych w jedną całość kwadratów, tub i jasnych paneli. Nad tym wszystkim unosił się orzeł z rozpostartymi skrzydłami, trzymający w szponach gałązkę – czyżby oliwną? Wzdłuż krawędzi trójkąta biegły łacińskie słowa.

– Orzeł wykonany jest z największą starannością – mruknął Tytus Waleriusz.

– Rzeczywiście – przytaknęła Mardina, zdumiona i zafascynowana.

ColU przyglądał się insygnium za pośrednictwem tabletu, który trzymał w rękach Chu.

– Skąd to masz, *quipucamayoc*? – zapytał.

– Nie poznajecie?

Kwintus wzruszył ramionami.

– Chyba jasne, że nie.

– A przecież są tu napisy w stylu Romaoi. Umiecie je odczytać?

Kwintus odcyfrował słowo po słowie:

– Gershon… York… Stone… Nie wiem, co to znaczy. Jakieś imiona? Ale tutaj… Tutaj mamy imię jednego z naszych bogów. A przynajmniej jego greckiego kuzyna Aresa.

– Zgadza się, szukałam informacji na ten temat. Ares to bóg zwany przez was Marsem. Mars to również nazwa, którą nadaliście czwartej planecie, prawda? My nazywamy ją Illapa na cześć władcy nieba, boga błyskawic. A czy orzeł nie jest godłem Romaoi?

– Inguill, gdzie to zostało znalezione? – dopytywał się ColU.

– A jak myślisz? Na Illapie, rzecz jasna. Na Marsie! Przy wraku statku kosmicznego, który rozbił się, jak przypuszczamy, kilkaset lat temu. I niedaleko pola *warak'a*, bramy…

– Bramy? – wpadł jej w słowo ColU. – Masz na myśli Właz?

– Przestań! – rozkazał Kwintus. – Za bardzo wyrywasz się do przodu.

Chu spuścił wzrok, jakby to on ponosił winę za popędliwość ColU.

– Zaraz wam powiem, co mi nie daje spokoju – powiedziała Inguill. – W naszej historii nie ma ani jednej wzmianki o tym, że Romaoi dotarli na Illapę. Albo że wyruszyli w kosmos, poza obszar ojczystej planety. Ba, nie nauczyli się nawet latać w powietrzu. Ich ambitne plany spełzły na niczym, kiedy puściliśmy z dymem ich stolicę, zajęliśmy ziemie i podporządkowaliśmy sobie mieszkańców. Jednak wasza historia… i tu pora na całkowitą szczerość – ciągnęła, patrząc na Kwintusa – nie jest tą historią, o której czytamy w naszych *quipu*. – Dla podkreślenia swoich słów postukała palcem w ramę urządzenia wyciągniętego z kufra. – Nie jest nią w żaden sposób. Myślę, że w waszej przeszłości Romaoi nie przegrali wojny, rozwijali się dalej, powołali dziewięćdziesiąt legionów i opuścili planetę, by latać tu i tam statkami o nazwach takich jak „Malleus Jesu"…

– Wiesz, że to nasz statek?

– Oczywiście! Twoi ludzie, Kwintusie Fabiuszu, nie potrafią utrzymać języka za zębami, zwłaszcza w towarzystwie kobiet, z którymi chodzą do łóżka. Zatem pytam: czy rzymski orzeł poleciał na Marsa statkiem o nazwie „Ares"?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł Kwintus. I westchnął, jakby podjął decyzję. – Owszem, Inguill, niektórzy Rzymianie naprawdę opuszczali Terrę. Na przykład ja. Gdy studiowałem w szkole oficerskiej, w akademii w Ostii, uczyłem się o początkach eksploracji planet. Wzmianka o „Aresie", nawet jeśli się rozbił, powinna się była zachować wśród bohaterskich legend z dawnych czasów. Wskazywałby na to dowód, który posiadasz. Ale ja nigdy o nim nie słyszałem.

– Wytłumaczenie może być tylko jedno – odezwał się ColU.

Inguill wydęła usta.

– Znowu inna historia?

– Masz bystry umysł, *quipucamayoc*. Ja i matka Mardiny pochodzimy z linii dziejowej jeszcze innej niż ci Rzymianie. Oni zaś z innej niż wasza. W naszej rzeczywistości mieliśmy badaczy kosmosu, którzy nosili tego rodzaju naszywki. Rzym nie przetrwał jako imperium, lecz zachowało się jego dziedzictwo kulturowe, choćby alfabet.

– Z całą pewnością – przytaknął beznamiętnie Kwintus.

– Orzeł wciąż był godłem, ale już nie Rzymu, lecz Ameryki, potężnego państwa w Górnej Walhalli.

– A więc twierdzisz, że ten „Ares" został wysłany na Marsa przez Amerykę? – zapytał Kwintus.

– Nie – odparł smutnym tonem ColU. – To nie takie proste. W mojej rzeczywistości Ameryka nigdy samodzielnie nie wysłała statku załogowego na Marsa. Pierwsi byli tam Chińczycy, czyli Zynowie. Ich śladem poszły inne kraje zrzeszone w Organizacji Narodów Zjednoczonych, do której należała również Ameryka. Nie było żadnego „Aresa".

Mardina nadążała za rozmową z coraz większym trudem, natomiast Inguill chyba orientowała się znakomicie.

– Więc to była zupełnie inna historia – stwierdziła. – Podobna do tej, której owocem ty jesteś, ColU, ale nie identyczna. W niej cała ta…

– …Ameryka…

– …wysłała statek na Illapę. A jednak mamy tę naszywkę, ten potargany dowód… i wrak statku na Illapie, moim Illapie. A dziwne w tym wszystkim jest to…

Ruminavi parsknął śmiechem. Popatrzył na Mardinę z miną wyrażającą najwyższe zdumienie.

– Mamy tu całą rewię niezwykłości, a ty twierdzisz, że dopiero teraz usłyszę coś dziwnego?

Inguill puściła mimo uszu jego słowa.

– Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to – ciągnęła – że nie odnaleźlibyśmy go, to znaczy nie odkryliby go zwiadowcy z inkaskiej floty, gdyby nie nagłe pojawienie się głęboko pod ziemią złoża *warak'a* i portalu, choć z całą pewnością nie było go tam *przedtem*. Przed waszym przybyciem.

– Portalu – powtórzył ColU. – Włazu… I to jest właśnie sprawa ważniejsza niż wszystko, o czym tu rozmawiamy…

– Dość tego – przerwała nagle Inguill. Wstała, rozcierając skronie. – Nigdy nie sądziłam, że jestem w stanie nauczyć się za dużo w zbyt krótkim czasie, potrzebuję powietrza. Ty, ty i ty –

wskazała Mardinę, Kwintusa Fabiusza i Chu. – Wy idziecie ze mną. Zajmiemy się knuciem, jak spiskowcy.

Ruminavi wstał z ziemi, wyraźnie zaniepokojony.

– *Quipucamayoc* – ostrzegł – jesteś daleko od cywilizacji. Lękam się o twoje bezpieczeństwo…

– Nie przesadzaj, *apu*. Co może mi się tu stać? Coś gorszego niż utrata kontaktu z rzeczywistością, która przecież już mi się przytrafiła? Niech twoi żołnierze pójdą za mną, jeśli taka twoja wola, ale niech nie podchodzą za blisko… Chyba że potrafią mnie pocieszyć jakąś filozofią…

Rozdział 50

Na zewnątrz Inguill ruszyła przed siebie energicznym, choć nieco sztywnym krokiem. Opuszczając *ayllu*, zmierzała w stronę zarośniętego obrzeża polany. Za urzędniczką szło dwóch żołnierzy, oddalonych od niej najwyżej na długość ramienia. Za nimi dyskretnie w odległości kilku kroków podążał Kwintus, mając po bokach Chu i Mardinę. Chu, który prawdopodobnie nie był wybitnie wysportowany, wkrótce dostał zadyszki, zmuszony nadążać za Inguill.

Kwintus przyjaźnie poklepał go po ramieniu.

– Nie martw się, chłopcze, zaraz zejdzie z niej powietrze. Patrz, jak sztywno maszeruje. Za długo ślęczy nad swoimi *quipu*. Jak ja kiedyś nad wojskową dokumentacją, nim przedzierzgnąłem się tutaj w rolnika. Nerwy dodają jej skrzydeł, ale za chwilę minie ta chwila pobudzenia.

I rzeczywiście, *quipucamayoc* zaczęła zwalniać kroku, gdy do granicy lasu mieli jeszcze dość daleko. Stanęła, zasapana, i podniosła wzrok na drzewa. Dwaj strzegący jej żołnierze w czujnej postawie rozglądali się dokoła.

– Tylko spójrzcie. – Inguill wskazała ręką. – Być drzewem! Wysokim, cierpliwym, długowiecznym. Nie wiedząc, że promienie ogrzewające liście wpadają przez okna Intiego i że gruba warstwa gleby oplatającej korzenie jest przetworzonym gruzem z rozbitego Księżyca. I nie przejmując się tym, do którego sznurka w wielodziejowym *quipu* się należy. Drzewo to drzewo. Co ty na to, Kwintusie? Nie byłbyś szczęśliwszy, będąc częścią takiego lasu?

Centurion wyszczerzył zęby.

– Tylko wtedy, gdybym był najwyższy. Swoją drogą, niektórzy z moich legionistów świetnie nadają się na drzewa, tak są pozbawieni uczuć.

Zaśmiała się.

– Legioniści, co? Więc już nie ukrywasz, kim jesteście?

Wzruszył ramionami bez słowa.

Ruszyła dalej spokojniejszym krokiem.

– Podsumujmy – zaproponowała. – Wiele historii! A ja miałam kłopot z ogarnięciem jednej. – Zaczęła liczyć, dotykając knykci jak węzełków *quipu*. – Pierwsza to mój świat, wspaniałe królestwo rządzone przez Sapę Inkę. Druga to ta, w której zadufani w sobie Romaoi, Zynowie i inni wciąż toczą spory ze sobą. Trzecia… – Spojrzała wymownie na Chu.

– Trzecią – podjął ColU – zaczęliśmy nazywać cywilizacją chińsko-oenzetowską. To świat

wysokich technologii, których jestem przykładem, lecz niemający większych osiągnięć w eksploracji kosmosu.

– Czwartą w takim razie będzie świat „Aresa”. Podobny do waszego, tyle że miał odważnych badaczy, którzy śpieszyli się na Illapę. No dobrze…

– I nie zapominajcie o zatopionej cywilizacji – wtrąciła ochoczo Mardina. – Mój ojciec odkrył jej ślady. To już pięć.

– Nie bardzo nam pomagasz, Mardino – burknął Kwintus.

– I rozjazd Jonbara, o którym mówiła Stef Kalinski. Gdy odkryła, że ma siostrę, o której istnieniu dotąd nie wiedziała. To już sześć!

– Dziękuję, Mardino.

– Historie z pewnością nie współistnieją – rzekł ColU – lecz w pewnym małym stopniu nachodzą na siebie. Okruchy jednej mogą znaleźć się w drugiej.

– Jak moje insygnium z „Aresa” – powiedziała Inguill.

– Tak – zgodził się Kwintus. – I jak moja centuria i mój statek, który przetrwał rozjazd Jonbara.

– A także jak ja i moi towarzysze, którzy przeżyli dwa rozjazdy – dodał ColU. – *Quipucamayoc*, przyzwyczailiśmy się nazywać przejścia między światami „rozjazdami Jonbara”. Geneza tego wyrażenia jest skomplikowana i nieistotna.

Inguill spróbowała powtórzyć:

– Sz… on… bara… Cóż, nazwa jak każda inna. Ale nawet jeśli umiemy coś nazwać, nie oznacza to wcale, że to rozumiemy.

– To prawda – powiedział ColU. – Gdy podmienia się historię, trudno wszystko uprzątnąć. Jakieś brudy zostaną.

– Wiadomo, jak się odbywa taka transformacja? W jaki sposób usunąć rzeczywistość, jakby się wyburzało zdezelowany budynek, żeby na jego miejscu postawić nowy?

– Na podstawie naszych doświadczeń można powiedzieć, że zakończeniu historii zawsze towarzyszy kataklizm. Wojna. Uwolnienie ogromnej ilości energii z ziaren, które nazywacie *warak’a*.

– Zatem lepiej do tego nie dopuścić.

– Właśnie – rzekł ponuro Kwintus. – Może warto zadać sobie pytanie, kto jest sprawcą tych wszystkich transformacji.

– Otóż to. A więc kto, ColU?

– Tego jeszcze nie wiemy, chociaż mamy pewne podejrzenia. Inguill, powiedziałaś, że twój lud odnalazł na Marsie, na Illapie, nowe złoże *warak’a* i nowy Właz, bo tak nazywamy portale.

– Właz, niech będzie. Oczywiście potrafimy je budować.

– Tak samo jak my kiedyś – stwierdził Kwintus. – My, Rzymianie. Zbierasz ziarna do kupy…

Inguill machnęła ręką, wskazując sztuczne niebo.

– Nasze statki wędrują do gwiazd. Dokądkolwiek lecimy, zabieramy ze sobą *warak'a*… czy raczej to one nas zabierają. I gdziekolwiek jesteśmy, budujemy Włazy.

– Tak samo jak my kiedyś – powtórzył Kwintus.

– Tylko po co? – zapytał ColU. – Dlaczego to robicie? Ktoś wam kazał?

Inguill spojrzała na Kwintusa i oboje wzruszyli ramionami.

– *Warak'a* jest darem Intiego, boga nieba – powiedziała. – Wszystko na to wskazuje. To wyraz wyjątkowej łaski bogów, którzy przeważnie rozdzielają kary. A gdzie one są, tam zawsze można napotkać Właz. Dokądkolwiek podróżujemy, budujemy kolejne w hołdzie bogom. To chyba dobre rozwiązanie. Jak dotąd nie zostaliśmy za to ukarani, stąd wniosek, że postępujemy słusznie.

– U nas było podobnie – rzekł Kwintus. – Choć mam wrażenie, że wy jesteście w tych sprawach bardziej operatywni.

– Tak, coś w tym jest – powiedział ColU. – Bez względu na charakter zmian i kulturowe realia każda następna cywilizacja lepiej sobie radzi z budową Włazów. Mieszkańcy mojego ojczystego świata, na ile się orientuję, nie zbudowali żadnego. Wam, Rzymianom, szło to o wiele sprawniej. Natomiast Inkowie…

– Rozrzucamy je gęsto na wszystkich planetach – potwierdziła Inguill. – Nasza cywilizacja chlubi się tym. I nagle się okazuje, że zostaliśmy zmanipulowani, by osiągnąć ten cel? Że mamy zakłamaną historię?

– I jak się z tym czujesz? – Mardina przypatrywała się jej uważnie.

– Zła jestem, dziecko, zła. Nie wiem, kto za tym stoi, ale trudno uwierzyć, żeby to był bóg. Bo który z nich potrzebuje drzwi w ziemi?

Mardina tymczasem czuła się osobliwie podekscytowana. Zalana potokiem sensacyjnych wieści i intrygujących wizji czuła się, jakby beztrosko leciała w przepaść lub skoczywszy z osi Yupanquisuyu, ze śmiechem na ustach spadała z chmur…

– Inguill, wasze odkrycie Włazu na Marsie, Illapie, wszystko zmieniło – oświadczył ColU. – Bo gdy my zjawiliśmy się w tym strumieniu czasu po ostatnim rozjeździe Jonbara, zdarzyło się to dokładnie wtedy, kiedy na Marsie pojawił się Właz. Mówię o rzymskiej wersji Marsa. Ten Właz na Illapie na pewno prowadzi do rozwiązania zagadki. W takim razie musimy ruszyć za Earthshine'em…

Inguill zmarszczyła czoło.

– Za kim?

– Wszystko wyjaśnię, ale na razie musimy dostać się na Illapę.

– Jak? – zapytała wprost Inguill. – Nie pozwolą na to imperialne władze. Nawet ja nie mogłabym wydać odpowiednich zezwoleń.

– Mam plan – oznajmił z zadowoleniem Kwintus Fabiusz.

Kiedy centurion zwierzył się ze swoich pomysłów, Inguill długo nie mogła pohamować śmiechu.

– Oszalałeś?

– Całkiem możliwe.

Przyglądała mu się z wesołą miną.

– Taki był wasz pierwotny plan, co? Chcieliście przyczaić się w Yupanquisuyu, ukraść trochę jedzenia, przedrzeć się do wyjścia, odlecieć w kosmos i założyć gdzieś nowy Rzym? Ha! Nic dziwnego, że Romaoi skapitulowali, gdy wojska inkaskie wylądowały na waszych brzegach. Słuchajcie, nie zbliżycie się nawet do oceanu. Zatrzymają was patrole *awka kamayuq*.

– No dobrze – odpowiedział ze złością Kwintus. – Zatem masz lepszy pomysł?

– Jestem gotowa uznać, że musicie dostać się na Illapę, skoro tak twierdzi Koliusz. My, ludzie, powinniśmy poznać siłę sprawczą mającą tak wielki wpływ na nasze losy. Ale nie wydostaniecie się stąd tak po prostu. – Westchnęła. – Doradcy Sapy Inki w niczym wam nie pomogą. To pięknolicy pozerzy i intryganci, tępi i nic niewarci. Natomiast urzędnicy, którzy zarządzają imperium, nie mają ani krzty wyobraźni, potrafią tylko szarpać *quipu*. Zatem cały trud spada na mnie… i na was. Bo niczego nie wskóracie, jeśli wam nie pomogę.

Kwintus zmarszczył czoło.

– Chcesz nam pomóc? – zapytał. – Możemy ci ufać?

– Nie mamy wyboru, centurionie – odezwał się ColU. – Teraz to zrozumiałem.

– Sama ledwo sobie ufam! – odparła Inguill, dość emocjonalnie w odczuciu Mardiny. – W najlepszym razie popełnię przestępstwo, jeśli przemycę was na zewnątrz, poza blask władzy Sapy Inki. W najgorszym zaś… moje działania doprowadzą do katastrofalnych zmian, podobnych do tych, które tak obrazowo opisaliście. Jeżeli jednak ubiję tego jaguara, przysłużę się imperium tak, że bardziej już chyba nie można. I może historia mi wybaczy…

– Jeśli sama przetrwa – zauważył ColU.

– Istotnie. – Przystanęła i zwróciła się do Kwintusa: – Osobiście interesuje mnie to, co nas łączy, a nie dzieli. Jedni i drudzy żeglujemy ku gwiazdom i budujemy Włazy, jak je nazywa ColU. Jedni i drudzy nadajemy planetom imiona antycznych bogów. Łączą nas również niektóre

legendy, o czym donieśli mi szpiedzy. – Podniosła spojrzenie na okno Intiego. – Gwiazdę najbliższą Słońcu nazwaliśmy po prostu Kayllą, czyli Bliską.

– My nazywamy ją Proximą – rzekł ColU. – Czyli Najbliższą w języku Kwintusa.

– A nasi kosmiczni żeglarze opowiadają sobie legendę o najdalszej gwieździe, gdzie bogowie knują przeciwko nam lub układają plany katastrof na koniec czasów, pachacuti. Tę nieodkrytą gwiazdę nazywamy Karu, Odległą.

– My zaś mamy Ultimę – dumał Kwintus. – Tak, wiele nas łączy.

– Czyżbyśmy na Ultimie mogli znaleźć budowniczych Włazów? Muszę wracać do Cuzco. Trzeba się dobrze przygotować, jeśli mamy coś zdziałać, ale im więcej damy im czasu, tym większe prawdopodobieństwo, że odkryją spisek. Jednak potrzebujemy czegoś więcej. Musimy odciągnąć uwagę Sapy Inki i jego doradców w Hanan Cuzco od waszej próby ucieczki. – Skierowała wzrok na Mardinę. – Biorąc pod uwagę to, co Ruminavi poniewczasie wyznał mi na temat ściągania należności *mit'a* w waszym *ayllu*, czy raczej niepowodzenia z tym związanego, oraz to, że ryzykuję wszystko, karierę, a nawet życie… jestem zmuszona prosić, abyście i wy byli gotowi na ofiarę.

Mardina ściągnęła brwi.

– Ja? – zapytała.

– Nie ty, dziecko. Twoja przyjaciółka, Klodia Waleria. Musicie być gotowi złożyć ją w ofierze. Ty zaś, Mardino, możesz być niezbędna, żeby tak się stało…

Rozdział 51

Zanim wymaszerowali w stronę oceanu, Kwintus Fabiusz zlustrował swoje wojsko. Gdy rozległo się granie trąbki, legioniści z centurii ustawili się w zgrabnym szyku, mając płaszcze zwinięte na plecach, u stóp ekwipunek podróżny, u pasa natomiast własnoręcznie zrobioną lub skradzioną broń. Po raz pierwszy odkąd zjawili się w habitacie, przypominali regularną jednostkę rzymskiej armii.

Centurion przechadzał się wzdłuż szeregów: zwracał się do niektórych żołnierzy w cichych słowach, sprawdzał połatane i zesztukowane umundurowanie, a także broń. W zamian za rozmaite przysługi, głównie ciężką pracę krzepkich legionistów, miejscowy kowal wyprodukował całą gamę porządnego stalowego oręża – *gladio*, *pugio* i *pilio* – tak by starczyło dla wszystkich. Wielu posiadało również hełmy: proste stalowe dzwony z blaszanymi daszkami i policzkami. Mało kto miał na sobie pancerz, choć zdarzały się subarmalis, grube pikowane bezrękawniki służące do ochrony ciała pod twardym napierśnikiem. Tubylcy z *ayllu* zrobili to wszystko za plecami inkaskich urzędników, co było dla nich trochę zabawą, a trochę sposobem na odegranie się na uciążliwych poborcach. Legioniści starali się nie rzucać w oczy. Miejsce do potajemnego ostrzenia mieczy urządzili w dużej skalnej cysternie.

Kwintus podszedł do Orgiliusza, który niegdyś był signiferem noszącym sztandar z emblematem centurii, lecz został przez centuriona awansowany na aquilifera, chorążego noszącego orła legionu, jako że w tej rzeczywistości nie istniała pozostała część Legio XC Victrix. Kwintus wynajął wyjątkowo zdolnego miejscowego odlewnika, zdolnego sporządzić dość wierną kopię dawnego godła, którą legion otrzymał na rozkaz wdzięcznego cesarza Weroniusza Optatusa. Była to zasłużona nagroda dla Orgiliusza, jednego z najinteligentniejszych legionistów, który prędko nauczył się języka keczua i przyjaźnił się z tubylcami, a nawet kilkoma urzędnikami i żołnierzami odwiedzającymi *ayllu*. Stał się źródłem informacji, na którym Kwintus polegał w coraz większej mierze. Tak, Orgiliusz był godzien tej zaszczytnej funkcji – aczkolwiek centurion niczym więcej nie mógł go obdarzyć.

Serce Mardiny wzbierało dumą, kiedy czekała, aż centurion zbliży się do niej. Już dawno rozmawiała z nim o swoich pogrzebanych planach kariery wojskowej, gdy jeszcze po drugiej stronie rozjazdu Jonbara marzyła o wstąpieniu do brykanckiej floty. Na szczęście wcielanie do rzymskiej armii „barbarzyńców” – jak to ujął Kwintus – miało za sobą długą tradycję. Tak więc w ciągu tygodni po wizycie Inguill, gdy centuria zaczęła szykować się do walki, Kwintus

powołał ją do służby polowej. Trybuni pozwolili jej przyłączyć się do codziennych szkoleń: ćwiczeń fizycznych, robót budowlanych, ćwiczebnych walk na drewniane oszczepy i noże. Lubiła ustawiać się w bojowym szyku w ciżbie mężczyzn, gdy tworzyli krąg, czworobok, klin lub żółwia. W praktyce okazało się, że bardziej przydatna będzie jako kontroler jakości wykonania prac, które na rozkaz Kwintusa odbywały się po cichu, wokół wioski. Tubylcom nie wydawała się tak groźna jak silnie zbudowany legionista.

Została nawet wciągnięta na listę płac cesarskiej armii, przy czym należne jej wynagrodzenie, dziewięćset sestercji rocznie, co skrupulatnie zapisano, miała otrzymać, według solennych zapewnień, gdy legion wróci na Terrę, do swojego *collegium* – pomniejszone o podatek, opłaty karne i koszty uzupełnienia rynsztunku.

Wreszcie Kwintus odsunął się od szeregu, popatrzył kolejno na swoich ludzi i podniósł wzrok na orła nad ich głowami. Tego pogodnego poranka, gdy w promieniach padających z okien Intiego centuria stanęła w połyskliwej formacji, Mardina pomyślała, że nikt już nie będzie miał wątpliwości, do czego to wszystko zmierza. Centuria była jednostką wojskową gotową do wymarszu.

– Gdybym był człowiekiem skłonnym do sentymentów – rzekł donośną łaciną Kwintus – i gdybym nie wiedział, że w gruncie rzeczy jesteście bandą leniwych rozpustników, miglanców i winożłopów, powiedziałbym, że prezentujecie się znakomicie nawet w świetle białym jak mleko mamusi, które w tej rurze udaje dzień. Jesteście Rzymianami! Jesteście z tego dumni! Jak ja jestem dumny z was!

Odpowiedzią na te słowa była owacja, której przewodził Tytus Waleriusz, uniósłszy kikut ręki. Do wrzawy dołączyła Mardina, która zauważyła jednak, że Tytus kątem oka spogląda w niebo. Tę paradną odprawę zorganizowali w ściśle określonej porze, w przerwie między przelotami poruszających się w próżni kondorów, inkaskich szpiegów; gdyby nieoczekiwanie nadleciał jeden z nich, musieliby szybko opuścić plac.

– Przed nami ciężka próba, jakiej nie został dotąd poddany żaden Rzymianin – mówił dalej Kwintus. Wskazał kierunek zachodni. – Będziemy miesiąc przedzierać się przez dżunglę, może nawet dłużej, jeśli wypatrzy nas Sapa Inka i spróbuje nam przeszkodzić. – Zaśmiał się. – Potem przed nami nieznany ocean, który opasuje pierścieniem cały ten świat. Trudno, jakoś się przeprawimy. Na koniec podróż na biegun, do Hanan Cuzco, gdzie staniemy oko w oko z samym Sapą Inką i jego lipną hordą. Dokonamy wyczynów, o których długo będą gadać w tej obracającej się baryle!

Był to ledwie szkic planu, lecz nie było innego wyjścia, skoro mieli przed sobą tak wiele niewiadomych, zwłaszcza w dalszej perspektywie. Jedno nie ulegało wątpliwości: musieli dostać

się na Marsa – Illapę, a następnie improwizować, oby z pomocą Inguill. Mimo wszystko centuriona ponownie nagrodzono owacją.

– A teraz, zanim ruszymy – ciągnął Kwintus – choć nie jest to Nowy Rok, chciałbym, żebyśmy przypomnieli sobie, kim jesteśmy. Obojętnie jaka odległość dzieli nas od domu, służymy Cesarstwu i cesarzowi. Odmówimy więc razem sacramentum. Tytusie Waleriuszu, zaczynaj.

Rosły legionista, który przygotowywał się wcześniej na tę chwilę, wystąpił naprzód i tubalnym głosem wyrzekł żołnierską przysięgę:

– Klniemy się na Boga i Jesu, jak również na majestat drugiego po Bogu cesarza, którego ludzkość winna czcić i miłować…

Legioniści powtarzali słowa pradawnej przysięgi, jak zwykli to czynić w pierwszy dzień roku.

– …sumiennie wypełniać cesarskie rozporządzenia, nie porzucać samowolnie służby, w razie potrzeby oddać życie za Rzym…

Głosy legionistów zlały się w jeden dudniący grzmot. Na koniec z dzikim wrzaskiem potrząsnęli w górze mieczami.

Klodia Waleria wybiegła z tłumu gapiów i uścisnęła ojca. Rozległy się ironiczne gwizdy, lecz Tytus odwzajemnił uścisk sprawną ręką. Jednocześnie skierował na Kwintusa ponure spojrzenie, którego sens Mardina zrozumiała, albowiem Klodii przypadło w udziale ważne zadanie – podobnie zresztą jak jej samej.

Po uroczystości szyk paradny przeobraził się w kolumnę marszową.

Legioniści objuczeni płaszczami i ekwipunkiem mieli podążać w parach za chorążym, przodem zaś ruszali zwiadowcy w celu rozeznania terenu. Z tyłu uformował się mniej składny orszak bagażowy. Maszerowały tam również żony, które legioniści znaleźli sobie w *ayllu*, w tym jedna matka z maleńkim rzymsko-inkaskim dzieckiem. Wśród nich był *medicus* Michael, idący w środku między Klodią Walerią a opiekującym się ColU Chu Yuenem. Towarzyszyła im również grupa *mitimaców*, którzy na ochotnika dołączyli do wyprawy: brukarzy, kucharzy, cieślów. Pochód zamykali *yanakuna*, niewolnicy wzięci jako tragarze.

Mardina zdziwiła się, że wybiera się z nimi tak wielu *mitimaców*, zwyczajnych członków wspólnoty *ayllu*. Wolno im było jednak, do pewnego stopnia, rozporządzać swoim czasem i pracą, a ponadto mało kto odbył daleką podróż – czy to w kierunku wschodniej czapy biegunowej, czy oceanu na zachodzie. Niektórzy, zwłaszcza młodsi, bardzo się cieszyli, że wezmą udział w tej przygodzie, choć niekoniecznie rozumieli cel wyprawy. Mardina podejrzewała, że zdaniem wielu ta z rozmachem zorganizowana ekspedycja, dowodzona przez Kwintusa Fabiusza, stanowiła wypełnienie pewnych zobowiązań wynikających z *mit'a*.

Gdy wszystko było gotowe, zwiadowcy wyprowadzili kolumnę z wioski przy akompaniamencie wiwatów, rubasznych gwizdów, a nawet rozlegających się tu i tam oklasków. Początkowo biegali przy nich malcy z *ayllu*, krzycząc i machając rękami. W powstałym zgiełku rozpoczęły harce mniej płochliwe świnki morskie, nierozumiejące, o co to całe zamieszanie. Jednakże rodzice przywołali dzieci, zanim czoło kolumny dotarło do skraju *hacha hacha*. Tutaj zagrały trąbki i zaraz zjawili się przewodnicy z leśnego ludu *anti*; ich malowane na niebiesko twarze wydawały się unosić w zielonkawym półmroku.

W tym momencie rozbrzmiały pierwsze narzekania – dokładnie tak, jak przewidział Tytus w rozmowie z Mardiną. Wiedziała, że wielu legionistów nie zapuszczało się w głąb dżungli – chyba że za drzewo, gdy chcieli się dyskretnie wysikać. Teraz z wielką niechęcią zagłębiali się w rozległe, zielone królestwo lasu, gdzie mijali smukłe pnie przykryte baldachimem gałęzi, które skutecznie ograniczały dostęp światła, i dostrzegali w gąszczu niewyraźne postaci tubylców. Reagowali nerwowo na każdy trzask gałązki, syknięcie węża czy klekot skorpionów.

Utyskiwania zelżały po godzinie, kiedy znaleźli się na ścieżce; wprawdzie nie była utwardzana, tylko wydeptana bosymi stopami, lecz prowadziła prosto na zachód i praktycznie nie było jej widać z lotu ptaka. Kolumna, dotychczas idąca w nieładzie przez gęstą dżunglę, tutaj została prędko uporządkowana i ruszyła w dalszą drogę.

Minęła kolejna godzina i oto mieli już za sobą wioskę *anti*: okrągłe chaty z trzcinowymi ścianami na szkielecie z gałęzi, prawie nadzy ludzie zajęci a to zdzieraniem skóry ze zwierząt lub jej garbowaniem, a to tłuczeniem ziarna, a to drobnymi pracami przy ognisku. *Anti* z ciekawością obserwowali legionistów, którzy z nie mniejszym zainteresowaniem gapili się na odsłonięte piersi kobiet oraz, ze zgrozą, na fantazyjnie poprzekłuwane członki niektórych mężczyzn. Mardina zauważyła, że powszechne są tutaj tatuaże; z każdego zacienionego miejsca spozierała na nią twarz jaguara z tutejszych legend. Przypomniała sobie wytatuowaną twarz matki.

Po przejściu przez wieś szli dalej wąską dróżką. Kilku z nich odłączyło się od reszty, żeby napełnić flasze nad strumieniem, w którym miejscowi czerpali wodę.

To właśnie zakładał plan: w miarę możliwości trzymać się ścieżek w leśnej głuszy, korzystać z tego, co zbudowali tubylcy. *Anti* stworzyli tu bowiem cywilizację. To i owo Mardina widziała już wcześniej na własne oczy, a ponadto, odkąd tu przybyli, Kwintus Fabiusz rozsyłał zwiadowców, żeby zdobyć jak najwięcej informacji o tym, co ich otacza. *Anti* nie mieszkali w miastach jak Rzymianie czy Inkowie, ale nie byli też dzikusami rozproszonymi chaotycznie w dżungli. Rzymscy zwiadowcy odkryli sieć osad i ścieżek wyciętych bądź wypalonych w puszczy, koliste polany połączone drogami prostymi jak strzała, a wszystko to było

niewidoczne z zewnątrz i dość skutecznie osłonięte liśćmi przed spojrzeniami z góry. Tymi drogami właśnie zamierzali podróżować Rzymianie, korzystając z przewodnictwa zaprzyjaźnionych tubylców.

Mardina uważała, że może im się udać. Wyglądało na to, że państwo Inków łączą jakieś niejasne relacje z *anti*, którzy teoretycznie byli *mitimacami*, płatnikami podatków jak każdy inny obywatel imperium. Oddawali poborcom część tego, co zebrali w lesie. Gibcy łucznicy, w miarę zdyscyplinowani, służyli w inkaskiej armii. Równocześnie jednak co pewien czas na rozkaz Sapy Inki jego wojska ruszały na wyprawy w głąb puszczy, by rekwirować dobra na poczet nieuiszczonych należności podatkowych, a nawet chwytać *anti* i robić z nich niewolników, *yanakuna*. Ale też zdarzały się napaści leśnych ludzi na niczego nieprzeczuwające *ayllu*. Była to zatem więź oparta na wzajemnej nieufności między dwiema na wskroś odmiennymi kulturami. Tak czy inaczej, wydawało się, że Inkowie wspaniałomyślnie pozwalają *anti* żyć własnym życiem pod liściastą kopułą lasu, gdzie nawet kondory nie mogły ich wypatrzyć. Teraz *anti* pomagali Rzymianom.

Jednym słowem, Rzymscy legioniści maszerowali w długim na trzy tysiące mil kosmicznym habitacie, a wraz z nimi Mardina. Przeszywał ją dreszcz emocji, ilekroć o tym myślała.

Szli około siedmiu godzin, kiedy mierniczy oznajmili, że mają za sobą dwadzieścia mil drogi, czyli standardową odległość do przejścia jednego dnia.

Zatrzymali się na polanie niegdyś prawdopodobnie zamieszkiwanej przez *anti*, o czym świadczyły pogruchotane i osmalone resztki dawnych palenisk, dziś skłute jasną zielenią młodych drzewek. Tutaj legioniści nie pilnowali już szyku marszowego: rzuciwszy na ziemię pakunki, zdjęli buty i założyli sandały, żeby dać wytchnienie stopom. Wydawali się wyczerpani. Z pewnością daleko im było do formy, jakiej oczekiwał od nich Kwintus Fabiusz. Wymagali zahartowania.

Tego dnia czekał ich jeszcze jeden trud. Za pomocą szpadli, które dźwigali na plecach – tych narzędzi nie odebrano im, gdy weszli do habitatu – legioniści zabrali się do przygotowywania obozowiska na noc. Jedni krzątali się przy liniach wytyczonych przez mierniczych, gdzie kopali rów i budowali wały, drudzy z gałęzi powalonych drzew robili w pośpiechu kłujące kolczatki, które następnie rozrzucali wokół granic obozu. Wkrótce stanęły namioty z płatów ciężkiej skóry, wyciągniętych z bagaży *yanakuna*; między ich równymi szeregami powstała swego rodzaju wąska ulica. Poza obręb obozowiska wyprowadzono rowy z latryn. Jednocześnie rozpalano ogniska, wieszano nad ogniem kociołki i niebawem rozeszły się w powietrzu zapachy potraw. Dominował rosół na mięsie ze świnek morskich, warzywa i sos rybny.

Poza obozem żony i inne osoby towarzyszące rozpoczęły własne przygotowania do biwaku.

Światło wpadające przez okna Intiego przygasło i osobliwa noc ogarnęła habitat.

Kwintus Fabiusz odszukał Mardinę, która krzątała się przy kolacji z Tytusem Waleriuszem i jego córką. Centurion dał znak, żeby odeszła z nim na bok.

Razem przechadzali się wokół obozu marszowego.

– Eh, co za ulga! – mówił Kwintus. – Móc znowu używać starej, dobrej obozowej łaciny bez łamania języka przy słowach w *runasimi* lub wsłuchiwania się w wyrazy, które Koliusz szepcze ci do ucha… A więc jak podsumujesz pierwszy dzień marszu, mój nowy legionisto?

Mile ją połaskotało to zaszczytne miano, wypowiedziane lekkim tonem.

– Jestem pod wrażeniem – odpowiedziała szczerze. – Żołnierze trochę narzekają, ale są zdyscyplinowani.

– Każdy żołnierz narzeka.

– A jak sprawnie zbudowali obóz…

– Wieki tradycji i lata ćwiczeń. Ale oni lubią te swoje obozy. Co wieczór zawsze to samo, jakbyś nie ruszała się z miejsca… Jakbyś każdego dnia wracała do domu, do swojego maleńkiego miasteczka. Żołnierze cenią sobie to, co dobrze znają. Miejsce, gdzie będą mogli spać bezpiecznie. – Popatrzył na sztuczne niebo. – Pokonaliśmy dziś kawał drogi.

– Wiem, rozmawiałam z mierniczymi. Są zalety tego, że niebo jest prawie lustrzanym odbiciem ziemi. Twierdzą, że jeśli będzie nam szło tak dobrze, za piętnaście, dwadzieścia dni staniemy nad brzegiem oceanu.

– Czyli mniej więcej zgodnie z planem.

Mijali fragment wału, który odbiegał od reszty jakością wykonania. Centurion wygarnął sandałem nieco luźnej ziemi. Mardina zauważyła, że zapisuje sobie coś w pamięci, żeby później wyciągnąć konsekwencje. Ruszyli dalej.

– Prawdę mówiąc, cieszę się, że wreszcie maszerujemy. Legionista musi wieść życie żołnierskie, nie uprawia roli i nie płaci podatków. No, chyba że przejdzie w stan spoczynku. Mieliśmy tu trochę problemów z dyscypliną, może nawet więcej, niż ci się zdaje. Znudzeni mężczyźni skaczą sobie do oczu przy grach hazardowych, kłócą się o kobietę lub chłopca. Po stronie pozytywów: zbrzydło mi już przyznawanie faler i innych drewnianych odznaczeń za podstawowe czynności obozowe. Cóż, Mardino Eden Jones Guthfrithson, cieszę się, że tak mało widziałaś i że mamy okazję zaprezentować się z lepszej strony, pokazać to, co umiemy robić najlepiej, oczywiście z wyjątkiem prowadzenia bitwy.

Zebrała się na odwagę i zapytała otwarcie:

– Rozmawiasz ze mną w ten sposób, ponieważ…?

Zatrzymał się i położył dłoń na jej ramieniu.

– Chyba znasz powód. Masz własną misję do spełnienia, ty i Klodia. Jutro kilku *anti* wyprowadzi was z lasu. Spotkacie się z *tocrico apu* Ruminavim i innymi wysłannikami Inguill. Oni zabiorą was na stację *capac nan*, gdzie zostaniecie przekazane w ręce poborców Sapy Inki…

– Jutro? Nie wiedziałam, że to się stanie tak szybko.

– Pomyślałem sobie, że lepiej będzie nic ci nie mówić. Abyś jak najdłużej mogła cieszyć się obecnością z nami. – Uścisnął mocniej jej ramię. – Znasz plan. Tobie prawdopodobnie przypadło najtrudniejsze zadanie, trudniejsze chyba niż biednej Klodii, która, jak podejrzewam, niewiele z tego rozumie.

– Zrobię co w mojej mocy.

– Zrobisz więcej, legionisto – rzekł twardo, zabierając rękę. – Wypełnisz rozkazy i zrobisz wszystko, czego się od ciebie wymaga. Zgodnie z przysięgą, którą złożyłaś dziś rano.

Wyprostowała się.

– Oczywiście.

– W porządku. Teraz wracaj pomóc Tytusowi z potrawką. Jeszcze do niego później zajrzę. Powiem mu, żeby rano nie zapomniał pożegnać się z córką.

Rozdział 52

Hanan Cuzco było wielkim miastem.

Oczywiście Mardina już tu raz była, tuż po przybyciu do Yupanquisuyu. Wtedy jednak oszołomił ją sam ogrom habitatu i wygląd stolicy nie zapisał się w jej pamięci.

A było to miasto niepodobne do innych. Mardina, która przecież widziała brykancką Dumnonę i Eboraki, a także wiele metropolii w Cesarstwie Rzymskim, musiała się zgodzić z tą opinią, gdy po długiej męczącej podróży koleją w ponurym nastroju ujęła dłoń Klodii Walerii i w ślad za Ruminavim minęła ostatni kordon bezpieczeństwa.

Hanan Cuzco ulokowano w gigantycznej misie zachodniej czapy biegunowej, mierzącej przeszło czterysta mil średnicy. Komuś będącemu na jej krawędzi nasuwałyby się skojarzenia z kraterami na Lunie, nieprzypominającymi żadnych ziemskich obiektów. Gdy Mardina przejeżdżała bezpośrednio nad czapą, tym razem w powozie z wygodnymi fotelami, obserwowała ściśnięte na dnie misy ogromne gmachy ze szkła i kamienia: bloki, piramidy i kopuły poukładane na podobieństwo dziecięcych klocków. W świetle padającym przez okna Intiego lśniły dachy nierzadko powleczone złotem. Wszystko to było skupione wokół jednej kolosalnej budowli: niebotycznej wieży, którą doskonale pamiętała, niewyobrażalnie wąskiej piramidy wzniesionej na wysokość mili.

Służący im za przewodnika Ruminavi wskazywał kolejne ciekawostki:

– Tu macie Qoricanchę, świątynię słońca. Tam jest Huacaypata, największy plac miasta, gdzie krzyżują się główne drogi. Ta wielka budowla na samym końcu to Saqsaywaman, forteca strzegąca stolicy. Wzorowaliśmy się na Starym Cuzco, Pępku Świata, tylko z większym rozmachem…

Okazałe budynki, przetransportowane z Terry kamień po kamieniu, miały stalowe konstrukcje licowane starannie pociętym piaskowcem, potężnymi blokami pasującymi do siebie jak ulał, niespojonymi zaprawą. W mniejszych domach o ścianach z kamienia i dachach krytych strzechą zamiast drzwi były tylko drewniane ościeżnice, w których wisiały kilimy barwione na jaskrawe kolory. Tutaj, w strefie osiowej, obroty habitatu nie przyczyniały się do powstania sztucznej grawitacji. Mardina widziała mnóstwo klamer wokół ścian i dachów, utrzymujących w całości budynki, których nie stabilizowały nic nieważące kamienie. W pozbawionym ciężaru mieście szerokimi ulicami biegły sznury ułatwiające przemieszczanie się ludziom, często połyskujące srebrem, rozciągnięte również w poprzek i między górnymi piętrami; całą stolicę, można by

rzec, oplotły mieniące się pajęczyny. W tej sieci poruszali się ludzie, dziwni, patykowaci, jakby pokrewni pająkom.

Oczywiście znajdowali się w odległości setek mil od warstwy atmosfery przylegającej do zewnętrznej powłoki habitatu. Miasto zostało więc nakryte ledwie widocznym kloszem, delikatnie mieniącą się bańką. Poza obrębem klosza także znajdowały się budynki: proste w formie, kanciaste, hermetycznie zamknięte obiekty, takie jak instalacje uzdatniania wody i powietrza, zakłady przemysłowe, a także wojskowe stanowiska obronne. W kwestii bezpieczeństwa Sapa Inka nie zaniedbywał środków ostrożności. Mardina nie zwracała na to uwagi w czasie swoich pierwszych szalonych chwil w habitacie. Nie zauważyła nawet klosza.

Kiedy wysiadła z przeszklonego pojazdu i rozejrzała się, dostrzegła nad sobą wnętrze habitatu rozciągające się niczym bezdenna studnia o ścianach pokrytych lądami, wodami i powietrzem – studnia głęboka na tysiące mil.

Klodia pociągnęła ją za rękaw.

– Nie patrz w górę – przestrzegła. – Zakręci ci się w głowie.

Rzeczywiście, lekko się zatoczyła.

– Przepraszam.

– Nie przejmuj się. – Podpłynęła do nich uśmiechnięta kobieta. – Trochę to potrwa, nim przywykniesz, jeśli dotąd przebywałaś w suyu…

Miała około czterdziestu lat, związane z tyłu czarne włosy i szczerą, pogodną twarz, choć kolor ust i policzków zanadto podkreślała pudrem i mazidłem. Nosiła suknię z jasnej wzorzystej tkaniny, na czole zaś wysadzaną szmaragdami opaskę dla zrównoważenia ciemnych oczu. Piękne oblicze, równie piękny ubiór. Była jednak wyższa od każdego legionisty, a przy tym niezmiernie chuda, jakby rozciągnięta: długa szyja, odsłonięte ramiona jak patyki, stawy zaś – nadgarstki, łokcie i barki – niczym kościste bulwy. Zatem była mieszkanką strefy osiowej.

Klodia mocniej ścisnęła dłoń Mardiny.

Ruminavi parsknął śmiechem.

– Nie bój się. Niskoziemcy często są speszeni, gdy po raz pierwszy spotykają arystokratę. Ale pamiętasz, co widziałaś, kiedy zjawiłaś się w Yupanquisuyu? Wojowników osiowych, od dziecka przysposabianych do stanu nieważkości. To moja żona, ma na imię Cura. Łatwo zapamiętać, prawda? Płynie w niej szlachetna krew, ponieważ pochodzi z jednego z pierwszych *ayllu*, z dwunastu żyjących tu klanów, które mogą udowodnić, że wywodzą się w linii prostej od najdawniejszych Inków. Widzisz więc, że jest dla ciebie cennym sprzymierzeńcem. Jej przyrodni brat Villac to *colcacamayoc*, opiekun spichlerzy. Ważna figura w rządzie, tak samo jak Inguill, tyle że pełni inne obowiązki. Zadaniem Villaca jest gromadzenie danin i rozdzielanie

zasobów wedle potrzeb. Inguill wszystko liczy w tym kraju. To właśnie Villac pomoże twoim towarzyszom dostać się na statek. Czyż to nie cudowne?

– Ale najpierw musimy was zabrać do kompleksu pałacowego. – Cura ujęła w dwa palce policzek Klodii. Jej dłoń wydała się Mardinie oszpecona artretycznymi zgrubieniami, tak bardzo spuchnięte były stawy. Widać było, że Klodia stara się nie okazywać wstrętu. – Niebawem uroczystość Wielkiego Dojrzewania. Inne błogosławione przygotowują się już od wielu dni. Jesteś spóźniona. – Zajrzała w niebieskie oczy dziewczyny, pogładziła jej skórę. – Chodziły słuchy o twojej urodzie, dziecko, odkąd przybyłaś do tego habitatu. Potwierdza to każdy poborca *mit'a* po odwiedzinach w *ayllu*, gdzie mieszkałaś. I wcale im się nie dziwię. Jesteś idealna. Dobrze, chodź ze mną. Wiem, że nawykłaś do podróży kosmicznych, więc brak ciężaru nie będzie ci przeszkadzał. – Odwróciła się i odpłynęła, poruszając się zwinnie w gęstwinie lin. Zmierzała w głąb miasta.

Mardina i Klodia z łatwością nadążały za Curą, przemierzając szeroką aleję, nad którą wznosiły się ogromne budynki. Obejrzawszy się, Mardina zobaczyła, że podąża za nimi także Ruminavi w asyście czterech kościstych wojowników osiowych, którzy zamykali pochód. Choć były to jeszcze peryferia miasta, wszyscy wokół dokądś się śpieszyli, poruszając się energicznie w tej pajęczynie, kolorowo ubrani, czasem z naręczem *quipu*. Bądź co bądź, była to jednak stolica, administracyjne centrum imperium wielkości kontynentu, a nawet Układu Słonecznego z całym mrowiem kopalń i kolonii. Niejeden budynek musiał być biurowcem równie gwarnym jak główna siedziba Floty w Dumnonie.

Klodia rozglądała się z szeroko otwartymi oczami. W swoim życiu nie miała okazji zakosztować wielkomiejskiego życia.

Mardina uścisnęła jej dłoń.

– Dobrze sobie radzisz – powiedziała.

– No tak. Zwłaszcza że wiem, do czego jestem „idealna", jak to mówi Cura.

– Nie dojdzie do tego. Pamiętasz plan… Ale i tak jesteś dzielna.

Klodia prychnęła.

– Oczywiście, że jestem dzielna! Jak przystało na córkę Tytusa Waleriusza.

Mijały akurat wyjątkowo elegancki budynek, piramidę ze ściętym wierzchołkiem, na którym siedziała jakaś postać na tronie – Mardina przypuszczała, że posąg – wytwornie przyodziana i obwieszona klejnotami. Unosili się nad nią, niczym pełniący straż aniołowie, dwaj wojownicy osiowi.

Kobiety zwolniły, zdumione tym widokiem.

– Przyjrzyjcie się kamieniom! – powiedziała Cura. – Ręcznie ciosane, a mimo to każde dwa

pasują do siebie jak złączone dłonie.

– Czy to pałac? – wyrwało się Klodii.

– W pewnym sensie tak – odpowiedziała z uśmiechem Cura. – To dom Huayny Capaca, jednego z największych Inków.

Mardina zmarszczyła czoło.

– Sapa Inka… Myślałam, że ma na imię Quisquis.

– Tak, ostatni Inka, daleki potomek Huayny Capaca. Dzieli ich siedem lub osiem wieków… Słabo u mnie z chronologią…

– Nie rozumiem – przyznała się Mardina.

– A ja chyba tak – powiedziała Klodia. – Ktoś mi o tym mówił. Kiedy umiera Sapa Inka…

– Sapa Inka nie umiera – poprawiła ją z naciskiem Cura. – Wciąż żyje w swoim pałacu, wokół siebie ma służbę, a w święta spotyka się ze swoimi przodkami i potomkami.

Klodia wpatrywała się w postać na tronie.

– Ile takich pałaców tu macie? – zapytała.

– Trzydzieści osiem – odparł Ruminavi.

– A więc trzydziestu dziewięciu Inków. Trzydziestu dziewięciu cesarzy od czasów Yupanqui.

Mardina wpatrywała się w pomalowaną twarz mumii. Oto miała przed sobą niezłomnego wojownika, który budował imperium narzędziami z brązu i kamienia, a po wiekach został zabrany do krainy, której nawet sobie nie wyobrażał.

– Moja przyszłość – orzekła Klodia. – Taka się stanę.

– *Malqui*, wypchana i zakonserwowana? – Ruminavi się uśmiechnął. – Na pewno nie, jeśli plan wypali.

Klodia ponownie ujęła dłoń Mardiny.

Rozdział 53

Rzymska centuria dotarła na wybrzeże oceanu, gdzie zatrzymała się na plaży w miejscu niezbyt odległym od ujścia wielkiej rzeki.

Kwintus Fabiusz kazał ludziom pozostać w leśnej kryjówce i nie wychodzić na otwartą przestrzeń. Nie byli zachwyceni, lecz usłuchali, zabierając się do codziennych prac przy budowie obozu – dwudziesty pierwszy raz od czasu wymarszu. Mieli jedynie dzień opóźnienia względem harmonogramu ustalonego przez centuriona.

Tylko Kwintus, biorąc ze sobą Chu Yuena z Koliuszem, wyszedł na piaszczystą plażę. Znajdowali się niedaleko podmokłych równin rzecznej delty, gdzie olbrzymie słonolubne drzewa zapuszczały korzenie głęboko w bagniste podłoże. Rzeka była potężna, nawadniała wielką połać kontynentu obejmującego połowę habitatu, *antisuyu*. Widać było, jak słodka woda wlewa się do oceanu i zmienia jego kolor daleko od brzegu.

Kiedy Kwintus zadarł głowę, przesuwając spojrzenie z lewej do prawej strony, zobaczył ze zdumieniem, jak ocean wznosi się tam, gdzie powinien znikać za horyzontem, upstrzony kłębkami chmur, tu i ówdzie przebarwiony wodą wlewającą się z innych olbrzymich rzek, by w mglistej dali połączyć się z drugą połową pierścienia mórz, która wisiała jak stalowoszara tęcza nad jego głową.

Czekała już tu na niego, zgodnie z ustaleniami, Inguill w eskorcie dwóch inkaskich żołnierzy.

– Jesteście spóźnieni – powiedziała.

Wzruszył ramionami.

– Trzeba się liczyć z pewnym poślizgiem…

– Nawet jeśli Klodii Walerii kończy się czas?

Wysoka, szczupła, blada, skupiona – jakoś nie pasowała do tej plaży i tego surowego, naturalnego otoczenia. Jej miejsce było w biurze, pomyślał Kwintus, spoglądając na jej palce zawikłane w sznurkach, które zwykła czytać. Ale to ona tu dowodziła. Odwróciwszy się, wskazała palcem.

– Tam jest transport, którym się przeprawicie przez ocean.

Kwintus dostrzegł szereg wciągniętych na piasek płaskich, drewnianych konstrukcji z żaglami zwiniętymi przy masztach.

– Tratwy?

– Wystarczą wam. Zbudowali je Chinchowie: lud, który dawniej mieszkał na zachodnim

wybrzeżu kontynentu nazywanego przez was Dolną Walhallą. Teraz mieszkają tutaj. Ich tratwy są wykonane z balsy i bawełny. Byli najlepszymi żeglarzami w naszym świecie, dopóki Zynowie nie przypłynęli swoimi potężnymi okrętami skarbowymi. Na łodziach Chinchów przeprawicie się do *cuntisuyu*, jeśli utrzyma się ładna pogoda, a taka jest zaprogramowana. – Zerknęła na niebo, po którym nie krążył żaden kondor. – Będziecie mniej rzucać się w oczy, niż gdybyście wybrali inny środek transportu. Po drugiej stronie udacie się pod eskortą na stację *capac nan*. Tam wsiądziecie do wagonów towarowych, które są na tyle duże, że ukryją się w nich twoi ludzie na czas podróży do czapy biegunowej. Na wygody nie liczcie, ale przynajmniej będziecie bezpieczni i nie zostaniecie zdemaskowani.

– No cóż, dotychczas wam ufaliśmy.

– Ja wam również – odparła oschle. – Ktoś mógłby mi zarzucić, że zdradziłam Sapę Inkę, mojego jedynego pana, choćby tylko tym, że mam przed nim tajemnice.

– Skoro mowa o tajemnicach – odezwał się ColU – to studiowałem wasze kroniki, *quipucamayoc*. Sądzę, że rozumiem specyfikę rozjazdu Jonbara, który rozdzielił nasze rzeczywistości.

Odwrócili się do niewolnika noszącego ColU. Jak zwykle spuścił wzrok.

– Gadaj! – rzuciła ostro Inguill.

– Właśnie – dodał z szerokim uśmiechem Kwintus. – Gadaj, w którym momencie my, Rzymianie, popełniliśmy błąd? Może zdołam go naprawić przy następnym rozjeździe.

– Nie mógłbyś nic zrobić. Nikt nie byłby w stanie temu zaradzić. Nastąpił wybuch wulkanu, Kwintusie. Potworna erupcja na drugim końcu świata. Jakieś sto osiemdziesiąt lat przed dojściem do władzy Cusi Yupanqui, budowniczego waszego imperium. Rzymianie i Brykanci byli już obecni w Walhallach, Rzymianie od ponad stu lat. Twoja cywilizacja, Inguill, jeszcze nie rozkwitła, ale były inne z dużymi miastami i rozwiniętym rolnictwem. Rzymianie zakładali kolonie w lasach *antisuyu*, lecz utrzymywali bardzo ograniczone stosunki z zaawansowanymi cywilizacjami na tym kontynencie. Potem gdzieś na tym świecie wybuchł wulkan, wyrzucił z siebie wielkie ilości materiału. Strefa bezpośrednich zniszczeń znajdowała się daleko, lecz chmury pyłu, popiołów i gazów musiały spowić glob.

Inguill otworzyła szerzej oczy.

– Wiem coś na ten temat. Mieszkający nad wielkim górskim jeziorem lud Tiwanaku, który potem stał się częścią imperium, cierpiał z powodu „suchej mgły” przesłaniającej niebo. Marniały plony, masowo umierali ludzie. Wszystko to spisali w kronikach, które przejęli nasi uczeni, gdy rozpoczął się podbój.

– Zatem ucierpiały zachodnie kontynenty – rzekł ColU. – Jednak z powodu kaprysów pogody

i zaburzenia pór roku wschodnie kontynenty, Afryka, Azja, Europa, doznały jeszcze większych szkód. Nie znalazłem praktycznie żadnych informacji o losie Zynów, lecz na Rzym, Kwintusie, spadły straszne nieszczęścia. Cesarstwo zmagało się z klęską głodu i najazdami ludów z wyjałowionej środkowej Azji, które przywlekły zarazę. Nigdy już nie wróciło do dawnej świetności i porzuciło swoje przyczółki w Walhalli, gdzie wreszcie ustały wojny z Brykantami. Tymczasem w Dolnej Walhalli pod wodzą Cusi Yupanqui ruszyli do boju *Intip Churi*…

– Kiedy zaczęliśmy przeczesywać puszcze w *antisuyu*, natrafiliśmy na rzymskie kolonie.

– Tak. Choć bardzo podupadli, zachowali niektóre umiejętności i tradycje dawnego świata. Inkowie przejęli od rzymskich niedobitków to, co chcieli, zwłaszcza sekrety ognia życia i wytopu żelaza. Najtwardszym inkaskim metalem był wtedy brąz. Wątpię, Kwintusie, by choć odrobina krwi tamtych Rzymian przetrwała do dzisiaj, lecz ich dziedzictwo zmieniło Inków.

– A wszystko przez jeden wulkan – rzekł ponuro Kwintus. – Ciekawe, czy nie przyczyniły się do tego kreatury, które każą nam budować Włazy. Bo wygląda na to, że wszystkim zmianom w strukturze świata towarzyszą katastrofalne zniszczenia i barbarzyńskie akty przemocy.

Inguill uśmiechnęła się chłodno.

– Niszczycielskie interwencje bogów. Już my coś wiemy na ten temat, Kwintusie. Dobrze wiecie, że fascynuje mnie historia, ale w tej chwili skupiam się na przyszłości. Będziecie gotowi rano wejść na łodzie?

Spacerując po plaży, omawiali szczegóły przedsięwzięcia.

– Nie powiedziałeś im wszystkiego, czego się dowiedziałeś, Koliuszu – mruknął później Chu Yuen.

– Powiedziałem to, co konieczne. *Quipucamayoc* pomaga nam w ucieczce, więc uznałem, że w ten sposób się odwdzięczę.

– Nie wspomniałeś o dowodach na działanie energii ziarnowych, które inkascy badacze znaleźli w okolicy wulkanu. Uważasz, że erupcja była silniejsza przez wojnę, którą prowadziła ludzkość z powodu technologii budowniczych Włazów. Kwintus już się prawie domyślił.

– Nie muszą tego wiedzieć. Jeszcze nie dziś, nie teraz. Inguill i Kwintus muszą współpracować, przed nimi wielkie zadanie. Nie chcę, żeby czuli się bezradni.

– A ty się czujesz bezradny, Koliuszu?

– Ja, Chu Yuenie? Ja nie. Wracajmy do obozu. Pewnie jesteś głodny po całodziennym marszu.

Rozdział 54

Jak Mardina mogła się przekonać, pałac Sapy Inki był nie tyle pałacem, co wręcz miastem, ufortyfikowanym i oddzielonym od reszty. Otoczony zewsząd grubymi kamiennymi ścianami, licowanymi złotą blachą i zielonymi kaflami, był zabezpieczony od góry potężną stalową kratą i ochraniany przez grupę wojowników osiowych z odrzutowymi plecakami, którzy nieustannie patrolowali teren. Cura powiedziała, że istnieje specjalny schron powietrzny, którego dach można zamknąć nad całym kompleksem, gdyby doszło do rozerwania powłoki osłaniającej Cuzco.

Mardinę i Klodię przeprowadzono przez zapory i wartownie do samego serca tego najpilniej strzeżonego sanktuarium. Strażnicy wiedli je czymś w rodzaju zdobionego tunelu do centralnego gmachu, skąd ruszyły dalej korytarzami o ścianach pokrytych bajecznymi kompozycjami z kolorowych kafli, przedstawiających czasem ludzi i zwierzęta, a czasem jedynie abstrakcyjne formy.

Na razie pożegnały się z Ruminavim, lecz pozostała z nimi Cura, która teraz nagliła je do pośpiechu:

– Prędzej! Szkoda, że nie mamy czasu, byś mogła sobie wszystko obejrzeć. I szkoda, że nie nosisz odpowiedniejszego stroju, ale nikt ci tego nie będzie wypominał.

– To nasze najlepsze ubrania z *ayllu* – odparła Klodia.

– Cokolwiek byś zabrała z domu, wierz mi, byłoby nieodpowiednie w Hanan Cuzco. A swoją drogą, dostaniesz tu wszystko, czego ci potrzeba.

– Ale nasze bagaże…

– Pozostaną w przechowaniu, dopóki Mardina nie będzie musiała wyjechać. Taki oficjalnie jest plan.

Kobiety wymieniły spojrzenia. Gdyby więc wszystko poszło po myśli Inków, Mardina wyjechałaby stąd, Klodia zaś została.

Przystanęły pod masywnymi, opancerzonymi drzwiami, strzeżonymi i prawdopodobnie hermetycznie zamkniętymi, by niebawem znaleźć się w kolejnej olśniewająco pięknej komnacie, którą minęły w pośpiechu, przeciągając się wzdłuż poręczy i lin. Mardina zauważyła, że z każdą chwilą spotykają więcej ludzi. Wszyscy, nawet ci najwyraźniej gorzej przystosowani do nieważkości, wydawali się szczupli i wysocy, eleganccy, ubrani wytwornie i barwnie, fantazyjnie uczesani, często z wielkimi złotymi korkami osadzonymi w małżowinach uszu.

I wszyscy tutaj byli urodziwi, nawet służba, co nie mogło dziwić, skoro rodzinom na prowincji odbierano najładniejsze dzieci, aby tu pracowały. W warunkach zerowej grawitacji przepływali rojnie w powietrzu. Starając się dotrzymać tempa Curze, Mardina miała wrażenie, że otacza ją chmara egzotycznych ptaków.

Gdziekolwiek przechodziły przybyszki z *ayllu*, ścigały je natrętne spojrzenia, szyderstwa i słabo maskowane chichoty. Mardina odpowiadała wyzywającym wzrokiem.

– Wydaje mi się, że pełno tu żołnierzy – stwierdziła Klodia. – Myślałam, że wszyscy kochają Sapę Inkę…

– …który ich karmi i chroni. Tak, to prawda – odpowiedziała Cura. – Źródłem problemów jest jego rodzina. Po śmierci monarchy jego następcę wybiera rada stronnictw, na które dzieli się rodzina, nazywanych panaqa. Inkowie często mają wielu synów z wieloma żonami, choć pierwszeństwo powinny mieć dzieci jego pełnej siostry. No więc kiedy Inka cieszy się zdrowiem, ludzie wśród intryg i przepychanek próbują się wkupić w jego łaski lub pozyskać poparcie stronnictw. Kiedy zaczyna niedomagać, stronnictwa prowadzą ze sobą gorączkowe negocjacje. Gdy umiera, przejmowanie tronu przeobraża się czasem w krwawą rywalizację. A gdy już zostanie ogłoszony zwycięzca…

– …w ludziach pozostaje złość – dokończyła Mardina. – Słyszałam, że to samo dzieje się, czy raczej działo, na cesarskim dworze w Rzymie.

– Oświeceni ludzie starają się tym nie przejmować – powiedziała Cura. – Jeśli leje się krew, to zwykle tylko na dworze. I to wzmacnia dynastię: przetrwają najsilniejsi.

Od tej pory musiały podwoić wysiłki związane z lawirowaniem w tłumie ludzi, którzy w większości kierowali się w tę samą stronę co one.

– Zaraz dostanę zadyszki – poskarżyła się Mardina. – Co będziemy oglądać?

– Procesję z udziałem samego Inki. Macie szczęście, że przyjechałyście tu akurat dzisiaj. Od razu zobaczycie coś niezwykłego. Raz w miesiącu Inka podróżuje po Cuzco. Dziwię się, że nie słyszałyście o tym w *antisuyu*.

Mardina zerknęła na Klodię.

– Wydaje mi się, że na wsi ludzie plotkują raczej o tym, kto komu ukradł ziemniaki. Nie interesują się sprawami na dworze.

– Trudno, ich strata. Co roku w tym miesiącu Sapa Inka odwiedza Salę Rozdziawionych Ust.

– Co to?

– Sama zobaczysz – odparła z uśmiechem Cura.

Minęły jeszcze jedne ogromne drzwi, otwarte na oścież, i oto znalazły się w sali wypełnionej trójwymiarowym tłumem barwnie odzianych elegantów, którzy latali na wszystkie strony lekcy

jak piórko. Wyżej, nad nimi, wojownicy osiowi lustrowali zgromadzonych podejrzliwym wzrokiem.

Sala pod wieloma względami przypominała te wnętrza, które widziały wcześniej, wspaniale oświetlona blaskiem dużych jarzeniowych latarń. Ściany wyłożone kaflami mieniły się tęczowo. Inna była wszakże podłoga, złożona z szerokich okien odsłaniających widok na czarną przestrzeń kosmiczną, światełka gwiazd, jaśniejszy punkt mogący być planetą, przy czym cała ta panorama powoli się obracała, gdy patrzyło się z osi habitatu.

Mardina była urzeczona. Od bezkresnej próżni dzielił ją krok, może dwa.

– Musimy być na najniższym poziomie pałacu, przy zewnętrznej powłoce. Ale widok…

– Mardino, patrz – odezwała się Klodia.

– Aż chwyta mnie jakaś tęsknota…

– Patrz! Tam, nad oknami, w głębi sali…

Mardina uniosła głowę, wzbijając się w powietrze, żeby spojrzeć nad głowami ludzi. Dopiero teraz zauważyła, że na środku sali do szyb przytwierdzono dwanaście pionowych szklanych rur. W każdej znajdowała się jedna młoda osoba w wieku, jak można by sądzić, od czternastu do szesnastu lat: sześciu chłopaków i sześć dziewczyn. Byli ubrani w bogate stroje, mieli błyszczące twarze natarte olejkami, a na czołach przepiękne opaski wysadzane szlachetnymi kamieniami. Wszyscy unosili się bezwładnie w szklanych rurach, otępiali, z nieruchomymi minami wyrażającymi chyba zagubienie i zdezorientowanie, jakby nie wiedzieli, co się wokół nich dzieje.

– Jacy otyli… – zauważyła przytomnie Klodia.

– Nic dziwnego – powiedziała Cura. – Co najmniej od miesiąca korzystają z gościnności Inki. Odkąd zostali wyznaczeni do udziału w procesji. Oczywiście tylko jeden zostanie wybrany.

– Do czego?

Cura nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ rozbrzmiał dźwięk rogów. Cisnący się ludzie zaczęli szukać dla siebie miejsc przy ścianach i pod sufitem.

I pod tym żywym łukiem przeszła procesja.

Na przedzie sunęła grupa kobiet i mężczyzn w jednakowych kolorowych tunikach ze wzorem szachownicy. Poruszali się z należytym dostojeństwem, biorąc pod uwagę, że musieli posługiwać się linami i poręczami. Patrzyli wściekle na każdego, kto stał im na drodze, a niektórych spychali na bok – osobiście lub rękami wojowników. Usuwali nawet unoszące się w powietrzu śmiecie.

– Każdy z nich, choć wykonują te niewdzięczne prace, jest szlachetnie urodzonym człowiekiem, arystokratą – wyjaśniła półszeptem Cura.

Następnie pokazała się hałaśliwa trupa muzykantów: śpiewali, bili w bębny, grali na rogach i fletniach, tancerze zaś wili się w powietrzu.

Za nimi przybyli wojownicy w potężnych zbrojach płytowych, ozdobieni srebrnymi i złotymi diademami. Zbroje, swoją drogą, za bardzo krępowały ruchy, żeby używać ich w walce, a i tutaj żołnierze przemieszczali się z widocznym trudem.

Następnie ukazała się swego rodzaju lektyka ciągnięta przez kilkudziesięciu mężczyzn i kobiety w jasnoniebieskich strojach. Wieziony w ten sposób człowiek tonął w masie poduszek, przytrzymywany przed wypadnięciem luźną uprzężą. Jego ubiór olśniewał bogactwem bardziej jeszcze niż szaty dystyngowanych poddanych. Wydawało się Mardinie, że jego wierzchnie okrycie zostało uszyte z piór barwnych ptaków z lasu deszczowego. Na głowie miał złotą koronę, niżej naszyjnik z ogromnych szmaragdów, a także opaskę, z której opadała na czoło misterna przesłonka z cienkich złotych rureczek i szkarłatnej wełny. Był młodszy, niż Mardina się spodziewała, szczupły i niezbyt mocno zbudowany. Być może prawdziwą siłę miało popierające go rodzinne stronnictwo.

Tak czy inaczej, był to Sapa Inka.

Cura skierowała w dół głowę Mardiny.

– Nie wolno patrzeć mu w oczy – ostrzegła. – Nikt nie patrzy mu w oczy, chyba że zostanie wywołany.

Kątem oka Mardina dostrzegła, że Sapa Inka wyrzuca coś z powozu. Było to dwanaście ptaków, zapewne tych śpiewających; pozbawione ciężaru, nie potrafiły latać, nie umiały się przystosować. Kwiląc i trzepocząc skrzydłami, żałośnie miotały się w jednym miejscu.

Wtem któryś z nich eksplodował, zamienił się w chmurę pierza.

– Jeden – szepnęła Cura. – Dają im do karmy wybuchowe kuleczki. Rządzi przypadek…

Drugi trzask eksplozji i pomruki tłumu.

– Dwa!

I kolejny. Tym razem deszcz piórek spadł blisko twarzy Mardiny.

– Trzy!

I przerwa. Przerwa, która się przeciągała. Mimo głośnej muzyki Mardinie zdawało się, że słyszy ogólne westchnienie tłumu. Pozostałe ptaki szamotały się w powietrzu.

– Mamy! Tylko trzy z dwunastu! Koniec wybierania. Numer trzeci. Klodio, Mardino, obserwujcie, trzeci w kolejności pojemnik…

Mardina dostrzegła ten, o którym mówiła Cura. Ustawiona na oknie, nad bezmiarem próżni, trzecia butla mieściła w sobie dziewczynę z wyglądu nieco młodszą niż reszta, lecz równie

otępiałą. Dopóki na ułamek sekundy nie uświadomiła sobie, że przyglądają jej się wszyscy obecni w sali, nawet Sapa Inka. Na jej miękkiej buzi odbił się strach.

Pod spodem otworzyła się gródź. Powietrze dotąd zamknięte w butli wypchnęło ją razem z rojem kryształków: szronem z marznącej ciepłej pary. Wylatując w przestrzeń kosmiczną, dziewczyna wytrzeszczyła oczy z otwartymi ustami. W pierwszej chwili wydawało się, że nic jej nie dolega. Potem spróbowała oddychać. Chwyciła się za gardło, szarpiąc się jak ryba wyrzucona na brzeg. Z jej ust trysnęła krew.

A wszystko to zaledwie kilka rzymskich stóp od Mardiny. Ludzie cisnęli się, żeby patrzeć przez szybę na dziewczynę. Śmiali się, pokazywali ją palcem, a nawet błazeńsko naśladowali jej bezradną i beznadziejną walkę, gdy oddalała się od okna.

– Nie należycie do naszej kultury – szepnęła Cura do uszu Klodii i Mardiny – ale chyba rozumiecie, czemu to robimy. Yupanquisuyu wydaje się mocny i niezniszczalny. A jednak tuż za tymi oknami czai się śmierć, Rozdziawione Usta. Sapa Inka przypomina nam, co mogłoby się stać, gdybyśmy choć na moment zaniedbali stan techniczny habitatu. Zaraz za powłoką, na wyciągnięcie ręki w którymkolwiek kierunku, czyhają okrutni, mściwi, zagniewani bogowie. Od świata ludzi oddziela ich tylko Sapa Inka i porządek, nad którym czuwa. Rozumiecie mnie? Rozumiecie? – Pogłaskała po głowie Klodię. – Zaczynasz już może pojmować, drogie dziecko, dlaczego musisz umrzeć?

Mardina z ulgą patrzyła, jak wyrzucona dziewczyna przestaje się ruszać. Powoli oddalała się od habitatu, aż nagle, gdy wydostała się z zacienionego obszaru, rozświetlił ją blask słońca i przez chwilę wydawała się piękna.

Rozdział 55

Kwintus Fabiusz wszedł na szczyt wzniesienia w towarzystwie Inguill, *medicusa* Michaela i garstki swoich ludzi: Tytusa Waleriusza, Skorpusa, chorążego Orgiliusza ze sztandarem i Rutyliusza Fuskusa pełniącego w centurii rolę trębacza.

W świetle poranka Kwintus po raz kolejny rozejrzał się po okolicy. Znajdowali się blisko czapy biegunowej, ukończywszy z pomocą Inguill potajemną podróż z zachodniego wybrzeża oceanu pociągiem i innymi inkaskimi środkami transportu. Przebywali na przedgórzu charakterystycznym dla tej części habitatu, choć dopiero w jego najniższych partiach: w szerokiej dolinie, którą wyżłobiła rzeka zasilana przez topniejący lodowiec. Przed nimi piętrzyły się góry strefy podbiegunowej, przylegające do samego stalowego szkieletu czapy.

– To wzniesienie jest najwyższym punktem w okolicy – zauważył Kwintus.

– W rzeczy samej – przytaknął basowym głosem Tytus. – Mierniczy potwierdzają to, co widać gołym okiem.

– Być może kiedyś miały tu miejsce powodzie – zastanawiał się Kwintus. – Albo było nawet jezioro. Niektóre formy terenu mają tu opływowe kształty. To możliwe, Inguill?

Quipucamayoc wzruszyła ramionami.

– Dzieje tego obszaru to raczej efekt prac inżynierów, a nie działania przyrody. Ale na pewno artyści krajobrazu chcieli, żeby ukształtowanie terenu podlegało stopniowej ewolucji. Opartej, w miarę możliwości, na naturalnych procesach. Zdajemy sobie sprawę, że nasza wiedza jest ograniczona. Dać bogom przyrody pole do manewru, oto jaką zasadą się kierowaliśmy. A więc całkiem możliwe, że dawniej było tu jezioro, na jakimś wczesnym kontrolowanym etapie formowania się krajobrazu.

– Inżynierowie… – Kwintus patrzył na góry, które wznosiły się przed nim łańcuch za łańcuchem falami granitu ubielonego z wierzchu połyskliwym lodem i bardzo wyraźnie zawijały się w lewo i prawo, jakby przyglądał się im przez szkło zniekształcające. – Tak, trudno tutaj zapomnieć, że wszystko to jest dziełem rąk ludzkich. Ale do rzeczy. Powodzenie w wojnie, *quipucamayoc*, zależy od szczegółów takich jak miejsce i pora. Jeśli chodzi o miejsce, Tytusie, co powiesz na to?

– Na wiele mil wkoło nie ma wyższego punktu, jak rzekłeś. Niech do nas przyjdą.

– A co się tyczy pory?

– Ruminavi poinformował mnie – odpowiedziała Inguill – że ceremonia capacochy

rozpocznie się po południu, zgodnie z ustalonym porządkiem. *Colcacamayoc* Villac, który jest ze mną w kontakcie, przygotował już dla was przepustki i zezwolenia, abyście mogli przejść przez portale biegunowe i dostać się na pokład jachtu kosmicznego.

– Z całą pewnością udało się dostarczyć instrukcje załodze „Malleusa Jesu” – oświadczył Michael. – Nasi ludzie zgłosili się na ochotnika do mycia okien Intiego, gdzie ekipy pracują dzień w dzień bez przerwy. Jak przewidział ColU, maleńkie nadajniki i odbiorniki w słuchawkach, za pomocą których komunikuje się z nami, wystarczyły do wysłania wiadomości na statek przez szybę okna. *Trierarchus* Eilidh wie, co robimy. Potwierdziliśmy to jeszcze raz dziś w nocy i są gotowi nas zabrać.

– Świetnie – rzekł Kwintus. – Zatem nie pozostaje nam nic innego, jak zaprowadzić podróżnych do portalu i wyprawić ich w drogę. Aha, no i stoczyć bitwę z armią Sapy Inki. Jak się czują żołnierze, *medicusie*?

Michael wzruszył ramionami.

– Cały ten kontynent, *cuntisuyu*, jest położony wyżej niż *antisuyu*, gdzie mieszkaliśmy. I to wiele mil wyżej. Oddychamy tu rozrzedzonym powietrzem, lecz przez siedem dni odpoczywaliśmy. I chłopaki są w formie. Uważam, że zaaklimatyzowali się i bardziej zdatni do walki już nie będą.

Inguill zmarszczyła czoło.

– To ma mi zaimponować?

– Powinno – odparł centurion. – Bo widzisz, *quipucamayoc*, sama bitwa może przypominać chaotyczną rąbankę, lecz zwycięstwo przychodzi nie tylko w wyniku odpowiedniego reagowania na rozwój wypadków podczas walki, ale mądrego planowania i ustawienia wojsk.

– Jak w szachach, których mnie uczyłeś.

– Dokładnie tak. Mam nadzieję, że wasi generałowie, nienawykli do wyzwań większych niż tłumienie buntów nieuzbrojonych, niewyszkolonych i niezdyscyplinowanych wieśniaków, okażą się nie lepszymi strategami niż ty szachistką. Tutaj zajmiemy pozycję. Być może dojdzie jedynie do potyczki… choć równie dobrze może to być ostatnia bitwa, jaką kiedykolwiek stoczy rzymskie wojsko. Chorąży, ustaw sztandar z orłem.

– Rozkaz! – odparł z dumą Orgiliusz.

Inguill z niepokojem obserwowała niebo, wypatrując kondorów.

– Cesarskie władze zauważą wasz pokaz.

– Niech sobie patrzą. Kości zostały rzucone, jak kiedyś powiedział Juliusz Cezar.

Tytus Waleriusz postąpił krok do przodu.

– Jest jeden szkopuł – stwierdził. – Jeżeli mamy stoczyć bitwę, potrzebny będzie *optio*. Ktoś,

kto da kopa w dupę ociągającym się z tyłu i dopilnuje, żeby nie popsuł się szyk. Gneusz Juniusz oczywiście nie wchodzi w grę, więc gdybym to mógł być ja, chętnie się tego podejmę. Tymczasowo, rzecz jasna; nie kombinuję, jak dostać awans lub podwyżkę…

Kwintus poklepał go po ramieniu.

– Jesteś porządnym człowiekiem. Ale gdybyś miał wziąć udział w dzisiejszej bitwie, Tytusie, musiałbym ci odmówić. Wolałbym, żebyś walczył w pierwszym szeregu u mojego boku, nawet z brakującym skrzydłem. Co do podwyżki, to z pewnością jej nie dostaniesz.

Przez twarz żołnierza przemknęły różne uczucia.

– Dziękuję, ale… czy to oznacza, że centuria przystąpi do bitwy beze mnie?

– Mam dla ciebie ważniejsze zadanie. Pamiętaj, że walczymy dziś tylko dla odciągnięcia ich uwagi. Nadrzędnym celem jest to, żeby Koliusz, twoja córka i jej towarzyszka Mardina mogli wyrwać się z tego habitatu i dotrzeć na Marsa, gdzie, na ile się orientuję, Koliusz zamierza stanąć do konfrontacji z dziwnymi istotami, których wojna polega na zmianie ludzkiej historii. Posłuchaj, Tytusie, kiedy wszystko nabierze rozpędu, chcę mieć kogoś na miejscu, w Cuzco, u wrót habitatu, kto dopilnuje, żeby ucieczka się udała. I ochroni ich w drodze. Jeśli przyjdzie ci walczyć, będzie to oznaczało, że nasz wysiłek był daremny.

– A więc mam tam dotrzeć – tylko jak? – Popatrzył na siebie. – Jestem otyłym, jednorękim rzymskim legionistą w wojskowym stroju. Wpadnę w oko nawet tym tępawym Inkom. Pamiętam taką jedną kampanię…

– Przemyśleliśmy to sobie, twój centurion i ja – przerwała mu spokojnie Inguill. – Ja także tam zaraz wyruszam. Będę pod ręką, a ze mną Villac i jego sojusznicy, żeby pomóc grupie Koliusza dotrzeć do celu. Ty zaś, Tytusie, pozostaniesz przy mnie. Jako mój yana, niewolnik. Powiedzmy, że dopuściłeś się jakiegoś haniebnego czynu. – Uśmiechnęła się drwiąco. – Jesteś na tyle szpetny i gburowaty, że każdy w to uwierzy.

Tytus spojrzał z wahaniem na Kwintusa.

– Moje miejsce jest u twojego boku.

– Nie, Tytusie, ono jest u boku twojej córki. Opiekuj się Klodią. Bądź co bądź, w dzisiejszej rozgrywce kładzie na szalę swoje życie tak samo jak każdy z moich legionistów. I pamiętaj, że ja tu zostaję.

– Naprawdę?

– Oczywiście – powiedziała Inguill. – Możemy przemycić stąd kilka osób, ale pięćdziesięciu żołnierzy nie damy rady.

– A także ich żon oraz, w dwóch przypadkach, dzieci. To, że wszyscy opuścimy to miejsce, nie było niczym więcej jak mrzonką. Tak, Tytusie, miejsce legionistów jest teraz tutaj, dokąd

przywiódł nas Jesu w Swej mądrości. Mnie zaś przypadła rola ich przywódcy. – Świdrował wzrokiem Tytusa. – Widzę, że nie wybiegłeś nigdy myślami tak daleko. No cóż, nie wymagałbym tego od ciebie. Zaufaj mi, Tytusie. Zrób, co ci każę. Twoja córka tu nie wróci, więc bądź przy niej tam, dokąd się wybierze, i opiekuj się resztą. To twoja nowa powinność.

Tytus najwyraźniej bił się z myślami, lecz rzekł oschle:

– Jak każesz.

Inguill wypuściła głośno powietrze.

– Dzięki niech będą Intiemu, że się dogadaliście. Musimy się sprężyć, zanim będzie za późno. – Wskazała niebo. – Wasza obecność została dostrzeżona.

Wysoko w górze, ponad warstwą atmosfery, zawisł kondor: otwarcie obserwujące ich oko.

Kwintus uśmiechnął się szeroko.

– Zatem chwila już bliska. – Uścisnął dłoń Inguill. – Musisz iść. Żegnaj, *quipucamayoc*. Doceniam wszystko, co dla nas zrobiłaś.

Wydęła wargi.

– Uważam, że nie jest to zdrada wobec Sapy Inki, imperatora, ale raczej rękawica rzucona potworom, które występują przeciwko nam wszystkim.

– Rozumiem. Dlatego gramy w jednej drużynie. Ty też się już zbieraj, Tytusie Waleriuszu. I nie omieszkaj przekazać mojego podziwu swojej córce, która wyrosła na wspaniałą Rzymiankę. A teraz pogońmy tych legionistów. Gotowi pomyśleć, że to saturnalia. Zadmij no w róg, Rutyliuszu Fuskusie…

Rozdział 56

Było ich dwanaścioro, co z czasem uświadomiła sobie Mardina, gdy spędzały dni wśród niewyobrażalnych luksusów. Dwanaścioro ofiar planowanego rytuału. Lub, patrząc z innej perspektywy, uprzywilejowanych dzieci, wybranych do ceremonii *capacocha*, wybranych do wiecznego życia w chwale, w niegasnącym spojrzeniu Intiego.

Tego dnia po raz pierwszy zebrano je wszystkie razem. Tego dnia ich młode życie miało się zakończyć – w sposób łagodny, jeśli wierzyć zapewnieniom Cury. Niczego nie poczują, niczego nie zauważą.

– Od tych narkotyków, napojów i wykwintnych potraw niektóre od wielu dni ledwo patrzą na oczy.

Mardina próbowała zapanować nad sobą.

*

Ceremonia miała się odbyć w świątyni zwanej Qoricancha. Była to piramida z krwistoczerwonego kamienia, z wierzchu zdobiona pasami w kolorze zieleni i błękitu, a zwieńczona kaplicą z kamienia o różowym odcieniu.

Przeznaczeni na ofiarę wybrańcy, prowadzeni w parach, trzymając się za ręce, razem ze swoimi towarzyszami przemaszerowali przez dziedziniec pełen złotych rzeźb: drzew, kwiatów, zastygłych w locie kolibrów, nawet lamy z pastuchem, jakby w jednej chwili zalano ciekłym kruszcem cały ogród. Frunące w powietrzu ofiary, w kilku przypadkach otępione działaniem narkotyków, przyglądały się z niedowierzaniem.

Następnie wprowadzono je do piramidy – do wspaniałej komnaty o ścianach obitych srebrną i złotą blachą, gdzie cisnęły się do siebie poświęcone bogom kapliczki i znajdowały się wnęki prawdopodobnie zawierające szczątki zmarłych Inków. Sufit zdobiły odlane ze srebra gwiazdy i błyskawice. Przez chwilę, gdy nikt się nimi nie zajmował, wybrańcy mogli się przyglądać tym nieznanym cudom.

Potem dostojna młoda kobieta poprowadziła ich ku drzwiom otwartym w wysłanej dywanami posadzce i dalej w dół, głęboko, korytarzami udekorowanymi drogocennym kruszcem i oświetlonymi blaskiem lamp oliwnych. Na koniec znaleźli się w kolejnym pomieszczeniu na samym spodzie Cuzco, gdzie przez ogromne okna mogli zachwycać się kosmosem. Tym razem za szybą Mardina dostrzegła coś więcej, jak gdyby półki skąpane w słońcu i wypełnione

spłowiałymi szmatami mającymi chyba ludzki kształt, niczym lalki, choć trudno było dostrzec szczegóły.

To tutaj miał się odprawić ceremoniał. Obecne chciały być wszystkie liczące się osobistości i oto napływali już ludzie w odświętnych strojach. Wnet zrobiło się tłoczno, lecz dwanaścioro dzieci wraz z kapłanami i dbającymi o nie medykami została poprowadzona w sam środek wytwornego tłumu, a z nimi osobiści towarzysze, których pozwolono im zabrać ze sobą do Cuzco. W przypadku Klodii była to Mardina, tej zaś nie odstępowała Cura.

Kiedy dzieci zatrzymały się na wyznaczonych miejscach, przybył sam Sapa Inka, teraz też przewożony w okazałej lektyce, a z nim jak zwykle chmara szlachetnie urodzonych służących i tragarzy. Gdziekolwiek ruszył się władca, tam zaraz parła rzesza dworzan w kolorowych strojach, sunących w pozbawionej sił ciężkości strefie osiowej, żeby popatrzeć na Inkę, jedną z jego naczelnych małżonek albo jednego z synów. Jak zawsze, posępni wojownicy osiowi z pomalowanymi na niebiesko twarzami i długimi kończynami podobnymi do pokrytych supłami sznurów mieszali się z tłumem, czujnie nasłuchując.

Mimo wszystko w centrum uwagi znajdowały się dzieci, jak od wielu dni zresztą.

Asystenci łagodnie zaprowadzili je do ustawionych rzędem bogato zdobionych krzeseł, niemalże tronów, do których luźno je przywiązali koronkowymi szelkami. Mardina domyślała się, że malcy pochodzą ze wszystkich części habitatu i reprezentują różne grupy etniczne kontrolowane przez imperium. Wśród nich była nawet dziewczyna z ludu *anti*, mająca na twarzy świeżo zrobiony tatuaż – dziecko oszołomione i zdezorientowane bardziej nawet niż reszta w obcym dla niego miejskim środowisku, nie mówiąc już o szczegółach tej niezrozumiałej ceremonii.

A jednak było coś wspólnego dla tych dzieci, gdy siedziały w ten sposób blisko siebie, nie wyłączając dziewczyny z lasu i Klodii Walerii, która przybyła tu z zupełnie innej rzeczywistości, zza rozjazdu Jonbara. Od wielu dni bowiem, jeśli nie tygodni czy w niektórych przypadkach miesięcy, świadczono wybrańcom wszelkie honory w Hanan Cuzco, podobnie jak tamtym błogosławionym dzieciom w butlach: dostawały alkohol, kukurydzę, drogie mięso i owoce morza, a nawet egzotyczne narkotyki, przy czym luksusy, w które opływały, jak zauważyła z niejaką zazdrością Cura, zwykle były zarezerwowane dla najwyższych elit. Efekt był taki, że przybrały na wadze, ich skóra nabrała gładkiego połysku, a po narkotykach stały się apatyczne i przytępione. Trudno je było przestraszyć, natomiast łatwo zmanipulować.

Wtem półka, którą wcześniej Mardina dostrzegła za oknem, zaczęła się poruszać, unosić na oczach sennie obserwujących ją dzieci i podekscytowanych dworzan. Jeden z kapłanów rozpoczął mowę w kwiecistej, archaicznej wersji języka keczua, używanej zapewne

w najbardziej uroczystych momentach – w dialekcie, którego Mardina w ogóle nie rozumiała, mimo że od miesięcy uczyła się w *ayllu* miejscowych słów.

– Opisuje przerażający majestat Intiego i bogów stworzycieli, którzy dali nam życie i mogą je odebrać – wyjaśniła szeptem Cura. – Te dzieci są szczęściarzami, ponieważ będą żyć wiecznie w oku Intiego, w odróżnieniu od nas nie zaznają starości, nigdy nie zachorują, nie osłabną, nie umrą…

Dziewczyna *anti* wrzasnęła. Był to straszny, przeszywający dźwięk, który przedarł się przez mgławicę słów i chaotyczne myśli Mardiny.

I wreszcie okazało się, czego tak bardzo wystraszyła się dziewczyna, co ujrzała za oknem. Na wznoszącej się platformie spoczywały nie lalki czy manekiny, jak myślała wcześniej, ale rozmieszczone w szeregu dzieci w wieku około szesnastu lat, bogato ubrane, z drobiazgowo pomalowanymi twarzami i ufryzowanymi włosami. Każde leżało na wznak z dłońmi splecionymi na brzuchu. Można było odnieść wrażenie, że śpią. Na ślicznych twarzach gościł spokój, wręcz błogość.

Mardina w osłupieniu pochyliła się nad oknem i przesunęła spojrzenie z lewej strony na prawą. Dostrzegła setki dzieci, setki pięknych trupów ułożonych na bardzo długiej platformie. Ciała w kosmicznej próżni.

– Trzeba podziwiać kunszt – mówiła cicho Cura. – Dzieci układa się do snu najtroskliwiej, jak można, i natychmiast rozpoczyna się proces mumifikacji. Największa zręczność objawia się w twarzach, którym nadaje się naturalny wyraz szczęśliwości. Potem *malqui* wystawia się na zewnątrz habitatu, gdzie nie ma powietrza i nie zachodzą żadne procesy gnilne. W ten sposób rozpoczynają nowe życie, nieumarłe i na zawsze zakonserwowane w próżni.

– Zapominasz, dlaczego tu jesteśmy – mruknęła Mardina.

Cura spojrzała na nią i zaraz zniknął z jej twarzy wyraz nabożnego uniesienia.

– Masz rację, oczywiście…

Dziewczyna z lasu zaczęła się szamotać w krępujących ją więzach. Kapłani próbowali ją uspokoić, lecz zaczynały już poruszać się inne dzieci, z każdą chwilą bardziej zaniepokojone. Rozpłakał się nieco młodszy od niej chłopiec. Mardina zauważyła, że wrzawa zatacza coraz szersze koła wśród dworzan.

– Teraz albo nigdy – szepnęła.

Cura kiwnęła głową. Ukradkiem, wykorzystując nieuwagę asystentów, zaczęła rozluźniać więzy Klodii.

Mardina zdjęła opaskę z jej czoła. Cierpliwie i wiele razy ćwiczyła tę czynność z Kwintusem i Michaelem, zanim tu przybyli, i od tamtego czasu codziennie powtarzała ją w głowie. Opaska,

dar od *anti*, sprzymierzeńców Rzymian, składała się z misternie połączonych jasnoniebieskich piór ptaków z lasu deszczowego, zamkniętych wewnątrz niemalże przezroczystej zrzuconej przez węża skóry. Chwyciła koniec opaski w dwa palce, a następnie drugą ręką ostrożnie zsunęła szklistą powłokę, starając się nie dotykać piórek.

Potem, siląc się na spokój, strzeliła nim w powietrzu jak miniaturowym biczem.

Wszystkie oswobodzone w ten sposób pióra odleciały chmurą poruszającą się prostoliniowo, która szybko zaczęła przemieszczać się w tłumie dworzan w kierunku lektyki z Sapą Inką. W stanie nieważkości pióra frunęły w linii prostej, choć wolno ze względu na opory powietrza. Kapłan tymczasem wciąż przemawiał głosem dźwięcznym jak dzwon, a asystenci usiłowali uspokoić dzieci.

Zdawało się, że minęły wieki, nim pierwsze pióro musnęło dłoń medyka zajmującego się jednym z wybrańców. Zaledwie go dotknęło, zatrząsł się, wywrócił oczy, plunął z ust pianą i zaczął dryfować, nieprzytomny.

Pióra zostały spryskane trucizną z leśnych roślin. Podobno miała piorunujące działanie, lecz nie wyrządzała trwałej krzywdy. I rzeczywiście – był efekt.

Z początku nikt wśród zgromadzonych niczego nie zauważył. Ale gdy kolejni dwaj dworzanie zostali porażeni, potem zaś czwarty i ósmy, ktoś krzyknął i ludzie cofnęli się w popłochu, wołając na alarm. A pióra, praktycznie niewidoczne, wciąż raziły ludzi swym jadowitym dotykiem.

W sali z oknami, w jej zamkniętej przestrzeni, prędko wybuchła panika. Krzyczący ludzie starali się dopchać do wyjścia. Nie wiadomo, skąd zlecieli się wojownicy osiowi, by z każdej możliwej strony przylgnąć do lektyki Sapy Inki i w ten sposób chronić go własnym ciałem. Mardina zauważyła, że wokół powozu władcy zamyka się pancerz przypominający żaluzję ze stalowych płyt. Tragarze szykowali się już do wyniesienia lektyki z miejsca, które tak nagle pogrążyło się w rozpaczliwym zamęcie.

W tym czasie Mardina, niosąc w ramionach nieruchomą Klodię, opuściła komnatę w ślad za Curą. I nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Na zewnątrz spotkali Inguill.

– Chodźcie – ponagliła. – Ojciec już na ciebie czeka, dziecko.

Rozdział 57

Kwintus Fabiusz, mając w ręku *gladio*, przechadzał się przed pierwszym szeregiem centurii. Dziko szczerzył zęby i wdawał się w żarty z legionistami, którzy kiwali głowami w swoich ciężkich hełmach. Ci, którzy je mieli. Niech nie będą ospali w trakcie oczekiwania ani spięci, oto klucz do sukcesu.

Ale ważne były również pozycja i szyk.

Na grzbiecie wzniesienia, może niezbyt długim, lecz w miarę szerokim, było dość miejsca dla czterech szeregów. Przed pierwszym opadało w dół pokaźne zbocze, na które musieli się wdrapać Inkowie, by skrzyżować oręż z Rzymianami. Legioniści rozstawili się w otwartej formacji, od dawna ćwiczonej, w której jeden szereg był nieco przesunięty względem drugiego, tak że powstał wzór kojarzący się Kwintusowi z szachownicą: ludzie zajmowali wyimaginowane czarne pola, pozostawiwszy pola białe puste, aby mieć wokół siebie miejsce na posługiwanie się bronią i wspieranie towarzyszy.

Niektórzy siedzieli, czego dowódca wcale nie miał im za złe. Niech oszczędzają siły, byle przytomnie zareagowali na dźwięk trąbki. Inni jedli porcje mięsa lub leśne owoce. I z wesołym uśmiechem uciszali się wzajemnie, kładąc palec na ustach, gdy Kwintus zbliżył się do jednego z nich, Marka Winiusza: twardego rębajłę w boju, ale też znanego w centurii obozowego wałkonia. Winiusz siedział na ziemi ze skrzyżowanymi nogami; na jednym jego ramieniu wspierała się drewniana tarcza, na drugim oszczep, *pilio*. Z brodatą głową wspartą na ręce – spał twardo. Sąsiad uniósł własny oszczep, żeby grzmotnąć nim w tarczę.

– Stój – powstrzymał go Kwintus. – Daj mu spokój. Jeśli potrafi zasnąć w takiej sytuacji, ma w sobie więcej odwagi niż ktokolwiek z nas. Ale musi oddać *pilio*. Ty również, Oktawio. Znasz zasady: dziś nie używamy oszczepów. Bo nadają się do zabijania, a my, jeśli to możliwe, chcemy tego uniknąć. Zrozumiałeś?

– Tak jest.

Centurion udał się na tyły formacji, gdzie Skorpus, któremu naprędce przydzielono rolę *optio*, skradał się za ostatnim szeregiem jako strażnik rzymskiej dyscypliny, gotów przyskoczyć do każdego delikwenta. Tymczasem *medicus* Michael zorganizował w niewielkim oddaleniu od żołnierzy mały szpital pod otwartym niebem. Czekał w pogotowiu z kocami, bandażami i kompletem narzędzi chirurgicznych, jak również z zestawem buteleczek z silnie działającymi środkami przeciwbólowymi z kwiatów z lasu deszczowego. Do pomocy miał dwóch legionistów

z kontuzjami wykluczającymi ich z udziału w walce oraz żony kilku żołnierzy. Pozdrowiony przez Kwintusa kiwnięciem głowy, odpowiedział w ten sam sposób. Dowódca wiedział, że *medicus* nie jest tchórzem ani przeciwnikiem wojska, które na jego oczach zaprowadzało porządek w powiększającym się Cesarstwie. Jednak żaden lekarz, który przysięgał przynajmniej nie szkodzić, nie przepadał za takimi chwilami.

Tymczasem Inkowie wciąż nie nadchodzili.

Kwintus pomaszerował na lewą stronę pierwszego szeregu, gdzie chorąży Orgiliusz stał ze sztandarem zatkniętym w odpowiednim miejscu. Przyłożył do oka skórzaną tubę małego dalekowidu, który zawsze nosił u pasa, by przyjrzeć się szeregom inkaskich wojowników i ich dowódcom czekającym na tyłach. Żołnierze ustawieni w dość uporządkowanym szyku wydawali mu się identyczni, odziani w wełniane tuniki, stalowe hełmy z drewnianymi wstawkami, napierśniki z pikowanej bawełny z wszytymi blaszanymi płytkami. Przede wszystkim jednak rzucały się w oczy hełmy ozdobione srebrem i złotem. Dowódcy zgromadzili się wokół stołu, na którym spoczywało coś w rodzaju makiety. Starsi rangą oficerowie nosili biało-czerwone tuniki z połyskliwymi złotymi krążkami na piersi.

– Chodź ze mną – rozkazał chorążemu centurion i zaprowadził go na swoje miejsce dowódcy na drugim końcu szeregu. – Wiem, że to sprzeczne z tradycją, ale chciałbym, żebyś dzisiaj był u mojego boku i służył mi radą. Stoi przed nami nieprzyjaciel, o którym nic nie mówi nasza rzymska historia, jeśli nie liczyć dawno zapomnianych potyczek w górach Dolnej Walhalli, kiedy zepchnęliśmy ich na bok, żeby przystąpić do rozprawy z Zynami, naszym prawdziwym wrogiem. Wszyscy wiemy o nich mniej więcej to samo.

– Tak jest.

– Są liczniejsi od nas, to widać od razu.

– Mamy lepszą pozycję i prawdopodobnie większe doświadczenie.

– Wiem, Orgiliuszu. I nic nie wskazuje na to, żeby mieli strzelać z broni miotającej, prawda?

– Tak, to będzie walka wręcz. Rozsądek nakazuje nie używać broni palnej ani miotającej na statku kosmicznym. Zupełnie jakby wróciły dawne dni Cesarstwa.

Kwintus uśmiechnął się szeroko.

– Miejmy nadzieję, że nie zmienią zdania. I że będzie to dla nas dzień chwały. Co ci generałowie robią tam z tyłu? Bawią się jakąś zabawką?

– Makieta na stole to taki rodzaj mapy. Ulepili ją z gliny, żeby dobrze się przyjrzeć ukształtowaniu terenu.

– Hm, niegłupi pomysł.

– Ich dowódca polowy to apusquipay. Przypuszczalnie krewny Sapy Inki. Mają tu hierarchię

wojskową…

– Jak to Inkowie.

– …której najwyższym szczeblem jest aucacunakapu, głównodowodzący, który nigdy nie opuszcza Hanan Cuzco.

– A co z armią? W tych strojach wszyscy wyglądają tak samo. Z wyjątkiem chłopaków z pomalowanymi twarzami.

– To wyszkoleni łucznicy z ludu *anti*. Reszta to głównie *awka kamayuq*, czyli podatnicy, którzy muszą w ten sposób odsłużyć swoje *mit'a*. Trochę jak poborowi albo rezerwiści. Ale i oni są przeszkoleni odpowiednio do uzdolnień wyniesionych z domu. *Anti* posługują się łukami i strzałami, Wanka walczą procą i oszczepem, Cuzqueno bolą, pałką i maczugą.

– No tak, widać ich uzbrojenie. Kojarzą mi się z naszymi wyszkolonymi wojskami posiłkowymi. Już kiedyś opowiadałeś mi o tym…

– Zawsze to lepiej zobaczyć na własne oczy.

– Jak najbardziej. Jednostki ustawione pośrodku posługują się chyba standardową bronią: pałkami, toporkami…

– Toporki nazywają *chambi*. Niektórzy mają bicze, w ich języku *chacnac*. To mogą być *huaminca*, dobrze wyszkoleni weterani, w przeciwieństwie do *mitimaców*. Na co dzień stacjonują w pobliżu Hanan Cuzco albo Hurin Cuzco, w każdym razie w strefie podbiegunowej.

– W porządku, tylko czemu nie chcą walczyć? Jak tak dalej pójdzie, zapadnie zmrok.

– A może udała się nasza sztuczka? Jeśli dziewczyny zdołały wywołać awanturę w Cuzco, działania sztabu dowódczego mogą być utrudnione, jeśli nie sparaliżowane.

– Zgadza się. Mam wrażenie, że w inkaskiej kulturze samodzielne myślenie jest jeszcze mniej pożądane niż w rzymskiej.

– Poza tym polegają na swoich rytuałach. Zazwyczaj przez kilka dni przed bitwą poszczą i składają ofiary. Nie daliśmy im sposobności do tego.

– Wyślę imperatorowi notę z przeprosinami.

– Wiem, jak ich trochę pogonić. – Marek Winiusz niepewnie wystąpił z drugiego szeregu.

– Marku Winiuszu! Jak dobrze, żeś wreszcie się obudził i przyłączył do zabawy.

– Proszę o wybaczenie. Ale miałem taki piękny sen: trzymam w ramionach kobietę z ludu *anti*, wije się ona jak wąż i wtedy…

– W porządku, żołnierzu! – wtrącił ostro Orgiliusz. – Gadaj do rzeczy. Dlaczego opuszczasz swoje miejsce w szeregu?

– Przecież powiedziałem. Wiem, jak rozeźlić tych Inków. – Stanął nad skrajem zbocza, odłożył miecz i tarczę… i uniósł spód tuniki, odsłaniając gołe nogi nad rzemieniami butów. –

Hej! Przystojniaki! Patrzcie, co o was myślę! – Zaczął podskakiwać, błyskać nogami i wystawiać język, a żołnierze gwizdali i wesoło pohukiwali.

Orgiliusz wyszczerzył zęby.

– Nieźle to sobie wykombinował. To wielka zniewaga dla Inków.

I rzeczywiście: Kwintus zauważył, że wobec komicznych harców Winiusza Inkowie nie pozostają obojętni. Niektórzy żołnierze i dwaj dowódcy wpatrywali się w Rzymian i wskazywali ich palcami. Podrapał się po brodzie.

– No cóż, Achilles miał swoją piętę… No dobrze, Marku Winiuszu, wracaj na swoje miejsce. A teraz pierwszy szereg, uwaga, broń i tarcze na ziemię, Marek dał wam przykład. – Chwycił skraj własnej tuniki. – Róbcie to samo co ja! Dalej!

Wszyscy z pierwszego szeregu odsłonili nogi i zaczęli się wygłupiać, podczas gdy ich kamraci z tylnych rzędów grzmocili mieczami o tarcze i obrzucali Inków obelgami, jakie tylko znali w języku keczua. Jedynie Orgiliusz, stojąc przy drzewcu ze sztandarem z orłem, tylko się śmiał razem z resztą.

Nie minęło dużo czasu, a już rozbrzmiewały gliniane trąby Inków wypełniające rozległą dolinę jakby rykiem potworów.

Kwintus sięgnął po miecz i tarczę.

– O to chodziło, chłopaki! Walcie na nas śmiało, dajcie się ponieść nerwom, wasi dowódcy za długo się wahali, teraz skręcają się ze wstydu… Dobra robota, Marku Winiuszu, dobra robota…

– Uwaga! – krzyknął Orgiliusz. – Nadlatują pociski!

*

Nie patrząc już na nic, Kwintus dołączył do pierwszego szeregu.

– Zewrzeć szyki! Tarcze w górę! Nuże, lenie, nuże!

Doleciał go ochrypły głos *optio* Skorpusa, który wrzaskiem naglił tylny szereg do uporządkowania szyku. Zaraz się z tym uwinęli i oto nad głowami Rzymian powstał dach zwartych tarcz, przed nimi zaś ściana.

Kwintus przykucnął, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Wśród pocisków były strzały sypiące się z prawej strony i kamienie z lewej. Na razie nie dosięgły celu.

– Posyłają najpierw swoich posiłkowych! – zawołał do Orgiliusza. – Łuczników i procarzy…

– *Anti* i Wanka.

– Zrobiłbym to samo, gdybym ich miał.

Nastroje zmieniły się w okamgnieniu. Nikt już się nie śmiał, nikt nie przedrzeźniał przeciwnika. Żołnierze z determinacją kryli się pod drewnianymi tarczami i zapewniali się

spojrzeniami o wzajemnym wsparciu. Kwintus słyszał, jak ktoś hałaśliwie wymiotuje i był to w sumie dobry znak, rzecz w tych warunkach normalna.

– Padają coraz bliżej! – ostrzegł.

Pierwsze pociski hałaśliwie zabębniły o tarcze. Kamienie wystrzeliwane z proc przypominały niegroźny grad, choć zmuszały do osłaniania głów, lecz strzały były cięższe i spadały z większej wysokości. Trzymając w górze swoją tarczę, Kwintus odbierał każde uderzenie jak cios w trzymające ją ramię. W *ayllu* nie mógł zlecić wykonania lepszych niż te drewniane, więc w nawałnicy strzał niektóre trafiały w słaby punkt lub lukę w zaporze. Słyszał okropne, mięsiste odgłosy grotów grzęznących w ciele, żołnierze krzyczeli i przewracali się, lecz szyk momentalnie się zwierał i likwidował przerwę. Płynnie jak naoliwiony mechanizm, pomyślał z zadowoleniem, zerknąwszy za siebie. Jak naoliwiony mechanizm, bez jednego zgrzytu.

– Posiłkowi się zatrzymali! – przebił się przez zgiełk Orgiliusz. – W natarciu piechota, weterani, ruszają na zbocze w naszą stronę! Posiłkowi wciąż prowadzą ostrzał!

– Wobec tego walczymy z tarczami nad głową! – zawołał centurion do stojących za nim żołnierzy. – Słyszycie, ludzie? Ćwiczyliśmy to, więc wiecie, co robić.

– Szczęście, że nie ma tu Tytusa Waleriusza! – krzyknął Marek Winiusz. – Tą swoją jedną ręką nie uwiązałby nawet tarczy do kikuta. Już łatwiej byłoby mu uwiązać ją do…

– W porządku, Marku! – przerwał mu Kwintus, skulony pod tarczą. W ciągłym deszczu strzał omdlewało mu ramię. – Zachowaj sobie żarty na Inków, gdy będą wiali przed nami!

– Racja…

– *Huaminca* coraz bliżej! – meldował Orgiliusz. – Już prawie w naszym zasięgu.

– Gotuj się, szereg pierwszy! – zawołał centurion. – Niech żaden cios nie będzie daremny. Jest ich więcej niż nas… na razie. Ale pamiętajcie, starajcie się ranić, nie zabijać. Tylko ranić.

Był to rozkaz trudny do przełknięcia dla każdego doświadczonego legionisty – dlatego tym razem nie wchodziły w grę bezcenne oszczepy, zabijające na odległość. Kwintus jednak, przygotowując się do tej rozgrywki, wybiegał myślami w przyszłość, do czasów, gdy będzie musiał wyjednać litość dla swoich legionistów, którzy przecież, bez względu na wynik bitwy, nie mieli opuścić tego habitatu. Jeśli obejdą się łagodnie z przeciwnikiem, może przeciwnik później nie potraktuje ich surowo.

I wreszcie dotarli Inkowie.

– Naprzód! – wrzasnął Orgiliusz. – Szereg pierwszy naprzód! Naprzód!

Jak wszyscy na przedzie, Kwintus uniósł osłonę, aby się rozejrzeć, a potem wraz z pierwszym szeregiem wojska, opuściwszy tarczę, zbiegł zboczem dwadzieścia, trzydzieści kroków. Wpadli na wspinających się inkaskich wojowników. Uzyskany impet oraz to, że znajdowali się wyżej,

pozwoliły Rzymianom zatrzymać szarżę wroga, a po chwili zepchnąć go ze zbocza do miejsca, gdzie czekały pozostałe nieprzyjacielskie szeregi, które teraz pogrążyły się w bitewnym zamęcie.

Walczący krwawo ścierali się ze sobą wzdłuż jednej nieruchomej linii.

Zasłonięty tarczą przed wciąż lądującymi na niej strzałami i kamieniami, Kwintus ciął mieczem stojącego przed nim żołnierza, celując w odsłonięte nogi pod wzmacnianą tuniką. Trafił i przeciwnik osunął się na ziemię, lecz na jego miejscu zaraz pojawił się następny, depcząc po tułowiu swojego ciągle jeszcze żywego towarzysza. Tym razem Kwintus musiał mieczem parować uderzenia toporka o długim trzonku. Inkowie dysponowali również biczami, o czym przekonał się, gdy został smagnięty po plecach. Aby się przed tym bronić, wystarczyło skrócić dystans i zewrzeć się z przeciwnikiem.

Za sobą miał Rzymian z drugiego szeregu, którzy nie napierali z całych sił, lecz dopingowali swoich krzykiem i czasem szturchali wroga mieczem. Ilekroć padał Rzymianin, momentalnie zastępował go następny z drugiego szeregu, sam z kolei zastępowany przez kolegę z tyłu – jak na ćwiczeniach. Nawet w wirze walki, kąsając litą, zdawałoby się, ścianę inkaskich ciał, Kwintus miał ogląd sytuacji w szeregach swoich żołnierzy: wiedział, że stoją równo w szyku, nie burząc szachownicy, która dawała im trochę przestrzeni do machnięcia mieczem czy dźgnięcia *pugio*. Słyszał nawet, pomimo otaczającego go zewsząd zgiełku, donośny głos Skorpusa, który nadal pokrzykiwał na żołnierzy z ostatniego szeregu, żeby nie wyłamywali się z szyku, nie naciskali za bardzo, uzupełniali ubytki.

Warto było stoczyć tę bitwę, o czym wiedział od chwili, gdy zrozumiał dziwną naturę zagadkowego systemu przeinaczania historii, w którym uwikłała się ludzkość. Jedyne, co mogli zrobić, on i jego żołnierze, to walczyć. Nawet jeśli wskutek wywołania tej małej wojenki wszyscy zginą, to jednak resztka Legio XC Victrix w jakimś stopniu pokrzyżuje zamiary tej powalającej imperia tajemniczej siły, o której wspominał ColU. Zatem Kwintus czuł w głębi serca, czuł wszystkimi zmysłami… że warto.

Jako dowódca nie miał sobie nic do zarzucenia. Przygotował i wyekwipował swoich ludzi, wyznaczył najdogodniejsze miejsce na bitwę, poprowadził szeregi najlepiej, jak umiał. Pozostał już tylko sam bój. Uszy rozsadzał hałas, okrzyki wojenne pomieszane z wrzaskami rannych i umierających, lecz wciąż spadały z nieba pociski, z których każdy mógłby zabić go na miejscu, i wciąż trwała straszna erozja w pierwszym szeregu związanych walką żołnierzy. Pod jednym względem wszystkie bitwy były do siebie podobne. Niewiele różniły się od ćwiczeń, dopóki dwie strony nie zwarły się ze sobą. I nawet wtedy żołnierz miał pewne poczucie nietykalności – oberwą ci drudzy, nie ja – a bardziej niż nieprzyjacielskiego żelaza obawiał się tego, że nawali. Zdarzały się także chwile, kiedy stawał przed wrogiem, zaglądał mu w oczy i nagle miał

złudzenie, że istnieją już tylko oni dwaj, że to ich osobista wojna. Zatem Kwintus dźgał, uderzał z góry i ciął z boku i przez cały ten czas trzymał w górze tarczę, usiłując ignorować słabość w rękach i ból lekkich obrażeń: draśnięcie na brzuchu, drobne ukłucie na łydce. Zamierzał walczyć u boku swoich ludzi, póki starczy mu tchu.

Upiornie zabrzmiały gliniane trąby Inków.

W pierwszych szeregach walka jeszcze nie ustała, lecz Kwintus zauważył, że na swoich tyłach inkaskie wojsko bez oznak paniki zaczyna się wycofywać w dół po stromym zboczu wzniesienia.

– Daj sygnał! – ryknął do trębacza. – Odwrót!

Żołnierz trzykrotnie zatrąbił i legioniści, wciąż nieufni, odstąpili od ostatnich zaangażowanych w walkę Inków. Byli nieufni, ale i utrudzeni; jeden z nich potknął się na stygnącym trupie.

Kwintus dyszał ciężko, ściskając w zakrwawionej dłoni *gladio*, jakby się do niego przylepił. Odszukał Orgiliusza. Legionista siedział na ziemi i wydawało się, że nie jest zdolny się ruszyć, lecz nie porzucił orła.

Centurion kucnął przy nim.

– Chorąży – zagadnął. – Wiesz, co się dzieje?

Orgiliusz tylko wskazał niebo.

Kwintus dostrzegł w górze kondora – wielkiego, czarnego ptaka, który wchodził w atmosferę ze skrzydłami żarzącymi się na krawędziach wskutek tarcia. Za wystrzelonym z niego pociskiem ciągnął się biały dym. W najwyższym punkcie swojej trajektorii pocisk eksplodował. Huk dotarł do uszu Kwintusa tuż po rozbłysku. Skrzywił się; nie mógł nic na to poradzić.

Orgiliusz, któremu najwyraźniej dokuczała zraniona noga, zmusił się do uśmiechu.

– Myślę, że więcej hałasu niż zniszczeń. A jednak…

– A jednak to pocisk rakietowy, który powinien być tutaj zakazany. Eh, ci Inkowie. Zupełnie jak Rzymianie! Na statku kosmicznym nie używa się broni palnej… dopóki się jej nie użyje. A więc przyszli dorośli, a my, dzieci, musimy odłożyć zabawki.

– Tak jest.

– Trębacz! Trąb na spocznij!

Orgiliusz spojrzał na pole walki.

– Idzie do nas chyba grupa dowódców.

– Nie dziwi mnie to. Dobrze, chorąży, zabieram cię do *medicusa*. – Ujął go pod ramię i pomógł mu stanąć na jednej nodze. – Hej, Marku Winiuszu, poniesiesz sztandar. Podejrzewam,

że przed nami długa rozmowa, więc chciałbym, Orgiliuszu, żebyś mnie wspierał. Na początek musimy się pojednać. Bądź co bądź, nie mamy dokąd iść.

– Rzeczywiście – zgodził się chorąży.

– Jeżeli walczyliśmy dość dzielnie, być może pozwolą nam dołączyć do *huaminca*.

– Ale warto było, prawda?

– O ile uciekli, Tytus i reszta. I jeśli „Malleus” zdołał zabrać ich na pokład. Wątpię, byśmy kiedykolwiek mieli się dowiedzieć, czy powiodły się ich zamiary. Chyba że zostaniemy wymazani z historii.

– Ale wtedy i tak niczego się nie dowiemy.

– Miejmy nadzieję, chorąży, że do tego nie dojdzie.

– Co się tyczy Tytusa i reszty…

– Są już w drodze na Marsa, taką mam nadzieję. A my? Krew i rozbite głowy, jak zawsze. Poszukajmy tego greckiego lekarza, na pewno spędza miłe popołudnie. Mnie pozostało odnaleźć generała, który postawi stopę na mojej szyi. Chyba dobrze się wyraziłem, co? Po tym poznają, że ktoś się poddaje…

Gnijąc w inkaskim więzieniu, po kilku dniach Kwintus otrzymał wiadomość od Tytusa Waleriusza, wysłaną za pomocą dalekomówcy, odebraną przez legionistę myjącego okno Inti i przemyconą do centuriona w inkaskiej *pukarze*, gdzie go przesłuchiwano lub z nim negocjowano, zależnie od punktu widzenia.

Plan się powiódł. Zbiegowie wymknęli się z ogarniętego zamętem Hanan Cuzco i już po kilku dniach „Malleus Jesu” dostarczył ich na Marsa.

Rozdział 58

Należało pomóc Stef Kalinski wysiąść z łazika *testudo*, a następnie wprowadzić ją przez tymczasową śluzę powietrzną do kopuły, którą dawno temu inkascy badacze wybudowali nad odkrytym przez siebie Włazem. Ledwo znalazła się bezpiecznie w środku, zatoczyła się i wpadła w objęcia Mardiny, która musiała pomóc jej dojść do pozostałych.

– Do cholery z tą marsjańską grawitacją! – narzekała Stef. – Ni to za silna, ni to za słaba.

– Ależ Stef – powiedziała ze śmiechem Mardina – jeśli nie potrafisz wyjść o własnych siłach z *testuda*, jak wykonasz wielki międzyplanetarny skok… z pomocą tego czegoś?

Stef odwróciła głowę, żeby przyjrzeć się okolicy. Ten Mars z epoki Inków, mimo prowadzonej tu działalności górniczej, wydawał się nienaruszony w odróżnieniu od poprzedniego, który został zdewastowany przez Earthshine'a u kresu zaginionej cywilizacji Rzymian i Brykantów. „Malleus" stał w niewielkim oddaleniu, skąd przyjechali *testudem*. Jeśli nie liczyć prowadzących do statku śladów łazika, ten Mars – przynajmniej w tym rejonie, gdzie krajobraz do złudzenia przypominał starożytną Terrę Cimmerię – wydawał się dziewiczy, nietknięty przez człowieka, z wyjątkiem tego przeklętego Włazu, którego nie powinno tu być, i opuszczonej bazy naukowej. Wspierając się na ramieniu Mardiny, Stef zbliżyła się do pokrywy.

Właz wyglądał całkiem zwyczajnie: prostokątna płyta z okrągłym rowkiem, który oznaczał wejście, powierzchnia płaska i pusta, wszystko zapewne w obszarze pola ziarnowego. Identyczny jak tamten, który niegdyś badała na Merkurym – w zupełnie innej linii czasu. Kolejna z tych rzeczy zaprzeczających logice.

Załoga „Malleusa" zdążyła przetransportować do kopuły górę sprzętu i zapasów, anonimowe skrzynie i kufry przykryte wełnianymi kocami. Stef zajrzała do nich pobieżnie. Jak należało się spodziewać, nie było tam niewygodnych rzymskich skafandrów ciśnieniowych z mosiężnymi częściami w stylu Juliusza Verne'a. Rzymianie wychodzili z założenia, że budowniczowie Włazów nie wysyłaliby ludzi tam, gdzie ci nie mogliby przetrwać. Zresztą w warunkach niesprzyjających życiu wkrótce skończyłyby się zapasy. Cóż, wóz albo przewóz. Był jednak piecyk, zwarta żelazna skrzynka mogąca służyć za grzejnik i kuchenkę, zaprojektowana przez rzymską armię z myślą o kampaniach wojennych w zimnym klimacie. Nie potrzebowali do niego paliwa. Stef dowiedziała się, zaskoczona i nawet wystraszona, że źródłem zasilania było

jedno ziarno. Kosmiczne cudo o zabójczej mocy włożone do urządzenia, na którym można suszyć skarpetki…

Ogarnęła wzrokiem obecnych w bazie. ColU przebywał oczywiście w torbie na plecach Chu Yuena. Grupa przyszłych podróżników składała się jeszcze z Klodii, Tytusa, Mardiny i Ariego Guthfrithsona, brykanckiego *druidha*. Towarzyszyła im również, co wywołało powszechne zdumienie, *quipucamayoc* Inguill z Yupanquisuyu, która uparła się, żeby zabrali ją w podróż z Hanan Cuzco. Do tych, którzy nie wybierali się na wyprawę przez Właz, należał Gneusz Juniusz pełniący funkcję dowódcy „Malleusa", *trierarchus* Eilidh i inni członkowie załogi. Oraz Jiang Youwei.

Wszyscy patrzyli na nią wyczekująco.

– Widzę, że czekacie, aż coś powiem – zabrała głos. – Bo jestem najstarsza, tak? Dobrze wiesz, *optio*, że gdyby tu był Kwintus Fabiusz, objąłby dowodzenie.

Gneusz Juniusz wzruszył ramionami.

– Nie jestem Kwintusem, choć chciałbym. Zależy mi jedynie na wypełnieniu misji.

– Wiem. Wciąż trudno mi uwierzyć, że udało nam się wyrwać dziewczyny ze szponów Inków.

– Właśnie w te szpony, jak to ujęłaś, niektórzy z nas będą musieli powrócić – stwierdziła Eilidh. – W tym układzie jedynym domem dla nas może być Yupanquisuyu.

– Zostaniecie dobrze przyjęci – powiedziała Inguill. – Wiecie, że wysłałam wiadomości do Cuzco z dokładnymi wyjaśnieniami…? Doradcy Inki na początku będą mieli wątpliwości, ale z czasem i z waszą pomocą, a także dzięki dowodom zostawionym przeze mnie zrozumieją prawdę. Jestem pewna, że Kwintus Fabiusz i wasi towarzysze odzyskają wolność.

– I wszyscy zostaniemy porządnymi obywatelami imperium inkaskiego – stwierdziła Eilidh.

– Można trafić gorzej – powiedziała Mardina. – Spójrz na plusy. Przynajmniej jesteś za stara, żeby zrobili z ciebie mumię i wystawili na półkę w próżni.

– I nie za ładna – dodała z przekąsem.

– Ale co z tobą, Inguill? – zapytała Stef. – Na pewno chcesz iść z nami? Każdy tutaj oprócz ciebie od dawna jest w to zaangażowany. Ja badałam Włazy przez całe dorosłe życie. ColU… On wypełnia misję. Poza tym wszyscy jesteśmy wygnańcami. Tymczasem ta historia, ta cywilizacja Inków jest twoim domem.

Uniosła brew.

– Być może. Ale nie macie pojęcia, jak wygląda dwór w Cuzco. Sapa Inka jest nieporadnym dzieciakiem, a popierające go stronnictwo słabnie. Nie wróży mu się długiego życia, a co za tym idzie, również mianowanym przez niego najwyższym urzędnikom, takim jak ja. To jeden z powodów, żeby spróbować czegoś nowego. Poza tym rozmawiałam trochę z Arim

Guthfrithsonem. Razem pragniemy zgłębić tajemnicę Włazów i poznać tych, dla których są budowane. Fascynuje mnie moc, którą się posługują. Niegdyś nie wyobrażałam sobie, by ktokolwiek mógł być potężniejszy od Sapy Inki, dziś…

Stef patrzyła na nią i na Ariego.

– Mardina wyrusza na poszukiwania matki. Beth próbowała tylko wrócić do domu. Ty zaś, Ari, dla spełnienia swoich ambicji porzuciłeś dom, porzuciłeś wszystko, co znałeś. Jeśli chodzi o ciebie, Inguill, to nie jestem pewna, czy to są dostateczne powody, by porywać się na coś takiego. Postaram się mieć was na oku.

– Ale przecież ja też zamierzam odszukać Beth – zaznaczył Ari. – Słuchaj, Mardino, nie obchodzi mnie to, co o mnie sądzisz. Owszem, zagadka rozjazdów Jonbara intryguje mnie tak samo jak Inguill. Pamiętaj, że byłem *druidhem*, uczonym. Być może gdyby nie ja, nie mielibyście szansy znaleźć się w tym miejscu. Odeszlibyście w niebyt, gdy Earthshine wywołał rozjazd…

– Wystarczy, ojcze, wybaczamy ci – przerwała mu Mardina. – A teraz się przymknij, dobrze?

– A ty, Jiang, na pewno chcesz zostać? – zapytała Stef.

Wzruszył ramionami.

– Czuję, że moje miejsce jest tutaj – odrzekł – choć jestem twoim oddanym przyjacielem, jak kiedyś twojej siostry. Podobnie jak są tutaj, w epoce Inków, ostatni wolni Rzymianie, tak samo ja jestem ostatnim wolnym Zynem. Chcę odnaleźć swoich. Myślę, że mają kolonie w Yupanquisuyu. Z pewnością ich odszukam.

– Można mieć do spełnienia gorsze misje w życiu – skomentował łagodnym tonem ColU.

Gneusz rozejrzał się wkoło.

– Nie ma powodu dłużej zwlekać – stwierdził.

Klodia wpatrywała się we Właz.

– I myślę, że on już na nas czeka.

Stef odwróciła się, żeby popatrzeć. Na powierzchni Włazu, do niedawna płaskiej i pustej, blisko krawędzi pojawił się szereg wgłębień pasujących kształtem do ludzkiej dłoni.

IV

Rozdział 59

Po rozstaniu z Earthshine’em Beth nieśpiesznie wróciła do strefy przygwiezdnej.

Co pewien czas zbaczała z wyznaczonej trasy, aby rozejrzeć się po okolicy. Wszak nikt na nią nie czekał. Przynajmniej tak myślała. I nie bała się, że zabłądzi: punkt najbliższy słońcu był najłatwiejszy do odnalezienia na całej półkuli.

Przyglądała się badawczo rzekom i jeziorom, chcąc znaleźć ślady budowniczych. Napotkała wiele trzcinowisk, w jakich *przedtem* rozwijały się tubylcze społeczności. Te niewielkie istoty miały segmentowe ciała, które łączyły w całość, dosłownie, z przypominających trzcinę łodyg, te zaś same w sobie były skomplikowanymi biologicznymi mechanizmami. Beth jednak nie zauważyła nigdzie pozostałości po budowniczych i ich dziełach: schronieniach, w których wychowywały się młode, gnojowisk wznoszonych ze szczątków zmarłych osobników, złożonych systemów tam i grobli do kierowania wodą płynącą przez ich tereny.

Wydawało się, że ma nieskończoną ilość czasu na tego rodzaju badania. Bądź co bądź, wróciła do domu, nawet jeśli ów dom znacząco się zmienił od ostatniego razu, kiedy w nim była.

Gdy więc ponownie znalazła się w punkcie przygwiezdnym, z niejakim rozczarowaniem stwierdziła, że Właz jest otwarty na oścież.

Wypakowała swoje rzeczy, zagotowała wodę na herbatę, a potem już tylko czekała na nowych gości.

Jak zwykle, pierwszeństwo miały sprawy przyziemne.

Kiedy Stef na czele swojej grupy przeszła przez Właz, od razu stało się jasne, że baniasty dwuosobowy namiot Beth nie pomieści ośmiu osób – czy dziewięciu, gdyby doliczyć ColU. Nie minęła godzina, odkąd Tytus Waleriusz jako pierwszy wyłonił się z Włazu, a już zaczął padać deszcz. Beth musiała zmobilizować Klodię i Chu Yuena, aby pomogli jej złożyć namiot i użyć go w charakterze dachu, rozpiętego pomiędzy rosnącymi blisko siebie trzcinowymi drzewami. Stef zdawała sobie sprawę, że tego rodzaju prowizorka nie na wiele się zda podczas burzy, bo przecież pamiętała, jakie potrafiły być groźne w arduańskiej strefie przygwiezdnej nawet w pogodny dzień. Tym mniejszy byłby pożytek z takiego schronienia, gdyby na Per Ardui nastała gwiezdna zima. Dziś jednak pogoda okazała się łaskawa dla przybyszów, bo deszczowe chmury przyniosły tylko łagodną mżawkę i nie zmokli pod zaimprowizowanym baldachimem.

Beth nawet rozpaliła małe ognisko i zaczęła parzyć herbatę – na liściach, które sama zerwała

z roślin rosnących tu w stanie dzikim, i w garnku, który własnoręcznie ulepiła z gliny.

– Zawsze trochę to trwa, gdy gotuje się bez przykrywki – powiedziała przepraszającym tonem.

Nikt nie miał pretensji. Wszyscy siedzieli bardzo cicho, zgromadzeni wokół ogniska, którego ciepła nie potrzebowali, i cierpliwie czekali na herbatę.

Stef ogarnęła spojrzeniem swoich niezwykłych towarzyszy, rozbitków z kilku zniszczonych rzeczywistości biorących udział w czymś, co można było nazwać uroczystością powitalną. Tytus Waleriusz siedział koło córki opartej o jego muskularne nogi. Rzymianin miał minę człowieka niespokojnego, oszołomionego i osobliwie rozdrażnionego. Kojarzył się jej z bykiem w klatce. Być może wciąż dąsał się na los, który wykluczył go z bitwy pod biegunem habitatu.

Klodia z nieskrywaną wrogością spoglądała na Mardinę, która wcierała olejek w ramiona Chu Yuena. Były niewolnik zdjął koszulę i można się było przekonać, jak bardzo poobcierał go plecak z ColU na plecach i piersi. Stef, która już zaczynała się zastanawiać, jak przetrwają nadchodzące dni i tygodnie, zanotowała sobie w pamięci, że olejek, czymkolwiek był, nie starczy na długo. Przypomniała sobie jednak, że mają ColU, który w tej chwili z mrugającymi w środku światełkami spoczywał na kamieniu, uwolniony z plecaka. Stanowił część maszyny zaprojektowanej specjalnie pod kątem przetrwania na Per Ardui i z pewnością znał mnóstwo receptur – chociażby na olejki do ciała.

Zaraz jednak zorientowała się, że jej babcine troski przesłaniają istotę rzeczy, prawdziwy sens tego, co rozgrywa się na jej oczach. Po przygodzie w Hanan Cuzco dziewczyny okazywały radość z ponownego spotkania z Chu Yuenem, ale oczywiście kryło się za tym coś więcej. Chu był jedynym młodym mężczyzną tutaj, a może i na całym świecie, natomiast Mardina i Klodia były jedynymi młodymi kobietami, choć dzieliło je parę lat. Wydawało się, że Mardinę ciągnie do Chu, lecz trudno było powiedzieć, czy łączy ich jakaś zażyłość. Tak czy inaczej, mieli tu chińskiego Adama i dwie Ewy.

Jak na ironię, realizował się tu schemat opracowany, jeszcze w innej rzeczywistości, przez ISF i kontrolujące Flotę oenzetowskie agencje dla pierwszych kolonistów na Per Ardui: rozproszyć na planecie z pozoru absurdalnie małe grupy, tak po dwanaście osób skrupulatnie dobranych pod względem różnic genetycznych – a dalej niech martwią się sami. Beth była ostatnim żywym wspomnieniem po tym eksperymencie. Koniec końców, osadnicy znaleźli rozwiązanie: odstąpili od planów ISF i zebrali się w strefie przygwiezdnej. Pozostawili jednak za sobą cmentarzysko trupów, niespełnionych żądz i zawiści. Stef przeczuwała, że już sam zdradliwy trójkąt, w którym znaleźli się młodzi, przysporzy im kłopotów.

I byli z nimi jeszcze Inguill i Ari Guthfrithson: siedzieli ramię przy ramieniu po drugiej

stronie ogniska, nic nie mówiąc, przesuwając spojrzenie od twarzy do twarzy, patrząc na prowizoryczne obozowisko zbudowane przez Beth, jak również na las, na strzeliste pnie łodygowych drzew, prawdopodobnie najbardziej obcych form życia, z jakimi dotąd mieli styczność. Beth, która nie zetknęła się nigdy z cywilizacją Inków, zdumiała się na widok kobiety w płaszczu z piór kolibrów. Inguill chciwie chłonęła szczegóły nowego świata, stwierdziwszy tylko za pośrednictwem translacyjnego interfejsu ColU, że jej zadaniem jest głoszenie chwały Sapy Inki.

Jaka przyszłość czekała Inguill i Ariego? Oboje byli uczonymi, osobami nieprzeciętnie inteligentnymi, skłonnymi do manipulowania ludźmi. Oboje, w swych jakże różnych epokach, domyślali się istnienia alternatywnych rzeczywistości na podstawie relacji świadków rozjazdu Jonbara oraz mglistych dowodów, na których trop wpadli samodzielnie. Stef zastanawiała się, jak czują się teraz, kiedy dociekliwość przywiodła ich w to dziwne, odległe, bezludne i niespodziewane miejsce. Obserwując ich, doszła do wniosku, że nie ma pojęcia, co im chodzi po głowie, co knują. Wcześniej pewną podejrzliwość okazywała również Penny; powstrzymała Ariego od przejścia przez Właz w towarzystwie Earthshine'a na tym poprzednim Marsie. Uderzyła ją dziwna myśl: prawdopodobnie miała mniej wspólnego z tymi dwiema osobami, ludźmi z krwi i kości, aniżeli z ColU, umysłem zrównoważonym, analitycznym… i lojalnym.

Tak, lojalnym. Ta refleksja uświadomiła jej, że znów nie dostrzega rzeczy najistotniejszej. Ari, Beth i Mardina byli ojcem, matką i córką, a mimo to praktycznie się do siebie nie odzywali, z wyjątkiem tamtych pierwszych chwil, gdy grupa przeszła przez Właz i zszokowana rodzina się połączyła. Nawet teraz, w ciasnym kręgu wokół ognia, nie mogli usiąść tak, żeby być dalej od siebie. Na domiar wszystkiego był jeszcze Earthshine, do pewnego stopnia dziadek Beth, gdzieś na drugim końcu planety.

– Rodzina… – mruknęła. Pochwyciła wesołe spojrzenie Beth. – Przepraszam, powiedziałam to na głos?

– Przynajmniej przerwałaś ciszę – odparła Beth.

– Być może wszyscy jeszcze jesteśmy w szoku. To była… przedziwna podróż. Nie wiadomo, co mówić.

Beth pokiwała głową.

– Po prostu powiedz, co czujesz. Ty przynajmniej, Stef, już tu kiedyś byłaś. Jak ja. No i ColU.

Jednostka kolonizacyjna słuchała w milczeniu, tylko światełka migotały.

– Wiesz, że mam rację, prawda? – naciskała Beth. – Earthshine nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Ale ty wiesz, że to Per Ardua. Zrozumiałaś to, gdy tylko wyszłaś z Włazu. Jak ja kilka miesięcy temu. Zdradziła cię mina.

Stef przyglądała się pejzażom: ciemnym, przyszarzałym zieleniom arduańskiego świata, wśród których wyróżniały się intensywnością kolorów jasne stanowiska ziemskiej roślinności. Pojawiły się skierowane w dół cienie, kiedy ustał deszcz i chmury odsłoniły tarczę zawieszonego nad nimi słońca.

– Tak – przyznała. – Spędziłam tu kawał życia. Nawet siła ciężkości wydaje mi się znajoma, ta szczególna, niepozorna lekkość, której nie czułam nigdzie indziej. Jasne, że to Per Ardua. Ale inna, co? Żadnych śladów ludzkiej infrastruktury, która dawniej tu była. A przecież w tym miejscu znajdował się główny ośrodek administracyjny ONZ-etu, wokół którego wyrosło duże, nowoczesne miasto. Tylko że nie wiemy, na jakiej ścieżce czasu wylądowaliśmy, nie znamy losów Ziemi ani Per Arduy…

– Na pewno byli tu ludzie – stwierdziła Beth. – Z którejś wersji Ziemi. Innej opcji nie ma. Inaczej nie byłoby herbaty.

– Albo, mówiąc ściślej – odezwał się wreszcie ColU – silnie zmodyfikowanego zdziczałego potomka krzewu herbacianego.

– Zatem zmysły mi podpowiadają, że tak, to Per Ardua – ciągnęła z namysłem Stef. – Lecz różnice są bardzo duże. – Podniosła wzrok na blade oblicze Proximy, które po rozejściu się chmur zaczęło przebłyskiwać przez tkaninę dachu. – Nawet gwiazda wydaje się jakaś inna, nieco odmieniona. Moje zmysły i zdolności percepcji mówią swoje, ale rozum twierdzi, że to nie jest Per Ardua, którą znam. Niezupełnie.

Tytus Waleriusz chrząknął i z gniewnym zniecierpliwieniem pociągnął łyk wody z manierki, która dyndała mu z grubego pasa.

– Wdajecie się w jakieś abstrakcyjne dyskusje – powiedział. – Czy ten świat jest taki, czy owaki. Czy tak go pamiętacie, czy inaczej. Jakie to ma znaczenie? Jesteśmy tu i tyle. – Potoczył wzrokiem po swoich towarzyszach, a także żałośnie skromnych bagażach, tych przyniesionych przez Rzymian i tych należących do Beth. – Nasze ręce, serca, mięśnie i zasoby, które możemy znaleźć. To wszystko, co mamy. Na tym się skupmy. Oraz na tych, z którymi dzielimy ten świat – dodał wymownym tonem, spoglądając na Beth.

– Poza nami nie ma tu nikogo – oświadczyła, westchnąwszy. – Oczywiście nie mogę udowodnić, że jesteśmy sami. Nie przebadałam tej planety kilometr po kilometrze. Ale gdy jeszcze był tu ze mną Earthshine, wykonaliśmy trochę pomiarów. Zapuściłam się całkiem daleko na południowy wschód, kiedy wyruszył w podróż do strefy przeciwgwiezdnej. Nie zauważyłam żadnych ludzi ani śladów ich obecności. Są tu tylko jakieś struktury w skale macierzystej, przysypane grubą warstwą ziemi. – Pokazała im na tablecie zdjęcia zrobione sonarem. –

Chciałabym się mylić, ale moim zdaniem oprócz nas na tym świecie nie ma żywej duszy. Jest tylko Earthshine… gdzieś tam.

– On zaś – powiedziała z przekąsem Stef – ani nie jest człowiekiem, ani nie ma duszy.

– Nie znalazłam nawet śladów zorganizowanego życia, które widziałam tu *przedtem*, kiedy byłam dzieckiem. Budowniczych, ich budowli, fruwających latawców, odpowiedników ryb w rzekach.

– Żadnej zwierzyny? – Tytus prychnął. – No to nie ma się z czego cieszyć. Nie będziemy polować na drzewa.

– Przestań, ojcze. – Klodia poklepała go po kolanie. – Nie bądź czarnowidzem. Jesteśmy Rzymianami, jedynymi Rzymianami na świecie. Mógłbyś zostać cesarzem na Per Ardui. – Zmarszczyła nos. – Ten świat ma już łacińską nazwę. Jakoś nigdy wcześniej o tym nie pomyślałam. Dziwne.

– To długa historia – powiedziała Beth. – Obawiam się, że maczała w tym palce moja matka.

Tytus warknął i pokręcił swoją lwią głową.

– A co mi przyjdzie z podboju tej dziczy? Gdzie znajdę wieśniaków do opodatkowania?

– W każdym razie nie braknie zajęcia – stwierdziła. – Początki już są: mam schronienie, narzędzia. – Uśmiechnęła się. – Wykopałam rów do wychodka. Ale skoro korzystać ma z niego osiem osób, trzeba będzie go szybko powiększyć.

– Trzeba zbierać kompost – oznajmił poważnie ColU. – Przyda się w gospodarstwie, które pewnego dnia tu powstanie.

– Dobra wiadomość jest taka – mówiła dalej Beth – że mamy czym oddychać i wodę do picia. Nie wiem, czy mogliśmy zakładać, że tak będzie, po drugiej stronie Włazu, na Marsie. Jest nawet co jeść. Herbata to jeszcze nic. Natknęłam się tu na warzywa okopowe, groch, fasolę, kabaczki, nawet zdziczałą odmianę kukurydzy.

Stef powoli oswajała się z tą nowiną.

– Dzikie odmiany roślin jadalnych prawdopodobnie sprowadzonych z Ziemi. Z jakiejś Ziemi.

– Można je ponownie udomowić, potrzeba tylko trochę czasu i cierpliwości – stwierdził ColU.

– Czasu, to na pewno. Powiedz mi, ColU, ile czasu musi upłynąć, żeby powstały tak zróżnicowane odmiany?

– Niewiele. Znacznie mniej niż potrzeba, żeby znajdujące się tutaj, w strefie przygwiezdnej, zabudowania zwietrzały do samych fundamentów, a potem pokryły się wielometrową warstwą ziemi. To dużo lepszy miernik czasu. Zapewne upłynęła tu cała epoka, którą mamy za sobą, w przeciwieństwie do krótkiego czasu, który, jak się obawiam, nam pozostał.

Wszyscy wpatrywali się w małe inteligentne urządzenie z migającymi lampkami.

– Jak zawsze sypie zagadkami – stwierdziła z irytacją Stef.

– Ten pokręcony kawałek szmelcu, wiecie – burknął Tytus – traci ludzkie cechy, gdy nie siedzi w torbie u chłopaka. Gdy widać, czym naprawdę jest. Chciałbyś nam coś zakomunikować, szklany demonie?

ColU zachował milczenie.

– Pogadam z nim – wtrąciła Beth. – Pamiętajcie, że wychowywałam się przy nim. Dowiemy się, co mu chodzi po głowie, i obgadamy temat.

– Tak czy siak, naszym priorytetem jest zadbać o wychodek, o czym już wspomniałaś – powiedział Tytus. – Zabraliśmy z „Malleusa" szpadle i inne narzędzia. Byłem w wojsku, więc dla mnie przynajmniej to nie pierwszyzna. – Pogłaskał córkę po ramieniu. – Także dla mojej Klodii, która spędziła dzieciństwo w obozach wojskowych.

– Mogę kopać rów – zgodziła się wspaniałomyślnie Klodia. – Chciałam służyć w wojsku, zanim wszystko się pochrzaniło.

Stef przyglądała się Tytusowi.

– To nie będzie życie, do jakiego przywykłeś, Tytusie Waleriuszu. I ty, Klodio.

– Idziemy tropem Earthshine'a – stwierdził lakonicznie ColU.

– No tak, ale…

– Szklany demon ma rację – rzekł Rzymianin. – Taki cel postawiliśmy przed sobą. Tego właśnie się spodziewałem i to wszystko, czego się spodziewałem. W tej kwestii nic się nie zmieniło. – Popatrzył na łodygowe drzewa i tarczę Proximy, której blask przesiewał się przez zadaszenie. – Dlatego tu przybyliśmy: bo wcześniej przybył tu Earthshine. Musimy pamiętać, że nie jesteśmy jedynymi aktorami tego przedstawienia. Są jeszcze istoty, które kontrolują Włazy…

– Śniący – wpadła mu w słowo Beth. – Tak nazywa je Earthshine. Także inaczej, ale to niecenzuralne słowa.

– Budujemy te Włazy my, Rzymianie, oraz wy, Inkowie – kiwnął głową w stronę Inguill – ale nie umiemy sterować ich funkcjami, prawda? Nie znamy miejsc, które łączą. Nie wiemy, jak przenoszą podróżnych z miejsca na miejsce, z jednego świata na drugi. Jak tresowana małpa, która ładuje węgiel do kotła parowozu bez pojęcia, dokąd wiodą tory. Właz jest zagadką nawet dla Earthshine'a.

Stef musiała przyznać mu rację. W jej ojczystej rzeczywistości Właz w arduańskiej strefie przygwiezdnej łączył się z Włazem na Merkurym, nie na Marsie. Może nadal tak było w jakiejś sferze wielowymiarowego wszechświata. Na potrzeby ich ostatniej podróży zmieniły się lokalizacje i wędrowcy zostali posłani inną drogą…

– Śniący posłali Earthshine'a właśnie w to miejsce, na tę planetę, jakkolwiek sobie ją

nazwiecie, choć całkiem możliwe, że mogli go wysłać gdzie indziej – ciągnął legionista. – I pozwolili nam pójść za nim. Tak, pozwolili! Śniący są jak nasi dawni bogowie, nim światło Jesu opromieniło Cesarstwo. Zazdrośni bogowie, którzy bez przerwy wtrącają się w sprawy ludzi. Zostaliśmy sprowadzeni tu w określonym celu, którego na razie nie rozumiemy. – Potrząsnął swoją wielką głową. – My, Rzymianie, mamy we krwi poczucie obowiązku. Świadomość misji. Jeśli o mnie chodzi, to jeszcze się z niej nie wywiązałem. A jeśli pierwszym krokiem ma być wykopanie rowu do wychodka… No cóż, powiem wprost: od tego kroku zaczynało się zdobywanie prowincji. Więc bierzmy się do roboty. Gdy tylko zaparzy się herbata. Hm, pamiętam taką kampanię, kiedy…

Nikt go już nie słuchał. Beth rozdała kubki i zaczęła nalewać herbatę, gdy woda wreszcie się zagotowała.

Stef spojrzała na Inguill i Ariego, którzy praktycznie nic nie mówili, odkąd znaleźli się w nowych realiach.

*

W sercu tego świata, jak w sercach stu miliardów innych…

W ciszy podziemi starzejącej się planety…

Panowało uczucie zadowolenia.

Śniący niewiele wiedzieli o stworzeniach, których los był przedmiotem ich manipulacji. Niewiele wiedzieli o naczelnych istotach z substancji białkowych, a jeszcze mniej o zrodzonym w ich zakładach tworze drugiej kategorii z krzemu i metalu – tworze, który wyrządził tyle krzywd pogrążonym we śnie. Należąc do silnie zespolonej społeczności, mieli znikome wyobrażenie tego, czym jest indywidualność i tożsamość jednostki.

Nie było dla nich oczywistością nawet to, czy te stworzenia są inteligentne.

A więc dla zminimalizowania ryzyka pomyłki Śniący pozwolili istotom białkowym, zapatrzonym w swojego krzemowo-metalowego przewodnika, podążyć za nim do tego miejsca, które było przystankiem ostatecznym. Może byli potrzebni do dopełnienia jego egzystencji? A może w jakiś sposób uzupełniali jego intelekt, tworząc swoistą całość? Może ta zespolona grupa osiągnie zrozumienie niedostępne dla jednostki, jak to się stało w przypadku Śniących?

W pewnym sensie Tytus Waleriusz miał rację. Grupa wypełniała pewną misję, zleconą im przez Śniących. Wcale nie kierowali się współczuciem, doprowadzając do połączenia się grupy na tym właśnie świecie i w tym właśnie czasie, gdy ich staraniem Beth Eden Jones spotkała się z córką i ojcem swego dziecka. Nie była to manipulacja w ludzkim pojęciu tego słowa. Chodziło raczej o zaprowadzenie porządku. Zamknięcie pewnych spraw.

Lecz czasu nie zostało wiele i było go coraz mniej.
Sen o końcu czasów nabierał znamion realności.

Rozdział 60

Nowo przybyli zgodzili się mierzyć czas według zegara i kalendarza ustalonego przez Beth, aczkolwiek jej dwudziestoczterogodzinny cykl dobowy rozmijał się o kilka godzin z ich własnym, którego trzymali się jeszcze w Yupanquisuyu. Co oznaczało, że na pierwszy spoczynek musieli się udać kilka godzin później, a potem spać w niewygodach na tymczasowym posłaniu, pod zbyt krótkim zadaszeniem.

Beth, najlepiej przystosowana do warunków panujących na Per Ardui, chętnie położyła się pod gołym niebem. Stef zastanawiała się, czy dzięki temu nie jest jej łatwiej przywyknąć do towarzystwa, przezwyciężyć nieuniknione przecież rozdrażnienie z powodu tego najścia na jej mały świat, który tu dla siebie budowała – nawet jeśli wśród intruzów była jej córka.

Rano Beth podała śniadanie złożone ponownie z herbaty, ale i jedzenia, które posiadała dzięki uzbieranym zapasom. Przede wszystkim były to ziemniaki, gotowane i wysuszone. Nowo przybyli jedli łapczywie, lecz bez zachwytów, i Beth wydawała się lekko zażenowana tym, że nie może im podać nic lepszego – co było uczuciem całkowicie absurdalnym, lecz zrozumiałym.

Tytus powołał ekipę – on, Klodia, Ari i Inguill – do powiększenia rowu ściekowego.

– Samo się nie zrobi! – oświadczył.

Beth zabrała Stef, Mardinę i Chu, który niósł plecak z ColU, na krótki obchód po swoim małym gospodarstwie.

Miejsce zostało przez nią trafnie wybrane, co Stef stwierdziła już na pierwszy rzut oka. Beth założyła obóz na niewielkim wzniesieniu, z dala od zdradliwych rzek; w swoim życiu oglądała skutki monstrualnych powodzi. Jednak na niżej położonym terenie, całkiem niedaleko, płynął strumień, do którego mogli chodzić po wodę. Z kolei na szczycie wzniesienia rósł zagajnik, który dostarczał drewna na opał i innych materiałów. Beth naprawdę przykładała się do pracy. Mając baniasty namiot, rozpoczęła konstrukcję przybudówek i tipi z wykorzystaniem łodyg młodych drzew oraz prętów, z których wykonała coś na podobieństwo strzechy. Pod dachem przybudówek, jak również w wykopanych jamach urządziła sobie spiżarnie do magazynowania resztek racji żywnościowych zabranych w podróż z Marsa i tego, co udało jej się zdobyć tutaj. Pracowała nawet nad wozem.

Kiedy rozglądały się po gospodarstwie, Stef miała przed sobą dowody na to, że Beth Eden Jones jest pionierką i córką pionierów, którzy przez dziesięciolecia jakoś sobie radzili w tej pozaziemskiej dziczy. Zapewne instynktownie zaczęła korzystać z doświadczeń zebranych

w tamtych czasach – doświadczeń, które prawdopodobnie okazały się całkowicie bezużyteczne na Ziemi po tym, jak jej rodzice wrócili przez Właz na Merkurego. Na pewno cieszyła się, że wreszcie może zastosować w praktyce zdobyte umiejętności. Że to, co robi, znów ma sens.

Beth pokazała im zegary.

Sporządziła cały zestaw przy użyciu piasku i wody sączącej się z lejków utkanych z martwych łodyg: prowizoryczne klepsydry działające niezależnie od siebie. Na leżącej obok kłodzie nacięciami zaznaczała dni.

– Mam dwa czasomierze – oświadczyła. – Zegarek na rękę i chronometr, który Earthshine wyciągnął dla mnie z aparatu wspierającego. To zaś jest moja rezerwa na wypadek, gdyby padło zasilanie…

– Pomiar czasu nie będzie już problemem – oznajmił beznamiętnie ColU. – Mam wbudowane chronometry, które…

– …będą działać, dopóki tobie nie skończy się energia – przerwała mu stanowczo Beth. – Moja matka, porucznik ISF, wpoiła we mnie podstawowe zasady. Powinieneś o tym wiedzieć, ColU. Zawsze trzeba mieć coś w rezerwie.

Stef miała wrażenie, że ColU zachichotał. Odkąd to roboty rolnicze potrafiły się śmiać?

– Jak za dawnych lat, Beth Eden Jones – stwierdził.

– Żebyś wiedział. Moim celem są węższe szyjki i większe brzuchy, których nie musiałabym tak często napełniać, na przykład przez kilka dni, dzięki czemu mogłabym robić porządne wypady bez strachu, że stracę rachubę czasu.

– Już nie będziesz ich potrzebować, mamo, skoro jesteśmy tu z tobą – powiedziała Mardina. – Byle w obozie została choć jedna osoba, która popilnuje ognia, uzupełni wodę w zegarach i tak dalej…

Swobodnie trzymała za rękę milczącego Chu Yuena, co Stef natychmiast zauważyła. Posłała znaczące spojrzenie Beth, która odpowiedziała uniesieniem brwi. Dziewucha zazdrośnie strzegła chłopaka i do diabła z Klodią o sarnich oczach…

– Gdybym wiedziała, że zjawicie się całą gromadą – powiedziała lekkim tonem Beth – nie zaprzątałabym sobie głowy tym wszystkim. Na razie chodźcie zobaczyć, co jeszcze zbudowałam.

Z dumą zaprezentowała oczyszczone przez siebie poletka z obsianymi grządkami.

– Może i nie doczekam się zbiorów w pełni udomowionych ziemniaków, fasoli i czego tam jeszcze, ale zawsze to dobry początek.

– Oczywiście – rzekł ColU. – Od teraz mogę ci doradzać, więc możesz liczyć na szybsze postępy.

– Doradzać? – wzburzyła się Beth. – Szło mi całkiem nieźle, nim się zjawiłeś, zezłomowany gruchocie…

– Praca dobrze ci robi, mamo – stwierdziła szybko Mardina. – Od lat nie miałaś tak szczupłej, wysportowanej sylwetki.

– Dzięki – odpowiedziała oschle Beth.

– Zbierane tu plony pozwolą napełnić spiżarnię przed zimą – powiedziała Stef – gdyby Proxima znów postanowiła dać nam się we znaki.

– Mało prawdopodobne, by miała nadejść zima – mruknął ColU, patrząc za pośrednictwem tabletu na piersi Chu. Torba nieco tłumiła dźwięk. – Ta Proxima Centauri, którą widzimy nad sobą, różni się od tamtej bestii, którą pamiętamy, pułkownik Kalinski. Przestała być nieprzewidywalna. Z pewnością rozbłyski są dziś znacznie rzadszym zjawiskiem.

– Też to zauważyłam – przyznała Beth. – Ale i tak postanowiłam się zabezpieczyć. – Wskazała położony sto kroków dalej ogród stromatolitów, skupisko form przypominających stoły, połyskujących brązowo w rozmytym blasku słońca. – Wybrałam sobie schron przeciwburzowy, w którym się schowam. Przebiłam się już nawet przez skorupę. Oczywiście, trzeba będzie poszerzyć otwór, żeby zmieścili się wszyscy. Ale… – Uniosła twarz w stronę, gdzie wisiało na niebie wielkie cielsko Proximy. – Nie wiem, co tu się dzieje. To jest Proxima, ale dlaczego tak bardzo różni się od tamtej, którą pamiętam? Nawet rozjazdy Jonbara nie zmieniały Ziemi w takim stopniu, choć ludzkość potrafiła ją skrzywdzić.

– I po to właśnie tu jesteśmy, żeby znaleźć odpowiedzi na takie pytania – rzekł ColU. – To samo można powiedzieć o Earthshinie, zwłaszcza o nim, nawet jeśli jego metody dochodzenia prawdy są dość destruktywne. Chu Yuenie, mógłbyś się obrócić? Przekręć tablet, żebym widział niebo, ale też kawałek krajobrazu. A ty, Beth Eden Jones, pokażesz mi garść gleby, którą uprawiasz z takim trudem?

– Co chciałbyś w niej zobaczyć? Dobra, niech ci będzie…

Stef patrzyła, jak dawny niewolnik obraca się w miejscu powolnym, pełnym gracji ruchem. Obserwowała go również Mardina. Miał dziewiętnaście lat, może dwadzieścia. Spędziwszy kilka dni w jego towarzystwie, Stef wiedziała, że chłopiec ćwiczy, żeby być w lepszej formie fizycznej, a także uczy się, czytając z tabletu, najczęściej w samotności. Wszystko po to, jak twierdził, żeby lepiej służyć ColU. Stef czuła, jak budzą się w niej jakieś dalekie echa zmysłowego pożądania. Gdyby była w stanie odmłodnieć o kilkadziesiąt lat, trójkąt Mardiny, Klodii i Chu mógłby się łatwo przeobrazić w czworokąt…

Trzymając pryzmę ziemi w złączonych dłoniach, Beth uśmiechała się wymownie do Stef.

– Beth Eden Jones, potrzymaj ziemię przed tabletem. O tak, właśnie! Widzisz?

Stef i Mardina podeszły, żeby się przyjrzeć. W ciemnobrązowej glebie wiło się coś bladoróżowego. Ku swojemu niepomiernemu zdumieniu Stef stwierdziła, że to dżdżownica. Niby nic niezwykłego, lecz to stworzenie ryło ziemię w innym układzie planetarnym!

– Żadna niespodzianka – wyjaśnił ColU. – Ziemski ziemniak potrzebuje ziemskiej gleby, którą tworzy nie tylko ziemia. Gleba jest złożoną strukturą, bogatą w składniki odżywcze. Pamiętasz, Beth Eden Jones, jak moim priorytetowym zadaniem, gdy pomagałem twoim rodzicom w pierwszych dniach osadnictwa, było wyprodukowanie gleby z wykorzystaniem arduańskiej ziemi?

Roześmiała się.

– Pamiętam, że podczas przeprowadzek musieliśmy ze sobą wlec całe jej tony.

– W moim ciele, które później utraciłem, miałem nawet sztuczne łono, w którym można było wyhodować z komórek macierzystych dżdżownice i inne niezbędne organizmy. Oczywiście korzystałem ze swoich funkcji, żeby wkraść się w łaski Rzymian na planecie w układzie Romulusa. Ale zaprojektowano mnie z myślą o Per Ardui. Teraz patrz, co tu mamy. Glebę, która ewidentnie nie jest ziemska ani arduańska, lecz korzystają z niej tutejsze formy życia, chociażby łodygi, a dżdżownica, która wygląda, jakby wczoraj porwano ją z farmy w Kansas, przewierca się przez nią bez problemów.

Bogatsza o nową wiedzę, Beth z wytrzeszczonymi oczami gapiła się na stworzenie.

– Jakoś nie przyszło mi to do głowy, kiedy przekopywałam grządki i przerzucałam robaki z miejsca na miejsce. I co teraz?

– Pułkownik Kalinski, ile potrzeba czasu twoim zdaniem, żeby dżdżownice zasiedliły kontynenty na Per Ardui? Ile czasu musi upłynąć, żeby wytworzył się taki jak ten nowy ośrodek ekologiczny?

– Jestem fizykiem, nie biologiem – odparła, nieco zdezorientowana. – Wydaje mi się, że cała epoka.

– O wiele więcej niż kilka dziesięcioleci, odkąd zjawili się tu ludzie. Przynajmniej tych dziesięcioleci, które pamiętam.

– Przechodząc przez Włazy, przeskakiwaliśmy z lokalizacji do lokalizacji – rzekła Stef, zamyślona. – Rozjazdy Jonbara przenosiły nas do innej rzeczywistości. Nie było jednak skoków w czasie, mam rację? Nie liczą się, oczywiście, opóźnienia związane z prędkością światła. Przechodzenie z Merkurego na Per Arduę było jak teleportowanie się na inną planetę, a że sygnał potrzebował czterech lat do pokonania tej drogi, wychodziło się cztery lata później.

– A gdy mijaliśmy rozjazdy Jonbara – dodał ColU – pomijając opóźnienia związane z prędkością światła, jak powiedziałaś, wedle moich obliczeń kalendarze zawsze się

synchronizowały. Znajdowaliśmy wspólny punkt odniesienia, na przykład moment założenia Rzymu, i za każdym razem mieliśmy chronologiczną zbieżność…

– Chcesz powiedzieć, że tym razem przemieściliśmy się w czasie? – zapytała nieco drżącym głosem Mardina. – Jesteśmy gdzieś w przyszłości? Daleko? Co się stanie, jeśli spróbujemy wrócić przez Właz? I… dlaczego to się stało?

– Na razie mam tylko mgliste przypuszczenia – odparł spokojnie ColU. – Musimy poczekać, aż dowiemy się czegoś więcej.

– Okej – powiedziała Beth. – W takim razie chodźcie, zaraz się czegoś dowiecie…

Oddalili się jeszcze bardziej od obozu. Beth zeszła z nimi z łagodnego wzniesienia do strumyka, który wartko płynął w wąskim korycie. Tutaj wodę i nadbrzeżną skarpę trzciny porastały gęściej.

Brodząc w wodzie, która ochlapywała jej buty, Beth kucnęła, żeby dotknąć złamanej łodygi – niemalże z czułością.

– Jednym z powodów, dla których postanowiłam zamieszkać w strefie przygwiezdnej, było to, że ziemskie życie ma się tu najlepiej. Przynajmniej rośliny, które widziałam; nie rozglądałam się za dżdżownicami. Musiałam uprawiać ziemię, żeby przetrwać, to normalne. Ale jeśli wybierzecie się dalej, napotkacie tereny przypominające Arduę, jaką znasz, Stef, i ty, ColU. Są trzcinowiska, tubylcze lasy, stromatolity. Tylko budowniczych nie ma, nie został po nich nawet ślad. Nie ma gnojowisk, tam, latawców. Nie ma złożonych form, które poznawaliśmy, kiedy dorastałam. Do licha, bez nich byłoby trudniej…

– Koniec z Panem Patyczkiem – powiedział łagodnym tonem ColU.

– Co się z tym wszystkim stało, ColU?

– Czyżby wydarzył się kolejny rozjazd Jonbara? – zastanawiała się Stef. – Byłam tam wtedy, Beth, kiedy cię przesłuchiwaliśmy, pamiętasz? Kiedy wyszłaś z Włazu na Merkurym. Wspominałaś wtedy o śladach znacznie bardziej rozwiniętej cywilizacji stworzonej przez budowniczych.

– Pamiętam. Widzieliśmy mapę wewnątrz Włazu, kawałek czegoś jak pergamin. Z globalną siecią kanałów…

– Której śladów nigdzie nie widzieliście – wtrąciła Stef. – Ani wy, ani później ekspedycje badawcze ludzi. Prawdopodobnie wymazał je rozjazd. Jak sądzisz, ColU, to mogło się powtórzyć?

– Szczerze wątpię. Widzieliśmy przecież, że rozjazdy Jonbara tylko odmieniają losy inteligentnych form życia, nie likwidują ich całkowicie.

– Chcesz powiedzieć – powiedziała kwaśno Beth – że robią z nich lepszych budowniczych Włazów. Jak w przypadku ludzi kosztem kulturowych przemian.

– Dokładnie. Oczywiście, jest to proces mało delikatny. Budowniczowie, których widzieliśmy, musieli zatracić te umiejętności w zamierzchłej epoce. Uważam, że to, z czym się tutaj spotykamy, nie jest skutkiem rozjazdu Jonbara, lecz…

– …upływu czasu – dokończyła Stef. Rozglądając się, zaczynała wszystko lepiej rozumieć. – Także planety, fundament życia, z czasem ulegają przeobrażeniom. Trudno mi się w tym rozeznać, ColU, trudno mi nadążyć za twoimi domysłami. Jestem, albo raczej byłam, fizykiem, nie antropologiem, mimo to powinnam umieć ogarnąć olbrzymie odcinki czasu. Bo po pewnym niezmiernie długim czasie karłowate gwiazdy w rodzaju Proximy starzeją się i stabilizują. Pokornieją. Także planety wypalają się od środka. Zamierają procesy wulkaniczne, ruchy tektoniczne. Na Per Ardui sporo się działo, kiedy byłyśmy tu ostatnio, Beth, a na dokładkę Proxima serwowała nam rozbłyski i gwiezdne zimy. Teraz jest tu o wiele spokojniej. Cichszy świat z cichszym niebem. A na cichym świecie…

– …można wieść ciche życie – powiedział ColU. – Beth Eden Jones, duży mózg to energochłonny narząd. Na wyciszonej Per Ardui takie luksusy dawno zanikły w procesie ewolucji. Po co komu mózg, skoro wystarczy znaleźć nagrzany kamień, rozłożyć na nim fotosyntezujące liście i pławić się w słońcu w nieskończoność?

Beth rozejrzała się wkoło.

– I to właśnie spotkało budowniczych? – zapytała. – A jeśli ewoluowały wstecz, powróciły do postaci łodyg, z których kiedyś powstały, ile czasu musiało upłynąć?

– I znów wracamy do tematu czasu, ColU – powiedziała Stef. – Całych wieków.

– Zegar tyka – stwierdził ColU. – Uświadomiłem to sobie, gdy mogłem badać wszechświat na pokładzie „Malleusa Jesu” w otchłani międzygwiezdnej. Docierające z kosmosu echa zdarzeń przeszłych i przyszłych.

– Jaki zegar? – zapytała z rosnącym zniecierpliwieniem Stef. – Jakie zdarzenia?

– Beth Eden Jones, spisałaś się na medal, robiąc wszystko, żeby przeżyć. Ale naszym zadaniem jest coś więcej niż przeżycie. Musimy odnaleźć Earthshine’a, póki to jeszcze możliwe. Tutaj nie widzę nieba, nie widzę go w dzień, który nigdy się nie kończy… Muszę zobaczyć niebo, muszę…

– Dlaczego? – zapytała ostro Stef.

– Bo ono jest moim tykającym zegarem.

– W takim razie lepiej już wracajmy – powiedziała Beth.

– Tak. Musimy ruszyć za Earthshine’em, udać się do strefy przeciwgwiezdnej… Musimy przejść na mroczną stronę świata. Trzeba będzie się przygotować: ciepłe ubrania, żywność.

Powiem wam więcej, gdy zdobędę pewność – tłumaczył cierpliwie ColU. – Na razie zacznijmy planowanie. Przed nami długa podróż… Chu Yuenie, idziemy?

Kiedy Chu odwrócił się, żeby ruszyć w drogę powrotną do obozowiska, Stef zauważyła, że Mardina chwyta jego dłoń i mocno ją ściska.

Rozdział 61

Kiedy Stef wróciła do obozu i rozpoczęły się rozmowy o wyprawie do strefy przeciwgwiezdnej, Ari odciągnął na bok Inguill.

Oddalili się od grupy pod pretekstem sprawdzenia rowu ściekowego, który kopali. Kiedy byli pewni, że nikt ich nie usłyszy, Ari wyciągnął swoją słuchawkę.

– Znam łacinę – oświadczył w tymże języku. – A ty?

– Trochę. – Inguill również usunęła słuchawkę. – Uczyłam się jej w czasie swoich badań historycznych. Dzięki kontaktom z waszą grupą odświeżyłam wiedzę.

Ari wziął jej słuchawkę i odniósł obie na bezpieczną odległość.

– Zatem możemy się porozumiewać w tym języku. Wolałbym, żeby nasza rozmowa nie dotarła do Koliusza.

Uśmiechnęła się.

– Chyba wiem czemu.

Przyglądał jej się uważnie.

– Ty i ja różnimy się od nich…

– Od tych, wśród których jest twoja córka i jej matka? – odparła z przekąsem.

Również się uśmiechnął.

– To długa historia. Mniejsza z tym. Ty i ja sięgamy wzrokiem dalej niż tamci. Inaczej nie wybralibyśmy się w tę niewiarygodną podróż na wskroś pokładów rzeczywistości. Raz mnie nawet powstrzymali, gdy chciałem kroczyć tajemnymi drogami wraz z Earthshine’em, przejść przez Właz na innym Marsie. I teraz jesteśmy tutaj, w tym miejscu, gdziekolwiek się ono znajduje…

– Gdziekolwiek i kiedykolwiek.

– Nie będziemy tu przecież kopać rowów.

– Tu pełna zgoda.

– Albo sadzić ziemniaków. Albo budować szop. Albo czekać, aż moja córka i Klodia Waleria wydrapią sobie oczy przez tego zyńskiego chłopaka.

Znów się roześmiała.

– Też to zauważyłeś? Więc po co tu jesteśmy, Ari Guthfrithsonie?

– Nie domyślasz się? Intrygują nas rozjazdy Jonbara. Wymazywane są całe historie, jakby starła je czyjaś ręka. Posiadać taką moc…

– Myślisz, że to jest cel poszukiwań Earthshine’a?

– Tego też się jeszcze nie domyślasz? – Oczy mu błyszczały. – W tej chwili moja żona i cała reszta pod przewodnictwem Koliusza zastanawia się nad ekspedycją. Pomaszerujemy tam, gdzie zimno i ciemno. Ale najpierw zbierzemy zapas warzyw okopowych, żeby nie groził nam głód. Tempo marszu będzie dostosowane do najwolniejszych z nas. I bez przerwy będzie nas kontrolował Koliusz.

– Co proponujesz, Ari?

Podszedł do niej na tyle blisko, żeby usłyszała jego szept. Na twarzy miał twardy wyraz zdecydowania. W jego oddechu wyczuła zapach gotowanych ziemniaków.

– Proponuję wyruszyć już teraz, ty i ja, nikt więcej.

Przeczuwała, że usłyszy właśnie taką odpowiedź, mimo to jej serce zabiło mocniej.

– Mówimy o wędrówce na drugi koniec świata. Jak…?

– Znajdą się sposoby, żeby nie trwało to długo. Możemy iść po śladach Earthshine’a. – Wskazał kierunek południowo-wschodni. – Widać je doskonale. Jeśli chodzi o żywność, to wystarczy nam tego, co uskładała moja żona.

Uśmiechnęła się łobuzersko.

– Jeśli ją okradniesz.

– Tak, inaczej się nie da. Skafander ciśnieniowy, którego nie wyrzuciła po przejściu przez Właz, powinien zapewnić nam ciepło. Jest zaprojektowany z myślą o trudnych warunkach na Marsie i składa się z wielu warstw, które można rozdzielić. One spokojnie nas ochronią przed chłodami Per Arduy. Moglibyśmy zabrać narzędzia, a nawet broń.

– Zrobisz to swojej żonie?

Wzruszył ramionami.

– Nie myślę o tym w ten sposób. Być może ratuję ją przed skutkami jej własnej głupoty.

– Co będziemy z tego mieli?

– Moc, której tak bardzo pragnie dla siebie Earthshine. Potężną moc dla tych, którzy nie boją się po nią sięgnąć. I będą jej godni.

Westchnęła głęboko.

– Czuję się… oczarowana. Właściwie od początku, odkąd zaczęłam rozwiązywać tę tajemniczą zagadkę rozwarstwiającej się historii. Jakbym znowu była dzieckiem, które zjeżdża z górskiego lodowca, tracąc wszelką kontrolę… Oboje opuściliśmy nasze światy, znaną rzeczywistość, historię, kulturę. I oto mówimy o pójściu w mrok. Po śmierć… lub nieznane zaszczyty. – Popatrzyła na niego. – Wierzysz, że gdy skończyła się wasza historia, wraz z nią umarli bogowie?

Ponownie wzruszył ramionami.

– W chrześcijańskiej tradycji Jesu umarł i znowu żył. W tradycji moich przodków wszyscy bogowie giną w wielkiej bitwie na końcu czasów. Potem zaczyna się nowy cykl.

Pokiwała głową.

– Także nasi kapłani mówią o cyklach nieszczęść, które dzielą czas. Być może gdzieś w podświadomości nasi przodkowie wiedzieli, że to prawda, że Śniący ingerują w nasze sprawy. Kimkolwiek są.

– No więc idziesz ze mną? – zapytał. – Ośmielisz się żyć dłużej niż twoi bogowie?

Znów westchnęła.

– To kiedy wyruszamy?

Rozdział 62

Stef zauważyła, że Tytus Waleriusz, podobnie jak Ari i Mardina, z wielkim trudem przyzwyczaja się do niekończącego się dnia Proximy. Legionista nie potrafił tak ułożyć sobie codziennych zajęć, aby spać w nocy.

Był jednak w swoim żywiole, gdy przyszło mu planować wyprawę do strefy przeciwgwiezdnej. Nie zrażała go nawet zdrada Ariego i Inguill, którzy zabrali znaczną część zapasów i narzędzi. Z takimi przeciwnościami losu umiał radzić sobie od ręki.

– A więc mamy przemierzyć cały ten pusty świat? Phi! Był czas, kiedy maszerowało się z jednego końca Europy na drugi, przechodziło przez Afrykę, Walhallę Dolną i Górną, a nawet zapuszczało daleko w głąb Azji. Podejmowaliśmy marsze przez wrogie terytoria, do mroźnej tundry, gdzie na skraju lasów porastających kontynent czają się dzicy jeźdźcy. Przez walhallańskie dżungle, gdzie pod każdym liściem chowa się skorpion, a każdy cień może się okazać małym, chudym wojownikiem z dmuchawką. Jakie niebezpieczeństwa nam tu grożą? To, że potkniemy się o dżdżownicę? Uda się nam. Poprowadzę was. Będziemy maszerować, a marsz jest codziennością rzymskiego żołnierza. Jeśli starczy nam sił, to może zagonię was do budowy drogi, abyśmy mieli ułatwiony powrót. Pamiętam taką jedną kampanię…

– Ładne wystąpienie, Tytusie Waleriuszu – przerwała mu z uśmiechem Stef. – Tylko że nie wierzę w żadne twoje słowo. Po pierwsze, nie jesteś mierniczym ani rysownikiem map. Podczas wyprawy nikt nie wypowie nam wojny. Tu wszystko zależeć będzie od planowania, logistyki, środków przetrwania.

– Środków przetrwania? Tu dziko rosną buraki i ziemniaki! To będzie jak spacerek w posiadłości cesarza Hadriana.

Popatrzyła mu w oczy.

– Jak myślisz, ColU, czy on ma pojęcie, na co się porywamy?

ColU leżał między nimi na kocu, który rozłożyli na rdzawej ziemi u wejścia do szałasu. Nieopodal płonął mały ogień, na którym powoli grzał się następny garnek z wodą.

– Tytus Waleriusz jest dzielnym człowiekiem i mamy szczęście, że jest z nami.

– Zgrabnie z tego wybrnąłeś. – Odsłoniła zęby w uśmiechu.

Tytus Waleriusz ściągnął brwi.

– Może więc mnie oświecisz, gwiezdna damo. Wytłumacz mi, co nas czeka podczas tej wyprawy, a czego ja nie rozumiem.

– Już raz to przerabiałam, Tytusie. Przede wszystkim będziemy musieli przemierzyć połowę obwodu planety. – Złamaną łodygą narysowała na ziemi koło, obok zaś sporych rozmiarów gwiazdę. – To jest Proxima, nasze słońce. Koło to Per Ardua, planeta. Per Ardua zawsze jest zwrócona do słońca tą samą stroną. A więc… – Śmiałym ruchem przecięła koło na dwie połowy i podziobała tę przeciwległą względem słońca. – Jedna strona jest oświetlona, druga zawsze w cieniu; tam nigdy nie kończy się noc. Punkt najbliżej gwiazdy w strefie przygwiezdnej jest tutaj. – Zostawiła odcisk palca na powierzchni planety. – Tu się znajdujemy. Dlatego ciągle mamy nad głową słońce. Strefa przeciwgwiezdna jest po przeciwnej stronie świata. – Zrobiła drugi znak palcem. – Tak daleko od nas, że już dalej nie można. Żeby się tam dostać… – Przerywaną linią naszkicowała trasę z jednej strefy do drugiej. – Widzisz? Najkrótsza droga, którą musimy pokonać, jest równa połowie wielkiego koła. Ale tylko przy założeniu, że nigdzie nie zboczymy. A przecież trzeba nadkładać drogi, żeby ominąć łańcuchy górskie, oceany, nieprzebyte lasy i lodowce. Więc jak się przedstawia odległość, ColU?

– Per Ardua jest trochę mniejsza od Ziemi. Około dwunastu tysięcy mil rzymskich.

– Rozumiesz już, Tytusie? Połowa z tego za dnia, połowa po ciemku. Sześć tysięcy mil po skutej lodem ziemi i zamarzniętych morzach.

– Po ciemku? – Mina mu zrzedła. – Gdzie nic nie rośnie?

– Nic oprócz sopli w twojej brodzie. Otóż to. Domyślasz się już, co nas czeka? A my wtedy mieliśmy pojazd, byliśmy zmotoryzowani. Mimo to dostaliśmy w kość. Tymczasem Beth buduje wóz.

Tytus pokiwał głową.

– Jeśli jej się uda, ktoś będzie musiał go ciągnąć. Nie mamy parowozu ani zwierząt pociągowych. Podczas marszu, bez transportu kołowego, pokonujemy średnio dwadzieścia mil dziennie. W takim razie podróż zajmie nam…

Uśmiechnęła się.

– Pozwól, że sama policzę to w głowie. Sześćset dni. Niewiele mniej niż dwa lata!

– W tym rok na mrozie i w ciemnościach, gdzie nic nie rośnie.

Pokiwała głową.

– Łatwo snuć marzenia o dotarciu do strefy przeciwgwiezdnej, Tytusie, ale to może przerosnąć nasze siły.

– Powinnaś być centurionem, pułkownik Kalinski – rzekł z uśmiechem.

– Tak myślisz?

– Nie mówi się Rzymianinowi, że coś jest niemożliwe. Rzymianie nie znają ograniczeń.

– Jedna rzecz działa na naszą korzyść – odezwał się ColU. – Ari i Inguill idą przed nami,

tropem Earthshine’a. Będziemy mogli posuwać się po śladach dobrze widocznych na powierzchni tego statycznego świata. Nawet jeśli Ari i Inguill nie mają pojęcia, w co się pakują, Earthshine z pewnością wie, co robi. Niewątpliwie zabrał ze sobą pełen zasób informacji na temat Per Arduy, zgromadzonych przez badaczy w naszej ojczystej rzeczywistości.

Tytus zmarszczył brwi.

– Chcesz powiedzieć, że posiada mapy tego świata?

– Raczej ma je w pamięci.

Tytus wycelował palec w ColU.

– Ty również, demonie, masz te mapy w pamięci?

– Ja także miałem skromny udział w początkach osadnictwa. Kiedy zaczęły się masowe emigracje ludzi na Per Arduę, starałem się zbierać wszelkie wyniki pomiarów i rezultaty badań. Owszem, pamiętam mapy. Przynajmniej tej Per Arduy, jaką była kiedyś.

– Wspaniale! – Tytus osobiście podniósł ColU i położył go na skraju koca, obiektywem w stronę nieporysowanego skrawka ziemi. – Ty i ja wspólnymi siłami nakreślimy mapę tego świata. Tych części, które powinny mnie interesować. Gdy wszystko zrozumiem, zabiorę córkę, trochę lekkich bagaży i wyruszymy po śladach Earthshine’a, Ariego i Inguill, żeby przeprowadzić rekonesans. W tym czasie ty, Stef, zajmiesz się przygotowaniami. Wyszykujcie wóz do drogi. Zbierzcie ziemniaki i buraki. Zasadźcie więcej ziemniaków! Mogą minąć tygodnie, nim będziemy gotowi do podróży. A co się tyczy ciemnej strony, to najpierw tam dojdźmy, a potem zastanówmy się, co dalej.

Zasalutowała mu w rzymskim stylu: pięścią dotknęła piersi i uniosła ramię.

– Tak jest, centurionie! Masz rację.

– Naprawdę?

– Jeśli ktoś może nas doprowadzić do tej cholernej strefy przeciwgwiezdnej, to na pewno ty! Wierzę w ciebie, Tytusie, choć może nie aż tak, jak ty sam… Ale powiedz mi jedną rzecz. Dlaczego zabierasz Klodię na rekonesans?

Mruknął.

– Chyba wiadomo. Aby się nie zbliżała do Mardiny i tego młodego niewolnika. Mamy dość własnych kłopotów. No dobrze, ColU, gadaj, od czego zacząć tę mapę, którą tak świetnie pamiętasz.

Rozdział 63

Okazało się, że musiały upłynąć dwa miesiące, nim Tytus Waleriusz, powróciwszy z Klodią z misji zwiadowczej, ogłosił, że są gotowi do wymarszu.

Zwinęli obóz. Wszystko, co mogło im się przydać i nie ważyło wiele, zostało załadowane na wóz lub trafiło w paczkach na plecy piechurów. Postarali się zabrać jak najwięcej żywności z zapasów Beth – gotowanej, suszonej i starannie zapakowanej. Tytus zadecydował, że w miarę możliwości będą żywić się tym, co urodzi ziemia, oszczędzając zapasy na później. Żeby odciążyć Chu Yuena, przeniesiono ColU na wóz, gdzie został zawinięty w koc i bezpiecznie przywiązany.

Ten obóz był domem Beth od samego początku, kiedy razem z Earthshine'em wyszła z Włazu w strefie przygwiezdnej. Z markotną miną rozkładała na części zrobione przez siebie zegary.

Na koniec usadzono Stef na wozie, obok którego miała iść Beth. Tytus podał jej sznury będące częścią prymitywnego mechanizmu kierowania wozem.

– Dzięki. Więc starsza pani jest tylko bagażem – skomentowała zgryźliwie.

Tytus skrzywił się na te słowa.

– Jesteś najstarsza, będziesz chodzić najrzadziej. Twoim zadaniem będzie kierowanie wozem. Ale gdy ci każę, zejdziesz z niego i pójdziesz piechotą. Chcę, żebyś była sprawna i zdrowa. – Pod pachą uciętej ręki trzymał plik kawałków pergaminu, na których opracował harmonogram wyprawy. – Wszystko zgodnie z planem.

Westchnęła.

– Nie chcę być obciążeniem.

– Po prostu rób, co ci każę.

– Tak jest, centurionie!

Beth ujęła jej dłoń.

– Nie przejmuj się aż tak bardzo. On traktuje cię jak żołnierza, co najwyżej rannego, inaczej byłby milszy.

– No cóż, sama byłam w wojsku. Chyba masz rację. Ludzie pokroju Tytusa mają to do siebie, że gdy są dla ciebie mili, wtedy trzeba się bać.

– A co się tyczy chodzenia… – Beth poklepała konstrukcję wozu. – Lepiej nie wywołuj wilka z lasu. Pamiętaj, że to mój projekt. W dodatku nie mieliśmy zbyt wielu narzędzi i materiałów,

zwłaszcza że Ari i Inguill zabrali tyle dobrych rzeczy. Będę w szoku, jeśli ten wóz nie rozpadnie się w połowie drogi do strefy mroku.

– E, na pewno wytrzyma znacznie dłużej. – Jednak patrząc na wóz, Stef zastanawiała się, czy to nie płonne nadzieje.

Podstawę stanowiła rama z „drewna”, czyli rozszczepionych pni łodygowych drzew z przygwiezdnego lasu, powiązanych sznurami i pnączami w pierwszym etapie budowy. Wóz poruszał się na drewnianych kołach obwiązanych twardą nylonową liną. Lepsze byłyby obręcze ze stali lub żelaza, ale nie chcieli tracić czasu na budowę kuźni, więc po prostu zabrali zapasowe koła.

Ponadto ColU zarządził, żeby u spodu przytwierdzili płozy dla ułatwienia sobie podróży przez mroźną krainę ciemności. Co więcej, pod okiem ColU i Tytusa przystosowano wóz do tego, by mógł służyć jako ciągnięta po wodzie barka. Boki zostały zabudowane, a całość zabezpieczona przed przeciekaniem warstwą szpiku, który uzyskiwało się bez trudu z każdej łodygi czy pnia w lesie. „Szpik” nie był typowym szpikiem, lecz złożoną substancją organiczną zdolną do wewnętrznej fotosyntezy z wykorzystaniem energii cieplnej, obficie dostarczanej przez Proximę. Podróżnicy nie zwracali uwagi na ten biologiczny cud, zainteresowani jedynie zalepianiem szpar w wozie lepką mazią.

Stef uważała, że wspięli się na szczyty zaradności i pomysłowości, lecz wciąż nie byli pewni, czy ich przygotowania są adekwatne do czekających ich wyzwań.

Nareszcie mogli ruszać. Słuchając szorstkich wskazówek Tytusa, uformowali coś na kształt kolumny. Wóz, oczywiście, należało ciągnąć i pchać, co wzięli na siebie Tytus, Klodia, Mardina i Chu: dwójka z przodu, dwójka z tyłu. Czasem miała im pomagać Beth, lecz ogólnie oszczędzono jej sporego wysiłku. Powoli dobiegała do sześćdziesiątki, więc ją również traktowano jak czcigodną starszą panią, co wywoływało w niej złość, a w Stef rozbawienie.

– No i proszę! – obwieścił Tytus. – Podróż dookoła tego dziwnego świata. Podróż, którą zaczyna jeden krok. – Wyciągnął *pugio* i uniósł je wysoko. – Gotowi na wojnę?

– Tak!

– Pytałem, czy jesteście gotowi?

– Tak!

– Zatem naprzód! – Ustawił się w miękko wyścielanej uprzęży, poprawił ułożenie uszkodzonej ręki i naparł na postronki.

Wóz ruszył z silnym szarpnięciem, które omal nie zrzuciło Stef na ziemię.

I tak się to wszystko zaczęło.

Tytus i Klodia dobrze wywiązali się ze swojej misji zwiadowczej. Ich trasa mniej więcej

pokrywała się ze śladami Earthshine’a, po których szli także Ari i Inguill, i od samego początku prowadziła w dół łagodnie nachylonym stokiem i w miarę otwartym terenem, wzdłuż rzek spływających z przygwiezdnego płaskowyżu. „Zwierzęta pociągowe” wydawały się mile zaskoczone tym, że ich trud nie jest tak wielki, jak się obawiali, choć Stef nie wypowiadała się głośno na ten temat, skoro nie pomagała im w pracy.

Po kwadransie Tytus zarządził postój, żeby każdy mógł jeszcze poprawić coś sobie w uprzęży, butach, ubraniu. Potem parli przed siebie przez pół godziny, dopóki Tytus nie zarządził drugiego postoju nad wodą. Po kolejnej półgodzinie dokonał zmiany w zaprzęgu, wpinając Beth w postronki na miejscu zwolnionym przez Mardinę.

Po zaledwie trzech godzinach – Stef przypuszczała, że przejechali pięć, może sześć mil – Tytus oznajmił, że to wystarczy, jak na pierwszy dzień.

Pozostali mieli ochotę kontynuować marsz, skoro już zaczęli, ponieważ dzielący ich od celu dystans tysięcy mil działał na wyobraźnię. Tytus był wszakże doświadczonym piechurem i dobrze wiedział, co robi. Kazał wszystkim zdjąć buty, umyć stopy w potoku, a następnie założyć luźne, przewiewne sandały obozowe, które zrobili przed podróżą na jego polecenie. Wiedział, że nie mają jeszcze wprawy i dopiero muszą wyrobić w sobie nawyki związane z rozbijaniem biwaku, kopaniem latryny, zbieraniem żywności i chodzeniem po wodę, a chciał, żeby nauczyli się robić to porządnie. Tytus zamierzał też przyjrzeć się wozowi – przekonać się, jak ich pojazd zaliczył ów decydujący test wytrzymałościowy. W razie czego posiadali części zamienne i garnki ze szpikiem do poprawienia ewentualnych niedoróbek.

– Jazda! Jazda! – poganiał ich Tytus, gdy zabrali się do roboty. – W czasie marszu rzymscy legioniści rozbijają obóz każdego wieczora…

– Na pewno.

– I nie słychać słowa skargi…

– Pewnie, że nie!

– Pamiętam taką kampanię…

– Tytusie Waleriuszu, daruj sobie!

Gdy zakończyli prace przy rozbijaniu biwaku i usiedli wokół ogniska, które rozpalili na noc, Stef uświadomiła sobie, jakim roztropnym zarządcą jest Tytus. Wszyscy napotkali nieoczekiwane trudności, nawet jeśli w jej przypadku był to jedynie brak poduszki pod kościstym zadkiem. I wszyscy byli bardziej zmęczeni, niż się spodziewali. Ale jakoś przebrnęli przez ten dzień. Zrobili wszystko, czego wymagał od nich Tytus, i wiedzieli, że teraz pozostaje im już tylko codziennie powtarzać wypracowany schemat.

Nim zawinęli się do snu w koce i ubrania, ściśnięci pod zadaszeniem rozpiętym przez Beth,

Tytus zwrócił się do nich z jeszcze jedną sprawą. Tym razem towarzyszyła mu Klodia z podstawowym zestawem medycznym. Legionista uparł się, żeby każdemu sprawdzić nogi w poszukiwaniu sińców, otarć czy zalążków pęcherzy.

– Staliście się żołnierzami i teraz się przekonacie, że podczas marszu najważniejsze w ekwipunku są wasze stopy. Dbajcie o nie, a reszta sama się zrobi. Im prędzej wpoicie sobie tę umiejętność, tym lepiej.

– Dobranoc, Tytusie Waleriuszu.

– Dobranoc, posiłkowi…

Kiedy Tytus zakończył obchód, Stef usłyszała szelest i w przyćmionym świetle dostrzegła postacie wymykające się spod zadaszenia. No tak, jakżeby inaczej: Chu Yuen i Mardina Eden Jones Guthfrithson, trzymając się za ręce i tuląc do siebie koce, kierowali się do cienistego lasu.

Nazajutrz przemierzyli większy odcinek drogi, a kolejnego dnia jeszcze większy.

Stef z premedytacją nie mierzyła czasu i nawet w przybliżeniu nie obliczała przebytej drogi. Wiedziała, że takimi rzeczami zajmują się Tytus i ColU. Poza tym lepiej jej się spało, gdy nie miała głowy nabitej myślami o czekającym ich gigantycznym wysiłku. Wmówiła sobie, że to nowy styl życia, długi ciąg rutynowych obowiązków, które wypełnią jej dni w najbliższej przyszłości. Spać, zwinąć obóz, maszerować, rozbić obóz, spać… Bez początku i bez końca.

Stopniowo jednak okolica zaczęła się zmieniać.

Zeszli z wyżyny, więc osoby ciągnące wóz nie mogły już korzystać z łagodnie opadających szlaków, które Tytus roztropnie wytyczył w czasie rekonesansu. Na szczęście na niżej położonych obszarach, daleko od stale utrzymującego się układu niskiego ciśnienia, poprawiła się pogoda, przestała być tak kapryśna. Z każdym dniem cichły wiatry i ustawały deszcze, co znajdowało swoje odbicie w przyrodzie. Puszcze dominujące w stosunkowo niestabilnej strefie przygwiezdnej ustępowały coraz bardziej otwartym terenom, gdzie leśną gęstwinę rozdzielały rozległe przestrzenie usłane ścielącą się przy ziemi światłolubną roślinnością.

W czasie długich przerw między jednym marszem a drugim Chu Yuen zabierał ColU na wycieczkę poza obóz celem obserwacji różnic w krajobrazie. Stef wychodziła z nimi z czystej ciekawości, jeśli miała dość siły, często w towarzystwie Beth pragnącej zobaczyć, co się stało z tym światem, który wciąż uważała za swój dom.

Pewnego niczym niewyróżniającego się dnia szły ramię w ramię równiną dość szczelnie okrytą zielonymi liśćmi, szerokimi niczym olbrzymie lilie wodne. Komplet tworzyły trzy liście przytwierdzone do wspólnej łodygi, wygrzewające się w blasku słońca. Kiedy Stef kucnęła, żeby przyjrzeć się z bliska, zauważyła, że liść mocują do ziemi, wykorzystując każdy centymetr kwadratowy podłoża, wiotkie wąsy czepne. Żaden rywal nie mógł pozbawić takiej rośliny jej

przestrzeni życiowej czy dostępu do światła. Typowe dla Per Arduy. Gdy jednak wsunęła dłoń pod liść, żeby nabrać trochę ziemi, wydobyła garść urodzajnej gleby wraz z dżdżownicą, czymś jakby stonogą i innymi pełzającymi istotami rodem z Ziemi.

W drodze powrotnej do obozu Stef coraz lepiej rozumiała charakter tego, co ich otaczało. Gdy gwiazda wisiała na niebie nieruchomo, a ziemia do ostatniego skrawka była gęsto oblepiona zielenią miejscowych roślin, ta część świata wydawała się olbrzymim systemem wielu sprawnie współdziałających elementów, zoptymalizowanym pod kątem zagospodarowania każdego promienia słońca. Czuła się trochę jak w bezkresnej cieplarni, starej i zapuszczonej, gdzie szkło obkleiły mchy, porosty i chwasty, a tylko tu i ówdzie zachowały się jaśniejsze ślady ziemskiego życia.

Nazajutrz około południa zatrzymali się przy nadrzecznej skarpie, gdzie woda płynęła szerokim, jednostajnym nurtem.

Stef niezgrabnie zsunęła się z ławeczki i pokuśtykała do Tytusa. Stał ze zdrową ręką wspartą na biodrze i z szerokim uśmiechem wpatrywał się w rzekę.

– Dotarliśmy tutaj z Klodią, gdyśmy rozeznawali teren przed wyprawą. Doszedłem do wniosku, że nie ma sensu iść dalej. Ta rzeka z pewnością płynie z punktu przygwiezdnego – tu machnął ręką w stronę Proximy – w kierunku mniej więcej południowo-wschodnim, zasilana przez wiele dopływów. Jak zresztą sama widzisz. Chyba nie powiesz mi teraz, że sobie nie radzę. Oto przedstawiam ci szlak prosty i nieomylny jak rzymska droga. Od tej pory, przynajmniej przez pewien czas, wszyscy będziemy podróżować wygodnie. Jak ty od chwili, gdy opuściliśmy nasz pierwszy obóz.

– Aj, aj, kapitanie!

– Że co, proszę?

– Przypuszczam, że tego się nie tłumaczy…

Utartym zwyczajem rozbili obóz, potem jednak zabrali się do przerabiania wozu na małą łódź: zdjęli koła i osie, poprawili uszczelnienia za pomocą szpiku i wygrzebali z bagaży wiosła, które niewprawnie wykonali z martwych łodyg powiązanych sznurem.

W przerwach, korzystając z bliskości rzeki, myli nogi i prali ubrania, a nawet z lubością pławili się w orzeźwiająco chłodnej wodzie. Tytus zabraniał im jednak pływania. Choć nurt był tu bystry, koryto z pewnością tętniło życiem i istniało niebezpieczeństwo, że ktoś się w coś zaplącze.

Dopiero po czterdziestu ośmiu godzinach byli gotowi wejść na łódź. Długa, wielodniowa wędrówka nauczyła ich tego, żeby się nie śpieszyć.

Podobnie jak w przypadku pierwszego dnia marszu, tak i teraz Tytus oświadczył, że przepłyną

tylko niewielki odcinek rzeki, aby się przekonać, czy nie zostało coś do poprawienia. Dopilnował, żeby ci, którym powierzył wiosła, mieli dłonie owinięte tkaniną dla ochrony przed odciskami i poncza z lekkich nieprzemakalnych koców osłaniające przed rozbryzgami wody. Wszyscy musieli również założyć lekkie obozowe sandały, dzięki czemu buty, bezcenna część ekwipunku, mogły zostać umieszczone w wodoszczelnych pakunkach. Stef zauważyła, że Tytus zwraca uwagę na szczegóły.

Legionistę wyraźnie denerwowało to, że mając jedną sprawną rękę, nie może posługiwać się wiosłem. Postanowił jednak stanąć na rufie do obsługi prymitywnego steru.

Kiedy umocowali bagaże i wgramolili się na pokład, Chu mocno odepchnął łódź od brzegu, zapierając się wiosłem o głaz. Wypłynęli na środek rzeki. Tytus na rufie pilnował steru, Stef stała po drugiej stronie, odwrócona plecami do wody. Z czwórki wioślarzy Chu i Klodia siedzieli na prawo od niej, na lewo zaś Beth i Mardina, matka i córka. Na odcinku pierwszych dwóch mil płynęli w milczeniu, jeśli nie liczyć zwięzłych wypowiedzi Tytusa:

– O to chodzi, trzymamy się głębi na środku rzeki… Klodio i Chu, nie bijcie tak mocno wiosłami, jesteście za silni i znosi nas do brzegu, na postoju lepiej rozłożymy siły… O to chodzi… Byłoby dobrze, gdyby rzeka niosła łódź bez naszego wysiłku…

Stef co chwila odruchowo patrzyła na dno, bojąc się, że zobaczy przeciek pod nogami. Choć przemierzała kiedyś przestrzeń międzygwiezdną statkami z napędem ziarnowym, a nawet wkraczała do innych rzeczywistości dzięki obcej, nieznanej technologii, to jednak największe przerażenie budził w niej rejs tą mizerną łajbą, gdy pod spodem było najwyżej kilka metrów wody.

Wnet jednak coś innego przykuło jej uwagę: atmosfera w łodzi. Mardina spoglądała wojowniczo na Chu i Klodię, ta zaś odwzajemniała się taką samą miną.

– Aj! – odezwała się w końcu Stef. – Nigdy nie słyszałam tak głośnej ciszy. Co jest z wami, do cholery?

Oczywiście przewidziała reakcję:

– Wszystko przez nią! – wybuchła Mardina, wskazując Klodię.

Wydawało się, że Klodia skoczy na drugą stronę i zacznie się szarpać z rywalką.

– Siedź! – rozkazał córce Tytus. – Ruszaj wiosłem! Ty również, Mardino. Chcecie, to warczcie na siebie, tylko nie rozkołyszcie łodzi! O co wam poszło?

– Naprawdę nic nie rozumiesz, ojcze? – fuknęła Klodia.

Westchnął.

– Ponieważ nie jestem jeszcze całkiem ślepy i głuchy, zauważyłem w nocy, jak ty, Chu, i ty, Mardino, wymykacie się do lasu.

Chu zwiesił głowę, jakby wciąż był niewolnikiem i został przyłapany na nieposłuszeństwie.

– Co jednak wcale nie znaczy, że się kochacie – rzekł dobitnie. – To, że chodzicie razem spać. Pamiętam taką kampanię…

– Ojcze, nie! – powstrzymała go Klodia.

– Tak czy inaczej, Mardino, nie rozumiem, co masz do Klodii.

– To, że ze sobą śpimy, widzisz – zdenerwowała się Mardina – ale tego, co wyprawia Klodia, już nie! Tego, jak się do niego lepi. Jak na niego patrzy. Jak się na nim wspiera. Jak chwyta się jego ramienia, gdy łódź się zakołysze…

– Nie bądź śmieszna.

– Szczerze mówiąc, Tytusie, też to zauważyłam – wtrąciła ze smutnym uśmiechem Beth. – Choć nie widzę tu żadnej złośliwości, Mardino. To od niej silniejsze. Słuchajcie, dziewczyny, nie wy tu jesteście problemem i nie jest nim Chu. Po prostu chodzi o to, że na tej łodzi, a właściwie na tej nieszczęsnej planecie, jesteście tylko wy troje, nie ma tu innych nastolatków. Od początku było wiadomo, że wynikną z tego kłopoty.

Mardina popatrzyła na nią z pochmurną miną.

– Dziękuję, mamo, za cenne spostrzeżenie. Więc co mamy zrobić, według ciebie? Pozabijać się z zazdrości, jak to robili pierwsi osadnicy na Per Ardui, o czym mi tyle razy opowiadałaś?

– Lepiej, żeby do tego nie doszło – powiedział złowieszczo spokojnym tonem Tytus. – Ale zanim wy, młodzi, rozstrzygniecie spory, trzymajcie się zasad wojskowych. Mamy misję do wypełnienia. I czeka nas trud, jeśli chcemy żyć. Prościej tego nie ujmę. Możecie sobie włazić nawzajem do łóżka, proszę bardzo. – Mówiąc to, nie patrzył w oczy córce. – Ale jeśli zaczniecie do siebie skakać, jeśli będę miał cień podejrzenia, że narażacie nas wszystkich na niebezpieczeństwo… załatwię tę sprawę po swojemu. Obetnę ci, niewolniku, siusiaka, a potem zedrę z niego skórę, z której zrobię skarpetę, wskaźnik wiatru. Zobaczymy, czy kobiety wciąż będą o ciebie walczyć.

Chu udawał, że się zastanawia.

– To byłaby duża skarpeta…

– Stul pysk!

Przez pewien czas płynęli bez słowa.

Aż nagle z wodoszczelnego pakunku przemówił ColU:

– Trochę to krępujące. Może coś zaśpiewamy? Jest taka piosenka, którą na pewno pamiętasz z dzieciństwa, Beth. Śpiewałaś ją z Yurim Edenem i Mardiną Jones, choć nie mieliśmy wtedy nawet łódki. Wiosłuj, wiosłuj, wiosłuj żwawo… To co, przyłączycie się?

Gdy łódź płynęła z nurtem, jego głos niósł się echem nad pełną życia rzeką.

Rozdział 64

Zgodnie z przewidywaniami Tytusa rzeka stawała się coraz głębsza i szersza, w miarę jak wpadały do niej kolejne z licznych dopływów. Aż pewnego dnia sama okazała się dopływem jeszcze większej rzeki. Niebawem jej koryto miało już takie rozmiary, że ludzkie oko ledwo dostrzegało drugi brzeg.

– Dopisało nam szczęście – stwierdziła Stef. – Trafiła nam się tutejsza Missisipi.

Spośród jej towarzyszy tylko ColU wiedział, o jaką rzekę chodzi, natomiast Beth, urodzona na Per Ardui, miała tylko niejasne pojęcie.

Tytus nalegał, żeby trzymali się blisko brzegu. Obawiał się silnych prądów na środku rzeki i bardziej agresywnych organizmów niż te, z którymi dotąd mieli do czynienia. Mimo to mknęli przed siebie z coraz większą prędkością.

Gdy odpadł wysiłek fizyczny związany z marszem i najcięższą pracą stało się codzienne wyciąganie łodzi na brzeg, a Proxima wolno, niemal niedostrzegalnie opadała na niebie – dni zaczęły zlewać się ze sobą w świadomości Stef. Mimo to zdziwiła się, kiedy ColU oznajmił, że mają za sobą sześćdziesiąt dni podróży.

Krajobraz, który przecinała rzeka, znów się zmieniał. Roślinność, przeważnie sięgająca do pasa podróżnikom, przypominała Stef amerykańskie prerie, a raczej muzealne rekonstrukcje tego typu formacji sprzed wielkich anomalii pogodowych. Jako że zrobiło się chłodniej i Proxima nie stała już w zenicie, ścielącym się na ziemi „liliom” powodziło się gorzej niż roślinom, których liście sięgały wyżej i przechylały się w stronę słońca. Występowały tu nawet drzewa – czy raczej organizmy do nich podobne z dużymi liśćmi spijającymi słoneczne światło, czasem grube, podobne do paproci, czasem zaś wysokie, wyrastające ponad „kwiaty prerii”. Ale w tym bardziej otwartym terenie łatwiej było żyć także pewnym ziemskim roślinom, dzięki czemu wędrowcy mogli z radością całymi garściami zbierać ziemniaki, pochrzyny – a nawet winogrona z krzewów oplatających arduańskie drzewa, świadczące o współpracy między dwoma kręgami życia. ColU cieszył się, widząc to wszystko.

ColU ani razu nie poprosił o postój. Chyba czuł presję czasu, która wymagała od nich wytężonego wysiłku, pośpiesznego kontynuowania podróży. Bywało jednak, że prosił „nocą” Chu, niekiedy zaś Beth albo Stef, aby zabrali go w szczególnie interesujące miejsce. Na przykład do odsłoniętych formacji skalnych, które były rzadkością na tym arduańskim kontynencie,

płaskim jak australijski interior. Prosił także o pobranie próbek czy rozejrzenie się za skamielinami.

– Z pewnością pamiętasz moje dawne frustracje, Beth Eden Jones. Ta planeta była kiedyś niezwykle aktywna. Fragmenty jej powierzchni były w stanie ciągłego wrzenia, skamieliny ginęły bezpowrotnie i nawet ulegały zniszczeniu warstw, w których można byłoby je znaleźć. W zapisie kopalnym panował wielki bałagan. Ale teraz, gdy świat się uspokoił, mamy szansę odnaleźć przyzwoitą ilość skamieniałości, przynajmniej po stosunkowo niedawno wymarłych organizmach.

Trafiło mu się jednak tylko coś, co wyglądało jak zmierzwione trzcinowiska, wciśnięte w piaskowiec i skamieniałe. Jeżeli nie następowały żadne znaczące zmiany, związane z wymieraniem gatunków i ich ewolucją, nie pojawiały się żadne osobliwości w zapisie kopalnym, choćby najlepiej zachowanym. Zatem nic oprócz łodyg… od jak dawna? Od milionów lat?

Stef dyskutowała z ColU o czymś jeszcze, co rzucało się w oczy: absolutnym braku jakichkolwiek śladów działalności człowieka.

– Przecież to jasne, że kiedyś Per Arduę zamieszkiwali ludzie, czyż nie? Inaczej nie mielibyśmy tu ziemniaków ani winogron. Ale co się stało z miastami? Budynki spaliłyby się, rozsypały, ale gdzie są fundamenty, śmietniska, ogrodzenia pól uprawnych? Gdzie są pozostałości po drogach i torach kolejowych? Za naszych czasów powstawały plany zakładania farm i budowania kopalń do samej linii terminatora. Ale tu nic nie ma, zupełnie jak w punkcie przygwiezdnym. Ile lat musiałoby upłynąć, ColU, żeby wszystko zwietrzało na proch?

ColU, jak zwykle, nie chciał spekulować na ten temat.

– Niebawem się dowiemy – powtarzał. – Gdy tylko zobaczę niebo po ciemnej stronie planety. Wtedy będziemy mieć pewność.

Pewnego razu ColU zażyczył sobie, żeby zabrano go do ogrodu stromatolitów, gdzie w zwartej grupie stały sięgające ludziom do piersi stwardniałe kopce, złożone z niezliczonych warstw drobnoustrojów.

– Ze wszystkich arduańskich form życia, które tu zaobserwowałem, najbardziej charakterystyczne są chyba właśnie stromatolity – stwierdził pogodnym tonem, umieszczony na plecach Chu. – I najtrwalsze. Prawdopodobnie były tu pierwsze i wciąż im tu dobrze, nawet na końcu czasów.

– Na końcu czasów? – zdziwiła się Stef.

– A jednak – ciągnął – te akurat okazy odrobinę różnią się od innych. Beth, Chu, macie noże?

Kazał Beth wyciąć otwór w jednym ze stromatolitów, przebić się przez skorupę i dotrzeć do

grubego rdzenia. Wewnątrz trafili na zielonkawą papkę, podzieloną na niewyraźne warstwy. Beth włożyła do środka ręce, lecz zaraz je wyciągnęła z okrzykiem strachu.

– Coś mnie ugryzło!

Przywołała do siebie Stef i Chu. Zaczęli, już z większą ostrożnością, wybierać garść po garści mazistą treść stromatolitu. Aż znaleźli gniazdo mrówek. Były czarne i duże jak podstawa kciuka, o czym się przekonali, gdy wyroiły się na zewnątrz, zdenerwowane natrętnym pojawieniem się światła słonecznego.

ColU wydawał się rozentuzjazmowany.

– Cudowna sprawa! Znów integracja międzygatunkowa, znów współpraca. Być może ziemskie owady żywią się martwą materią organiczną uwięzioną w warstwach rosnących stromatolitów. Ta koegzystencja z owadami musi przynosić korzyści całej strukturze. Dwie formy życia powstałe w drodze ewolucji na planetach oddalonych od siebie o lata świetlne potrafiły się nauczyć, jak razem żyć i działać dla wspólnego dobra.

– Myślę, że jest w tym jakiś morał – skomentowała drwiąco Beth.

I znowu Stef miała przed sobą więcej pytań niż odpowiedzi. Owszem, rozumiała ewolucję współpracujących ze sobą społeczności. Ale jak długo trwała tutaj? Czas – wielka tajemnica ich nowej Per Arduy.

Wyczyścili noże, wepchnęli papkowatą materię organiczną z powrotem do ran, które były ich dziełem, a potem – Stef jeszcze zdążyła przeprosić w duchu okaleczony stromatolit – powrócili do obozu nad rzeką.

Dziewięćdziesiątego dnia od opuszczenia punktu przygwiezdnego ich wierna rzeka w końcu wylała swoje wody do jakiegoś rozległego akwenu: jeziora, jeśli nie morza. Było ogromne, ginęło za horyzontem i dusiło się w objęciach zielonej roślinności.

Zdecydowali, że nie będą wypływać na nie łodzią. Dwa dni biwakowali nad brzegiem, gdzie z łódki ponownie zbudowali wóz, i zaczęli mozolnie okrążać jezioro z nadzieją, że natrafią na dogodny szlak, którym będą mogli udać się dalej na południowy wschód, wzdłuż wielkiego koła. Ciągnący pojazd zrzędzili, lecz Tytus wypominał im braki kondycyjne po długim czasie spędzonym na rzece.

Po dwóch dniach ujrzeli przed sobą jakby szeroki przesmyk, pas lądu oddzielający jezioro od jego sąsiada, który sprawiał wrażenie jeszcze większego. Przesmyk prowadził na tereny położone wyżej w kierunku południowo-wschodnim, gęsto porośnięte lasem.

Uspokojeni faktem, że mogą kontynuować podróż wyznaczonym kursem, ruszyli na przełaj przez ów naturalny most. Tytus kroczył śmiało na przedzie, napierając na uprząż z wigorem młodzieniaszka. Wyglądał majestatycznie w otaczającej go scenerii, gdy promienie Proximy,

wiszącej niżej na widnokręgu, złociły toń jeziora migotliwym blaskiem i tworzyły przed nimi dłuższe cienie. Był ostatnim Rzymianinem próbującym wykonać ostatnią, nierealną misję. Ale tego Stef nie zamierzała mu mówić.

Dotarli na skraj lasu po drugiej stronie przesmyku. W porównaniu z puszczą w strefie przygwiezdnej ten był rzadszy, poprzerywany polanami, lecz ze względu na obecność cieni – mroczny i ponury. Tytus i Klodia przez cały dzień badali teren, aż ich wybór padł na następną rzekę, która płynęła na południe od przesmyku i przecinała las.

Wędrowali więc dalej. W miarę jak słońce staczało się z nieba, zmieniał się również charakter przyrody. Drzewa sięgały coraz wyżej wielkimi szuflowatymi liśćmi, skierowanymi na północny zachód, w stronę opadającej Proximy. W dole, wśród gęstniejących cieni, czasem błysnęła żywsza zieleń: promienie odbite od rozłożystych potrójnych liści. W jasnych obszarach napotykali kopce znanych im z Ziemi termitów, które korzystały z blasku obcej gwiazdy. Był to kolejny zachwycający przykład międzygwiezdnej współpracy w tym dziwnym środowisku.

I kolejny kamień milowy: sto dwudziesty dzień wyprawy. Patrząc za siebie, Stef widziała tarczę Proximy, przygaszoną i napęczniałą z powodu załamania promieni w warstwach atmosfery, teraz już praktycznie dotykającą linii widnokręgu. Gdy patrzyła w przeciwnym kierunku, była w stanie dostrzec wyspy jasnego światła na niebie. Przypomniała sobie swoją dawną eskapadę do strefy mroku, jeszcze z Yurim Edenem i Liu Tao. Widziała blask słońca odbijający się od wierzchołków gór, których zbocza były stale pogrążone w ciemnościach, w wiecznym cieniu planety.

To właśnie wtedy Mardina oświadczyła, że jest w ciąży.

Rozdział 65

Rozbili obóz w półmrocznej dolinie.

Stef uświadomiła sobie, że przechodzą na ciemną stronę globu. Zachmurzone niebo było czarne jak sadza. Dysponowali jedynie światłem latarek oraz tym odbitym od górującej nad doliną grani, która – choć w znacznym stopniu skruszył ją czas – była jeszcze na tyle wysoka, że jej szczytowe partie kąpały się w słońcu. Dzięki temu dolina nie tonęła w całkowitym mroku. Stef podejrzewała, że nikomu nie chce się stąd ruszać, zanurzać w niezgłębionych ciemnościach, przed czym ostrzegały ich nie tylko względy racjonalne, ale również instynkt. Trudno im było się pożegnać z niekończącym się dniem po słonecznej stronie.

Tytus Waleriusz, jak zawsze, objął dowodzenie. Na wstępie kazał im rozłożyć obóz na skalnej wyniosłości sterczącej z grząskiego podłoża. ColU uprzedzał, że na linii terminatora grunt wszędzie jest podmokły, chyba że skuje go lód lub przysypie śnieg. Obecnie padały ciągłe deszcze. Ciepłe powietrze z nasłonecznionej strony spotykało się z chłodem niekończącej się nocy i zrzucało całe brzemię wilgoci, która rozmiękczała ziemię. Na szczęście na twardym podłożu mogli rozpalić ogień, wyspać się bez strachu przed podtopieniem i osłonić się od deszczu zadaszeniem rozpiętym na łodygowych żerdziach.

Gdy już się urządzili, Tytus przywołał ich do siebie, w krąg światła. Walcząc z zimnem, mieli na sobie dodatkowe ubrania ocieplone wyściółką. Wszyscy wyglądali na nieporadnych grubasów.

– Do tej pory szło nam bardzo dobrze. – Mówiąc, nakładał sobie chochlą potrawkę z ziemniaków i kapusty. – Głównie dzięki rzekom. Wystarczyło sto dwadzieścia dni, żeby dotrzeć do krainy cienia. Znacznie mniej, niż się spodziewałem. Jednak zostało nam do pokonania drugie tyle, lecz tym razem w ciemności i coraz większym chłodzie, na ile się orientuję. Mam rację? – Rozejrzał się z poważnym wyrazem twarzy. – Niektórzy z was znają ten świat, ja tu nigdy nie byłem. Gdy siedzę tu sobie teraz, zastanawiam się, czy nasza misja ma jakiekolwiek szanse powodzenia. Przed nami tylko noc, tysiące mil drogi, a my w szóstkę mamy ciągnąć wóz. Trudno, zrobimy, co się da. Dokładnie tak, jak to sobie planowaliśmy, omówimy na nowo sytuację i przygotujemy się na dalsze przygody.

Stef uśmiechnęła się, rozbawiona jego słowami. Przygody, nie wyzwania. Ten człowiek był urodzonym przywódcą. Patrząc na twarze swoich towarzyszy, zauważyła, że wszyscy są na nim

skupieni – może z wyjątkiem Mardiny, która nie miała ochoty jeść kapusty i siedziała zwinięta w kłębek, z kolanami podciągniętymi pod brodę.

– Jest nas sześcioro plus ColU – ciągnął legionista. – Czworo, wszyscy oprócz mnie i Klodii, po raz ostatni wyruszy na poszukiwania czegoś do jedzenia. Po ciemnej stronie, na lodzie, nic nie rośnie, jak mniemam, więc musicie zebrać co tylko się da wśród roślinności na nasłonecznionych terenach, przez które niedawno przeszliśmy, a nawet na oświetlonej grani nad doliną. Nie ruszymy się stąd, dopóki wóz nie będzie wyładowany, a każda torba napełniona. Może wymyślimy jakiś sposób, żeby pomieścić więcej prowiantu, na przykład część ugotować, ugnieść. Jeśli to zadanie okaże się niewykonalne, możemy urządzić szereg małych spiżarni i posuwać się naprzód etapami, krok po kroku.

– Przynajmniej zawsze będziemy mogli się zagrzać dzięki rzymskiemu piecykowi ziarnowemu – zauważyła Stef. – Na zamarzniętej ziemi nie rosną żadne drzewa, nie będzie opału na ognisko.

– To prawda – przytaknął Tytus.

– A więc gdy my będziemy zbierać i gotować ziemniaki, ty i Klodia…

– Udamy się na zwiady – oświadczył z uśmiechem Tytus. – Wejdziemy głębiej w ten mrok, zbadamy najbliższą okolicę. Poszukamy jakiejś dogodnej drogi. I sposobu na skrócenie podróży.

– To w ogóle możliwe? – Beth zmarszczyła czoło.

– Nie mam pojęcia. Ale jestem tu pierwszy raz. – Zerknął na ColU, który leżał na złożonym kocu. – Jak zresztą my wszyscy w pewnym sensie, jeśli dobrze rozumiem wasze przypuszczenia. Olbrzymi szmat czasu dzieli dzisiejszy świat od tego, który znacie, więc kto wie, co tu się mogło do tej pory wydarzyć? Może na Per Ardui wylądowali Rzymianie i zbudowali wygodny gościniec, który zaprowadzi nas jak po sznurku do punktu przeciwgwiezdnego?

– Chyba warto sprawdzić – odparła z uśmiechem Stef.

– A ciebie chcę mieć u boku, dziewczyno – zwrócił się do Klodii – ponieważ jesteś dla mnie nieocenioną pomocą na zwiadach. Wyraźnie to sobie uświadomiłem w czasie tej wyprawy.

– Dzięki – odparła chłodno Klodia.

Popatrzył następnie na Mardinę.

– Gdybyś nie chciała, możesz tu zostać i opiekować się Mardiną. Jak się pewnie domyślasz, nie jestem znawcą dolegliwości ciążowych. Być może czułaby się lepiej w towarzystwie drugiej młodej kobiety.

Mardina popatrzyła na niego z pochmurną miną.

– Zapomnij o tym. Wystarczy mi mama. I Stef.

– I ja – odezwał się ColU. – Pamiętajcie, do czego zostałem zaprogramowany. Miałem dbać

o potrzeby rozrastającej się kolonii także w kwestiach medycznych. Ba, dawno temu osobiście odebrałem poród Beth Eden Jones. Choć nie jestem już zdolny fizycznie interweniować, mogę…

– Możesz się zamknąć! – uciszyła go Mardina. – To zawsze możesz zrobić. Na razie niczego mi nie trzeba.

Tytus spoglądał surowo na nią i na Klodię.

– Przynajmniej na razie zakończyły się wasze boje o Chu Yuena, mam rację? Kiedy urodzi się dziecko, ustalicie między sobą, jak chcecie ułożyć sobie życie i dzielić się miłością.

Stef uśmiechnęła się do niego.

– Ależ Tytusie Waleriuszu! Jestem zdumiona. Myślałam, że wy, przyzwoici Rzymianie, jesteście monogamistami.

– Na polu bitwy obowiązują inne zasady moralne.

– Nie miałam pojęcia, że jesteśmy na polu bitwy.

– Powiedz to lodom. Pamiętam taką kampanię…

– Innym razem, ojcze – powiedziała Klodia, odwracając się do nich plecami.

Rano, wyspani, Tytus i Klodia okutali się wieloma warstwami ubrania, spakowali torby i wyśliznęli się z obozu w kierunku południowo-wschodnim, w mrok.

Pozostali zajęli się gromadzeniem żywności i opału na ognisko. Chu, Mardina i Beth badali rozjaśnioną rozproszonym światłem dolinę i wyruszali na dalsze wypady do krainy słońca. Chu i Mardina wdrapywali się również na zbocze góry, ku wyspie światła i życia. Stroma wspinaczka okazała się zbyt trudna dla niepocieszonej Beth, która nie mogła towarzyszyć ciężarnej córce. ColU stwierdził jednak, że jej ciąża ledwie się zaczęła. Wyniki testów pokazywały, że Mardina jest pod każdym względem zdrowa i nie ma powodu trzymać ją w obozie.

Aby uśmierzyć wyrzuty sumienia, Stef krzątała się przy wzmacnianiu wozu, przygotowywaniu zebranego prowiantu, przyrządzaniu posiłków. I pomagała ColU w jego badaniach: biologicznych, geologicznych i astronomicznych.

Młodzi uczestnicy wyprawy znieśli z grani intrygujące okazy roślin. Niektóre, wywodzące się od arduańskich lub ziemskich przodków, wyglądały znajomo. Inne jednak miały dziwną postać ziemskich roślin okopowych, których część liściasta uzyskała specyficzny arduański odcień zieleni. ColU bardzo się tym emocjonował, prosząc Stef, by pokroiła w kosteczkę kilka próbek i umieściła je w jego maleńkim wewnętrznym laboratorium analitycznym.

– Pamiętasz naszą dawną wyprawę do strefy przygwiezdnej z Liu Tao i Yurim Edenem? Mijaliśmy wyspy światła na terminatorze, które tak bardzo chciałem zbadać. Już wtedy się domyślałem, że są od siebie odizolowane, zwłaszcza dalej po ciemnej stronie, identycznie jak wyspy na oceanie. I podobnie jak na Ziemi, są naturalnymi laboratoriami ewolucyjnymi…

Analiza trwała cały dzień, nim był gotowy zaprezentować wyniki.

Urządzenie, będące niewielką pozostałością po jednostce kolonizacyjnej, miało tylko malutki ekran do wyświetlania rezultatów wewnętrznych testów diagnostycznych struktury pamięci. Stef mrużyła swoje zmęczone, łzawiące oczy, żeby coś zobaczyć.

– Wyniki badań genetycznych – powiedziała na koniec. – Mamy tu połączenie… ziemskiego DNA i jego arduańskiego odpowiednika…

– Wszystko z tej jednej niepozornej rośliny bulwiastej, o którą mogłabyś potknąć się w ciemności – rzekł ColU. – Trudno powiedzieć, czy jest jadalna dla ludzi.

– Po prostu mów, do cholery, co odkryłeś!

– Integracja. Produkt daleko idącej integracji dwóch biosfer. Stef Kalinski, to jest praktycznie ziemskie warzywo, lecz pierwotny mechanizm fotosyntezy został w nim zastąpiony arduańskim, przystosowanym do blasku Proximy, do pochłaniania światła zasobnego w energię podczerwieni. Rozumiesz? Z pewnym przybliżeniem można założyć, że na tej planecie dwa razy powstawało życie. Po raz pierwszy, gdy pojawiły się organizmy arduańskie, o których przecież wiemy, że za sprawą panspermii łączy je biochemiczne pokrewieństwo z ziemskimi. Po raz drugi, gdy zjawili się ludzie: Yuri Eden, Mardina Jones i pozostali, którzy przywieźli całą plejadę organizmów z Ziemi.

– Aha. ISF myślało, że eksploruje gwiazdy. W rzeczywistości rozsiewało życie.

– Od chwili gdy Lex McGregor zszedł na ląd i wygłaszał tu swoje mowy, ruszyła ewolucja podwójnej biosfery. Na początku zdarzało się wymieranie, organizmy niedające sobie rady w nowych okolicznościach szły do odstrzału. Potem, na przestrzeni stu tysięcy lat, może miliona, nastąpiła ewolucja gatunków; wyodrębniły się formy, którym nie szkodzą nowe warunki. Jak odmiany ziemniaków przystosowane do słabszego światła Proximy. Za dziesięć lub sto milionów lat wyłonią się z tego całkowicie zintegrowane ekosystemy, w których ocalałe formy życia będą ze sobą ewolucyjnie zespolone.

– Jak mrówki w stromatolicie. Lub pszczoły i kwiaty na Ziemi. Ale tu zachodzi jakaś głębsza przemiana, silniejsza, metamorficzna mutacja. Symbiogeneza – dodała cicho.

– Otóż to. Najbardziej kompletna symbioza, najściślejsza współpraca organizmów żywych. Mitochondria w komórkach twojego ciała też kiedyś były niezależnymi organizmami. Weszły w skład komórek, by stać się źródłem energii, a jednak zachowały swoje genetyczne dziedzictwo, coś jakby wspomnienie czasów nieskrępowanej wolności. Ziemskie życie, począwszy od ameb i pierwszych organizmów wielokomórkowych, jest produktem gruntownej integracji wielu form życia. Geneza na drodze symbiozy.

– I dziś na Per Ardui historia się powtarza. Jak długo to jeszcze potrwa? Ile czasu minęło,

odkąd mieszkali tu ludzie? Jak daleko w przyszłość nas wystrzelono, ColU? Dalej niż miliony lat do przodu, dalej niż setki milionów?

ColU wydał z siebie syntetyczne westchnięcie.

– Wybacz mi powściągliwość. Zadawałaś te pytania wiele razy. Mogę tylko snuć przypuszczenia na podstawie zebranych dotąd informacji, świadectw geologicznych i biologicznych, nawet ewolucji gwiazdy. Będę w stanie o wiele dokładniej określić datę, kiedy zobaczę niebo po ciemnej stronie i przeanalizuję dane astronomiczne. Ale jest, oczywiście, górna granica.

Zmarszczyła brwi.

– Górna granica? W jaki sposób przyszłość może być ograniczona? O jakiej granicy mówisz?

– Koniec czasów – odpowiedział lakonicznie ColU.

W tym momencie do obozu wpadli Mardina i Chu, podrapani, zakurzeni i zdyszani.

– Ciągle powtarzasz, ColU, że chciałbyś popatrzeć w niebo! – wypaliła Mardina.

– Owszem…

– No to masz szczęście. Możesz zobaczyć je ze stoku, wystarczy wspiąć się kawałek. Chu, bierz go do plecaka.

– Co tam zobaczymy? – dopytywała się Stef. – Gwiazdy?

Mardina obrzuciła ją zagadkowym spojrzeniem.

– Tak jakby. Sama się przekonasz. No chodźcie! I gdzie moja matka?

Cała czwórka – Stef, Chu, Mardina i Beth – stała na zboczu, skąd rozpościerał się widok na arduańską krainę nocy, na ocean ciemności. Docierała tu jedynie nikła poświata sącząca się ze szczytu.

W górze zaś, na niebie terminatora, zabrudzonym tym razem tylko gdzieniegdzie chmurami…

Były tam gwiazdy, owszem, lecz nie tylko one. Także obręcz światła, owal, elipsa… Nie, z pewnością był to dysk nachylony tak, że Stef widziała niewiele więcej niż krawędź. W pierwszym momencie oko dostrzegało jednolity czerwonawy kolor, lecz w istocie były to białe iskierki rozproszone na różowym tle niczym odłamki szkła na atłasowej poduszce. Pośrodku znajdowało się błyszczące jądro, okrążone świetlistymi liniami. Gdy jej wzrok przywyknął do mroku, zaczęła dostrzegać drobniejsze szczegóły: coś jakby wzburzone obłoki wśród tych zewnętrznych linii, a tu i tam jaśniejszą iskrę, niemalże oślepiającą. Gdy oderwała spojrzenie od tej spektakularnej kosmicznej instalacji, wypatrzyła zwyczajne gwiazdy, z rzadka rozsiane punkciki, często sczerwieniałe. Niemniej na niebie królowała wielka elipsa.

Dziwne, ale następną rzeczą, którą zauważyła Stef, była dłoń Mardiny, która wsunęła się w dłoń Chu i mocno zacisnęła.

– Wiesz co, ColU, mogłeś nas uprzedzić – powiedziała z wyrzutem.

– Nie miałem pewności. Nie jestem przewodnikiem, jestem tylko doradcą.

– To galaktyka – rzekła z przestrachem Beth. – Nawet ja to wiem. Jak nasza Droga Mleczna… Tylko co ona tam robi, do cholery? A może to nasza? – Pokręciła głową. – Pamiętasz, że wychowywałam się na Per Ardui, po dziennej stronie. Po raz pierwszy zobaczyłam gwiazdy dopiero na Merkurym. Czy Proxima została, nie wiem, jakoś wyrzucona z galaktyki, żebyśmy zobaczyli ją z zewnątrz?

– Nic podobnego – odpowiedział łagodnie ColU.

– To wcale nie jest nasza galaktyka – wtrąciła ostro Stef. – To Andromeda, prawda? Chyba większa od naszej. Te dwie galaktyki były największe w grupie lokalnej. Kiedy w dzieciństwie bawiłam się z ojcem w obserwacje astronomiczne – w innej rzeczywistości towarzyszyła mi siostra, pomyślała – zdarzały się czasem noce, gdy niebo nad Seattle było bezchmurne i można było zobaczyć Andromedę. Wyglądała fantastycznie, gdy patrzyliśmy przez teleskop, ale widoczna była również gołym okiem jako jasna mgiełka. Ale to tutaj… – Zaczęła wykonywać zgrubne pomiary kciukiem. – To jest ze trzydzieści razy większe od tarczy Słońca widzianego z Ziemi.

– Powiedziałbym, że czterdzieści – poprawił ją ColU.

Mardina wpatrywała się w nią.

– Jak to się stało, że zrobiła się taka duża?

– Nie zrobiła się większa, tylko się przybliżyła. – Stef zamknęła oczy, przypominając sobie lekcje astronomii sprzed wielu lat. – W moich czasach Andromeda znajdowała się w odległości dwóch i pół miliona lat świetlnych. Zgadza się, ColU? Ale już wtedy potrafiliśmy stwierdzić, że się do nas zbliża. Zanosiło się na wielki kosmiczny karambol, który… na pewno byłby wspaniałym spektaklem. Jeśli dobrze pamiętam szacunkowe wyliczenia, kolizja miała nastąpić… za cztery miliardy lat czy później?

– Powiedziałbym, że cztery i pół – rzekł ColU.

Stef zmrużyła oczy.

– A więc jeśli ta bestia, która mierzy około dwustu tysięcy lat świetlnych średnicy, jest widoczna na niebie w takich rozmiarach, mogłabym obliczyć jej obecną odległość…

– Policzone – oświadczył ColU. – Pułkownik Kalinski, wiem już, że zawędrowaliśmy, czy raczej zostaliśmy przemieszczeni przez Właz, jakieś trzy i pół miliarda lat w przyszłość. Względem epoki, z której wyruszyliśmy.

Beth, Mardina i Chu popatrzyli na siebie, a potem na tablet zawieszony pod szyją byłego niewolnika, jakby mieścił się tam umysł ColU z ludzkim okiem.

Stef zrozumiała natychmiast.

– Tak, a zatem do kolizji został miliard lat.

– Jeśli w ogóle do niej dojdzie – zauważył enigmatycznie ColU.

– Ciekawe, jak Andromeda wpłynęła na cywilizacje, które przyszły po nas i musiały patrzeć, jak coś takiego wisi na ich niebie. Z każdym wiekiem większe. Ile religii powstało i umarło w jej blasku, ilu wyznawców wystraszyła i wprawiła w zachwyt.

– Nigdy się tego nie dowiemy, Stef Kalinski – mruknął ColU.

– Ponad trzy miliardy lat. To chyba więcej niż trzeba, żeby na Per Ardui zaszły wszystkie te procesy, o których mówiliśmy. Żeby wywietrzał prawie każdy ślad ludzkości. A nawet żeby gatunki z dwóch odległych układów planetarnych utworzyły wspólny ekosystem.

Mardina przesunęła wzrok po nieznanym jej niebie.

– Nie rozumiem. Trzy i pół miliarda lat… Co to właściwie znaczy? Gdzie Terra? Gdzie Słońce?

– Obawiam się, że nie wiem – odparł ColU. – Układ Słoneczny i układ Alfa Centauri, Kopyto Centaura, dawniej sąsiadowały ze sobą. Ale do tej pory musiały bardzo odsunąć się od siebie, ponieważ galaktyka obróciła się wokół swojej osi. Ziemia, Terra, oraz inne planety wciąż krążą wokół Słońca, jednak na Ziemi prawdopodobnie nie ma życia. Słońce, które powoli się rozgrzewa, wyjałowiło planety wewnętrzne pewnie już dwa lub trzy miliardy lat temu. Jednak starzejące się Słońce nie weszło jeszcze w swój okres schyłkowy, w fazę czerwonego olbrzyma, kiedy spuchnie i wchłonie wszystkie planety aż po orbitę ziemską.

Ziemia bez życia… Nagle Stef zadrżała, mimo że w grubym ubraniu było jej dość ciepło. Samotność na bezludnej planecie mogła dać się we znaki. O wiele bardziej – przymusowe przenosiny w zupełnie inny strumień rzeczywistości. Ale wylądować w niewyobrażalnej przyszłości, kiedy Ziemia jest martwa i prawdopodobnie nie zostały żadne ślady po ludziach, których znała…

– Straszne – mruknęła.

– To prawda, pułkownik Kalinski – przytaknął ColU.

– Latałem statkami kosmicznymi – rzekł powoli Chu, błądząc wzrokiem po niebie. – Zamknięty w kojcach dla niewolników, czasem przechodziłem koło okna i patrzyłem na kosmos z perspektywy wielu światów. I nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Pomijając już Andromedę, burzę gwiezdną, która się do nas zbliża… gwiazdy są jakieś blade, bardziej oddalone od siebie.

– Słuszna uwaga – powiedział ColU. – Już w naszych czasach kończyła się wielka epoka powstawania gwiazd. Obecnie dużo więcej jest starzejących się niż młodych.

– A co z pozostałymi gwiazdami Kopyta Centaura? – zapytał Chu. – Powinny świecić jak dwie płonące latarnie.

– Nawet Alfa Centauri ewoluowała – odparł ze smutkiem ColU. – Jej gwiazdy były starsze od ziemskiego Słońca. Jaśniejsza w układzie gwiazdy podwójnej zapewne przekształciła się w czerwonego olbrzyma około pół miliarda lat temu, przez co wyjałowiła planety swoje i swojej siostry, nim skurczyła się i zamieniła w białego karła. A Proxima uwolniła się z jej słabnącego pola grawitacyjnego. Mniejsza w tym układzie ma przed sobą jeszcze wiele miliardów lat istnienia, nim wejdzie w fazę schyłkową. Małe gwiazdy żyją dłużej. Proxima, najmniejsza z miotu, teoretycznie przetrwa sześć bilionów lat, nim się wyczerpie jej wolno przetwarzane paliwo wodorowe. W każdym razie Proxima została już sama.

– Powiedziałeś: „teoretycznie” – zauważyła Stef. – Teoretycznie sześć bilionów lat. I z zadziwiającą dokładnością określiłeś ramy czasowe, biorąc pod uwagę, że dopiero teraz pobieżnie obejrzałeś niebo…

– Jak już wcześniej mówiłem, mam więcej informacji na temat przyszłości wszechświata. Dokonywałem ciągłych obserwacji w trakcie podróży powrotnej na Ziemię statkiem „Malleus Jesu”. Dostrzegłem trudno uchwytne znaki czasów, które dopiero mają nadejść: świadectwa tytanicznych wydarzeń z przyszłości rozproszone na niebie dnia dzisiejszego. Wydarzeń, których datę byłem w stanie oszacować. Gdy tylko zobaczyłem, jak blisko jest Andromeda, i gdy określiłem w przybliżeniu, jaka to musi być epoka, z łatwością wydedukowałem, że oni nie sprowadzili nas do przypadkowego miejsca w czasie, lecz właśnie do tego konkretnego o bardzo szczególnym znaczeniu. Kolejne obserwacje, zwłaszcza kosmicznego promieniowania tła, pozwolą mi uściślić…

– Oni – wtrąciła Stef. – Oni nas tu sprowadzili, tak? Masz na myśli budowniczych Włazów? Których Earthshine nazywał Śniącymi?

– Tak, Śniących.

– Co jest takiego szczególnego w tym czasie, w tej przyszłości, w tej epoce? – zapytał Chu.

– Nic – westchnął ColU. – Nic z wyjątkiem tego, że jest to ostatnia epoka, ostateczna.

– Koniec czasów – stwierdziła Stef.

Zauważyła, że Mardina kładzie rękę na brzuchu, na swoim nienarodzonym dziecku.

W tym momencie na stok wspięli się Tytus i Klodia.

– Tu jesteście! Obozowy regulamin mówi: zostawcie wiadomość, zanim się ulotnicie.

– Patrzymy na gwiazdy – wyjaśniła Beth. – Patrzymy na to. – Wskazała Andromedę.

Tytus prychnął.

– A kogo obchodzą światełka na niebie? Mam wam do pokazania coś dużo ważniejszego.

Chodźcie zobaczyć, cośmy znaleźli!

Rozdział 66

Mieli do przejścia około trzech kilometrów, czyli dwóch rzymskich mil.

Zeszli ze zbocza góry i ruszyli pogrążoną w cieniu suchą doliną. Marsz nie sprawiał trudności nawet Stef, która niewiele chodziła podczas tej ekspedycji – chyba że po obozowisku. Tytus i Klodia nieśli pochodnie z wysuszonych łodyg, powiązanych w pęki i umaczanych w szpiku. Paliły się nierównym ogniem, ale zawsze. Jednakże Andromeda jaśniała zaskakująco silnym blaskiem, a zwłaszcza jej świetliste jądro. Miliardy słońc wytwarzały substytut księżycowej poświaty.

Tytus trafnie przewidział: kiedy podeszła do struktury odnalezionej przez zwiadowców, natychmiast zapomniała o cudach na niebie. Zapomniała również, przynajmniej na chwilę, o ponurych i nadal niejasnych mamrotaniach ColU o końcu czasów.

Miała przed sobą elipsę wyciętą w skale i podobnie przechyloną jak Andromeda na niebie, choć dużo szerszą w stosunku do wysokości. Z bliska okazało się, że w środku znajduje się okrągła rura, jakiś cylinder – nie, raczej tunel, biorąc pod uwagę jego kilkumetrową średnicę. Tunel wnikał w ziemię pod płaskim kątem, co sprawiało, że jego wylot z daleka przypominał właśnie elipsę.

ColU kazał Chu obejść wkoło strukturę, aby przyjrzeć jej się dokładnie.

Tytus surowo zakazał im wchodzenia do tunelu, do jego wnętrza o gładkich, okrągłych ścianach.

– Włóczyliśmy się po okolicy w nadziei, że trafi nam się jakaś dogodna rzeka, która zabierze nas dalej… Aż zauważyliśmy coś jakby drogowskaz. Z twardego granitu, ledwo naruszonego erozją.

– Tutaj pogoda jest łagodniejsza niż nad samą linią terminatora – oznajmił ColU. – Procesy wietrzenia zachodzą tu znacznie wolniej. Drogowskaz, podobnie jak ta struktura, może pochodzić z zamierzchłej epoki.

– Drogowskaz miał wyrytą strzałkę, której znaczenie było oczywiste. Doprowadziła nas tutaj.

– Niesamowite – rzekł ColU. – Niesamowite. Podobnie jak to, że znajdujemy tę strukturę tak blisko miejsca, gdzie wkroczyliśmy na zacienioną stronę… To nie jest dzieło przypadku. Zimna półkula musi być gęsto usiana takimi budowlami.

– Nie rozumiem. – Stef przystanęła nad elipsoidalną gardzielą. – Widzę tunel. – Szukając

punktu odniesienia, obejrzała się w górę. – Prowadzi w zasadzie na południowy wschód, to znaczy oddala się od strefy przygwiezdnej.

– Dokładnie w kierunku punktu przeciwgwiezdnego – powiedział ColU.

– Tunel schodzi płasko w dół. – Stef wzięła pochodnię od Klodii, żeby sobie przyświecić. Korytarz biegł w linii prostej i ginął w ciemności poza kręgiem chybotliwego światła. – Czyżby jakiś system transportu?

Tytus uśmiechnął się wesoło.

– Tacy z was badacze, a nie zauważyliście najciekawszej rzeczy. Ostrzegłem was, żebyście nie wchodzili do środka. A czemu? Bo podłoże jest niewiarygodnie śliskie. Powiedziałbym, że bardziej niż najgładszy lód. Choć wcale nie jest tam zimniej niż na zewnątrz. Odważyłem się dotknąć śliskiej powierzchni. Ale wystarczyłoby zrobić jeden krok… – Podniósł kamyk i ostrożnie położył go na pochyłym podłożu cylindrycznego tunelu. Przez chwilę wydawało się, że leży nieruchomo, zaraz jednak zaczął zsuwać się w głąb korytarza, stopniowo przyśpieszając, aż rozpłynął się w mroku. – Widzicie? – Tytus wciąż się uśmiechał. – Przewrócilibyście się, pojechali na plecach pod ziemię i ślad by po was zaginął.

– Nie zaginąłby – rzekł ColU. – Sądzę, Tytusie, że przeprowadzałeś już wcześniej ten eksperyment. Kiedy dokładnie wrzuciłeś pierwszy kamień do szybu?

– Nie kamień, tylko zapasową pochodnię. Chciałem się przekonać, gdzie jest koniec.

Porównali godziny. Tytus zawsze skrupulatnie pilnował czasu w trakcie marszu lub zwiadów. Okazało się, że upuścił pochodnię przed godziną i piętnastoma minutami.

– To dobrze – stwierdził ColU. – Nie będziemy musieli długo czekać.

Stef zmarszczyła brwi.

– Na co czekać? Twoje tajemnicze uwagi naprawdę działają mi na nerwy.

– Przepraszam. Kiedy byłem zwyczajną maszyną rolniczą, ludzie rzadko słuchali moich domysłów…

– Wykrztuś to z siebie, puszko!

– Uważam, pułkownik Kalinski, że to tunel grawitacyjny. To bardzo stara koncepcja, sięgająca czasów Newtona.

– Oszczędź nam lekcji historii. Po prostu powiedz.

– Wyobraźcie sobie idealnie prosty tunel wykopany w ziemi, łączący dwa punkty na zakrzywionej powierzchni planety. Tunel jest prosty, lecz będzie się wydawało, że w jednym miejscu schodzi pod ziemię, a w drugim wspina się do wyjścia.

Pokiwała głową.

– To jasne. Gdyby więc wyłożyć tunel beztarciową warstwą, wejść na sanie…

– Ześlizgniesz się w dół, osiągniesz maksymalną prędkość na środku tunelu i wyhamujesz u wylotu. Odniesiesz wrażenie, że zjechałeś z górki i wjechałeś na następną, lecz w rzeczywistości przez cały czas będziesz się poruszał w linii prostej. Rozumiesz, Stef Kalinski? Przejazd nie wymaga dostarczania energii, trzeba jedynie wykopać tunel. Sama grawitacja jest tu zasilaczem. Gdyby wybudować sieć takich tuneli, zadbać o wytrzymałość…

– …powstanie system transportu, który przetrwa miliard lat. – Stef uśmiechnęła się, urzeczona tą wizją. – Niezniszczalny i darmowy. Podoba mi się! Ludzie, którzy to zbudowali, może nasi przodkowie, musieli być bardzo sprytni.

– Nie wiadomo, czy to w ogóle byli ludzie. Jesteśmy na Per Ardui. Pamiętajcie, że istniała tu cywilizacja budowniczych zdolna do ogólnoplanetarnych prac inżynieryjnych. Może to jest ich spuścizna?

Tytus słuchał tego ze zmarszczonym czołem.

– Staram się w tym rozeznać. A więc moja pochodnia prześliźnie się tunelem do samego wylotu. Potem zaś, gdy nikt jej nie przejmie, tak przypuszczam, zacznie zsuwać się z powrotem. Twierdzisz, ColU, że wystarczy poczekać kilka minut. Czyli do chwili, gdy wróci moja pochodnia? Skąd ta pewność? Przecież nie wiesz, jak długi jest tunel.

– Nieistotne. To takie fizyczne kuriozum. Czas podróży zależy jedynie od gęstości planety, stałej grawitacyjnej… Nawet gdyby tunel prowadził przez środek globu.

– Przydałby się na podróż z punktu przygwiezdnego do przeciwgwiezdnego – skwitowała ironicznie Stef.

– Osiągnęłabyś o wiele większą prędkość w punkcie środkowym, lecz czas podróży w dwie strony byłby ten sam.

– Trochę mi to przypomina sztuczki kuglarskie – stwierdził Tytus. – Więc jak długo potrwa, twoim zdaniem, szklany demonie, ta podróż?

– Czekaj… Mniej więcej… tyle.

Jak na zawołanie, z gardzieli tunelu wyjechał pęk trzcin. Gdy zwolnił i zatrzymał się, Tytus ostrożnie wyciągnął zdrową rękę i pochwycił zdobycz.

– Ha! Niezły numer, demonie! W takim razie musimy ustalić parę rzeczy. Chodźcie, wracamy do obozu!

*

Tytus zadecydował, że pierwsza wycieczka tunelem grawitacyjnym odbędzie się na saniach, czyli wozem z płozami, które zamontowano po zdjęciu kół i osi. Oczywiście zrobili to z myślą

o ciągnięciu sań po lodzie na ciemnej stronie Per Arduy, lecz Stef przewidywała, że w beztarciowym tunelu ich pojazd spisze się jeszcze lepiej.

Zatem przeciągnęli wóz do odległej o kilka mil gardzieli tunelu i założyli tymczasowy obóz, gdzie przez cały dzień przytwierdzali płozy. Jedli i spali tylko wtedy, gdy pozwalał im na to surowy rygor narzucony przez Tytusa.

Legionista postanowił, że w próbną podróż uda się on sam w towarzystwie córki, a także ColU i Stef, którzy spróbują poddać analizie swoje wrażenia z wyprawy i ocenić to, co znajdą po drugiej stronie. Ustalono, że będąca w ciąży Mardina, ojciec dziecka Chu i przyszła babcia Beth pozostaną razem bez względu na okoliczności i zaczekają na resztę.

Musieli znaleźć jakiś sprytny sposób, żeby załoga, która wsiądzie na sanie u wlotu tunelu, mogła bez pomocy z zewnątrz wysiąść na drugim końcu, nim pojazd zacznie się zsuwać z powrotem. Na polecenie Tytusa przećwiczyli ten manewr, zanim przyciągnęli wóz pod wlot tunelu. Szło im najlepiej, kiedy z pojazdu wyskakiwał właśnie on z córką, która trzymała w ręku sznur do uwiązania sań na końcowym przystanku. W tym czasie Stef troskliwie opiekowała się ColU.

Uczestnicy przedsięwzięcia opatulili się najcieplejszymi ubraniami; bądź co bądź, zapuszczali się nie wiadomo jak daleko w głąb mroźnej strony planety. Załadowali prowiant, wodę, koce, opał i część swoich cennych narzędzi. Mardina i Chu bez większego wysiłku przysunęli sanie nad krawędź pochyłego tunelu, gdzie przytrzymali je, żeby pasażerowie mogli zająć miejsca.

Wówczas Tytus uroczyście uniósł pochodnię.

– Naprzód! W nieznane!

Zespół wspomagający puścił sanie. Zaczęły wolno, prawie niepostrzeżenie zsuwać się w dół pochyłości.

Obejrzawszy się za siebie, Stef zobaczyła uśmiechnięte, ale i nieco zaniepokojone twarze trojga towarzyszy.

– Tak długo się z tym certolimy, że to jest aż żenujące – stwierdziła. – Czuję się jak król Angleterre w swej koronacyjnej karocy.

– Zaraz będziemy w ciemnościach – oznajmił ColU. – Jeśli wypali się pochodnia, pamiętajcie, że podróż w jedną stronę trwa tylko czterdzieści minut.

Wjeżdżali już w paszczę tunelu, który szybko ich wchłaniał, w miarę jak przyśpieszali. Gęstniał mrok. Poruszali się bez najmniejszego wstrząsu i w całkowitej ciszy.

Stef poczuła lekki strach.

– Trochę jak jazda na rollercoasterze. Czarodziejska Góra w Disneylandzie. Pewnie nie macie zielonego pojęcia, o czym mówię, co?

Tytus, który osłaniał pochodnię swoim zwalistym ciałem, nabrał podejrzliwości:

– Czegoś tu nie rozumiem. Jedziemy już z dużą szybkością, a nie czuć najlżejszego powiewu.

– Tego się spodziewałem – odpowiedział spokojnie ColU.

– Co znowu? – zdenerwowała się Stef. – Wolałabym, żebyś mówił otwarcie.

– Przepraszam, pułkownik Kalinski. Nie będziemy odczuwać oporów powietrza. W przeciwnym razie tarcie by nas spowolniło. Minęlibyśmy punkt środkowy, ale nie dotarlibyśmy do wylotu, więc ześlizgnęlibyśmy się z powrotem i w końcu zatrzymali w najniższym punkcie. Ludzkie projekty techniczne inspirowane tym pomysłem zawsze uwzględniały wykorzystanie próżni.

Tytus wziął głęboki oddech.

– Nie jesteśmy w próżni.

– Sądzę, że tu działa jakiś niewidzialny mechanizm. Powietrze, którym oddychamy, porusza się razem z nami. Powietrze wypełniające tunel nie miesza się z nim. Mając do dyspozycji czas, Stef Kalinski, moglibyśmy zgłębić tę technologię. Niezależnie od zastosowanych rozwiązań, musi być niezawodna, skoro wytrzymała miliard lat…

Otaczały ich nieprzejrzane ciemności. Wydawało im się, że wcale się nie poruszają i Stef niebawem straciła rachubę czasu. W wątłym blasku pochodni Klodia tuliła się do ojca.

Nie mogąc się powstrzymać, Stef również przysunęła się do rosłego Rzymianina.

– Przepraszam, Stef – powiedział – ale nie mam dość rąk, żeby i ciebie przygarnąć.

Uchwyciła się kikuta ramienia legionisty i wsparła głowę na jego barku.

Wynurzyli się na skutej lodem równinie.

Stef zrobiła kilka kroków, wychodząc z tunelu i oddalając się od wyplutych z niego sań. Zakołysała rękami, oddychając głęboko. Mroźne powietrze szczypało w usta, z których wydobywały się kłęby pary.

– To na pewno druga strona – oświadczyła. – Taką ją właśnie pamiętam.

Rozejrzała się. Ogromna Andromeda nadal groźnie wisiała na krystalicznie czystym niebie. Nie widać tu było ani strzępka chmur, które sprowadzały deszcz w okolicach terminatora. W karmazynowej poświacie galaktyki ziemia wydawała się płaska i rozmyta. Jednakże w odległości kilkuset metrów dostrzegła osobliwie symetryczny pagórek w kształcie spłaszczonego stożka czy raczej wielościennej piramidy… lub gigantycznego klejnotu. Czyżby był sztuczny? Nie było niczego innego w tym krajobrazie, co przyciągnęłoby wzrok.

Idąc w tamtą stronę, starała się stąpać po grudach lodu, żeby się nie pośliznąć.

– Nie odchodź za daleko! – wykrzyknął za nią Tytus z poczucia obowiązku.

Prychnęła wzgardliwie.

– Chyba nie rzucą się na mnie grasujący tu barbarzyńcy, legionisto?!

– Jeszcze się poślizgniesz, babuniu, i połamiesz sobie kruche kosteczki. Mam tylko jedną rękę, więc musiałbym się natrudzić co niemiara, żeby zaciągnąć cię z powrotem na wóz i potem do domu.

– Postaram się nie szarżować.

– Pułkownik Kalinski – odezwał się ColU – czy nie zechciałabyś nieść mój tablet, żebym dokonał dokładnej inspekcji? I gdyby udało ci się w jakiś sposób wziąć próbkę tej formacji…

Z wdziękiem baletnicy Klodia przebiegła po lodzie, by wręczyć Stef tablet i młoteczek wydobyty z kompletu podstawowych narzędzi.

Zbliżając się do stożkowatej struktury, słuchała tego, co ustalił ColU.

– Ze zmiany położenia widocznych gwiazd łatwo wydedukować, że się przemieściliśmy. Oczywiście, Andromeda też się przesunęła, ale to zbyt duży i rozproszony obiekt, żeby na podstawie jego wyglądu wysnuwać konkretne wnioski.

W miarę jak Stef zbliżała się do piramidy, była coraz bardziej przekonana, że nie jest to naturalny twór geologiczny. Kontury były zbyt regularne i wyraźnie zarysowane. Narzucało się porównanie z kryształem kwarcu. Instynkt jednak jej mówił, że zachodziły tu jakieś procesy biologiczne, nie tylko fizyczne i chemiczne. Zrobiła zdjęcia, panoramiczne i w zbliżeniu. Piramida przedstawiała sobą widok spektakularny i całkowicie obcy, usadowiona pod niebem wypełnionym gwiazdami sąsiedniej galaktyki. Pochyliła się, żeby odłamać kawałeczek idealnie prostej połyskliwej krawędzi.

– Długą przebyliśmy drogę, szklany demonie!? – zawołał Tytus.

– Raczej krótką, Tytusie Waleriuszu. Trochę ponad sto kilometrów, czyli jakieś sześćdziesiąt mil rzymskich. Co oznacza, że nie zjechaliśmy głęboko pod ziemię. Może ze dwieście metrów w najniższym punkcie.

Stef ostrożnie ruszyła z powrotem w stronę wozu, schowawszy do zewnętrznej kieszeni coś, co przypominało zwyczajny kawałek zamarzniętej wody.

– Może i krótką, jak sam mówisz, szklany demonie, lecz wiemy, że takich tuneli jest więcej na tej planecie.

– Zgadza się, legionisto. Zapewne istnieje wiele takich połączeń, być może cała sieć, i być może mają różną długość.

– Dzięki nim moglibyśmy kontynuować podróż do krainy mroku. Gdzieś tu w pobliżu musi być drugie wejście. Wystarczy je znaleźć. A wtedy już…

– …przy odrobinie szczęścia, bez większych niedogodności, pojedziemy dalej, do samego

punktu przeciwgwiezdnego – dokończył ColU. – Bo tak wyjątkowe miejsce musi być centralnym węzłem każdej sieci transportu.

Stef wróciła do wozu, gdzie czekał ColU, szczelnie owinięty dla osłony przed mrozem.

– Mam umieścić fragment próbki w twoim mikrolaboratorium analitycznym?

– Poproszę, Stef Kalinski. Tytusie Waleriuszu, zastanówmy się wspólnie. Jeśli nasz tunel ma typową długość, czyli przypuśćmy sześćdziesiąt mil rzymskich, i jeśli od punktu przeciwgwiezdnego dzieli nas niespełna sześć tysięcy mil…

– …przed nami jakieś sto kursów. A skoro jeden trwa trzy kwadranse, jak powiadasz, to cała wyprawa zajmie nam, hm…

– Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt godzin – ubiegła go Stef. – Potrafię liczyć w pamięci. Biorąc poprawkę na postoje i przeciąganie wozu między terminalami, wyjdzie z tego najwyżej parę dni.

– Może być ciężko – stwierdził Tytus. – Ale przynajmniej w drodze nie zamarzniemy na śmierć i nie padniemy z głodu i pragnienia. – Pokiwał głową. – Wspaniale! Musisz jednak wiedzieć, Stef, że spodziewałem się znaleźć jakiś szybki sposób podróżowania.

– Naprawdę? Jak to?

– Bo inaczej spotkalibyśmy Ariego Guthfrithsona i tę inkaską kobietę. Szliby z powrotem, to chyba oczywiste. Podejrzewam, że gdyby nie udało się nam pokonać pieszo tej lodowej krainy, to im przecież tym bardziej. Jak widać, wasz jednoręki legionista ma głowę na karku. A teraz, Klodio, chodź ze mną. Przed powrotem udamy się na mały rekonesans. Rozejrzymy się za terminalem następnego tunelu gdzieś na południowy wschód stąd. – Popatrzył w niebo, obierając Andromedę za punkt odniesienia. – Tędy! Chodź! Ty zaś, Stef Kalinski, ty i twoje kruche kosteczki macie pozostać na wozie!

– Z przyjemnością, legionisto.

Kiedy ojciec i córka się oddalili, doleciały do niej ich śmiechy.

– Cieszę się, że są szczęśliwi – powiedziała. – Nagle cel, który do tej pory wydawał się nieosiągalny, znalazł się na wyciągnięcie ręki.

– Ty też powinnaś być szczęśliwa – rzekł cicho ColU.

– Ja?

– Z powodu odkrycia, którego przed chwilą dokonałaś.

– Jakiego znowu odkrycia? Mówisz o piramidzie?

– To nie jest piramida. Nie jest to sztuczny twór, ale też nie mamy do czynienia ze zjawiskiem czysto fizycznym, jak zapewne odgadłaś. To życie, Stef Kalinski, życie. Być może ambasador ze świata zimniejszego niż ten…

Gdy tak siedzieli razem na wozie, ColU opowiadał jej o Tytanie, księżycu Saturna.

Tytan był jedynie księżycem, małym światem, niepozornym towarzyszem gazowego olbrzyma – ale jednak światem, choć niezmiernie zimnym. Jego kamienny rdzeń otoczony był grubym wodnym płaszczem, przeraźliwie zimnym oceanem w skorupie lodu twardego jak ziemski bazalt. Nad tym wszystkim rozpościerała się gęsta atmosfera, w przeważającej mierze złożona z azotu, ale też ze śladowych ilości związków organicznych, metanu, etanu…

– Właśnie ze względu na obecność związków organicznych Tytan stał się taki ciekawy – mówił ColU. – Na świecie pokrytym skorupą lodu, gdzie wulkany wyrzucają z siebie wodę z amoniakiem, spadający z deszczem metan żłobi doliny rzeczne i napełnia morza. A w tych morzach…

– …sondy znalazły życie. Pamiętam doniesienia o jakichś ospałych drobnoustrojach w jeziorach z metanu.

– Tak, życie, lecz nieoparte na węglu, jak nasze, tylko na krzemie. Podobnie jak wiązania węglowe, będące fundamentem twojego organizmu, powstają i pękają w wodzie o temperaturze pokojowej, tak wiązania krzemowe powstają w zimnych metanowych jeziorach na Tytanie. Taka forma życia na pierwszy rzut oka nie różni się zasadniczo od naszej, lecz zachodzą w niej odmienne procesy biochemiczne. Organizmy żywe poruszają się wolno, nie marnują energii, pomału rozmnażają się i ewoluują. Na Tytanie odkryliśmy tylko proste drobnoustroje, prostsze nawet od większości bakterii, niewiele bardziej złożone od wirusów. Ale zimnym światem jest nie tylko Tytan. Tutaj, w układzie Proximy, skoncentrowaliśmy się na Per Ardui, planecie podobnej do Ziemi…

– A, już wiem. Proxima d.

– Tak, planeta wielkości Marsa położona tuż za obszarem nadającym się do zamieszkania przez ludzi.

– O ile mi wiadomo, nie doczekała się nawet przyzwoitej nazwy. Nikt się nią nie przejmował, tak samo jak resztą planet w układzie Proximy.

– Istotnie. Ale była bardzo podobna do Tytana. Wygląda na to, że mamy kolejny szablon świata. I przestrzeń dla zupełnie innych organizmów. Earthshine mówił o panspermicznym bąblu. O tym, że światy takie jak Ziemia i Per Ardua łączy chemiczne pokrewieństwo, które rozprzestrzenia się za pośrednictwem skał wędrujących między gwiazdami. Na takich światach powstają bliskie sobie formy życia. Ale występują również inne bąble, a więc światy, gdzie wytworzył się odrębny wzorzec procesów biochemicznych ściśle powiązany z odmiennym klimatem. Być może bąble czasem nakładają się na siebie, bo z całą pewnością jeden układ słoneczny może zawierać różnorakie formy światów.

Stef zaczynała rozumieć.

– Świadomie czy nie, ColU, ty wciąż mówisz zagadkami. Ale chyba wiem, do czego zmierzasz. Ta próbka, którą ci przyniosłam…

– Struktura biologiczna tego stworzenia o kształcie piramidy jest oparta na krzemie i bardzo podobna do tego, co zostało zaobserwowane na Tytanie. Jednak nie identyczna. Może to gość z Proximy d, jak myślisz? Zahartowany, by wytrzymać to, co dla niego musi być piekielnym skwarem nawet tu, po zimnej stronie Per Arduy. Podobnie czułby się człowiek na Wenus. Ale jakoś tu funkcjonuje, żyje… Gdybyśmy mieli więcej czasu…

– To co, ColU?

– Stef Kalinski, przekonaliśmy się, że w ciągu miliardów lat organizmy żywe z tego samego panspermicznego bąbla mogą się integrować, zacieśniać współpracę.

– Ziemskie mrówki i arduański stromatolit.

– Właśnie. Pytanie brzmi, czy w ciągu dziesiątek lub setek miliardów lat nie wymieszają się i nie połączą ze sobą przedstawiciele całkowicie odmiennych form życia? Te pokrewne tobie, szybkie i pełne wigoru, z istotami biernymi jak nasz Tytanianin? A jeśli to kolejna faza ewolucji wszechświata? Już teraz istniejecie na tym samym świecie.

– To fantastyczna myśl – powiedziała z zadumą Stef – ale zupełnie nierealna. Przecież tak się nie stanie. Sam twierdzisz, że to koniec czasów. Nie mamy przed sobą dziesiątek i setek miliardów lat…

– Obawiam się, że masz rację, pułkownik Kalinski. Tutaj, po ciemnej stronie planety, wreszcie mogłem przeprowadzić dokładniejsze obserwacje nieba: określić kondycję gwiazd, bliskość Andromedy, a nawet jasność tła wszechświata, w którym można dostrzec pączkujące zawirowania, przesłanki co do jego przyszłości.

– Hm… – Skierowała spojrzenie w ciemną otchłań. – Astronom miałby co podziwiać. Zatem doszedłeś do konkretnych wniosków, co?

– Owszem. Dokładnie obliczyłem, ile zostało czasu.

Przeszedł ją dreszcz, jakby usłyszała złą wiadomość od lekarza.

– Będziesz musiał wytłumaczyć to innym. Językiem, który zrozumieją.

– Naturalnie, pułkownik Kalinski. Nawiasem mówiąc, musimy czym prędzej odnaleźć Earthshine’a.

Stef słyszała, że wracają zwiadowcy. Ojciec i córka śmiali się, pełni życia i temperamentu. Popatrzyła na mroźnego olbrzyma, krzemowego przybysza z Proximy d.

– Zastanawiam się, czy on nas widzi – powiedziała. – Powiedz… ile zostało nam czasu?

– Rok – odpowiedział beznamiętnie ColU. – Nie więcej. Co do konkretnego dnia, trudno jeszcze wyrokować.

Stef od razu pomyślała o Mardinie i jej dziecku.

Wydęła wargi i pokiwała głową.

– Zatem rok… Na razie nic im nie mów. A teraz przygotujmy się do drogi.

Rozdział 67

Podróżnicy zapuszczali się coraz głębiej w kraj mrozu.

Wszystkie czterdziestominutowe przejazdy wydawały się Beth takie same, lecz w czasie krótkich przerw, kiedy maszerowali z wylotu jednego tunelu do wlotu następnego, podążając szlakiem starannie wytyczonym przez Tytusa i Klodię lub Chu, przyglądała się tym częściom świata, których wcześniej nie widziała. Bądź co bądź, gdy dorastała na Per Ardui, nie zawędrowała nigdy dalej niż do wysokich lasów, stanowiących obrzeże strefy terminatora.

Stef i ColU mieli już za sobą jedną taką wyprawę, gdy w towarzystwie ojca Beth i Liu Tao podróżowali skradzionym łazikiem należącym do ISF. Tamta grupa, jadąc na przełaj przez lodowe pustkowia zamarzniętego oceanu, dotarła do punktu przeciwgwiezdnego w miarę prostą drogą. Tymczasem tunele grawitacyjne, rzecz jasna, nie opuszczały stałego lądu, lawirując wzdłuż oceanicznych wybrzeży. Podróż odbywająca się krętą drogą musiała więc potrwać dłużej niż tych kilka dni, o których na początku mówili Tytus i ColU – a tak nie była zbyt czasochłonna.

W trakcie pierwszej ekspedycji Stef umierała z nudów na cechujących się geometryczną prostotą lodowych równinach, lecz teraz Beth mogła się przyglądać ciekawszym elementom krajobrazu. Zerodowanym łańcuchom górskim, z których lodowce spływały wielkimi, brudnymi jęzorami. Miejscom, gdzie trzęsienia ziemi lub inne geologiczne perturbacje wypiętrzyły i połamały pokrywę lodu, tworząc zamarznięte uskoki połyskujące granatem w świetle pochodni.

ColU stwierdził, że nawet te formacje muszą być niesamowicie stare. W strefie terminatora, gdzie ciepłe, wilgotne powietrze ze słonecznej półkuli zderzało się z chłodem nocy, pogoda intensywnie oddziaływała na środowisko, tutaj jednak, w ciemności, zjawiska atmosferyczne były ekstremalnie rzadkie. Niebo nie stawało się zachmurzone, nie padał śnieg ani grad. W tak leciwym układzie słonecznym nawet upadki meteorytów zdarzały się nieczęsto, jako że większość szczątków pozostałych po prehistorycznym okresie formowania się planet została już stąd wymieciona. Tak więc parli przed siebie wśród urozmaiconych, lecz statycznych pejzaży zalanych mętnym, czerwonawym światłem starzejącej się Andromedy.

Widywali również „Tytanian”: tajemnicze piramidy z wyraźnie zaznaczonymi krawędziami, stojące w milczeniu niczym monumenty. ColU dowodził, że Tytanianie, na swój sposób i według ich skali czasu, mogą być nie mniej zaangażowani w eksplorację kosmosu niż ludzie.

Beth zauważyła jednak, że Stef rzadko patrzy w niebo lub na lodowy krajobraz, a nawet Tytanian. Kiedy przemieszczali się lub „wieczorem” odpoczywali, Stef siedziała z ColU z tyłu na wozie przerobionym na sanie bądź w rogu szałasu, gdzie rozmawiała półgłosem, czasem notując coś na rozjarzonym wyświetlaczu tabletu. Wszyscy wiedzieli, czego dotyczą te rozmowy: wysnuwanych przez ColU koncepcji na temat przyszłych losów świata. Beth próbowała wyczytać coś z twarzy Stef. Beznamiętny ton głosu ColU niczego nie ujawniał.

Aż pewnego wieczoru, kiedy posprzątali po kolacji, opatulili się najcieplejszymi ubraniami, naciągnęli na stopy wiele par skarpetek i zgromadzili się wokół rozgrzanego piecyka, Stef oświadczyła, że muszą porozmawiać o końcu czasów.

– Teoretycznie – zaczęła ostrożnie – nie powinniśmy mieć trudności z wyobrażeniem sobie, że kiedyś nastąpi koniec świata, że cały wszechświat się skończy, i to stosunkowo niedługo. Przecież nie wiemy z własnego doświadczenia, czym jest wieczność albo nieskończoność. Nasze życie jest krótkie. W moich czasach naukowcy udowodnili ponad wszelką wątpliwość, że przed nami nie było wieczności, że wszechświat miał swój początek, swoje narodziny wywołane jakimś gigantycznym wybuchem energii. A więc czemu sądzimy, że po nas będzie wieczność, niekończąca się epopeja życia i intelektu?

Beth siedziała obok córki. Pod kocem ujęła jej dłoń, którą ta uścisnęła. W blasku ognia oczy Mardiny były szeroko otwarte, na jej twarzy nie malowały się żadne uczucia. Beth przeczuwała, że nie będzie to rozmowa, która sprawi im przyjemność.

ColU spoczywał na kolanach Chu, blisko Stef.

Tytus Waleriusz, który siedział obok młodego niewolnika, słuchał z uwagą i teraz dał wyraz swoim wątpliwościom:

– My, Rzymianie, umieliśmy ogarnąć myślą wieczność. Albo, inaczej mówiąc, nie potrafiliśmy wyobrazić sobie końca. Bo nie wyobrażaliśmy sobie, że kiedykolwiek upadnie Cesarstwo. Rozumiecie? Wieczne i bezkresne…

Te słowa brzmiały dostojnie po łacinie, gdy gardłowym głosem wypowiadał je legionista. *Imperium sine fine*…

– Nasza cywilizacja – powiedział ColU – do której należałem razem z Beth i Stef, miała własne pojęcie wiecznie żywego imperium: imperium naukowej logiki. Myśleliśmy, że potrafimy przewidzieć przyszłość, obserwując kosmos, poznając rządzące nim prawa fizyki i prognozując konsekwencje tych praw… Wszechświat zawiera określoną ilość wodoru, który jest najważniejszym składnikiem gwiazd. Cały ten wodór zużyje się, czy raczej zużyłby się, gdyby wszechświat był dziesięć tysięcy razy starszy niż obecnie. Zgasłyby gwiazdy. Po ich wypaleniu się nastałaby epoka czarnych dziur i zdegenerowanej materii w skurczonych,

stygnących resztkach gwiazd, galaktyki zaś, ogromne i ciemniejące, zaczęłyby się rozpadać. Nastąpiłyby znaczące przemiany, kiedy doszłoby do rozsypywania się protonów, czyli podstawowych cegiełek, z których zbudowana jest materia. W końcu wszystko uległoby rozpuszczeniu i nie pozostałoby nic z wyjątkiem pozytronium, czyli rzadkich oparów cząstek zwanych elektronami i pozytronami, które rozproszyłyby się w powiększającym się pustym kosmosie. Mimo to niewykluczone, że przetrwałby intelekt. Może bardziej podobny do mojego niż waszego. Myśli poruszające się w leniwym strumieniu elektronów: takie, które potrzebują miliona lat, żeby się w pełni sformułować.

– To brzmi strasznie – powiedziała Mardina, silniej ściskając dłoń Beth. – I nawet nie ma sensu. Jakim cudem jedna myśl mogłaby trwać milion lat? Tego nie można sobie wyobrazić.

– Lecz czasu można doświadczać rozmaicie – ciągnął ColU. – Moja cywilizacja znała niejakiego Tomasza z Akwinu, chrześcijańskiego uczonego. Nie udało mi się znaleźć go w waszej historii, Tytusie. On wyróżnił trzy rodzaje czasu, czy raczej sposoby jego postrzegania. *Tempus* był czasem ludzkim, który mierzymy na podstawie zmian w otaczającym nas świecie: ruch wahadła, nadejście nowej pory roku. W przypadku lodowych olbrzymów z Tytana *tempus* byłby wolniejszy. Aevus był czasem anielskim, mierzonym zmianami wewnętrznymi: kształtowaniem się myśli, zrozumienia, nastroju. Bo świat aniołów nie pokrywał się z ludzkim. No i był jeszcze *aeternitas*, czas boski, ponieważ Bóg i tylko Bóg potrafił jednocześnie ogarnąć całą wieczność. Mózgi elektronowo-pozytronowe nie byłyby Bogiem, lecz w bezczasowym zmierzchu wszechświata mogłyby się stać aniołami…

– Mogłyby – podkreśliła Mardina niemalże z goryczą. – Mogłyby…

– Nigdy nie będzie pozytronowych aniołów. Nasz wszechświat nie dotrwa do tych czasów. A powodem, dla którego wszechświat nie trwa wiecznie, jest istnienie innych wszechświatów. Wiemy, że istnieją, bo sami osobiście byliśmy w kilku z nich.

– Byliśmy i walczyliśmy! – Tytus poruszył się i wygrzebał spod koców. – Jednak w tym wszechświecie mam pełny pęcherz. Ktoś chciałby jeszcze herbaty? Chu, wstawiłbyś na ogień garnek z lodem…

Dopiero godzinę później znów siedzieli na swoich miejscach. Beth miała wrażenie, że wszyscy są spokojniejsi i bardziej uważni, lepiej przygotowani na dziwne wieści z nieba. Tytus Waleriusz zastosował sprytną sztuczkę psychotechniczną. Jak się okazało, wcale nie chciało mu się sikać.

Tytus, siorbiąc, dopijał herbatę.

– A więc nie dość, że mamy na głowie losy tego wszechświata – powiedział – musicie jeszcze gadać o innych, tak?

– Domyślam się, Tytusie – odparła z uśmiechem Stef – że prowadzimy cię drogami, które

wolałbyś omijać. Ale tu wystarczy logicznie pomyśleć. Gdy wszystko zawodzi, poradź się naukowca. Wybacz, stary żart fizyków… Słuchajcie, z własnego doświadczenia wiemy, że inne wszechświaty naprawdę istnieją i pod względem historii podobne są trochę do tego… lub tych, w których się urodziliśmy. Moja cywilizacja miała naukowców, którzy przewidzieli istnienie tych wszechświatów. Nasze prawa przyrody były niepodważalne, ale nie określały, jaki musi być wszechświat. Nie wykluczały istnienia wielu wszechświatów, ich nieskończonej liczby. To tak, jak ze śniegiem: sześciokrotna oś symetrii płatka śniegu, która wynika z geometrii kryształków lodu, pozwala, by w obrębie tych sześciu poziomów uporządkowania powstało całe mnóstwo zróżnicowanych płatków.

– Wszechświaty liczne jak płatki śniegu – odezwała się Beth. – To cudowne. I straszne.

– Ale czym są te wszechświaty? – mówiła dalej Stef. – I gdzie one są? Wiecie, że w mojej cywilizacji nauka stała na najwyższym poziomie wśród światów, które poznaliśmy…

– Earthshine powiedziałby – przerwał jej ColU – że naszą w najmniejszym stopniu zaprzątały wysiłki na rzecz budowania Włazów dla Śniących.

– Stworzyliśmy modele wieloświata, czyli *multiuniwersum* będącego zbiorem wszystkich wszechświatów. Stulecia badań nie przyniosły żadnych rozstrzygnięć w tej kwestii. Prawdopodobnie nie zgłębiliśmy dostatecznie własnego uniwersum, żeby dojść do prawdy… Tak czy inaczej, wierzyliśmy, że na skutek Wielkiego Wybuchu nasz wszechświat zaczął się rozszerzać z jednego punktu. Rozszerzał się, stygł, najpierw tylko zalany światłem. Powstawały atomy, wyodrębniały się gwiazdy i planety, później człowiek. Tylko że nasz wszechświat był jak bańka powietrza w garnku z kipiącą wodą, zupełnie jak w naszym rondelku. – Wskazała gliniane naczynie, w którym leniwie bulgotał wrzątek. – Rozumiecie? Istnieje substrat, coś jak woda w garnku. Z tego gorącego substratu wyłania się nie jedna bańka, ale całe ich mrowie. Pęcznieją, pękają… To inne wszechświaty, o których rozmawiamy. Ich wnętrza różnią się między sobą czasem trochę, czasem bardzo. Niektóre z pewnością wyróżniają się nie tylko pod względem historycznym. Weźmy za przykład silniejszą grawitację, to znaczy siłę dającą wam ciężar. Gwiazdy byłyby mniejsze i wypalałyby się szybciej. Wszystko wyglądałoby inaczej. A gdyby grawitacja była słabsza, mogłoby w ogóle nie być gwiazd. Oczywiście między pewnymi wszechświatami jest więcej podobieństw albo więcej różnic.

Wydawało się, że w tych wywodach najlepiej orientuje się Chu. Nie po raz pierwszy Beth zastanawiała się, jakim uczonym mógłby zostać w sprzyjających okolicznościach.

– Wszystkie wszechświaty, które widzieliśmy, są do siebie podobne – stwierdził. – Są w nich planety, słońca, ludzie. Nawet, do pewnego stopnia, ci sami ludzie.

– Otóż to właśnie! – powiedziała z werwą Stef. – Jeśli się nad tym zastanowić, niezgodności

są niewielkie. Oczywiście dla nas to spora różnica, czy Rzym upadnie, czy przetrwa – uśmiechnęła się do Tytusa, gdy ten spiorunował ją wzrokiem – ale z punktu widzenia chociażby Per Arduy to mało znaczący szczegół.

– Uważamy – rzekł ColU – że Śniący potrafią w jakiś sposób sięgnąć do wszechświatów, które są… blisko. Nie wiem, jak to lepiej określić. Czym właściwie jest bliskość w wieloświecie? Sięgają z jednego wszechświata do drugiego, podobnego, ale jednak takiego, w którym cywilizacja ludzi bardziej… sprzyja budowaniu Włazów. My zaś, niepozorne istoty, zostaliśmy przeniesieni przez przypadek.

Beth rozmyślała ze zmarszczonym czołem.

– Ale czemu to wszystko? – zapytała. – Po co to robią?

– Tego właśnie musimy się dowiedzieć – odparła Stef. – Podejrzewam, że Earthshine jest o krok od poznania tajemnicy. Dla nas ważne jest to, że wiemy już o istnieniu wieloświata. Doświadczyliśmy go, prawda? Wieloświat jest wielki, to nie ulega wątpliwości. Ale nie może być nieskończony.

Tytus podrapał się po głowie.

– I znowu to samo. Wolno wiedzieć dlaczego?

– Problem w tym, Tytusie – powiedział ColU – że niektórzy uczeni uparcie wierzyli, że nie istnieje w przyrodzie coś takiego jak nieskończoność. Dla nich to tylko wymyślona przez ludzi użyteczna matematyczna zabawka, niemająca nic wspólnego z rzeczywistością. W odróżnieniu, na przykład, od liczby trzy, która opisuje zbiór trzech elementów: trzy osoby, trzy ziemniaki…

– Przez nieskończoności racjonalne pytania tracą sens. Tytusie, zacznij od liczby jeden.

– Na razie nadążam.

– Dodaj jeden.

– Mam dwa.

– Odejmij jeden.

– Znowu mam jeden.

– Dodaj jeden.

– Dwa.

– Odejmij jeden.

– Jeden!

– Dodaj jeden.

– Dwa!

– Odejmij jeden.

– Jeden!

Uniosła dłonie.

– Dobrze, wystarczy. Już to czujesz. Gdybym więc poprosiła, żebyś zatrzymał się na którymś z kolei kroku, dwunastym, dwudziestym trzecim lub pięćset siedemdziesiątym ósmym, jaki miałbyś wynik?

– Jeden lub dwa, proste.

– Na pewno to lub tamto?

– Oczywiście.

– Ale gdybym kazała ci robić to w nieskończoność, jaki byłby wynik?

– E… no…

– Widzisz? Wyniku obliczyć się nie da. Kwestia staje się absurdalna, gdy wprowadzamy pojęcie nieskończoności.

– Kotłuje mi się we łbie jak w tym rondelku z wodą – stwierdził Tytus.

– Fizyka, którą się zajmuję, polega na zadawaniu racjonalnych pytań w oczekiwaniu na racjonalne odpowiedzi. Na wnioskowaniu o przyszłości na podstawie przeszłości. Kiedy dopuszczamy wartości nieskończone, otrzymujemy głupie odpowiedzi na racjonalne pytania. Rozlatuje się cały system.

– Zatem wniosek jest taki – powiedział ColU – że zbiór wszechświatów, które odwiedzamy, musi być skończony. Bo przyroda odrzuca wartości nieskończone.

– No i co z tego? – zapytała Mardina, zirytowana. – Jaka to dla mnie różnica, czy jest jedna rzeczywistość, czy dziesięć, dwadzieścia lub milion?

– Zasadnicza – tłumaczyła tonem łagodnym, lecz stanowczym Stef. – Ponieważ skończony wieloświat ma brzeg. Gdyby jeden ze składowych wszechświatów dotarł do tego brzegu… – Popatrzyła do garnka z wodą i wskazała większych rozmiarów bańkę, która powoli dryfowała ze środka ukropu w stronę ścianki glinianego naczynia. – Patrzcie. – Kiedy bańka dotarła do brzegu, pękła i zniknęła, jakby jej nigdy nie było.

– Przyjmując proste założenie, że wieloświat jest skończony – powiedział ColU – i wiedząc, jak stary jest wszechświat… lub był w epoce, z której pochodzimy… można szacunkowo określić, jak długo jeszcze będzie istniał. Ile lat musi upłynąć, nim uderzymy w ścianę wieloświata. To tylko rachunek prawdopodobieństwa, ale…

– Ile lat? – przerwał mu Tytus.

– Według moich najnowszych obliczeń, opartych na obserwacjach kosmosu jeszcze wtedy, gdy przebywałem na pokładzie „Malleusa Jesu”, ten czas wynosi trzy i pół miliarda lat, licząc od epoki ludzkości.

Tytus pokręcił głową, mrucząc pod nosem.

– Absurdalna liczba…

– Nie dla astrofizyka – powiedziała z uśmiechem Stef. – To znaczy uczonego, który zna się na gwiazdach, Tytusie. Moja cywilizacja uważała, że wszechświat ma niespełna czternaście miliardów lat. Czemu więc miałby istnieć dłużej niż jeszcze kilka miliardów? Rozumiecie? Nie biliony lub setki bilionów lat albo poza okres rozpadu protonów… Nazywaliśmy to argumentem o końcu świata. Dlaczego przyszłość miałaby aż tak bardzo różnić się od przeszłości? Czy raczej nie powinniśmy założyć, że znajdujemy się gdzieś w połowie drogi, niż w pierwszych chwilach istnienia kosmosu?

Mardina znów dotykała brzucha, jakby chciała osłonić dziecko przed tym wszystkim.

– Trzy i pół miliarda lat – powiedziała. – Twierdzisz, że wszechświat umrze trzy i pół miliarda lat od momentu mojego narodzenia. Jeśli dobrze rozumiem, co to za liczba, przed nami jeszcze kawał czasu.

– Niby tak, Mardino, lecz jest pewien haczyk – wyjaśniła Stef. – Zostaliśmy przeniesieni tam, gdzie ten kawał się kończy. To właśnie ustaliliśmy. ColU stwierdził to niezbicie na podstawie obserwacji nieba.

– Brałem pod uwagę nie tylko starzejące się gwiazdy i położenie galaktyk – rzekł ColU – bo wystarczyłoby to jedynie do szacunkowych obliczeń. Dochodzą również zaburzenia w poświacie kosmicznego tła, które jest gasnącym wspomnieniem po Wielkim Wybuchu. Zaburzenia wywołane wydarzeniami w przyszłości.

Tytus zastukał paznokciem w garnek.

– Z powodu bliskości tej ściany, o której mówicie?

– To niewyobrażalnie naładowana bariera wysyłająca w przeszłość sygnały, które ukazują się jako zaburzenia w promieniowaniu tła. Dlatego mogę wykonać precyzyjne pomiary. Epoka, w której się znajdujemy, to koniec czasów…

– Nie chcę tego słuchać! – Mardina nagle wstała, odsuwając się od Beth. Pod ciężarem koców potknęła się i omal nie wpadła na piecyk. – Nie będę słuchać takich rzeczy! – Zatkała sobie uszy i odeszła szybkim krokiem.

Beth uniosła się ze swojego miejsca.

– Trzeba dać jej buty i płaszcz, jeśli chce wyjść poza obóz…

– Nie. – Chu zerwał się na równe nogi i sięgnął po własne buty. – Poradzę sobie. To nasz problem.

Tytus pokiwał głową.

– Niech idzie. Są tacy młodzi. Nie będzie im lekko pogodzić się z faktami.

Beth pragnęła udać się za córką, lecz zmusiła się do pozostania.

– Jesteś mądrym człowiekiem, Tytusie Waleriuszu – stwierdziła.

Na jego zmęczonej twarzy pojawił się uśmiech.

– Po prostu starym. Zahartowanym w bojach. A zatem, Koliuszu, trafiliśmy do przyszłości, jeśli dobrze cię zrozumiałem. Kiedy napotkamy ten… brzeg?

– Za rok – odparł bez ogródek ColU. – Nie później.

Tytus pokiwał głową.

– I co potem? Co się stanie?

– Ściana światła – odparła Stef.

Westchnął ciężko.

– No trudno. A teraz przejdźmy od spraw nadziemnych do przyziemnych. Zastanówmy się wreszcie nad szlakiem jutrzejszego marszu, bo musimy się wyspać… jeśli pozwoli nam Morfeusz.

Rozdział 68

W Punkcie przeciwgwiezdnym schodziły się tunele kolei grawitacyjnej.

Na końcowym przystanku, gdy pozostali zmagali się z dobrze już przećwiczonym zadaniem wyciągania sań z beztarciowej tuby, Stef oddaliła się od grupy i sama wyszła z tunelu. Lód pod butami był twardy jak beton, ale zarazem pofałdowany, pobrużdżony, osmagany wiatrem, zapewne bardzo stary – jednak nie śliski. Może było zbyt zimno? W każdym razie stopy miały pewne oparcie. Dawno temu, gdy jeszcze przebywała w swoich czasach, przelatywała wahadłowcem nad marsjańskim kołem biegunowym, gdzie zgromadziły się bardzo stare pokłady lodu wodnego, przy czym najgłębsze warstwy liczyły sobie ze dwa miliony lat. Lód, po którym teraz stąpała, mógł być nawet tysiąc razy starszy. Jakby w rzeczywistości przeniosła się do prehistorii, do zamierzchłego wszechświata.

Panowało tu zimno. Pod tym względem chyba niewiele się zmieniło od jej pierwszej wyprawy. Ów punkt położony najdalej od gorącej gwiazdy znajdował się w samym środku półkuli będącej krainą wiecznych lodów, chłodu i ciemności. A jednak istniała pewna granica zimna, nawet tutaj; nieco ciepła przedostawało się na drugą stronę planety z części nasłonecznionej. Człowiek z pewnością mógł znieść tutejsze temperatury. Tak czy inaczej, z jej ust szła para, a mróz szczypał ją w nos, policzki i czoło.

Idąc przed siebie, wyraźnie widziała w blasku Andromedy – tutaj przypominającym mętną łunę wschodzącego słońca na widnokręgu – mroczne paszcze w ziemi: wyloty tuneli oplatających siecią całą mroźną półkulę, zbiegających się właśnie tutaj, w punkcie przeciwgwiezdnym, w geograficznym środku symetrii.

W tym centralnie położonym miejscu, do którego, jak się wydawało, zmierzały wszystkie tunele… coś istniało: spłaszczona kopuła, spod której sączyło się blade światło. Wewnątrz majaczyły jakieś konstrukcje.

Earthshine. To musiał być on.

Stef wróciła do swoich towarzyszy. Wóz stał na płozach gotowy do ostatniego holowania do kopuły. ColU znajdował się w torbie na plecach Chu. Mardina, której ciążowy brzuszek zaznaczał się coraz wyraźniej pomimo grubych warstw ubrania, stała obok byłego niewolnika; ich dłonie w rękawiczkach były ze sobą splecione, wokół twarzy kłębiło się wydychane powietrze.

Tytus chrząknął i wskazał kopułę.

– Nasza długa wyprawa dobiegła końca. Oto przed nami cel podróży. Musimy się przygotować do obrony.

– Może i masz rację, legionisto, ale weź coś pod uwagę – rzekł ColU. – Earthshine nie potrzebuje schronienia, jakie daje kopuła, za to wy tak. Kto wie, czy nie jest ona gestem dobrej woli z jego strony.

Tytus pokiwał głową z poważną miną.

– Rozumiem, o czym mówisz. Ale ty również weź coś pod uwagę. Gdybyśmy byli mile widziani, tak samo mile widziani byliby Ari i Inguill, o ile by tu dotarli. Musimy się przygotować na to, co kombinują. I rzecz druga: skoro Earthshine, czy jego obraz, może biegać po lodzie na golasa…

Beth parsknęła śmiechem.

– Tytusie, gdyby chciał, mógłby latać.

– …to czemu go tu nie ma? Jestem przekonany, że zdaje sobie sprawę z naszej obecności. Czemu nie wyjdzie się przywitać? – Powiódł wzrokiem po twarzach. – To pokazuje, jak w gruncie rzeczy mało wiemy. Pójdziemy do kopuły. To oczywiste, że tam. Innych miejsc tu nie ma. Wchodzimy z rękami otwartymi na znak przyjaźni i pokoju, ale też z bronią w pochwach za plecami. Zgoda?

Stef pokręciła głową.

– Jesteś strasznym cynikiem, Tytusie Waleriuszu. Chciałabym cię zobaczyć w czasie bójki na noże. W tym zimowym rynsztunku wyglądasz jak przerośnięta panda w klatce. Ale dzięki tobie i twojemu instynktowi jeszcze żyjemy. Zatem zgoda.

Uformował się luźny pochód: Tytus, Chu, Klodia i Beth ciągnęli wóz w stronę kopuły, Mardina i Stef znajdowały się z tyłu. Na przedzie szli Tytus i Chu uzbrojeni w *pugio*, które połyskiwały w skąpych promieniach Andromedy, zatknięte za pas na plecach.

Mardina ujęła pod ramię Stef i razem ostrożnie stawiały stopy na lodzie.

Stef spojrzała w górę.

– Kosmos nie wygląda jak wtedy, gdy dotarłam tu z twoim dziadkiem, Yurim, w innym strumieniu czasu. To było tak dawno. Gwiazdy zawędrowały na inną stronę nieba lub zestarzały się i zmieniły, rozpadły się gwiazdozbiory. Ale miałam nadzieję, że mimo wszystko ją zobaczę, wysoko w zenicie. Była taka jasna. W miarę jak zbliżaliśmy się do punktu przeciwgwiezdnego, powoli unosiła się nad horyzontem, niepodobna do żadnej innej gwiazdy.

– Ona? O kim mówisz, Stef?

– O istocie o imieniu Angelia. Mój ojciec ją stworzył.

– Jeszcze jedna sztuczna osoba. Jak ColU i Earthshine?

– Tak. Była również czymś w rodzaju statku kosmicznego. Ona i jej zaginione siostry… Poznałyśmy się. Wątpię, by przetrwała do dnia dzisiejszego. Pewnie jej struktura rozmyła się po upływie miliarda lat, może dwóch.

Mardina ścisnęła jej ramię.

– Żyjemy w innej historii. Być może nigdy jej tu nie było.

– Masz rację – odparła zaskakująco smutnym tonem. – Kolejna opowieść, którą wymazali Śniący swoimi sztuczkami.

– Dopóki ją pamiętasz, nie jest wymazana.

Stef się wzruszyła.

– Jesteś dobrym człowiekiem. – Poklepała dłoń Mardiny.

Ta zareagowała śmiechem.

– Mimo że mój pradziadek jest zbrodniarzem zamkniętym w puszcze ze szkła i metalu?

– To ci dopiero spadek po przodkach. Mimo to Yuri, twój dziadek, był porządnym człowiekiem, tyle ci mogę powiedzieć. A ty świetnie sobie poradzisz jako młoda mama.

Tu jednak trochę się zapędziła. Poczuła chłód bijący od Mardiny.

– Chyba nie będzie czasu, żeby tego dowieść. Jeśli ColU ma rację i wszystko to – wskazała ręką rozgwieżdżone niebo – zamknie się jak zwijający się rulon.

Stef nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

Ulżyło jej, kiedy Tytus, maszerujący na czele grupy, dotarł do półprzezroczystej ściany kopuły.

Rozdział 69

Gdy obchodzili kopułę, Stef oceniła, że musi mieć około pięćdziesięciu metrów średnicy i dziesięciu wysokości w środkowej części. Jej powłoka była dość czysta i w pewnej mierze przepuszczała światło, brakowało natomiast jakichkolwiek wsporników, szkieletu czy pałąków.

Tytus próbował przeniknąć wzrokiem ścianę, jakby podglądał obóz wojskowy zgrai niesfornych barbarzyńców. Co niekoniecznie mijało się z prawdą. Wskazał na zarysy przedmiotów poskładanych tu i ówdzie.

– To mi wygląda na ekwipunek, który zabrali ze sobą Ari i Inguill – stwierdził. Były tam sanie, o wiele mniejsze i toporniejsze od ich wozu, wokół zaś stosy byle jak rzuconych ubrań i koców, grube płaszcze, buty. – A to coś na samym środku jakby słup otoczony ażurową konstrukcją…

– Sądzę, że to Earthshine – mruknął ColU. – A przynajmniej jego aparat wspierający. Z jakiegoś powodu znacznie zmodyfikowany. No, a dalej…

Wszyscy rozpoznali pokrywę Włazu: znajdowała się pod ścianą, osadzona w skalnym podłożu.

Aby lepiej widzieć, Stef osłoniła rękami oczy, przeklinając parę idącą z jej ust. Najzwyklejszy w świecie właz. Identyczny jak tamten, który przeniósł ją na Merkurego – pierwszy w jej życiu. I jak ten, który odnalazł na Per Ardui w punkcie przeciwgwiezdnym Dexter Cole. Jak te, które widziała na planetach w innych układach słonecznych. Wszystkie były jednakowe: kilkumetrowe prostokątne płyty z cienkim rowkiem w kształcie koła: obrysem wieka. Prostota i funkcjonalność.

A jednak te nieskomplikowane urządzenia były odpowiedzialne za zmianę historii, za manipulacje losami miliardów istot ludzkich. Stef była fizykiem i przez większą część życia badała Włazy. Mimo to wciąż drżała na ich widok.

Tym razem dostrzegła otwór ziejący pod uniesioną pokrywą.

– I co teraz? – zapytał ostro legionista. – Bierzemy noże i wycinamy dziurę?

– Możemy tak zrobić, ojcze – powiedziała Klodia – albo podążyć za strzałką na ścianie.

Podeszli do drzwi, które niczym pęcherz odstawały od gładkiej ściany kopuły.

– Jest tu klamka, więc nie będzie problemu – rzekł Tytus, przewiercając spojrzeniem powłokę drzwi. – Za nimi są drugie drzwi.

– Pewnie swego rodzaju śluza powietrzna – stwierdziła Stef, oglądając badawczo kopułę. –

Nie widać żadnych elementów konstrukcyjnych. Ciśnienie powietrza usztywnia ściany. Musimy przejść przez podwójne drzwi, żeby ze środka nie uciekło ciepłe powietrze.

– Nie zapominaj, że służyłem na statkach kosmicznych – powiedział cierpko Tytus. – Wiem, do czego służy śluza powietrzna. Co prawda nie sądziłem, że ją tu zobaczę. Bardziej interesują mnie pewne przyziemne sprawy. Na przykład wątpię, by między drzwiami zmieściły się więcej niż trzy osoby naraz. Lub dwie z bagażem. Jeśli chcemy tam wejść, musimy się rozdzielić.

– Naprawdę nie wydaje mi się, by coś nam tutaj groziło – oświadczyła stanowczo Stef. – Przecież wszystko widać przez te ściany. Tam jest tylko Earthshine. Nawet Ari i Inguill gdzieś zniknęli. Myślę, że możemy zaryzykować.

– A ja chciałabym po raz pierwszy od tygodni nie czuć zimna – dodała Beth.

– Prowadź nas, Tytusie Waleriuszu – zachęciła go Stef.

Okazało się, że Tytus i Klodia z dziecinną łatwością mogą wypróbować śluzę. Eksperymentując, Tytus zauważył obecność zabezpieczenia.

– Wewnętrzne drzwi nie otworzą się, dopóki zewnętrzne nie będą szczelnie zamknięte – obwieścił gromkim głosem, nieco stłumionym przez powłokę kopuły. – Powietrze jest tutaj ciepłe i wilgotne. – Będąc jeszcze w śluzie, przycisnął dłoń do powłoki. – To elastyczny materiał, trochę się ugina, ale czuć, że jest mocny i gruby. Ciekawe, jak sobie radzi z ostrzem *pugio*…

– Nie teraz, ojcze – napomniała go Klodia. Objąwszy przewodnictwo, przeszła do wnętrza kopuły, po drodze ściągając ciepłe ubranie.

Stef ujęła dłoń Mardiny i razem weszły do śluzy, gdy tymczasem Chu i Beth rozładowywali sanie. Mardina zamknęła zewnętrzne drzwi, a Tytus otworzył im wewnętrzne. Potwierdziły się słowa legionisty: natychmiast owiało je ciepłe, wilgotne powietrze. Wdychając je łapczywie, Stef czuła, że nigdy nie było jej tak ciepło, odkąd minęła linię terminatora.

Przeszła przez śluzę i zatrzymała się obok Tytusa. Mardina przyłączyła się do nich z większym wahaniem. Srebrzysty dach kopuły, której wnętrze rozjaśniały małe wiszące lampy, częściowo zasłaniał widok nieba. Nawet Andromeda jawiła się jako rozmyta, czerwonawa plama. Pod nogami mieli nagą skałę, prawie czarną jak bazalt, z wierzchu porysowaną i pobrużdżoną zapewne na skutek działania lodu przez miliony lat. Stef popatrzyła na zagracony sprzętem elektronicznym środek pomieszczenia. Od razu rozpoznała aparat wspierający Earthshine’a, tutaj omotany pajęczyną rozmaitych urządzeń. Jego awatar na razie się nie wyświetlał.

– Czujecie ten śmieszny zapach? – zapytał Tytus. – Jak na statku lub w fabryce.

Zmysły Stef przytępiły się z wiekiem, lecz przyznała mu rację:

– Chyba ozon. Ale nie czuję obecności ludzi…

Mardina zmarszczyła nos.

– Być może mam lepszy węch. Wyczuwam wyraźnie ścieki. Fuj! My śmierdzimy podobnie, gdy rano opuszczamy szałas. Oni tu są. Mój ojciec i Inguill.

– No dobrze, nie będziemy sterczeć przy drzwiach cały dzień! – rzucił stanowczo Tytus. – Klodia! Do mnie! Zajmiemy się wnoszeniem naszych rzeczy do środka. Beth i Chu już się wzięli do roboty.

– Najpierw wnieśmy ColU – zaproponowała Stef. – Pomoże nam rozeznać się w tym wszystkim…

Już niebawem ColU leżał na stosie brudnych koców pomiędzy drzwiami, a Mardina zawiesiła sobie na szyi połączony z nim wielofunkcyjny czujnik.

W miarę jak rosła góra rzeczy składanych w śluzie, powiększała się kałuża z topniejących resztek śniegu.

Stef i Mardina zbliżyły się do aparatu Earthshine’a.

Kolumna procesorowa stała pośrodku czegoś, co można by wziąć za kilkumetrową rzeźbę pająka, połączona ze skalnym podłożem wielosegmentowymi prętami. Same pręty, gładkie i mlecznobiałe, wydawały się wykonane z jakiegoś ceramicznego tworzywa. Z pewnością już od dawna kolumna nie była wyposażona w koła – opisywała im je Beth – na których przemierzyła planetę. Stef zauważyła, że korpus aparatu został otwarty, a jego mechaniczne wnętrzności wymontowano lub przełożono.

Sieć prętów nie dopuszczała ich bliżej niż na kilka metrów od aparatu. Za nim widać było jakby obszar produkcyjny zaśmiecony rozmaitymi urządzeniami niewiadomego przeznaczenia o osobliwie obłych kształtach. Wydawało się, że zostały wykonane z tego samego ceramicznego tworzywa co „pajęcze nogi”.

Dopiero za nimi znajdował się otwarty Właz.

Stef spojrzała na aparat wspierający.

– Earthshine, jesteś tam? – zapytała.

– Trochę się guzdraliście.

Głos jak zawsze brzmiał autentycznie, lecz nadal nie było widać wirtualnej postaci ludzkiej – żadnego z jego „kostiumów”, jak kiedyś wyrażał się o nich.

– Cześć, pradziadku – przywitała się Mardina. – Nie mogliśmy przyjść szybciej. Zwłaszcza że nas porzuciłeś…

– Widzę cię, Mardino, nawet jeśli ty nie możesz popatrzeć na mnie. Podejdź no bliżej, dziecko… Ho, ho! Jesteś w ciąży!

Zarumieniła się.

– Przedłużenie rodu – skomentowała ironicznie Stef.

– Tylko czy na długo? Kto jest ojcem?

– Chu Yuen – odezwał się ColU pod szyją Mardiny, a także, jak podejrzewała Stef, bezpośrednio do Earthshine'a innym sposobem. – Na pewno pamiętasz niewolnika z rzymsko-zyńskiej cywilizacji, który mnie nosi na co dzień. To inteligentny chłopak, ulepiony z dobrej gliny, choć przyszło mu żyć w ciężkich czasach.

– A więc dobry materiał na ojca. Chętnie poznam go lepiej. Bo ciebie już znam aż za dobrze, ColU.

– Mówiłem ci na Marsie, na tym drugim Marsie, że wytropię cię, gdziekolwiek się udasz.

– Poradziłeś sobie, dobra robota. Może więc uczynisz mi tę grzeczność i wysłuchasz, co odkryłem…

Stef odczuwała zawroty głowy.

– Cholera, tyle miesięcy marzłam i teraz mi za ciepło! – Zaczęła niezgrabnie mocować się z kurtką.

Na polecenie Mardiny Beth i Chu w pośpiechu przynieśli z wozu koce, by zrobić z nich posłanie na ziemi. Beth pomogła Stef rozebrać się z kilku warstw ubrania, a Chu podał jej przyniesioną z zewnątrz manierkę z wodą – lodowato zimną, lecz orzeźwiającą. Na koniec ułożyli ją na kocach. Beth i Mardina usiadły przy niej i już po chwili poczuła się bardziej jak człowiek. Mimo wszystko odmówiła jedzenia.

– Nie będzie mi przykro, jeśli nigdy w życiu nie wezmę już do ust zmrożonego ziemniaka! – oświadczyła.

– Ja, oczywiście, nie muszę jeść takich rzeczy – powiedział Earthshine. – Ale gdy pojawili się tamci, na moje polecenie jeden fabrykator wytwarza nadające się dla ludzi pożywienie z podstawowych składników, które są pod ręką: pokruszonych kamieni, substancji organicznych odfiltrowanych z lodu.

Tamci. Po raz pierwszy wspomniał o Arim i Inguill, choć była to tylko niekonkretna wzmianka.

– Fabrykator? – zdziwiła się Mardina. – Co to takiego?

– Zaawansowana technologia z naszej ścieżki dziejowej – wyjaśnił ColU. – Urządzenie, które potrafi rozłożyć materię na poziomie molekularnym albo nawet niższym, a potem zrobić z tego… co chcecie. To powolny proces, lecz skuteczny. Moja fizyczna powłoka zawierała w sobie kilka urządzeń tego typu. Był taki czas, kiedy Earthshine i jego bracia, sztuczne inteligencje dorównujące mu potencjałem, kryli się w głębokich tunelach na Ziemi. Byli

otoczeni fabrykatorami i innymi urządzeniami, jak choćby miniaturowe fabryki przetwarzające surowce planety, aby niczego im nie brakowało w kwestii konserwacji i zapotrzebowania na energię.

– W aparacie wspierającym przewoziłem wiele takich urządzeń – rzekł Earthshine. – Powyciągałem je tutaj i zagoniłem do pracy. Wszystko, co tu widzicie, a więc kopuła i otaczający mnie szkielet, zostało wytworzone z miejscowych surowców, skał, lodu. Pod ścianą z drugiej strony założyłem staw, zbiornik ze stojącą wodą, która nawilża powietrze. Jeśli chodzi o energię, to choć mam wewnętrzne zasilanie, wpuściłem w ziemię sondy, by wykorzystywać energię geotermalną. Wytworzyłem wiertła, które przebijają się przez powierzchniowe warstwy skał…

– Po co to wszystko zbudowałeś? – zapytała Stef.

– Przybyłem tu z powodu Włazu. Żeby go badać, a także jego twórców. Właśnie dlatego zostaliśmy przeniesieni na tę planetę, do tej właśnie epoki, po cóż by innego? I tym się tu przede wszystkim zajmuję. Ale spodziewałem się, że ruszycie za mną, przynajmniej niektórzy, dlatego stworzyłem ten habitat.

– Miło z twojej strony.

– Choć nie sądziłem, że akurat tamci pierwsi tu dotrą.

Mardina wstała gwałtownie.

– Tamci? Masz na myśli mojego ojca i tę inkaską kobietę? Dajesz do zrozumienia, że tu są, ale ich nie widać. No cóż, mogą być tylko w jednym miejscu. – Ruszyła w stronę otwartego Włazu.

– Uważaj, Mardino! – zawołała Beth.

Ona jednak nie zwolniła kroku.

– A ta konstrukcja, którą się otoczyłeś, Earthshine? – zapytała Stef. – Podpiąłeś się na stałe do ziemi? Do źródła energii geotermalnej?

– Nie, nie – odpowiedział. – Te zobaczycie na zewnątrz: kilka paneli ułożonych na ziemi, pod spodem głębokie odwierty. To zaś służy nawiązaniu kontaktu o charakterze bardziej intymnym.

– Z kim? – zapytała Beth.

– Ze Śniącymi – wyrwał się ColU. – Próbujesz rozmawiać ze Śniącymi, prawda?

– Na tym starożytnym świecie aż się od nich roi – rzekł Earthshine. – Przypuszczam, ColU, że zawsze tak było. To tak, jakbym wpuszczał antenę do mózgu. I wydaje mi się…

– Tak? – dopytywał się tonem pełnym napięcia ColU.

– Wydaje mi się, że słyszę ich myśli.

W tym momencie Stef usłyszała wystrzał z broni palnej.

Rozdział 70

Mardina, która zbliżała się do otwartego Włazu, padła plackiem na ziemię.

Chu i Tytus przypadli do niej z szybkością błyskawicy. Chwycili ją za szeroko rozłożone ręce, przeciągnęli z powrotem i oddali pod opiekę Stef i Beth. Ta druga wzięła córkę w objęcia.

Mardina wydawała się wstrząśnięta, kipiała gniewem.

– Nic mi nie jest, mamo, naprawdę! Usłyszałam strzał, coś gwizdnęło mi koło ucha i rzuciłam się na ziemię. To był chyba strzał ostrzegawczy. Nie mogę uwierzyć, że to zrobił. Mój ojciec.

Beth pogłaskała ją po głowie.

– Szczerze mówiąc, skarbie, Ari zawsze stawiał wyżej swoje ambicje niż nas.

– Już ja im dam strzał ostrzegawczy! – ryknął Tytus. Trzymając *gladio* w zdrowej ręce, zbliżył się do piwnicy.

Za legionistą, uzbrojony w *pugio*, ruszył Chu z zimnym wyrazem wściekłości. Bądź co bądź, strzelano do jego kochanki i matki jego dziecka. Ta zimna determinacja wyparła z niego resztki niewolniczej powściągliwości.

– Hej, Inguill! *Quipucamayoc*! – krzyknął Tytus. – Ari! *Druidzie*!

– Lepiej nie podchodź, legionisto! – rozbrzmiał niewątpliwie głos Ariego, aczkolwiek wydawał się zmęczony, osłabiony. – Pilnujemy tego, co należy do nas… Przysługuje nam prawo pierwszeństwa, które… – Przerwał mu atak kaszlu.

– Czekaj, Tytusie! – zawołała Stef. – Może jakoś dogadamy się z nimi.

– Dogadamy się? Ha! I kto, do Hadesa, dał im *ballistę?*!

– Została tu wytworzona – powiedział Earthshine. – Przy użyciu fabrykatora. W swojej naiwności nauczyłem ich obsługi za pomocą komend głosowych. Broń działa na bazie wyładowania elektrycznego, które wyrzuca pocisk z…

– I który osioł strzela z *ballisty* wewnątrz kopuły takiej jak ta?

– Powłoka automatycznie się uszczelnia – uspokoił go cichszym głosem Earthshine. – Pod tym względem jesteśmy bezpieczni. Zresztą powietrzem na zewnątrz można oddychać, tyle że jest zimne. Nic nam nie grozi.

Stef podniosła się ociężale.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedziała. – Czego właściwie pilnują? O jakim pierwszeństwie mówią? – Zarzuciła sobie koc na ramiona i poczłapała w stronę odemkniętego Włazu.

– Stef Kalinski! – ostrzegł ją Tytus. – Nie podchodź bliżej!

– Bez przesady, legionisto. Ktoś musi zrobić tu porządek. Jeśli mnie zastrzelą, przynajmniej nikt nie odczuje straty. A co do Włazów, to pamiętajcie, że jestem ekspertem.

– Zabierz mnie! – poprosił błagalnie ColU. – Tablet, słuchawkę…

Beth podbiegła, żeby dać jej urządzenie. Stef powiesiła je sobie na szyi. Wydawało się dziwnie ciężkie.

Stef zbliżyła się do Włazu. Nie miała w sobie ani odwagi, ani strachu. Może po prostu była za stara, żeby przejmować się takimi rzeczami. Płyta była zbudowana z tworzywa, po którym bardzo dziwnie się stąpało: gładkiego, obcego, ani ciepłego, ani zimnego.

– Ari Guthfrithsonie! Inguill! To ja, Stef Kalinski! Idę z wami porozmawiać. Zastrzel mnie, Ari, jeśli to konieczne, tylko żebyś nie trafił swojej ciężarnej córki…

Znalazła się nad krawędzią piwnicy. Ari i Inguill siedzieli na dole, skuleni pod ścianą, blisko okrągłych drzwi. Jeśli mieli do czynienia z typowym Włazem, musiała tam być komora przejściowa z kolejnymi drzwiami, prowadzącymi… nie wiadomo dokąd. Na razie jednak drzwi były szczelnie zamknięte i widać było jedynie ich żłobiony obrys.

Uciekinierzy podciągnęli kolana pod brodę, odziani w złachmanione resztki strojów charakterystycznych dla światów, z których pochodzili: Ari miał na sobie suknię *druidha*, Inguill – formalny ubiór *quipucamayoca*. Stef najbardziej zdumiała się wyglądem Ariego, który, jak przystało na Brykanta, zawsze dbał o siebie. Gnieździli się tam w najbardziej prymitywnych warunkach: sterta brudnych koców, stosy jedzenia – omdlałych warzyw i czegoś, co przypominało suszone mięso – jak również wiadra z ekskrementami rozwodnionymi w szczynach. Nic dziwnego, że Mardina wyczuła smród ścieków. W luźnym ubraniu wyglądali na ludzi krańcowo wychudzonych, niemalże kościotrupy. Na czole i policzkach Ariego Stef dostrzegła połyskliwe, niezdrowe fragmenty skóry – czyżby odmrożenia?

Jednakże w swoich patykowatych rękach Ari trzymał groźnie wyglądającą broń, wycelowaną w górę, prosto w nią.

– Ani kroku dalej, Stef Kalinski! – ostrzegł.

Pokazała mu puste dłonie.

– Nie jestem przeciwko tobie, Ari – oświadczyła. – I nigdy nie byłam. Mogę już opuścić ręce? Jestem zmęczona i ledwo co przeszły mi zawroty głowy.

Zgodził się z chłodną miną.

– Dziękuję. Zauważ, że w porównaniu z wami jestem okazem zdrowia. Powinniście byli na nas zaczekać. Wyruszyć w podróż z nami.

– Durnie! – warknęła Inguill. – Byliśmy tu przed wami. O to nam właśnie chodziło.

Stef ostrożnie nachyliła się nad otworem.

– No więc czemu, do licha ciężkiego, siedzicie w tej dziurze?

– Czekamy, aż Earthshine wpuści nas do środka – odpowiedziała Inguill. – Przez te drzwi. Wiemy, że może je otworzyć. Widzieliśmy, jak to robi… Chcemy przejść przez Właz. Jako pierwsi.

– I prowadzicie strajk okupacyjny? Na co wam to? A może po tygodniach mamrotania i knucia na lodowych pustkowiach już nie pamiętacie?

Drżącą ręką Ari uniósł wyżej broń.

– Nie wyciągniesz nas stąd podstępem.

– Wcale nie zamierzam. Wierz mi, przechodziłam przez niejeden Właz i chętnie ustąpię wam pierwszeństwa. Ale nie chcecie, żebym wam chociaż przyniosła trochę świeżego jedzenia? Ja albo ktoś inny? A może poproszę legionistę, żeby wyniósł te wiadra z brudami?

– Nie Tytus – zastrzegła Inguill.

– W takim razie Chu. – Stef wbiła wzrok w Ariego. – Ojciec twojego wnuka.

Broń wreszcie opadła.

– Słyszałem, jak o tym mówicie. A więc to prawda?

– Obawiam się, że tak. Słuchaj, pójdę po pomoc. Nie ruszajcie się stąd.

Gdy wracała do swoich, usłyszała za sobą gderliwy głos Inguill:

– Nie weźmiesz nas podstępem, Stef Kalinski! Nie weźmiesz nas podstępem!

Po nakarmieniu Ariego i Inguill i opróżnieniu wiader na nieczystości podróżnicy z grupy Tytusa rozsiedli się na stercie koców i porozkładanych tu urządzeń, mając przed sobą Earthshine’a w jego pajęczej klatce. Dostali gorące napoje i posiłki wyprodukowane przez fabrykatory – pozbawione wyraźnego smaku, lecz pożywne.

Beth porozmawiała z Arim, lecz Mardina nawet nie popatrzyła na swojego ojca, który wcześniej do niej strzelał.

– Boję się, że postradali zmysły – szepnął Earthshine.

– Co ty nie powiesz – odparła ironicznie Stef.

– Zżera ich obsesja na punkcie władzy, którą w ich mniemaniu będzie miał ten, kto przejdzie przez Właz. Dlatego was okradli i porzucili… Dlatego porzucili świat, w którym się urodzili. Porzucili nawet was, Mardino i Beth. W trakcie podróży ocierali się o śmierć, lecz nie zawrócili.

– Wcale mnie to nie dziwi – stwierdziła Beth. – Twój ojciec ma kilka zalet, Mardino, ale nie należy do nich twarde stąpanie po ziemi.

– Inguill w swojej cywilizacji była biurokratką – powiedziała Stef. – Osobą inteligentną i przebiegłą, ale na pewno nieprzygotowaną na takie wyzwanie. Gdy tymczasem naszym

przywódcą był rzymski legionista. Być może nie wyobrażali sobie czekających ich trudów. Ale gdy byli już w drodze…

– …pchała ich naprzód duma i zachłanność – rzekł Earthshine. – Omamiła ich wizja punktu przeciwgwiezdnego i Włazu, który spodziewali się tutaj odnaleźć. Opętała ich do tego stopnia, że poświęcili dla niej zdrowie, a nawet rozum.

– Cóż to za wizja? – zapytał burkliwie Tytus.

– Chyba wierzą, że Właz da im boską moc – odezwał się ColU. – Moc tworzenia światów na nowo. W sumie wiedzą, że to możliwe. Wszyscy przekonaliśmy się o tym wiele razy.

Stef pokiwała głową.

– Może wstrząs związany z tymi przeżyciami odcisnął na nich silniejsze piętno, niż nam się wydawało? – Przymknęła oczy w zadumie. – Piętno, które nosimy również my…

– W pewnym sensie to prawda – przytaknął Earthshine. – Nie różnimy się aż tak bardzo. Dostawałem szału, uświadamiając sobie w coraz większym stopniu, że Śniący manipulują naszą historią. Uderzyłem w Marsa, w jeden z Marsów, żeby zwrócić na siebie ich uwagę. Zadziałało. Przenieśli mnie tutaj. Zamierzałem ponownie rzucić im wyzwanie, a przede wszystkim… zrozumieć…

– Ari powiedział, że potrafisz sterować Włazem.

– Poniekąd. Włazy zawsze same decydują, komu wolno je otworzyć.

– To prawda – powiedziała Beth. – Pamiętam pierwszy Właz, który zobaczyłam w strefie przygwiezdnej. Wytworzył wklęśnięcia na powierzchni płyt, jak zamki na klucz, pasujące do ciał budowniczych.

– W przypadku ludzi zawsze pojawiają się odciski dłoni. Tutaj budowniczowie Włazów musieli wyczuć, kim jestem, więc postawili na kontakt elektromagnetyczny, nie fizyczny. Niedostrzegalny dla oczu. Kiedy wysłałem określoną wiadomość, naśladującą sygnał otrzymany od nich, odemknęła się główna pokrywa Włazu.

– A potem drugie drzwi do sąsiedniej komory? – zapytała Stef.

– Udało mi się zbadać sąsiednią komorę. Posłałem tam swoje podrzędne jednostki. Chyba już wiem, co znajduje się za następnymi drzwiami i w ogóle po drugiej stronie Włazu. Ale ostatnich drzwi jeszcze nie otworzyłem. Skonstruowałem sondę. Zapewne interesowałyby cię szczegóły, Stef. Zamknięta w kuli z tworzywa o wysokiej odporności na temperaturę. Mam nadzieję, że wytrzyma trochę czasu, by zrobić pomiary. Wystarczy nanosekunda.

Stef próbowała wyobrazić to sobie.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Earthshine? Co się znajduje za drzwiami?

Zniżył głos do szeptu:

– ColU wie. Lub przypuszcza.

– Krawędź – oświadczył ColU. – Brzeg wieloświata. Śmierć przyszłości. Tak, to właśnie chcieliby ci pokazać, żebyś wreszcie zrozumiał…

– Niekonieczna jest nawet delokalizacja – rzekł Earthshine.– Nie musimy przenosić się w przestrzeni, żeby dotrzeć do celu. I wystarczy zrobić bardzo drobny skok w przyszłość. Bądź co bądź, to wydarzenie nastąpi wszędzie jednocześnie. Obejmie wszystkie światy.

– Powinniśmy porównać nasze obliczenia chwili, kiedy do tego dojdzie – powiedział ColU.

Pozostali przysłuchiwali się tej rozmowie w pełnym zgrozy milczeniu.

– I to właśnie powiedziałeś Ariemu i Inguill? – zapytała w końcu Stef. – Wytłumaczyłeś, co ich spotka, jeśli…

– Jeśli będą w drugiej komorze, gdy otworzy się Właz? Owszem. Ale oni nie chcą mnie słuchać, Stef. Nie wierzą mi. Wierzą, że Właz spełni ich marzenia o władzy i bogactwie.

Tytus pokręcił głową.

– No więc co robimy? – zapytał.

Stef westchnęła.

– Proponuję, żebyśmy spróbowali wyciągnąć stamtąd Ariego i Inguill. Mardino, Beth, w końcu jesteście rodziną. Może zdziałacie coś tam, gdzie nie udało się Earthshine’owi? A wtedy…

– A wtedy zastanowimy się wspólnie, jak najlepiej wykorzystać czas, który nam pozostał – powiedział ColU.

Mardina położyła dłoń na brzuchu, zwiesiła głowę i na oślep wyciągnęła rękę w stronę Chu.

Rozdział 71

Podróżnicy dwa dni nakłaniali Ariego i Inguill do wyjścia z podziemnej komory. Zwłaszcza Beth ze wszystkich sił starała się przemówić do rozsądku człowiekowi, którego niegdyś omal nie poślubiła. W końcu, z oporami, nawet Mardina zgodziła się porozmawiać z Arim o dziecku, które miało się narodzić – o jego wnuku.

Nie docierały jednak do niego ani czysto ludzkie argumenty, ani chłodna logika Earthshine'a, który tłumaczył, co znajduje się za ostatnimi drzwiami Włazu. Ari wydawał się zmartwiony losem dziecka, lecz uparcie bronił swojego stanowiska, podobnie jak Inguill, która wciąż opowiadała bzdury o potędze Intiego, inkaskiego boga słońca. Oboje byli stuprocentowo zgodni co do tego, że Earthshine próbuje nie dopuścić ich do… cóż, chwały.

– Śmiertelnik nie powinien porywać się na moce bogów – zauważył Tytus. – Spalą się w okamgnieniu.

Wydawało się, że ColU się z tym zgadza.

– Tylko czy mamy prawo zatrzymywać ich siłą, Tytusie Waleriuszu? – zapytał.

W końcu się poddali. Earthshine postanowił otworzyć przed nimi Właz.

*

Cała grupa stanęła nad krawędzią piwnicy, śledząc rozwój wydarzeń.

W odpowiedzi na niewidzialny sygnał Earthshine'a drzwi do środkowej komory wreszcie się odchyliły. Stef dostrzegła sondę, o której wspominał ich gospodarz: spoczywającą na ziemi dużą ceramiczną kulę.

Ari i Inguill przeszli do sąsiedniego pomieszczenia, poruszając się ostrożnie i wspierając nawzajem. Earthshine czekał w napięciu z nadzieją, że jeszcze zmienią zdanie i się wycofają.

Ostatecznie jednak, nie oglądając się wstecz, zamknęli za sobą drzwi i zniknęli.

– Dałem im pilota – oznajmił Earthshine. – Emulator sygnałów, którymi komunikuję się z Włazem. Małe, proste w obsłudze urządzenie… I znalazłem sposób, żeby przebić się sygnałem przez materiał płyty, więc sonda mnie poinformuje, jeśli zostaną otwarte ostatnie drzwi.

Ta wiadomość poruszyła Stef.

– Wysyłasz sygnały przez materiał, z którego wykonana jest płyta? Mimo wieloletnich badań Włazów i ziaren na Lunie i Marsie nam to się nigdy nie udało…

– Już po nich – stwierdził lakonicznie Earthshine.

Ponownie otworzył drugie drzwi, gdy uznał, że to bezpieczne. Wydawało się, że środkowa komora nie doznała żadnych uszkodzeń; panowała w niej pustka, drzwi naprzeciwko były zamknięte.

Earthshine oznajmił, że sonda przetrwała sporą część nanosekundy, dzięki czemu dowiedział się wielu rzeczy o naturze „granicy wieloświata". I natychmiast zamilkł, by wdać się z ColU w ultraszybką elektroniczną dyskusję na temat nowych danych.

Badając wnętrze Włazu, Klodia i Chu natknęli się na coś nowego: odciski ludzkich dłoni na wewnętrznej stronie drugich drzwi. Trzy pary.

– To… wymaga głębszego zastanowienia – stwierdził enigmatycznie ColU, gdy mu o tym powiedziano.

Rozdział 72

– Uważam, że Śniący rozmawiali ze mną jak z nikim innym, kto należy do naszej rasy. Mówiąc o „naszej rasie”, mam na myśli złożone formy życia, podobne do was wielokomórkowe organizmy, choć różniące się w szczegółach zależnie od biosfery i świata. Wiem, że to aroganckie słowa, może nawet zuchwałe.

– No raczej – powiedziała z przekąsem Stef. – Z całej nieprzebranej rzeszy kosmicznych istot…

– A jednak dla nich jestem kimś niezwykłym. Oczywiście produktem ludzkiej myśli technicznej, lecz sądzę, że ludzką cywilizację, całą biosferę ponad poziomem jednokomórkowców, traktują w pewnej mierze jak przedsięwzięcie techniczne. Została stworzona, a przynajmniej zmodyfikowana, w określonym celu. Ja z kolei jestem tworem drugiej kategorii. To trochę tak, jakby jeden z moich fabrykatorów, zamiast swojej kopii, byt oparty na zupełnie nowym projekcie. Jako taki z pewnością ich… interesuję. I nie kontrolują mnie w stu procentach.

– Jak nas? – zapytała kwaśno Stef.

– A jak sądzisz?

Tytus mruknął.

– Wszystko to brzmi dla mnie zbyt uczenie. Czy ja wyglądam na Greka? – On, Stef, Beth, ColU, starszyzna tej maleńkiej kolonii, siedzieli w luźnym kręgu wokół ciepłych płomieni ogniska rozpalonego na płaskich kamieniach w cieniu dziwnej pajęczej struktury, oplatającej aparat wspierający Earthshine’a. Tytus zanurzył gliniany kubek w garnku z wrzącą herbatą. – Zrozum, Earthshine, że Śniący zwrócili na ciebie uwagę tylko dlatego, że rozwaliłeś Marsa na kawałki i przy okazji wymordowałeś całą planetarną populację tych cwanych żyjątek. Czymś takim zainteresowałbyś każdego.

– No cóż, nie przeczę. Dlatego właśnie to zaplanowałem.

– I po tym wszystkim sprowadzili cię tutaj – rzekł ColU, połyskliwe technologiczne cacko leżące na kocu z dala od ognia. – Przeprowadzili cię za pośrednictwem sieci Włazów do tego akurat miejsca. I…

– …przemówili do mnie – podjął Earthshine. – Opowiedzieli mi swoją historię, jeśli wolno w ten sposób określić tak wielką biografię. Bo wiecie, w pewnym sensie to historia o życiu. W tym wszechświecie.

– Opowiedz nam. – Stef pochyliła się, owinięta kocem. – Opowiedz nam, Earthshine.

– Już na samym początku, gdy wszechświat dopiero się rozwijał, istniało życie. Życie zorganizowane, powstające z nagromadzonych prostych związków chemicznych, ślepo posłuszne zasadom chemii i fizyki, podporządkowane regułom matematycznym ewidentnie wpisanym w rzeczywistość. Życie drobnoustrojowe, jednokomórkowe, wirusowe… Niektórzy naukowcy sądzili, że mogło się narodzić, gdy jeszcze nie zgasło światło Wielkiego Wybuchu, a cały kosmos był wielkim, ciepłym obszarem nadającym się do zamieszkania. Na światach o podobnych warunkach środowiskowych pojawiało się podobne życie. Przykładem niech będzie Ziemia i Per Ardua. Ale rozprzestrzeniało się też razem z błąkającymi się kometami i planetoidami, które uderzały w powierzchnię młodych planet. Garść mikrobów ukrytych głęboko w skalnych bryłach była w stanie przetrwać niebezpieczne podróże między planetami, a w rzadszych przypadkach nawet między gwiazdami. Tworzyły się panspermiczne bąble, a w nich podobnie ukształtowane światy dające oparcie spokrewnionym formom życia, mającym wspólne korzenie. Tego rodzaju bąble rozpychały się między sobą na obszarze galaktyki, a czasem wzajemnie się przenikały. Tak więc światy w rodzaju Ziemi, pełne ciepłolubnych organizmów, dzieliły się układem planetarnym z zimnymi światami w rodzaju Tytana, o czym sami się przekonaliście… I życie wniknęło w głębiny, w stronę wnętrza światów, idąc tropem podziemnych strumieni, mineralnych wsiąków, przecieków energii cieplnej i promieniowania radioaktywnego… Trzewia światów, otchłanie niewrażliwe na intensywne bombardowania młodego kosmosu, były przytulnymi, bezpiecznymi kołyskami, do których dość szybko dotarło życie. Na wszystkich kontynentach Ziemi odkryliśmy mikroorganizmy głęboko w płaszczu planety, w dodatku ze sobą spokrewnione. Jednak podziemne skały są statycznym środowiskiem, do którego energia dociera w skąpych ilościach. Przebiegają tam wolno procesy ekspansji, a nawet prokreacji. Aby przetrwać mimo tak znikomych zasobów, istoty żywe nauczyły się naprawiać siebie, nie polegając już na reprodukcji. Stopniowo wyodrębniła się i upowszechniła pewna wspólnotowość, w miarę jak mikroby szukały oparcia w koloniach, a kolonie łączyły się w superkolonie. Po przekroczeniu określonego progu narodziła się świadomość… Na Ziemi, tak samo jak na Per Ardui, większość biomasy, czyli łącznej masy organizmów żywych, znajduje się głęboko w skałach. A ludzie przez tyle wieków nie mieli pojęcia o jej istnieniu. To konstelacja ogromnych, wolno działających umysłów, mająca zdolności poznawcze. To właśnie są Śniący. Pamiętają swoje narodziny, kiedy wszechświat był młody… W ten sposób budziły się kolejne światy…

*

Opowieść ciągnęła się fragment za fragmentem, dzień po dniu, wśród dociekliwych pytań ze strony Stef i jej towarzyszy.

W miarę jak mijały tygodnie i potem miesiące, odkąd zjawili się w punkcie przeciwgwiezdnym Per Ardui, a śmierć Ariego i Inguill zacierała się we wspomnieniach, Earthshine coraz rzadziej miewał słuchaczy. Poza jedzeniem i spaniem wszyscy zajmowali się ustalonymi pracami, niezbędnymi dla przetrwania małej osady, i z determinacją wspierali Mardinę w czasie ciąży. Nawet ColU był przez nich odciągany od Earthshine'a i jego często nużących monologów.

Nadstawiali jednak ucha i dopytywali o szczegóły trudne do zrozumienia. Z czasem wyłoniły się zarysy spójnej historii, którą potrafili już ogarnąć w taki czy inny sposób.

Pośród tych wszystkich kosmicznych osobliwości życie ludzi toczyło się własnym rytmem. Kiedy zbliżył się termin porodu dla Mardiny, przytyła i stała się jeszcze bardziej ociężała. Przynajmniej czuła, że nawet na tym odludziu może liczyć na dobrą opiekę. ColU, który pierwotnie miał wspierać rozwój założonej przez ISF kolonii, otrzymał wyczerpujące instrukcje dotyczące wszelkich czynności okołoporodowych, a fabrykatory Earthshine'a były w stanie zsyntetyzować każdy potrzebny przyrząd medyczny. Miała u boku dwie mądre kobiety, Stef Kalinski oraz swoją matkę. Także Chu zapowiadał się na troskliwego ojca. Tylko z Klodią były pewne problemy, gdy dochodziły w niej do głosu trochę już wypalona zazdrość o Chu i być może, jak myślała Mardina, złość z powodu tego, że obróciły się wniwecz jej plany wstąpienia do wojska. Żałowała, że nie łączy ich już ta bliska zażyłość, która zawiązała się między nimi w Yupanquisuyu. A może po prostu wyrosły z tego?

Nie mogła za to narzekać na brak troskliwości, choć wolałaby mieć przy sobie *medicusa* Michaela lub personel dobrze wyposażonego brykanckiego szpitala.

Tak czy inaczej, wraz z upływem czasu coraz bardziej stroniła od obozowych zajęć, a nawet unikała chodzenia.

Z braku rozrywek zaczęła z ciekawością śledzić postępy prac powolnych fabrykatorów. Pewnego ranka zauważyła małe urządzenie, nie większe od bochenka chleba; leżące w zmielonej arduańskiej mączce skalnej, przetwarzanej na jakieś części mechanicznie, starannie układane na boku. Kucnąwszy, przyglądała się temu z fascynacją.

– Nie wiedziałem, że tak im to sprawnie idzie – skomentował Chu.

– Ten akurat wytwarza własną kopię.

– Zupełnie jakby wydawał na świat młode, etapami.

Usadowiona na stosie koców Mardina pogłaskała brzuch.

– Fajnie byłoby zrobić to samo. Wyciągnąć małego potworka w częściach i złożyć wszystko

na ziemi.

– Nie mówisz tego poważnie.

– No nie, raczej nie. Ale jeśli te maszyny będą się tak uwijać, w końcu staniemy się prawdziwą kolonią. Tytus nawet wymyślił nazwę: Nova Roma.

Chu nie uśmiechał się jednak.

– Szkoda, że nie zdążymy nacieszyć się tym, co zbudujemy.

Wzdrygnęła się. Chu z reguły nie mówił takich rzeczy. Popatrzyła na twarde skalne podłoże, po czym podniosła wzrok na gwiaździste niebo, widoczne nad dachem kopuły, i ujęła jego dłoń.

– Nie możemy tak myśleć.

– Fakt, przepraszam. Nawet jeśli mechaniczny mędrzec mówi prawdę, zawsze możemy udawać, że się myli.

Zastanowiła się nad tym. Potem drgnęła.

– Chodź, pomożesz mi wstać. Czuję się odrętwiała. Czas na ćwiczenia, spacerek po kopule…

– Od początku rozległe wspólnoty Śniących miały świadomość otaczającego je wszechświata. Gdy w pierwszych wiekach sypały się na ich światy szczątki powstałe w procesach formowania się ciał niebieskich, zdawały sobie z tego sprawę. Delikatnie przyciągały je siły pływowe pochodzące od macierzystych gwiazd i siostrzanych planet. Wyczuwały powolne przemiany geologiczne, od zawsze zachodzące przy udziale organizmów żywych. Istnieją bowiem dowody na to, że obecność życia na planecie takiej jak Ziemia stabilizuje formację kontynentów… Nawet istoty wielokomórkowe, ilekroć osiągnęły odpowiednio wysoki poziom ewolucji, co nie zdarzało się często, na żywych światach służyły im jako swoiste mechanizmy czuciowe… W przypadku niektórych światów w sprzyjających okolicznościach, kiedy atmosfera w dostatecznym stopniu przepuszczała promieniowanie macierzystej gwiazdy – gdy energia docierała do lądów i nasycała górne warstwy wód oceanicznych, następował cud powstania złożonego życia. Ruszała fotosynteza, chemiczny proces absorpcji energii promieniowania słonecznego. Atmosfera i oceany przechodziły gigantyczną transformację w wyniku dopływu takich gazów jak tlen i metan. Przyśpieszała ewolucja drugorzędnych form życia, chociażby zwierząt na Ziemi, korzystających z produktów tych przemian. Lecz zewnętrzne powłoki złożonego planetarnego życia, ważne dla stworzeń takich jak ludzie, nie miały żadnego istotnego znaczenia w przekonaniu Śniących. Na każdej planecie stanowiły jedynie drobny ułamek całkowitej biomasy. A rozwinięte formy życia zazwyczaj nie miały pojęcia o istnieniu *noostratum*, które przenikało skały pod ich nogami… Ale właśnie dzięki spazmatycznym reakcjom rozwiniętych form życia, „zwierząt” i „roślin”, na wpływ czynników zewnętrznych, zderzeń z planetoidami, słonecznych rozbłysków czy wybuchów supernowych, Śniący

poszerzali swoją wiedzę na temat wszechświata… Myślę, że już dawno temu, kiedy kosmos zaczynał się formować, Śniący dostrzegli pierwsze zapowiedzi nadejścia końca czasów… Później ich światy nawiązały łączność ze sobą. Złożone formy życia, na swój ryzykowny sposób, budowały statki kosmiczne, zasiewały komety i inne poruszające się w przestrzeni ciała niebieskie, dając początek nowej formie kontaktu, który uzupełnił naturalną panspermię, powolną tułaczkę skał rozproszonych na skutek zderzeń. Panspermia zawsze umożliwiała planetom nawiązanie łączności. Pakiet istot żywych i materiału genetycznego jest swoistym przekazem, wiadomością wysłaną z jednego rozumnego świata do drugiego. Z nastaniem ery złożonego życia i międzygwiezdnych podróży ten proces pozostał chaotyczny, niekontrolowany, lecz nabrał impetu… Od samego początku żywe światy wiedziały o sobie nawzajem, lecz teraz powoli, niezgrabnie, tu i tam, zaczęły ze sobą rozmawiać… Wyobraźcie sobie wspólnotę rozumnych światów, które różnią się w szczegółach, lecz w gruncie rzeczy są do siebie podobne. Prowadzą rwane, rozciągnięte w czasie rozmowy. Dzielą się pomysłami i punktami widzenia. Jedne prosperują na szeroką skalę, drugie koncentrują się na sobie. Wszystkie oczywiście były praktycznie nieśmiertelne i skazane na siebie. W wyobraźni przyrównuję je do uczelni pełnej swarliwych profesorów, uwikłanych w trwające dziesięciolecia rywalizacje. Tyle że w przypadku Śniących trwają całe eony. Ich światy nie są jednak w stu procentach nieśmiertelne. To niebezpieczny wszechświat, w którym zagłada może spotkać całą planetę, a więc i zamieszkujący ją intelekt… Jednak tą wolno rozrastającą się społecznością wstrząsnęło nieoczekiwane pojawienie się jednego zmutowanego świata. Stworzony przez ludzi podział istot żywych na „zwierzęta” i „rośliny” jest zbyt uproszczony. Antropocentryczny. Nawet na Per Ardui budowniczowie byli zwierzętami zdolnymi do fotosyntezy… Cóż, załóżmy, że istnieje świat, na którym dosłownie każdy złożony organizm, każda roślina i drzewo, każda istota zdolna i niezdolna do poruszania się jest samoświadoma lub w najgorszym razie służy jako odbiornik bodźców większemu umysłowi. Okiem albo uchem jest tam każdy kwiat. Wrażenia sensoryczne płyną wąsami jak sygnały nerwowe ku niezmiernie złożonym systemom korzeniowym, sędziwym roślinnym mózgom. One z kolei przemawiają bezpośrednio do Śniących: żyjących w skalnych głębinach prawdziwych umysłów tej planety. Niektóre ludzkie cywilizacje nazywały ten świat Alvegą.

Stef zastanawiała się, skąd Earthshine ma te wszystkie informacje.

– Nie doszłoby do tego, gdyby nie osobliwe początki życia na tym właśnie świecie. Na wielu światach miało miejsce kilka wydarzeń inicjujących powstanie życia. W większości przypadków, choćby na Ziemi i Per Ardui, jeden wzór, jeden analogiczny do DNA system kodowania struktur białkowych lub ich odpowiedników w innych biosferach (tu przykładem jest

Tytan) zaczynał dominować, zwykle dość szybko, a jego początkowo niewielka przewaga wkrótce stawała się miażdżąca. Ale nie na Alvedze. Tam przez długie tysiąclecia, a nawet po pojawieniu się złożonego życia, walczyły o prymat dwie odrębne i skonfliktowane ze sobą biosfery. Wojna wyłoniła zwycięzcę o wiele silniej zintegrowanego wewnętrznie niż inne żywe światy. Tamtejsza szata roślinna przekazywała informacje wprost do podziemnej społeczności Śniących… Śniący z tego świata bardziej interesowali się otaczającym ich wszechświatem i mieli możliwość nawiązywania bezpośredniego kontaktu z innymi takimi jak oni, ponieważ ich planetarni naziemni sprzymierzeńcy znajdowali się całkowicie pod ich kontrolą… Nowa fala emisariuszy wysłanych z Alvegi rozproszyła się gwiezdnymi statkami, nieróżniącymi się aż tak bardzo od wielkich drzew. Ich misją było połączenie światów. Musiało upłynąć wieleset milionów lat, zanim nowa żywa technologia rozprzestrzeniła się na obszarze galaktyki. Stopniowo, planeta po planecie, w odizolowanych intelektualnych społecznościach Śniących dojrzewała myśl o wspólnocie, o szybkiej i skutecznej łączności z pobratymcami… I pojawił się pośpiech, jeśli można tym mianem określić program zakrojony na miliardy lat. Po raz pierwszy doceniono wartość złożonego życia i wdrożono projekt nowej, odgórnie sterowanej panspermii. W obrębie panspermicznych bąbli ruszyła lawina modyfikacji, aby światy do tej pory nieznające fotosyntezy mogły korzystać z tego dobrodziejstwa, a potem dzięki dostępności energii pochodzącej z tlenu, metanu i innych biologicznie czynnych związków chemicznych doczekać się złożonych form życia. Jedno po drugim powstawały nowe królestwa istot żywych, roślinnych i zwierzęcych…

– Wiedziałem – wtrącił cicho ColU. – Dostrzegłem to już na Per Ardui, pierwszej planecie poza Układem Słonecznym, na której wylądował człowiek. Zbieżność czasu. Na Per Ardui fotosynteza pojawiła się dwa miliardy lat przed przybyciem ludzi, identycznie jak na Ziemi. I jednocześnie pojawiły się na obu światach pierwsze złożone formy życia: pięćset czterdzieści dwa miliony lat przed człowiekiem. Byłem tego pewny! Potwierdzały to obliczenia. Pamiętam, jak rozmawiałem o tym z twoimi rodzicami, Beth Eden Jones. Wtedy jeszcze nie wiedzieli, co to oznacza. Ani ja. Wtedy…

– Zbieżność nie była przypadkowa – powiedział Earthshine. – Nie znam szczegółów tego przedsięwzięcia ani metod, jakimi się posłużyli, żeby doprowadzić na Ziemi do eksplozji złożonego życia. Wyobrażam sobie gwiezdnych farmerów. W każdym razie te wydarzenia są świadectwem intensywnych zabiegów bioinżynieryjnych, prowadzonych na obszarze galaktyki przez wspólnoty Śniących, którzy coraz więcej wiedzieli, coraz lepiej się komunikowali i chcieli ingerować w losy istot żywych. A gdy tak rośli w potęgę i wiedzę, poznając wszechświat wokół siebie, odkryli jeszcze jeden powód do pośpiechu, ponieważ…

– Ponieważ zdali sobie sprawę z bliskości końca czasów – wyszeptał ColU.

– Tak. Nawet Śniący, którzy kryją się głęboko w skałach i mogą przetrwać wybuch supernowej w ojczystym układzie, czegoś takiego nie przeżyją.

– Ułożyli więc plan.

*

Może i była to kolonia tymczasowa, lecz bardzo zajęta. Wszyscy mieli na głowie stałe obowiązki, lecz z braku rąk do pracy musieli podejmować się dodatkowych zajęć: cerować porwane ubrania, naprawiać przemakające buty, nadzorować klekoczące fabrykatory zaangażowane w produkcję jakiegoś nowego podzespołu.

Pory posiłku – śniadanie, lunch, kolacja – były dla nich jedynymi okazjami, kiedy mogli pobyć razem. Towarzyszył im Earthshine, ponieważ siadali zawsze wokół jego pajęczej instalacji. Oraz ColU. Tytus kładł na to nacisk od samego początku, od chwili gdy pogodzili się ze stratą Ariego i Inguill. Byli zbyt małą grupą, żeby dodatkowo się dzielić na kliki i stronnictwa. Stef podejrzewała, że w legioniście odzywa się stary wojak, który w przeszłości stał na czele niewielkich oddziałów wyruszających na długie, samotne ekspedycje. Patrzyła na niego z uznaniem.

Choć trochę irytował ją fakt, że ilekroć namawiał ludzi do mówienia o swoich problemach, używał takich stwierdzeń jak „przecinanie wrzodu” czy „wyciskanie czyraka”. Zwłaszcza gdy próbowała wmusić w siebie przemrożonego ziemniaka lub syntetyczną papkę udającą jedzenie.

Starała się jednak, żeby nieapetyczne posiłki nie odwracały jej uwagi od długiej, zawiłej opowieści Earthshine’a.

– No dobrze, mamy ten rozsiew złożonego życia – zagaiła Stef. – To wtedy zaczęli budować Włazy?

– Tak, wtedy – potwierdził Earthshine. – Nie wiem, gdzie, kiedy i w jaki sposób powstała ta technologia, lecz Właz jest zasadniczą częścią systemu komunikacji, zoptymalizowanego pod kątem ograniczeń wszechświata, w którym przebywamy.

– Ograniczeń? Jakich?

– Chociażby prędkość światła. Wydaje się, że to fundamentalna bariera fizyczna. Co Einstein przewidział dawno temu. Druga to…

– …koniec wszechświata – wtrącił ColU.

– Ściana zamykająca przyszłość. I nieodległa w czasie dla tych długowiecznych istot. Żadne przesłanki nie wskazują na to, że rozumne światy będą mogły przekroczyć tę ostateczną barierę; nikt zresztą, w tym ludzie. Śniący odczuwali jednak palącą potrzebę komunikowania się,

rozmawiania. Pragnęli dzielić się wiedzą i w najlepszy sposób wykorzystać czas, którym im pozostał… Aby być ze sobą w kontakcie, ogromne umysły musiały polegać na prymitywnych, ślamazarnych statkach kosmicznych lub jeszcze wolniejszych wędrówkach skał między gwiazdami. To tak, jakby Einstein i Newton, wspaniali geniusze, skazani na rychłą śmierć, mogli się porozumiewać jedynie alfabetem Morse'a, wystukując litery na ścianie celi. Musieliby znaleźć lepszy sposób.

– W tym przypadku sposobem były Włazy – stwierdziła Stef.

– Tak. Włazy są czymś w rodzaju tuneli czasoprzestrzennych, anomaliami w tkance czasu i przestrzeni łączącymi nawet różne wszechświaty, różne kosmosy dryfujące w nieogarniętej sferze wieloświata. Każde przejście ograniczone będzie tylko prędkością światła…

– Za pomocą Włazu człowiek może się przedostać z Merkurego na Per Arduę, odległą powiedzmy o cztery lata świetlne, w cztery lata.

– Właśnie. Lepiej nie można. Ale budowa takich urządzeń, dziurawienie i wyginanie czasoprzestrzeni, wymaga, jak łatwo sobie wyobrazić, ogromnej ilości energii. Skąd ją wziąć?

– Z ziaren – wypaliła bez namysłu Stef. – Przypominają tunele czasoprzestrzenne, z których wylewa się energia. To była tylko przynęta, prawda? Ser w pułapce, w którą my, inteligentne, przedsiębiorcze myszy pchałyśmy swoje pazerne łapy. A tymczasem chodziło o to, żebyśmy budowali te cholerne Włazy.

– Owszem, choć nigdy nie zaszłaś tak daleko w swoich przemyśleniach. Oczywiście zorientowałaś się, Stef, że z każdym Włazem są sprzężone ziarna. Ale nie dowiedziałaś się, w jaki sposób obecność ziaren wpływa na właściwości Włazu. Nie rozgryzłaś tego metodą prób i błędów, jak Rzymianie i Inkowie… Stef, mamy tu do czynienia tylko z jedną technologią: ziarna są Włazami. Każdy Właz jest szczególną formą ziarna. Właz powstaje wtedy, gdy pole wytwarzane przez ziarna zetknie się z silnym wyładowaniem energetycznym. Wyobrażam to sobie jako proces naturalnej selekcji; jak ten, który wyłania jedno dominujące drzewo spośród dziesiątek siewek.

– Może. Ale co z energią? Choć tyle długich lat badaliśmy te czorty, nie udało nam się rozwiązać zagadki jej pochodzenia.

– Wiem – rzekł Earthshine. – A mnie zabroniliście zbliżać się do ziaren i Włazów, żebym nie mógł im się przyjrzeć. Miałem tylko wyniki twoich badań, które przychodziły do mnie z drugiej ręki. Ileż czasu przez to zmarnowałem!

– Braliśmy pod uwagę jądra gwiazd, supernowe, burstery promieniowania gamma, kwazary…

– Błąd, błąd i jeszcze raz błąd! Pamiętaj, Stef, że ziarna i Włazy są formą tuneli czasoprzestrzennych. Taki tunel łączy lokalizacje odległe zarówno w przestrzeni, jak i w czasie.

Przeszliśmy przez Właz na Marsie w epoce imperium Inków, gdy jeszcze istnieli ludzie, na planetę oddaloną nie o kilka lat świetlnych, ale ponad trzy miliardy lat.

– Tak, ale te tunele różnią się od tych, które wyobrażali sobie nasi naukowcy, działających na bazie teorii względności. One były wyrwami w czasoprzestrzeni otwartymi za sprawą niezwykłych rodzajów antygrawitacji. Tunelami Einsteina można byłoby podróżować z prędkością większą niż światło. I dałoby się ciągnąć ze sobą taki tunel podświetlnym statkiem, który stałby się wehikułem czasu. Co innego Włazy, które nie pozwalają przemieszczać się szybciej od światła. Ale mogą łączyć różne wszechświaty. Można połączyć teraźniejszość jednego wszechświata z przeszłością lub przyszłością drugiego. – W jej głowie układały się fragmenty łamigłówki. – Otóż to. Jeśli masz rację w kwestii natury wieloświata, to wszystkie wszechświaty w naszej lokalnej gromadzie mają tę samą przyszłość, patrząc w dłuższej perspektywie…

– Wszystkie zmierzają do końca czasów – oświadczył ColU.

– I to jest odpowiedź na twoje pytanie, Stef – ciągnął Earthshine. – Skąd się bierze energia ziaren? Nie z kwazara, nie z jakiegoś punktu odległego w przestrzeni. Pochodzi z punktu oddalonego w czasie…

– W przyszłości. – Stef już rozumiała. – Z samego końca czasów.

– Dokładnie. Koniec czasów będzie wydarzeniem, które wyzwoli gigantyczną energię. Śniący czerpią z tego źródła, posługując się ziarnami do rozbudowy sieci Włazów. Nam zaś, wielokomórkowym dziecinnym istotom, pozwalają bawić się tą technologią, budować statki napędzane ziarnami, prowadzić wojny, jednak…

– …wszystko to służy wyższym celom – wpadła mu w słowo Stef. – Temu, żeby połączyć ze sobą światy Śniących. Mój ojciec przewidział coś takiego już na samym początku. Przeczuwał, że ten, kto rozdaje nam ziarna (nie dożył chwili, gdy poznaliśmy Włazy), ma ukryte zamiary. Obawiał się tego.

– I słusznie. Ludzie jednak – dodał ciszej Earthshine – nie potrafią oprzeć się urokowi tak zabójczych zabawek. Choćby czerpały moc z samego ragnaröku… A więc rozrastała się sieć Włazów, światy łączyły się znacznie szybciej niż dotąd. A Śniący wiedzieli coraz więcej. Lecz to nie koniec historii. Bo nawet ten sposób był za mało wydajny. Pozostały czas, liczony zaledwie w miliardach lat, wydawał się przeraźliwie krótki umysłom Śniących. Dlatego po kilku ingerencjach w losy życia w galaktyce postanowili zaingerować raz jeszcze, lecz tak, żebyśmy przysłużyli im się w większym stopniu…

W ciągu ostatnich miesięcy Tytus Waleriusz poprowadził wiele ekspedycji na jasną stronę

planety. Dzięki sieci tuneli grawitacyjnych terminator znajdował się w odległości zaledwie kilku dni drogi. Skoro potrzebowali zapasów, czemu nie mieliby się po nie wybrać?

Tytus z reguły unikał podróżowania tymi samymi szlakami. Korzystając z okazji, podróżnicy chcieli zbadać resztę porozgałęzianego systemu kolei grawitacyjnej, która prowadziła ku wszystkim rejonom ciemnej półkuli, przyjrzeć się okolicom terminatora i obrzeżom przygwiezdnej strony globu. Należało przy tym oczywiście dokonywać oględzin tuneli. W kilku przypadkach Tytus odkrył pęknięcia, a nawet zawaliska. Musieli wtedy zawracać i szukać innej trasy. Sieć tuneli była niewiarygodnie stara i zdumiewająco wytrzymała. Stef żartowała sobie w duchu, że działa praktycznie do końca wszechświata. Choć znów się potwierdziło, że nie ma rzeczy idealnych.

Tytus nie zaniedbywał swoich elementarnych obowiązków. Z każdej wyprawy powracał z saniami przyzwoicie wypełnionymi warzywami, owocami – a czasem czymś bardziej egzotycznym, jak pewnego razu, gdy natknął się na coś, co z wyglądu i smaku przypominało brzoskwinie.

Ale przywoził również okazy, które mogły zainteresować ColU bądź Earthshine’a. ColU prosił przede wszystkim o próbki łodyg, podobnych do trzciny tworów, które niegdyś były fundamentalnym budulcem złożonego życia na Per Ardui. Raz nawet Tytus wrócił z miniaturowym stromatolitem w kształcie walca półtorametrowej wysokości i półmetrowej szerokości. Razem z Chu przyholował swoją zdobycz na saniach, obwiązaną sznurem.

Urządzili ponadto „arduański ogródek” w specjalnie do tego celu wydzielonej przestrzeni pod kopułą, gdzie tutejszą glebę zmieszali z mączką ze zmielonych kamieni. ColU uprawiał tam swoje trzciny i inne tubylcze gatunki roślin. Tam też ustawił stromatolit, wkopując go w spreparowaną ziemię. Nawet on nie miał doświadczenia w przesadzaniu stromatolitów, przez co w pierwszych dniach cała maleńka społeczność martwiła się o kondycję swojego nowego pupila, który w końcu jednak wyraźnie odżył, a jego brązowa skorupa uzyskała zdrowy połysk. Stef widziała w tym kolejny przykład integracji organizmów; oto przedstawiciele gatunków zamieszkujących różne układy planetarne współpracują ze sobą: ludzie z Ziemi opiekują się stromatolitem z Per Ardui.

To właśnie brak czasu w tym skazanym na zagładę wszechświecie – czasu na integrację biosfer, kultur i umysłów – skłonił Śniących do porwania się na najbardziej jak dotąd radykalną przebudowę.

– Nawet ludzie marzyli o takich rzeczach – mówił Earthshine. – O cywilizacjach wyruszających w kosmos i nawiązujących kontakt z obcymi. Może na początku doszłoby do konfliktu, lecz

efektem końcowym byłaby integracja. Zjednoczona galaktyka, jedna wielka cywilizacja, wyobraźcie to sobie.

– Pamiętam rozmaite fantazje naukowców – powiedziała Stef. – Może gdyby jeden umysł ogarnął cały wszechświat, odmieniłby jego losy. Uchronił go przed wielkim skurczem lub wielkim rozerwaniem. Uczynił go lepszym miejscem, niż natura chciała.

– Taki umysł wypełniający wszechświat przynajmniej mógłby wszystko w nim widzieć – dodał ColU. – Co nadałoby sens jego istnieniu.

– Ale na to nie ma już czasu – stwierdził Earthshine. – Nie ma czasu! Nie we wszechświecie, którego istnienie jest krótkie, a możliwości ograniczone prędkością światła. Śniący doszli do wniosku, że nie zdążą zjednoczyć nawet galaktyki. Zaczęli się niecierpliwić, choć to dziwne określenie w stosunku do umysłów żyjących miliardy lat. Potrzebowali więcej czasu. Tylko że go nie było, na pewno nie w przyszłości.

– No tak. – Stef pokiwała głową. – Rozumiem, do czego zmierzasz. Aby zyskać na czasie, przestali patrzeć w przyszłość, zaczęli sięgać w przeszłość.

– Zgadza się. Pamiętaj, że Śniący stali się mistrzami technologii tuneli czasoprzestrzennych, posiadali ziarna i Włazy. Czerpiąc energię z wydarzenia będącego końcem czasów, otrzymali praktycznie niewyczerpane źródło mocy. Zaczęli sięgać już nie tylko ku innym miejscom i chwilom we wszechświecie, ale zupełnie nowym wszechświatom. Takim, gdzie historia toczy się inaczej.

Stef się roześmiała.

– Oczywiście! Teraz rozumiem. Przypuśćmy, że jesteś niezadowolony z ludzi, którzy w moim strumieniu rzeczywistości, w cywilizacji chińsko-oenzetowskiej, odkryli Włazy dopiero w dwudziestym drugim wieku. Wolałbyś, żebyśmy zrobili to wcześniej. Nic prostszego: z pęku możliwych rzeczywistości wyciągasz inną kopię wszechświata, lecz taką, w której prędzej rozpracowujemy Włazy.

Mardina pokiwała głową.

– Chyba wiem, o czym mówicie. Akurat tak się złożyło, że wybrali historię, w której Rzym przetrwał, co nie wydarzyło się w twojej.

– Dokładnie tak – rzekł Earthshine. – Zatem losy rasy ludzkiej zmieniły się diametralnie. Miliardy ludzi, którzy mogliby żyć, w ogóle się nie narodziły. Ich miejsce zajęły miliardy innych i oni właśnie z zapałem rozbudowują sieć Włazów, co wydarzyłoby się znacznie później w poprzedniej rzeczywistości. I o to chodziło.

Tytus zmarszczył czoło.

– Ale jeśli to prawda, co z innymi rzeczywistościami? Zostały po prostu odrzucone jak… jak

szkice listu z rozkazami?

– Odrzucone? Nie. Nadal istnieją gdzieś tam w wieloświecie. I wszystkie, nawiasem mówiąc, dobiegną kresu u końca czasów. Są ze sobą zbyt blisko spokrewnione, aby los je oszczędził. Ale zawsze istnieje jeden wszechświat naczelny. Jakby bardziej prawdziwy od pozostałych. Zanim Śniący zaczęli nami manipulować, naczelny wszechświat był najlepiej poukładany, wewnętrznie spójny i logiczny w sensie związków przyczynowych. Wewnętrznie spójny w odróżnieniu od innych. Bo przedsięwzięcie Śniących, choć zdumiewa rozmachem, jest niedopracowane. Niedoróbek przyczynowo-skutkowych pozbawiony był tylko oryginalny naczelny wszechświat, w którym każde zdarzenie miało swój powód, prowadzący do niego ciąg okoliczności. Żadnych cudów ani anomalii. Lecz nowe wszechświaty, wybrane przez Śniących, nie są już idealne. Są w nich usterki, skutki poprzedzające przyczyny, skutki niewynikające z niczego. Pourywane wątki, które dostrzeże ktoś taki jak ja. Trafiają się nawet kardynalne błędy. Absurdy. Na przykład wszechświat, w którym nie było Juliusza Cezara, a mimo to znaleźć w nim można całą masę świadectw, pomników i dokumentów opisujących nigdy nieistniejącego człowieka. Skutki bez przyczyny.

– Zauważyliśmy takie wątki – powiedziała Stef. – Także Ari, który zastanawiał się nad pozostałościami po zatopionej cywilizacji. A Inguill i jej naszywka z wyprawy na Marsa, która nigdy się nie odbyła?

– Śniący nie przejmują się takimi rzeczami. Interesują ich tylko Włazy, które dla nich budujemy. W każdej nowej rzeczywistości następuje cywilizacyjna modyfikacja, pozwalająca nam wcześniej osiągnąć etap budowy Włazów. A więc w każdym kolejnym szkicu kosmicznej historii komunikacyjna sieć wzajemnych połączeń cofa się w czasie, sięga dalej w przeszłość. Śniący są oddani kontemplacji. Wszechświat, nawet jeśli nie potrwa długo, jest piękny i zasługuje na to, żeby podziwiać go w pełnej krasie. Podziwiać go, badać i pielęgnować od początku do końca.

– Szalony zamysł – stwierdził ColU. – I wspaniały. Jakby wszechświat, określony kawałek czasu i przestrzeni, był swoistym ogrodem, w którym należy kultywować i w miarę możliwości upiększać każdy centymetr kwadratowy aż do samego muru, że tak powiem. Jestem ogrodnikiem, czy raczej nim byłem; podoba mi się wizja zadbanego kosmosu. Zamkniętego w ścianach narodzin i śmierci.

– Ale ceną są niedociągnięcia – stwierdziła Stef, nieprzekonana do tej wizji. – Dziurawy i połatany wszechświat, w którym badania naukowe niekoniecznie mają sens. Do czego się posuną, żeby zbudować to swoje imperium Włazów? Może w niektórych rzeczywistościach ludzkość zostanie całkowicie wyeliminowana i zastąpiona innymi inteligentnymi stworzeniami?

Choćby i szczurami. Sprytne gryzonie rozejdą się po wieloświecie jak po przestronnym poddaszu…

– A wszystko to, uporządkowane czy nie, na końcu czasów zamieni się w popiół – rzekł Earthshine. – Rozumiecie teraz. My nigdy nie byliśmy ważni. Dla Śniących jesteśmy jak urządzenia techniczne, stworzone na potrzeby ich ambitnych projektów i przystosowane do specjalnych zadań. Całkiem możliwe, że nie uważają nas za istoty rozumne. Jesteśmy zbyt niepozorni i tak ściśnięci, że jeden drugiemu wchodzi na głowę. Widzą w nas stadne zwierzęta, które pracują bez wytchnienia jak mrówki lub bobry.

– Lub budowniczowie – powiedziała Beth.

– Albo legioniści przy budowie dróg – dodał Tytus. – A biorąc pod uwagę niektórych chłopaków, z którymi pracowałem, Śniący mogą mieć rację.

Pewnego ranka Beth, promiennie uśmiechnięta, odnalazła Stef.

– Mam coś, co cię zainteresuje. Wiem, bo też jesteś arduańską weteranką.

Zaprowadziła Stef do małego arduańskiego ogrodu. ColU leżał z brzegu na krześle skleconym przez Chu z łodyg miejscowych drzew.

– Zobacz, co zrobiłem, pułkownik Kalinski – powiedział.

Beth i Stef zatrzymały się na skraju poletka. W cieniu karłowatego stromatolitu z płytkiej kałuży błota wyrastały trzcinowe łodygi.

– Coś ci ta scena przypomina? – zapytała Beth. – ColU przypuszcza, że łodygi, które dziś spotykamy, są potomkami tych z naszych czasów, gdy powstawały pierwsze kolonie. To właśnie one tworzyły szkielet budowniczych. ColU uważa, że z genetycznego punktu widzenia nic nie stoi na przeszkodzie, żeby odtworzyć budowniczych. Musi tylko przeprowadzić odpowiednią liczbę krzyżówek i przywróci tubylczy gatunek.

– Zabraknie ci czasu, ColU – stwierdziła po chwili namysłu Stef. – Zostało nam parę miesięcy…

– Wiem, Stef Kalinski. Ale nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli mimo to spróbuję?

– To ja poprosiłam go o to – oznajmiła Beth. – Budowniczowie uratowali życie moje i moich rodziców, kiedy migrowaliśmy razem z ich jeziorem. Nieważne, że zrobili to nieświadomie. Zawsze martwiłam się, że zepchnięto ich na boczny tor, kiedy na Per Arduę zaczęły napływać przez Właz tłumy ludzi. Chciałabym, żebyśmy chociaż spróbowali.

– Są już jakieś osiągnięcia?

– Nie, ale ColU jest na dobrej drodze. Sama zobacz. Przyjrzyj się uważnie. Tylko nie spanikuj jak mój ojciec, gdy zobaczył je po raz pierwszy; opowiadał mi o tym.

Wiedziona ciekawością, Stef stanęła na brzegu sadzawki i nachyliła się, żeby lepiej widzieć.

Był to płytki zbiornik z mulistym dnem, grubo obrośnięty miejscowymi porostami. Wyrastały z niego sięgające jej do pasa łodygi o niezwykłym wyglądzie: ciemniejsze, spłaszczone, bardziej jak źdźbła niż rurkowate twory, lecz niepuste, bez wątpienia wypełnione szpikiem.

Z największą ostrożnością zbliżyła się do samego brzegu sadzawki.

Na każdej łodydze obróconej w jej stronę, wyrastającej z mulistego kożucha, otworzyło się oko.

– W pewnym sensie ty pierwsza, Stef, zwróciłaś moją uwagę na Śniących – mówił Earthshine. – A przynajmniej na to, że manipulują historią. Bo to właśnie twoja osobista historia została w drobnej mierze zmodyfikowana, kiedy otworzyłaś Właz odkryty na Merkurym…

– I nagle miałam siostrę, której nie pamiętałam. Moje wspomnienia nie pokrywały się z faktami o wszechświecie, który mnie otaczał.

– Klasyczna niedoróbka, patrząc z perspektywy czasu. Skutek bez przyczyny we wszechświecie, który stał się nieidealny. Związki przyczynowe zostały zaburzone. Czy raczej bardziej zaburzone.

– Potem odkryłeś następną niedoróbkę. Nagrobek mojej matki…

– …który udowadniał, że miała jedną córkę. Choć druga córka stała nad grobem i na to patrzyła. Później, jak wiesz (a wiedziałem już, czego szukać), znalazłem więcej dowodów manipulacji. Dowodów na istnienie zagubionych czasów.

– Zatopiona cywilizacja.

– Na podstawie tych tropów domyśliłem się istnienia Śniących. Nie znałem jeszcze ich natury i tego, że zamieszkują rdzenie skalistych światów. To przyszło później. Ale wiedziałem, że gdzieś są, że wtrącają się, manipulują… W wyobraźni identyfikowałem ich z Lokim, bogiem psotnikiem ludów nordyckich. W mitologii działalność Lokiego sprowadza ragnarök, ostateczną bitwę, podczas której ostatecznie zabija go inny bóg, Heimdall. Czy taka rola jest mi pisana? Zaczynałem w to wierzyć.

– I próbowałeś ich zabić – powiedziała Stef. – A przynajmniej zabrałeś się do tego. Posłużyłeś się Ceres, żeby uderzyć w Marsa. W wyniku tego na pewno zginęła znaczna część organizmów żyjących pod powierzchnią. Co sobie wtedy myślałeś? Że będziesz wędrował po galaktyce i rozbijał planetę po planecie, aby wytępić żyjątka ukryte na głębokości wielu kilometrów?

– Prawdopodobnie opracowałbym lepszą strategię – odparł beznamiętnie Earthshine. – Pomyśl. Każdy żywy świat w swoich najgłębszych otchłaniach jest pod względem biologicznym odizolowany. A co za tym idzie, podatnym na zagrożenia, takie jak chociażby spreparowany wirus, bakteriofag… W ciągu tysiąca lub miliona lat taki zabójca spustoszy *noostratum* i przyniesie mu śmierć. Owszem, takich światów jest mnóstwo, lecz łączy je sieć Włazów, co

również można wykorzystać. Zabójca mógłby przedostać się Włazem do innego świata, stamtąd do następnego… To tylko zarys planu. Prawda jest taka, że każda żywa istota ma swoje słabe strony, podobnie jak społeczności, dla których niebezpieczeństwem są wzajemne połączenia. Gdybym miał czas i determinację, znalazłbym jakiś sposób. Ja lub ktoś inny. Nie musiałbym się aż tak bardzo trudzić – dodał ciszej. – W mitologii nordyckiej Loki zabija Baldura, ulubieńca bogów, za pomocą strzały wykonanej z jemioły. Wystarczyła strzała. Kto wie, czy przede mną nie było innych, którzy próbowali. Tamten pierwszy atak na Marsa, nazwijmy to spazmem wściekłości, sprawił, że Śniący zwrócili na mnie uwagę. I wysłali mnie tutaj, a ze mną i was, co pewnie było tylko skutkiem ubocznym. Chyba po prostu chcieli, żebym to zobaczył. Koniec czasów. Chcieli, żebym zrozumiał, co jest ich celem… i przestał im przeszkadzać. I zrozumiałem. Będę się starał nie zrobić im nic złego. Nie ma już we mnie tej ambicji. I czuję się… zaszczycony, że docenili moje możliwości. I że sprowadzili mnie do tego miejsca. Na Ultimę.

– Ultimę? – Tytus zmarszczył brwi.

– W każdej znanej nam cywilizacji zdolnej do lotów kosmicznych istniała legenda o Ultimie, najdalszej gwieździe. Nawet Inkowie, których poznałeś, mówili o Kaylli, najbliższej gwieździe, i Karu, najdalszej. Być może w umysłach obcych istot rodzą się podobne wyobrażenia. Wszyscy dziwiliśmy się, że zostaliśmy przeniesieni na Proximę, gwiazdę najmniej oddaloną od Słońca, lecz w końcu…

– …każda gwiazda jest Ultimą – powiedziała Stef. – Nawet Proxima. Każda gwiazda jest ostatnią gwiazdą. Bo wszystkie zbliżają się do końca czasów.

Tytus powiódł wzrokiem po twarzach.

– Ciekawa historia – skonstatował. – Zatem nie pozostaje nam już nic innego, jak siedzieć tu sobie i czekać na koniec, tak?

Pod wpływem impulsu Beth objęła Stef.

– Nawet jeśli tak, mogło nam się trafić gorsze miejsce. I gorsi ludzie.

W tym momencie ColU zakasłał. Wszystkie spojrzenia skierowały się w jego stronę.

– Jak grzecznie nam przerwał – zażartowała Stef. – Co chcesz nam powiedzieć, ColU?

– Nasza sytuacja nie jest jednoznaczna. Być może jest dla nas jakaś… alternatywa. Jeśli nie nadzieja.

– Alternatywa? Co masz na myśli?

– Pamiętacie, że gdy Ari Guthfrithson i Inguill bezmyślnie weszli do Włazu i stracili życie…

Niespodziewanie rozległ się wrzask Mardiny.

– Już czas! – krzyknął Chu. – Pierwszy skurcz!

Rozmowa została przerwana. Postępując według przećwiczonego schematu, wszyscy podbiegli do Mardiny.

Rozdział 73

dziecko Urodziło się zdrowe i szczęśliwe: dziewczynka, która skupiała na sobie powszechną uwagę i już wkrótce odpłacała każdemu uśmiechem.

Lecz kurczył się czas, który im pozostał. Były miesiące, później tygodnie, wreszcie już tylko dni.

Earthshine zwołał wszystkich na naradę przy Włazie. Chciał przedyskutować pewne sprawy.

Tytus prychnął, słysząc tę wiadomość.

– W innych okolicznościach mogłoby to brzmieć groźnie.

Oczywiście wszyscy zamierzali przyjść, zastosować się do prośby Earthshine'a. Czuli się częścią zgranego zespołu.

Najpierw jednak rano, jak codziennie zresztą, Mardina, Beth i maleńka Gwen przespacerowały się po rozwijającej się osadzie.

Z powagą wizytowały rzędy ziemskich roślin wyrastających ze starannie wytworzonej i spulchnionej gleby. Nad nimi wisiały coraz dłuższe rzędy lamp solarnych, produkowanych jedna po drugiej przez armię fabrykatorów. Gdy przechadzały się wzdłuż rabat okrytych arduańską zielenią, rozbrzmiewał cichy szelest liści ocznych, które odwracały się w ich stronę. Przy ścianie kopuły wyjrzały na zewnątrz, na dalszą część osady, gdzie blizny w ziemi świadczyły o wysiłkach fabrykatorów przetwarzających arduańskie kamienie na glebę i kończących produkcję drugiej kopuły, która jeszcze nie została nadmuchana. I chyba nigdy nie będzie, pomyślała Mardina. W jej głowie skrystalizował się obraz zegara piaskowego, który zaraz stanowczo przegnała.

Owinięta kocykiem i tulona w ramionach Mardiny mała Gwen próbowała rozglądać się dokoła. Miała już trzy miesiące. Wydawało się, że jej włosy będą kruczoczarne, zapewne odziedziczone po babci Mardinie Jones, oczy zaś ciemne – po ojcu. Te oczy były szerokie i pełne zdumienia, gdy przyglądała się cudom świata, do którego rzucił ją los. Chociaż, o czym Mardina nie mogła przestać myśleć, był to świat, który miał zdradzić dziewczynkę na długo przed tym, zanim byłaby w stanie zrozumieć powody. W wieku zaledwie miesięcy… Jeszcze kilka dni życia…

– Dobrze nam idzie – oświadczyła głośno, żeby odegnać ponure myśli. – To znaczy kolonii.

Biorąc pod uwagę, że zaczynaliśmy od zera, jeśli nie liczyć paru gadżetów z wyposażenia Earthshine’a.

– Wychowywałam się tu z rodzicami, byłam pionierką na tym świecie – powiedziała Beth. – Budowanie wszystkiego to przyjemne uczucie, nie? Ożywianie świata, porządkowanie, zagospodarowywanie. Robimy to samo co kiedyś budowniczowie. Może mamy z nimi więcej wspólnego, niżby się wydawało?

– Szkoda tylko, że kończy nam się czas – zauważyła Stef.

– Czas chyba kończył się zawsze – stwierdziła Beth. – Dla ludzi, planet, gwiazd. Człowiek musi umieć wykorzystać chwilę, którą ma.

Mardina mocniej przytuliła dziecko.

– Ale wszystko to wydaje się takie rzeczywiste, namacalne. Ta wielka, stara galaktyka zawieszona na niebie. Dotyk włosków Gwen, gdy je czeszę. Trudno uwierzyć, że…

Beth czekała na dalsze słowa.

– Ciągle mi się wydaje, że jeśli tego nie wypowiem na głos, nigdy się nie wydarzy. Czy to nie głupie?

W słuchawkach odezwał się nagle ColU:

– To wcale nie jest głupie, Mardino Eden Jones Guthfrithson. Moc zaklęta w imieniu. To jeden z najstarszych ludzkich przesądów, sięgający samych początków języka. Odmówić czemuś imienia to jak pozbawić to realności. Teraz jednak mamy czas nazywania rzeczy po imieniu. Przepraszam, że przeszkadzam. Earthshine czeka…

Po raz kolejny zebrali się wokół aparatu wspomagającego Earthshine’a, pod pajęczym drzewem konektorów łączących go z ziemią i skałami planety – z legionami śniących żyjątek, od których tam się roiło. Siedzieli na stertach koców i niskich ławeczkach zrobionych ze szczątków zdezelowanych sań, które przyciągnęli tu Ari i Inguill.

W skonstruowanej przez Tytusa kołysce Gwen wierciła się i mruczała, senna i chwilowo zadowolona.

– Tylko trzy – oznajmił Earthshine.

– A to co ma być? – Tytus zmarszczył czoło.

– Powiedzmy, że nagłówek. A może kwintesencja. Lub streszczenie. Mimo że urodziłem się człowiekiem, a potem przez dziesięciolecia prześwietlałem na wylot ludzki świat, wciąż czuję się niezręcznie, gdy przekazuję niejednoznaczną wiadomość. Byłoby dobrze, gdybyście mieli to na uwadze. Tylko trzy.

– Na pewno chcesz przedyskutować to, co się z nami stanie – powiedział Tytus.

– I co w tej sytuacji zrobimy. Wiecie, że zostało nam już tylko kilka dni. Musimy

odpowiednio się przygotować.

Kilka dni. Kilka dni, nim Mardina straci Gwen. Na myśl o tym czuła się tak, jakby ktoś obracał *pugio* wbite w jej brzuch.

Tytus zaśmiał się gorzko.

– A na co nam przygotowania? Jeśli o mnie chodzi, to zamierzam zalać się w trupa i przespać cały ten zmierzch bogów…

– Nawet o tym nie myśl! – fuknęła siedząca za nim Klodia. Chwyciła go za rękę. – Masz być przy mnie, ojcze, nigdzie indziej.

Tytus zaraz się uspokoił, jakby przypomniał sobie, że to nie jest banda krnąbrnych legionistów, których ma zmotywować.

– Oczywiście, dziecko. – Położył jej na ramiona swój kikut ręki. – Oczywiście.

– Ale Tytus zadał dobre pytanie, Earthshine – zauważyła Stef. – Jakie sensowne przygotowania w ogóle wchodzą w grę? Najwyższa pora skończyć z zagadkami. Mów otwarcie, co masz na myśli. – Ściągnęła brwi. – A może to jakiś okrutny figiel?

– Nie, nie figiel – odpowiedział z powagą. – Raczej promyk nadziei. Posłuchajcie mnie. Rozmawialiśmy o tym wiele razy. Rozumiecie, co się wydarzy, prawda? Ten wszechświat, a także wszystkie sąsiednie w wieloświecie, sąsiednie w przestrzeni prawdopodobieństwa, dotrze do granicy, do krawędzi wieloświata. Praktycznie przestanie płynąć czas. Koniec czasów jest tu właściwym określeniem.

– Wyobraźcie sobie, że cały ten świat jest symulacją – rzekł ColU. Leżał na kocu niczym ważna osoba na zaszczytnym miejscu. – Symulacją przechowywaną w bankach pamięci olbrzymiego komputera. Jak wirtualne ciało, które wyświetla Earthshine. Gdy zderzymy się z granicą, symulacja zostanie zatrzymana, spauzowana. Niczego nie poczujecie, lecz wątki waszego życia zakończą się tak nagle, jakby ktoś zatrzymał wirtualne przedstawienie i nigdy go już nie włączał, skazując bohaterów na wieczny bezruch.

– Aczkolwiek wiemy, że to nie będzie takie proste – powiedział Earthshine. – Nie dojdzie do idealnie prostego cięcia. W przyrodzie wszystko jest trochę niepewne, rozmyte. To samo jest z granicą.

– Dlatego działają ziarna – dodała Stef. – To tunele czasoprzestrzenne łączące nas z krawędzią, gdzie odbywa się ogromny wypływ energii.

– Właśnie – ciągnął Earthshine. – Każda cząsteczka we wszechświecie podąża wytyczoną ścieżką, jakby po linii wykresu na płaszczyźnie czasu i przestrzeni. Kresem wszystkich tych ścieżek, a więc i cząsteczek, będzie krawędź wieloświata. Można ją przyrównać do horyzontu zdarzeń, obrzeża czarnej dziury, tyle że ona wchłania. Tu zaś mamy do czynienia

z monstrualnym lustrem… bądź też kuźnią, w której wszystko, do ostatniej drobinki, ulegnie termalizacji – spali się i zamieni w energię cieplną. A gdy skumuluje się energia wszystkich ginących cząsteczek, nastąpi odbicie i ostatni piekielny festiwal kreacji: z energii narodzą się nowe cząsteczki, natychmiast zmiecione przez przesuwającą się krawędź.

– Te gigantyczne energie objawiały się już w naszym wszechświecie, pozostawiały ślady dające się obserwować – powiedział ColU. – To zaburzenia, które wykryłem w kosmicznym promieniowaniu tła. Jakby nasz wszechświat odbijał się od tego, czym się stanie. Dzięki temu już dawno, zanim tu przybyliśmy, byłem w stanie szacunkowo obliczyć, kiedy nastąpi to wydarzenie.

– Okolicznością ważną dla nas jest to – zauważył Earthshine – że granica jest nieznacznie rozmyta. Zagłada, którą ze sobą niesie, nie będzie tak całkiem natychmiastowa. Co daje nam cień nadziei.

– Nie! – wyrwała się Beth, jakby nagle wszystko do niej dotarło. – To daje nadzieję im, Śniącym. Że będą mogli nam pomóc.

– Widzę, Beth Eden Jones, że rozumiesz – pochwalił ją ColU. – Jeśli chodzi o Włazy, intuicja nigdy cię nie zawodzi.

Mardina zmarszczyła czoło.

– O czym ty mówisz?

– Właz. – Beth ujęła dłonie Mardiny. – Pamiętasz? Gdy Ari i Inguill przeszli przez Właz i gdy Earthshine umieścił w środku swoją sondę, i gdy otworzyliśmy go znowu, coś się w nim zmieniło. Tak samo jak w pierwszym Włazie, który widziałam jeszcze z ojcem w punkcie przygwiezdnym. Zakopanym w dżungli. Powstały wyżłobienia na powierzchni. Pierwsza się w tym połapałam. Wyżłobienia były uchwytami dla ciał budowniczych. Kiedy się w nich znaleźli, było to jak włożenie klucza do zamka. Rozumiecie?

– Aha – odezwał się Tytus. – Kiedy nasz Właz otworzył się dla Ariego i Inguill, w drzwiach pojawiły się miejsca na dłonie. Ludzkie dłonie.

– Myślę, że Śniący chcą nam coś powiedzieć – stwierdził Earthshine. – Mają jakąś świadomość naszej obecności. Odnoszę wrażenie, że nie widzą nas wyraźnie, że nie rozumieją dostatecznie ani nas, ani naszej natury. Ale wiedzą, że tu jesteśmy.

– Dokładnie! – ożywiła się Beth. – Mówią, że możemy przejść przez Właz, przejść do…

– Do przeszłości – powiedział poważnym tonem Earthshine. – To musi być jakieś inne miejsce w kosmosie, inna planeta, inna historia. Ale na pewno przeszłość, skoro jesteśmy tutaj, gdzie nie ma przyszłości. A jest z czego wybierać, bo przeszłość liczy sobie siedemnaście miliardów lat.

Chu zmarszczył czoło.

– Skąd będziesz wiedział, gdzie jesteś? W przestrzeni i w czasie?

– Dobre pytanie – rzekł Earthshine. – Jeżeli podróżnicy pozostaną na Per Ardui, może uda im się sporządzić mapy gwiezdne dla różnych epok. Z lokalizacją i rozmiarami Andromedy. Ale jeśli odbędą również podróż w przestrzeni… Cóż, to tylko szczegóły. Najważniejsze, żeby się stąd wyrwać.

Mardina tuliła dziecko, które gaworzyło i poruszało się w jej objęciach.

– W takim razie jest nadzieja.

– Tylko trzy, przypomnij sobie – powiedziała z powagą Stef. – Tak powiedział na wstępie. Tylko trzy. Tylko trzy osoby mogą to zrobić, przejść przez Właz. Czyż nie tak, Earthshine?

Nagle wydało się, że jest ich tłum. Mardina z dzieckiem, siedząca między Chu i swoją matką Beth. Tytus z córką, która trzymała go za jedyną zdrową rękę. Stef siedząca nieco na uboczu. A także ColU i Earthshine, dwaj sztuczni ludzie. Zatem siedmioro – lub dziewięcioro, w zależności od definicji człowieczeństwa. Przeżyć mogło tylko troje.

– Dlaczego? – zapytała szorstkim tonem Mardina. – Dlaczego tylko trzy?

Earthshine westchnął.

– Być może po prostu dlatego, że znajdujemy się na takiej, a nie innej planecie. To przecież Per Ardua. Na starych nagraniach widać, że budowniczowie, korzystając z Włazów…

– A, pamiętam! – oświadczyła Beth. – Budowniczowie robili wszystko trójkami. Ich ciała były trójsymetryczne; mieli po trzy nogi. W każdej grupie było ich trzech, dziewięciu, dwudziestu siedmiu… – Zaśmiała się gorzko. – Ci twoi Śniący, Earthshine, nie wiedzą, ilu nas jest! Nie widzą różnicy między nami a budowniczymi!

– Co tylko pokazuje, jak jesteśmy od siebie oddaleni – stwierdził Earthshine. – Choć starają się być wobec nas… życzliwi.

– A więc ruszamy do gry – rzekł ochryple Tytus. – Plansza rozłożona, zasady ustalone. Trzy osoby przechodzą, sześć zostaje. Musimy postanowić które, i to zaraz.

Mardina zauważyła, jak inni zamykają się w sobie, bardziej wstrząśnięci tym stwierdzeniem niż wcześniej słowami Earthshine’a. Przytuliła mocniej dziecko. Wstępująca w jej serce nadzieja wywoływała większy ból niż rozpacz.

Stef, z kocem zarzuconym na ramiona, wydawała się krucha i maleńka. A jednak odezwała się twardym tonem:

– Tytusie, nie śpieszmy się. Zostało nam trochę czasu. Trzeba się zastanowić.

– Nie. Już to przerabiałem na wojnie. Niektórzy muszą umrzeć, żeby inni żyli. Decydujemy

teraz i nie zmieniamy już zdania. Inaczej pozabijamy się tutaj, może nawet dosłownie, jeśli będziemy walczyć o miejsce. Pamiętam taką kampanię, kiedy…

– My nie bylibyśmy tacy – powiedziała Klodia.

– Tego nie wiesz – odparła ze smutkiem Stef i zwróciła się do Mardiny: – Ty i twoje dziecko. Tu nie ma co debatować. Jesteście przyszłością naszej przedziwnej pozszywanej rodzinki. Musicie żyć, to oczywiste.

Oczy Mardiny zaszły łzami.

– Ale…

– To się rozumie samo przez się. – Tytus uniósł rękę. – Stef ma rację. Nie bylibyśmy ludźmi, gdybyśmy wybrali inaczej.

– Nie jestem człowiekiem w żadnym stopniu i popieram tę decyzję – rzekł ColU. – Jeżeli chodzi o mnie i Earthshine'a, to powinniśmy zostać wykluczeni. Zostaliśmy stworzeni tylko po to, żeby służyć ludzkości. A jak lepiej przysłużymy się ludziom, jeśli nie ratując tylu z was, ilu się da? Ale mówię za siebie. Earthshine, twoje początki są bardziej złożone…

– Co do mnie, zostaję. Chcę obejrzeć sztuczne ognie z okazji końca czasów. Przygotowania do pokazu trwały siedemnaście miliardów lat; za nic w świecie bym tego nie przegapił. – Zastanawiał się chwilę. – Ha! Wyszedł mi żart.

– Ja również zostaję – oświadczyła Stef. – Dość się już w życiu naskakałam przez Włazy i jestem za stara na rodzenie dzieci. A nawet żeby je niańczyć. I przyznaję, że jestem ciekawa tego końca czasów. Szykuje się zupełnie nowe zjawisko fizyczne. Powinniśmy mieć stanowisko obserwacyjne, Earthshine. Porobić jakieś przyzwoite badania. Może będzie czas obalić kilka teorii, nim zgasną światła.

– Nie mogę się doczekać, Stef Kalinski.

– Ja, oczywiście, zostaję z wami – rzekł stanowczym tonem Tytus. – Bądź co bądź, prawdopodobnie nikt z was nie dożyłby końca czasów, gdyby nie moje zdolności przywódcze i organizacyjne.

– Bezsprzecznie, Tytusie Waleriuszu – stwierdziła z uśmiechem Stef.

Trzymając się kurczowo ojca, Klodia wtuliła głowę w jego pierś.

– No dobrze – powiedziała Stef. – Zostało więc troje kandydatów na jedno miejsce.

W pełnej napięcia ciszy popatrzyli na siebie. Wspomnianymi kandydatami byli Beth, matka Mardiny, Chu Yuen, ojciec małej Gwen, oraz Klodia, młodsza od Mardiny.

– To musi być Chu – odezwała się półgłosem. – Dziecko potrzebuje ojca. A Mardinie przyda się męska siła i mądrość. Zabierzcie Chu, nie mnie.

Ojciec wziął ją w objęcia.

– Dobra z ciebie dziewczyna. Romanita do samego końca.

– Ona ma rację – wyrwała się Beth, mówiąc do Chu Yuena. – Tu nie ma co gadać, Chu, jesteś ojcem dziecka. I przyzwoitym człowiekiem. I masz dużo więcej siły niż ja.

Mardina całkowicie się rozkleiła. Trzymając dziecko w ramionach, chwiejnym krokiem podeszła do matki.

– Nie! Mamo, nie dam sobie rady bez ciebie.

– Dasz radę, zobaczysz. – Beth chwyciła córkę za ramiona i przytrzymała, patrząc jej w oczy. – Musisz to zrobić i zrobisz. Yuri, mój ojciec, często mówił o drzwiach, przez które przechodzi się w życiu. Zasnął na Ziemi, obudził się na Marsie, a potem znalazł się na Per Ardui, lata świetlne od domu i sto lat poza swoim czasem. Kolejne drzwi, nieraz to powtarzał. Po prostu przechodzisz i radzisz sobie w nowej sytuacji.

– Przed samą śmiercią powiedział to samo – rzekł ColU. – Byłem wtedy przy nim, gdy lecieliśmy statkiem. Kolejne drzwi, tak się wyraził.

– Ale co będzie z tobą, mamo, co z tobą? – wyrzuciła z siebie Mardina.

– Poradzę sobie. Nie martw się o mnie, nie będę sama.

– Nie będziesz – oświadczył ColU. – Tak samo jak byłem przy śmierci twojego ojca, Beth Eden Jones, byłem również przy twoich narodzinach. Będę zaszczycony, mogąc być z tobą w tych chwilach.

Stef westchnęła przeciągle.

– Przyznam się, że teraz najchętniej przytuliłabym się do kogoś. Ale poczekam na swoją kolej. No więc, Earthshine, przekazałeś nam swoje nowiny i podjęliśmy decyzję.

– Czeka nas dużo pracy – odpowiedział poważnym tonem.

Rozdział 74

Odtąd czas biegł szybciej.

Stef Kalinski żegnała się z tym, co było jej znane: z rzeczami, których nigdy więcej już nie zobaczy lub nie zrobi. Ostatnie mycie pod prymitywnym prysznicem, który zamontowali pod ścianą kopuły. Ostatni wspólny obiad. Ostatnie czyszczenie nitką resztek uzębienia.

I nagle był ten ostatni raz, kiedy mogli powiedzieć: jutro.

Nauczyli się spać przytuleni do siebie w małych grupkach: Chu z Mardiną i dzieckiem, Tytus ze swoją córką. Tej nocy jednak, za milczącym porozumieniem, zsunęli posłania bliżej siebie, otaczając nierównym kołem statyczną instalację Earthshine'a. Ostatnich dziewięcioro podróżników, samotnych na tym świecie – wśród nich być może ostatni ludzie w kosmosie – zgromadziło się w kopule oświetlonej lampami niskiej mocy i bladą jak wieczorna zorza poświatą Andromedy.

Ku swojemu zaskoczeniu Stef miała spokojny sen – jak na starego piernika, pomyślała. Niemalże cieszyła się, kiedy dwa razy w nocy dziecko domagało się karmienia i dał się słyszeć szept Beth, która pomagała córce. Stef uśmiechała się w mroku. Biedna Mardina wciąż miała swoje obowiązki, czego nie mogła zmienić nawet bliskość końca świata. Która kobieta chciałaby teraz być matką?

Choć Stef – tak.

Kiedy się obudziła, zostały już tylko godziny.

Rankiem, gdy w minorowym nastroju zjedli śniadanie, w pierwszej kolejności musieli umieścić we Włazie Chu, Mardinę i dziecko.

Earthshine zrobił ochronną kulę podobną do tej, w której zamknął sondę do badania końca czasów: grubą, żaroodporną powłokę. Uważał, że dzięki niej sonda działała przez ułamek sekundy, podczas gdy Ari Guthfrithson i Inguill zginęli momentalnie. Mogła się okazać pomocna podczas tego przejścia. ColU uważał, że na pewno nikomu nie zaszkodzi.

Kula, odpowiednio powiększona dla pomieszczenia ludzi, miała kształt wielkiego, gładkiego jaja o grubych ścianach. Zastęp fabrykatorów musiał długo się trudzić, żeby ją wyprodukować. Budziła lęk swoim wyglądem, będąc namacalnym świadectwem zagrożenia. Na twarzach Chu i Mardiny odbijał się więc uzasadniony przestrach, gdy pakowali się do ciasnego wnętrza, zaopatrzeni w torby z narzędziami, odzieżą, żywnością, wodą i rzeczami dla dziecka – a nawet

skafandrami ciśnieniowymi przerobionymi z tego, który Beth zabrała ze sobą z Marsa. Gdy wszystko to znalazło się w środku, trudno im było się ruszyć. Młoda rodzina miała już tylko czekać w osłonie. Earthshine był przekonany, że Śniący zajmą się dalszym losem podróżników, a pojawiające się w drzwiach wklęśnięcia w kształcie ludzkich dłoni nie będą już potrzebne.

Nadszedł czas zamknięcia osłony i pokrywy Włazu. Dla Beth była to pora pożegnania się z córką, dla pozostałych – rozstania z przyjaciółmi.

Stef obawiała się, że ciężko jej będzie przebrnąć przez ten punkt programu, nie robiąc z siebie durnia, więc tytułem pożegnania zdawkowo uścisnęła Chu i Mardinę, po raz ostatni pogłaskała małą Gwen po gładkim, pogodnym czółku i oddaliła się od rozdzielonej rodziny.

Wyruszyła na obchód kopuły, aby po raz ostatni dopełnić drobnych obowiązków. Sprawdziła światło i ogrzewanie chroniące przed chłodem i ciemnościami zacienionej półkuli nie tylko ludzi, ale i grządki z zieloną roślinnością, o które tak się troszczyli.

Przy okazji natknęła się na Klodię.

Rzymianka nosiła konewki z wodą i paczki z nawozem zsyntetyzowanym przez Earthshine'a – jedne dla ziemniaków, buraków i innych roślin zaimportowanych z Ziemi, drugie dla rodzimych gatunków. Stef dostrzegła uśmiech na twarzy dziewczyny przechadzającej się wzdłuż rzędów młodych liści z oczami.

Podeszła do niej.

– Ładnie tu – zagadnęła. – Wszędzie taki porządek.

– Podziękowania należą się mojemu ojcu. Szykuje się na koniec świata jak na inspekcję centuriona Kwintusa Fabiusza.

Stef się roześmiała.

– Tak swoją drogą – dodała Klodia – nie widzę powodu, dla którego te maleństwa miałyby głodować. Nawet dziś.

– Święta racja. Patrz, liście z oczami odwracają się w twoją stronę.

– Zawsze to samo, każdego dnia. Staram się nie chodzić za szybko, żeby mogły nadążyć.

– Miło z twojej strony. I zawsze się do nich uśmiechasz?

Wzruszyła ramionami, jakby lekko zmieszana.

– Czemu nie? Nie widziałam nigdy budowniczych, chyba że na zdjęciach. Patrzę na te oczy, które mnie obserwują, i zastanawiam się, jakie myśli się za nimi skrywają. Nie spotkałam jeszcze człowieka, który nie czułby się lepiej, kiedy ktoś się do niego uśmiecha. A ty?

– Chyba też nie…

Stef miała poczucie uciekającego czasu. Już dawno ustalili, że nie będą się bawić w końcowe

odliczanie, lecz w tym ostatnim dniu, chcąc nie chcąc, przyłapywała się na myśli, że to ich ostatnie godziny. Wiedziała więc…

Rozbrzmiał głos rogu: sygnał, który wcześniej zapowiedział Earthshine.

– No dobrze, chodźmy do twojego ojca.

I znów podróżnicy zebrali się wokół pajęczej instalacji Earthshine’a. Choć nie było im zimno w kopule, rozpalili ognisko. Trzaskające płomienie dodawały im otuchy, w garnku bulgotała gotująca się woda.

Tytus siedział na ławeczce, trzymając w zdrowej ręce kubek z czymś, co przypominało piwo. Stef wiedziała, że próbował urządzić małą domową warzelnię. Twierdził, że legioniści wyrabiali w sobie tego rodzaju umiejętności w czasie długich marszów z dala od domu. Stef starała się trzymać jak najdalej od jego napojów.

Klodia nalała sobie kubek herbaty i usiadła przy ojcu na kocach ułożonych u jego stóp, wtulona w jego nogi. Dało się zauważyć, że ma zapuchnięte oczy i policzki jakby mokre od łez. Stef była zła na siebie za to, że dopiero teraz to zauważyła. Dlaczego płakała? Bo zbliżał się kres dni ojca? Bo nie spełniły się jej marzenia o wojsku? Nawet jeśli tak, w tej chwili wydawała się opanowana. Zapewne pomógł jej ogród. Nic tak nie odpręża, jak prace ogrodowe, nawet gdy nie rosną w nim rośliny, które mają oczy.

Beth siedziała sama, otulona kocem, choć… nie całkiem sama: obok mrugał światełkami ColU, jej przyjaciel z dzieciństwa. Beth nie była w stanie odejść daleko od Włazu, odkąd nad Mardiną, Chu i Gwen zamknęła się pokrywa. Stef nie dziwiła się temu, nikt zresztą nie zamierzał odciągać jej stamtąd siłą. Beth tuliła do piersi prymitywną lalkę: Pana Patyczka, zabawkę identyczną jak ta, którą bawiła się jako dziecko. Wtedy zrobił ją dla niej ColU, gdy miał jeszcze „ciało” i ramiona manipulatorów. Kopia powstała z arduańskich łodyg, a wykonała ją Klodia posłuszna precyzyjnym wskazówkom ColU.

Stef nalała herbaty do dwóch kubków i podeszła do Beth.

– Mogę się przysiąść?

– Czemu nie? – odparła chłodnym, markotnym tonem Beth. Odruchowo przyjęła podany jej kubek i przesunęła się na ławeczce, aby Stef mogła usiąść przy niej.

Stef narzuciła koc na ramiona i pod spodem wyciągnęła rękę, aż odnalazła dłoń Beth.

– A zatem jesteście – zaczął Earthshine. – Zakładam, że nadal nie chcecie odliczania…

– Nie, nie chcemy! – burknął Tytus.

– No dobrze. Stef, nie byłoby lepiej, gdybyś miała pod ręką swój tablet?

– Cholera. – Zupełnie o tym zapomniała. Zgodnie z tym, co ustalili, miała razem z Earthshine’em i ColU, jak długo to będzie możliwe, dokonywać pomiarów fizycznych

zbliżającego się zjawiska. Musiała wygrzebać tablet ze swoich przepastnych kieszeni i rąbkiem koca zetrzeć z niego kłaczki. Jeszcze jeden ocalały relikt z innego wszechświata, pomyślała. Gdzie pierwszy raz trafił w jej ręce? Na Marsie? Księżycu? Czy mogłaby wtedy przypuszczać, że wciąż będzie przy niej w takim miejscu i czasie?

Na wyświetlaczu pojawiły się wykresy i wyniki obliczeń. Natychmiast zapoznała się z treścią i od razu wyciągnęła podstawowe wnioski.

– Wzrost promieniowania. Zaczęło się… – Ze zgrozą przyjęła ów pierwszy fizyczny dowód końca świata. A więc był jak najbardziej realny i prawdą okazały się przypuszczenia Earthshine'a, w które tak bardzo próbowali nie wierzyć.

– Owszem, w pewnym sensie – rzekł ColU. – Rejestrujemy wysokoenergetyczne promieniowanie, ciężkie jądra, trochę jak zwykłe promieniowanie kosmiczne. Cała fala cofa się w czasie. Tak na marginesie, bardzo szkodliwa dla zdrowia.

Parsknęła śmiechem.

– I co? Za rok wszyscy umrzemy na chorobę popromienną? Przypomnij mi później, żebym nie odnawiała polisy na życie.

– Spodziewaj się eskalacji. Zaraz pojawią się nowe ciężkie jądra i pierwiastki, których nikt wcześniej nie widział, ani nawet nie nazwał. Stef Kalinski, staniesz się największym w dziejach odkrywcą w dziedzinie fizyki egzotycznej.

– Pewnie… A ty jak się czujesz, ColU? Rozumiesz, co się z tobą stanie?

– Tak, Stef Kalinski. Zostanę wyłączony o godzinie zero.

– To już chyba za chwilę.

– Być może sztucznej inteligencji łatwiej to zrozumieć niż ludziom, istotom organicznym. To, że ciąg świadomości może nagle zostać przerwany. Inaczej na tę sprawę patrzy ten, kto ma w sobie wyłącznik.

Beth pogłaskała go po obudowie.

– Powodzenia, ColU. I dziękuję.

– Dziękuję za to, że mnie kochasz – odparł, co Stef przyjęła z zaskoczeniem.

Światła w kopule zamigotały raz i drugi, po czym zgasły.

Wyłączył się nawet tablet Stef. Postukała w urządzenie i odłożyła je na bok. Koniec nauki…

– Prawdopodobnie powodem jest promieniowanie – stwierdził ColU. – Earthshine i ja mamy ekranowane układy zasilające. Powinniśmy działać jeszcze przez jakiś czas.

Teraz mrok rozjaśniało jedynie niebo z rozsypaną na nim Andromedą, olbrzymią galaktyką, którą tak samo czekała zagłada jak ją, Stef, słabowitą staruszkę. Jej przyjaciele byli już tylko

niewyraźnymi kształtami w półmroku. Gdy jej wzrok przywykł do ciemności, ujrzała gwiazdy nad sobą.

Earthshine szepnął:

– Wilki, które zawsze ścigały dzień i noc na niebie, w końcu je dopadną…

Pod kocem palce Beth zacisnęły się mocniej na jej dłoni.

Tytus z zadowoleniem napił się piwa.

– Wiecie – rzekł po chwili – pamiętam taką kampanię, kiedy…

V

Rozdział 75

Gdy zgodnie z oczekiwaniami ochronne jajo Earthshine’a otworzyło się, Mardina, Chu i dziecko – oraz cały ich sprzęt – wylądowali na ziemi w piwnicy Włazu.

Pokrywa nad nimi była odemknięta. Patrząc w górę, Mardina ujrzała fragment jak gdyby dachu kopuły, choć z pewnością wyższej i solidniej zbudowanej niż schronienie Earthshine’a.

Mardina przycisnęła do siebie dziecko i wbiła wzrok w Chu.

– Żyjemy – wyszeptała.

– Żyjemy… tylko gdzie?

– I kiedy?

Gwen, półśpiąca, ziewnęła przeciągle.

– Chodź – powiedziała półgłosem Mardina. – Wyjdźmy stąd.

Dokładnie na tę okoliczność Earthshine wyprodukował dla nich lekką, składaną drabinkę. Odszukali ją w bagażach wśród porozrzucanych fragmentów osłony, prędko przystawili ją do ściany i Chu wdrapał się na górę. Nawet się nie rozejrzał, co nie uszło uwagi Mardiny; nadal patrzył na swoją rodzinę, uwięzioną jeszcze w piwnicy. Wyciągnął rękę.

– Podasz mi ją?

Mardina wspięła się na trzeci stopień drabinki i nieporadnie uniosła zawiniątko z niemowlęciem. Przekazując je sobie, trochę się guzdrali, przez co Gwen zaczęła wiercić się i mamrotać. Roześmiali się.

– Spójrz na nas – powiedziała Mardina. – Dwoje głuptasów podróżujących w czasie.

– Którym się udało.

– Ano udało się.

Kiedy już Chu bezpiecznie trzymał dziecko w ramionach, szybko wyszła na zewnątrz i wzięła je z powrotem.

Stojąc blisko siebie, popatrzyli wreszcie na swój nowy świat.

Stali na wygładzonej posadzce z płytek ułożonych w elegancki wzór. Wysoko nad ich głowami wznosił się dach kopuły. Mogąc się spokojnie rozejrzeć, Mardina przekonała się, że istotnie jest duża – znacznie szersza i wyższa niż improwizowany namiot Earthshine’a.

W obrębie kopuły znajdowały się mniejsze zabudowania, rzędy urządzeń mechanicznych, a na samym środku coś na kształt wysokiego pomnika. Wnętrze było przesycone zapachem aparatury elektrycznej i skąpane w ostrym blasku wiszących jarzeniówek.

W tych pierwszych chwilach, z dzieckiem na rękach, Mardina nie zwracała uwagi na szczegóły. Popatrzyła w niebo, doskonale widoczne poprzez dach.

– Nie widać Andromedy – zauważył Chu. – Na niebie jest pełno gwiazd. A popatrz tam…

Prawie w zenicie świeciła para bardzo jasnych gwiazd.

Mardina uniosła pięty i się zakołysała.

– Co powiesz o grawitacji? – zapytała.

– Taka sama. A ty jak uważasz?

– Myślę, że ciągle jesteśmy na Per Ardui, tylko młodszej. Z dawnych czasów, gdy jeszcze nie rozpadł się i nie rozjechał układ podwójnej gwiazdy, o którym wszyscy mówili. Kto wie, czy nie patrzymy na Kopyto Centaura. Ale zabraliśmy ze sobą mapy gwiezdne. Może dzięki nim dowiemy się, gdzie jesteśmy? Lub kiedy.

– Choć równie dobrze możemy zapytać. – Chu wskazał środek pomieszczenia.

Stała tam kobieta odwrócona do nich plecami, zajęta notowaniem na zwoju i stojąca przed owym osobliwym monumentem, który w rzeczywistości był, jak się okazało, starannie obrobionym kamiennym słupem, opisanym prawdopodobnie łacińskimi literami, aczkolwiek Mardina nie potrafiła odczytać słów. Na samej górze dostrzegła coś w rodzaju stalowej rzeźby w kształcie błyskawicy.

Wtem jakieś zwierzę wybiegło długimi susami zza narożnika słupa i ruszyło prosto w ich stronę.

Pies? Nie – biegło na dwóch nogach. Było okryte zielonymi i szkarłatnymi piórami, wystrojone jak wysoki rangą inkaski kapłan lub egzotyczny ptak. Miało jednak ogromną, dość kanciastą głowę, niczym nieprzypominającą psiej czy ptasiej, a także wielką paszczę… którą właśnie otworzyło, żeby wydobyć z gardła zwierzęcy ryk.

Oboje zdrętwieli ze zgrozy, lecz zaraz zareagował Chu: jedną ręką przesunął za siebie Mardinę z dzieckiem, drugą wyciągnął *pugio* i przyjął postawę obronną.

– Nie ruszaj się! – powiedział.

Kobieta stojąca przed słupem odwróciła się, słysząc hałas.

– *Halt, Hermann!*

Mardina odetchnęła z ulgą, ponieważ bestia natychmiast zwolniła i z poślizgiem zatrzymała się na gładkiej posadzce. Jej stopy były opatrzone pazurami dłuższymi niż *pugio* Chu. Przez moment wpatrywała się w swoją niedoszłą zdobycz z bolesnym rozczarowaniem.

– *Komm! Hermann, komm!*

Okryte piórami zwierzę zwiesiło łeb i pokłusowało w inną stronę.

Kobieta zbliżyła się do przybyszów z ręką na broni, która wisiała u pasa. Nosiła smoliście czarny mundur z błyskawicami naszytymi na kołnierzu i mankietach. Miała odkrytą głowę i gładko zaczesane na tył siwe włosy. Była w podeszłym wieku, co od razu rzucało się w oczy, lecz poruszała się pewnym krokiem. I była uderzająco podobna do kogoś znajomego…

– *Wie heißen Sie?*

– Opuść broń – Mardina zwróciła się do Chu półszeptem, przyciskając do piersi Gwen.

– *Was machen Sie hier?*

Mardina wlepiła wzrok w kobietę. Przecież to była Stef Kalinski! Lub Penny. Albo też, pomyślała, wstrząśnięta, następna ich bliźniaczka.

– To ty? – zapytała.

Kobieta jednak przypatrywała się Chu. Podobnie jak Mardina poznała ją, tak ona najwidoczniej poznała jego.

Nieznajoma przyklękła i opuściła głowę.

– *Verzeihung, Eure Exzellenz!*

Chu przyglądał się jej bez słowa, zdumiony.

To tylko następne drzwi, pomyślała. Jak mawiał jej dziadek Yuri.

– Pozwól, że się tym zajmę. – Przekazała dziecko Chu, rozłożyła ręce i ruszyła w stronę klęczącej nieznajomej.

W sercach stu miliardów światów…

W przestrzeni biliona umierających rzeczywistości morderczego multiuniwersum…

W ciszy podziemi…

Wszystko, co można było zrobić, zostało zrobione.

Z uczuciem spokoju i zadowolenia sędziwe, rozproszone umysły poddały się końcowi czasów.

Posłowie

Od chwili Wydania Proximy trwają badania naukowe dotyczące możliwości zamieszkania na planetach połączonych siłami pływowymi z czerwonymi karłami. Przykładowo, w 2013 roku opublikowano pierwszy trójwymiarowy atmosferyczny model świata przypominającego Per Arduę (D. Abbot e.a., „Astrophysical Journal Letters", tom 771, list 45).

Publikacja źródłowa na temat Cesarstwa Rzymskiego i jego prowincji to *Roman Britain* autorstwa Patricii Southern (Amberley, 2011). Podawane przeze mnie rzymskie daty opierają się na systemie używanym w okresie późnej republiki, kiedy historycy liczyli lata od chwili założenia Rzymu. W tym przypadku punktem odniesienia jest data zaproponowana przez Warrona, aczkolwiek inni uczeni proponowali inne. AUC to skrót od *ab urbe condita*, czyli „od założenia miasta".

Publikacja źródłowa (nieco spekulatywna) na temat kultury celtyckiej to *The Ancient Paths* autorstwa Grahama Robba (Picador, 2013). Bardzo wartościowe źródło na temat Inków to *The Last Days of the Incas* autorstwa Kima MacQuarriego (Simon & Schuster, 2007). Publikacja źródłowa na temat składania ofiar z dzieci w cywilizacji Inków to „Current World Archaeology", nr 61. Moja angielska transliteracja wyrazów z języka keczua nie jest ujednolicona, lecz główną uwagę zwracałem na przejrzystość tekstu.

W 1258 roku doszło do gigantycznego wybuchu wulkanu – erupcji tysiąclecia, której skutki odczuwalne były na całym świecie („Current Archaeology", wrzesień 2012). Niedawno odkryto, że nastąpiła ona w Indonezji.

„Pociąg grawitacyjny" to siedemnastowieczny pomysł angielskiego naukowca Roberta Hooke'a, który pisał o nim w liście do Isaaca Newtona. Ten pomysł był kilkakrotnie prezentowany, choćby uczonym z Francuskiej Akademii Nauk w XIX wieku.

O zakładaniu kolonii w kosmosie wiele już napisano. Przedstawiony tu projekt habitatu Inków został zainspirowany dziełem O'Neilla z lat 70. (G. K.O'Neill, *The High Frontier*, William Morrow, 1976). Sposoby wykorzystania nowoczesnych materiałów i technologii do budowy wielkich konstrukcji omówił między innymi T. McKendree (Implications of Molecular Nanotechnology *Technical Performance Parameters on Previously Defined Space System Architectures*, Turning Goals into Reality, NASA, 2000, www.zyvex.com/nanotech/nano4/mckendreePaper.html#RTFToC17).

Daleka przyszłość układu Alfa Centauri została opisana przez Martina Beecha (*The Far Distant Future of Alpha Centauri*, „Journal of the British Interplanetary Society", tom 64, s. 387-395, 2011). Publikacja źródłowa na temat panspermii naturalnej to *Dynamics of Escaping Earth Ejecta and their Collision Probability with Different Solar System Bodies* autorstwa M. Reyes-Ruiza e.a. (2011, arXiv:1108.3375v1).

Publikacje źródłowe na temat zbiorowych zachowań bakterii ukazały się w „Chimeras and Consciousness" autorstwa Lynn Margolis e.a. (MIT Press, 2011). Rezultaty nowych obszernych badań „biosfery ciemnej energii", życia ukrytego głęboko pod ziemią, zostały przedstawione w czerwcu 2014 roku na konferencji na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley („New Scientist", 21 czerwca 2014).

„Argument o końcu świata", opracowany przez Brandona Cartera i innych, a przywołany przez Stef Kalinski w rozdziale 67 – który zawiera w sobie również hipotezę, że nasza przyszłość nie jest nieskończona, lecz tego samego rzędu wielkości co przeszłość – poddaje analizie John Leslie (*The End of the World, Routledge*, 1996). Niepokojąca teoria, że nasz wszechświat ma przed sobą stosunkowo krótką przyszłość, ponieważ przebywamy w „wieloświecie", gromadzie wszechświatów, została opublikowana w 2010 roku w artykule pod tytułem *Eternal Inflation Predicts that Time Will End* autorstwa Raphaela Bousso z Uniwersytetu Kalifornijskiego i innych (arXiv:1009.4698v1). Publikacja źródłowa wprowadzająca do tego tematu to *Universe or Multiverse*? pod redakcją Bernarda Carra (Cambridge University Press, 2007). Przedstawione w niniejszej książce fizyczne konsekwencje zjawiska końca czasów zostały zaczerpnięte z prac Igora Smolyaninova z Uniwersytetu Maryland i innych (*Hyperbolic Metamaterial Interfaces: Hawking Radiation from Rindler Horizons and the „end of time"*, 2011, arXiv:1107.4053v1). Teoria napędu *warp*, który zakrzywia czasoprzestrzeń, pochodzi z przełomowej pracy Miguela Alcubierre („Classical and Quantum Gravity", tom 11, listy 73-77, 1994). W marcu 2014 roku po raz pierwszy ogłoszono odkrycie pierwotnych fal grawitacyjnych, za pomocą teleskopu BICEP2 na Antarktydzie („New Scientist, 22 marca 2014). Informacje o tym, jak przekształcić einsteinowski tunel czasoprzestrzenny w wehikuł czasu, znaleźć można w mojej powieści *Timelike Infinity* w cyklu *Xeelee* (Gollancz, 2010).

I tym razem jestem niezmiernie wdzięczny profesorowi Adamowi Robertsowi za pomoc w odrabianiu zadań z łaciny.

Za wszelkie błędy i nieścisłości odpowiadam, rzecz jasna, wyłącznie ja.

Stephen Baxter
Northumberland

Lipiec 2014